

Nowy bestseller



SHARON BOLTON

The background of the book cover is a black and white photograph of a wicker basket filled with sticks. A scythe with a wooden handle and a curved blade is positioned diagonally across the basket. The blade is heavily stained with bright red blood. A white padlock is attached to the handle of the scythe. The entire cover is framed by a thick, textured border of red, resembling dried blood or a splatter effect.

KRWAWA
ŻNIWA

**SHARON
BOLTON**

**KRWAWA
ŻNIWA**

**Przekład
MAŁGORZATA STEFANIUK**



Redaktor prowadząca serii kryminałów i thrillerów psychologicznych
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta

Anna Tłuchowska

Barbara Cywińska

Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© Tagir Faskhutdinov/Shutterstock

Tytuł oryginału

Blood Harvest

Copyright © S J Bolton 2010

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6916-0

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Cooperom, którzy swój duży nowiutki dom budują na skraju wrzosowisk. . .

*Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy,
by sam przytem nie stał się potworem.
Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń,
spogląda bezdeń także w ciebie.*

Friedrich Nietzsche, niemiecki filozof (1844–1900)
z książki *Poza dobrem i złem* (przeł. Stanisław Wyrzykowski)

- *Ona nas obserwuje. Już od jakiegoś czasu.*
- *Mów dalej, Tom.*
- *Czasami wydaje się, że jest tam zawsze, za stertą kamieni, w cieniu wieży, za jednym z tych starych grobów. Umie się ukrywać.*
- *Na pewno.*
- *Czasami podchodzi bardzo blisko, zanim się zorientujesz. Myślisz o czymś, a tu nagle słychać jeden z tych jej głosów. Zaskakuje cię. I naprawdę brzmi to tak, jakby to mówili twój brat albo mama, schowani gdzieś za rogiem.*
- *A potem się okazuje, że tak nie było?*
- *Tak. To nie oni. Tylko ona. Ta dziewczynka z głosami. Ale jak tylko odwrócisz głowę, jej już nie ma. Jak jesteś naprawdę szybki, możesz zobaczyć, jak ucieka. Ale najczęściej nie ma tam nic, wszystko jest tak, jak było, tylko że...*
- *Tylko że co?*
- *Tylko że teraz to jest tak, jakby świat miał jakąś tajemnicę. I ten ucisk w dole brzucha, ten, co mówi, że ona znowu tu jest. I patrzy.*

Prolog

3 listopada

A więc stało się; stało się to, czego patrząc na to teraz, bał się, bo wiedział, że się stanie. Właściwie w pewnym sensie poczuł ulgę na myśl, że najgorsze już minęło, że nie musi dłużej udawać. Może teraz będzie mógł przestać zachowywać się tak, jakby uważał, że to zwyczajne miasteczko, że to normalni ludzie. Harry wziął głęboki oddech i przekonał się, że śmierć ma zapach ścieków, mokrej ziemi i grubego plastiku.

Czaszka, leżąca dwa metry od niego, wyglądała na małą. Gdyby wziął ją w dłoń, mógłby ją w niej zamknąć. Chyba jeszcze gorsza niż czaszka była ręka. Leżała w błocie, kości ledwie połączone resztkami tkanki; jakby próbowała się wygrzebać z ziemi. Mocne sztuczne światło zamigotało jak stroboskop i przez sekundę wydawało się, że ręka się rusza.

Nad jego głową deszcz bębnił jak kanonada w plastikową płachtę. Gdzieś na wrzosowiskach wiatr zaczynał zamieniać się w wichurę, prowizoryczne osłony policyjnego namiotu nie były w stanie oprzeć się tej sile. Kiedy parkował samochód, jakieś trzy minuty temu, była trzecia siedemnaście. O żadnej porze noc nie jest ciemniejsza. Zorientował się, że zamknął oczy.

Dłoń detektywa nadinspektora Rushtona nadal spoczywała na jego ramieniu, chociaż obaj dotarli już do wewnętrznego kordonu. Dalej by ich nie przepuścili. W namiocie poza nimi było jeszcze sześć innych osób, wszystkie w takich samych białych kombinezonach z kapturami i w kaloszach, które Harry i Rushton właśnie włożyli.

Harry czuł, że się trzęsie. Z nadal zamkniętymi oczami słyszał równomierne natarczywe bębnienie deszczu w dach namiotu. Wciąż widział tę rękę. Czując, że

się chwieje, otworzył oczy. O mało się nie przewrócił.

– Proszę się trochę cofnąć – rzucił Rushton. – Niech pan nie schodzi z maty, pastorze. – Harry wykonał polecenie. Miał wrażenie, jakby jego ciało nagle się powiększyło; pożyczone kalosze straszliwie cisnęły, ubranie kleiło się do skóry, kości w głowie wydawały się za cienkie. Szum wiatru i deszczu trwał dalej, jak ścieżka dźwiękowa kiepskiego filmu. Za dużo światła, za głośno jak na środek nocy.

Czaszka odturlała się od tułowia. Harry dostrzegł żebra klatki piersiowej, takiej małej, wciąż okrytej ubraniem, maleńkie guziczki połyskiwały w świetle reflektorów.

– Gdzie są inne? – spytał.

Detektyw Rushton przechylił głowę, potem poprowadził go po szachownicy aluminiowych płyt rozłożonych na błocie jak schodki. Podążały za linią kościelnego muru.

– Patrz pod nogi, chłopcze – przestrzegł Rushton. – Ten cały teren to jedna wielka krwawa jatka. Tam, widzi pan?

Zatrzymali się w odległym krańcu wewnętrznego kordonu. Drugie zwłoki były całe, ale nie wyglądały na większe od pierwszych. Leżały twarzą do ziemi, w błocie. Na lewej nodze połyskiwał mały kalosz.

– Trzecie są pod murem – oznajmił Rushton. – Trudno je zobaczyć, bo do połowy są zasypane kamieniami.

– Kolejne dziecko? – spytał Harry. Luźno wiszące kłapy namiotu łopotąły na wietrze i żeby było go słychać, musiał prawie krzyczeć.

– Na to wygląda – przytaknął Rushton. Okulary miał całe w kroplach deszczu. Nie wycierał ich od chwili wejścia do namiotu. Może wolał nie widzieć wszystkiego wyraźnie. – Widać, w którym miejscu mur się osunął.

Harry skinął głową. Mniej więcej trzymetrowy odcinek kamiennego muru, który oddzielał działkę Fletcherów od cmentarza, zapadł się, a ziemia, którą zatrzymywał, osunęła się do ogrodu. Razem z murem przewrócił się stary cis. W ostrym sztucznym świetle kojarzył się Harry'emu ze zwisającymi długimi kobiecymi włosami.

– Kiedy mur się rozpadł, groby zostały naruszone – tłumaczył Rushton. – Zwłaszcza jeden, grób dziecka. Dziewczynki, nazywała się Lucy Pickup. Nasz problem polega na tym, że z planów, które mamy, wynika, że to dziecko było w tym grobie samo. Został dla niej wykopany dziesięć lat temu.

– Wiem – przytaknął Harry. – Ale z drugiej strony... – Znów popatrzył na scenę przed sobą.

– Cóż, teraz rozumie pastor, o co nam chodzi – mówił Rushton. – Jeśli mała Lucy została pogrzebana sama, do kogo należą te dwa inne ciała?

– Mógłbym na chwilę zostać z nimi sam? – spytał Harry.

Rushton przymrużył oczy. Przeniósł wzrok od małych postaci na Harry'ego i z powrotem.

– To święta ziemia – mruknął Harry, prawie jakby mówił tylko do siebie.

Rushton odsunął się.

– Panie i panowie! – zawołał. – Proszę o minutę ciszy dla pastora! – Policjanci popatrzyli w górę. Jeden otworzył usta, chyba żeby się sprzeciwić, ale zrezygnował na widok wyrazu twarzy Briana Rushtona. Mamrocząc podziękowania, Harry wysunął się naprzód, bliżej zagrodzonej przestrzeni, aż czyjaś dłoń na jego ramieniu kazała mu się zatrzymać. Czaszka zwłok leżących najbliżej niego była bardzo uszkodzona. Wyglądało na to, że brakuje prawie jednej trzeciej. Pamiętał, że słyszał, jak mówiono, w jaki sposób zginęła Lucy Pickup. Wziął głęboki oddech, świadomy tego, że wszyscy dokoła stoją nieruchomo. Kilka osób przyglądało mu się, inni pochylili głowy. Podniósł prawą rękę i zaczął wykonywać znak krzyża. W górę, w dół, w lewo. Zatrzymał się. Bliżej miejsca wypadku, tuż pod lampami, miał lepszy widok na trzecie zwłoki. Maleńkie ciało było ubrane w coś z haftowanym wzorem przy szyi: mały jeżyk, królik i kaczka w kapeluszu. Postaci z opowiadań Beatrix Potter.

Zaczął mówić, ledwie wiedząc co. Krótka modlitwa za dusze zmarłych, mogło to być cokolwiek. Chyba musiał skończyć, bo policjanci powracali do pracy. Rushton poklepał go po ramieniu i wyprowadził z namiotu. Harry nie opierał się, wiedział, że jest w szoku.

Trzy maleńkie ciała wypadły z grobu, w którym powinno być tylko jedno. Nieznane dzieci dzieliły miejsce ostatecznego spoczynku z Lucy Pickup. Tyle że jedno z nich nie było nieznane, przynajmniej nie dla niego. To dziecko w piżamie z postaciami Beatrix Potter. Wiedział, kto to jest.

Część 1

TRZECIA KWADRA KSIĘŻYCA

1

4 września (dziewięć tygodni wcześniej)

Rodzina Fletcherów zbudowała swój duży nowiutki dom na skraju wrzosowisk, w miasteczku, o którym czas i świat zdawały się zapomnieć. Fletcherowie pobudowali się na niewielkiej działce, której diecezja, desperacko złaźniona dodatkowych dochodów, chciała się pozbyć. Postawili dom tak blisko dwóch kościołów – jednego starego, drugiego bardzo starego – że wychyliwszy się z okien sypialni, mogli prawie dotknąć skorupy pradawnej wieży. A po trzech stronach ogrodu mieli najspokojniejsze sąsiedztwo, na jakie tylko mogli liczyć, co było ulubionym żartem dziesięcioletniego Toma Fletchera; a to dlatego, że swój nowy dom wybudowali pośrodku cmentarza. Niezbyt mądrze, doprawdy.

Ale Tom i jego młodszy brat Joe na początku byli tym wszystkim ogromnie podekscytowani. W nowym domu mieli duże sypialnie, wciąż jeszcze pachnące świeżą farbą, a na zewnątrz porośnięty jeżynami, pokryty kruszącymi się kamieniami teren kościoła, gdzie zdawały się czekać na nich przygody jak z bajek. Wewnątrz domu mieli też salon mieniący się nieskończonymi odcieniami żółci, w zależności od tego, gdzie na niebie stało słońce. A na zewnątrz strzelające w górę starodawne krużganki gęsto porośnięte bluszczem, tak starym i sztywnym, że mógłby rosnąć bez podpór. Mieli trawę tak wysoką, że Joe prawie w niej tonął.

Wewnątrz dom zaczął nabierać charakteru ich rodziców, gdy w każdym pokoju zaczęły się pojawiać świeże kolory, obrazy i rzeźbione zwierzęta. Ale na zewnątrz Tom i Joe wzięli cmentarz i teren przykościelny w posiadanie.

Ostatniego dnia wakacji Tom leżał na grobie Jacksona Reynoldsa (1875–1945) i wchłaniał ciepło starego kamienia. Niebo miało kolor ulubionej chabrowej farby matki, słońce, którego nie przysłaniała nawet jedna chmurka, robiło swoje od wczesnego poranka. To był błyszczący dzień, jak lubił mówić Joe.

Tom nie potrafił powiedzieć, co się zmieniło. Jak od uczucia, że wszystko jest w idealnym porządku, że jest mu ciepło i jest szczęśliwy, od zastanawiania się, ile trzeba mieć lat, żeby móc próbować zapisać się do Bluckburn Rovers^[1], mógł przejść do uczucia, że... no cóż... już nie jest mu tak dobrze. Nagle, w ułamku sekundy, futbol nie wydawał mu się już aż tak istotny. Nie działało się nic złego, po prostu chciał usiąść. Sprawdzić, co jest w pobliżu. Czy ktoś...

Głupie. Ale mimo wszystko siedział, rozglądając się i zastanawiając, jakim cudem Joemu znowu udało się zniknąć. Cmentarz przed nim ciągnął się w dół wzgórza na długość boiska futbolowego, wzniesienie robiło się tym bardziej strome, im niżej schodziło. W dole stał rząd szeregowych domów, a potem kolejne pola. A za nimi, u stóp doliny, rozciągało się sąsiednie miasteczko, Goodshaw Bridge, w którym Tom i Joe mieli w poniedziałkowy poranek wznowić naukę w szkole. W dolinie i za nią prawie z każdej strony były wrzosowiska. Dużo, dużo wrzosowisk.

Ojciec Toma lubił powtarzać, że kocha wrzosowiska, dzikość, dostojność i czystą nieprzewidywalność północnej Anglii. Tom zgadzał się z ojcem, naturalnie, że się zgadzał, miał w końcu tylko dziesięć lat, ale jednak czasami w skrytości ducha zastanawiał się, czy tereny wiejskie bardziej przewidywalne (sprawdził to słowo i wiedział, co ono znaczy) to byłoby coś aż tak złego. Czasami odnosił wrażenie – chociaż nie lubił o tym mówić głośno – że wrzosowiska otaczające jego nowy dom są jednak trochę zbyt nieprzewidywalne.

Oczywiście był idiotą, to się rozumiało samo przez się.

No, ale z drugiej strony było jakoś tak, że Tom zdawał się zawsze dostrzegać niewidzianą dotąd nową grupkę skałek, maleńką dolinę, której wcześniej tam nie było, skarpe wrzosów czy zagajnik drzew, które pojawiły się przez noc. Czasami, kiedy chmury szybko przesuwały się po niebie i ich cień na ziemi gonił za nimi, Tomowi wydawało się, że wrzosowiska falują, tak jak woda, kiedy coś się w niej czai pod powierzchnią; albo wiercą, jak śpiący potwór, który ma się zaraz obudzić.

I czasami, kiedy słońce zachodziło za dolinę i nadciągała ciemność, Tom nie potrafił oprzeć się myśli, że wrzosowiska wokół przysunęły się bliżej.

– Tom! – zawołał Joe z drugiej strony cmentarza i Tom po raz pierwszy w życiu naprawdę nie żałował, że usłyszał głos brata. Kamień pod nim zrobił się zimny, na niebie pojawiły się chmury.

– Tom! – krzyknął znowu Joe, prosto do ucha Toma. Jezu, Joe, to było takie niespodziewane. Tom podskoczył i odwrócił się. Joego nie było za nim.

Drzewa na obrzeżach cmentarza zaczęły się kołysać. Znowu zerwał się wiatr, a kiedy wiatr na wrzosowiskach naprawdę zabierał się do roboty, potrafił dotrzeć wszędzie, nawet do osłoniętych miejsc. W krzakach, tych najbliżej Toma, coś się poruszyło.

– Joe! – zawołał, ciszej niż zamierzał, bo naprawdę nie podobała mu się myśl, że ktoś, nawet Joe, ukrywa się w tych krzakach i go obserwuje. Usiadł, i przyglądając się dużym błyszczącym zielonym liściom, czekał, aż znowu się poruszą. To były wawrzyny, wysokie, stare i gęste. Wiatr zdecydowanie się wzmagął, teraz Tom słyszał go już w koronach drzew. Wawrzyny przed nim były nieruchome.

To było pewnie tylko jakieś dziwne echo, przez które pomyślał, że Joe jest blisko. Ale Tom miał to dziwne uczucie, to mrowienie, które pojawiała się u niego, kiedy ktoś przyłapał go na robieniu czegoś, czego nie powinien robić. A poza tym, czy nie poczuł właśnie oddechu brata na karku?

– Joe? – spróbował znowu.

– Joe? – przypląnął do niego w odpowiedzi jego własny głos. Tom cofnął się dwa kroki i uderzył mocno plecami w nagrobek. Rozejrzał się dokoła, upewnił, że w pobliżu nie ma nikogo, i przykucnął.

Na tym poziomie wawrzyny były rzadziej ulistnione. Między kępami pokrzyw Tom zobaczył kilka nagich gałęzi. Zobaczył też coś jeszcze, jakiś kształt, ledwie widoczny, chociaż wiedział na pewno, że to nie roślina. Wyglądało to trochę jak... – gdyby się poruszyło, mógłby to lepiej zobaczyć – jak duża i bardzo brudna ludzka stopa.

– Tom, Tom, chodź i zobacz! – zawołał Joe i tym razem brzmiało to tak, jakby był bardzo daleko. Tom nie czekał na kolejne przywołanie. Poderwał się na nogi i pognął w stronę, z której dobiegał głos brata.

Joe kucał przy murze, oddzielającym cmentarz od ich ogrodu. Patrzył na grób, który wyglądał na nowszy od reszty. Przed nim, zwrócona twarzą do nagrobka, stała kamienna rzeźba.

– Patrz, Tom – rzucił Joe, zanim starszy brat zdążył się przy nim zatrzymać. – To jakaś mała dziewczynka. Z lalką.

Tom nachylił się. Rzeźba była wysoka na jakieś trzydzieści centymetrów i przedstawiała małą pyzată dziewczynkę z kręconymi włoskami, ubraną w strojną sukienkę. Tom sięgnął i zdarł z rzeźby część porastającego ją mchu. Rzeźbiarz wyposażył dziewczynkę w idealnie uformowane buciki i w utrzymaną w objęciach małą lalkę.

– Małe dziewczynki – mruknął Joe. – To grób małych dziewczynek.

Tom podniósł wzrok i przekonał się, że Joe ma rację – no prawie. Na nagrobku było wyryte jedno słowo. „Lucy”. Napis mógł być dłuższy, ale wszystko poniżej zasłaniał bluszcz.

– Tylko jednej małej dziewczynki – stwierdził Tom. – Lucy.

Odciągnął porastający nagrobek bluszcz, żeby zobaczyć daty. Lucy zmarła dziesięć lat temu. Miała tylko dwa lata. „Ukochane dziecko Jennifer i Michaela Pickupów”, brzmiała inskrypcja. I nic więcej.

– Tylko Lucy – powtórzył Tom. – Chodź, idziemy stąd.

Ruszył w drogę powrotną. Ostrożnie przedzierał się przez wysoką trawę, obchodził pokrzywy, odsuwał jeżyny. Za sobą słyszał szelest trawy, wiedział więc, że Joe idzie za nim. Kiedy wspiął się na wzgórze, pojawiły się ruiny starego kościoła.

– Tom! – zawołał Joe głosem, który nie brzmiał tak jak trzeba.

Tom zatrzymał się. Słyszał, że trawa za nim się porusza, ale się nie odwrócił. Tylko stał, wpatrując się w zniszczoną wieżę kościoła, ale tak naprawdę jej nie widział, zamiast tego zastanawiał się, dlaczego nagle tak się boi odwrócić i spojrzeć na brata.

Odwrócił się. Otaczały go wysokie nagrobki. Nic więcej. Tom uświadomił sobie, że jego pięści są mocno zaciśnięte. To naprawdę nie było śmieszne. Potem krzaki kilka metrów dalej znowu się poruszyły i zobaczył Joego. Biegł czerwony na twarzy i zdyszany, jakby trudno mu było nadążyć. Wreszcie dobiegł do brata i zatrzymał się.

– Co? – spytał.

– Chyba ktoś za nami idzie – powiedział szeptem Tom.

Joe nie zapytał kto ani gdzie, ani skąd Tom to wie, tylko się w niego wpatrywał. Tom złapał go za rękę. Wracają do domu, i to już teraz, od razu.

Tyle że nie, może jednak nie wracają. Na murze oddzielającym starszą część

kościelnych terenów od ciągnącego się w dół zbocza cmentarza, w rzędzie jak kręgle stało sześciu chłopców. Przyglądali się braciom. Tom poczuł szybsze bicie serca. Sześciu chłopaków na murze; i być może gdzieś blisko kolejni.

Największy trzymał gruby rozwidlony patyk. Tom nie widział pocisku, który nadleciał w jego stronę, ale poczuł świst powietrza obok twarzy. Inny chłopak, w bordowo-niebieskiej futbolowej koszulce przymierzał się do strzału. Joe, z szybszym refleksem niż starszy brat, rzucił się za duży nagrobek. Tom, gdy przemknął obok niego kolejny pocisk, szybko podążył w ślady brata.

– Co to za chłopaki? – spytał szeptem Joe, gdy nad głową jego i Toma przeleciał następny kamień.

– Ze szkoły – odparł Tom. – Dwóch z nich jest z mojej klasy.

– A czego oni chcą? – Zwykle blada twarz Joego zrobiła się jeszcze bledsza.

– Nie wiem – burknął Tom, chociaż wiedział. Jeden z chłopaków chciał się odegrać. Reszta tylko pomagała. Nadleciał nowy pocisk, trafiając w róg nagrobka, i Tom zobaczył odrywające się od niego małe kawałki kamienia. – Ten w koszulce Burnley^[2] to Jake Knowles – dodał.

– Ten, z którym się biłeś? – upewnił się Joe. – Co cię potem wysłali do dyrektora? Ten, którego ojciec chciał, żeby cię wyrzucili ze szkoły?

Tom przykucnął i nachylił się do przodu z nadzieją, że zza wysokich traw nie będzie widać jego głowy, kiedy wyjrzy. Inny chłopak z jego klasy, Billy Aspin, pokazywał na kępę jeżyn obok znalezionej przed chwilą przez Joego grobu tamtej małej dziewczynki. Tom odwrócił się do brata.

– Nie patrz w naszą stronę – rzucił. – Musimy się pospieszyć. Idź za mną.

Joe był tuż za Tomem, gdy ten wystrzelił do przodu w kierunku dużego prostokąta grobowca, jednego z największych na wzgórzu. Udało im się. Kamienie ze świstem przecinały powietrze, ale Tom i Joe byli bezpieczni za dużą kamienną budowlą, która na zewnątrz miała żelazne poręcze. Była tam też żelazna furtka, a za nią drewniane drzwi prowadzące do środka. Rodzinne mauzoleum, jak powiedział im ich ojciec, prawdopodobnie całkiem spore w środku, wchodzące we wzgórze, z mnóstwem półek na wiele pokoleń trumien.

– Rozdzielili się! – przypląnął okrzyk z muru. – Wy dwaj, chodźcie ze mną!

Tom i Joe popatrzyli po sobie. Skoro się rozdzielili, to dlaczego wciąż byli tak blisko siebie, że Tom czuł na twarzy oddech Joego?

– To debile – mruknął Joe.

Tom wychylił się zza grobowca. Trzech chłopców szło wzdłuż muru w stronę

grobu Lucy Pickup. Pozostali trzej nadal gapili się tam, gdzie ukrywali się bracia.

– Co to za dźwięk? – spytał Joe.

– Wiatr? – zasugerował Tom, nie próbując się nawet wsłuchać. Mógł mieć raczej pewność, że jego domysł jest trafny.

– To nie wiatr. To jakaś muzyka.

Joe miał rację. Zdecydowanie muzyka, cicha, stały rytm, niski głos śpiewającego mężczyzny. Tamci debile też to usłyszeli. Jeden zeskoczył z muru i pobiegł w stronę drogi. Reszta poszła w jego ślady. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, Tom usłyszał silnik samochodu.

To John Lee Hooker. Ojciec miał z nim kilka płyt CD i często je puszczał – bardzo głośno – kiedy matki nie było w domu. Ktoś nadjeżdżał, słuchając na samochodowym odtwarzaczu Johna Lee Hookera. Najwyższy czas się ruszyć. Tom przesunął się w bok, opuszczając kryjówkę za grobowcem.

W zasięgu wzroku widoczny był już tylko Jake Knowles. Chłopak rozejrzał się i dostrzegł Toma, który tym razem już się nie schował. Obaj chłopcy wiedzieli, że zabawa się skończyła. Tylko że...

– On ma twój kij od bejsbola – zauważył Joe, który wyszedł z kryjówki za Tomem. – Co on z nim robi?

Jake miał kij Toma i jego piłkę też – dużą, bardzo ciężką czerwoną piłkę, którą Tom pod groźbą bolesnej, długiej śmierci z torturami (tak mówiła jego matka, kiedy mówiła naprawdę na serio) miał się nie bawić nigdzie w pobliżu zabudowań, zwłaszcza takich z oknami, i czy to jest dla niego jasne? Tom i Joe trenowali wcześniej przy kościele łapanie piłek. Zarówno kij, jak i piłkę zostawili pod murem i teraz miał je Knowles.

– On je chce ukraść – dodał Joe. – Możemy zawiadomić policję.

– Nie wydaje mi się – odburknął Tom, widząc, że Jake odwraca się w stronę kościoła. Podrzucił lekko piłkę w górę, a potem mocno zamachnął się kijem. Piłka poszybowała w powietrzu i przeleciała przez duże witrażowe okno z boku kościoła. Niebieska szyba rozprysła się akurat w chwili, gdy silnik samochodu ucichł, a wraz z tym muzyka. Jake uciekł w ślad za kolegami.

– Dlaczego to zrobił? – zdumiał się Joe. – Wybił szybę. Zamordują go.

– Nie, nie zamordują – mruknął Tom. – Zamordują nas.

Joe przez chwilę patrzył na brata, potem zrozumiał. Miał tylko sześć lat i był irytujący jak diabli, ale nie był debilem.

– To nie fair. – Małą twarz Joego wykrzywiło oburzenie. – Powiemy prawdę.

– Nie uwierzą nam – stwierdził Tom. Sześć tygodni w nowej szkole: trzy zawieszenia, dwie wyprawy na dywanik u dyrektora, mnóstwo reprimend od wychowawcy klasy i nikt nigdy mu nie uwierzył. Dlaczego mieliby to zrobić, skoro Jake Knowles miał po swojej stronie połowę klasy, podskakującej na swoich miejscach w ławkach; aż tak się im paliło, żeby poprzeć Jake’a. Nawet ci, którzy się z nim nie przyjaźnili, zbyt się bali jego i jego kumpli z gangu, żeby cokolwiek powiedzieć. Sześć tygodni zbierania ochrzanu za wszystko, co rozpoczynał Jake Knowles. Może to Tom jest debilem?

Tom złapał brata za rękę i razem pobiegli przez wysokie trawy tak szybko, jak tylko mogli. Tom wdrapał się na mur, rozejrzał po dziedzińcu kościoła, potem pochylił, żeby wciągnąć Joego. Jake’a i pozostałych chłopaków nie było nigdzie widać, ale w otoczeniu ruin starego kościoła znajdowało się mnóstwo kryjówek.

Przy kościelnej furtce stał stary sportowy samochód, jasnoniebieski z mnóstwem srebrnych dodatków. Miękki dach był złożony i leżał na bagażniku. Jakiś mężczyzna przechylał się nad siedzeniem pasażera i grzebał w schowku na rękawiczki. Znalazł to, czego szukał, i wyprostował się. Wyglądał na kogoś w wieku ojca Toma, około trzydziestu czterech, trzydziestu pięciu lat, wyższy od ojca Toma, ale szczuplejszy.

Tom przywołał brata, żeby za nim poszedł, podniósł kij bejsbolowy (nie było sensu zostawiać dowodów na widoku) i pobiegli razem tam, gdzie mogli się wgramolić do swojej ulubionej kryjówki. Odkryli ją krótko po przeprowadzce: duża prostokątna kamienna płyta nagrobna, wsparta na czterech kamiennych filarach. Trawa dokoła urosła bardzo wysoko i kiedy chłopcy wczołgawali się pod płytę, byli zupełnie niewidoczni.

Kierowca sportowego wozu otworzył drzwiczki i wysiadł. Kiedy się odwrócił w stronę kościoła, chłopcy zobaczyli, że jego włosy są takiego samego koloru co ich matki (blond truskawkowy, nie imbirowy) i kręcone, też jak matki, tylko że jego były krótko ostrzyżone. Ubrany był w sięgające do kolan spodenki, biały T-shirt i czerwone crocsy. Przeszedł przez ulicę i wszedł na dziedziniec. Kiedy już na nim stał, zatrzymał się i obejrzał za siebie, potem wolno obrócił się w miejscu, oglądając wyłożone kocimi łbami uliczki, szeregowe domki, oba kościoły i wrzosowiska za nimi.

– Wcześniej go tu nie było – szepnął Joe.

Tom kiwnął głową. Obcy przeszedł obok chłopców i dotarł do głównego wejścia do kościoła. Z kieszeni wyciągnął klucz. Sekundę później drzwi się otworzyły i

mężczyzna wszedł do środka. W tym samym momencie w wejściu na dziedziniec pojawił się Jake Knowles. Tom wstał i rozejrzał się. Za plecami jego i Joego stał Billy Aspin. Zaraz potem na oczach braci zza nagrobków wyłonili się pozostali członkowie gangu i wdrapali się na mur. Bracia zostali otoczeni.

2

Zanim zdolali ugasić pożar, paliło się przez trzy godziny. I mówili, że temperatura w środku, w miejscu, gdzie był... nie pamiętam, jak to nazwali...

– Zalążek? – odpowiedziała Evi.

Dziewczyna siedząca naprzeciwko skinęła głową.

– Tak, zgadza się – potwierdziła. – Miejsce zalążka. Powiedzieli, że było tam jak w piecu hutniczym. A jej sypialnia była bezpośrednio nad nim. Nie byli w stanie podejść do domu, co dopiero wejść na górę, a potem sufit się zapadł. Kiedy już wreszcie ostudzili zgliszcza, nie znaleźli jej.

– Nic nie znaleźli?

Gillian pokręciła głową.

– Nic – odpowiedziała. – Ona była maleńka. Miała takie maleńkie miękkie kości. Oddech Gillian znowu przyspieszał.

– Gdzieś czytałam, że to niezwykle, ale nie niespotykane – ciągnęła – że ludzie... że ludzie znikają całkowicie. Ogień po prostu spala ich całych. – Dziewczyna zaczynała się dławić i gwałtownie łykać powietrze.

Evi wyprostowała się na fotelu; ból w lewej nodze odezwał się natychmiast.

– Gillian, już dobrze – rzuciła. – Unormuj oddech. Nie spiesz się. Spokojnie.

Gillian położyła dłonie na kolanach i spuściła głowę. Evi też w tym czasie skoncentrowała się na odzyskaniu panowania nad własnym oddechem, na skupieniu się na czymś innym niż ból w nodze. Zegar na ścianie powiedział jej, że konsultacje trwają już kwadrans.

Jej nowa pacjentka, Gillian Royle, była bezrobotna, rozwiedziona i uzależniona od alkoholu. Miała zaledwie dwadzieścia sześć lat. Notatka referencyjna od lekarza rodzinnego mówiła o „przedłużającym się, niepokojąco głębokim smutku”, dręczącym kobietę od trzech lat, od chwili utraty dwudziestosiedmioletniej córki, która zginęła w pożarze w domu rodzinnym. Zdaniem lekarza, Gillian miała depresję, myśli samobójcze i dokonywała częstych aktów samookaleczenia. Lekarz tłumaczył się, że przysłałby pacjentkę wcześniej, ale dopiero niedawno został

powiadomiony o niej przez lokalnego pracownika opieki społecznej. To było pierwsze spotkanie Gillian z Evi.

Włosy dziewczyny spływały prawie do ziemi. Kiedyś były w pasemkach, ale teraz nad starymi jasnymi pasmami widniał nieumyty myszowaty brąz. Stopniowo podnoszenie się i opadanie ramion dziewczyny zaczęło zwalniać. Po chwili podniosła rękę, żeby zgarnąć włosy do tyłu. Pokazała się jej twarz.

– Przepraszam – szepnęła, jak dziecko przyłapanie na złym zachowaniu.

Evi pokręciła głową.

– Nie masz za co – zapewniła. – To, co czujesz, to coś zupełnie normalnego. Często miewasz problemy z oddychaniem?

Gillian przytaknęła kiwnięciem głowy.

– To zupełnie normalne – powtórzyła Evi. – Osoby doświadczające głębokiego smutku często doznają bezdechu. Zaczynają odczuwać nagły niepokój, nawet lęk, bez żadnej oczywistej przyczyny, a potem walczą o oddech. Tak masz?

Gillian znowu kiwnęła głową. Wciąż ciężko dyszała, jakby przebiegła trasę wyścigu i przegrała zaledwie o sekundy.

– Zostały ci jakieś pamiątki po córce? – zapytała Evi.

Gillian sięgnęła do niedużego stolika i z pudełka wyciągnęła kolejną papierową chusteczkę. Do tej pory jeszcze nie płakała, ale za to bez przerwy przykładła chusteczki do twarzy i mięła je w wychudzonych palcach. Dywan zaśmiecały maleńkie gruzełki cienkiego papieru.

– Ten strażak znalazł zabawkę – wyjaśniła. – Różowego królika. Powinien być w jej łóżeczku, ale wpadł za kanapę. Pewnie powinnam się cieszyć, że tak się stało, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że musiała przejść przez to wszystko i nie miała nawet swojego różowego króliczka przy so... – Głowa Gillian znowu opadła w dół, a jej ciało zaczęło dygotać. Obie dłonie, nadal mnące cienki brzoskwiniowy papier, były mocno przyciśnięte do ust.

– Czy to było dla ciebie trudniejsze? – sondowała Evi. – Że nie znaleźli ciała Hayley?

Gillian podniosła głowę i Evi dostrzegła mroczniejszy błysk w oczach pacjentki, ostrzejsze krawędzie wokół linii twarzy. Było tam też wiele gniewu, walczącego o pierwszeństwo ze smutkiem.

– Pete mówił, że to dobrze, że nie mogli jej znaleźć – wymamrotała.

– A ty jak uważasz? – dociskała Evi.

– Ja myślę, że byłoby lepiej, gdyby ją znaleźli – odburknęła ostro Gillian. – Bo

miałabym pewność. Musiałabym to zaakceptować.

– Zaakceptować, że to się stało naprawdę? – upewniła się Evi.

– Tak – potwierdziła dziewczyna. – Bo nie mogłam. Nie potrafiłam tego pojąć, nie mogłam uwierzyć, że ona naprawdę nie żyje. Wie pani, co zrobiłam?

Evi pozwoliła sobie na lekkie pokręcenie głową z boku na bok.

– Nie – odpowiedziała. – Opowiedz mi, co zrobiłaś.

– Poszłam jej szukać, na wrzosowiska – odparła Gillian. – Pomyślałam, że skoro jej nie znaleźli, to musiało dojść do jakiejś pomyłki. Że w jakiś sposób wydostała się z domu. Pomyślałam, że może Barry, opiekun do dziecka, zdążył ją wynieść i zostawić w ogrodzie, zanim dym zrobił się zbyt gęsty, i że ona po prostu gdzieś się oddaliła.

Oczy Gillian błagały Evi, żeby się zgodziła, powiedziała „tak”, że to całkiem prawdopodobne, że być może córeczka wciąż gdzieś tam jest, wałęsa się po okolicy, żywi jagodami, a Gillian musi jej po prostu nadal szukać.

– Na pewno była przerażona tym ogniem – ciągnęła. – Więc pewnie próbowała uciec. Mogła jakoś przejść przez furtkę i odejść ulicą. Więc poszliśmy jej szukać, Pete i ja, i jeszcze kilka innych osób. Całą noc chodziliśmy po wrzosowiskach, wołaliśmy ją. Byłam przekonana, widzi pani, że ona nie może naprawdę nie żyć.

– To też jest zupełnie normalna reakcja – zapewniła Evi. – Nazywa się zaprzeczeniem. Kiedy ludzie doświadczają dużej straty, często z początku nie potrafią tego do siebie dopuścić. Niektórzy lekarze uważają, że to sposób organizmu na obronienie się przed zbyt dużym bólem. Nawet jeśli ludzie rozumieją, że ich ukochana osoba odeszła, serce mówi im co innego. To wcale nierzadkie zjawisko, że pogrążeni w żałobie nawet widują tych, których utracili, słyszą ich głos.

Na chwilę zamilkła. Gillian znów się wyprostowała.

– To się ludziom zdarza, tak? – spytała, nachylając się w stronę Evi. – Widzą i słyszą martwą osobę?

– Tak – potwierdziła Evi. – To dość częste. Tobie też się coś takiego zdarzyło? Czy ty... czy ty widzisz Hayley?

Gillian wolno pokręciła głową.

– Nigdy jej nie widziałam – odparła. Przez sekundę wpatrywała się w Evi. A potem jej twarz się zapadła, wyglądała jak balon, z którego powoli uchodzi powietrze. – Nigdy jej nie widuję – powtórzyła. Znowu sięgnęła po chusteczkę. Pudełko spadło na podłogę, ale zanim to się stało, Gillian zdążyła jeszcze

wyciągnąć z niego garść papierowych listków. Przytknęła je do twarzy. Łzy nadal się nie pojawiały. Możliwe, że już wszystkie wylała.

– Nie spiesz się – rzuciła spokojnie Evi. – Potrzebujesz płaczu. Możesz płakać tak długo, jak zechcesz.

Gillian nie rozplakała się, nie tak naprawdę, ale trzymała chusteczki przy twarzy i pozwalała swojemu wyschniętemu ciału lkać. Evi patrzyła, jak sekundnik zegara okrąży tarczę trzykrotnie.

– Gillian – odezwała się, gdy oceniła, że dała dziewczynie wystarczająco dużo czasu. – Doktor Warrington mówił mi, że wciąż przez kilka godzin dziennie chodzisz po wrzosowiskach. Czy ty nadal szukasz tam Hayley?

Gillian, nie podnosząc wzroku, pokręciła głową.

– Nie wiem, dlaczego to robię – wymamrotała w chusteczkę. – Coś po prostu dzieje mi się nagle w głowie i potem już nie mogę wysiedzieć w domu. Muszę wyjść. Muszę szukać. – Gillian podniosła głowę i jej bladoszare oczy popatrzyły na Evi. – Pomoże mi pani? – spytała, nagle wyglądając na o wiele młodszą, niż była.

– Tak, oczywiście – zapewniła szybko Evi. – Przepiszę ci leki. Antydepresanty, żebyś poczuła się lepiej, i coś, żebyś lepiej spała w nocy. To środki tymczasowe, pomogą ci przełamać ten cykl złego samopoczucia. Rozumiesz, Gillian?

Gillian wpatrywała się w nią jak dziecko, któremu ulżyło, że ktoś dorosły w końcu podjął jakieś kroki zaradcze.

– Widzisz, ból, który czujesz, sprawił, że zachorowało twoje ciało – kontynuowała Evi. – Od trzech lat nie śpisz i nie jesz, tak jak powinnaś. Zbyt dużo pijesz i przemęczasz organizm długimi spacerami po wrzosowiskach.

Gillian dwukrotnie zamrugała. Jej oczy były czerwone i opuchnięte.

– Kiedy już będziesz czuła się trochę lepiej za dnia i normalnie spała w nocy, będziemy mogły zająć się twoim piciem – tłumaczyła Evi. – Skieruję cię do grupy wsparcia. Pomogą ci przejść przez pierwsze tygodnie. Podoba ci się taki plan?

Gillian kiwała głową.

– Będziemy się widywały raz w tygodniu tak długo, jak długo będzie trzeba – dodała Evi. – Kiedy zaczniesz odczuwać poprawę, kiedy poczujesz, że panujesz nad bólem, wtedy będziemy musiały popracować nad tym, byś mogła przystosować swoje życie do tego, co jest teraz.

Oczy Gillian zmętniały. Zmarszczyła brwi na znak niezrozumienia.

– Zanim to wszystko się wydarzyło – wyjaśniała Evi – byłaś żoną i matką. Teraz twoja sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Wiem, że to brzmi okrutnie, ale taka jest

rzeczywistość, z którą musimy się razem zmierzyć. Hayley na zawsze pozostanie częścią twojego życia. Ale w tym momencie ona – jej utrata – to jedyne, o czym myślisz. Musisz odbudować swoje życie, znajdując w nim jednocześnie miejsce dla Hayley.

Cisza. Chusteczki opadły na podłogę, Gillian skrzyżowała ramiona na piersiach. To nie była do końca reakcja, jakiej oczekiwała Evi.

– Gillian?

– Znienawidzi mnie pani za to, co powiem – odezwała się dziewczyna, kręcąc głową. – Ale czasami chciałabym...

– Czego byś chciała, Gillian? – spytała Evi zachęcającym tonem, zarazem uzmysławiając sobie, że po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia spotkania naprawdę nie wie, jak będzie brzmiała odpowiedź dziewczyny.

– Żeby po prostu zostawiła mnie w spokoju.

3

Śpiące dziecko miało miękkie jasne włosy koloru waty cukrowej. Dziewczynka leżała w wózku, spała w pełnym słońcu. Spacerówka była od góry do dołu osłonięta mocno naciągniętą siatką, chroniącą dziecko przed owadami i wszystkim innym, co mogło łązić po ogrodzie. Do pyzatego policzka kleił się wilgotny loczek. Piąstka była przyciśnięta do ust, kciuk sterczał pod kątem prostym, jakby dziewczynka zasnęła, ssąc palec, a potem jakaś myśl we śnie kazała jej go wypluć. Jej brzusek podnosił się i opadał, podnosił się i opadał.

Miała gdzieś około dwóch latek. Nóżki wciąż na tyle pulchne, że pewnie chodziła niezdarnie, usta dopiero uczące się formować słowa. Jej oczy, gdyby były otwarte, wyrażałyby ufną niewinność świeżo narodzonego maleństwa. Dziewczynka nie zdążyła się jeszcze nauczyć, że ludzie potrafią krzywdzić.

W szczelinie między maleńkimi różowymi wargami uformował się bąbelek ze śliny. Zniknął i znowu się ukształtował. Dziecko westchnęło i bąbelek rozprysł się w powietrzu. A towarzyszący temu odgłos zdawał się płynąć przez nieruchomy wrześniowy poranek.

– A, da da da – wymamrotała dziewczynka przez sen.

Była wprost prześliczna. Dokładnie taka jak tamte.

4

Joe poderwał się na i pobiegł, bez zastanowienia, Tom za nim. Obaj chłopcy popędzili po schodach i wbiegli przez otwarte drzwi do kościoła. Tom dostrzegł, że jasnowłosa mężczyzna zbliża się do ołtarza, a potem Joe dał nura za ławkę z tyłu. Tom zrobił to samo.

Kafle posadzki były zakurzone. Pod ławkami Tom widział pajęczyny, jedne pełne, idealnie uformowane, inne rozdarte, obwieszane truchłami dawno zdechłych much. Tapicerowane klęczniki wisały równo na hakach.

– On się modli – szepnął Joe, który wyjrzał znad skraju ławki. Tom podciągnął się w górę. Mężczyzna w krótkich spodenkach klęczał na stopniach przed ołtarzem, łokcie miał wsparte na poręczach, patrzył w górę na duże witrażowe okno we frontowej ścianie kościoła. Faktycznie wyglądał tak, jakby się modlił.

Niespodziewany hałas na zewnątrz sprawił, że Tom obejrzał się. Drzwi kościoła były otwarte, dlatego mógł zauważyć zarys przebiegającej przed wejściem postaci. Jake i jego gang wciąż tam byli, czekali. Nagłe szarpnięcie ściągnęło go w dół, poniżej obrzeża ławki.

– On coś usłyszał – ostrzegł szeptem Joe.

Tomowi nie wydawało się, żeby on i brat narobili jakiegoś hałasu, ale mimo wszystko poczuł ukłucie niepokoju. Gdyby tamten mężczyzna ich nakrył, mógłby ich wyrzucić na zewnątrz, a tam czaili się Jake i reszta. Joe zaryzykował i jeszcze raz wystawił głowę ponad oparcie ławki. Tom zrobił to samo. Facet w szortach nie zmienił pozycji, ale już się nie modlił, to było oczywiste. Głowę miał podniesioną, a ciało usztywnione. Nasłuchiwał. Potem wstał i się odwrócił. Tom i Joe tak szybko przykucnęli, że zderzyli się głowami. No, teraz im się dostanie. Weszli do kościoła bez pozwolenia i praktycznie rzecz biorąc, stłukli szybę w oknie.

– Kto tam jest?! – zawołał mężczyzna, z zaskoczeniem, ale bez gniewu. – Halo!
– Jego głos niósł się na koniec kościoła.

Tom chciał wstać.

– Nie! – syknął jego brat, przywierając do niego. – Jemu nie chodzi o nas.

– Oczywiście, że o nas – odsyknął Tom. – Nikogo innego tu nie ma.

Joe nie odpowiedział, tylko ostrożnie wysunął głowę, jak żołnierz wyglądający z okopów. Spojrzał w dół i dał znać Tomowi, żeby zrobił to samo co on. Mężczyzna w krótkich spodniach szedł wolno ku drzwiom po prawej stronie ołtarza. Złapał za klamkę, otworzył drzwi, a potem stanął w progu, zaglądając do wewnątrz pomieszczenia.

– Wiem, że tu jesteś! – zawołał, jak rodzic bawiący się z dzieckiem w chowanego. Pochodził z północy, ale nie z Lancashire czy Yorkshire. Gdzieś z dalszej północy, zgadywał Tom, może z Newcastle.

Tom podniósł ręce i zrobił do Joego tę swoją minę mówiącą: „No co?”. W kościele znajdowały się trzy osoby, a oni byli dwiema z nich.

– Zamierzasz się pokazać i przywitać? – pytał mężczyzna głosem, którego ton, jak Tom się domyślał, miał sugerować, że mężczyźni nie zależy, jak będzie, jednak nie wyszło mu to za dobrze. Był zdenerwowany. – Za minutę będę zamykał – ciągnął. – A naprawdę nie mogę tego zrobić, skoro gdzieś się tu ukrywasz. – Potem spojrzał na przeciwną stronę budynku. – To już nie jest zabawne, ludzie – mamrotał, przechodząc szybko na drugą część kościoła i znikając za organami. Była to szansa dla chłopców. Tom pociągnął Joego za rękę. Wyszli do nawy i w tej samej chwili w głównym wejściu pojawił się Billy Aspin z szerokim uśmiechem. Tom złapał Joego i zaciągnął z powrotem za ławkę.

– Witam – rozległ się nad ich głowami głos z charakterystycznym akcentem z Newcastle. Mężczyzna w krótkich spodniach stał przed ławką i patrzył na nich z góry.

– Cześć – odpowiedział Joe. – Znalazł ją pan?

Mężczyzna w spodniach zmarszczył czoło.

– W jaki sposób udało wam się przejść z zakrystii za organy i z powrotem tak, że was nie widziałem? – spytał.

– Myśmy tu byli cały czas – odpowiedział Tom.

– Widzieliśmy, jak się pan modlił – dodał Joe, trochę takim tonem, jakiego mógłby użyć, gdyby zobaczył kogoś sikającego za ołtarzem.

– No proszę, proszę – wymamrotał kpiąco mężczyzna. – A gdzie wy, chłopcy, mieszkacie?

Tom chwilę się zastanawiał, czy jest jakaś szansa, żeby mogli uniknąć odpowiedzi na pytanie. Mężczyzna stał między nimi a drzwiami, ale gdyby tak dać nura w bok...

– Zaraz obok – odparł Joe. – W tym nowym domu – dodał, jakby już i tak nie wyraził się dostatecznie jasno.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Muszę zamknąć kościół – oznajmił. – Chodźcie ze mną.

– Ale jak to możliwe, że pan ma klucz? – zaciekawiał się Joe, który odsunął się zbyt daleko, żeby Tom mógł go szturchnąć. – Tylko pastor może mieć klucz. Dostał go pan od niego?

– Dostałem od arcydiakona. No dobra, zanim zamknę, jest tu was więcej, nie tylko wy?

– Niemożliwe – odparł Tom. – Weszliśmy zaraz za panem. Bawiliśmy się w eee... w chowanego z kolegami na zewnątrz. Za nami nikt więcej już tu nie wchodził.

Nieznajomy mężczyzna kiwnął głową.

– W porządku – rzucił. – W takim razie wychodzimy.

Pomachał rękoma w stronę drzwi, dając znać, żeby Tom i Joe poszli pierwsi. Tom ruszył przed siebie. Na razie było dobrze. Jake i reszta nie będą mieli odwagi nic zrobić, jeśli on i Joe pokażą się z dorosłym. A ten nieznajomy nie zauważył stłuczonej...

– Tom, twoja piłka! – zawołał Joe i odbiegł na bok. Tom zamknął oczy i przeprowadził z Bogiem prywatną rozmowę o tym, czy młodszy bracia naprawdę są konieczni.

Kiedy znowu otworzył oczy, Joe wy dostał piłkę spomiędzy potłuczonego szkła, zaś brwi mężczyzny w szortach zniknęły we włosach na czole. Wyciągnął rękę, domagając się oddania mu piłki. Tom otworzył usta i znowu je zamknął. No bo czy był sens cokolwiek mówić?

– Kim był tamten chłopak z ogoloną głową? – spytał mężczyzna w szortach. – Ten, który, kiedy podjeżdżałem, stał na murze?

– Jake Knowles – odpowiedział Joe. – Chodzi z Tomem do jednej klasy i Tom ma ciągle przez niego problemy. Oni strzelali w nas kamieniami z procy, a potem Jake zwędził kij Toma.

– No, proszę bardzo.

– I teraz oni na nas czekają na zewnątrz.

– Och, tak?

– Pobią nas, kiedy wyjdziemy. To debile.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – spytał mężczyzna, a Tom nawet nie próbował

dać znać Joemu, że naprawdę lepiej byłoby, gdyby nie...

– Joe Fletcher – odparł Joe. – A on to Tom. Ja mam sześć lat, on dziesięć, Millie dwa, tata trzydzieści sześć, a mama...

– Już dobrze, dobrze, kolego. – Mężczyzna w szortach miał minę, jakby uważał Joego za niesamowicie zabawnego. Powinien trochę z nim pomieszkać, wtedy by zobaczył. – Chodźmy, zamkniemy kościół.

5

Evi stała przy oknie i ciężko oddychając, czekała, aż kombinacja paracetamolu i ibuprofenu zadziała. Jej gabinet mieścił się na drugim piętrze, okna wychodziły bezpośrednio na oddział ratunkowy szpitala. Na jej oczach w zatoczce zatrzymała się karetka, z której wyskoczyli sanitariusze, a następnie kierowca. Otworzyli drzwi z tyłu i zaczęli wyciągać nosze.

Wdech i wydech. Środki przeciwbólowe pomogą, zawsze pomagają. Po prostu w niektóre dni trwało to nieco dłużej. Przed szpitalem po drugiej stronie ulicy znajdował się kompleks handlowy. Parking supermarketu był już prawie cały zajęty. Piątek rano. Ludzie robili zakupy na weekend. Evi na sekundę przymknęła oczy, potem podniosła głowę i ponad dachami i biurowcami popatrzyła w dal. Duże północne miasto, w którym pracowała przez większość dni, leżało w szerokiej dolinie. Po obu stronach ciągnęły się wrzosowiska. Jakiś ptak po poderwaniu się z parapetu okna mógłby w linii prostej dolecieć do najbliższego szczytu oddalonego od szpitala jakieś sześć, siedem kilometrów. Stamtąd ptak mógłby oglądać całe wrzosowiska, na których Gillian Royle spędzała większą część każdego ze swoich dni. Evi odwróciła się do biurka. Do przyścia następnego pacjenta został kwadrans.

Notatkę z sesji z Gillian zdążyła spisać, jeszcze zanim wzięła proszki przeciwbólowe. Każdego dnia starała się rozciągnąć czas między ich zażyciem o kolejne pięć minut. Po powrocie do biurka wygooglowała w sieci stronę „Lancashire Telegraph”. Szybko udało jej się znaleźć artykuł, o który jej chodziło.

Miasteczko Heptonclough jest w szoku w następstwie pożaru domu przy Wite Lane sprzed trzech dni. Mieszkaniec miasteczka, Stanley Hargreaves, stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział aż tak potężnego ognia. „Nie dało się tam podejść” – opowiadał reporterowi gazety. – „Gdybyśmy mogli, uratowalibyśmy tę małą dziewczynkę”.

W opisie zdarzenia można było przeczytać, że biorący udział w gaszeniu pożaru strażacy wciąż jeszcze badają miejsce wypadku, mówi się jednak o tym, że ogień

mógł wywołać pozostawiony włączony palnik gazowy w kuchence. Butelki z olejem stojące przy kuchence zadziałały jak benzyna. Kamienny dom, jeden z najstarszych budynków w Heptonclough, stał w pewnym oddaleniu od głównej części miasteczka i nikt nie zauważył płomieni, aż było za późno na opanowanie ognia. Końcowy akapit artykułu w „Telegraph” brzmiał:

Barry Robinson, lat czternaście, który dorabiał u rodziny jako opiekun do dziecka, przebywa obecnie w szpitalu, do którego trafił po tym, jak strażacy znaleźli go nieprzytomnego w ogródku. Pomimo że chłopiec nawdychał się dymu, lekarze są zdania, że powróci do pełnego zdrowia. Jego rodzice powiedzieli, że syn nie pamięta ani chwili wybuchu pożaru, ani tego, że uciekł z domu.

Evi usłyszała dzwonek telefonu. Przyszedł kolejny pacjent.

6

Gdzie wy obaj byliście? Wołamy was z Millie od dziesięciu minut.

Kobieta na schodkach nie była dużo wyższa od starszego syna i nawet w luźnej bluzce i dżinsach nie wyglądała na o wiele od niego masywniejszą. Miała kręcone jasne włosy w odcieniu turkusowym, sięgające ramion, i duże turkusowe oczy. Gdy te oczy przeniosły się od synów do Harry'ego, z zaskoczenia otworzyły się one nieco szerzej.

– Dzień dobry – rzuciła.

– Dobry – wymamrotała mała pyzata dziewczynka siedząca na biodrze matki i trąca oczy, jakby dopiero obudziła się z drzemki. Jej włosy miały dokładnie taki sam odcień ciepłego blondu jak włosy matki, czupryna starszego syna, Toma, była bardzo jasna, a jego brata błyszcząca i ciemnoruda. Za to wszyscy, cała czwórka, mieli bardzo jasną karnację i byli piegowaci.

– Cześć – odpowiedział Harry, puszczając oko do małej dziewczynki, zanim zwrócił się do jej matki. – Dzień dobry – kontynuował. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale znalazłem tę dwójkę w kościele. Ukrywali się tam. Zdaje się, że mają jakieś problemy z grupą starszych chłopców. Pomyślałem więc, że będzie lepiej, jak odstawię ich bezpiecznie do domu.

Kobieta, teraz już ze spochmurniałą miną, popatrzyła od jednego syna do drugiego.

– Nic się nikomu nie stało? – spytała.

– Strzelali do nas z procy kamieniami, a potem uciekli, kiedy usłyszeli Harry'ego. To jest Harry – powiedział Joe. – On się modlił w kościele. Widzieliśmy go.

– Cóż, do tego służy kościół, jak mniemam – mruknęła kobieta. – Miło mi poznać, Harry, i dziękuję. Nazywam się Alice Fletcher. Może wstąpi pan na... kawę? Zakładam, że nie jest pan psychopatą. Bo jeśli tak, to prawdopodobnie powinnam podać panu kawę na schodach, a nie w środku.

– Jestem pastorem – wyjaśnił Harry, który czuł, że twarz mu płonie, tak jak to się

działo zwykle, gdy rozmawiał z ładną kobietą. – Raczej nie bywamy psychopatami – dodał. – Arcybiskup nas do tego nie zachęca.

– Pastor? – zdziwiła się Alice. – Nasz pastor, to ma pan na myśli? Ten nowy?

– Tak, to ja.

– Pan nie może być pastorem – sprzeciwił się Joe.

– A czemu nie?

– Bo pastory nie chodzą w krótkich spodniach – wyjaśnił chłopiec. – I są naprawdę starzy. Jak dziadkowie.

Harry uśmiechnął się szeroko.

– Cóż, nad spodenkami pewnie mogę popracować – odrzekł. – Resztę trzeba zostawić czasowi. Czy pastory muszą pić kawę na stopniach, czy mogą w domu?

Alice też gapiła się na Harry'ego, jakby ona również nie do końca mogła uwierzyć, ale była odrobinę bardziej uprzejma niż młodszy z jej synów. Cofnęła się, żeby Harry i chłopcy mogli wejść do środka, po czym zamknęła za nimi drzwi, a Joe i Tom, zrzucając po drodze trampki, poprowadzili gościa długim korytarzem.

– Kto to jest psychopata? – usłyszał Harry szept Joego, kiedy chłopcy otwierali drzwi na końcu korytarza.

– Jake Knowles, jak dorośnie – odpowiedział Tom, podrywając brata w górę.

Alice i Harry weszli za chłopcami do kuchni, Millie zaczęła się wiercić, chcąc, żeby matka postawiła ją na podłodze. Kiedy tak się stało, dziewczynka potuptała do braci. Joe, nadal trzymany przez Toma, ścisnął w dłoniach dużą puszkę z ciastkami.

– Cia, cia – zagruchała Millie, sprawiająca wrażenie zadziwiająco rezolutnej jak na tak małe dziecko.

Alice zaprosiła Harry'ego gestem, aby usiadł przy stole, po czym podeszła do czajnika, potrząsnęła nim, sprawdzając, czy jest w nim woda, i włączyła go. Na stole leżały pozostałości po śniadaniu, przy zlewie piętrzył się stosik brudnych talerzy i garnków.

– Nie jest pan z tych okolic – zagaiła Alice, wsypując mieloną kawę do kawiarki.

– Patrzcie, kto to mówi – odparł Harry. Akcent kobiety przywodził mu na myśl syrop miętowy i pełne najróżniejszych woni powietrze, upał tak silny, że aż zdający się być ciałem stałym. – Proszę pozwolić, że zgadnę. Teksas?

Poruszenie za plecami kazało się Harry'emu obejrzeć do tyłu. Millie żuła piernik, wpatrując się zarazem chciwie w paluszek czekoladowy w dłoni Joego.

– Pomylił się pan o kilka stanów. Pochodzę z Memphis w Tennessee – powiedziała Alice, pokazując na cukiernicę. Harry pokręcił głową. Po jego prawej

Joe jeden koniec paluszka wsadził sobie do ust, pochylił się i resztę ciastka zaoferował siostrze. Dziewczynka złapała drugi koniec i zaczęła go gryźć, jej brat robił to samo. Skończyli całusem i salwą chichotów.

– Już dosyć, moi mili. Niedługo będzie lunch – rzuciła Alice do dzieci, nie odwracając się do nich. Harry zobaczył, że chłopcy wymieniają się spojrzeniami, po czym Joe wetknął sobie do kieszeni trzy paluszki czekoladowe i jeden pierniczek i szybko ewakuował się z kuchni. Millie, której powierzono herbatniki, upchnęła je sobie za dekoltem sukienki i odprowadzana wzrokiem starszego brata uśmiechającego się z dumą, również wyszła, kołysząc się na boki na pulchnych nóżkach. Tom też wepchnął garść ciastek do kieszeni, potem zauważył, że Harry to widzi. Jego twarz lekko się zaróżowiła, gdy spoglądał to na gościa, to na matkę.

– Idziemy tylko do salonu – oznajmił.

– W porządku, ale najpierw proszę o zwrot wszystkich słodyczy – odpowiedziała Alice, wyciągając rękę. Tom rzucił ostatnie spojrzenie w stronę Harry’ego, który współczująco wzruszył ramionami, zanim oddał łup i czmychnął.

Przez chwilę było cicho. Kuchnia bez dzieci wydawała się pusta. Alice postawiła na stole kubki, cukiernicę i butelkę mleka.

– Długo tu mieszkacie? – zapytał Harry, wiedząc jednak, że tak nie mogło być. Było widać, że dom jest nowy.

– Trzy miesiące – odparła Alice. Odwróciła się od Harry’ego i zaczęła ładować do zmywarki brudne naczynia.

– I dobrze wam tu? – pytał dalej.

Alice załadowała zmywarę i schyliła się do szafki pod zlewem, z której wyciągnęła jakąś szmatkę i środek odkażający w spreju. Przepłukała ściereczkę pod kranem i zabrała się do czyszczenia blatów. Harry’emu przemknęło przez myśl, że może, mimo zaproponowanej kawy, jego obecność nie jest tu jednak mile widziana.

– Takie rzeczy zajmują czas – odparła Alice po chwili, przyniosła kawę do stołu i usiadła. – Zamieszka pastor tutaj, w naszym miasteczku?

Pokręcił głową.

– Nie, plebania jest kilka kilometrów stąd. W Goodshaw Bridge – odparł. – Pod opieką mam trzy parafie. Ta jest najmniejsza. I prawdopodobnie będzie największym wyzwaniem, biorąc pod uwagę fakt, że przez kilka lat tutejszy kościół był nieczynny. Jak pani myśli, miejscowi będą życzliwie nastawieni?

Kolejna pauza. Zdecydowanie krępująca. Alice nalała kawy i przepchnęła mleko

w stronę Harry'ego.

– A więc kościół znowu się otwiera – mruknęła, kiedy Harry nalewał sobie mleka. – Pewnie dla miasteczka to dobrze. My raczej rzadko chodzimy do kościoła, ale to się zmieni, skoro mieszkamy tak blisko, no i w ogóle. Kiedy rozpoczynacie działalność?

– Za kilka tygodni – odpowiedział Harry. – W przyszły czwartek dostanę oficjalny przydział do probostwa u Świętej Marii w Goodshaw Bridge. Byłoby wspaniale zobaczyć tam panią z całą rodziną.

Alice bez przekonania skinęła głową, potem znowu zapadła cisza. Harry zdecydowanie czuł się coraz bardziej nieswojo.

– Było wiele głosów sprzeciwu wobec naszego się tutaj sprowadzenia – oznajmiła w końcu kobieta, prostując się na krześle. – Ten dom to pierwszy nowy budynek w miasteczku od ponad dwudziestu lat. Właścicielami większości ziemi i wielu domów tutaj jest rodzina Renshaw, i to zdaje się ona decyduje o tym, kto się tu może osiedlić, a kto nie.

Z jakiejś innej części domu przypląnęły do nich podniesione głosy i wysoki pisk Millie.

– Moim kościelnym jest tutaj mężczyzna o nazwisku Renshaw – poinformował Harry. – Był w składzie komisji rekrutacyjnej.

Alice kiwnęła głową.

– To pewnie Sinclair – mruknęła. – Mieszka w tym dużym domu po drugiej stronie terenów kościelnych z najstarszą córką i ze swoim ojcem. Stary pan Tobiasz wpadł do nas wczoraj i został na kawie. Chyba bardzo polubił nasze dzieci. Jenny, młodsza córka, przedstawiła się nam na pocztce kilka tygodni temu i zapewniała, że też chce nas odwiedzić. Jak powiedziałam, te sprawy wymagają czasu.

Kolejne chichoty w pokoju obok.

– To mąż? – spytał Harry, pokazując na zdjęcie na parapecie za Alice. Przedstawiało przystojnego trzydziestokilkuletniego mężczyznę w kowbojskim kapeluszu na ciemnych włosach. Mężczyzna miał na sobie niebieskie polo, tego samego koloru co jego oczy.

Alice potwierdziła skinieniem głowy.

– To było jego marzenie od wielu lat – wyjawiała. – Postawienie dla nas domu w takim miejscu jak to, hodowanie drobiu, ogródek warzywny. Oczywiście przez większość czasu go tu nie ma...

Przerwało jej czyjeś ostre pukanie do drzwi frontowych. Mamrocząc

przeprosiny, wyszła z kuchni. Harry zerknął na zegarek. Usłyszał tupanie małych stópek i sekundę później w kuchni ponownie pojawiła się Millie, ciągnąca za sobą czerwoną kaczkę na patyku. Zaczęła krążyć z nią wokół stołu, Harry zaś usłyszał, że Alice otworzyła drzwi frontowe. Dopił kawę i wstał. Naprawdę musi się już zbierać.

– Alice, cześć. Od wieków się zbierałam, żeby wpaść. Ale może przysłam nie w porę? – Głos kobiety był lekki i czysty, bez śladu akcentu. Harry, jeszcze zanim dotarł do drzwi kuchni i mógł zobaczyć, co się dzieje na końcu korytarza, wiedział, że właścicielka głosu będzie młoda, po prywatnej edukacji i prawdopodobnie raczej ładna, może tylko z lekko końską twarzą. Stała tuż za progiem. Zgadzało się wszystko.

– Czy ty i Gareth macie przyszły piątek wolny? – pytała dalej kobieta. – Bo zapraszamy do siebie kilka osób na kolację.

Blond włosy nieznajomej musiały być naturalne, tyle w nich było odcieni i rozświetlonych pasm. Opadały do ramion, na czubku przytrzymały je drogie okulary. Twarz miała jak posąg z alabastru drobna, śliczna Alice wyglądała przy niej jak lalka.

– Byłoby wspaniale, gdybyście do nas dołączyli – dodała kobieta, przybierając błagalną minę, było jednak oczywiste, że nie spodziewała się odmowy.

Kiedy Harry przemierzał korytarz, przyszykowany do tego, aby przeprosić i wyjść, z pokoju z boku wyłonili się chłopcy.

Nowo przybyła miała na sobie dzinsy i kremową lnianą koszulę. Strój był swobodny, ale rzeczy wyglądały na drogie. Zanim Alice zdążyła odpowiedzieć, kobieta zauważyła Harry'ego i jej usta wykrzywił grymas rozbawienia.

– Cześć – rzuciła, a Harry poczuł, że się czerwieni.

– Jenny, poznaj, to Harry. Nasz nowy pastor – odezwała się Alice. – Joe już zdążył go pouczyć, jakiego stylu ubierania oczekuje się w tych okolicach od duchownych. Harry, proszę pozwolić sobie przedstawić, Jenny Pickup. Jenny i jej mąż mają farmę kilka kilometrów za miastem.

– Wielebny Laycock? – powiedziała Jenny, wyciągając rękę. – Tak się cieszę. Już myśleliśmy, że się pan nie pojawi. Tata od godziny pana wypatruje.

Harry uścisnął dłoń kobiety.

– Tata? – powtórzył.

– Sinclair Renshaw – wyjaśniła, puszczając jego rękę i wtykając własną do kieszeni dzinsów. – Pański kościelny. Wiedzieliśmy, że ma pan przyjechać dziś

rano, i sądziliśmy, że nas pan odwiedzi.

Harry zerknął na zegarek. Czy umawiał się na jakąś określoną godzinę z kościelnym? Nie wydawało mu się. Zostawił tylko wiadomość, że przyjeżdża późnym rankiem i że zajrzy do kościoła.

– Ho, ho, o wilku mowa! – zakrzyknęła kobieta, wyglądając na zewnątrz przez otwarte drzwi frontowe. – Oto i on, tata. Patrz, tato, znalazłam go.

Harry, ze wzrostem metr osiemdziesiąt i trochę, musiał zadrzeć głowę, aby spojrzeć w twarz przekraczającemu próg mężczyźnie. Sinclair Renshaw dobijał siedemdziesiątki. Gęste siwe włosy opadały mu na czoło, prawie zasłaniając bardzo ciemne brwi. Miał brązowe oczy za eleganckimi okularami i był ubrany jak angielski dżentelmen z kolorowych magazynów, w różne odcienie zieleni, brązów i beżu. Skinął głową Harry'emu, a potem odwrócił się do Alice, która przy wysokich ojcu i córce wyglądała niemal jak karlica.

– Obawiam się, że w kościele doszło do poważnego aktu wandalizmu – oznajmił, mówiąc do Alice, ale zerkając przy tym na Harry'ego. – Jedno z okien zostało wybite. Widziano tam dzisiaj pani synów, pani Fletcher. Jak grali w krykieta.

– W bejsbol – poprawił grzecznie Joe.

Twarc Alice była jak wyryta w kamieniu, kiedy się odwracała, żeby popatrzeć na Toma.

– Co się stało? – spytała.

– Ja widziałem to stłuczenie szyby – wtrącił się Harry. – I chłopca, który to zrobił. To był jakiś Jack, John...? – Szukając pomocy, spojrzął na Toma.

– Jake! – zawołał Joe. – Jake Knowles!

– Stał na murze, kiedy podjeżdżałem – ciągnął Harry. – Widziałem, jak zamachnął się kijem i posłał piłkę w okno. Zamierzam porozmawiać o tym z jego rodzicami.

Renshaw przez chwilę przyglądał się Harry'emu. Chłopców kompletnie zignorował.

– Proszę się nie trudzić – oznajmił w końcu. – Ja się tym zajmę. Przepraszam, że zakłóciłem spokój, pani Fletcher. – Skinął głową w stronę Alice, potem zwrócił się do Harry'ego. – Przykro mi, że przeoczyłem pańską wizytę dziś rano, pastorze. Ale zapraszam, niedługo będziemy jedli lunch. – Potem odszedł podjazdem i gdy go pokonał, skręcił, żeby wspiąć się na wzgórze.

Po wydobyciu z Alice obietnicy, że ona i mąż przyjdą na kolację w

nadchodzącym tygodniu, Jenny wsiadła do swojego range rovera i odjechała. Dzieci znowu zniknęły.

– Ja już naprawdę muszę się zbierać – rzucił przepraszająco Harry. – Za kwadrans mam się z kimś spotkać na plebanii. Miło było was wszystkich poznać.

Alice się uśmiechnęła.

– Nam też, pastorze. Do zobaczenia w przyszły czwartek.

11 września

Evi skrzywiła się. Ktoś pożyczył jej fotel i zmienił wysokość. Przez to pochylała się nad biurkiem pod dziwnym kątem, co skutkowało nadmiernym uciskiem na uszkodzony nerw. Spojrzała na zegarek. Za pół godziny powinna stawić się w sądzie. Poprawi wysokość fotela, gdy wróci.

Zastanawiając się, czy czegoś w nim nie przeoczyła, otworzyła artykuł, który w zeszłym tygodniu skopiowała ze strony „Telegraphu”. Gillian Royle właśnie od niej wyszła, po drugim z kolei spotkaniu. Z pozoru wszystko wskazywało, że zaszła pewna poprawa. Gillian zażywała przepisane leki, zdążyła już zauważyć różnicę w jakości snu, który się polepszył, była na pierwszym spotkaniu Anonimowych Alkoholików. Twierdziła nawet, że próbuje jeść. Mnóstwo pozycji do odhaczenia. Ale Evi mimo wszystko miała wrażenie, że coś nie jest do końca w porządku.

Od momentu uzyskania dyplomu psychiatry Evi pracowała z wieloma pacjentami usiłującymi pogodzić się ze stratą. Prowadziła kilka par rodziców, którzy stracili dzieci. Gillian Royle jednak to było coś nowego. W głowie kobiety działało się coś więcej niż rozpacz po stracie córki. Po dwóch sesjach Evi była o tym przekonana. Ból Gillian był zbyt świeży, zbyt intensywny, jak stale podsycany ogień. Potworna alegoria w tych okolicznościach, ale coś wciąż stało Gillian na drodze do uzdrowienia i nie pozwalało jej ruszyć z miejsca i iść dalej.

Evi zbyt często bywała okłamywana; wiedziała, kiedy pacjent nie mówi prawdy; wiedziała również, kiedy ktoś nie mówi wszystkiego.

Jeszcze raz przeczytała artykuł z gazety.

Miasteczko Heptonclough jest w szoku...

Ten urywek czytała kilka razy, nic nowego jednak nie znalazła...

Ogień mógł wywołać włączony palnik gazowy w kuchence...

Jeśli to Gillian zostawiła włączony gaz, formalnie pożar wybuchł z jej winy.

Czyżby torturowała się wyrzutami sumienia?

W trakcie ostatniej godziny z Gillian, stosując standardową procedurę, Evi pokierowała dziewczynę ku rozmowie o jej dzieciństwie. Nie wypadło to dobrze. Evi wyczuła, że istniało jakieś napięcie w relacji z matką, i zastanawiała się, czy brak rodzicielskiego wsparcia mógł się przyczynić do załamania się Gillian w następstwie śmierci Hayley. Gillian mówiła trochę o zmarłym ojcu, którego ledwie pamiętała, wspomniała również ojczyma, który pojawił się kilka lat później. Evi powróciła do artykułu na ekranie komputera.

Do tej ostatniej tragedii doszło zaledwie w trzy lata po zaginięciu innego dziecka z Heptonclough, Megan...

Relacja w gazecie przeszła do innego incydentu, więc Evi zamknęła stronę.

Im bardziej próbowała dowiedzieć się od Gillian czegoś o jej dzieciństwie, tym bardziej dziewczyna się denerwowała, aż ostatecznie stanowczo oznajmiła, że nie będzie więcej o tym mówiła. Co samo w sobie było interesujące. Evi była zdania, że tak ostry stan jak stan Gillian rzadko miewa pojedynczą przyczynę. To, co często jest postrzegane jako przyczyna pierwotna – w tym wypadku strata dziecka – niejednokrotnie jest tylko wyzwalaczem; ostatnią kroplą w łańcuchu zdarzeń i okoliczności. Evi przeczuwała, że jej pacjentka może mieć jeszcze wiele tajemnic.

8

Joe!

Było piątkowe popołudnie i chłopcy dopiero niedawno wrócili ze szkoły. Ogólnie rzecz biorąc, miniony tydzień wcale nie był aż tak zły, jak można się było tego obawiać. Dzięki Harry'emu, temu nowemu pastorowi, Jake Knowles dostał porządną burę za wybicie okna w kościele i, przynajmniej na razie, zostawił Toma w spokoju.

Tom łąził po pokojach na parterze, zastanawiając się, gdzie jest Joe i czy zdoła namówić brata, żeby stanął na bramce, tak żeby Tom mógł poćwiczyć strzelanie goli. Słyszając głosy wpływające przez otwarte drzwi na tyłach domu, Tom podciągnął się na blat szafki i zobaczył, że jego brat siedzi na murze między ich ogrodem a cmentarzem. Wyglądał, jakby rozmawiał z kimś po drugiej stronie. Tom zabrał piłkę i wyszedł na dwór.

– Orientuj się, Joe! – krzyknął z progu i kopnął piłkę w kierunku brata. Joe spojrzał w górę, zaskoczony, gdy piłka przeleciała mu nad głową i zniknęła na cmentarzu za murem.

Tom podbiegł do niego i podskoczył. Mur był wysoki, ale stary, wybrzuszał się na dole na stronę ogrodu Fletcherów. Niektórych kamieni brakowało, otwory przez nie pozostawione były poręcznymi podpórkami dla rąk i stóp. Mimo to Tom jeszcze nigdy nie widział, żeby Joe wdrapał się na mur o własnych siłach.

Kiedy już Tom stanął na szczycie, uświadomił sobie, że on i brat znajdują się bezpośrednio nad grobem Lucy Pickup, tym, który tak zainteresował Joego w zeszłym tygodniu.

– Z kim rozmawiałeś? – spytał.

Joe szeroko otworzył oczy i spojrzał w dół na cmentarz. Popatrzył w lewo, popatrzył w prawo, a potem znów na Toma.

– Z nikim, przecież nikogo tu nie ma – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– Ale ja słyszałem – upierał się Tom. Pokazał na okno w kuchni. – Widziałem cię stamtąd. Wyglądałeś, jakbyś z kimś rozmawiał.

Joe jeszcze raz odwrócił się w stronę cmentarza.

– Nikogo tu nie ma – powtórzył.

Tom poddał się. Jeśli jego brat chce mieć zmyślonego przyjaciela, co mu do tego?

– Chcesz pograć w bramkarza i napastnika? – zapytał.

Joe kiwnął głową.

– Okej – zgodził się. Potem jego usta wygięły się i ułożyły w przebiegły uśmiezek. – Tylko gdzie jest piłka?

Dobre pytanie. Piłka zniknęła.

– Kurde – wymamrotał Tom, częściowo dlatego, że wiedział, że nie mają drugiej, a częściowo, bo zdawał sobie sprawę, że to będzie pierwszy raz, gdy wejdą na teren cmentarza od tamtego razu, kiedy zostali napadnięci przez Jake'a Knowlesa i jego gang. – Chodź – rzucił niechętnie. – Musimy zejść i poszukać jej.

Tom zeskoczył na dół. Piłka nie mogła polecieć daleko.

Cóż, najwyraźniej nie znał siły własnego wykopu, bo nigdzie nie mogli jej wypatrzyć. Tom prowadził, Joe szedł za nim, nucąc cicho pod nosem.

– Tom, Joe! Podwieczorek!

– Kurde – powtórzył Tom, przyspieszając. Mieli najwyżej pięć minut, zanim matka zacznie się wściekać. – Nie widziałeś, gdzie poleciała? – spytał brata.

– Tom, Joe!

Tom się zatrzymał. Odwrócił się, żeby popatrzeć na mur, z którego przed chwilą zeskoczyli. Był w odległości około dwudziestu metrów. Matka stoi pewnie w drzwiach z tyłu domu. Ale jeśli tak, to dlaczego jej głos dobiega z kierunku niedużej kępy krzaków wawrzynu po przeciwnej stronie?

Tom uważnie przyjrzał się krzakom. Nie wyglądało, żeby się poruszały.

– Tom! Gdzie jesteś?

To na pewno była mama, głos przypląwał z właściwego kierunku, brzmiał stu procentowo normalnie, i teraz już słyhać w nim było narastający gniew.

– Tom. – Łagodniejszy głos, cichszy, chociaż nadal brzmiący straszliwie podobnie do głosu matki.

– Słyszałeś to? – Tom odwrócił się do brata. Joe gapił się na krzaki wawrzynu. – Joe, czy w tych krzakach ktoś jest? Ktoś udający mamę?

– Tom, Joe, wracajcie tutaj!

– Idziemy! – krzyknął Tom. Nie zastanawiając się dłużej, chwycił Joego za rękę i pociągnął z powrotem pod mur. Wskoczył na niego, odwrócił się, gotowy

krzyknąć, bo po prostu wiedział, że coś przerażającego szło za nimi, szykowało się, żeby się na nich rzucić.

Cmentarz był pusty. Nie patrząc w dół, Tom podał rękę bratu i wciągnął go na górę.

– Och, dobrze, żeście się pokazali. A teraz chodźcie do środka umyć ręce.

Tom zaryzykował i spojrział szybko w kierunku domu. Tak, to była mama z Millie uczeptioną jej nogi. Mama z desperacją pokręciła głową i wróciła do domu. Tom zanotował, że jego oddech zaczął zwalniać. To było tylko echo, nic więcej. Te stare nagrobki tak robią, że tutaj echo brzmi tak dziwnie.

Kiedy pomagał bratu zeskoczyć do ogródka, zauważył, że Joe znowu się uśmiecha. Odwrócił się. I zobaczył piłkę. Leżała na środku ogródka.

– Jak to możliwe?

Joe nie patrzył na niego, tylko bezpośrednio na okno kuchenne. Tom też tam spojrział, spodziewając się, że ujrzy Millie siedzącą na blacie i machającą do nich.

Jezu, to nie była twarz Millie. Kto, do diabła, był w kuchni? Wyglądał trochę jak dziecko z długimi włosami, tylko że z jego twarzą było coś naprawdę nie tak. Potem Tom się zorientował, że patrzy na odbicie, że to dziecko – dziewczynka – które widzi, było za nimi, podglądało jego i Joego sponad muru. Szybko się odwrócił. Nic. Znow spojrział na okno w kuchni. Odbicie zniknęło.

Pokręcił głową, przemierzył ogródek i podniósł piłkę. Już nie chciało mu się grać w bramkarzy i napastników. Chciał wrócić do domu i zamknąć za sobą drzwi. W sieni na sekundę się zatrzymał, żeby odzyskać oddech i zastanowić nad tym, co się właśnie wydarzyło.

Jego braciszek znalazł sobie całkiem niezłego zmyślonego przyjaciela, takiego, którego Tom też mógł widzieć.

Mogę cię o coś zapytać? – spytała Gillian.

– Naturalnie – zgodziła się Evi.

– Poznałam pewną kobietę, jest nowa w miasteczku, ale całkiem długo ze sobą rozmawialiśmy i ona była zaskoczona, że nie urządziłam pogrzebu dla Hayley. Mówiła, że pogrzeby – albo jeśli nie ma zwłok, nabożeństwo żałobne – dają ludziom szansę na odbycie żałoby, na właściwe pożegnanie się.

– No cóż, ta kobieta ma rację – ostrożnie przyznała Evi. – Zwykle pogrzeb to ważna część procesu żałoby.

– Ale ja go nie urządziłam – przypomniała Gillian, nachylając się do przodu. – I może to dlatego nie potrafię ruszyć z miejsca, dlatego nadal... Ta kobieta, Alice, powiedziała, że powinnam rozważyć mszę żałobną za Hayley. Radziła, żebym porozmawiała o tym z tym nowym pastorem. Co pani o tym sądzi?

– Myślę, że to może być bardzo dobry pomysł – odpowiedziała Evi. – Ale uważam, że ważny jest też właściwy moment. To będzie dla ciebie bardzo emocjonalne doświadczenie. Zrobiłaś dopiero kilka pierwszych kroków w procesie leczenia. Musimy uważać, żeby nie zrobić czegoś, co cię cofnie.

Gillian pokiwała głową, ale mina na jej twarzy wyrażała rozczarowanie tym, że Evi nie zachwyciły jej plany.

– Jest jeszcze bardzo wcześnie – szybko dodała Evi. – Myślę, że nabożeństwo żałobne to coś, nad czym warto się zastanowić, ale może nie należy się spieszyć z realizacją tego pomysłu. Porozmawiamy o tym ponownie w przyszłym tygodniu, dobrze?

Gillian westchnęła i wzruszyła wychudzonymi ramionami.

– Okej – zgodziła się, ale wyglądała, jakby nagle uszła z niej para.

– Czyli zawarłaś nową znajomość? – zagaiła Evi. – Z Alice, tak?

Gillian skinęła głową, nieco się rozchmurzając.

– Z rodziną wybudowała nowy dom tuż obok starego kościoła – wyjaśniła. – Ludzie chyba nie chcieli, żeby ci nowi się tam pobudowali, ale Alice wydaje się miła. Chce mnie namalować. Mówi, że mam niezwykłą twarz.

Evi kiwnęła głową.

– Bo masz – przyznała z uśmiechem. Od ich pierwszego spotkania cera Gillian nieco się rozjaśniła, bez szpecących krost łatwiej było zwrócić uwagę na wysoko osadzone kości policzkowe, równą linię szczęki, drobny zgrabny nos. Gillian musiała być piękna, zanim żałoba ją zniszczyła. – Zamierzasz się zgodzić na to pozowanie? – spytała Evi.

Twarz dziewczyny jakby zaszła mgłą.

– Ona ma troje dzieci – mruknęła. – Tych dwóch chłopców mi nie przeszkadza, ale jest jeszcze ta mała dziewczynka. Ma prawie dokładnie tyle lat, ile miała Hayley.

– To musi być dla ciebie bardzo trudne.

– Ma jasne kręcone włoski – opowiadała Gillian, patrząc w dół na swoje dłonie. – Czasami, gdy ją widzę od tyłu, mam wrażenie, jakby Hayley wróciła. I jest tak, jakby jakiś głos w mojej głowie mówił: „Ona jest twoja, zabierz ją, zabierz od razu”. Muszę się powstrzymywać, żeby jej nie porwać na ręce i nie uciec z nią do siebie.

Evi uświadomiła sobie, że siedzi bardzo nieruchomo. Sięgnęła po długopis.

– Myślisz, że mogłabyś coś takiego zrobić? – spytała.

– Jakiego? Porwać Millie?

– Mówisz, że musisz się powstrzymywać – zauważyła łagodnie Evi. – Jak trudne jest dla ciebie to powstrzymywanie?

Gillian pokręciła głową.

– Nie zrobiłabym tego – zapewniła. – Nie zrobiłabym tego Alice. Wiem, jak to jest, gdy się nie wie, gdzie jest twoje dziecko. Nawet jeśli trwa to tylko kilka minut, część ciebie najzwyczajniej umiera. Chodzi tylko o to, że czasami, widząc Millie, mam wrażenie, jakby...

– Jakby co? – spytała Evi.

– Jakby Hayley wróciła.

Po strawionym ogniem domu pozostała jedynie kupka poczerniałych kamieni. Stał na końcu wybrukowanej kocimi łbami uliczki i był pierwszym budynkiem, jaki Evi zobaczyła, kiedy dotarła do Heptonclough. Rezygnując ze zwykłej trasy, wybrała rzadko używany szlak, prowadzący bezpośrednio na zachód przez wrzosowiska Tonsworth. Księżniczka, szesnastoletnia siwa klacz, przewiozła ją bezpiecznie po trakcie usłanym kamieniami, przez gęste zagajniki i strumienie. Udało im się nawet pokonać wysoką drewnianą bramę.

Domek miał niskie ściany z kamienia i prostą furtkę z kutego żelaza. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak przerażone dziecko ją popycha i oddala się w mroki nocy. Gdy się patrzyło na ruiny domu, na to, jak blisko niego był otwarty teren, zachowanie Gillian w tygodniach następujących po pożarze było zrozumiałe. Evi ściągnęła wodze, zmuszając Księżniczkę do zatrzymania się.

Jezu, ale gorąco. Księżniczka była zlna potem i Evi też. Puściła wodze, ściągnęła bluzę i przewiązała ją sobie w pasie. Domek, w którym po ślubie zamieszkali Gillian Royle z mężem, był wynajęty od jednej z rodzin we wsi. Po pożarze parze zaoferowano jednopokojowe mieszkanie nad sklepem spożywczym. Peter Royle zdążył się już do tamtego czasu wyprowadzić, mieszkał kilka kilometrów dalej z nową, teraz chodzącą w ciąży, dziewczyną. Gillian została w mieszkaniu nad sklepem.

Księżniczka, całe życie oportunistka, ruszyła w stronę spłachetka trawy rosnącej pod bramą naprzeciwko. Evi zebrała wodze. Nie było tu nic ciekawego do oglądania, nie znajdzie tu niczego, co pozwoli jej lepiej zrozumieć nową pacjentkę. Tylko czarne kamienie, kilka kawałków nadpalonego drewna i plątanina krzaków jeżyn. Podciągnęła Księżniczce łeb i delikatnie uderzyła ją biczkiem po lewym boku.

Minęły kolejne dwa domy, każdy z niewielkim ogródkiem z warzywami,

krzewami owocowymi i pędami fasolki wspinającymi się po sznurkowych konstrukcjach; później domy po obu stronach drogi zrobiły się bardziej jednolite, wszystkie kamienne, z dachami z łupków.

Blżej centrum miasteczka bruk stał się równiejszy, pojawiły się dwupiętrowe budynki. Evi zmusiła Księżniczkę do skrętu i pojechała pod górę w kierunku najświetniejszego miejsca w Heptonclough: dwóch kościołów.

Pozostałość po średniowiecznej budowli stała obok jej wiktoriańskiego następcy jak echo czy wspomnienie, które nie chce odejść. Nawet gdy Evi siedziała na grzbiecie konia, stare kamienne łuki ruin górowały nad nią. Niektóre ze starych ścian pięły się wysoko ku niebu, inne, pokruszone, zalegały na ziemi. Rzeźbione filary, jak menhiry, prężyły się dumnie, kpiąc z praw grawitacji i z upływu czasu. Kamienne posadzki były wypolerowane latami chodzenia po nich i błyszczące. I wszędzie, gdzie Evi spojrzała, wdzierały się wrzosowiska, wpychały się w kąty, zakradały w szczeliny, jakby próbowały po setkach lat odzyskać te tereny.

Nowszy kościół nie był tak okazały jak jego poprzednik i nie miał też dużej centralnej dzwonnicy. Zamiast niej na narożach dachu wybudowano cztery mniejsze wieżyczki ze spadzistymi daszkami. Wysokie na jakiś metr wieże składały się z czterech kamiennych kolumn. Naprzeciwko nowego kościoła, po drugiej stronie wąskiej uliczki, stały wysokie domy z ciemnego kamienia.

Evi rozejrzała się, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo. Zupełnie jakby były z Księżniczką same w tym dziwnym miasteczku na wrzosowiskach.

Stojący najbliżej dwóch kościołów duży dom wyglądał na nowy, tak przynajmniej sugerowały jasne kamienie elewacji i młoda roślinność w ogródku na froncie. Na schodkach przed wejściem, jako jedyny znak życia w tym mieście widmie, stała para maleńkich różowych kaloszy.

Nagle w ciszę wokół wdarł się wysoki pisk i nad lewym ramieniem Evi śmignęło coś jaskrawego i kolorowego. Księżniczka, zwykle spokojna, lekko podskoczyła i pośliznęła się na bruku.

– Spokojnie, spokojnie. – Evi, siedząc prosto i nieruchomo w siodle, ściągnęła wodze. Co to było, do diabła?

I znowu. Dwadzieścia metrów dalej coś pojedynczego, łopoczącego chorągiewkami. Evi spięła Księżniczkę, żeby ruszyła pod górę, byle dalej od dziedzińca kościoła. Przy odrobinie szczęścia na górze zakręcą i zjadą z powrotem na wrzosowiska.

To coś wracało, jadąc prosto na nie. Księżniczka odskoczyła w tył na ścianę

domu. Evi straciła równowagę, zdążyła się jednak złapać grzywy i wyprostować.

– Nie podjeżdżajcie tak blisko! – krzyknęła. – Płoszycie mi konia!

Na ułamek sekundy nawiązała kontakt wzrokowy i zrozumiała, że ma poważny problem. Chłopak na rowerze doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi.

Evi mocno ściągnęła konia i odwróciła przodem do wzgórza. Jeśli Księżniczka ma wpaść w panikę, lepiej, żeby pogalopowała w górę.

Pojawił się następny, pędzący w przeciwną stronę. Dwóch nastolatków na rowerach wyścigowych, jeżdżących po wysokim murze, otaczającym kościoły. To było czyste samobójstwo. Rowerzyści mogli się zderzyć, spaść dwa metry w dół na twarde kamienny bruk. Chłopcy zbliżyli się do siebie na jakieś pół metra i potem jeden z nich zniknął, prawdopodobnie po jakimś występie zjechał z drugiej strony muru na teren kościelnego dziedzińca. Rowerzysta, który został, przemknął obok Evi, z trudem próbującej zapanować nad zdenerwowaną klaczą.

Było ich więcej. Czterech rowerowych akrobatów, jadących niewyobrażalnie szybko po starym murze, proporczyki przy kierownicach łopotały, hamulce piszczały, gdy w pełnym pędzie brali zakręty.

– Spieprzajcie stąd, głupie gnojki! – wrzasnęła Evi. Konie w każdych okolicznościach nie cierpią rowerów, kombinacja szumu i prędkości wywołuje w nich panikę. A ta czwórka bzyczała obok nich jak komary. Rowerzyści wracali, znikali za murem i potem znów się pojawiali, tyle że w innym miejscu. Pokazał się piąty, zakradł się od tyłu, przeciął Evi drogę z przodu. Księżniczka poderwała łeb, obróciła się w miejscu i szybkim galopem pognała w dół wzniesienia.

Krzyk. Ślizganie się kopyt. Krótkie szarpnięcie czegoś, co mogło być bólem, ale w tamtej chwili bardziej kojarzyło się ze wściekłością i oburzeniem.

A potem cisza.

Evi leżała na ziemi i gapiąc się na skrawek śmietka, który utknął między dwoma kocimi łbami, zastanawiała się, czy jeszcze żyje. Odpowiedź otrzymała sekundę później. Na kamień przed nią skapnęła kropla krwi, a ona patrzyła, jak ta kropla drży poruszana oddechem wypływającym z jej ust.

Wiedziała, że czeka ją ból, ale ta część umysłu, która zwykle przejmowała dowodzenie, odpływała, pozostawiając ją samą. Zaczęła ją obejmować jakaś chłodna biała miękkość, chociaż zarazem była rozpalona – och, jak strasznie rozpalona – i obserwując wypływającą z niej strużkę, dziwiła się, dlaczego górski strumień jest szkarłatny; już nawet w tym pierwszym momencie wiedziała, że jej dotychczasowe życie się skończyło.

– Chwila, już do pani biegnę!

Ktoś do niej mówił, wołał, ten ostatni raz, w języku, którego nie potrafiła zrozumieć. Ktoś wykrzykiwał jakieś polecenia po niemiecku, a ona gapiała się w górę, na najbłękitniejsze niebo, jakie kiedykolwiek widziała, i wiedziała, że nie jest w stanie się poruszyć. Może już nigdy nie będzie w stanie...

– Proszę się nie ruszać. Już prawie skończyłem. Alice! Tom! Słyszycie mnie?

A potem otoczyli ją wysocy jasnowłosi mężczyźni, pachnący piwem i kremem do opalania, którzy coś do niej mówili, chyba pocieszali, upominali, żeby zachowała spokój, a oni ją związywali, mocno przypinali i okręciwszy, ponownie spuścili w dół góry...

– Już dobrze, proszę nie próbować wstawać. Złapałem pani konia, jest bezpieczny. – Obok niej klęczał jakiś mężczyzna, jedną ręką delikatnie dotykał jej ramienia, mówił do niej z dziwnym akcentem. – Zaraz wezwę karetkę, ale telefon mam w kościele. Nie mogę zostawić pani na drodze... Alice! Tom!

Evi podniosła głowę i wolno przekreśliła ją z prawej na lewo, w górę i w dół. W skroniach jej łupało, ale z karkiem nic nie było. Poruszyła prawą stopą w bucie, potem lewą. Obie zrobiły to, co powinny były robić. Oparła obie dłonie na kostce brukowej i odepchnęła się. W żebrach poczuła ostry ból, ale wiedziała instynktownie, że to nic poważnego.

– Nie, niech się pani nie rusza. – Głos był teraz blisko jej ucha. – Fletcherowie byli tu jeszcze minutę temu. Nie mogli odejść daleko. Nie, naprawdę nie sądzę, że powinna pani...

Evi siadała. Klęczący przy niej mężczyzna, choć wysoki, miał zbyt drobną budowę, żeby mógł być Niemcem albo Austriakiem. A te wzgórza wokół to nie góry. To wrzosowiska, właśnie przybierające odcień miękkiego głębokiego fioletu jak w świeżo nabitym guzie.

– Jak się pani czuje? – pytał jasnowłosy mężczyzna, który ubrany był w krótkie spodnie i koszulkę do biegania. Chłopcy na rowerach. Księżniczka wpadająca w panikę. Uratował ją mijający ją biegacz. – Gdzie panią boli? – dopytywał się.

– Wszędzie – wystękała, odkrywając, że może mówić. – Ale to nic poważnego. Gdzie jest Księżniczka?

Biegacz odwrócił się, żeby popatrzeć w dół ulicy. Evi zrobiła to samo. Księżniczka stała przywiązana do starego żelaznego koła zamocowanego na narożnej ścianie kościoła. Łeb miała spuszczone, dużymi żółtymi zębami jak kosiarka przycinała kępkę pokrzyw.

– Dzięki Bogu, że ją pan złapał – wychrypiała Evi. – Te głupie gnojki. Kilka dni temu miała brzydką ranę na pęcinie. Nic się jej nie stało?

– Cóż, była wyraźnie głodna, ale poza tym wszystko z nią w porządku. Chociaż obawiam się, że nie jestem znawcą koni.

Księżniczka stała pewnie na czterech nogach. Czy jadłaby, gdyby coś ją bolało? Znając ją, to całkiem możliwe.

– Jest pani pewna, że się nie zraniła? – spytał mężczyzna, który – teraz to zauważyła – miał na nogach buty żeglarskie. A spodenki nie były spodenkami biegaczy. Były bawełniane w niebiesko-białe pasy i sięgały prawie do kolan, a włosy na łydkach mężczyzna miał jasne i gęste.

– Jestem – zapewniła, odwracając wzrok od nóg nieznajomego. – Jestem lekarzem, znam się na tym – dodała, widząc nieprzekonaną minę mężczyzny. – Myśli pan, że mógłby pomóc mi zejść ze środka tej drogi?

– Oczywiście, proszę wybaczyć. – Jasnowłosy nieznajomy poderwał się i pochylił, wyciągając do Evi prawą rękę, zupełnie jakby oferował pomoc w podniesieniu kosza piknikowego.

Evi pokręciła głową.

– Obawiam się, że to nie wystarczy. Nie dam rady wstać sama. Jeśli to nie problem, mógłby pan złapać mnie pod pachami i podnieść? Nie jestem ciężka.

Mężczyzna kręcił głową, wyglądał na strąpionego.

– Powiedziała pani, że nie jest ranna – przypomniał. – Jeśli nie może pani wstać o własnych siłach, chyba nie powinienem pani podnosić. Myślę, że powinniśmy wezwać pomoc.

Czy naprawdę potrzebował, żeby mu to przeliterowała?

Wzięła głęboki wdech.

– Nie zraniłam się teraz, tylko trzy lata temu miałam paskudny wypadek i poważnie uszkodziłam sobie nerw kulszowy w lewej nodze – wyjaśniła. – Nie mogę chodzić bez podpory, a moja zdrowa noga zdecydowanie nie jest aż tak silna, żeby utrzymać mój ciężar, kiedy się będę podnosiła z bruku, który, tak przy okazji, nie jest najwygodniejszy.

Mężczyzna przez sekundę przyglądał się jej, potem zobaczyła, że jego wzrok przesuwają się ku jej nogom w szkarłatnych bryczesach, a konkretnie ku lewej nodze, nienaturalnie chudej i brzydkiej.

– Duży ruch macie na tej ulicy? – spytała Evi, rozglądając się.

– Nie. Ale ma pani rację. Przepraszam. – Mężczyzna znowu przykląkł i prawą

rękę wsunął jej pod plecy. Lewa wśliznęła się pod uda i chociaż Evi się tego spodziewała, była przygotowana, że będzie dotykana, mimo wszystko poczuła przepływający przez nią dreszcz niemający nic wspólnego z bólem. Potem stała już prosto, opierając się o nieznanego, który pachniał skórą, kurzem i świeżym męskim potem.

– Dobrze, dziesięć metrów dalej jest ławka dla strudzonych pasterzy. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko temu, że z niej skorzystamy. Da pani radę przejść?

– Naturalnie – warknęła, chociaż łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Nie miała wyboru, musiała objąć faceta w pasie. Był rozgrzany. Oczywiście, to był upalny dzień i ona też była rozgrzana i prawdopodobnie śmierdziała koniem. Poruszyła prawą nogą i wtedy lewa wrzasnęła do niej, żeby natychmiast zrezygnowała z tego kretyńskiego pomysłu z chodzeniem.

– Niech to szlag – wymamrotała, próbując bez sukcesu przesunąć lewą nogę do przodu. No już, ty bezużyteczna cholerna...

Potknęła się i prawie znowu by się przewróciła, ale jej towarzysz wzmocnił uścisk, pochylił się i podniósł ją z ziemi. Instynktownie wolną ręką złapała się jego szyi. Spąsowiał.

– Przepraszam, ale nie chciałem, żeby znowu pani upadła – wyjaśnił. – Mogę zanieść panią do ławki?

Kiwnęła głową i sekundę później sadzał ją delikatnie na drewnianej ławce stojącej pod kościelnym murem. Oparła się na nim z wdzięcznością i zamknęła oczy. Jak mogła być tak głupia? Przyprowadzić Księżniczkę aż tak daleko. Mogło się skończyć na poważnych obrażeniach ich obu. Dlaczego, do diaska, życie zawsze musi być aż takie trudne? Czekwała, z zamkniętymi powiekami, aż łyż ześlizną się z powrotem tam, skąd przypląnęły.

Kiedy znowu otworzyła oczy, była sama. Czy ten nieznajomy tak ją tu po prostu zostawił?

Chryste, nie jest cukierkowo słodką osobką, no ale mimo wszystko...

Odepchnęła się od muru i rozejrzała. Po drugiej stronie ulicy okna w domach były ciemne i puste. Na wrzosowiska opadła jakaś ciężka cisza. Rowerzyści zniknęli – nic dziwnego, zważywszy na to, do czego doprowadzili – ale gdzie byli wszyscy inni? Tyle domów, tyle okien i żywej duszy w zasięgu wzroku. To sobotnie popołudnie, na rany boskie. Dlaczego nikt nie wyglądał, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Ale może wyglądał. Za jednym z tych ciemnych okien ktoś stał, ktoś ją

obserwował, była tego pewna. Udając, że nie patrzy, pozwoliła oczom przesunąć się w lewo i w prawo. Nie dostrzegła nawet najmniejszego śladu ruchu, ale coś tam jednak było. Odwróciła się wolno.

Jest. Ruch. Wysoko w górze. Przyłożyła dłoń do oczu, żeby osłonić je przed słońcem. Nie, to niemożliwe. To, co jak jej się wydawało, że zobaczyła, to był zarys czyjejś sylwetki, przebiegającej wzdłuż obrzeża dachu kościoła. Niemożliwe, żeby ktoś tam był. Musiała zobaczyć ptaka. A może wiewiórkę. Albo kota.

Rozpięła pasek pod brodą i zdjęła toczek. Ucisk w głowie natychmiast zelżał. Podniosła włosy palcami, pozwalając, by powietrze dotarło do skóry głowy i ochłodziło ją.

Usłyszała kroki. Jej rycerz o rudych włosach w błyszczących pasiastych szortach wracał, prawie biegnąc ku niej kościelną ścieżką ze szklanką wody w wyciągniętej dłoni.

– Cześć – rzucił, gdy był bliżej. – Potrafię też zrobić herbatę, ale to by dłużej potrwało. Jak się pani czuje?

Jak się czuła? Napadła na nią zgraja zdziczałych nastolatków, potrafiących się przemieszczać z prędkością światła, spadła z wysokiego konia, musiała leżeć na środku ulicy jak wyrzucony na brzeg wieloryb, a potem, żywiąc nadzieję, że zostały jej jeszcze jakieś szanse na zachowanie przynajmniej cienia godności, została podciągnięta na nogi przez rudowłosego cymbała, który pachniał jak... jak mężczyzna.

– Lepiej, chyba – odparła. – Upadek z konia to zawsze szok. Zwłaszcza kiedy się nie upada na coś miękkiego.

Mężczyzna dołączył do niej na ławce.

– Wierzę pani na słowo – mruknął. – Nie chcę, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale czy na pewno powinna pani wybierać się na konne przejażdżki sama, z tą osłabioną nogą i w ogóle?

Evi otworzyła usta, potem szybko je zamknęła, mocno zaciskając. Facet chciał dobrze. Spojrzała na zegarek, dając sobie sekundę.

– Cóż, raczej szybko się to znowu nie powtórzy – odpowiedziała. – Stadnina, w której jeżdżę, ma bardzo surowe zasady. Przez następne pół roku będę jeździła truchtem wyłącznie po padoku, i to pod nadzorem.

– No możliwe, że... – Nieznajomy dostrzegł jej minę i przerwał. – Z jak daleka pani przyjechała?

– Ze stadniny w Bracken Farm – odparła. – Przez wrzosowiska to jakieś sześć

kilometrów.

– Mam tam zadzwonić w pani imieniu? Nie wiem, czy zechcą aż tutaj podstawić przyczepę do przewozu koni, ale mogę pójść...

– Nie. – Wyszło to głośniejsz i twardziej, niż zamierzała, ale przeczuwała, że zbliża się nieunikniona walka, i choć posiniaczona i roztrzęsiona, tę akurat potyczkę musiała wygrać. – Dziękuję – kontynuowała, zmuszając się do uśmiechu.

– Za minutę sama pojedę. – Nie czując wcale, że jest gotowa ponownie dosiąść konia, dopiła wodę i z powrotem założyła toczek, zdecydowana wysłać sygnał: „Już odjeżdżam”, gdyż doskonale wiedziała, co się szykuje.

Mężczyzna pokręcił głową. Cóż, nic zaskakującego, że to zrobił. Był wysoki i silny, z w pełni sprawnymi kończynami, i to oczywiście czyniło z niego bossa.

– Nie wsadzę pani z powrotem na tego konia – oświadczył twardo.

– Co proszę?

– Niech mi pani wybaczy, moja droga, ale jest pani kaleką, doznała pani paskudnego upadku i prawdopodobnie wstrząśnienia mózgu. Nie może pani jechać sześciu kilometrów po wrzosowiskach.

„Niech mi pani wybaczy, moja droga!” Evi przeniosła spojrzenie na drogę, żeby nie spiorunować nim swojego towarzysza, no bo przecież kalekom nie wypada się wściekać. Jeśli przez te ostatnie trzy lata czegoś się nauczyła, to było to właśnie to. Normalni ludzie, gdy wpadają w gniew, są po prostu wkurzeni; jednak u osoby niepełnosprawnej jakiegokolwiek oznaki złego humoru to sygnał, że jest się zaburzonym, potrzebuje się pomocy, bo człowiek nie jest zdolny do...

– Dziękuję panu za troskę – rzuciła – ale kaleka czy nie, sama za siebie odpowiadam i zresztą tak się składa, że nie potrzebuję pomocy przy dosiadanu konia. Proszę się nie krępować i już sobie iść. Nie chcę zabierać panu więcej czasu.

Oddała szklaneczkę i odsunęła się w bok. Byłoby najlepiej, gdyby mężczyzna już teraz zostawił ją samą.

– Jak? – Nie poruszył się.

– Co proszę? – powtórzyła.

– Jak, zważywszy, że nie była pani w stanie sama się podnieść z drogi i potrzebowała zanieśienia do ławki, jak zamierza pani przejść piętnaście metrów po ulicy i dosiąść wysokiego konia?

– Niech pan patrzy i się uczy.

Evi wyprostowała się. Mur był tylko dwa kroki dalej, schodząc, będzie się o niego opierała.

– Proszę chwilę zaczekać. Zawrzyjmy umowę.

Stał tuż przed nią. Dotarcie o własnych siłach do muru było wykonalne; wcześniejsze obejście tego człowieka już raczej nie.

– Jaką?

– Jeśli zgodzi się pani odpocząć jeszcze dziesięć minut i zadzwonić do mnie, gdy tylko dojedzie do stadniny, pomogę pani wsiąść na konia i odprowadzę panią do szlaku.

A więc teraz targowała się o najbardziej podstawową z wolności, z kimś, kogo dopiero co poznała.

– A jeśli na to nie przystanę?

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

– Zadzwonię do Bracken Farm i opowiem ze szczegółami, co się stało. Wyobrażam sobie, że wyruszą w drogę, jeszcze zanim zdąży pani dojść do muru.

– Dupek. – Wymknęło jej się to, zanim pomyślała, by ugryźć się w język.

Podniósł telefon.

– Niech mi pan zejdzie z drogi.

Wcisnął serię cyferek.

– Witam – rzucił po sekundzie. – Chciałbym dostać numer do stadniny w...

Evi podniosła rękę w geście poddania i z powrotem klapnęła na ławkę. Mężczyzna przeprosił telefonistkę i schował komórkę do kieszeni. Usiadł obok Evi, a ona wymownie zerknęła na zegarek. Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, ale miała to gdzieś.

– Herbata? – zaproponował nieznajomy.

– Nie, dziękuję.

– To może jeszcze raz szklanka wody?

– Tylko jeśli przyniesienie jej zajmie panu dużo czasu.

Mężczyzna roześmiał się, nisko, z zakłopotaniem.

– Kurka wodna – mruknął. – Ostatni raz tak dobrze szło mi z kobietą na ślubie u kuzyna, kiedy się upiłem i zwymiotowałem na druhnę.

– No tak, cóż, jestem mniej więcej tak zachwycona pańskim towarzystwem jak ona.

– Chodziliśmy potem ze sobą przez prawie półtora roku.

Milczenie. Evi znowu spojrzała na zegarek.

– No więc, co pani myśli o Heptonclough? – zagaił jej towarzysz.

Nie przestawała gapić się przed siebie, zdecydowana nie patrzeć na nic innego,

tylko na małe schodki i uliczkę przed nią, nie szerszą niż długość rozpiętych ramion ludzkich. Naszła ją nagła potrzeba ponownego ściągnięcia toczka.

– Bardzo miłe miasteczko – odparła.

– To pani pierwsza wizyta?

– Pierwsza i ostatnia.

Przy murze była zainstalowana żelazna poręcz, żeby osobom starszym, mniej sprawnym, łatwiej było wspiąć się po schodkach. Evi, nawet przytrzymując się poręczy, miałyby problem z wejściem na tak strome schody. Cztery stopnie. Równie dobrze mogłoby być ich sto.

– Jest pani pewna, że nie ma wstrząśnienia mózgu? Ludzie zwykle nie są tak nieuprzejmi, kiedy mnie poznają. Później bardzo często, ale nie na samym początku. Ile palców pani widzi?

Evi szybko odwróciła głowę do mężczyzny, otwierając usta, żeby powiedzieć... Podnosił pięści, palców nie było widać. To miał być żart. Uniosła prawą rękę, szykując się do wymierzenia mężczyźnie siarczystego policzka, i w diabły z konsekwencjami, ale...

– Jest pani o wiele ładniejsza, kiedy się uśmiecha.

...uzmysłowiła sobie, że to ostatnia rzecz na świecie, jaką ma ochotę zrobić.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, gdy się pani nie uśmiecha, też jest bardzo ładna. Tylko tak się składa, że wolę uśmiechnięte kobiety. To taki mój...

Wcale nie chciała go uderzyć. Chciała zrobić coś zupełnie innego. Nawet tutaj, na tej ulicy, gdzie patrzył na nich cały świat...

– Niech się pan zamknie – wykrztusiła.

Przeciągnął dwoma palcami po wargach, jakby to był suwak... głupi, dziecinny gest. Odwróciła wzrok, zanim jej uśmiech nie zrobiłby się taki... taki sam jak jego.

Znowu milczenie. Po drugiej stronie uliczki pojawił się kot. Usiadł na szczycie schodków i zaczął się wylizywać.

– Zawsze o tym marzyłem, żeby móc tak robić – rzucił mężczyzna.

– Ciii! – Evi podniosła jeden palec.

– Przepraszam.

Cisza. Kot podniósł jedną łapę i zaczął sobie wylizywać genitalia. Ławka, na której siedzieli, zaczęła się trząść. Sytuacja była patowa. Evi czuła, że za sekundę zacznie chichotać jak nastolatka. Odwróciła twarz do mężczyzny, bo tak przynajmniej nie musiała patrzeć na myjącego się kota.

– Pan tu mieszka? – spytała.

Pokręcił głową.

– Nie, tylko pracuję. Mieszkam kilka kilometrów stąd, w dolinie.

Miał jasnobrązowe oczy i ciemne rzęsy, dość szokujące przy tak jasnych włosach. Rudych? Po zastanowieniu Evi doszła do wniosku, że „rudy” to zbyt ostre określenie na opisanie koloru, który w ciepłym wrześniowym słońcu wyglądał bardziej jak... jak... miodowy.

Spuściła wzrok i w oko wpadł jej zegarek na własnym nadgarstku. Dziesięć minut minęło. Przekręciła rękę tak, żeby tarcza zegarka znalazła się pod spodem, a ona nie mogła jej widzieć.

– O co chodzi z tymi dwoma kościołami? – zapytała.

– Wspaniałe są, co? Zarówno przed, jak i po. No dobrze, proszę się przygotować na lekcję historii. Dawno temu, kiedy Anglią rządziły duże opactwa, Heptonclough miało własne. Prace budowlane rozpoczęły się w 1193 roku. Najpierw powstał ten kościół za nami, potem kwatery i farma.

Mężczyzna przekręcił się na ławce, zwracając się twarzą do zrujnowanej budowli za nimi. Evi uczyniła to samo, mimo że lewa noga zaczynała już naprawdę dawać jej o sobie znać.

– Rezydencja opata stoi nadal – ciągnął mężczyzna. – To piękny stary średniowieczny budynek. Nie bardzo go stąd widać, bo jest po drugiej stronie nowego kościoła. Mieszka tam teraz rodzina nosząca nazwisko Renshaw.

Evi powróciła pamięcią do lekcji historii w szkole.

– To jak to było? To przez Henryka VIII to opactwo popadło w ruinę? – spytała.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Cóż, z pewnością mu nie pomógł – przytaknął. – Ostatni opat Heptonclough, Richard Paston, brał udział w rebelii przeciwko polityce wobec Kościoła Henryka i został skazany za zdradę stanu.

– Stracili go? – zacięła się Evi.

– Niedaleko stąd. I jeszcze sporą część jego mnichów. Ale miasto rozwijało się nadal. W szesnastym wieku było centrum handlu wełną południowej części Penninów. Były tu sukienice, kilka banków, gospody, sklepy i szkoła, a potem wreszcie nowy kościół wybudowany obok starego, bo mieszkańcy uznali, że ruiny są tak malownicze, że szkoda by je było usuwać.

– Nadal takie są – rzuciła Evi.

– Później, gdzieś pod koniec osiemnastego wieku, nową superpotęgą w handlu wełną został Halifax i Heptonclough straciło swoje miejsce na szczycie drabiny.

Wszystkie stare budynki nadal tu stoją, ale teraz to przeważnie domy prywatne. Większość z nich należy do tej samej rodziny.

– Nowy kościół nie ma wieży – zauważyła Evi. – Pod każdym innym względem jest jak miniaturowa kopia starego, oprócz tych zastępujących główną wieżę czterech małych baszt.

– Radzie miejskiej skończyły się pieniądze w trakcie budowy nowego kościoła – wyjaśnił jej towarzysz. – Postawili więc jedną małą wieżę na jeden dzwon, a potem, ponieważ trochę głupio to wyglądało, dla równowagi dobudowali trzy pozostałe. Ale te są czysto dekoracyjne, nawet nie da się na nie wejść. Myślę, że plan zawsze był taki, że jak będą pieniądze, to małe wieże się zburzy i postawi jedną dużą, no ale... – Wzruszył ramionami. – Pieniądze na dużą wieżę najwyraźniej nigdy się nie znalazły.

Evi pokiwała głową, myśląc zarazem, że musi się zbierać. Im dłużej będzie tu siedziała, tym większe kłopoty będą czekały na nią w stajni, kiedy już tam dotrze.

– Wie pan co, już naprawdę czuję się lepiej – oznajmiła. – I muszę wracać. Myśli pan, że mógłby...

– Naturalnie. – Wstał, dość pospiesznie, jakby w rzeczywistości jedyne, na czym mu zależało, to okazać jej uprzejmość. Evi podźwignęła się z ławki. Kiedy już stała, jej oczy znalazły się na wysokości jasnych włosów wystających zza dekolту koszulki nieznajomego.

– Jak chce to pani zrobić? – spytał.

Zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz, i pomyślała, że wcale by jej nie przeszkadzało, gdyby mężczyzna znowu wziął ją na rękę i zaniósł do konia. Z tyłu uda czuła rozchodzące się po nim pieczenie bólu.

– Mogę wziąć pana pod rękę? – poprosiła.

Odchylił prawy łokieć i jak para zakochanych z dawnych czasów ruszyli ulicą. A kiedy dotarli do Księżniczki, Evi uznała, że choć jej nogę trawi ognisty ból, spacer trwał stanowczo zbyt krótko.

– Cześć, Harry – usłyszała czyjś cienki głosik. – Czyj to koń?

– Ten szlachetny wierzchowiec należy do pięknej księżniczki Berengarii, która wróci teraz na nim do swojego zamku na wzgórzu – odparł towarzysz Evi, reagując na nazwanie go imieniem Harry i zwracając się do kogoś, kto stał po drugiej stronie muru. – Mam panią podsadzić, księżniczko? – spytał, znów odwracając się do Evi.

– Zechciałby pan tylko przytrzymać konia, żeby się nie poruszył?

– Znów odtrącony – wymamrotał Harry, odwiązując wodze i przekładając je nad

łbem Księżniczki. Później chwycił za nachrapnik, a Evi podniosła stopę i umieściła ją w strzemieniu. Trzy małe podskoki i była na górze. Zobaczyła wtedy małego chłopca, pięcio-, sześćioletniego, z ciemnorudymi włosami. W prawej ręce trzymał plastikowy miecz świetlny, w lewej coś, co rozpoznała.

– Dzień dobry – rzuciła. Chłopiec spojrzał na nią, bez wątpienia myśląc, że raczej nie bardzo przypomina księżniczkę, a już na pewno nie piękną. A ponieważ był małym chłopcem, otwierał usta, prawdopodobnie, aby powiedzieć właśnie dokładnie to.

– To pani? – zapytał zamiast tego, podnosząc w górę pejczyk, który Evi wcześniej upuściła i zapomniała o nim. – Znalazłem na drodze.

Evi uśmiechnęła się i podziękowała, kiedy chłopczyk wdrapał się na mur i podał jej bacik. Harry cały czas trzymał Księżniczkę i kiedy Evi odebrała już bacik, ruszył w dół krótkiego stromego wzniesienia w kierunku Wite Lane, ciągnąc za sobą konia. Evi zauważyła, że kot, którego widzieli wcześniej, stąpając lekko po starym drewnianym płocie, poszedł za nimi. Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że mały chłopiec też ich odprowadzał, tyle że wzrokiem.

Bruk zrobił się mniej zadbane i nierówny, Harry dziwnie zamilkł, jakby zabrakło mu tematów do rozmowy. Na końcu alei dotarli do bramki, i Harry otworzył ją i puścił nachrapnik.

– Jak długo będzie pani wracała? – spytał. Za jego głową jeżyny na gąszczu krzewów mieniły się jak rubiny.

– Około dwudziestu minut, jeśli większą część drogi pokonam kłusem, a ostatnie sto metrów galopem.

Przybrał surową minę, jak dyrektor szkoły zwracający się do niesfornej klasy.

– A jak długo, jeśli pojedzie pani spokojnie? – Wrzosa pod jego stopami miały kolor morwy. Zapomniała już, jak piękny potrafi być wrzesień.

– Trzydzieści pięć, czterdzieści minut – odpowiedziała, starając się powstrzymać uśmiech rozbawienia.

Jej towarzysz spojrzał na zegarek, następnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę.

– Proszę zadzwonić do mnie o czwartej – rzekł, podając jej kartonik. – Jeśli pani tego nie zrobi, zawiadomię pogotowie, policję, straż przybrzeżną, zadzwonię do każdej stajni w promieniu dwudziestu kilometrów i do Krajowego Związku Rolników. Będzie to krępujące dla nas obojga.

– I kosztowne, dla pana – dopowiedziała Evi, wsuwając wizytówkę do kieszeni

koszuli.

- Niech więc pani zadzwoni.
- Zadzwonię.
- Miło było poznać, Księżniczko.

Evi spięła konia prawą nogą, machnęła biczykiem i Księżniczka, instynktownie wiedząc, że wraca do domu, ruszyła przed siebie żwawym truchtem. Evi nie obejrzała się i dopiero gdy była na tyle daleko, żeby mieć pewność, że Harry jej nie widzi, wyciągnęła z kieszeni wizytówkę.

Mężczyzna, którego dopiero co poznała, nalegał, żeby do niego zadzwoniła. Kiedy ostatnio przydarzyło jej się coś takiego? Trzymał ją w ramionach. Nazwał piękną. A ona miała ochotę namiętnie go pocałować na samym środku tej publicznej ulicy. Spojrzała na wizytówkę. „Wielebny Harry Laycock, magister nauk humanistycznych, dyplomowany teolog. Pastor połączonych probostw Goodshaw Bridge, Loveclough i Heptonclough”. U dołu widniały dane do kontaktu. Evi, nie zmuszając konia do zmiany tempa, wsunęła wizytówkę z powrotem do kieszeni.

Jest pastorem.

No po prostu rewelacyjnie.

Harry, oparty o mur, przez dziesięć minut odprowadzał wzrokiem odjeżdżającą kobietę. I dopiero kiedy ona i jej koń zniknęli pośród drzew zagajnika, odwrócił się i wolno wrócił do kościoła. Gdy mijał nowy dom, w oknie salonu dostrzegł Alice Fletcher rozmawiającą przez telefon i patrzącą na Joego w ogrodzie. Zauważyła Harry'ego i pomachała.

Harry przeszedł przez starą bramę i przekonał się, że ktoś na niego czeka.

Młoda kobieta, z poszarzałą, przedwcześnie pokrytą zmarszczkami twarzą nałogowej palaczki i pijaczki. Ubrana była w dżinsy i wypłowiałą koszulkę z długimi rękawami, włosy miała związane w kucyk. Poniżej gumki były tłuste i mysiobrazowe, powyżej sterczały pod różnymi kątami, wysuszone jak siano zbyt długo pozostawione na słońcu.

– To była doktor Oliver, prawda? – spytała kobieta. – Czy mówiła coś o mnie?

Harry popatrzył na dziewczynę. Bez makijażu. Niezbyt czyste ubranie. Pomyślał, że chyba umknęły mu pierwsze sekundy rozmowy. Ta część, w której dziewczyna się przedstawia i mówi, że miło jej poznać nowego pastora.

– Cóż, tamta pani mi się nie przedstawiała – odparł po chwili. – Ale teraz, kiedy pani o tym wspomniała, chyba faktycznie napomknęła coś o tym, że jest lekarzem. Witam, miło mi, Harry Laycock. – Wyciągnął dłoń, ale dziewczyna nie kwapiła się, żeby ją przyjąć.

– Co mówiła o mnie? – spytała powtórnie z naciskiem.

Tu działo się coś, za czym nie nadążał. Kobieta na koniu twierdziła, że to jej pierwsza wizyta w miasteczku, tak czy nie? Pierwsza i ostatnia.

– Dlaczego pan się uśmiecha? Co panu powiedziała?

Musiał się skupić. Ta dziewczyna miała jakiś problem. To było tak oczywiste jak nos na jej bardzo niezdrowo wyglądającej twarzy.

– Nie mówiła nic o nikim – odparł. – Spadła z konia i była w szoku. Ale jeśli jest lekarzem...

– Jest psychiatrą.

– Kim? – Nie był w stanie ukryć zaskoczenia. Ta zrędliva, kłótliva kobieta jest... o kurczę. – Cóż, nie wspomniała o tym – rzucił – ale jeśli jest psychiatrą, to nie wolno jej rozmawiać o pacjentach z nikim, to byłoby...

– Ja nie jestem pacjentką. Po prostu czasami do niej chodzę.

– No tak, oczywiście. – Harry bezwiednie pokiwał głową, jakby wszystko doskonale rozumiał. Ale tak nie było.

– To pan jest tym nowym pastorem?

No wreszcie, znajome terytorium.

– Tak – potwierdził. – Mam na imię Harry. Wielebny Laycock, jeśli woli pani oficjalną formę, ale rzadko kto tak się do mnie zwraca. Przypuszczam, że może chodzić o te krótkie spodnie. A pani to...?

– Czy Alice opowiadała pastorowi o mnie?

– Alice? – Czy to z nim jest coś nie tak? Czyżby jego zwoje mózgowe postanowiły wziąć sobie dzień wolnego?

– Alice Fletcher. Z tego nowego domu.

Coś zaczęło mu świtać.

– Pani to Gillian, tak? – spytał.

Dziewczyna skinęła głową.

– Wspominała o pani. Przykro mi z powodu pani straty.

Twarz dziewczyny skurczyła się, zrobiła się mniejsza, cienkie usta prawie zniknęły.

– Dziękuję – mruknęła cicho, a jej oczy oderwały się od jego twarzy i podryfowały gdzieś ponad lewym ramieniem.

– Jak pani sobie radzi? – zapytał.

Gillian wzięła głęboki wdech i jej oczy rozszerzyły się, momentalnie zachodząc mgłą. Głupie pytanie. Nie radziła sobie. I zaraz spyta, dlaczego Bóg zabrał jej dziecko. Ze wszystkich dzieci na świecie, dlaczego właśnie jej? Pytanie padnie zaraz, za sekundę.

– Właśnie miałem zamiar zrobić sobie herbaty – rzucił pośpiesznie. – Mam w zakrystii czajnik. Przyłączy się pani do mnie? – Gillian wpatrywała się w niego przez chwilę, jakby herbata to było coś poza jej zwykłym doświadczeniem, potem kiwnęła głową. Poprowadził ją przez ruiny kościoła i po płytach chodnikowych ku Świętemu Barnabie, próbując sobie po drodze przypomnieć, co mówiła Alice.

Gillian – Rogers, Roberts, nie mógł sobie dokładnie przypomnieć – straciła córkę w pożarze domu trzy lata temu. Całe dni chodziła po wrzosowiskach i po starych

uliczkach miasta, niemal jak żywy trup. Alice spotkała ją w ruinach kościoła i zaprosiła do domu na kawę. Postąpiła uprzejmie, impulsywnie i niezbyt mądrze, ale to było w jej stylu. Gillian przyjęła zaproszenie i siedziała prawie cały poranek, niechętnie uczestnicząc w rozmowie, którą usiłowała prowadzić z nią Alice, zainteresowana głównie przyglądaniem się bawiącym się obok dzieciom.

W kościele po wejściu z jesiennego słońca było chłodno i wilgotno.

– Sprząta pastor kościół sam? – zaciekawiała się Gillian, kiedy szli nawą boczną.

– Na szczęście nie – odparł. – Diecezja zamówiła ekipę sprzątającą. Właśnie skończyli. Ja tylko układam w szafkach, sprawdzam, gdzie co leży, przywracam budynek do normalnego stanu. Pomagają mi w tym Alice i jej dzieci.

Harry pchnął otwarte drzwi zakrystii i przepuścił Gillian przodem. Będzie musiał wstawić tu jakieś krzesła, może mały stolik. Woda w czajniku była jeszcze gorąca, akurat go włączył, gdy usłyszał krzyk pani doktor. Do momentu, aż wyjął herbatę i kubki, woda się zagotowała. Zalał nią saszetki, świadomy tego, że Gillian stoi tuż za nim, dodał mleka i cukru, nie pytając, czy kobieta lubi herbatę z tymi dodatkami. Jego zdaniem jednak wyraźnie potrzebowała jednego i drugiego. Wcześniej Alice przyniosła duże opakowanie czekoladowych herbatników. Niech ją Bóg błogosławi.

Podał Gillian kubek. Chciała go odebrać, ale jej drobna blada dłoń bardzo się trzęsła. Zauważyła, że on to zauważył, i zaczerwieniła się. Cofnął rękę i zamiast herbaty podał dziewczynie herbatniki.

– Chodźmy, przysiadźmy gdzieś – zaproponował, wyszedł do nawy, i usiadł tam na frontowej ławce prezbiterium. Kobieta dołączyła do niego, a on uznał, że teraz może już wreszcie bezpiecznie przekazać jej gorący napój. Swoją popijał z wdzięcznością. To była wyczerpująca praca: sprzątanie kościołów, ratowanie opryskliwych lekarek psychiatrii i podnoszenie na duchu parafian w żałobie. Jeśli dzień miałby się potoczyć dalej w tym samym stylu, jeszcze przed wieczorem włamie się do szafki z winem mszalnym i napocznie je.

– Od ośmiu dni nie miałam w ustach nawet łyka – oznajmiła Gillian, a on przez sekundę nie do końca był... A tak, jasne, Alice wspominała, że Gillian była u lekarza rodzinnego, że skierowano ją na grupę wsparcia Anonimowych Alkoholików i do psychiatry specjalizującego się w problemach rodzinnych. Którym musiała, oczywiście, być ta pani, którą właśnie poznał. Doktor Oliver.

– To wspaniale – rzucił.

– Czuję się lepiej – dodała Gillian. – Naprawdę. Doktor Oliver przepisała mi

jakieś proszki, żebym lepiej spała. Już od tak dawna nie sypiałam normalnie.

– Cieszę się, słysząc to – zapewnił. Usiadł i z miną wyrażającą cierpliwość i zainteresowanie, czekał na dalsze zwierzenia.

– Czy ty wierzysz, Gillian? – spytał, kiedy się zorientował, że kobieta nie zamierza nic więcej powiedzieć. Czasami najlepiej przejść do sedna od razu.

Popatrzyła na niego, jakby nie do końca...

– Pastor ma na myśli to, czy wierzę w Boga? – upewniła się.

Kiwnął głową.

– Tak, to właśnie miałem na myśli – potwierdził. – Strata kogoś, kogo kochaliśmy, to bardzo trudne przeżycie. Nawet największa wiara jest wtedy poddawana próbie.

Jej dłonie znowu się trzęsły. Za chwilę poparzy się herbatą. Wyjął kubek z jej dłoni i postawił na podłodze.

– Po tym, jak to się stało, ktoś mnie odwiedził – zaczęła. – Ksiądz. Powiedział, że Hayley jest ze swoim ojcem w niebie i jest szczęśliwa i że to powinno przynosić mi pocieszenie, ale jak ona może być szczęśliwa beze mnie? Została sama. Ma dwa latka i jest sama. Tego właśnie nie potrafię objąć umysłem. Musi się czuć tak straszliwie osamotniona.

– Czy wcześniej straciłaś już kiedyś kogoś bliskiego, Gillian? – spytał. – Twoi rodzice żyją?

Przybrała zaskoczoną minę.

– Tata zmarł, kiedy byłam mała – odparła. – Zginął w wypadku samochodowym. I miałam młodszą siostrę, która zmarła dawno temu.

– Przykro mi. A dziadkowie? Którzyś żyją?

– Nie, wszyscy zmarli. Co...

Nachylił się i ujął jej obie dłonie w swoje.

– Gillian, jest takie czytanie, często wygłaszane podczas pogrzebów, mogłaś je słyszeć. Napisał je pewien biskup jakieś sto lat temu i porównuje on w nim śmierć ukochanej osoby do stania na brzegu morza i patrzenia na odpływający, znikający za horyzontem statek. Możesz przywołać na chwilę ten obraz? Wyobrazić sobie błękitne morze, pięknie rzeźbioną drewnianą łódź, białe żagle?

Gillian zamknęła oczy. Skinęła głową.

– Łódź jest coraz mniejsza i mniejsza, a potem znika za linią horyzontu, a ktoś stojący obok ciebie mówi: „Odeszła”.

W kącikach zamkniętych oczu Gillian zaczęły zbierać się łzy.

– Ale chociaż już jej nie widzisz, łódź nadal tam jest, nadal silna i piękna. I znikając z twojego pola widzenia, pojawia się na innym brzegu. Widzą ją teraz inni.

Gillian otworzyła oczy.

– Hayley jest jak ta łódź – tłumaczył. – Zniknęła, nie widzisz jej, ale ona istnieje, i tam, gdzie teraz jest, są ludzie, którzy są zachwyceni, że ją widzą: twój ojciec, twoja siostra, twoi dziadkowie. Zaopiekują się nią, będą ją kochali, bezwarunkowo, aż do dnia, kiedy i ty do niej dołączysz.

Rozpaczliwy płacz kobiety rozdzierał mu serce. Nie ruszając się z miejsca, patrzył, jak jej drobnym ciałem wstrząsają łkania, jak łzy skapują na jego dłonie. Zanosila się takim szlochem przez pięć może dziesięć minut, a on trzymał ją za dłonie do momentu, aż poczuł, że chce je zabrać. Nie miał chusteczek, ale gdzieś w zakrystii była rolka ręcznika papierowego. Szybko tam poszedł, znalazł rolkę przy zlewie, wrócił do kościoła i dał ją Gillian. Dziewczyna wytarła sobie twarz i spróbowała się uśmiechnąć. Jej oczy, obmyte przez łzy, wydawały się prawie srebrne. Oczy doktor Oliver były błękitne. Nieomal fiołkowe.

W kieszeni spodenek zadzwoniła komórka. Nie powinien odbierać, powinien pozwolić, żeby dzwoniącego przełączyło na pocztę głosową, oddzwoni do tego kogoś później. Tyle że wiedział, kto dzwoni.

– Przepraszam – rzucił, podnosząc się. – Wracam za chwileczkę.

Odszedł kilka kroków i wcisnął klawisz „Odbierz”.

– Harry Laycock.

– Tu Berengaria.

– Dotarła pani na miejsce bezpiecznie, doktor Oliver?

– No, to już jest lekko... przerażające. Jak pastor to robi?

Harry obejrzał się za siebie, na Gillian siedzącą na ławce ze wzrokiem wbitym w ziemię. Była zbyt blisko, wszystko słyszała.

– Jak mój szef, mam swoje cudowne sposoby – odparł.

Zapadła krótka cisza.

– Tak, cóż, tak czy inaczej dziękuję za pomoc – powiedział głos doktor Oliver. – Razem z Księżniczką wróciliśmy już tam, gdzie nasze miejsce, i mimo naszej przygody czujemy się świetnie.

– Miło mi to słyszeć. – Gillian teraz już patrzyła w jego stronę. Na pewno była niezadowolona z powodu tej przerwy. Ludzie w żałobie potrafią być samolubni. Nie najlepszy moment, Księżniczko. – Proszę na siebie uważać – rzucił do

telefonu. – I pozdrowić ode mnie Księżniczkę.

– Pozdrowię. – Głos w telefonie zrobił się bezbarwny. – Do widzenia.

I rozłączyła się. A on musiał wrócić do Gillian. Która nie siedziała już spokojnie na ławce w prezbiterium, tylko stała, rozglądając się dokoła wzrokiem wyrażającym ni mniej, ni więcej tylko przerażenie. Wyglądało to tak, jakby ktoś naciągnął skórę na jej twarzy, przez co ta twarz przypominała teraz maskę. Dziewczyna ruszyła w jego kierunku.

– Słyszał to, pastor? – spytała nagłym tonem. – Słyszał pan to?

– Ja? Co takiego? – Rozmawiał przez telefon. Co takiego miałby słyszeć?

– Ten głos, wołający „mamusiu”, słyszał pastor?

Harry rozejrzał się, zaskoczony i lekko zaniepokojony zmianą, jaka zaszła w Gillian.

– Coś chyba słyszałem, ale żegnałem się. – Pokazał telefon.

– Co pastor słyszał? – natarła na niego. – Co to było takiego?

– Cóż, dziecko, chyba. Gdzieś na zewnątrz.

Chwyciła go za ramię, wczepiła palce w odsłoniętą skórę.

– Nie, to było tutaj, w środku. Głos dochodził z wnętrza kościoła.

– Tutaj nikogo więcej nie ma – zauważył, mówiąc wolno. – Te stare budowle potrafią być zwodnicze. Dźwięk rozchodzi się po nich echem w dziwny sposób.

Gillian odwróciła się gwałtownie i prawie biegiem rzuciła nawą z powrotem ku prezbiterium. Dotarła do niego i zaczęła szukać, zaglądać za ławki.

Co na Boga?

Dziewczyna przemierzyła prezbiterium, odsunęła taboret organisty, wróciła za ołtarz, podniosła obrus. Dobiegł do niej w chwili, gdy wyglądało, że się poddała. Zaszlochała głośno jeden raz, zachwiała się, ale potem wyprostowała i otworzyła usta.

– Hayley! – krzyknęła.

Harry zatrzymał się. On też usłyszał czyjś głos. I odgłos kroków, chociaż nikogo nie widział. Skąd ta przytłaczająca potrzeba obejrzenia się za siebie?

Odwrócił się. Oprócz niego i Gillian w kościele nie było żywej duszy.

– Wie pani co, odprowadzę panią do domu – zaproponował. – Powinna pani prawdopodobnie odpocząć. – Gdyby powiedziała, kto jest jej lekarzem rodzinnym, mógłby zadzwonić i opowiedzieć, co się dzieje, zapewnić jej bezzwłoczną pomoc. A nazajutrz po porannej mszy sam mógłby ją odwiedzić. Kiedy do niej dotarł, przywarła do niego.

– Słyszał ją pastor, słyszał pastor Hayley? – Prawie go błagała, domagała się, żeby jej powiedział, że nie traci kontaktu z rzeczywistością.

– Słyszałem jakieś dziecko, tak – potwierdził, chociaż szczerze mówiąc, nie był pewien. Słuchał kobiety w telefonie, zmiany tonu w jej głosie i zastanawiał się, co to może oznaczać. – Możliwe, że słyszałem dziecko wołające „mamusiu”, ale wie pani, dzieci Fletcherów bawiły się przy kościele prawie przez całe popołudnie. Z dużym prawdopodobieństwem to, co usłyszeliśmy, to była Millie.

Gillian patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

– Chodźmy, zaczerpnijmy trochę świeżego powietrza – zachęcił. – Odprowadzę panią do domu.

Modląc się cicho pod nosem, by dzieciaki Fletcherów, łącznie z najmłodszym, były na dworze, wyprowadził Gillian z kościoła na słońce. Byli w połowie drogi do bramy, gdy obok nich ze świstem przeleciała zabawkowa strzała i Gillian się wzdrygnęła. Harry odwrócił się w stronę ogrodu Fletcherów po prawej i natknął się tam na błękitne oczy Joego Fletchera. Kilka metrów dalej Tom odbijał piłkę nogą o ścianę domu. Millie siedziała na ziemi, kopiąc dołki.

– Pudło! – zawołał Harry, wyszczerzając się do Joego.

Chłopiec szybko się obejrzał, żeby sprawdzić, czy matka coś zauważyła. Wieszala pranie i nie odwróciła się.

– Przepraszam – rzucił chłopczyk bezgłośnie, poruszając samymi ustami. Harry puścił do niego oko.

– Mysz! – krzyknęła Millie, wzrok miała utkwiony w coś oddalonego od niej o krok czy dwa. Jej oczy zabłyśły i dziewczynka wyciągnęła przed siebie pulchną rączkę.

– Millie, nie, to szczur! – wrzasnął Harry. Kątem oka zobaczył, że Alice, upuszczając to, co trzymała, szybko się odwraca.

Tom przestał kopać piłkę, kiedy Harry przeskoczył przez mur i wylądował na miękkiej ziemi w ogrodzie Fletcherów.

– Uciekł – obwieścił Joe. Szczur czmychał w stronę muru. Gruby szary ogonek zastygł na chwilę w dziurze między dwoma kamieniami, a potem zniknął. Harry obejrzał się za siebie na dziedziniec kościoła. Gillian też zniknęła.

Najpierw szepty były we śnie. A potem już nie. Tom nie miał pojęcia, kiedy to się zmieniło, kiedy ze snu przeszedł do jawy, ale przed chwilą spał głęboko, zaraz potem był obudzony, a sen się rozwiewał. Pomyślał, że może to drzewa i coś w gałęziach, coś, co go obserwowało. Może i był tam kościół, ale coś zdecydowanie szeptało. Był o tym stuprocentowo przekonany. Bo wciąż to słyszał.

Usiadł. Świecące cyferki na biurkowym budziku powiedziały mu, że jest za siedem trzecia w nocy. Jego rodzice o tej porze zawsze już spali. Teraz też pewnie śpią jak zabici, a dom jest pozamykany na noc.

To kto tak szepcze?

Wisząc do góry nogami, zajrzał na łóżko Joego. Jego brat miał własny pokój, zaraz obok. Trzymał w nim wszystkie swoje zabawki i często się tam bawił, ale nigdy nie spał. Co wieczór wspinał się na dolną pryczę łóżka piętrowego w pokoju Toma.

– Joe, nie śpisz?

Już w trakcie zadawania pytania Tom zorientował się, że dolne łóżko jest puste. Kołdra była zrzucana, w poduszce widniało wgłębienie.

Tom przerzucił nogi przez brzeg łóżka i zeskoczył na dywan. Na ciemnym podeście panowała cisza. Troje drzwi było otwarte – do łazienki, do pokoju Millie i do sypialni rodziców – ale za każdymi była jedynie ciemność. Kiedy podszedł do szczytu schodów, na nogach poczuł powiew chłodnej bryzy; drzwi frontowe były szeroko otwarte.

Czy ktoś wszedł do domu? A może wyszedł?

Górny stopień zaskrzypiał głośno. Trochę z nadzieją, że rodzice się obudzą, Tom dał następny krok i następny.

Kto tak szeptał? Gdzie jest Joe?

Kiedy zszedł na dół, owiał go wdzierający się do domu chłód. Małe włoski na

rękach stały mu na sztorc, dostał gęziej skórki. Potem przestało wiać i powietrze znowu zrobiło się przyjemne, prawie ciepłe. Nie było po co się tak trząść, naprawdę, tyle że nie mógł przestać.

Wiedział, że powinien obudzić mamę i tatę. Nie powinien sam zajmować się sprawą wyjścia Joego z domu w środku nocy. Tylko że kiedy on i brat coś zmalowali, вина nigdy nie była dzielona po równo. Dobre dziewięćdziesiąt procent niezmiennie przypisywane było Tomowi, a faktom rzadko dawano posłuch. Gdyby obudził rodziców teraz, dokładnie wiedział, kto by miał się z pyszna w chwili, gdy Joe by się odnalazł i wrócił do domu.

Tom przysiągł sobie w duchu, że tym razem zabije smarkacza, naprawdę to zrobi.

Wyszedł przed dom i na chwilę zapomniał, że jest wściekły, zapomniał, że jest bardzo bliski odczuwania strachu. A więc tak wygląda noc – łagodna, przepełniona zapachami i zaskakująca ciepła, miejsce, gdzie wszystkie kolory znikają, pozostają tylko czerń i srebro, i poświata księżycy. Dał jeszcze jeden krok.

Potem zaczęło ogarniać go uczucie, to, które ostatnio zdawało się nachodzić go za każdym razem, gdy wychodził z domu. A nawet czasami, kiedy był w środku, zwłaszcza gdy na zewnątrz robiło się ciemno. W niektóre dni wręcz myślał, że wieczorem nie zdąży wystarczająco szybko zaciągnąć zasłon.

Ktoś go obserwował, był o tym przekonany. Ktoś, kto był bardzo blisko. Prawie słyszał oddech, miał tylko nadzieję, że to jego brat. Powoli odwrócił głowę w stronę narożnika domu.

I ujrzał wlepione w siebie dwoje dużych oczu w otoczce bladej zwiotczalej twarzy. A potem te oczy zniknęły.

Tom biegiem wrócił do domu. Zatrzymał się w bezpiecznym progu i odwrócił się.

Jakaś dziewczynka, mniej więcej w jego wieku, jeśli oceniać po wzroście, wdrapywała się na mur oddzielający ogródek Fletcherów od terenu kościoła. Wspinała się szybko, jakby robiła to wcześniej wiele razy, długie włosy i luźne ubranie powiewały poruszane bryzą. Tak jak Tom była na bosaka, ale jej stopy zupełnie nie przypominały jego stóp. Nawet z daleka wyglądały na olbrzymie w porównaniu z resztą sylwetki. Tak samo dłonie.

Potem Tom dostrzegł coś jeszcze, dokładnie w tym samym miejscu, w którym dziewczynka się pojawiła. Już miał uciec do swojej sypialni, gdy nagle dotarło do niego, że to coś na rogu, to Joe, w tej swojej czerwono-niebieskiej piżamie ze

Spidermanem.

– Co ty wyprawiasz? – syknął, kiedy Joe podbiegł do niego. – Wracaj natychmiast do domu, bo sprowadzę tatę. – Obejrzał się na mur kościelny i zobaczył, że dziewczynka zniknęła. Naprawdę sobie poszła, czy tylko się ukryła? Bo właśnie to zwykle robiła. Ukrywała się i obserwowała.

– Nie powinno nas tu być, Tom – wymamrotał Joe.

– Wiem, że nie – odparował Tom. – Więc włącz do domu, zanim mama i tata się obudzą.

Joe podniósł głowę. Jego oczy w bladej twarzy były ogromne.

– Nie – sprzeciwił się, spoglądając to na Toma, to na mur. – Nie powinno nas tu być – powtórzył. – To niebezpieczne.

Millie, ta mała dziewczynka z włosami koloru waty cukrowej, była w ogrodzie. Ubrana w odziedziczone po jednym z braci ciemnoniebieskie spodnie dresowe i niebiesko-białą koszulkę piłkarską. Była upačkana błotem, bo siedziała na gołej ziemi. Pieluska, wystająca z gumki przy pasku spodenek, sprawiała, że pupa dziecka wydawała się olbrzymia.

– Millie. – Głos matki dziewczynki z wnętrza domu. Matka pojawiła się w drzwiach, z plastikową miską w ręce, druga ręka na biodrze na znak poirytowania. – Spójrzysz na mnie?! – zawołała. Millie uśmiechnęła się do matki. Spróbowała się podnieść, udało jej się do połowy, a potem z powrotem klapnęła pupą na ziemię.

– Nie ruszaj się stamtąd przez chwilę! – krzyknęła jej matka. – Przyniosę ci coś do przebrania. A potem pójdziemy po chłopców. Pa, pa! – Znowu zniknęła w środku domu, a dziecko otworzyło buzię, żeby się rozplakać. Potem dziewczynka szybko odwróciła główkę w drugą stronę. Coś usłyszała.

Millie podciągnęła się i ruszyła po nierównej ziemi, docierając prawie do samego muru okalającego teren. Zatrzymała się, gdy była zaledwie kilka kroków od niego i spojrzała w górę. Cis, prawdopodobnie kilkusetletni, rósł na cmentarzu tak blisko muru, że prawie stanowił jego część. Millie popatrzyła na gałęzie.

– Alo – zagruchała. – Alo, Ebba.

Byla wyzsza, niz zapamiatal, ale tak samo smukla. Wyszla z boksu z oglowiem i wodzami przewieszonymi przez ramie. Prawa reke wsunela pod siodlo wiszace na duzym haku, a potem ruszyla dziedincem. Szla wolno i niezgrabnie po posadzce z betonu, podpierala sie ciiezka stalowo-plastikowa laska.

Harry, do polowy ukryty za galaziami duzego kasztanowca, przygladal sie, jak kuszyka do siodlarni. Otworzyła drzwi barkiem i dosc niezdarnie zniknela w srodku.

Czy to aby na pewno dobry pomysl? Od wielu miesiecy nie umawial sie z kobietami. I dlaczego na Boga wybral taka, o ktorej nie wiedzial absolutnie nic.

Chociaz cos jednak wiedzial, czyz nie? Jak na przyklad to, ze nerw kulszowy to najdluzszy i najszerszy pojedynczy nerw w ciele, biegnacy od podstawy kręgosłupa przez pośladek do nogi. Wiedzial, ze nerw odzywia naskorek nogi, a takze miesnie tylne uda, podudzia i stopy. Tego dnia, w ktorym poznal doktor Oliver – teraz juz wiedzial, ze na imie ma Evi – usiadl po kolacji do komputera i zaczal szukac. Dziesiec minut pozniej czul sie jak wscibski podgladacz.

Drzwi do siodlarni otworzily sie, pojawila sie Evi. Juz nieobladowana uprzega szla swobodniej, ale wciaz wyraźnie utykala.

Zauwazyla go, zanim zdazył sie usunac, i zatrzymala sie. Czy to dobrze, czy zle? Potem siegnela do toczka, zeby go odpiac i zdjac. Dobrze? Ruszyla w jego kierunku, skrzywienie na jej twarzy to moglec byc usmiech albo grymas skrepowania. Trudno bylo miec pewnośc i nie mial czasu podjac decyzji, bo Evi byla juz blisko i naprawde musial powiedziec...

– Witam. – Uprzedzila go. „Witam” to dobrze, tak? Lepiej niz: „Co ty tu robisz, do diabla?”

– Witam. Udała sie przejazdka? – Udała sie przejazdka! Naprawde nie stac go na nic lepszego?

– Była ożywcza, dziękuję. Co pan tu robi?

Wyciągnął z kieszeni prawą rękę. Dziesięć sekund rozmowy, a on już wdrażał plan B.

– To pani? – spytał, pokazując filigranową srebrną bransoletkę z niebieskimi kamieniami, odbijającymi refleksy świetlne. Nie ruszyła się, żeby ją odebrać.

– Nie – zaprzeczyła, kręcąc głową. Włosy na skroni miała mokre od potu, były spłaszczone po toczku. Podniosła do nich dłoń, ale zaraz ją opuściła. Twarz miała zaróżowioną; pięć dni temu była blada od szoku.

– Znalazł ją pan na drodze? – spytała.

– Nie. Kupiłem na targu Rawtenstall kilka dni temu – przyznał się. No, to było nieco ryzykowne, ale mogło się opłacić. Grymas ust poszerzył się, może nawet był na granicy uśmiechu.

– Chyba nie przemyślał pan zakupu – rzuciła. – Ten kolor raczej do pana nie pasuje.

– Racja, bardziej mi do twarzy w ciepłych żółciach, ale potrzebowałem wymówki.

Tak, zdecydowanie uśmiech.

– Do czego? – spytała.

– Martwiłem się o Księżniczkę.

– O Księżniczkę? – Usta znowu ułożyły się w zaciśniętą linijkę. Brwi podeszły w górę. Ale oczy nadal się śmiały.

– Tak, jak ona się czuje? – Odwrócił się w stronę boksu, w którym stała siwa klacz, przyglądająca się im. Podeszedł bliżej do konia. – To ona, prawda?

Poszła za nim. Słyszał stukanie laski o beton.

– To Księżniczka – potwierdziła. – Zupełnie nieporuszona naszą przygodą. O której, nawiasem mówiąc, nikomu tutaj nie wspominałam.

– Będę milczał ja grób. A jak Księżniczka zapatruje się na miętówki?

Stała teraz obok niego, w odległości zaledwie kilku centymetrów.

– Odgryzie panu rękę – ostrzegła.

Harry znów poszperał w kieszeni, po czym wyciągnął wąską zieloną tubę, którą też kupił na targu. Księżniczka zarżała. Dwa boksy dalej inny koń zaczął kopać w drzwi.

– No to nieźle pan teraz narozrabiał – mruknęła Evi. – Konie wyczuwają miętówki nawet, jak są w opakowaniu. I rozpoznają opakowanie.

– Ale przynajmniej jest wreszcie tak, że ktoś się cieszy na mój widok –

zażartował, rozpakowując dropsy i podając jeden Księżniczce na rozpostartej dłoni. Ułamek sekundy później miętówkę zastąpiła spora porcja końskiej śliny. I co on właściwie ma teraz z tym zrobić? Wytarcie ręki w spodnie nie wyglądałoby najlepiej.

– Muszę usiąść – oznajmiła Evi. – Nie będzie to panu przeszkadzało?

– Ależ skąd – zapewnił, potrząsając palcami, żeby obeschły. – Potrzebuje pani pomocy?

– Nie – zaprzeczyła. – Po prostu nie mogę długo stać. – Przetawiła laskę i ruszyła dziedzińcem, z powrotem pod kasztanowiec, pod którym stało kilka plastikowych krzeseł. Harry siedł tuż za nią, a kiedy siadała, przytrzymał krzesło. Potem przyciągnął drugie i usiadł obok niej. Ślina Księżniczki na palcach zaczęła już obsychać.

Na terenie ujeżdżalni przed nimi jakiś jeździec szkolił młodego konia tej samej maści co Księżniczka, ale drobniejszej budowy. Szkółka była otoczona żywopłotem z buku, którego liście zaczynały już przybierać ciepłą złotobrazową barwę świeżo wybitych monet.

– Piękny wieczór – rzucił Harry, przyglądając się, jak promienie zachodzącego słońca odbijają się od żywopłotu i ślą złote refleksy na sierść konia. Wyglądał, jakby był w kolczudze.

– Skąd pan wiedział, że tu będę? – spytała Evi.

– Przychodziłem co wieczór, licząc na łut szczęścia – odparł. Koń w ujeżdżalni zdawał się niemalże kłusować w miejscu, łeb miał spuszczonej, nos prawie przy ziemi. Wokół pyska zebrała się piana. – Czy to koń czystej krwi? – zaciekawiał się.

– Pochodzi z Irlandii – odpowiedziała Evi. – Jest piękny i o wiele za młody i zbyt płochliwy, żeby pozwolono mi się do niego zbliżyć. A tak poważnie?

Patrzyła teraz na niego, nie na pięknego młodego konia. Jej oczy były tak niebieskie, jak zapamiętała.

– Tak poważnie – powtórzył. – W poniedziałek zadzwoniłem do szkółki i poprosiłem o rozmowę z doktor Oliver. Przekonywałem, że przychodzi pani na jazdy w poniedziałki wieczorem. Wspomniałem o Księżniczce, spytałem, jak się goi otarta noga, i powiedziałem, że mam naprawdę ważną sprawę i czy są pewni, że pani nie ma, bo byłem przekonany, że mówiła pani o poniedziałku. Po kilku minutach zajrzeli do rozpiski i powiedzieli, że doktor Oliver, znana również jako Evi, jeździ w czwartki, soboty i czasami w niedziele.

Evi z powrotem przeniosła wzrok na ujeżdżalnię. Miała perfekcyjny profil.

Czoło dokładnie tak wysokie jak trzeba, mały prosty nos, pełne usta, krągły podbródek.

– To bardzo podstępne zachowanie jak na kapłana – oznajmiła w końcu.

Harry roześmiał się.

– Najwyraźniej nigdy nie słyszała pani o jezuitach. Czy to byłoby niestosowne, gdybym zaprosił panią na drinka?

Bezspornie byłoby, bo już się nie uśmiechała.

– Proszę wybaczyć – rzucił. – Jeśli ma pani męża lub chłopaka, albo zwyczajnie nie znosi pani rudych, to jasne, że posunąłem się za daleko i... cóż, może Księżniczka będzie miała wolny czas w piątek wieczorem. Pójdę i zapytam.

Zaczął się podnosić. Błędnie ocenił sytuację i teraz musi się ulotnić tak godnie, jak tylko się da.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jestem na bardzo mocnych środkach przeciwbólowych – powiedziała. – Przez cały czas. Nie wolno mi pić alkoholu.

Jakoś nie zabrzmiało mu to na zdecydowane „nie”.

– Cóż, to świetnie, bo z kolei ja jestem duchownym – rzucił, siadając z powrotem. – Nie wolno nam się upijać co noc, więc wyjdzie mi to tylko na zdrowie. W Rawtenstall puszczają sezon filmów z Christopherem Lee. Lubi pani horrory?

– Niezbyt. – Dłoń zsunęła się z jego ramienia, ale uśmiech zdecydowanie powrócił.

Pokręcił głową.

– To tak jak ja. Za bardzo się boję. A co pani sądzi o komediach romantycznych?

– Zaczynam myśleć, że w jednej z nich występuję. Czy pastorów nie obowiązuje przypadkiem celibat?

– To u księży katolickich – wyjaśnił, z trudem zachowując poważną minę. – W kościele anglikańskim seks jest jak najbardziej dozwolony – ciągnął. Evi odwróciła się od niego, a skóra na jej szyi wyraźnie się zaróżowiła. – Wytyczne mówią, że zwykle najpierw powinniśmy zaprosić kobietę na kilka randek. Wie pani, do kina, na pizzę, ale jestem ugodowy, dostosuję się.

Teraz już była cała czerwona i patrzyła przed siebie, jakby siwy koń w ujeżdżalni miał za chwilę zrobić coś spektakularnego.

– Proszę się łaskawie zamknąć – warknęła.

– No cóż, zamknąłbym się, ale pani się jeszcze nie zgodziła, a trudno jest

namawiać kogoś do czegoś w języku migowym.

Znowu na niego patrzyła, próbując zachować powagę, co nie do końca jej się udawało.

– Kilka dni temu nazwałam pana dupkiem – przypomniała.

– Bardzo spostrzegawcza uwaga. Lubię wnikliwe kobiety.

Spuściła głowę i zerknęła na niego z ukosa. To był zaskakująco dziecinny gest jak na kobietę, która prawdopodobnie przekroczyła już trzydziestkę.

– Przepraszam, że byłam taka wredna – powiedziała. – Ale wyłudowałam na tyłku na środku drogi, ręce i nogi miałam wszędzie i...

– To był całkiem niezły widok, więc... oj, przepraszam, źle to zabrzmiało... już się zamykam. Może powinienem zaprosić na tę randkę jednak Księżniczkę.

– Pewnie pana za to ekskomunikują.

– Nie, to też jest dozwolone. I powszechniejsze, niż się pani wydaje.

Roześmiała się, miękkim, prawie bezdźwięcznym śmiechem, który potrząsnął jej ramionami i piersiami pod koszulką. Znowu zaczynał. Odchylił się w tył i popatrzył w górę. Po niebie sunęło małe stadko szpaków. Nagle jak jeden mąż ptaki zmieniły kierunek i na ułamek sekundy utworzyły w powietrzu coś, co prawie przypominało kształt serca, nim się ponownie rozłączyły i odfrunęły w dal.

– Nie jestem religijna, nie chodzę do kościoła – oznajmiła Evi po chwili.

Harry wzruszył ramionami.

– Nie ma ludzi idealnych.

– Mówię serio. – I faktycznie tak było. Przestała się uśmiechać. – Ja naprawdę nie wierzę w Boga – ciągnęła. – To nie będzie panu przeszkadzało? Jak będziemy oglądali te romantyczne komedie albo jedli pizzę czy cokolwiek?

– Dobiję z panią targu, Evi? – zaproponował, wiedząc, że targ już został dobity i że powinien zamknąć tę transakcję.

– Kolejnego? – zażartowała.

– Pierwszy wypadł nieźle. Wsadziłem panią na konia, a pani wciąż chciała ze mną rozmawiać. Więc moja nowa oferta jest taka, że nie będę próbował pani nawracać, a pani nie będzie próbowała robić mi analizy.

– Skąd pan wie? – Była zaskoczona. – Skąd pan wiedział, jak mam na imię, i skąd pan wie, jaki zawód wykonuję?

Harry pokazał na niebo. Szpaki wciąż tam były, czaiły się nad nimi, jakby wiedziały, co się dzieje na ziemi i chciały doczekać zakończenia.

– Mam wszystkowiedzącego na szybkim wybieraniu. Piątek pani odpowiada?

Nawet nie próbowała udawać, że się zastanawia.

– Tak, może by... O do diabła... ups, przepraszam... w piątek pracuję. Jadę na sesję do rodziny w Oldham. Wrócę późno.

– No to w takim razie sobota... och nie, to znaczy, do diaska... mam tę imprezę w kościele. Heptonclough – tam, gdzie się poznaliśmy, pamięta pani – urządza coroczny jubel dożynkowy. Takie tam uroczyste ścinanie ostatnich kłosów, tańce nago o zachodzie słońca, a potem poczęstunek w jednym z tych dużych domów.

– Brzmi naprawdę nieźle.

– Cóż, nie do końca. Zostałem poproszony o zmówienie tradycyjnych modlitw nad uprawami i na początku poczęstunku. Mogę przyprowadzić gościa, ale może...

– przerwał. Pierwsza randka na imprezie związanej z obowiązkami służbowymi? Czy to na pewno dobry pomysł?

– Wydaje się, że może być ciekawie – rzuciła Evi. – I zobaczę pastora przy pracy.

Harry uzmysłowił sobie, że bardzo by nie chciał, aby jego pierwsze wyjście z Evi się nie udało. Pokazał na swoje ubranie.

– Będę, no wie pani, w stroju liturgicznym – koloratka, toga. Przynajmniej do zakończenia części formalnej.

– Już się nie mogę doczekać. – Szpaki zaczynały odlatywać, co kilka sekund zawracały jednak ku nim, jakby sprawdzały, czy nadal wszystko idzie dobrze. I szło. Tyle że Harry mógł to w każdej chwili zepsuć.

– No, to już zabrzmiało niemalże perwersyjnie – zażartował.

– Powiedział ten, co się chce umawiać na randki z moim koniem.

– W takim razie sobota. Mogę panią odprowadzić do samochodu?

Podźwignęła się na nogi.

– Dzięki – odparła. – Stoi obok tego czegoś jaskrawoniebieskiego z miękkim składanym dachem, tego czegoś całego w chromie.

15

Wygładasz o wiele lepiej, Gillian – pochwaliła Evi. – Ledwie cię rozpoznałam.

– Dziękuję. Faktycznie czuję się lepiej.

Gillian miała świeżo umyte włosy, ubrania wydawały się czystsze. I nawet wokół tych dziwnych srebrnoszarych oczu widać było kropkę makijażu. Tego poranka można było zobaczyć, jaką była atrakcyjną dziewczyną, zanim zawaliło jej się życie.

– I nadal bierzesz leki tak jak trzeba? – upewniła się Evi.

Gillian kiwnęła głową.

– To niesamowite, jak one działają – powiedziała z zachwytem. Potem jednak spochmurniała. – Rozmawiałam z mamą o tym, co mi pani przepisała, i mama stwierdziła, że się uzależnię. Że będę musiała łykać te proszki do końca życia.

Życzliwi krewni z ustalonymi poglądami nie zawsze są pomocni.

– Proszę się o to nie martwić – rzuciła Evi, kręcąc głową. – Uzależnienie zawsze wchodzi w grę, ale będziemy się go bardzo mocno wystrzegały. Leki, które ci przepisałam, to tylko środek tymczasowy. Będę ci stopniowo zmniejszała dawkę, kiedy już obie uznamy, że dasz sobie radę bez nich. Jak ci się podobają spotkania AA?

Kolejne skinienie głowy.

– Jest fajnie. Ludzie są mili. Nie piłam nic od czternastu dni.

– To wspaniale, Gillian, dobra robota.

Szokujące, jaka zmiana zaszła w tej dziewczynie. Jeszcze miesiąc temu Gillian ledwie potrafiła sklecić jedno w pełni sensowne zdanie.

– Możemy porozmawiać o tym, co robiłaś w ciągu tygodnia – zaproponowała Evi. – Jadłaś?

– Staram się, ale... to zabawne, Pete często mi dokuczał, że robię się coraz grubsza. Teraz ja mam rozmiar zero, a jego nowa dziewczyna z każdym tygodniem jest coraz większa.

Znowu świadoma swojego ciała i jego rozmiarów. Używa terminologii z

modelingu – rozmiar zero – i w skrytości ducha jest z tego dumna.

– Masz nadal kontakt z Pete’em? – spytała Evi. Temat byłego męża Gillian wypłynął na krótko w trakcie dwóch wcześniejszych spotkań. Za każdym razem Gillian niechętnie mówiła o mężu, przez co Evi zaczęła podejrzewać, że na drodze do wyzdrowienia kobiety może stać wiele stłumionego gniewu. Teraz, tylko na samo wspomnienie imienia mężczyzny, usta dziewczyny prawie zniknęły, tak mocno je zacisnęła, a mały mięsień pod lewym okiem zaczął drgać.

– Jesteś na niego zła? – spytała Evi, kiedy Gillian nie dała żadnego znaku, że zamierza odpowiedzieć. – Za to, że odszedł, gdy ty tak rozpaczałaś?

Oczy dziewczyny zwęziły się.

– Miał romans – rzuciła, patrząc ponad ramieniem Evi w okno. – Jeszcze przed pożarem. Już wtedy się z nią spotykał, z tą kobietą, z którą jest teraz.

A więc jednak coś było. Evi miała dobre przeczucie.

– Przykro mi, nie wiedziałam – powiedziała. – Jak to odkryłaś?

Gillian wlepiała spojrzenie w dywan.

– Ktoś mi powiedział – wyznała. – Znajoma. Widziała ich w pubie. Ale ja i tak wiedziałam. To się zawsze wie, prawda?

– Ale wyszliście razem z domu, w noc pożaru. Może to nie było nic poważnego, ta rzecz z...

– Nie wyszliśmy razem – przerwała Gillian. – On był z nią. Zostawił mnie samą z Hayley. Kolejny raz. Więc zadzwoniłam do Barry’ego Robinsona i poprosiłam, żeby przyszedł posiedzieć z małą. Potem autobusem pojechałam do miasta. Szpiegowałam swojego męża zdrajcę, a moje dziecko się paliło.

To wiele tłumaczyło. Nic dziwnego, że dziewczyna czuła się winna. Jeszcze mniej dziwne, że mąż odszedł. Tych dwoje nie mogłoby na siebie patrzeć, nie czując przy tym przytłaczających wyrzutów sumienia.

– Czy ty kochasz jeszcze Pete’a? – spytała Evi.

– Tego zdradzającego sukinsyna? – prychnęła Gillian. – Mój ojczym był taki sam. Oni wszyscy tacy są. Łapią każdą, która im się nawinie, i mają w nosie, kto to jest.

W głowie Evi rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Nie dogadywałaś się z ojczymem? – spytała. Ojczym Gillian zdradzał jej matkę? Z kim?

Gillian nadal miała oczy wbite w podłogę. Zacisnęła usta. Wyglądała jak nastolatka, którą czeka bura za to, że się gdzieś zasiedziała i nie wróciła do domu

na czas.

– Obwiniasz Pete’a o śmierć Hayley? – spróbowała Evi jeszcze raz, kiedy się zorientowała, że Gillian nie chce i nie będzie mówić o ojczymie. Brak odpowiedzi.
– Jesteś zła na niego za to, że może nie przeżył tego tak mocno jak ty?

Gillian wreszcie podniosła głowę.

– Śmierć Hayley zdruzgotała Pete’a – oznajmiła. – On ją uwielbiał. Potem nie był w stanie zmusić się, żeby na mnie spojrzeć, bo mu ją przypominałam.

– Żałoba często doprowadza do rozbicia małżeństwa – oznajmiła Evi. – Czasami ból jest tak silny, że jedynym sposobem na to, żeby ludzie mogli ruszyć z miejsca, jest rozstanie.

– Myśli pani, że jeszcze kiedyś kogoś poznam? – spytała Gillian po krótkiej chwili milczenia.

– Masz na myśli mężczyznę? – upewniła się Evi, zaskoczona. – Mówisz o chłopaku?

– Tak. Myśli pani, że to możliwe, żebym kiedyś jeszcze się w kimś zakochała? W kimś, kto... no wie pani, zadbałby o mnie.

Czyżby już kogoś poznała? To by wyjaśniało czyste włosy i ubranie, to zainteresowanie przyszłością. Kogoś na mityngu AA?

– Sądzę, że to bardzo prawdopodobne – przytaknęła Evi. – Wciąż jesteś młoda i bardzo ładna. Ale związek miłosny wymaga dużych nakładów energii emocjonalnej. Musimy się skupić na tym, żebyś odzyskała siły.

– Następnym razem poszukam sobie kogoś innego niż Pete – oświadczyła Gillian. – Może kogoś starszego. Nie przejmowałabym się nawet bardzo wyglądem. Wystarczyłoby mi, żeby był miły.

Dziewczyna nie szukała; wyglądało na to, że myśli, iż już tego kogoś znalazła.

– Miły to dobra cecha u mężczyzny – zgodziła się Evi. – Jak ci się układa z innymi uczestnikami mityngów?

– Są w porządku. Jest za wcześnie, pani zdaniem, żebym kogoś sobie znalazła?

– A kogoś znalazłaś? – sondowała Evi.

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Nie – zaprzeczyła. – Może. Pomyśli pani, że zwariowałam, jak pani powiem.

– Dlaczego miałabym tak pomyśleć?

– No bo, chodzi o to, że... no on nie jest w moim typie. Ale był miły. I potem, następnego dnia, przyszedł mnie odwiedzić. Został na prawie dwie godziny. Rozmawialiśmy. I była między nami, no... ta chemia, wie pani, o czym mówię?

Mimo obiekcji Evi się uśmiechnęła.

– Tak – przytaknęła – wiem, znam się na chemii.

Wszystkie podręczniki powiedziałyby, że dziewczyna nie jest gotowa na nowy związek, ale, hej, czasami trzeba po prostu dać się ponieść fali. Zresztą Evi sama wiedziała, jak wiele może zmienić niewinne przypadkowe spotkanie. Jak niespodziewanie w mrok, będący jedyną perspektywą kobiety, może się wedrzeć promień słońca.

– Ale Chryste, no serio, pastor? To takie nie w moim stylu.

– Kto?

– On jest pastorem. Uwierzy pani? Będę musiała przestać przeklinać, to po pierwsze. I kościół co tydzień. Nie jestem pewna, czy dam radę.

Uśmiech zaczął być dla Evi bolesny. Pozwoliła mięśniom wokół ust rozluźnić się i skupiła się na utrzymaniu zainteresowanego i przyjaznego wyrazu twarzy.

– Poznałaś pastora? – spytała.

– Wiem, wiem. Ale było w nim coś takiego... I jest młody, ubiera się normalnie, i tak naprawdę to pani może go znać, bo widziałam panią...

Gillian paplała dalej, ale Evi już nie słuchała. O tak, faktycznie było w nim coś takiego.

– Musimy na tym teraz skończyć, Gillian – oznajmiła, chociaż do pełnej godziny zostały im jeszcze cztery minuty. – Jestem ogromnie zadowolona z twoich postępów i z tego, jak świetnie sobie radzisz.

Gillian opuściła gabinet uśmiechnięta. Kilka tygodni temu jej życie leżało w gruzach. Teraz się uśmiechała. Evi sięgnęła po telefon. Czy istniało jakieś inne wyjście? Ona go nie widziała. Wybrała numer i podziękowała Bogu, w którego nie wierzyła, kiedy połączyło ją z automatyczną sekretarką Harry'ego.

Alejooo!

Okrzyk na ulicy, roznoszący się echem. Głos mężczyzny, donośny i silny. Sekundę później odpowiedziało mu wiele innych.

– Alejooo, alejooo, alejooo!

Cisza. Joe spojrział na brata, który oczy miał wielkie jak spodki. Tom wzruszył ramionami, minę miał taką, jakby nie był zaskoczony, jakby już kiedyś słyszał takie okrzyki, ale udawał.

– Alejoo! – Znowu tylko jeden głos, dochodzący gdzieś z doliny. Chwila przerwy i potem znowu to samo. Alejoo, alejoo, coraz głośniejsze i szybciej wykrzykiwane, jak bicie w bębny. Brzmiało to tak, jakby gdzieś z bliska nadciągała chmara ludzi.

A potem, w momencie gdy Tom pomyślał, że okrzyki głośniejsze już być nie mogą, wszystko ustało. Nastąpił krótkotrwały spokój, później przeraźliwy łoskot, jakby jakiś metal uderzał w kamień. Potem znowu i znowu. Łup! Łup! I zbliżające się kroki. Tom przysunął się do ojca, tylko trochę, tylko o dwa niezauważalne dla nikogo kroczyki.

Fletcherowie stali na podjeździe, była siódma wieczorem. Pora, kiedy Joe i Millie kładli się do łóżek. Tom niewiele później. Ale dzisiaj były dożynki. Bardzo stary rytuał, wyjaśniał pan Renshaw, gdy przyszedł zaprosić Fletcherów, taki sprzed wieków. Dożynki. W tamtym momencie brzmiało to jak coś fajnego i Tom miał wrażenie, że matka była zadowolona z zaproszenia. Ale teraz, kiedy słuchał tych kroków i tego okropnego ostrego zgrzytania metalu trącego o kamień, jakby ktoś ostrzył noże, Tom nie mógł opędzić się od pytania: kto będzie dożynany?

Zadrzał i dał do ojca jeszcze jeden krok. Stojący obok niego Joe zrobił to samo. Słońce już zaszło, a wraz z nim zniknęła piękna złota poświata, ścieląca się po całej wsi jeszcze godzinę temu. Teraz niebo było chłodno srebrzysto-różowe, a cienie na

ziemi się wydłużyły.

Tom popatrzył w górę ulicy i zobaczył stojącego na samym jej środku pana Renshawa w tweedowej marynarce i kaszkiecie. Obok niego stary pan Tobias, który był już u nich kilka razy i który uwielbiał rozmawiać z mamą o malowaniu. Pan Tobias wyglądał dokładnie jak jego syn, tylko był o wiele starszy. W zasadzie to obaj przypominali trochę te dwa kościoły: jeden wysoki, silny i dumny, drugi taki sam, ale bardzo stary. Była tam też kobieta, też wysoka i elegancko ubrana, bardzo podobna do dwóch mężczyzn. Ale nie była aż taka stara jak oni i w twarzy miała coś, co Tomowi kojarzyło się z czymś w rodzaju pustki.

Obok niej stał Harry, wyglądający jak pastor, w białej szacie haftowanej złotem, trzymający duży czerwony modlitewnik. Za nimi stał cały tłum, wszyscy ubrani odświętnie, głównie kobiety i dziewczynki. Tom nie miał pojęcia, że w Heptonclough mieszka aż tylu ludzi. Stali w drzwiach, przy wejściach do uliczek, opierali się o mur kościoła, wyglądali przez okna. Tom uświadomił sobie, że przygląda się twarzom, szukając tej jednej bladej, z dużymi ciemnymi oczami, okolonej długimi brudnymi włosami.

Odgłos ciężkich kroków wielu osób stał się donośniejszy, buty głośno waliły w bruk. I to straszne zgrzytanie. Ciągłe i ciągłe, jak paznokcie drapiące po tablicy, jak strojenie skrzypiec, jak...

Kosy!

Zobaczył ich wreszcie. Mężczyźni wyłonili się zza zakrętu, szli pod górę w ich kierunku i każdy niósł kosę: straszliwie ostra, wygięta blacha, jak piracka szabla osadzona na długim trzonku. Idąc, mężczyźni przeciągali ostrzami po bruku i po kamiennym murze.

– O rany – sapnęła Alice. – Cofnijcie się. Wszyscy.

Tom wiedział, że matka żartuje, ale mimo to dał krok w tył, wprost na stopę ojca. Gareth Fletcher jęknął i przepchnął syna z powrotem do przodu. Czołówka mężczyzn dotarła do pana Renshawa i reszty przy bramie kościoła i procesja się zatrzymała. Jeden z mężczyzn na froncie, zdaniem Toma Dick Grimes, rzeźnik, coś głośno wykrzyknął i wszyscy mężczyźni w tłumie zarzucili kosy na ramiona. Potem zupełna cisza. Pan Renshaw skinął głową do Harry'ego.

– Módlmy się – zaprosił Harry i wszyscy spuścili głowy. Joe nachylił się do brata.

– Myślisz, że on ma krótkie spodnie pod tą sukienką? – spytał szeptem.

– O Panie, który błogosławisz nas codziennie obfitością swego miłosierdzia –

czytał Harry – i który zsyłasz na nasze pola, lasy, łąki życiodajny deszcz i promienie słońca...

– O czym on mówi? – szepnął Joe do ucha Toma.

– Dziękuję Bogu za to, że wszystko rośnie – syknął w odpowiedzi Tom.

Kiedy Harry mówił, Tom dostrzegł Gillian, tę kobietę, której tak współczuła jego mama. Stała trochę dalej, przy wejściu na Wite Lane. Tom nie mógł nic na to poradzić, że zawsze gdy widział Gillian, zaczynał czuć się nieswojo. Kobieta była za smutna. I patrzyła na niego, Joego i Millie w taki sposób, że go wręcz skręcało. Zwłaszcza na Millie. Z jakiegoś powodu Gillian była nią zafascynowana. Teraz jednak na nią nie patrzyła, była zapatrzona w Harry'ego.

– Przyjmij Boże dziękczynienie nasze za wszystkie twe błogosławieństwa – mówił Harry – Przez Jezusa Chrystusa, naszego Pana. Amen.

– Amen! – wykrzyknęli mężczyźni z kosami i ich rodziny, które przyszły pod kościół za nimi.

– Amen – powiedział Joe, trochę później niż wszyscy inni.

– Men – wymamrotała Millie z wysokości ramienia ojca.

Sinclair Renshaw podziękował pastorowi skinieniem głowy, następnie ruszył w dół ulicy. Ludzie poszli za nim, a potem wszyscy skręcili w Wite Lane, kierując się ku polom w dole. Harry szedł za mieszkańcami z tyłu, tak samo Fletcherowie.

Wolno dreptali za innymi i dzięki temu Tom miał czas zauważyć, że jeżyny już zaczynały dojrzewać, że owoce dzikiej róży i głogu błyszczą, a niebo w dali przed nimi ma kolor dojrzałych kłosów jęczmienia.

– Wszystko w porządku, Gareth? – spytał mężczyzna, który dołączył do ojca Toma. To był Mike Pickup, mieszkający ze swoją żoną Jenny na farmie Morrell, na samym szczycie wrzosowiska. – Ładny wieczór, w sam raz na takie zabawy.

– Cześć, Mike – przywitał się Gareth.

Mike Pickup wyglądał na trochę starszego od ojca Toma i był o wiele grubszy. Zaczynał już lekko łysieć, miał jaskraworumiane policzki i był ubrany w tweed jak obaj panowie Renshaw.

Przy bramie dawnego domu Gillian Tom i jego rodzina musieli zejść na pobocze, żeby ominąć końskie kupy. Potem przełazem wyszli na pole i szli w górę z całą resztą jak tłusty krokodyl, aż dotarli na sam środek. Tam wszyscy się zatrzymali, mężczyźni zaczęli się ustawiać w dużym okręgu, kilka kroków jeden od drugiego. Reszta utworzyła okrąg wokół nich. Tom nadal nigdzie nie dostrzegł dziwnej małej dziewczynki. Jeśli na pole zeszło się całe miasteczko, to gdzie ona jest?

– Chyba będziemy tańczyli – szepnęła matka Toma. Jego ojciec zmarszczył czoło, pokazując w ten sposób, żeby żona była cicho.

Fletcherowie ledwie widzieli Sinclaira Renshawa, stojącego w środku mniejszego kręgu. Stał przy małym skrawku niezżętego jeszcze zboża. Dick Grimes wysunął się naprzód i podał Sinclairowi kosę.

– Czy to na siano dla zwierząt? – spytał Gareth cicho?

– Tak – potwierdził Mike. – Tylko tej kępce dali wyrosnąć tak wysoko, resztę skosili dwa tygodnie temu. Żniwa są u nas w trzeciej kwadrze, jak księżyc się zmniejsza. Zawsze tak było.

Tom zerknął w górę i zobaczył, że blady księżyc właśnie się pojawił na horyzoncie.

– Jest pełnia – zauważył.

Mike Pickup pokręcił głową.

– Była dziesięć godzin temu. Teraz księżyc się zmniejsza – wyjaśnił. – Ale już ciii...

Zamilkli. W środku okręgu pan Renshaw chwycił ostatnią kępkę zboża, skrzył ją i mocno pociągnął. Kosę podniósł wysoko nad głowę.

– Mam go! – krzyknął tak głośno, że Tom pomyślał, że słyhać go prawdopodobnie nawet na tym zmniejszającym się księżycu. – Mam go! – powtórzył. – Mam go! – zawołał po raz trzeci.

– Co masz?! – odkrzyknęli mężczyźni w odpowiedzi.

– Snopek! – krzyknął Sinclair. A potem jego kosa opadła w dół tak szybko, że Tom nawet tego nie zauważył. Ostatnia kępka zboża została ścięta i wszyscy na polu – mężczyźni, kobiety i dzieci – zaczęli wiwatować. Mama, tata i nawet Millie z grzeczności zaczęli klaskać. Tom i Joe popatrzyli na siebie.

Później kobiety rozbiegły się po polu jak myszy, żeby wybierać nawet najmniejsze źdźbła pozostałe po wcześniejszym koszeniu. Mężczyźni stłoczyli się wokół pana Renshawa, ściskali mu dłoń, jakby zrobił coś niesamowitego, potem się odwracali i odchodzili, schodząc z pola. Tom patrzył, jak Harry pomaga Gillian przejść przez przełaz i jak potem odchodzą razem Wite Lane. Przy furtce dawnego domu Gillian zatrzymali się i wdali w rozmowę.

– Kiedy on coś wreszcie dorżnie? – spytał Joe, stojący obok Toma.

– Właśnie to chyba zrobił – odparł Tom. – Ściął kosą ostatnią kępkę zboża.

Przez sekundę Joe miał zawiedzioną minę, ale potem pokręcił głową i głosem zbyt poważnym na swój wiek oznajmił:

– Myślę, że tu chodzi o coś więcej.

Harry w ślad za idącymi przed nim mężczyznami przeszedł pod wysokim kamiennym krużgankiem i po brukowanej wąskiej alejce biegnącej wzdłuż niższego krańca cmentarza. Po lewej miał średniowieczne budynki – starą rezydencję opata i kwatery zakonników, po prawej wysoki płotek z kutego żelaza zwieńczający tę część muru kościelnego. Po raz pierwszy odwiedzał dom Renshawów; poprzednie spotkania z kościelnym odbywał w zakrystii u Świętego Barnaby albo w Białym Lwie.

Inaczej niż w przypadku reszty domów w miasteczku, kamienna fasada Domu Opata była czysta i miała barwę sproszkowanego imbiru. Po obu stronach drzwi wejściowych stały gigantyczne wazony wypełnione kłosami pszenicy, jęczmienia i kwiatami polnymi. Drzwi miały rzeźbienia w kształcie liści i róż i były tak stare jak cała reszta budynku. Były zamknięte i idący przed nim mężczyźni mijali je i szli dalej w blasku zawieszonych na murze latarenek, które po zmroku miały wskazywać gościom drogę powrotną.

Wysoko na murze siedział czarny kot i przypatrywał się przechodzącym. Harry’emu przyszło na myśl, że to być może ten sam kot, którego widzieli z Evi tydzień temu. Dom Opata był olbrzymi, front ciągnął się wzdłuż drogi przez niemal trzydzieści metrów. Trochę dalej były następne drzwi, te już otwarte, i mężczyźni kierowali się właśnie ku nim. Harry wszedł za innymi do przestronnej sali z wysokimi, wąskimi oknami. Pośrodku stały zapakowane po sufit jedzeniem blaty na kozłach, w głębi pod ścianą coś z prawie czarnego drewna, coś, co wyglądało jak pulpit.

– Muszę obejrzeć podeszwy pańskich butów, pastorze – oznajmił uprzejmy głos, należący do kogoś starszego wiekiem. Harry przekręcił głowę i zobaczył ojca Sinclaira, pana Tobiasa, najstarszego mieszkańca miasteczka i jeśli plotki nie kłamały, najmądrzejszego.

– Panie Renshaw – rzucił Harry, wyciągając dłoń. – Harry Laycock. Miło poznać.

– Mnie również. – Wymienili uścisk dłoni. Mężczyźni, którzy weszli do sali pierwsi, wieszali swoje kosy na kamiennych ścianach. Na wszystkich zamontowanych było mnóstwo haków. Do pomieszczenia za Harrym wciskały się kolejne osoby. Pojawiły się też kobiety i dziewczyny ze zebranymi pojedynczymi kłosami zbóż.

– A o co chodzi z tymi moimi podeszwami? – zaciekawiał się Harry.

– To taka tradycja. – Tobias się uśmiechnął.

– Kolejna? – W wejściu nie było zbyt wiele miejsca. Harry musiał stanąć bardzo blisko Tobiasa, który, gdy był młodszy, musiał być tak wysoki jak jego syn. Ale nawet teraz był prawie wzrostu Harry’ego.

– Och, my tu ich mamy całe mnóstwo – odrzekł starszy pan. – Ta jest z tych najmniej dokuczliwych. Dlatego radzę się zgodzić, a opór zostawić na czas, kiedy będzie naprawdę potrzebny. Pastor, ponieważ jest nowy w miasteczku, podaje mi stopę – ta czarująca dama na pewno zechce pana podtrzymać – a ja przetrę podeszwę buta kamieniem powitalnym. To religijna tradycja, zapoczątkowana przez zakonników w dwunastym wieku. Chyba nie będzie się pastor odwracał plecami do historii, co?

– Zaiste, nie będę – przytaknął Harry. – A ta czarująca dama, o której pan wspomniał, to... och, witam ponownie, Gillian. W zasadzie to chyba dam sobie radę sam. To jak mam to zrobić, wystawić nogę jak w kankanie, czy się odwrócić i podać jak koń do podkucia?

– A co to za sprośności się tu wyprawia? – rzuciła Alice, pojawiając się w drzwiach z Millie na biodrze. Obaj synowie szli tuż za matką. – Proszę się przesuwać, pastarze – popędziła. – Kolejka czeka.

– I niech czeka, Alice – odezwał się Tobias. – Pani będzie następna. A potem pani śliczna córeczka. Dobry wieczór, moja droga. – Starzec wyciągnął rękę i długimi opalonymi palcami pogładził dziewczynkę po włosach.

– No, niechże pastor podaje już tę nogę – rzucił jakiś inny kobiecy głos. Harry odwrócił się i zobaczył Jenny Pickup, przeciskającą się obok nich do sali. – Kiedy się przychodzi na ucztę dożynkową po raz pierwszy, trzeba dać sobie wyczyścić podeszwę kawałkiem starej skałki. Dziadek robi to od sześćdziesięciu lat i teraz na pewno nie przestanie.

– Ja tam nie mam nic przeciwko temu – oznajmiła Alice. Z Millie wciąż wiszącą na jej biodrze, podniosła wysoko prawą nogę. Tobias chwycił ją jedną ręką za kostkę, a drugą gładkim kamieniem wielkości mango przetrął podeszwę buta.

– Jestem pod wrażeniem – mruknął Harry, gdy Alice opuściła nogę, nie zachwiawszy się nawet.

– Piętnaście lat lekcji baletu – pochwaliła się kobieta. – Teraz pastora kolej.

Harry spojrział na Toma i Joego, wzruszył ramionami, oparł rękę na barku Toma i wystawił stopę. Kilka sekund później Tom, Joe, Millie i Gareth Fletcherowie mieli za sobą przecieranie podszew kamieniem, po czym razem z Harrym przeszli w głąb sali.

– Jak w jakiejś zbrojowni – zauważył Gareth, rozglądając się. Wraz z nadejściem każdego kolejnego żniwiarza kos przybywało, wysoko nad nimi wisiły strzelby i sztucery. Niektóre wyglądały na antyczne, kolekcjonerskie. Inne nie.

– Super – westchnął Joe. – Tato, mogę...

– Nie – sprzeciwiła się Alice.

– Tu w dawnych czasach był refektarz, stołówka zakonników – wyjaśniła Jenny, która została z nimi. Miała na sobie długą obcisłą czarną sukienkę i jakoś nie pasowała ona do niej tak dobrze jak zwykle codzienne ubranie, w którym była w dniu, kiedy Harry ją poznał. – A w młodości ojca była tu szkoła podstawowa. – Pokazała na rzeźbiony pulpit. – To stare miejsce nauczyciela – dodała, zanim zwróciła się do Harry'ego. – Teraz ta sala służy nam jedynie do urządzania przyjęć. Dobrze widzieć pastora w stroju liturgicznym.

Harry otworzył usta bez większego pojęcia, co zamierza powiedzieć.

– A co robi tamta pani? – spytał Tom.

W głębi sali kobieta, która wcześniej stała z Sinclairem i Tobiasem, wspięła się po schodkach na stare siedzisko nauczyciela i skupiła się na czymś na swoich kolanach. Wokół niej kobiety do dużych wypełnionych wodą kadzi wkładały zebrane na polu kłosa i trawy.

– To moja siostra, Christiana – odpowiedziała Jenny. – Jak co roku jest królową żniw i musi upleść słomianą kukłę.

– A co to słomiana kukła? – zaniepokoił się Joe.

– To stary wiejski zwyczaj – wyjaśniała Jenny. – W dawnych czasach, zanim wszyscy zostaliśmy chrześcijanami, ludzie wierzyli, że duch ziemi żyje w zbożu i że, kiedy się go zetnie, duch traci swój dom. Staje się bezdomny. Więc z ostatnich kłosów zbóż robiono kukły – coś w rodzaju tymczasowego domu dla ducha na zimę. Wiosną plecionka trafiała z powrotem do ziemi. Jak byłam małą, zazdrościłam Christianie i błagałam tatę, żeby choć raz to mi pozwolił być królową żniw. A on zawsze odpowiadał, że jeśli kiedyś będę potrafiła upleść taką kukłę jak

Christiana, to mi pozwoli.

– I uplotła pani? – spytał Tom.

– Nie, do diabła, to po prostu niemożliwe. Proszę wybaczyć, pastorze. Nie wiem, jak ona to robi. Uplecie tę kukłę do końca wieczoru. A teraz chodźmy się czegoś napić.

Harry razem z dorosłymi Fletcherami został poprowadzony do stołu z napojami. Dokoła nich sala się wypełniała, ludzie zaczęli się wylewać przez podwójne drewniane drzwi do dużego ogrodzonego ogrodu. Harry widział ciemnoturkusowe wieczorne niebo i drzewa owocowe obwieszane lampionami. Czteroosobowa orkiestra złożona ze skrzypków i flecistów szykowałą się do gry.

Pod jedną ze ścian stały szklane gabloty przypominające muzealne, które przyciągnęły uwagę chłopców Fletcherów i ich ojca. Harry dołączył do nich. W gablotach znajdowały się archeologiczne artefakty wykopane na wrzosowiskach i zachowane przez rodzinę Renshawów w prywatnym muzeum. Były tam krzemienne narzędzia z epoki neolitycznej, broń z epoki brązu, rzymska biżuteria, nawet ludzkie kości.

Harry nie mógł się długo przyglądać, bo był nieustannie rozprasany. Ciągłe i ciągle ludzie podchodzili do niego i przedstawiali się, aż w końcu zupełnie stracił nadzieję, że zapamięta te wszystkie imiona.

Po około godzinie wydawało się, że poznał wszystkich. W sali zrobiło się gorąco, ruszył więc do drzwi prowadzących do ogrodu, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył chłopców Fletcherów i kilkoro innych dzieci ze wsi tłoczących się dokoła królowej żniw na krześle nauczycielskim. Ponad ich głowami przyglądał się szybkim i zręcznym palcom starszej córki Sinclaira.

To była duża, potężna kobieta, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Domyślał się, że dobiegała czterdziestki, może nawet już ją skończyła. Włosy miała gęste, ciemnobrązowe, twarz prawie bez zmarszczek. Byłaby nawet całkiem ładna, gdyby w dużych brązowych oczach tliła się choćby iskierka inteligencji, gdyby jej dolna warga nie zwisała, jakby kobieta zapomniała, że zasadą jest trzymanie buzi zamkniętej.

Może zapomniała. Może każdy gram myśli w jej głowie był skupiony na dłoniach, które poruszały się z niewiarygodną szybkością. Zginały, skręcały, plotły, ciągle i ciągle palce podrygiwały, aż ostatni kłos, namoczony i zmiękczone wodą,

został uformowany w odpowiedni kształt. Kobieta patrzyła przed siebie, nawet raz nie spojrzała w dół na swoją robótkę, ale przez ten krótki czas, przez jaki siedziała na krześle, zdążyła uformować pętlę długą na blisko piętnaście centymetrów i teraz dołączała do niej długie kłosa, skręcając je i wplatając na właściwe miejsce.

– To splot penniński – oznajmił jakiś głos. Harry i chłopcy odwrócili się w tym samym momencie, żeby się przekonać, że dołączył do nich Tobias Renshaw. – Plecenie słomianych kukieł to tradycja kultywowana w całej Anglii – ciągnął starszy pan – ale każdy region ma własny charakterystyczny wzór. Ten splot uważa się za jeden z najtrudniejszych. Cała inteligencja mojej wnuczki umiejscowiła się w jej palcach.

Harry spojrział szybko na Christianę; na jej twarzy pojawił się przelotny grymas, ale spojrzenie pozostało nieporuszone. Dłonie też nie przerwały pracy.

– Wygląda na bardzo skoncentrowaną – zauważył Harry. – Nie przeszkadza jej, że się na nią patrzy?

– Christiana żyje we własnym świecie – odparł starszy pan. – Wątpię, żeby wiedziała, że tu jesteśmy.

Harry spostrzegł, że Christiana rzuciła dziadkowi szybkie spojrzenie. Położył ręce na plecach chłopców Fletcherów.

– Chodźcie, chłopaki – powiedział. – Zostawmy pannę Renshaw w spokoju. Będziemy podziwiali jej pracę później.

Odwrócił się, zamierzając wyprowadzić chłopców do ogrodu, poszukać ich rodziców. Tobias zatrzymał go, kładąc mu dłoń na piersi.

– Przypuszczam, że pastor musi pogardzać naszymi tradycjami – rzekł. Nacisk jego dłoni był zaskakująco silny jak na tak wiekowego mężczyznę. Harry zwalczył pokusę odtrącenia dłoni.

– Ależ skąd – obruszył się. – Rytuały to coś bardzo ważnego. W kościele jest ich pełno.

– Racja – zgodził się Tobias swoim niskim i kulturalnym głosem, opuszczając rękę. – Wydarzenia takie jak to spajają społeczności. Bardzo niewiele z obecnych tu osób to rolnicy – większość pracuje w pobliskich miasteczkach, niektórzy są przedsiębiorcami, niektórzy są bezrobotni. Ale wszyscy biorą udział w dożynkach, bo tak robili ich ojcowie i dziadowie. Dzięki temu świętu i innym podobnym tradycjom czują związek z tą ziemią. Rozumie to pastor?

– Wychowałem się w nieciekawej dzielnicy Newcastle – odparł Harry. – Mieliśmy niewielki kontakt ze wsią.

– Wszystko, co pastor tu dzisiaj zje, urosło lub zostało wyhodowane w tej okolicy – oznajmił Tobias. – Dziczyznę sam ustrzeliłem, chociaż wzrok mam już nie taki jak kiedyś. Dziewięćdziesiąt procent wszystkiego, co jadłem przez całe życie, pochodziło z tych wrzosowisk. Sporo ludzi w miasteczku może powiedzieć o sobie to samo. Renshawowie są samowystarczalni od wieków.

– Znaczy się, że ryb raczej nie lubicie? – domyślił się Harry.

Tobias uniósł brwi.

– Przeciwnie, na samym dole doliny mamy strumień z pstrągami. – Pokazał na stół z potrawami. – Polecam pasztet z pstrąga.

– Chętnie skosztuję. Hej, Gillian, szukałaś mnie?

– Zatrzymam pastora jeszcze chwilę dłużej. Wybacz nam, moja droga, dobrze? – rzucił Tobias. – Uciekajcie, chłopcy, muszę zamienić z pastorem Laycockiem słówko na osobności. – Nie czekając na powtórzenie polecenia, Tom i Joe pobiegli przez salę ku gablotom z bronią. Gillian przeszła na drugą stronę pomieszczenia, ale Harry czuł, że nie przestała go obserwować.

– Mamy tu jeszcze jedną tradycję, pastorze, o której moim zdaniem powinien się pastor dowiedzieć – zaczął Tobias. – Tak jak z poprzednią, różnie ona wygląda w całej Anglii. Kilka tygodni po dożynkach, zwykle w połowie października, urządzamy tu ubój bydła, które nie będzie nam potrzebne na wiosnę. Głównie chodzi o nadwyżki owiec i świń, trochę kurczaków, wyjątkowo ubijamy jakąś krowę. W dawnych czasach mięso się konserwowało, żeby ludzie mogli przetrwać zimę. Obecnie pakujemy je po prostu do zamrażarek.

– Brzmi całkiem sensownie. Chce pan, żebym odmówił jakąś modlitwę przed odesłaniem zwierząt do ubojni?

– Nie zrozumiał mnie pan, pastorze – zaprzeczył Tobias. – Nie będziemy potrzebowali usług pastora, a zwierzęta nigdzie nie będą odsyłane. Zarzynamy je tutaj, na miejscu.

– Tutaj, w miasteczku?

– Tak. Dick Grimes i mój syn mają wszystkie wymagane licencje. Dick na tyłach swojego sklepu ma odpowiednie pomieszczenia. Wspominam o uboju tylko dlatego, że rodzina Fletcherów mieszka po drugiej stronie ulicy i będzie słyszała trochę z tego, co się tam będzie działo. W uboju bierze udział wiele osób. Przed sklepem będzie... jak by to ująć?... trochę bałaganu. Nazywamy to Krwawymi Żniwami.

– Jak?

– Nie przesłyszał się pastor. Oczywiście chętnie sam porozmawiam z Fletcherami, ale pomyślałem, że może lepiej, gdyby to wyszło od pastora, bo zdaje się, że całkiem nieźle się dogadujecie. Dobrze by było, jakby na przykład na ten weekend gdzieś się wybrali, może z wizytą do jakichś krewnych.

Kilka kroków za drzwiami do sali Millie siedziała na podłodze. Głucha i ślepa na stopy i nogi dokoła niej, głaskała kota. Jej mała pulchna rączka przesuwała się po futerku, od głowy do koniuszka ogona. Ogon zadrżał. Millie złapała go i ścisnęła. Kot się poderwał i z gracją oddalił.

Millie się rozejrzała. Jeden z jej braci, ten, którego nazywała Doe, był bardzo blisko, wpatrywał się w jakieś strzelby w gablocie. Millie wstała i potruchtała za kotem. Najpierw on, a potem ona wyszli z sali na uliczkę przed domem. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

– O, tu pan jest, Harry. Wydaje się pan dzisiaj lekko przygaszony. Wszystko w porządku?

Alice znalazła go w głębi ogrodzonego murem ogrodu, na otoczonej starymi krzewami różanymi ławeczce z wikliny, trzymającego w dłoni pustą szklaneczkę.

– W jak najlepszym – odparł, przesuując się, żeby Alice też mogła usiąść. – Ładuję tylko baterie. Ludzie rzadko jedynie tylko gawędzą z pastorem, wiedziała pani? Zwykle oczekują czegoś więcej. Drobnej porady duchowej przy kieliszeczku sherry. Czasami dyskusji o tym, dokąd zmierza Kościół anglikański. Po jakimś czasie staje się to dość męczące.

Alice usadowiła się na ławeczce obok niego. Poczul zapach jej perfum – coś słodkiego, raczej staroświeckiego.

– Ledwie tu pana odnalazłam – powiedziała. – Co się stało ze strojem kapłana?

Harry ściągnął go i koloratkę przy pierwszej możliwej okazji.

– Zbyt mi było gorąco – wyjaśnił. – I za bardzo rzucałem się w oczy. Chciałem na chwilę wtopić się w tło.

Alice przechyliła głowę na bok. Wydało mu się to jakieś bardzo znajome, chociaż nie sądził, by widział, żeby kobieta robiła tak wcześniej.

– Czy ktoś pastora zdenerwował?

Popatrzył jej w oczy. Kusilo go, żeby powiedzieć o pogawędce z Tobiasem, ale ostatecznie zrezygnował. Po co psuć wieczór także i jej? Wyglądała dzisiaj na szczęśliwszą niż kiedykolwiek, od kiedy ją poznał. Któregoś dnia w przyszłym

tygodniu pogada o tym na osobności z Garethem.

– Umówiłem się dzisiaj na randkę – wyznał, zaskakując samego siebie. – Ale dziewczyna wystawiła mnie do wiatru.

Twarz Alice się rozpromieniła.

– Na randkę? Ale fajnie.

Harry podniósł obie dłonie.

– A jednak nefajnie, jak się okazuje.

– Przykro mi. – Alice dotknęła lekko jego ramienia. – Podała powód?

– Zostawiła tylko wiadomość na automatycznej sekretarce. Tłumaczyła się, że ma mnóstwo pracy i że może spotkamy się za kilka tygodni, jak się u niej zrobi trochę spokojniej. Nie brzmiało to obiecująco.

– A to pech – mruknęła Alice. – Chce pastor jeszcze jednego drinka?

– Jeśli wypiję coś jeszcze, będę musiał spać w zakrystii – odparł. – Ale nieistotne, powinniśmy wracać na zabawę. Chodźmy.

Wstali i między jabłonkami ruszyli w stronę domu. Kiedy zbliżali się do tłumu, Harry zauważył w nim jakieś poruszenie, ktoś się przez niego przeciskał. Sekundę później pojawił się Gareth Fletcher z Tomem, którego Gareth trzymał mocno za rękę.

– Nie możemy znaleźć Joego i Millie – powiedział. – Szukaliśmy wszędzie. Ale oni zniknęli.

Część 2

KRWAWE ŻNIWA

18

Harry i Tom, przemierzając salę, natknęli się na Sinclaira Renshawa.

– Co się stało, pastorze? – spytał.

– Zaginęła dwójka najmłodszych Fletcherów – odpowiedział Harry pośpiesznie.

– Ta mała dziewczynka? – zaniepokoił się Sinclair. Mimo muzyki i hałasu w sali mówił ściszym głosem.

– Tak, i jej brat. Ich rodzice poszli do domu sprawdzić, czy dzieci tam nie wróciły. Tom i ja...

– Sekundkę. – Sinclair odwrócił się, żeby się rozejrzeć. – Ojcie! – zawołał. Potem wziął Toma za ramię i zaczął go prowadzić do starszego pana. Tom słyszał, że Harry idzie za nimi, ale kiedy się obejrzał, zobaczył, że pastor nie jest zadowolony. Poproszono go, żeby przypilnował Toma i poszukał dzieci na zewnątrz, i właśnie to chciał zrobić. Tom też chciał tego samego, chciał szukać Joego i Millie i być przy tym blisko dorosłego, któremu ufał.

– Ojcie. – Dotarli do drzwi wychodzących na ulicę. Na zewnątrz było zbyt ciemno na samotne spacerki, zwłaszcza dla takich małych dzieci jak Joe i Millie. – Zginęło najmłodsze dziecko Fletcherów – wyjaśnił Sinclair, nadal mówiący ściszym głosem. – Ta mała dziewczynka.

– I jej brat – przypomniał z naciskiem Harry.

– Tak, tak – przytaknął Sinclair. – Ojcie, zawołaj Jenny i Christianę i przeszukajcie dom. – Potem ściszył głos nawet jeszcze bardziej. – Pozamykajcie drzwi – dodał.

Tobias kiwnął głową i ruszył (całkiem zwawo jak na tak podeszły wiek) przez salę do miejsca, gdzie Christiana nadal plotła kukłę. Sinclair odwrócił się do Harry'ego.

– Jak dawno zaginęła... zaginęli? Kiedy i gdzie widziano ich ostatnio?

Harry nie wiedział, no bo skąd, popatrzył więc na Toma. Tom też wiele więcej nie wiedział, a poza tym trudno mu było myśleć, gdy ten największy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widział, patrzył na niego z góry tym swoim zagniewanym wzrokiem.

– Tutaj – wymamrotał Tom. – Ja byłem... – przerwał. Miał przykazane, żeby pilnował brata i siostry, kiedy ojciec poszedł po napoje. To wszystko to jego wina.

– No co? – ponaglił go Harry. – To ważne, Tom. Co robiłeś?

– Byłem pod stołem z jedzeniem – przyznał się. – Chowałem się przed Jakiem Knowlesem. – Spojrzał w górę na Harry'ego z nadzieją, że go zrozumie. Jake i dwaj jego kumple przyszli szukać Toma, mamy nie było nigdzie w pobliżu, a tata stał po drugiej stronie sali, prawie w ogrodzie. Tom zanurkował pod stół zakryty dużym białym obrusem i przeczołgał się na drugi koniec. Kiedy dotarł do ojca, razem z nim wrócił przez salę po Joego i Millie.

– Szukaliśmy ich wszędzie – powiedział. – W sali, na drodze, w ogrodzie. Ale oni zniknęli.

Kiedy mówił, zobaczył, że Tobias Renshaw i jego wnuczka Christiana przecinają pomieszczenie i znikają, wychodząc przez duże podwójne drewniane drzwi.

Sinclair Renshaw jeszcze chwilę przypatrywał się Tomowi, potem zwrócił się do Harry'ego.

– Niech go pastor trzyma przy sobie – polecił. – Zorganizuję grupę poszukiwawczą. Nie chcę, żeby w poszukiwaniu włączyli się wszyscy, bo zapanuje chaos. Zajmę się tym, proszę mi to zostawić.

Odszedł. Harry i Tom popatrzyli na siebie i ruszyli ku otwartym drzwiom. Przeciskając się obok kobiety w jaskrawożółtym swetrze, wyszli na zewnątrz, gdzie wysokie mury sprawiały, że na ulicy było ciemniej, niż mogli się spodziewać. Tom w wdzięcznością powitał widok lampionów na murze.

– Twoja mama i twój tata pewnie poszli w tamtą stronę – powiedział Harry, pokazując w kierunku domu Fletcherów. – My chodźmy w przeciwną.

Skręcili obaj w lewo i odeszli, a odgłosy zabawy stopniowo cichły, aż w końcu nie słyszeli nic poza odgłosem własnych kroków. Przerwy między lampionami stawały się dłuższe, a alejka coraz mroczniejsza. Skręcili za róg i przekonali się, że trafili w ślepa uliczkę.

– Joe i Millie nie daliby rady przez niego przeleźć – powiedział Tom, patrząc na wysoki kamienny mur przed nimi.

– Nie – zgodził się Harry. – Ale mogli przejść tędy.

Tom odwrócił się i poczuł się tak, jakby wypadły mu wnętrzności. Nawet myślał, że gdyby spojrział w dół, zobaczyłby je pod swoimi stopami. W murze kościelnym była wysoka kuta brama. Przed nią na ziemi leżała otwarta kłódka. Za bramą mógł dostrzec nagrobki, połyskujące w blasku księżyca jak perły.

Harry zajrzał za bramę, potem spojrzął na Toma.

– Tom, biegnij z powrotem do sali zabawowej – polecił. – Będę za tobą patrzył, aż bezpiecznie tam dotrzesz.

– Nie, ja chcę zostać z panem – sprzeciwił się Tom, chociaż nie była to przemyślana decyzja, bo chciało się mu wchodzić na ten cmentarz tak samo, jak chciałby, żeby ktoś wbił mu patyk w oko.

– Tom, tam nie będzie szczególnie przyjemnie. Wracaj.

To był cmentarz, na litość boską! I nie jakiś tam byle jaki, tylko ten na tyłach ich domu, po którym wałęsało się coś zdecydowanie dziwnego. To oczywiście, że nie będzie przyjemnie. Ale Joe i Millie tam weszli. Tom jakoś to wiedział. Czuł, że brat i siostra przechodzili przez tę bramę.

– Idę z panem – oświadczył stanowczo. – Musimy ich znaleźć.

Harry wymamrotał coś, co, gdyby nie był pastorem, brzmiałoby bardzo podobnie do przekleństwa, a potem zdjął ze ściany dwie latarenki. Jedną z nich podał Tomowi.

– Nieś z daleka od siebie – przestrzegł. – I trzymaj mocno.

Tom tak zrobił, a potem pchnęli bramę i weszli na cmentarz.

Było tam tak cicho, jakby świat wyłączył cały dźwięk. Potem Harry odezwał się, a Tom nie zdołał nad sobą zapanować i ze strachu podskoczył w górę.

– W dawnych czasach to musiało być jedno z prywatnych wejść zakonników – zgadywał Harry. – A teraz idziemy, wolno, trzymając się ścieżki i nasłuchując. I tylko mnie wolno krzyczeć. Zrozumiano?

– Tak – szepnął Tom i ruszyli.

Szli już kilka minut, gdy nagle Tom uświadomił sobie, że trzymają się za ręce. A

cisza wokół wydawała się straszliwie nienaturalna. Powinni coś słyszeć, prawda? Wiatr w gałęziach drzew? Cokolwiek? Mógłby nawet dojść do wniosku, że nagle stracił słuch, gdyby nie odgłos ich kroków na ścieżce i oddechu Harry'ego. Potem Harry zatrzymał się i Tom też.

– Joe! – zawołał Harry. – Millie!

Gdzieś blisko coś zaszleściło, Harry szybko przekreślił głowę.

– Joe?! – krzyknął. Czekali. Nikt im nie odpowiedział, więc po chwili znowu ruszyli.

– Tom! – usłyszeli cienki głosik gdzieś niedaleko.

Harry gwałtownie się zatrzymał.

– To był Joe – stwierdził. – Gdzie on jest? – Puścił rękę Toma i zaczął się obracać w miejscu, trzymając lampion wysoko nad głową. – Joe! – zawołał, tym razem głośniej.

– Tom – odezwał się znowu ten sam głosik.

– To zdecydowanie Joe – mruknął Harry. – Słyszałeś, z której strony wołał? – Harry wciąż się obracał w tę i w tamtą, wyglądając bardziej jak pies myśliwski niż człowiek, jakby miał za chwilę przytknąć nos do ziemi i zacząć węszyć. Tom za to stał zupełnie nieruchomo.

– Nie, to nie był Joe – oznajmił.

– Co takiego? – zdziwił się Harry.

– To nie był Joe – powtórzył Tom, oglądając się na bramę, próbując obliczyć, jak daleko do niej mają i czy, gdy zaczną uciekać, Harry go wyprzedzi i zostawi samego. – Pastorze – dodał. – Chodźmy stąd.

Harry albo nie usłyszał, albo postanowił go zignorować. Znowu złapał go za rękę i pociągnął ze ścieżki pod górę w stronę grobowca Renshawów.

– On nie może być daleko – mówił. – Trzymaj się mnie, Tom. I uważaj, jak idziesz, patrz pod nogi.

Ruszyli po nierównym gruncie, wkrótce mieli przemoczone stopy. Rosa zdążyła już opaść na wysokie trawy i tam, gdzie padało na nią światło księżyca, połyskiwała srebrzyście. Tom czuł na łydkach zimne miękkie muśnięcia, czuł spojrzenia łypiących na nich nagrobków. Już nie wyglądały jak perły; wyglądały jak kły.

Wbił oczy w ziemię, skupiając się na usiłowaniu niedopuszczenia do tego, żeby się przewrócić. Harry szedł zbyt szybko i Tom chciał krzyknąć, żeby się zatrzymał, że robi straszny błąd, że...

– Tom! – zawołał ten sam przerażający głos tuż za ich plecami. Tom wyrwał się Harry’emu i szybko się odwrócił. Był zdecydowany, że będzie walczył, będzie bił z całych sił, bo miał dosyć, absolutnie dosyć tym razem i...

To był Joe. Prawdziwy Joe. Na wpół szedł, na wpół biegł przez trawę w ich stronę. Harry rzucił się do niego, podniósł w górę i mocno ściskając, mamrotał: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu”. Tom też mówił to samo, w myślach, dzięki Bogu, dzięki Bogu. A potem nagle przestał. Bo Joe był sam.

Masz obsesję, głupia krowo – wymamrotała Evi do samej siebie. – Zamknij to i idź spać. – Spojrzała na zegar w dolnym lewym rogu ekranu komputera: 21.25. Nie mogła iść spać o w pół do dziesiątej.

Może w telewizji będzie coś ciekawego? Obróciła się z krzesłem i spojrzała przez pokój na telewizor. Chyba jest naiwna. To sobotni wieczór. A na półkach nie miała nic, czego nie czytałaby już przynajmniej ze cztery razy.

Odwróciła się z powrotem do ekranu komputera, spoglądając na zdjęcie Harry’ego, które znalazła na stronie „Lancashire Telegraph”. Był na nim w czarnej koszuli, koloratce i w ciemnej marynarce. Zdjęcie było prawdopodobnie sprzed roku, góra dwóch lat. Włosy miał trochę dłuższe, a w płątku ucha połyskiwał maleńki metalowy krzyżyk. Towarzysząca zdjęciu relacja powiedziała jej, że wielbny Harry Laycock został powołany na urząd pastora niedawno połączonych probostw Goodshaw Bridge, Loveclough i Heptonclough, i że na poprzednim stanowisku był asystentem arcybiskupa w diecezji Durham. Wcześniej kilka lat pracował jako duszpasterz anglikański w Namibii. Nie był żonaty i dla służby Bogu porzucił ulubione zajęcia takie jak piłka nożna (gra i oglądanie), wspinaczka górską oraz biegi długodystansowe.

Mogłaby wydrukować zdjęcie.

Tyle że absolutnie, zdecydowanie nie zrobi nigdy czegoś tak patetycznego. Przewinęła stronę i do wyszukiwarki wpisała „Heptonclough”, wciskając następnie „szukaj”, zanim miała czas się zastanowić, co robi. Wyszukiwarka znalazła kilka odnośników. To nie była obsesja, tylko uzasadnione poszukiwanie informacji. Miała w tym miasteczku pacjentkę.

Heptonclough nie pojawiało się w wiadomościach zbyt często. Ostatnim newsem był ten o mianowaniu Harry’ego. Pominęła go szybko, zanim by ją podkusiło i znowu otworzyłaby artykuł. Mieszkaniec Heptonclough zwolniony za kłusownictwo; Nowa linia autobusowa połączy Heptonclough z pobliskim Goodshaw Bridge. On mieszka w Goodshaw Bridge... Och, ogarnij się, kobieto.

Znalazła relację z pożaru w domu Gillian, a potem uzupełniające wiadomości o tym, że Barry Robinson został wypuszczony ze szpitala, ale z pożaru nic nie pamiętał. Poszukiwania zaginionej Megan są kontynuowane; Ostrzeżenie pubów w Heptonclough skierowane do niepełnoletnich pijących alkohol...

Evi przewinęła stronę z powrotem do góry. Poszukiwania zaginionej Megan są kontynuowane. Dlaczego to brzmi znajomo? Historia miała sześć lat. I – przesunęła listę artykułów w dół – na stronie było kilka dalszych relacji związanych z tym tematem i jedna, która je poprzedzała: Na wrzosowiskach zaginęło dziecko.

Otworzyła link i przeczytała kilka pierwszych linijek. Pracowała w Shropshire, gdy historia trafiła do prasy, ale pamiętała, że jakaś dziewczynka zaginęła na pennińskich wrzosowiskach. Poszukiwania trwały wiele dni. Dziecko, czy raczej jego zwłoki, nigdy się nie znalazły. Evi wspominała nawet o tym podczas wykładu na uczelni – etapy żałoby w sytuacji nieokreślonej, niepotwierdzonej straty i trudności z domknięciem procesu żałoby w przypadku utrzymującej się nadziei – nawet tej nierealistycznej.

Dziesiątki okolicznych mieszkańców dołączyły do prowadzonych przez policję poszukiwań czteroletniej Megan Connor. Megan, która oddaliła się od rodziny w trakcie pikniku, ma jasne włosy do ramion i niebieskie oczy. Była ubrana w czerwony płaszcz przeciwdeszczowy i czerwone kalosze. Zdjęcia dziewczynki są rozprowadzane na terenie północno-zachodniego obszaru kraju, a tymczasem bliscy Megan proszą wszystkich o czujność i o modlitwę za bezpieczny powrót ich córki.

Zdjęcie dołączone do informacji przedstawiało dziewczynkę w stroju Królowy Śnieżki, już nie bobasa, ale wciąż z pulchnymi, miękkimi rysami bardzo małego dziecka. Jeśli Gillian brała udział w poszukiwaniach, mogłoby to wyjaśniać, dlaczego trzy lata później wymyśliła sobie i się tego trzymała, że jej córka mogła zagubić się w podobny sposób.

To nie miało sensu, Evi nie była w stanie dłużej tak siedzieć. Z jakiegoś powodu ból w nodze wydawał się dzisiaj silniejszy. W szafce w łazience miała tramadol. Nie brała go, nie miała potrzeby go brać, od pół roku. Czy naprawdę chce znowu do niego wracać?

20

Gdzie jest Millie? – spytał Harry, odstawiając Joego na ziemię. – Joe, gdzie jest twoja siostra?

– Oni chyba poszli tam – odpowiedział chłopiec, nerwowo zerkając na brata i pokazując na kościół na pagórku.

– Kto? – dopytywał się Harry. – Kto tam poszedł?

– Nie widziałem – odpowiedział Joe, znów zerkając z ukosa na Toma. – Widziałem, jak Tom wszedł pod stół, a potem Millie zniknęła.

– Czy wyszła przed dom? Wyszła z zabawy?

– Szukałem jej przed domem – wyjaśniał Joe. – Wydawało mi się, że ktoś wszedł tutaj, ale szli za szybko.

Harry na chwilę oderwał wzrok od Joego i spojrzał na starszego chłopca. Nie podobało mu się to, co zobaczył na jego twarzy.

– Wiesz coś o tym? – spytał. – Wiesz, kto zabrał Millie?

Tom nie patrzył na Harry'ego, bo wzrok miał wbity w brata. Pokręcił wolno głową.

Harry się wyprostował.

– Halo! – zawołał w noc. – Czy ktoś mnie słyszy? – Czekali. – Gdzie, do diabła, są wszyscy? – wymamrotał, kiedy nikt nie odpowiedział. – Dobra, dacie radę pójść ze mną?

Joe bez zawahania skinął głową, potem – po sekundzie zastanowienia – Tom zrobił to samo. Harry znowu się pochylił i podniósł Joego. Zostawiając lampion i trzymając mocno Toma za rękę, ruszył przed siebie.

– Millie! – krzyczał, przystając co kilka kroków. Dotarli na szczyt wzgórza i zatrzymali się w cieniu ruin opackiego kościoła, jakieś dziesięć metrów od drzwi. Joe, chociaż drobny, zaczynał być ciężki. Harry postawił chłopca na ziemi.

– Millie! – krzyknął i usłyszał, jak jego głos odbija się i wraca do niego z dziesiątków różnych stron. – Millie, Millie, Millie – wołało echo.

– Millie – odezwał się jakiś głos, głośno i wyraźnie. Zdecydowanie nie echo.

– Kto to powiedział? – spytał Harry, obracając się w miejscu.

Joe i Tom spojrzeli na siebie.

– Czy to ona ją zabrała, Joe? – spytał Tom półszepsem. – To poważna sprawa. Gdzie one są?

– I o kim mówimy? – dołączył się Harry, który szedł tyłem w stronę kościoła, oddalając się od chłopców. – Co tu się dzieje? Millie!

– Tommy! – zawołał wysoki cienki głosik i Tom doskoczył do boku Harry’ego.

– No dobra, dosyć już tego. – Harry pilnował się, żeby nie krzyknąć, ale trudno mu było ukryć gniew. – Zaginęło dziecko i zaraz zostanie wezwana policja, jeśli już nie została. Pokażcie się.

Czekali. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Zaturkotał uruchamiany silnik. A potem nagle ciszę rozdarł przerażający pisk.

– To Millie! – zawołał Tom. – To naprawdę ona. Jest gdzieś blisko. Millie! Gdzie jesteś?

– W kościele – rzucił Joe. – Drzwi są otwarte.

Harry zobaczył, że chłopiec ma rację. Drzwi prowadzące do kościoła były lekko uchylone. A nie powinny o tej porze. Rzucił się do nich, chłopcy za nim. Kiedy wbiegł do środka, od razu włączył światło. Wpadł do nawy i stanął jak wryty. Nad jego głową ktoś kwilił.

– Och, Boże zbaw nas – wymamrotał, spoglądając w górę.

Tom i Joe podnieśli głowy, żeby zobaczyć to, co zobaczył Harry. Wysoko w górze, na drewnianej poręczy balkonu, z twarzą ściągniętą przerażeniem, siedziała Millie.

21

Drogi Steve!

Chciałabym Cię poprosić o radę w pewnej sprawie. Dołączam dwa artykuły prasowe, żebyś się zorientował w okolicznościach, chociaż możesz pamiętać historię Megan Connor. O ile sobie przypominam, dziewczynka się nie odnalazła.

Mam dwudziestosześcioletnią pacjentkę z miasteczka, w którym mieszkała zaginiona Megan. Cóрка tej pacjentki zginęła w wypadku w trzy lata po zniknięciu Megan. Dręczy mnie przeczcucie, że rozpacz, jakiej doświadcza moja pacjentka, może być pogłębiana przez to wcześniejsze wydarzenie.

Pamiętam, że wtedy cały kraj bardzo przeżywał to zniknięcie, a pewnie tutaj, na miejscu, było jeszcze gorzej. Moja pacjentka brała nawet udział w poszukiwaniach.

Moje pytanie brzmi: czy mogę poruszyć ten temat w naszych rozmowach, czy powinnam poczekać, aż pacjentka sama o tym wspomni? Z pozoru wydaje się, że robi postępy, ale ja nadal wielu rzeczy nie rozumiem. Ciągłe mi się wydaje, że coś przede mną ukrywa. Jakies przemyślenia?

Uściski dla Helen i dzieciaków

Evi

Evi sprawdziła pisownię, uzupełniła przecinki i wcisnęła „Wyślij”. Steve Channing był kimś w rodzaju nieformalnego przewodnika, bardziej od niej doświadczonym psychiatrą, do którego często zwracała się po poradę, gdy na swojej drodze napotkała trudniejszy przypadek. Oczywiście po dacie i godzinie mejla zorientuje się, że pracuje w sobotni wieczór, no ale cóż... nie mogła ukrywać się przed wszystkimi.

22

Jak ona tam weszła? – jęknął Tom, nie potrafiąc oderwać oczu od swojej małej siostrzyczki, balansującej niebezpiecznie na wysokości sześciu metrów nad twardą kamienną posadzką kościoła. Nikt mu nie odpowiedział – dlaczego mieliby odpowiadać? Pytanie było głupie. Jedyne, co się liczyło, to, jak sprowadzą Millie na dół.

– Zostań tam, gdzie jesteś, Millie. Nie ruszaj się. – Harry biegł z powrotem do drzwi kościoła. Usłyszeli jego kroki na schodach prowadzących na galerię. Zdaży, musi. Kroki się zatrzymały, usłyszeli hurkot towarzyszący szarpaniu drzwiami oddzielających schody od galerii.

– To jakieś żarty – dobiegł ich głos Harry’ego. Potem w kościele rozeszło się echo głośnego łomotania. Harry kopał w drzwi.

– Oni je zamknęli – powiedział Joe. – On się do niej nie dostanie.

Przestraszona hałasem Millie spojrzała w dół na braci. Potem wyciągnęła obie rączki i Tom poczuł w żołądku grudę lodu. Ona zaraz do niego skoczy, tak jak robiła, gdy skakała do niego z oparcia kanapy. Zaraz skoczy, przekonana, że on ją złapie, jak zawsze łapał. Ale nie było takiej możliwości, żeby mógł to zrobić teraz, nie przy skoku z takiej wysokości, bo będzie spadała zbyt szybko. Nie było nic, absolutnie nic, co mógłby zrobić. Millie spadnie, a jej głowa roztrzaska się na kamieniach jak szkło.

– Nie, Millie, nie, nie ruszaj się! – krzyczeli do siostry obaj chłopcy, patrząc z przerażeniem, jak dziewczynka traci równowagę na wąskiej poręczy i leci do przodu. Kiedy Joe zaczął krzyczeć, Millie wystawiła rączki i jedną chwyciła się poręczy. Jednocześnie jej stopy, wciąż w różowych odświętnych pantofelkach, znalazły minimalne podparcie na wąskiej półeczce biegnącej wzdłuż brzegu galerii.

– Cicho, obaj, zamknijcie się – syknął Harry, który do nich z powrotem dołączył. Tom złapał Joego i przyciągnął do siebie. Nie zdawał sobie sprawy, że tak się obaj drą. Joe przywarł do niego i jakoś udało im się zamilknąć.

– Millie! – zawołał Harry. Tom usłyszał w jego głosie drzenie. – Trzymaj się,

kochanie, trzymaj się mocno. Ja już po ciebie idę.

Harry popatrzył na obie strony kościoła, jakby podejmował jakąś decyzję. Potem ponownie zwrócił się do chłopców.

– Przynieście podnóżki... poduszki modlitewne – polecił. – Przynieście tyle, ile zdołacie i rozłóżcie na podłodze, bezpośrednio pod nią. Zróbcie to teraz. Już.

Tom nie mógł się poruszyć. Nie mógł oderwać oczu od Millie. Gdyby choćby na sekundę spojrzął gdzie indziej, Millie by spadła. Jego brat zdążył już tymczasem zdjąć z haków trzy podnóżki i zaczął je układać obok siebie, tworząc z nich miękkie dywan. Jeśli tylko uda im się przynieść wystarczająco wiele, podnóżki zamortyzują upadek.

Kątem oka Tom widział, że Harry podciąga się na parapet okna i przesuwa aż do miejsca, z którego mógł dosięgnąć poręczy galerii. Jak zamierzał wspiąć się wyżej, Tom nie miał pojęcia, ale w wolnym czasie Harry wspinał się po górach – jeśli ktoś mógł to zrobić, to tylko on. A Tom musi się skupić na przynoszeniu podnóżków. Joe poszedł za jego przykładem i przerzucał je przez oparcie długiej ławy. Kiedy tylko lądowały na ziemi, Tom układał je obok pozostałych. Mata zderzeniowa dla Millie była coraz większa.

– Nie, kochanie, nie. – Głos Harry’ego był napięty od wysiłku wkładanego we wspinanie się. I od prób opanowania paniki. – Zostań tam, gdzie jesteś! – wołał. – Trzymaj się mocno, ja już idę. – Tom na sekundę się zatrzymał i spojrzął w górę. Jak olbrzymi pająk Harry przywierał do rzeźbionych paneli, którymi wyłożone były tylne ściany kościoła. Jeśli się nie ześliźnie, za kilka sekund dotrze do balustrady balkonu i będzie mógł nad nią przeleźć. Kolejną sekundę zajmie mu dotarcie do Millie i wtedy Millie będzie bezpieczna.

Tylko że Harry mógł nie mieć tych sekund. Bo Millie zauważyła, że Harry się zbliża i sama też zaczęła do niego iść. Przesunęła się po występie i już nie stała bezpośrednio nad podnóżkami. A te jej pulchne paluszki nie były silne. Głośno zawodziła. Nie miała już sił się trzymać. Mogła w każdej chwili spaść. I wiedziała o tym.

23

Evi przeglądała dokumentację medyczną Gillian Royle. Kiedy przyjmowała Gillian, dokumentacja, zgodnie z procedurami, została przesłana do niej. Szczęśliwie przychodnia rodzinna Gillian należała do jednych z pierwszych, które w pełni skomputeryzowano. Nawet starsze dane spisane na papierze z dzieciństwa dziewczyny zostały w pewnym momencie wprowadzone do systemu.

Naturalnie Evi czytała już tę dokumentację przed pierwszym spotkaniem z Gillian, ale zastanawiała się, czy może czegoś nie przeoczyła.

„Tego zdradzającego sukinsyna” – tak brzmiały słowa Gillian o jej byłym mężu. „Mój ojczym był taki sam”. Gillian już kilka razy zdarzało się zdenerwować, gdy rozmowa zahaczała o temat mężczyzn w jej życiu. Kilka aspektów jej charakteru – cynizm, gdy mówiła o mężczyznach i o seksie, jej poczucie, że jest ofiarą, niewypowiedziane, aczkolwiek wyraźnie wyczuwalne przeświadczenie, że świat jest jej coś winien – kazało Evi podejrzewać, że w przeszłości Gillian mogło dojść do jakiegoś rodzaju nadużyć, molestowania.

Evi przewinęła stronę z powrotem do wcześniejszych zapisów, z okresu, gdy Gillian była dzieckiem. Była szczepiona, jak wszystkie dzieci, jako trzylatka przeszła ospę wietrzną. Krótco po śmierci ojca w wypadku odbyła wizytę u lekarza rodzinnego, ale nic jej nie zaordynowano, żadnego leczenia, żadnych lekarstw.

W wieku dziewięciu lat zmieniła przychodnię, zaczęła chodzić do innej, w Blackburn. Ta zmiana zapewne miała związek z ponownym zamążpójściem matki i wyprowadzką rodziny z Heptonclough. Częstotliwość wizyt u lekarza Gillian w tamtym czasie wzrosła. Dziewczynka często uskarżała się na nieokreślone bóle brzucha, przez które nie była w stanie chodzić do szkoły, ale wywiad nie ustalił niczego niepokojącego. Było też kilka drobnych urazów – skręcony nadgarstek, zadrapania i tym podobne. To mogło sugerować przemoc fizyczną. Ale mogło też oznaczać, że dziewczynka była zwyczajnym żywym dzieckiem i często coś sobie robiła.

Kiedy Gillian miała trzynaście lat, ona i matka z powrotem przeprowadziły się

do Heptonclough. Gillian bardzo wcześnie zaczęła stosować pigułki antykoncepcyjne – kilka miesięcy po ukończeniu piętnastu lat – i w wieku siedemnastu lat miała usuwaną ciążę. Nieszczęśliwy scenariusz, ale też nie nietypowy dla współczesnej nastolatki.

Och, na litość boską, mam mnóstwo innych pacjentów, zżymała się w duchu Evi. Znowu wstała i zerknęła w stronę łazienki. Drzwi były otwarte, dlatego widziała szafkę.

Na dworze było zupełnie ciemno. Czy w Heptonclough są teraz tańce? Evi nie tańczyła od trzech lat. I prawdopodobnie już nigdy nie będzie tańczyła.

24

Musimy przesunąć podnóżki! – zawołał Tom do brata. – Pomóż mi. – Na rękach i kolanach zaczęli pchać poduchy po posadzce. Ale podnóżki nie przesuwwały się gładko po nierównych kaflach; kiedy natrafiały na występy i zagłębienia, rozdzielały się.

– Dosuwaj je do siebie! – krzyczał Tom i nie mając odwagi spojrzeć w górę, razem z Joem gorączkowo próbował przepychać podnóżki na właściwe miejsce. Nie miał pojęcia, czy ustawiali je pod Millie, czy nie, po prostu bał się popatrzeć w górę, bo wiedział, że jeśli to zrobi, zobaczy lecące na siebie ciało siostry.

– Jak ona się tam, kurwa, dostała?! – zakrzyknął jakiś głos z końca kościoła. Tom spojrział tam i zobaczył Jake’a Knowlesa i Billy’ego Aspina, którzy weszli do kościoła tak cicho, że nikt tego nie usłyszał. Obaj z zafascynowaniem gapili się na pastora i na małą dziewczynkę.

Harry już prawie docierał do Millie, która jeszcze jakoś trzymała się balustrady. Coś uderzyło Toma w twarz; kiedy się obejrzał, przekonał się, że Jake i Billy, stojący za trzecią ławką od niego, zbierali podnóżki i rzucali je w jego stronę.

– Układasz je za daleko, kretynie! – zawołał Jake, oczy miał utkwione w Tomie, ale pokazywał palcem na balkon i potem na podłogę. – Piętnaście centymetrów w tamtą stronę.

Miał rację. Tom zaczął przesunąć podnóżki w lewo, a Joe starał się z trudem zbierać je w jedną kupę. Dołączył do nich Billy, który zaczął układać podnóżki jeden na drugim, podczas gdy Jake nadal rzucał je do nich, ciskając nimi jak pociskami rakietowymi.

Potem Tom usłyszał nad sobą łoskot i ledwie zdołał zdusić okrzyk przerażenia. Billy, Jake i Joe patrzyli w górę. Harry wszedł już na galerię i przemawiał spokojnie do Millie, zarazem wolno do niej idąc. Zostało mu tylko pięć kroków... cztery... trzy... Tom wstrzymał oddech. Harry wyciągnął ręce. Tom zamknął oczy.

– Ma ją! – zawołał Jake. Tom wypuścił powietrze i otworzył oczy. Nie było przed nim martwej siostry, ociekającej krwią na kamiennej posadzce. Już po

strachu. Jake patrzył na rozrzucone wszędzie podnóżki.

– Chyba przydałoby się teraz odnieść to wszystko na miejsce – mruknął.

– Chłopcy! – To był Harry, wołał z góry, takim głosem, jakby właśnie przebiegł maraton. – Millie i ja nie zejdziemy, jeśli nie znajdą się klucze do drzwi. Czy któryś z was mógłby iść ich poszukać w zakrystii?

Przez chwilę Tom nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie jest zakrystia. Na froncie kościoła, pomyślał. Odwrócił się i zamarł. Zamrugał i znowu spojrzął. Nic tam nie było. Ale przez sekundę był przekonany. Po jednej stronie organów jej chude ciało przyciśnięte do piszczałek. Ktoś ich podglądał. Jakaś mała dziewczynka.

25

Wychodzili z kościoła: ten mężczyzna, który chyba teraz nim zarządzał, i bracia Millie. I matka też; nie matka Millie, ona dalej biegała po ogrodzie przy domu, krzyczała i robiła wielkie zamieszanie. Nie, to była ta druga matka, ta, która się pojawiła znikąd, akurat gdy dzieci i ten mężczyzna opuścili kościół. Niosła Millie na rękach, kiedy schodzili w dół wzgórza.

Rodzice Millie ich zobaczyli. Pobiegli w ich stronę. Wszyscy mówili naraz, patrzyli na Millie, głaskali ją po głowie, przytulali. Wystraszyli się, myśleli, że ją stracili. Teraz będą jej lepiej pilnowali. Przez jakiś czas.

Na początku przez kilka minut czułam się tak, jakbym znowu przechodziła tamten koszmar. Wie pani, co mam na myśli? Moja mała dziewczynka zginęła, a ja musiałam ją znaleźć. Musiałam wyjść, chodzić po wrzosowiskach, wołać i wołać, aż ją znajdę.

– Już dobrze, Gillian, nie spiesz się. Daj sobie czas.

– Nie byłam w stanie normalnie myśleć. Chciało mi się krzyczeć.

– Rozumiem – powiedziała Evi. – To musiało być straszne przeżycie dla wszystkich, ale dla ciebie szczególnie. Znowu kolejne poszukiwania na wrzosowiskach: najpierw Megan, potem Hayley, teraz to ostatnie – Millie, tak miała na imię ta dziewczynka?

– Tak – potwierdziła Gillian.

– Nie spiesz się – powtórzyła Evi. Czy powinna poruszyć temat poszukiwań Megan? Nie dostała jeszcze żadnej odpowiedzi od swojego kolegi.

– Ale potem było tak, jakby ktoś włączył światła i znowu widziałam wszystko wyraźnie. Najgorsze, co mogło mnie spotkać, już mnie spotkało. Nie miałam się czego obawiać, więc mogłam pomóc. Znam wszystkie kryjówki w całym mieście. Przez trzy lata sprawdzałam każdą niemal codziennie, wiedziałam, że mam największe szanse, żeby ją znaleźć.

Gillian była na zakupach od ostatniego spotkania z Evi. Miała na sobie czarne spodnie, które wyglądały na nowe, i obcisły czarny sweterek. Jej cera poprawiała się z dnia na dzień.

– Mamy mnóstwo czasu, Gillian – przypomniała Evi. – Jeszcze czterdzieści minut, zanim skończymy sesję. Masz ochotę opowiedzieć mi, co zrobiłaś?

– Poszłam jej szukać – odpowiedziała. – Sama, w ciemności, bo jestem do tego przyzwyczajona. Poszłam Wite Lane, obok naszego starego domu i w górę przez pola w kierunku Tor. Potem wróciłam, bo zobaczyłam światła w kościele.

– To dowodzi dużej siły charakteru – zauważyła Evi. – To, że byłaś w stanie dołączyć do poszukiwań po wszystkim, przez co przeszłaś.

Gillian, nadal podekscytowana, kiwała głową.

– I czułam się bardzo dobrze, wie pani, kiedy zobaczyłam Alice i Garetha, a ja trzymałam Millie. Byli mi tacy wdzięczni i...

– To ty znalazłaś tę małą dziewczynkę?

– Tak... to znaczy nie... niezupełnie. Znalazłam całą ich czwórkę, jak wychodzili z kościoła. Byli zdenerwowani. Tom kłócił się z bratem o coś, co miało związek z małymi dziewczynkami. Zabrałam Millie od Toma, bo się bałam, że ją upuści. Na początku nie zauważyłam Harry'ego. Opierał się o mur i w tym ciemnym ubraniu trudno go było dostrzec.

Evi podniosła z biurka szklankę z wodą i uświadomiła sobie, że nie jest spragniona. Nie odstawiła jednak szklanki, tylko nią kołysała w dłoni.

– A ta dziewczynka po prostu tylko się oddaliła, tak? – spytała.

– Mówiąc szczerze, to nikt nie ma pewności, co się stało. Millie jest za mała, żeby nam powiedzieć. Oficjalna wersja brzmi, że wyszła z zabawy za jakimiś starszymi dziećmi, a potem nie potrafiła za nimi nadążyć.

Szklanka rozpraszała Gillian. Evi zmusiła się do odstawienia jej. Na biurku leżał spinacz. Jeśli po niego sięgnie, zacznie obracać go w palcach. To też będzie rozpraszało pacjentkę.

– A nieoficjalna wersja jest jaka? – spytała, naprawdę ciekawa.

– Rodzina miała kilka utarczek z miejscowymi chuliganami – odparła Gillian. – Którzy byli w pobliżu, kiedy doszło do zaginięcia. Fletcherowie podejrzewają, że to ci chłopcy zabrali Millie, może w ramach żartu, a potem skończyło się źle. Policja ich przesłuchiwała, ale żaden z tych chłopaków do niczego się nie przyznał. Wszyscy po prostu są szczęśliwi, że skończyło się tak, jak się skończyło.

– I to się działo o wpół do dziesiątej wieczorem? – upewniła się Evi. – Dość późna pora jak na tak małe dziecko.

– Och, wszystkie dzieciaki w dożynki siedzą do późna. To tradycja.

– Dożynki?

– Tak to nazywają. To stare ludowe święto. Z zabawą. Wszyscy są na nią zapraszani. Mnie to, szczerze mówiąc, raczej nigdy nie pociągało, zwłaszcza po odejściu Pete'a, no ale, kiedy Harry zapytał, czy przyjdę, pomyślałam: dlaczego nie? Tylko że potem wpadłam w panikę, w co się ubiorę. Nie żeby to była randka, czy coś w tym rodzaju, ale skoro zapytał, czy będę na zabawie, to znaczy... Co się

stało? Co ja takiego powiedziałam?

Spinacz znalazł się jednak w palcach Evi. Evi pokręciła głową i zmusiła się do uśmiechu.

– Nic, przepraszam – rzuciła, odkładając na biurko pogięty kawałek metalu. – Jesteś dzisiaj w bardzo dobrym nastroju. Trochę trudno mi nadążyć. Opowiadaj dalej.

– No więc, ostatecznie postanowiłam włożyć te rybaczki. Z żółtym sweterkiem, który kupiłam w Tesco, tyle że on nie wygląda jak ciuch z Tesco, jest nawet całkiem elegancki. Nie pamiętam, kiedy ostatnio kupowałam sobie coś do ubrania. To dobry znak, prawda, ta chęć na kupno nowych ubrań, na to, żeby wyglądać ładnie?

Cisza.

– Prawda? – powtórzyła Gillian.

Evi skinęła głową. Czy nadal się uśmiechała? Trochę.

– Bardzo dobry – potwierdziła.

To był ogromnie dobry znak, ta chęć, by wyglądać dobrze. Długa, zwiewna spódnica prawie do kostek, obcisła czerwona bluzeczka odsłaniająca ramiona i lawendowy szal, w razie gdyby wieczór zrobił się chłodny; to właśnie miała włożyć.

– A jak sobie radziłaś na zabawie później? – spytała. – Domyślam się, że był alkohol. Kusilo cię, żeby się napić?

Gillian chwilę się zastanowiła, potem pokręciła głową.

– Nie bardzo – powiedziała. – Tyle się tam działo. Wiele osób chciało ze mną porozmawiać, pytali, jak sobie radzę. Jenny była słodka. Jenny Pickup, ją mam na myśli – kiedyś nazywała się Jenny Renshaw. Kiedyś, dawno temu, byłam u niej niańką, a potem ona została matką chrzestną Hayley. I Harry też tam się sporo kręcił. Naturalnie starałam się nie zwracać na niego większej uwagi. Wie pani, jak ludzie lubią plotkować.

– Zabawa trwała do późna? – Evi wyobraziła sobie późny wieczór, że jest odwożona do domu w tym aucie z odkrywaniem dachem. Tamta noc była ciepła, o czym się przekonała, kiedy wyszła do ogrodu tuż przed jedenastą. Na niebie błyszczały gwiazdy.

– Skończyło się niedługo po tym, jak znaleźliśmy Millie – odpowiedziała Gillian. – Fletcherowie poszli do domu, a reszta wróciła do Renshawów, ale orkiestra już nie grała i ludzie zaczęli się rozchodzić. Dziwne, tak naprawdę, bo

dawniej zabawy potrafiły się ciągnąć do rana.

– Ty też wróciłaś do domu?

Gillian pokręciła głową.

– Nie, poszłam z Harrym.

Evi sięgnęła i podniosła szklankę. Przystawiła ją do ust, potem zlizwała z nich wilgoć. Szklanka wróciła na dół.

– Z Harrym? – powtórzyła. – Harrym, tym pastorem?

– Wiem, wiem. – Gillian prawie chichotała. – Sama wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tego kawałka z pastorem. Ale kiedy ściągnął te głupią szatę, nie wyglądał już wcale jak pastor. Stał na zewnątrz, kiedy wyszłam. Odniosłam wrażenie, że na mnie czekał.

– Powiedział ci to?

– Cóż, nie powiedziałaby, nawet jeśli by tak było, no nie? Wydaje mi się, że jest odrobinę nieśmiały. Więc zapytałam go, czy ma ochotę wpaść do mnie na kawę.

Dłonie Evi znowu zamknęły się na szklance.

– I co odpowiedział?

– No, byłam przekonana, że się zgodzi, ale wtedy zza rogu wyszli jacyś ludzie, więc powiedział, że musi pójść sprawdzić, czy kościół jest zamknięty, i poszedł. Oczywiście wiedziałam, że chce, żebym za nim poszła, więc odczekałam kilka minut i poszłam.

– Gillian...

– Co?

– Cóż, no po prostu... pastorów obowiązuje pewien kodeks postępowania.

Wyraz pustki na twarzy dziewczyny.

– Pewien sposób, w który powinni się zachowywać – spróbowała Evi jeszcze raz. – I zaproszenie młodej kobiety, której prawie nie zna, do kościoła nocą... Cóż, to mi nie brzmi zbyt odpowiedzialnie. Jesteś pewna, że tego właśnie oczekiwał?

Gillian wzruszyła ramionami.

– Faceci to faceci – mruknęła. – Może nosić koloratkę, ale w spodniach nadal ma fiuta.

Evi ponownie podniosła szklankę. Była pusta.

– Wybacz mi – rzuciła, kiedy już odzyskała zaufanie do własnego głosu. – Prawdopodobnie myślisz, że to z mojej strony wścibstwo. Jeśli nie masz ochoty o tym mówić, to w porządku. Nadal dobrze sypiasz?

– Myśli pani, że pastor nie mógłby się zainteresować kimś takim jak ja? – spytała

Gillian. Wyraz jej twarzy stwardniał. Szminka, którą wybrała, była dla niej zbyt ciemna.

– Ależ skąd. Zupełnie nie to miałam na myśli.

– To dlaczego mnie pocałował?

Evi wzięła głęboki wdech.

– Gillian, mnie interesuje wyłącznie to, czy jesteś już gotowa, żeby się znowu angażować w związki. Przeszłaś ogromną traumę, jesteś pokiereszowana emocjonalnie.

Pocałował ją?

Dziewczyna znowu skurczyła się w swoim fotelu. Wydawało się, że nie jest w stanie więcej spojrzeć na Evi.

– Naprawdę go lubisz? – spytała ciepło Evi.

Gillian kiwnęła głową, nie podnosząc oczu.

– To głupie – wymamrotała, mówiąc do dywanika pod stopami – bo ledwie go znam, ale jest tak, jakby mi na nim zależało. Kiedy weszłam do kościoła, siedział w pierwszej ławce. Poszłam, usiadłam obok niego i położyłam rękę na jego ręce. Nie zabrał jej. Powiedział, że mu przykro z powodu tego, co się stało, że po tym, przez co przeszłam, musiało to być dla mnie okropne.

– Wydaje się, że było takie dla wszystkich – zauważyła Evi. Dziesięć minut do zakończenia sesji. Prawie nic w ogólnym rozrachunku. A jednak zbyt długo, żeby utrzymywać w myślach obraz Harry’ego i tej dziewczyny w słabo oświetlonym kościele, trzymających się za ręce.

– Było tak, jakby nawiązała się między nami jakaś silna więź – opowiadała dalej Gillian. – Miałam wrażenie, że mogę mówić o wszystkim. Więc spytałam o to, o co chciałam go zapytać już wtedy, gdy rozmawiałam z nim pierwszy raz. Jak Bóg może pozwalać, żeby złe rzeczy przytrafiały się niewinnym ludziom, jak Hayley? I jak prawie przydarzyło się Millie. Jeśli jest wszechmogący, jak się twierdzi, dlaczego takie rzeczy się zdarzają?

I mnie też, pomyślała Evi. Jaki to wielki plan zrobił ze mnie kalekę? Jaka jego część zabrała mi Harry’ego, akurat wtedy, gdy... Jeszcze tylko kilka minut do końca.

– I co ci odpowiedział? – zapytała.

– Zaczął cytować jakąś modlitwę. Zauważyłam, że często to robi. Ma niesamowitą pamięć. Coś o Jezusie, że nie ma własnych rąk i nóg.

– „Nie ma rąk, tylko twoje” – zacytowała Evi po chwili. – To modlitwa świętej

Teresy z szesnastego wieku. „Chrystus nie ma ciała tutaj na ziemi oprócz twojego. Nie ma rąk, tylko twoje. Nie ma nóg, tylko twoje”. To znaczy, że wszystko, co się wydarza tutaj na ziemi – wszystkie dobre rzeczy i także te złe – to nasze dzieło.

– Tak, to samo mówił Harry – przytaknęła Gillian. – Powiedział, że wszystko teraz zależy od nas. Stwierdził, że Bóg miał wspaniały plan, że jest o tym przekonany, ale że to był tylko zarys i że to my musimy wypełnić go szczegółami.

– Całkiem mądrze mówi, ten twój Harry – mruknęła Evi. Co za niedorzeczność. Spotkała go tylko dwa razy. Naprawdę nie było żadnego powodu, by jej żołądek zamieniał się w ołów.

– Też tak myślę – zgodziła się Gillian. – W niedzielę pójde do kościoła. Pierwszy raz od wielu lat. – Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, żeby spojrzeć na ścienny zegar. – Muszę już lecieć – oznajmiła. – Obiecałam, że spotkamy się w południe. Pomagam w dekorowaniu kościoła. Dziękuję pani, Evi. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Gillian wstała i wyszła. Do końca spotkania zostało jeszcze osiem minut, ale wyglądało na to, że dziewczyna nie potrzebowała już Evi. Bo dlaczego miałyby potrzebować? Miała Harry’ego.

27

Sędzia boczny podnosi tablicę i teraz są już tylko trzy minuty doliczonego czasu w tej decydującej potyczce. Piłka leci do Browna... Brown się odwraca, przekazuje piłkę do młodego debiutanta Ewooda Fletchera... Fletcher, nadal Fletcher... zwód... Green jest na polu... Fletcher chyba pójdzie na całość... Gol!

Pomachawszy do swoich fanów, Tom z powrotem przebiega na środek boiska, szykuje się do ostatniego wybicia piłki. Została tylko minuta doliczonego czasu i, jak to się mówi, zwycięstwo będą mieli w kieszeni. Ale zaraz, jeden z piłkarzy odwraca się do Fletchera...

– Tommy.

Tom natychmiast się obudził. Już nie był nową gwiazdą futbolu, doskonałym strzelcem, prowadzącym swoją ulubioną drużynę piłkarską do zwycięstwa. Znów był tylko Tomem Fletcherem, leżącym w łóżku w środku nocy. Tomem, który miał wielki problem.

Na zewnątrz wiatr gnał po wrzosowiskach. Tom słyszał, jak gwizdże w uliczkach, łopocze szybami we framugach. Leżał, bojąc się poruszyć, z kołdrą naciągniętą na uszy, chociaż był już przyzwyczajony do tego wiatru. W rurach kanalizacyjnych coś zabulgotało, dom szykował się do nocnego spoczynku. Do tego też się przyzwyczał. Pół metra pod nim rozbrzmiewał cichy rytm oddechu Joego. Wydawało się, że wszystko jest normalnie.

Tyle że ktoś był w sypialni z nim i z Joem. Ktoś na końcu jego łóżka, kto właśnie pociągnął za kołdrę.

Teraz już w pełni rozbudzony Tom nie ważył się poruszyć. Szarpanie za kołdrę to mogła być część snu, musi po prostu leżeć bez ruchu, dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło. Czekał dziesięć, dwadzieścia sekund i nagle uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Tak cicho, jak tylko mógł, wypuścił powietrze. Ułamek sekundy później ktoś, kto z nim był, westchnął.

Nadal nie śmiał się poruszyć. To, co usłyszał, to mogło być jego westchnienie, albo Joego. Mogło tak być.

Kołdra znowu się poruszyła, zsunęła mu się z twarzy. Poczuł nocne powietrze na policzku i na lewym uchu. Na łóżku na dole Joe krzyknął coś przez sen – przytłumione słowo, które zabrzmiało trochę jak „mamusiu”, a potem ciche jęknięcie.

– Tommy. – Głos Joego. Tylko że Joe spał.

– Tommy. – Głos matki. Ale matka nigdy by go tak nie straszyla.

Oczy Toma były otwarte. Jak to się stało, że zrobiło się tak ciemno? Lampka na podeście, która w nocy zawsze się paliła, w razie gdyby któreś z dzieci musiało wstać, była wyłączona i w pokoju było ciemniej niż normalnie. Meble, rozrzucone zabawki wyglądały jak ciemne cienie. Ale były znajomymi ciemnymi cieniami, z rodzaju tych, do których był przyzwyczajony, które spodziewał się zobaczyć. Ten, którego nie spodziewał się widzieć, to był ten w nogach jego łóżka.

Cokolwiek to było, siedziało raczej bez ruchu, ale oddychało, widział lekkie ruchy ramion. Widział też obrys głowy i dwa małe punkciki światła, które mogły być – prawie na pewno były – oczami. Cień mu się przyglądał.

Przez pół sekundy Tom nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. A potem już nie mógł zrobić nic. Podciągnął się w górę, skopując kołdrę piętami, odpychając ją łokciami. Jego głowa walnęła mocno w metalową poręcz zagłówka i zrozumiał, że dalej się już nie cofnie.

Cień się poruszył, nachylił do niego.

– Millie – powiedział głosem, który chyba miał zabrzmieć jak głos Toma. – Millie spać.

! jak oni się teraz czują? Już dobrze? – spytał Harry, który słuchał relacji z zafascynowaniem.

Gareth wzruszył ramionami.

– Cóż, są spokojni – odparł. – Tom i Joe nic nie mówią, ale obaj nie spuszczaają z Millie oka. Tom nagle zaczął się bardzo interesować zamkami, sprawdza, czy są sprawne, chce wiedzieć, gdzie są klucze.

– I twierdzi, że to była mała dziewczynka? Która was podglądała?

Gareth przytaknął.

– Mówił o niej już wcześniej, ale nie bardzo się tym przejęliśmy. W miasteczku jest wiele dzieci, a Tom zawsze miał wybujałą wyobraźnię.

– A gdzie była Alice, kiedy... – Harry urwał. Czy to zabrzmiało jak krytyka?

– W swoim studiu – odpowiedział Gareth, albo nie zauważając, albo postanawiając zignorować insynuację. – Pracowała nad portretem pana Tobiasa. Pozował dla niej kilka razy w tygodniu, chciała dokończyć portret do końca miesiąca. Usłyszała krzyk Toma na górze, ale zanim do niego przybiegła, zdążył obudzić pozostałą dwójkę i oni też się już wtedy darli jak obdzierani ze skóry.

– Jakies ślady świadczące o włamaniu? – dopytywał się Harry. – Czy to możliwe, żeby Tom naprawdę kogoś zobaczył?

Gareth pokręcił głową.

– To małe okno w łazience na dole było otwarte, ale nikt normalnych rozmiarów by się przez nie nie przecisnął. A dziecko – nawet jeśli jakieś chodziłoby nocą samo – nie byłoby w stanie do niego dosięgnąć.

Obaj mężczyźni dotarli na tyły kościoła. Zatrzymali się przed wysokimi wąskimi drzwiami, które wyglądały jak wykonane z drewna cisowego.

– Pewien jesteś, że chcesz to zrobić? – spytał Harry. – Bo nie ma pośpiechu. To nic pilnego. Prawdopodobnie powinienes...

Gareth podniósł w górę skrzynkę z narzędziami, którą ze sobą przyniósł.

– Jest w porządku – zapewnił. – Poszli na spacer. Joe chciał zobaczyć Tor. Powiedziałem, że dojdę do nich, jak skończymy.

– No cóż, jeśli jesteś pewien.

– Jestem. Otwierajmy tę kryptę.

Harry odszukał właściwy klucz i wetknął do zamka.

– Teoretycznie to nie jest krypta – rzucił. – Bardziej piwnica. Może się przydać na magazynek. Chcę się tylko przekonać, czy mam wzywać inspektora, żeby ocenił, czy jest bezpieczna. – Klucz przekręcił się całkiem łatwo. Harry chwycił kłamkę i nacisnął.

– I nie chcesz rozglądać się po tym upiornym miejscu w pojedynkę – zażartował Gareth.

– Masz rację. O kurczę, ale te drzwi się ciężko otwierają. Pewnie nie były otwierane od wielu lat.

– Och, odsuń się, pastorze, to robota dla faceta.

– Zostaw, kolego, daję sobie radę – sprzeciwił się Harry. – No proszę.

Drzwi otworzyły się do środka, a przed ich twarzami rozprysła się bańka zalatującego kwasem kurzu. Harry mocno zamrugał. Gareth kaszlnął.

– A niech mnie, ale smród – stęknął. – Jesteś pewien, że tam nie ma nic martwego?

– Nie jestem pewien niczego – odpowiedział Harry, podnosząc latarkę i dając krok na spiralną klatkę schodową prowadzącą w dół pod kościół. Na karku poczuł kołnierz z zimnego powietrza. – Przygotować kołki i wieńce z czosnku.

Zapach wilgotnej stęchlizny stawał się coraz silniejszy, gdy schodzili. Zanim dotarli do połowy schodów, Harry uznał, że dobrze się stało, że obaj są w bluzach. Dwadzieścia dwa stopnie i byli na dole, świecąc dokoła latarkami. Dwie wiązki światła wyławiały z ciemności masywne kamienne filary i sklepiony ceglany sufit, o wiele większe niż mogli się spodziewać.

– Cofam, co powiedziałem – oznajmił Harry po kilku sekundach. – To jednak jest krypta.

Gdyby ktoś pytał o to Toma jeszcze kilka tygodni temu, powiedziałby pewnie, że październik to jego ulubiony miesiąc. Bo to w październiku drzewa zaczynają wyglądać jak jabłka w karmelu, a zaorane pola przybierają kolor gorzkiej

czekolady. Lubił ten smak powietrza na języku, taki świeży i ostry jak miętówki polo, i uwielbiał uczucie oczekiwania na zbliżające się najpierw Halloween, potem Noc Fajerwerków i w końcu Boże Narodzenie. W tym roku jednak trochę mu było trudno z tym całym czekaniem. W tym roku jakoś nie bardzo mu się chciało patrzeć zbyt daleko w przyszłość.

– Hola, wy dwaj! – zawołała za nimi matka. – Zaczekajcie na nas, dziewczyny.

Tom obejrzał się. Joe szedł kilka kroków za nim, ubrany jak średniowieczny łucznik z plastikowym łukiem na ramieniu i kołczanem ze strzałami na plecach. Maszerował całkiem sprawnie i coś cicho nucił pod nosem. Prawie trzydzieści metrów poniżej Alice i Millie dopiero wyłaniały się z mgły.

– Tom, trzymaj się ścieżki! – zawołała matka.

– Okej, okej!

Ruszył dalej pod górę.

Harry szedł przed siebie, aż dotarł na środek szerokiej ciemnej przestrzeni. Sufit podtrzymywały trzy rzędy bogato zdobionych kolumn. Pod stopami nie miał klepiska, jak się spodziewał, tylko stare kamienne płyty, takie same, jakimi były wyłożone ścieżki przy kościele.

– Po prostu niewiarygodne – wymamrotał Gareth u jego boku.

Ruszyli dalej. Kilka metrów przed nimi ściana po ich prawej zdawała się nagle kończyć, latarka Harry’ego napotkała ciemność. Kiedy podeszli bliżej, zrozumieli, że arkada jest wybita w ścianie. Nie widzieli nic za nią.

– Ty pierwszy – rzucił Gareth.

– Mięczak.

Harry przeszedł przez sklepione przejście i poświecił latarką.

– Cóż, to chyba... – zaczął. Podziemna przestrzeń po drugiej stronie była nawet jeszcze większa niż wcześniejsza krypta.

– Jesteśmy pod starym kościołem – uznał Gareth, który szedł tuż za Harrym. – Dwa kościoły, jedno wielkie podpiwniczenie.

– Nie wyobrażam sobie, żebym miał jakieś problemy z uzyskaniem zgody na urządzenie tu magazynku – mruknął Harry, świecąc dokoła latarką i pod odległą ścianą wyławiając zamykane bramkami łukowate wnęki. – Chociaż nie wydaje mi się, że to miejsce zawsze było tylko piwnicą. Zbyt wiele tu ornamentyki. Sądzę, że mogły tu być odprawiane jakieś modły. Słyszysz szum wody?

– Tak. Brzmi trochę jak wyciek z pękniętej rury, tylko trochę głośniejszy – przytaknął Gareth. – Myślę, że dochodzi stamtąd.

Ruszył we wskazanym przez siebie kierunku; Harry za nim, podziwiając rzeźbienia na kamiennych ścianach, w formie róż, liści i owadów. Zobaczył procesję rzeźbionych kamiennych pielgrzymów zmierzających do świątyni. Kafle posadzki pod jego stopami były wytarte do gładka. Przez setki lat zakonnicy w milczeniu kroczyli po tych kamieniach. Przed nim Gareth odnalazł źródło odgłosu spływającej wody.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – stwierdził.

W najodleglejszej ścianie piwnicy znajdowała się wmontowana w mur masywna kamienna muszla. Woda płynęła do niej z wąskiej rury usytuowanej nad nią, a potem, niemal jak w dekoracyjnym źródełku w którymś ogródku, spływała po bokach muszli i znikła w kratce odpływu. Harry wyciągnął rękę i nabrał wody w dłoń. Była lodowata. Podniósł ją do ust, powąchał, potem zanurzył język.

– Chyba nadająca się do picia – oznajmił. – Myślisz, że to mogła być jakaś olbrzymia kryjówka dla zakonników? Kiedy przybywał wróg, chronili się tutaj. Mając wodę, prawdopodobnie byli w stanie ukrywać się tu tygodniami.

– W okolicy jest kilka podziemnych strumieni – poinformował Gareth. – Musimy na nie uważać, kiedy stawiamy fundamenty. Może mógłbyś tę wodę butelkować.

– Zdrojowa z Heptonclough – mruknął Harry, kiwając głową. – Brzmi nieźle.

– No dobra, ale może ustalmy wreszcie, czy to krypta, czy piwnica – rzucił Gareth, świecąc latarką do najbliższej wnęki – bo jakoś nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tam w głębi leży coś martwego.

Z mgły wyłaniały się jakieś kształty i Tom nieco zwolnił, ale zaraz mu się przypomniało, że kiedyś stały tu jakieś budynki i że pewnie patrzy właśnie na ich ruiny.

– Tom, zatrzymaj się, i to już!

Tym razem matka mówiła poważnie. Ten konkretny ton głosu i jego natężenie nie pozostawiały złudzeń. Zaczekał, aż ona i Millie ich dogonią. Obie wyglądały na porządnie zmordowane.

Poprzedniego wieczoru, kiedy matka, pachnąc farbą i mocną kawą, przybiegła ze swojej pracowni i znalazła starszego syna skulonego z przerażenia za drzwiami

sypialni, Tom był przekonany, że mała dziewczynka nadal jest gdzieś w domu. Nie chciał wrócić do łóżka, dopóki każde miejsce – absolutnie każde, w którym można się ukryć – nie zostanie przeszukane.

Joe, ta kłamliwa szmata, nie chciał go poprzeć, nie chciał przyznać, że też widział tę dziewczynkę, że nawet z nią rozmawiał. Joe tylko otworzył oczy, tak że były wielkie jak spodki, i pokręcił głową.

– Dzięki – rzuciła mama. – A teraz trzymajmy się już razem, dobrze? Niech nikt nie znika mi z oczu w tej mgle. No dobra, myślę, że musimy iść tędy.

Z Millie na biodrze wznowiła marsz, chłopcy ruszyli tuż za nią. Tom patrzył pod nogi i myślał o tym, że jeśli Joe powie coś wkurzającego, sprzeda mu piąchę.

Dotarli do skraju zagajnika drzew akurat w chwili, gdy mgła lekko się chyba podniosła. Przed nimi rozciągał się dywan z liści buku. Drzewa były stare i wielkie. Tom i jego rodzina weszli między nie i po kilku krokach ich oczom ukazała się maleńka chata wyglądająca jak wyjęta z jakiejś bajki.

Harry i Gareth stali obok małej wyłożonej kamieniami wnęki. Wejście było zabudowane zawiłym okratowaniem, bramka zamknięta.

– Do tego nie mam klucza – poinformował Harry.

– To naprawdę żaden problem, kolego – odparł Gareth, kręcąc głową.

Za kratą dawało się dostrzec cztery rzeźbione kamienne trumny umieszczone na półkach po obu stronach wnęki. Na wieku każdej leżała rzeźbiona postać człowieka w zakonnych szatach. Thomas Barwick – brzmiała inskrypcja na pierwszej trumnie. Opat z roku 1346. Napisy na innych były zbyt wytarte, żeby Harry mógł je odczytać. Wraz z Garethem ruszyli z powrotem przez długość piwnicy, świecąc latarkami do każdej zamkniętej wnęki, którą mijali. Zatrzymali się przy ostatniej. Za kamiennymi trumnami, wmontowane w przeciwległą ścianę, znajdowały się drewniane drzwi.

– Jak sądzisz, dokąd prowadzą? – spytał Gareth. – Kompletnie straciłem rozeznanie, gdzie jesteśmy.

Harry wzruszył ramionami. On też się pogubił.

– W zakrystii w biurku leżą jakieś stare klucze – oznajmił. – Upchnięte w głębi jednej z szuflad.

– Może kiedy indziej – zaproponował Gareth.

– Naprawdę nie mogę uwierzyć, że nikt mi nie powiedział, że coś takiego tutaj

jest – rzekł Harry. – To może mieć ogromne znaczenie historyczne. Odwiedzający będą tu zwożeni autokarami.

– I może właśnie dlatego jest o tym cicho – podsunął Gareth. – Twój kościelny sprawia na tobie wrażenie kogoś, kto chciałby, żeby jego miasteczko zamieniło się w atrakcję turystyczną?

– Nie jest właścicielem całego miasteczka – zirytował się Harry. – Tutaj mogą być pochowani opaci sprzed setek lat. To by było niewyobrażalne znalezisko.

– Nie całego, ale większości.

– No tak, ale kościół nie jest jego. I z całą pewnością ta krypta też nie.

Domek Czerwonego Kapturka – powiedział Tom, zapominając, że jest zły.

– Domek babci Czerwonego Kapturka – poprawiła matka, a w tym czasie mała Millie podreptała do frontowych drzwi chaty.

W przeciwieństwie do zrujnowanych budynków, które niedawno mijali, domek był w dobrym stanie. Ściany były niepokruszone, dach bez dziur, drzwi wejściowe mocne. Nawet dwa okna zasłonięte szczelnie okiennicami. I komin.

Alice sięgnęła do klamki i nacisnęła. Zamknięte. Odwróciła się do dzieci i wzruszyła ramionami.

– Zdaje się, że babcia wyszła – mruknęła. – Myślę, że to musi być ta chata, o której opowiadała nam Jenny. Ta, w której w dzieciństwie bawiły się z siostrą.

Tom zadrżał. Zerknął na Joego, który patrzył w ziemię, jakby chata w ogóle go nie interesowała. Toma uderzyła nagła myśl. A co, jeśli w tej chatce mieszka ta dziewczynka?

– Chodźmy – rzucił. Alice kiwnęła głową i cała rodzina ruszyła do Tor.

– Możemy wejść na szczyt, mamó? – spytał Joe.

– Absolutnie nie – nie zgodziła się Alice. – W tej mgle i bez ojca wyżej nie pozwolę wam wejść.

Tom przyglądał się wysokiej skałce, której szczyt ginął w obłoku mgły. Było coś niepokojącego w tym, jak ta skała się nad nim piętrzyła. Zdecydowanie też nie lubił patrzeć w górę, tak jak robili to w tej chwili mama i Joe, i nawet mała Millie. Odwrócił się i nie potrafiąc się powstrzymać, głośno krzyknął.

– Co się stało?! – zawołała Alice, szybko się do niego odwracając.

– Tam ktoś jest – powiedział. – Między drzewami. Ktoś nas obserwuje.

Alice przymrużyła oczy, potem szybko się rozejrzała, spoglądając na prawo i na

lewo.

– Nikogo nie widzę – oznajmiła. – Tylko same drzewa.

Tom przysunął się do matki. Między drzewami stała wysoka szczupła postać, patrzyła na nich. Kiedy Tom ją zauważył, cofnęła się i zlała z mgłą. Tom odwrócił się, żeby łypnąć wściekle na brata. Ale zrezygnował z tego. Ta postać nie miała ani kształtu, ani wzrostu takich jak tamta dziewczynka.

– Chodźcie – rzuciła Alice. – Wracajmy. Ta mgła się już nie podniesie. Idziemy tak szybko, jak tylko się da. – Zrzuciwszy sobie Millie na biodro, ruszyła w kierunku drzew. Potem zatrzymała się. – Tam faktycznie ktoś stoi – dodała cicho. – Zaczekaj chwilę, Joe.

Tom poczuł tworzącą mu się w piersi gulę. Nie widział niczego lub przynajmniej... Jego matka sięgała do kieszeni. Wyjęła z niej telefon i zerknęła na wyświetlacz. Potem przycisnęła kilka guzików i przyłożyła komórkę do ucha.

– Do kogo dzwonicz? – spytał Tom.

– Do taty – odpowiedziała, po czym pokręciła głową. – Chyba nadal jest w tej piwnicy.

Jeszcze raz się obejrzała, potem znowu ruszyła w dół zbocza. Poszli za nią, najpierw Joe, za nim Tom. Żaden się nie odzywał. Alice co kilka kroków przystawała i oglądała za siebie. Po kilku sekundach Tom zaczął robić to samo. Ale z tyłu były tylko szare chmury. Tor zdążył już zniknąć.

Po kilku minutach dotarli do zagajnika. Tomowi wydawało się, że drzewa w nim urosły od czasu, gdy tędy wcześniej przechodzili. Przysunął się bliżej do matki, zauważył też, że Joe robi to samo. Nikt jakoś nie miał ochoty na rozmowę. Nawet Millie była wyjątkowo cicha. Alice nie schowała komórki. Zerknęła na nią ponownie i Tom zobaczył, że jej kciuk zawisł nad jednym z przycisków. Wyglądało to tak, jakby matka szykowała się do wciśnięcia dziesiątki.

– Mamusiu, boję się – powiedział Joe drżącym głosem.

– Nie ma czego, kochanie – odpowiedziała matka szybko, trochę bardziej piskliwie niż normalnie. – Za dziesięć minut będziemy w domu.

Znowu ruszyła, tym razem wolniej, noga za nogą. Kiedy Tom spojrział w górę, zobaczył, że matka strzela wzrokiem na boki. Byli teraz między drzewami. Z każdej strony otaczały ich ciemne cienie.

– Tom, szkrabie – rzuciła Alice, nie patrząc na niego. – Jak ci powiem, mógłbyś złapać Joego za rękę i pobiec z nim jak najszybciej na dół i poszukać taty?

– Ale po co? – zapytał.

– Pewnie nadal jest w kościele – dodała Alice. – A może już w domu. Znalazłbyś go i powiedział, że tu jesteśmy?

– A co z tobą i z Millie?

– Zaopiekuję się Millie. Ale wy jesteście szybcy. Wiem, że potraficie z Joem dobiec do domu naprawdę szybko. Zrobisz to dla mnie, aniołku?

Tom nie był przekonany. Miał biec we mgle, zostawiając matkę? Już prawie wychodzili z zagajnika. Mgła w dole wrzosowiska nie była aż tak gęsta jak wyżej. Zaczęły się pojawiać zarysy domów w Heptonclough. Widzieli coraz więcej.

– Och, na miłość boską – stęknęła Alice, zatrzymując się i zamykając oczy. – Och, na miłość boską, Tom, aleś mnie wystraszył.

Tom spojrział na matkę. Nie wyglądała na złą, tylko jakby jej ogromnie ulżyło. Przekręcił głowę w stronę doliny i sto metrów od nich zobaczył jakąś postać.

– To Gillian – odetchnęła matka. – Wyszła na jeden z tych swoich spacerów po wrzosowiskach. Uff, śmieszne, żeby tak się wystraszyć, a to tylko Gillian.

Evi, tu Steve, nie przeszkadzam?

Evi zerknęła na zegarek. Szła do domu dziecka na pierwsze spotkanie z dzieckiem, które nie mówiło od dziesięciu dni, od czasu, gdy policja na podstawie ustawy o ochronie dzieci zabrała je z domu rodzinnego. To była dziesięciominutowa podróż. Dziesięć minut przy wsiadaniu do samochodu i dziesięć przy wysiadaniu. Ale Steve dzwonił na komórkę. Może z nim porozmawiać w drodze.

– Nie, nie przeszkadzasz – odpowiedziała, zabierając z biurka notes i kilka ołówków. – Mam chwilę wolnego. Dzięki, że oddzwoniasz.

– Cóż, przepraszam, że nie od razu, ale nie było nas, wyjechaliśmy. Wróciłem do pracy dopiero dzisiaj.

– Jakieś ładne miejsce? – Dlaczego te ołówki ciągle trzeba ostrzyć? Nachyliła się do biurka i zaczęła szperać w szufladzie.

– Antigua. I tak, bardzo tam ładnie. No, ale porozmawiajmy o twoim mejlu.

– Masz jakieś przemyślenia? – Znalazła temperówkę. Tylko że przytrzymywanie telefonu barkiem skończy się bólem w plecach.

– Piszesz, że pacjentka robi postępy? – Słyszała, że Steve popija swoją ulubioną mocną czarną kawę.

– Z pozorów tak – potwierdziła. Dwa ołówki naostrzone, to powinno wystarczyć. – Udaje jej się ograniczać picie, dobrze reaguje na przepisane leki, zaczęła mówić o przyszłości. – W porządku, rzeczy do pisania, telefon – tak, to miała – co, do diabła, zrobiła z kluczami do samochodu?

– To w czym problem?

– Po prostu cały czas mam wrażenie, że czegoś mi nie mówi – odpowiedziała Evi. Kluczyki były w kieszeni płaszcza. Cały czas. – Bardzo niechętnie opowiada o dzieciństwie, o śmierci ojca, pojawieniu się ojczyma. Chwilami wygląda to tak,

jakby spuszczała kurtynę. Niektóre tematy są niedopuszczalne.

– Przyjmujesz ją dopiero od niedawna, prawda?

– Tak, to tylko parę tygodni – potwierdziła, zastanawiając się, czy zdoła włożyć kurtkę, nie przewracając się. – I wiem, że takie rzeczy wymagają czasu. Tylko że ta historia z Megan Connor wydała mi się dziwnym zbiegiem okoliczności. Wydaje mi się, że miała duży wpływ.

– Prawdopodobnie się nie mylisz. Ale ja czekałbym, aż pacjentka sama o tym wspomni. Daj jej mówić, o czym chce. To dopiero początek leczenia. Macie mnóstwo czasu.

– No wiem. Też tak myślałam, ale chciałam się upewnić. – Kurtka znalazła się na miejscu, no prawie. Evi powiesiła torebkę na zamontowanym na wózku haczyku i sprawdziła, czy z tyłu leży jej laska. Usiadła, wciąż przyciskając telefon do ucha ramieniem.

– I to rozumiem – zażartował Steve. – Ale powiem ci coś: dobrze pamiętam sprawę Megan.

– Och? – Drzwi gabinetu Evi były zamontowane tak, żeby po pchnięciu nogą, otwierały się na zewnątrz.

– Tak, jeden z kolegów mocno się nią zainteresował. Prowadził badania na temat wpływu tragicznych wydarzeń na małe społeczności.

– I co mu wyszło? – spytała, ruszając przed siebie korytarzem.

– Kiedy taka społeczność doświadczy dużej tragedii, czegoś wychodzącego poza normę, efekty utrzymują się przez długi czas – odpowiedział Steve. – Świat zewnętrzny widzi to miejsce w lekko ponurych barwach i to może zacząć wpływać na sposób myślenia i zachowania się mieszkańców. Napisał o tym referat, opisywał w nim na przykład Hungerford, Dunblane, Lockerbie, Aberfan. Spróbuję go dla ciebie odszukać.

Evi skrzyła za róg i prawie wpadła na grupę trzech kolegów rozmawiających na korytarzu. Przesunęli się pod ścianę, a ona podziękowała im skinieniem głowy.

– Nie tak dawno był też o tym artykuł w „British Medical Journal” – opowiadał dalej Steve. – Po jakiejś tragedii aż u pięćdziesięciu procent populacji mogą wystąpić zaburzenia psychiczne. Zapadalność na te lekkie czy umiarkowane może się podwoić. Zwiększa się nawet liczba ostrych zaburzeń, jak psychozy.

– Ale to pewnie chodzi o duże katastrofy, o kataklizmy? Trzęsienia ziemi, katastrofa lotnicza, eksplozja w zakładach chemicznych. Katastrofy, w których zginęło wiele osób. – Evi minęła kobietę z dzieckiem, potem portiera.

– Zgadza się i wcale nie sugeruję, że śmierć kilkorga dzieci to w jakimkolwiek stopniu porównywalna sytuacja. Ale historia Megan była bardzo nagłośniona. Można się spodziewać, że mogła się w dużym stopniu odbić na zdrowiu psychicznym mieszkańców. Na jakimś poziomie ludzie stamtąd czuli się pewnie odpowiedzialni za to, co się stało. I na pewno w pewnym sensie naznaczeni, splamieni.

– A więc to, co się wydarzyło wcześniej, może podświadomie wpływać na proces dochodzenia do siebie u mojej pacjentki?

– Nie byłbym absolutnie zaskoczony. Może dobrze byłoby się dowiedzieć, jakie naprawdę okoliczności towarzyszyły śmierci córki twojej pacjentki. Zajrzyj do starych gazet, porozmawiaj z lekarzem rodzinnym. Uzyskasz punkt odniesienia. Będziesz mogła porównać to, co mówi pacjentka, z faktami, które poznałaś. Sprawdź, czy zaistnieją jakieś rozbieżności. Oczywiście nie musisz pacjentce tego wytykać, ale czasami więcej się dowiadujemy z tego, czego pacjenci nam nie mówią, niż z tego, co ujawniają. Brzmi to choć trochę sensownie?

Evi dotarła do głównego wyjścia ze szpitala. Jakiś idiota na rampie dla niepełnosprawnych zostawił stertę skrzyń.

– Tak, jak najbardziej – przytaknęła, łypiąc wściekle na skrzynie. – Dzięki, Steve. I kończę już, bo muszę tu teraz kogoś porządnie ochrzanić.

Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem – czytał Harry. Jego głos, rzadko tak niski, odbijał się echem w całym kościele. – Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono...^[3]

Jakieś szuranie za nim. Przerwał. Szybkie spojrzenie przez ramię powiedziało mu, że nadal jest w kościele sam. Przed dziesięciu minutami pożegnał się z Alice, a z Gillian trzy czy cztery minuty temu. Obie pomagały mu przy kończeniu dekorowania kościoła. Widziałyby, gdyby ktoś wchodził. Stał przecież na ambonie.

– ...czas wyrywania tego, co zasadzono – wznowił czytanie, obserwując uważnie rzędy ławek, chociaż był pewien, że hałas dobiegł zza jego pleców. – Czas zabijania i czas... – Znowu przerwał, zaniepokojony nieprzyjemnym uczuciem między łopatkami, uczuciem, że w każdej sekundzie ktoś sięgnie i...

Spojrzał z powrotem w dół na swoje notatki. Księga Koheleta, rozdział trzeci, zawsze się sprawdzała w okresie żniw. Ludziom podoba się proste piękno tego urywka, jego zrównoważenie, kompletność.

– Czas umierania – powiedział cichy głosik tuż za nim.

Nie odrywając oczu od galerii, czekał. W nawie coś skrzypnęło, ale stare drewno tak robi. Przez sekundę zastanawiał się, czy to chłopcy Fletcherów znów zakradli się do kościoła, ale głos nie przypominał głosu żadnego z nich. Popatrzył w dół na swoje ręce. Zaciskały się na drewnianej poręczy ambony niemięsko mocno. Starając się zrobić to bezgłośnie, obrócił się.

W prezbiterium nikogo nie było, ale też niczego innego się nie spodziewał. Ktoś stroił sobie żarty z pastora. Znowu się odwrócił, żeby popatrzeć na front kościoła.

– ... czas leczenia... czas płaczu i czas śmiechu – przeczytał głosem, który byłby zbyt głośny nawet jutro, gdy w kościele będą ludzie. W pustym zabrzmiało to upiornie.

– Czas zabijania – szepnął głos.

Och, na miłość bo...

Ignorując schodki, przełożył nogi przez poręcz ambony i zeskoczył. Głos przypląwał z bliska, był o tym przekonany. Ten ktoś nie miał jak zniknąć. Tyle że zniknął. Nikogo w stallach, nikogo w małej przerwie za organami, nikt nie ukrywał się za ołtarzem, nikogo w... Zatrzymał się. Czy ktoś mógł być w starej krypcie? Czy dźwięk mógł w jakiś sposób dotrzeć na górę?

– Wszystko w porządku, pastorze?

Harry znieruchomiał, potem odwrócił się w stronę nowego głosu. Jenny Pickup, córka Sinclaira, stała w połowie długości nawy, przyglądając mu się z wyrazem rozbawionego zaciekawienia na twarzy. Harry poczuł, że jego twarz płonie. Z jakiegoś powodu Jenny nigdy nie traktowała go do końca poważnie.

– Słyszała pani kiedykolwiek o jakichś sekretnych wejściach do tego budynku? – spytał. – Może z piwnic pod nami? Takich, o których istnieniu mogą wiedzieć miejscowe dzieciaki?

Pokręciła głową.

– O ile mi wiadomo, to niczego takiego tu nie ma – odpowiedziała. – Ale dlaczego, czy coś zginęło?

– Nie, nic z tych rzeczy – zaprzeczył pospiesznie. – Tylko że właśnie ćwiczyłem wygłaszanie kazania na jutro i mógłbym przysiąc, że słyszałem, jak ktoś powtarzał to, co mówiłem.

Jenny była ubrana w blad różową bluzę, w której było jej do twarzy, i w spodnie do konnej jazdy z nogawkami wetkniętymi w czarne botki.

– W tym kościele echo dziwnie się zachowuje – stwierdziła po jakiejś chwili. – Jest z tego znany.

– Ale to naprawdę nie brzmiało jak echo – odparł Harry. – Brzmiało jak głos dziecka, a w takim przypadku muszę je znaleźć, zanim zamknę kościół.

Jenny ruszyła przed siebie, rozglądając się dokoła.

– Proszę pozwolić, żebym ja dzisiaj zamknęła za pastora, dobrze?

– Pani?

– Tak. – Kiwnęła głową z leciutkim smutnym uśmiechem na ustach. – Przyszłam, żeby z pastorem zamienić słówko, a potem chciałabym trochę sama tu posiedzieć. Zgodzi się pastor? Obiecuję, że przed wyjściem dopilnuję, żeby w kościele nie została żywa dusza.

– Jeśli jest pani przekonana – odparł.

– To żaden problem. Odprowadzę pastora, mamy piękny wieczór.

Harry zabrał kurtkę i razem przeszli do zakrystii. Ale przed wejściem nie mógł się powstrzymać i ostatni raz rozejrzał się po kościele. Pusto.

– Mam pani pożyczyć swoje klucze? – spytał.

– Nie, nie trzeba – odpowiedziała Jenny, kiedy wychodzili na zewnątrz. – Tata dał mi swoje. Prawdopodobnie też tu później zajrzy, żeby się upewnić, że naprawdę wszystko pozamykałam i pogasiłam światła.

Land rover ciągnący długą niską przyczepę zatrzymał się przed sklepem Dicka Grimesa, blisko wejścia do kościoła. Kierowca wyskoczył na ziemię, a za nim czarno-biały owczarek szkocki. Mężczyzna przeszedł na tył przyczepki i otworzył tylne drzwi. Pies wbiegł na rampę i ze środka wytoczył się tuzin owiec. Harry i Jenny patrzyli, jak pies zagania owce w kierunku szopy za sklepem rzeźnika.

– Nie pochodzi pan ze wsi, pastorze, prawda? – zwróciła się Jenny do Harry’ego.

Patrzyli, jak owce znikają w oborze, potem kierowca i owczarek wrócili i z powrotem wskoczyli do szoferki. Kiedy samochód skręcał na zakręcie, jakaś kobieta musiała zejść z drogi pod mur, żeby auto jej nie potrąciło. To była Gillian.

– Nie – odpowiedział Harry, odwracając się znowu do Jenny. – Ale szybko się uczę.

– Wszystko jest robione humanitarnie – zapewniła Jenny. – A zwierzęta nie muszą znosić stresu długiego transportu.

– Nawet przez sekundę w to nie wątpiłem. – Harry spojrzał w górę ulicy. Gillian nadal tam stała. – Proszę nie myśleć, że cokolwiek potępiam – ciągnął. – Po prostu jeszcze wciąż się przyzwyczajam.

– Po wszystkim ludzie przychodzą do nas – wyjaśniła Jenny. – Szykujemy kolację, a pub zwykle podrzuca jedną czy dwie baryłki piwa. Byłoby wspaniale, gdyby pastor do nas dołączył. – Jenny bawiła się kluczami trzymanymi w dłoni. Palce miała długie i szczupłe, ale były czerwone i spierzchnięte, możliwe, że od jeżdżenia konno w złą pogodę.

– Dziękuję za zaproszenie – odpowiedział Harry, który pamiętał, że Gillian stoi kilka metrów dalej, jednak postanowił, że więcej na nią nie spojrzy. – To bardzo miłe z pani strony – ciągnął. – I w przyszłym roku wpadnę z wielką przyjemnością. Ale jutro mam ważny dzień i raczej powinienem wcześniej się położyć.

– No to w przyszłym roku. – Jenny musiała pracować na swojej farmie. Jej krótkie paznokcie były brudne, na koszuli miała żdźbła siana.

– Chciałbym, żeby Gillian poszła już do domu – zauważył Harry. – Robi się

zimno, a ona jak prawie zawsze jest bez kurtki. – Evi też miała krótkie paznokcie, ale bardzo czyste i opiłowane. Śmieszne, na jakie rzeczy człowiek zwraca uwagę.

Jenny zerknęła ponad jego ramieniem.

– Gillian wygląda ostatnio o wiele lepiej – stwierdziła. – Martwiliśmy się o nią od dość dawna, bo naprawdę kiepsko sobie radziła.

– Doświadczyła ogromnej straty – przypomniał Harry.

Jenny wzięła głęboki wdech.

– Ja też straciłam córkę, pastorze. Wiedział pastor o tym?

– Nie, nie wiedziałem – odpowiedział, odrywając wzrok od Gillian, żeby napotkać spojrzenie orzechowych oczu Jenny. – Przykro mi. To o tym chciała pani ze mną porozmawiać?

– W pewnym sensie. To się wydarzyło dziesięć lat temu, więc miałam więcej czasu, jak sądzę. Ale nadal każdego dnia czuję ból. Zwłaszcza wtedy, kiedy zaczynam się zastanawiać, co by robiła dzisiaj? Jak by wyglądała, w wieku ośmiu lat, dziewięciu, dziesięciu.

– Rozumiem panią – zapewnił, chociaż wiedział, że tak naprawdę nie rozumie. Nikt nie jest w stanie zrozumieć takiej tragedii, jeśli sam jej nie doświadczył.

– Denerwuje się pastor jutrem? – spytała go niespodziewanie Jenny.

– Oczywiście – potwierdził szczerze. – Prowadziłem już nabożeństwa w moich dwóch innych parafiach, ale tutaj jest jakoś inaczej. Prawdopodobnie dlatego, że tutejszy kościół tak długo był zamknięty. Jeszcze się nie zdążyłem dowiedzieć, co było tego przyczyną.

– O tym właśnie chciałam z pastorem porozmawiać. Moglibyśmy przysiąc gdzieś na chwilę?

Harry poszedł za Jenny do starej ławeczki pasterzy, na której kilka dni temu siedział z Evi. Która cały czas do niego nie oddzwaniała.

Jenny okręcała w palcach kluczyki do auta.

– Nie musi się pastor martwić o jutro. Będzie dobrze – zapewniła. – Myślę, że przyjdzie sporo ludzi. Są już gotowi, żeby znowu chodzić do tego kościoła.

– A dlaczego przestali? – spytał, uzmysławiając sobie, że Jenny trzeba pomóc takim bezpośrednim pytaniem.

Nie patrzyła na niego.

– Z szacunku – odparła. – A także z przygnębienia. W tym kościele zginęła Lucy, moja córka.

I nikt nie pomyślał, żeby mu o tym wspomnieć?

– Tak mi przykro – rzucił.

– Spadła z galerii. To była moja wina. Nie było nas w kościele, byliśmy w domu ojca, a ja z kimś rozmawiałam – z Gillian i jej matką, tak się akurat składa. Pracowały kiedyś u nas. Nie zauważyłam, że Lucy wyszła.

– Z galerii? – powtórzył. – Tak jak prawie Millie Fletcher w zeszłym tygodniu? Jenny potaknęła.

– Teraz może pastor zrozumie, dlaczego byliśmy tacy przejęci. To był przerażający, głupi żart. Ci chłopcy... naprawdę nie wiem, co oni sobie myśleli...

– Tak mi przykro – znowu powtórzył Harry. – Proszę mi opowiedzieć o Lucy. Tak po prostu sobie wyszła, kiedy pani nie patrzyła?

– Zaczęliśmy jej szukać, oczywiście, ale szukaliśmy w domu – a to duży dom – i potem w ogrodzie, i na drodze. Nie przyszło nam na myśl, że mogła wejść do kościoła. I po tych wszystkich schodach. Do czasu, gdy ją znaleźliśmy, była już zimna. A jej czaszka, jej mała główka była po prostu...

Z twarzy Jenny zaczęła odpływać krew. Cała się trzęsła.

– Tak strasznie mi przykro – szepnął Harry. – Nie miałem pojęcia. To wszystko... to ponowne otwarcie kościoła... to musi być ogromnie trudne dla pani.

– Nie, jest dobrze, jestem już gotowa. – Jenny nadal była blada, ale drżenie zdawało się słabnąć. – Poprosiłam ojca, żeby nie wspominał o tym, co się stało – ciągnęła. – Chciałam sama o tym pastorowi powiedzieć.

– To bardzo dzielne z pani strony. Dziękuję. – I z pewnością wiele wyjaśniało. Dotąd wiedział tylko to, że dziesięć lat temu parafianie przestali nagle chodzić do tego konkretnego kościoła. Kiedy ówczesny pastor przeszedł na emeryturę, diecezja oficjalnie zamknęła budynek. I dopiero gdy parafię połączono z dwiema innymi, zapadła decyzja o ponownym otwarciu kościoła. Ale Harry nie miał pojęcia, czym to tak naprawdę było spowodowane.

Gillian wciąż stała u szczytu uliczki. Jenny zauważyła, że Harry tam spogląda, i sama też się obejrzała.

– Byłam matką chrzestną córki Gillian – poinformowała. – Kilka miesięcy przed pożarem oddałam jej wszystkie ubranka Lucy, łącznie z niektórymi naprawdę mi drogimi, które uszyła Christiana. Miałam uczucie, że wykonałam ogromny krok, jakbym była gotowa pójść dalej. A potem Hayley też zginęła, a wszystkie ubranka spłonęły. Poczułam się tak, jakbym straciła Lucy po raz drugi.

Harry słuchał i był w coraz większym szoku.

– Między innymi oddałam jej piżamkę. Christiana wyhaftowała na niej postaci

Beatrix Potter. Była taka śliczna. Myślałam, że jestem strasznie dzielna, że ją oddaję.

Znów nie wiedział, co powinien powiedzieć. Był bezradny w obliczu tego wielkiego smutku, kompletnie bezradny.

– Jest pastor dobrym słuchaczem – oznajmiła Jenny, podnosząc się z ławki. – Wrócę teraz do kościoła. Życzę jutro powodzenia.

– Chce pani, żebym z panią poszedł? – Też wstał.

– Nie, nie, dziękuję – zaprzeczyła. – Dam sobie radę. Nigdy nie bałam się duchów. – Uśmiechnęła się i odwróciła, żeby ruszyć w stronę wejścia do kościoła.

31

Och Boże, posłuchaj tego, Gareth, to dalej trwa.

Łagodne kołysanie, które uspiło Toma, ustało. Ojciec zaparkował, a mama mówiła ściszym głosem, takim, jak zawsze, kiedy nie chciała, by Tom czy Joe słyszeli, co mówi. Zwykle był to sygnał, że powinni słuchać uważniej, ale Tom naprawdę nie chciał się obudzić bardziej, niż już się obudził. Chciał po prostu spać.

Usłyszał szelest i pomyślał, że to być może tata odwrócił się na siedzeniu, żeby spojrzeć na dzieci.

– Śpią jak zabici – skonstatował szeptem, jak matka. – Nie będziemy ich budzić, tylko ich wniesiemy. Niczego nie usłyszą.

– Ale tylko tego posłuchaj. Aż się robi niedobrze.

Tom nie chciał niczego słyszeć. Czekał na niego sen, dobry sen, jeśli tylko udałoby mu się znowu zasnąć i odnaleźć go. Ale mimo wszystko słuchał. Nie mógł temu zaradzić. Co to za dźwięk? Jakby ktoś zawodził. Nie, nie ktoś, tylko cała grupa ludzi, cicho płaczących, jęczących. Ale czy to na pewno ludzie? To nie brzmiało jak płacz człowieka. „Beee, beee” – tak to brzmiało i rozlegało się raz za razem. Tom nie wiedział dlaczego, ale to wycie wywoływało w nim poczucie winy.

– Położymy ich do łóżek i włączymy jakąś muzykę – zaproponował ojciec. – Chodź, w środku nie będzie aż tak słychać.

Drzwi samochodu otworzyły się, Tom poczuł na twarzy chłód powietrza. A hałas zrobił się głośniejszy. Nie tylko „beee”, także inne odgłosy. „Meee! Meee!” Gdzieś blisko ludzie wołali, śmiali się, wykrzykiwali do siebie polecenia. Tom naprawdę, naprawdę nie chciał tego słuchać, ale odgłosy wsączały się do jego głowy, jak woda w gąbkę. Potem ktoś wyciągnął do niego ręce, poczuł konwaliowe perfumy matki. Miękka wełna jej swetra otarła mu się o policzek. Chyba podniósł ręce, żeby przyciągnąć matkę do siebie, ale ona się odsunęła.

– Nie możemy zostawić Toma – powiedziała. – Jak to zrobimy?

Zostawić Toma?

– Zamknę drzwi na kluczyk – odpowiedział ojciec. – Zaraz po niego wrócimy.

Chodź, wniesiemy ich.

Zapach matki osłabł. Usłyszał ciche zamknięcie drzwi, piknięcie pilota i pstryknięcie zamykających się zamków. Tom otworzył oczy. Był w samochodzie, siedział przy oknie z tyłu. Sam.

Auto stało na podjeździe ich domu. Widział światła w pokojach na parterze. Drzwi wejściowe były otwarte. Rodzice zanoszą Joego i Millie do łóżek i ojciec wróci po niego. Rodzice często tak robili, gdy rodzina wracała skądś późno, tak jak dzisiaj po wizycie u dziadka i babci Fletcherów na kolacji. Tom zamknął oczy i przyszykował się do ponownego odpłynięcia w sen.

Ale jak mógł spać, kiedy gdzieś blisko coś było tak nieszczęśliwe i przerażone? Coś cały czas zawodziło i jęczało. Aż go od tego zemdlilo. Chciało mu się płakać. A potem rozległ się krzyk. Głośny, przenikliwy i Tom znowu się całkowicie przebudził.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć w górę ulicy. Po jej drugiej stronie budynki przy sklepie rzeźnika były jasno oświetlone. Widział poruszenie, ludzie chodzili tam i z powrotem, przenosząc na ramionach duże toboły.

Nadal był zapięty pasem, sięgnął więc w dół, żeby go rozpiąć. Auto było zamknięte, w tylnych drzwiach były blokady, ale wiedział, że mógłby przejść na przednie siedzenie i otworzyć tamte drzwi. Mógłby znaleźć się w domu w pięć sekund. Pięć sekund od wyjścia z zamkniętego auta do wejścia do domu.

Krzyki i piski zdawały się przybliżać. A może były tylko głośniejsze. W każdym razie pięć sekund wydawało się zbyt długim czasem. Wkrótce wróci ojciec. Tom skurczył się na siedzeniu, najchętniej znowu zamknąłby oczy, ale bał się to zrobić. Naprawdę bardzo chciał, żeby ojciec już wrócił. Podniósł dłonie, żeby zasłonić nimi uszy.

Czy przy samochodzie ktoś jest? Coś lub ktoś drapie cicho w lakier? Tom wstrzymał oddech. Tak, coś się poruszało na zewnątrz. Słyszał to. Prawie czuł, że samochód się kołysze. Nie odważając się przekręcić głowy, zerknął na drzwi. Nadal zamknięte. Nikt nie mógł ich otworzyć bez klucza. A może mógł?

Musi zawołać ojca. Głośno, wydrzeć się z całych sił. Tylko że noc była pełna krzyków. Nikt by go nie usłyszał. Klakson! Ojciec go usłyszy. Musi się tylko wychylić do przodu, dosięgnie klaksonu z tylnego siedzenia. Ojciec go usłyszy i przybiegnie. Tom usiadł prosto i przygotował się do skoku.

Przy oknie pojawiła się mała ręka, nie dalej niż piętnaście centymetrów od jego twarzy.

Tom wiedział, że krzyknął. Wiedział również, że nikt go nie usłyszał. Spróbował znowu i nic się nie wydostało z jego ust. Nie mógł się też poruszyć. Jedyne, co mógł i musiał, to patrzeć.

Ręka miała dziwny kolor. Ręce nie mają takiego koloru. Nie są czerwone.

Zaczęła się ześlizgiwać, pozostawiając na szybie smugę czegoś, co wyglądało jak czerwony śluz. Tom zobaczył odcisk kciuka, a potem pięć nierównych linii, gdy kciuk i palce z piskiem ześliznęły się po szybie. Patrzył, jak za obrzeżem okna znikają ramię, potem nadgarstek. Dłoń też prawie zniknęła z widoku, a potem palce poruszyły się, jakby do niego machały.

Zerwał się z siedzenia, przechylił do przodu, do klaksonu. Przez przednią szybę patrzyła na niego czyjaś twarz. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale było tak, jakby z auta coś wyssało całe powietrze. Nie mógł odдыchać, więc nie mógł też krzyczeć.

Co to było? Co to, do diabła, było? Jakaś dziewczynka, pomyślał, miała długie włosy. Ale jej głowa była o wiele za duża. A twarz wyglądała jak te figurki, które Joe czasami lepił z plasteliny. Oczy miała olbrzymie, usta wydęte, czerwone i mokre. Ale najgorsza, chyba, była skóra. Błada. Wisiała luźno na kościach, jakby była za duża na dziewczynkę, i tak naprawdę to w ogóle nie wyglądała jak skóra. Wyglądała jak to coś, co powstaje, gdy wosk skapuje ze świecy, twardnieje i robi się biały i pomarszczony. Dziewczynka wyglądała, jakby ktoś ją unurzał w roztopionym wosku. Ale to jednak nie skóra była najgorsza. Najgorsza była ta gula na jej szyi, nachodząca na twarz i rozpychająca, deformująca dekolt sukienki. Kiedy gapiała się na Toma przez przednią szybę, ten guz wyglądał tak, jakby się poruszał, sam z siebie, i Tom nagle wyobraził sobie resztę ciała, poniżej szyi: guzowate, miękkie jak plastelina i z żyłami odbijającymi się na tle woskowej skóry.

Znalazł klakson i z całej siły na niego nacisnął, przerażając samego siebie tym dźwiękiem, ale zwyczajnie nie potrafił zdjąć ręki z kierownicy. A potem był poza samochodem. Nie wiedział, jak się z niego uwolnił. Wiedział tylko, że jest na zewnątrz. Podjazd pod podeszwami jego butów był twardy, noc przepelniona odgłosami cierpienia, a potwór z koszmarów stał między nim a drzwiami frontowymi.

Uświadomił sobie, że krzyczy. Potem rzucił się do biegu. Potem krzyczał głosem matki. I głosem ojca. Darł się: „Tom, Tom, gdzie jesteś?”, a ona go goniła, chciała go dopaść, a on mógł zrobić tylko jedno – uciekać, uciekać, uciekać.

I ukryć się.

Nagle wszystko ucichło. Było zimno. Było mokro. Nie miał pojęcia, gdzie jest,

ale wiedział, że gdzieś, gdzie jest ciemno i wilgotno. Leżał, chociaż nie pamiętał, czy się przewrócił, czy sam położył z braku sił. Dyszał tak, jakby już nigdy miał nie nabrać w płuca wystarczającej ilości powietrza. W żebra wbijało mu się coś twardego, nie miał jednak odwagi zmienić pozycji.

– Tom!

Głos ojca. Gdzieś blisko. Tylko... czy na pewno? To na pewno ojciec?

– Tatuuuusiu. – Cichy głosik, niski, rozbawiony, jak dziecka bawiącego się w chowanego. Głos, który brzmiał dokładnie tak jak – och, Boże...

– Tom, gdzie jesteś?! – wołał ojciec.

– Nie, nie, tato, nie. To nie ja!

– Tatuuuuusiuuuuu...

– To wcale nie jest zabawne, Tom. Wychodź z kryjówki.

– Gareth, znalazłeś go? – Głos matki, odleglejszy. Brzmiał tak, jakby płakała. Czy to ona? Głos był podobny, ale...

Kroki. Ciężkie kroki gdzieś blisko. Zbyt ciężkie, żeby mogły...

Tom zerwał się. Był na cmentarzu, a ojciec stał pięć metrów od niego. Zobaczył go, szedł do niego. Potem Tom był niesiony przez cmentarz i nagle była z nim jego mama, byli w domu, a te przerażające jęki głośno dudniły mu w głowie. Widział, że matka coś do niego mówi, ale hałas był zbyt głośny. Byli w salonie i tata położył go na kanapie, a mama się nad nim nachyliła, tuliła go i coś mówiła, ale on nie słyszał, bo dudnienie w głowie było po prostu zbyt głośne. Potem mama się rozplakała, Tom widział łzy spływające po jej twarzy, ale nie słyszał tego płaczu, bo wszystko, co mógł usłyszeć, co będzie słyszał już zawsze, to było tylko to przerażające, przerażające wycie.

A potem uświadomił sobie, że to on tak wyje.

– Tom, aniołku, proszę, przestań płakać, proszę, przestań.

Przestał. Tylko mama jakoś tego nie zauważyła. Teraz i ona siedziała na kanapie, wciągnęła sobie Toma na kolana. Nie był dużo mniejszy od niej i już dawno nie siadał mamie na kolanach, ale cieszył się, że teraz siedzi, że jej ramiona ściśle go oplatają. Potem na schodach rozległy się kroki i w drzwiach stanął tata.

– Nic się nie dzieje – powiedział do żony cicho. – Żadne się nie obudziło.

Gareth przeszedł przez pokój i ukląkł na dywaniku przed Tomem. Potem pogłaskał syna po czole.

– Co się stało, koleżko? – spytał, przeciągając dłonią po głowie Toma.

Opowiedział im oczywiście. Dlaczego miał nie opowiedzieć? Byli jego

rodzicami, ludźmi, którym ufał bardziej niż komukolwiek innemu na świecie. Nie przyszło mu na myśl, że są rzeczy, w które rodzice, nawet jeśli bardzo by tego chcieli, nigdy nie będą w stanie uwierzyć.

„**W**szystkie stworzenia naszego Pana i Króla
Wznieście swój głos i z nami śpiewajcie”.

Kościół był prawie pełen, a mieszkańcy Heptonclough nie wstydzili się używać swoich głosów. Harry obserwował zgromadzonych wiernych. Jenny Pickup stała obok męża, w trzecim rzędzie. Sprawiała wrażenie spokojnej.

Z drugiej strony kilka innych osób wyglądało, jakby miało porządnego kaca i patrząc na te zmęczone twarze, Harry zastanawiał się, ilu z jego parafian brało udział w imprezie poprzedniego wieczoru. Rytualny ubój w sobotnią noc; nabożeństwo następnego dnia rano. Ach, cóż. Teraz żyje pośród farmerów.

Nie dostrzegł jeszcze Fletcherów. Alice zapewniała go, że na czas uboju wyjadą z Heptonclough, ale nawet jeśli to zrobili, ich dom stał po prostu zbyt blisko obory Dicka Grimesa służącej za rzeźnię. Kiedy Harry przyjechał przed godziną, przez pięć minut chodził po ulicy. „Przed sklepem będzie... jakby to ująć?... trochę bałaganu”, zapowiadał Tobias. Ale albo wcześniej padało, albo ktoś porządnie wyczyścił ulicę. Nie było śladu po tym, co się tam działo w nocy.

Pieśń dobiegała końca. Harry zauważył Garetha w połowie kościoła, po lewej stronie nawy. Alice stała obok. W jednej ręce trzymała śpiewnik, druga spoczywała na ramieniu Toma. Chłopiec wzrok miał wbity w ziemię. Żadne nie śpiewało.

– Przez ostatnie trzy tygodnie bardzo często zadawano mi dwa pytania – powiedział Harry. Stał na ambonie i większość twarzy patrzyła na niego; to zawsze dobry znak. – Pierwsze to: „Jak się panu u nas mieszka, pastorze?”, a drugie: „Nie pochodzi pastor ze wsi, prawda?”

Kilka parsknięć cichego chichotu w różnych miejscach kościoła.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: dziękuję, dobrze, wszyscy są dla mnie ogromnie życzliwi. A na drugie: nie, nie pochodzę ze wsi. Ale zaczynam łapać, o

co chodzi.

W zatłoczonym kościele w pierwszej ławce po lewej stronie siedziały tylko trzy osoby: Sinclair, jego ojciec Tobias i starsza córka Sinclaira, Christiana. W dawnych czasach byłyby to ławka rodziny Renshawów. I praktycznie rzecz biorąc, nadal nią była.

– Wszyscy możemy znaleźć pocieszenie w poczuciu, że żyjemy w uporządkowanym wszechświecie – ciągnął Harry. – Tutaj, pośród wzgórz, gdzie ziemia odgrywa tak ważną rolę w naszym życiu i gdzie to pory roku decydują o tym, co robimy, chyba łatwiej niż w mieście jest nam poczuć harmonijną łączność ze światem.

W łagodnym świetle zalewającym kościół duże, regularne rysy Christiany Renshaw wydawały się prawie piękne, była teraz bardzo podobna do swojej młodszej siostry. Christiana nie patrzyła na Harry'ego, tylko na jabłko w jednej z kwiatnych dekoracji w oknie. Siedziała odsunięta od swojego dziadka na jakiś metr.

– Ustęp, który wam przeczytałem – ciągnął Harry – nie bez powodu jest często przytaczany w czasie żniw, podczas chrzcin, na ślubach, a nawet na pogrzebach. W ważnych momentach w naszym życiu lubimy sobie przypomnieć, że jesteśmy częścią większego planu, że istnieje jakiś cel. I że wszystko ma swoje miejsce i czas. Nasze dzisiejsze czytanie, Księga Koheleta, rozdział trzeci, wers pierwszy do ósmego w moim pojęciu oddaje to lepiej niż którykolwiek inny ustęp.

Gillian siedziała w ósmym rzędzie, zaraz za rodziną Fletcherów. Nawet z daleka Harry widział, że miała umyte włosy i była umalowana.

– Dlatego to raczej zaskakujące – mówił dalej – że reszta tej książki jest najmniej zrozumianym tekstem w całej Biblii.

Msza już prawie dobiegała końca. Wierni śpiewali psalm ofertoryjny, Dick i Selby Grimes, pomocnicy kościelnego, chodzili między wiernymi z tacami, a Harry szykował się do przyjęcia i udzielenia komunii. Wszystko przygotował poprzedniego popołudnia, otworzył wino i przelał do karafki. Teraz musiał je jedynie wlać do kielicha. Wyjął korek z karafki, nalał trochę wina do kielicha i dodał wody. Wyłożył hostię na srebrną tacę. Zaraz rozniesie opłatki i rozda je wiernym. Sinclair pójdzie za nim z winem.

Podniósł talerzyk w górę. Kapłan zawsze pierwszy przyjmuje komunię.

Następny będzie Sinclair i organista, potem reszta wiernych. Za sobą słyszał, jak pomocnicy sterują ludźmi i ustawiają ich w rzędzie.

– Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Błogosławieni, którzy zostali wezwani na Jego ucztę. – Podniósł hostię z talerzyka. – Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy: To jest bowiem Ciało moje, które za was będzie wydane. To czyńcie na moją pamiątkę.

Włożył opłatek do ust. Organista skończył grać i ruszył do Sinclaira, żeby stanąć obok niego. W kościele zrobiło się cicho. Harry słyszał, jak pierwszy rząd przyjmujących komunię ustawia się przed prezbiterium. Powinien później zadzwonić do Jenny i Mike'a i dowiedzieć się, czy ich pierwsze nabożeństwo nie było dla nich zbyt trudne. Zajrzy do nich, jeśli to będzie konieczne. Podniósł kielich. Czy mu się wydaje, czy wino dziwnie pachnie?

– Oto kielich krwi Pana naszego, Jezusa Chrystusa – powiedział głośno. – Bierzcie i pijcie z niego wszyscy: to jest bowiem kielich krwi mojej nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. To czyńcie na moją pamiątkę. – Przystawił kielich do ust. Przez okno nad ołtarzem do środka wlał się strumień słonecznych promieni. Przez sekundę srebrny kielich był tak samo szkarłatny jak jego zawartość.

– Krew Chrystusa – szepnął Harry do siebie. Poczuł na ustach chłód srebra.

Na zewnątrz nad dachem szybowały gawrony. Słyszał, jak się nawołują. Wewnątrz kościoła wszystko było nieruchome. Wierni czekali w milczeniu, aż się wyprostuje i rozpocznie udzielanie komunii.

Wolno, bardzo wolno odstawił kielich na ołtarz.

W zasięgu ręki leżała biała lniana ściereczka. Podniósł ją i przycisnął do ust. Czuł, że zaraz zwymiotuje, naprawdę zaraz. Znów sięgnął po kielich i tak szybko, jak tylko mógł, nie rozlewając przy tym zawartości, wyszedł z kielichem do zakrystii. Drzwi otworzył ramieniem, a zamknął kopniakiem. Do zlewu dotarł w ostatnim momencie.

Kiedy czerwony płyn obryzgał białą porcelanę, uzmysłowił sobie, że wymiotuje. I że słyszy to cały kościół. Puścił zimną wodę, przemył w niej dłonie, potem podniósł je do twarzy.

– Pastorze, co się stało?

Sinclair Renshaw wszedł za nim do zakrystii. Harry złączył dłonie, nabrał w nie wody i się jej napił.

– Pastorze, źle się pastor poczuł? Mogę jakoś pomóc?

Harry odwrócił się, podniósł kielich i wysunął go do kościelnego.

– Kolejna tradycja? – spytał z poirytowaniem. Ręka mu drżała. Odstawił naczynie.

Sinclair zerknął na nie, potem się odwrócił i szybko przeszedł do drzwi. Po ich zamknięciu wrócił do Harry'ego.

– To zawsze się tak kończy? – spytał Harry. – W sobotę przelewacie krew, a w niedzielę ją pijecie?

– O co pastorowi chodzi, jak Boga kocham? – zdenerwował się Sinclair.

Harry wskazał kielich.

– To nie wino – oświadczył; dłoń wciąż mu drżała. – Tylko krew. I nie żadna symboliczna, tylko... prawdziwa.

– Z pewnością nie.

– Niech pan sam spróbuje. Ja już próbowałem.

Sinclair wziął kielich i poszedł z nim do światła. Przystawił do twarzy i mocno pociągnął nosem. Potem zanurzył palec, któremu się następnie uważnie przyjrzał. Harry obserwował starszego mężczyznę, nie potrafił jednak odczytać wyrazu na jego twarzy. Po sekundzie czy dwóch Sinclair opłukał dłoń i odwrócił się do Harry'ego.

– Niech się pastor napije wody – poradził. – I chwilę ochłonie.

Potem znowu się odwrócił i przeciął pomieszczenie. Na półce znalazł inny kielich – starszy, nieco zmatowiały – i opłukał go pod kranem w zlewie. Potem otworzył jedną z szafek – było jasne, że doskonale się orientuje, co gdzie jest – i wyjął z niej nową butelkę wina. Harry przysunął sobie krzesło, usiadł i patrzył, jak Sinclair znalezionym korkociągiem otwiera wino. Nalał go do kielicha i pociągnął mały łyżeczek.

– To jest w porządku – oznajmił. – Da pastor radę prowadzić nabożeństwo dalej?

Harry nie był w stanie odpowiedzieć. „Krew Jezusa Chrystusa, przelana za was”.
Krwawe Żniwa.

– Pastorze! – Sinclair nadal mówił cicho, ale zarazem stanowczo. – Mogę powiedzieć, że się pastor rozchorował. Woli pastor tak?

Harry podźwignął się i pokręcił głową.

– Nie, dam radę – zapewnił. – Dziękuję.

– Świetnie. Proszę pobłogosławić wino tutaj, tylko przy mnie. To pastora uspokoi.

Miał rację. Harry nabrał głęboko powietrza i wypowiedział znajomą formułę.

Podniósł kielich do ust i zanim zdążył pomyśleć, co robi, napił się. Wino, delikatne, cienkie.

– Już lepiej? – spytał Sinclair.

– Tak, dziękuję. Powinniśmy... – Harry pokazał drzwi. Wolał się nie zastanawiać, co myślą czekający w kościele wierni.

– Tylko jeszcze jedno. – Dłoń Sinclaira znalazła się na jego ramieniu. – Po nabożeństwie zajmę się tym. – Sinclair machnął ręką w stronę pierwszego kielicha, tego, w którym nadal była... – To pewnie tylko głupi żart – ciągnął. – Wczoraj ludzie sporo wypili. Proszę niech pastor przyjmie moje przeprosiny.

Harry skinął głową i razem z Sinclairem wyszli z zakrystii. Harry poszedł po tacę z opłatkami i podszedł do pierwszego rzędu wiernych, nadal cierpliwie klęczących na schodkach prezbiterium.

– Ciało Chrystusa – wymamrotał, kładąc opłatek na wyciągniętej do niego dłoni. – Ciało Chrystusa... Ciało Chrystusa. – Szedł wzdłuż rzędu wiernych, słysząc, jak za nim Sinclair podaje wino. – Krew Chrystusa – mówił. – Krew Chrystusa.

Harry zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł czerpać przyjemność z wypowiedania tych słów.

Wina, Harry?

– Chętnie. Ale macie może białe? – Harry zdjął kurtkę i rozejrzał się za czymś, na czym mógłby ją powiesić. U Fletcherów na wieszaku na płaszcze nigdy nie było wolnego miejsca.

– Zaraz sprawdzę. – Gareth przykucnął i otworzył lodówkę.

– Coś ładnie pachnie, Alice – zauważył Harry, odbierając od Garetha duży kieliszek. Stół kuchenny był nakryty do niedzielnego obiadu. Millie, w wysokim foteliku, pogryzała kawałek bagietki. Chłopców nie było nigdzie widać.

Kieliszek był bardzo zimny. Płyn w nim uspokajająco jasny. Upił łyk. Zdecydowanie wino. Millie wyciągnęła do niego bułkę. Kiedy pokręcił głową, upuściła pieczywo na podłogę.

– Mamy pałki z kurczaka – odpowiedziała Alice. – Z przypieczoną skórką.

– Co to był za problem podczas komunii? – zainteresował się Gareth, nalewając białe wino dla żony i czerwone dla siebie. – Zastanawialiśmy się, gdzie zniknąłeś.

– Och, w winie były kawałki korka – odparł Harry, mówiąc to, co ustalili z Sinclairem, że będzie mówił. Uznali, że lepiej nie rozpowiadać innym o tym, co się wydarzyło. Pochylił się, żeby podnieść z podłogi bułkę upuszczoną przez Millie. – Było naprawdę paskudne, kwaśne jak ocet – dodał.

– Ale i tak wyszło całkiem niezłe – pochwaliła Alice. – Miałeś komplet i nikt nie zasnął, nasz drogi pastorek.

– I jestem pewien, że dla wszystkich to było głęboko spełniające duchowe przeżycie – dodał Gareth. – Ignoruj moją żonę. To Amerykanka.

– Tak jakbyś sam chodził do kościoła, zanim się ze mną ożeniłeś – odgryzła się Alice. – Byłeś w ogóle ochrzczony? A gdzie twoja bułeczka, maleńka? Och, pastor ci ją ukradł? Niedobry pastor.

– Trzymali mnie za lewą kostkę i zanurzyli w jeziorze w Rawenstall – odpowiedział Gareth. – To mnie uczyniło niezwykłym.

Coś tu było nie tak. Alice i Gareth za bardzo się starali. Coś w ich uśmiechach i

przekomarzaniu sprawiało wrażenie wymuszonego. Jak się nad tym zastanowić, to oboje wyglądali na mocno niewyspanych.

– Mogę ci jakoś pomóc, Alice – zaproponował Harry.

– Mógłbyś przyprowadzić chłopców. Zwykle zaciągnięcie ich do stołu zajmuje z dziesięć minut, więc bądź stanowczy.

Harry zabrał kieliszek i ruszył na obchód domu. Na dole nikogo nie było, poszedł więc na górę.

– Chłopcy! – zawołał, gdy stanął na ostatnim stopniu. – Obiad gotowy!

Nie doczekał się odpowiedzi i ruszył do drzwi na końcu korytarza. Zapukał cicho w pierwsze i otworzył. Joe siedział na środku dywanu, otoczony maleńkimi plastikowymi żołnierzami.

– Cześć, kolego – rzucił Harry. – Mama mówi, że obiad jest na stole.

Joe z powrotem opuścił wzrok i kilku żołnierzów przestawił na inne miejsce.

– Słyszałem, że się pan pochorował – mruknął. – W kościele. Wszyscy słyszeli.

Wspaniale, pomyślał Harry.

– No cóż, mam nadzieję, że to nikogo nie zniechęci do zjedzenia obiadu – rzekł.

– Schodzisz na dół? – Cofnął się do drzwi. Pokój obok musiał należeć do Toma.

– One umarły, prawda?

Harry wrócił do pokoju i przykucnął. Jego głowa znalazła się na wysokości głowy Joego. Chłopiec nie odrywał oczu od żołnierzów na dywanie. Czas zabijania.

– O czym ty mówisz, Joe – spytał. – Kto umarł?

Joe podniósł głowę i spojrzał na Harry'ego. Pod oczami miał ciemne sińce.

– Kto umarł, Joe? – spytał ponownie Harry, mówiąc tak łagodnie, jak tylko potrafił.

– Te małe dziewczynki w kościele – odparł Joe.

– Joe, byłeś wczoraj po południu w kościele? – zapytał podejrzliwie Harry. – Słyszałeś moją rozmowę z panią Pickup?

Joe pokręcił głową. Nie wyglądał, jakby kłamał. Zresztą Jenny opowiadała o córce, kiedy już stali przed kościołem.

– Harry, chłopcy, obiad! – zawołała Alice z dołu.

Harry zaczął się podnosić.

– Nie ta – wymamrotał Joe, mówiąc tym razem do swoich żołnierzów. – O tej wiedzy wszyscy. Miałem na myśli te inne.

Harry z powrotem znalazł się na kolanach.

– Jakie inne? – spytał. – Joe?

Chłopiec popatrzył na niego. Z piegami na bladej twarzy, błękitnymi oczami i rudymi włosami wyglądał naprawdę przesłodko. Ale w tych oczach było coś, co budziło niepokój.

– Czy ktoś w tym domu jest głodny?! – wołała Alice.

Harry wstał.

– Musimy iść, kolego – rzekł, podciągając Joego na nogi i kierując go ku drzwiom. Na podeście hałas za plecami zmusił ich do odwrócenia się. Otworzyły się drzwi pokoju Toma. Pomieszczenie za nim spowijała ciemność, zasłony były zaciągnięte. W drzwiach pojawił się Tom, wyminął ich i zszedł ciężko na dół, zupełnie ignorując Harry’ego. To się zdarzyło po raz pierwszy, odkąd się poznali.

Mamusiu, czy po obiedzie będziemy mogli zrobić lampiony? – spytał Joe.

Alice nachylała się nad stołem i kroїła kurczaka na talerzu Millie na mniejsze części. Zerknęła na Toma, potem na Harry’ego. Między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– No, nie wiem, kochanie – odpowiedziała. – Nie wszyscy lubią Halloween. Nie wolno nam denerwować pastora.

– Mnie tam dynie nie przeszkadzają – zapewnił Harry, obserwując Alice, która znów z niepokojem zerknęła na Toma. – Mogę ci pomóc, Joe, jeśli chcesz – dodał.

– Chociaż, biorąc pod uwagę to, jacy zdolni są twoja mama i twój tato, pewnie mocno cię rozczaruję.

– W Halloween będziemy zbierali cukierki – oznajmił Joe. – Może pan pójść z nami, jeśli chce.

– Tak naprawdę, to jeszcze niczego wam nie obiecałam. – Alice znowu patrzyła na Toma. Talerz starszego syna był nieruszony. – Jak sądzisz, pastorze? – rzuciła, ponownie zwracając się do Harry’ego. – W Heptonclough obchodzą Halloween, czy raczej nie?

– Och, założę się, że obchodzą – odparł Harry. – Wszystko w porządku, Tom?

– Tom musi iść do takiego specjalnego lekarza – oświadczył Joe. – Bo zmyśla historie o potworach i wczoraj w nocy wpadł w histerię.

– Co takiego? – zdziwił się Harry.

– Joe, wystarczy – rzucił Gareth w tym samym momencie.

– Tomowi przyśniło się coś złego – szybko wyjaśniła Alice. – Wróciliśmy późno

i na ulicy było bardzo głośno. To nasza wina, bo zostawiliśmy go w samochodzie. – Odwróciła się do starszego syna i pogładziła go palcem po wierzchu dłoni. – Przykro mi, aniołku – powiedziała. Tom ją zignorował.

– No, Tom – odezwał się Gareth – zjedz chociaż trochę.

Krzesło Toma głośno stuknęło, kiedy je odepchnął i zerwał się na nogi.

– To nie był zły sen! – wrzasnął. – Ona jest prawdziwa i Joe wie, kim jest. On ją wpuszcza do domu i jak nas wszystkich pozabija, to będzie jego wina, i ja go, kretyna, nienawidzę!

Wybiegł z kuchni, nim któreś z rodziców zdążyło zareagować. Alice wstała bez słowa i poszła za synem. Gareth opróżnił swój kieliszek i nalał sobie nową porcję. Joe patrzył na Harry'ego dużymi błękitnymi oczami.

Pół godziny później Harry wyszedł od Fletcherów. Po odesłaniu Joego i Millie do zabawy Gareth opowiedział o poprzednim wieczorze. Ani on, ani Alice nigdy nie widzieli tej dziewczynki, o której ciągle wspominał Tom. Alice z rana zamierzała pojechać z nim do lekarza.

Idąc podjazdem, Harry zobaczył, że znowu zanosi się na deszcz. Kiedy dotarł do samochodu Fletcherów, zatrzymał się przy nim. Ktoś wyczyścił jego część. Drzwi od strony kierowcy i maska były zakurzone i obryzgane błotem, ale tylne okno i panel zaraz pod nim były czyste jak łąka. W kurzu były nawet ślady po tym, jak ktoś przeciągnął po nim ścierką. A w górnym rogu tylnej szyby widniało coś, co mogło być odbiciem palca. Czerwonym odbiciem.

Pukanie do drzwi zaskoczyło Harry'ego, mimo że się go spodziewał. Wstał i ściszył muzykę. Kiedy wyszedł do holu, za szklanymi szybkami we frontowych drzwiach zobaczył dwie wysokie osoby.

Mike Pickup, mąż Jenny i zięć Sinclaira Renshawa, był w tweedowej marynarce i berecie w stonowanych kolorach, brązowych sztruksowych spodniach i krawacie z dzianiny. Mężczyzna obok niego miał na sobie ciemnoszary prążkowany garnitur wyglądający na szyty na miarę. Żaden z przybyłych się nie uśmiechał.

– Dobry wieczór, pastorze – powiedział Mike Pickup. – To nadinspektor Rushton.

Detektyw krótko skinął głową.

– Brian Rushton – przedstawił się. – Policja terytorialna Lancashire. Oddział Penniński.

– Miło mi – rzucił Harry. – Proszę wejść, zapraszam.

Goście udali się za nim do gabinetu. Harry usunął z jednego z foteli drzemiącą tam kulkę barwy imbiru, potem czekał, aż mężczyźni usiądą. Gabinet był największym pokojem w domu. Tutaj pracował, przyjmował gości i czasami urządzał małe spotkania modlitewne. Dzięki obecności dwóch dużych edwardiańskich kaloryferów był to też najcieplejszy pokój; i ten, w którym najczęściej znajdował kota.

Odstawił zwierzaka na podłogę i popchnął go pod biurko.

– Napiją się panowie czegoś? – spytał. – Mam irlandzką whisky – ciągnął, pokazując na już otwartą butelkę na biurku. – A w lodówce piwo. Albo mogę wstawić wodę.

– Dziękujemy, nie – odmówił Pickup za siebie i za towarzysza. – Ale pan niech się napije. Nie zajmiemy dużo czasu. – Przerwał, wyraźnie czekając, żeby Harry również usiadł. Nadinspektor, wyglądający na dobijającego sześćdziesiątki, którego

dominującą cechą były wąskie szarawe oczy i gęste brwi, powoli rozglądał się po pokoju.

Harry usiadł na krześle najbliżej biurka. Nie był do końca zaskoczony, kiedy zobaczył, że kot znowu się pojawił i wskoczył na poręcz fotela, na którym siedział policjant.

Podniósł się.

– Przepraszam – mruknął. – Już go wynoszę.

– Nie, nie trzeba. Jestem przyzwyczajony do kotów. – Rushton podniósł rękę, powstrzymując Harry’ego. – Żona trzyma w domu dwa – dodał, przenosząc uwagę na kota. – Syjamskie. Hałaśliwe małe zasańce. – Zaczął drapać kota za uszami. Mruczenie, jakie się rozległo w odpowiedzi, brzmiało jak uruchamiany silnik samochodowy.

– Ja natomiast w ogóle nie jestem do nich przyzwyczajony – wyznał Harry. – No, ale ten mnie zwyczajnie zaadoptował.

Rushton uniósł krzaczaste brwi. Harry wzruszył ramionami.

– Może jest częścią wyposażenia plebanii – wyjaśnił. – A może to tylko oportunistyczna przybłęda. Tak czy siak, czekał na mnie, kiedy przyjechałem, i od tamtego czasu nie chce sobie pójść. Nie karmiłem go, ani razu, ale on i tak nie odchodzi.

– Ma jakieś imię? – zaciekawiał się Rushton.

– Ten cholerny kot – odpowiedział szczerze Harry.

Wargi policjanta drgnęły. Mike Pickup odchrząknął.

– Pastorze, dziękujemy, że pastor zgodził się na tak szybkie spotkanie – zaczął.

Harry kiwnął głową.

– Prawda wygląda tak, że sam się dowiedziałem od Briana niecałą godzinę temu – kontynuował Pickup. Mężczyźni wymienili się spojrzeniami, potem Pickup znowu zwrócił się do Harry’ego. – Znamy się z Brianem od lat – rzekł, a Harry ukrył uśmiech. Kocur przybłęda zwinął się w kłębek na kolanach detektywa i głaskany przez niego, mruczał jak silnik traktora.

– Mike wpadł do mnie z wizytą w zeszłą niedzielę wieczorem – odezwał się Rushton. – Po tym incydencie podczas nabożeństwa dożynkowego.

– Po nabożeństwie byliśmy z Jenny na obiedzie u jej ojca – wyjaśnił Mike. – Muszę się przyznać, że byliśmy ciekawi, co się stało w trakcie komunii. Sinclair wyraźnie nie chciał o tym mówić, ale Jenny go naciskała i na koniec się poddał i opowiedział. On chyba uważa, że to był tylko głupi żart, niewart zapamiętania, ale

po tym, co prawie się stało z dzieckiem Fletcherów kilka tygodni temu, trochę się przejąłem. Po obiedzie poszedłem do zakrystii. Sinclair wylał zawartość kielicha i go umył, ale zapomniał o karafce. Zaniósłem ją Brianowi. Obiecał, że jego laboratorium się temu przyjrzy. Dyskretnie.

– Rozumiem – rzucił Harry.

– Brian zadzwonił do mnie dzisiaj wieczorem z wynikami – kontynuował Mike.
– To krew świni, czego się raczej spodziewaliśmy. W sobotę ubiliśmy sporą liczbę zwierząt i jak pastor może wiedzieć, kiedy zabija się świnię, krew jest spuszczana i zachowywana. Używa się jej do wyrobu kaszanki. Ktoś musiał trochę zabrać – co zapewne nie było trudne – a potem zakradł się do kościoła.

Rushton nachylił się w fotelu do przodu.

– Wielebny pastarze – zaczął. – Domyślam się, że w sobotę po południu miał już pastor wszystko przygotowane do nabożeństwa. Kto mógł mieć dostęp do kościoła między czasem, gdy pastor z niego wyszedł, a poranną niedzielą mszą?

Harry spojrział na Mike'a. Nie bardzo chciał wspominać o Jenny w obecności jej męża. Zobaczył, że Mike szykuje się, żeby coś powiedzieć.

– Moja żona była w kościele przez jakiś kwadrans po wyjściu wielebnego Laycocka – wyznał. – Sinclair pożyczył jej klucz. Dołączyłem do niej około szesnastej trzydzieści i oboje dokładnie sprawdziliśmy budynek. Jenny powiedziała mi, że podejrzewał pastor, że dzieci czy ktoś inny ukrył się w kościele. Tak było, pastarze?

– Tak – potwierdził Harry. – Ktoś tam łaził. Prawdopodobnie nie powinienem był zostawiać Jenny samej, ale ona nalegała.

– To nic – zapewnił Mike. – Dobrze, że pozwolił jej pastor posiedzieć tam samej. A kościół był pusty, kiedy wychodziliśmy. Jestem tego pewny.

– Kto jeszcze ma do niego klucze? – spytał Rushton.

– Zwykle tylko pastor i członkowie rady parafialnej, może jeszcze sprzątający – odpowiedział Mike. – Teraz nie mamy nikogo do sprzątania, więc zgodnie z tym, co wiem, klucze mamy tylko pastor, Sinclair i ja.

– Pastarze, przyznam, że nie chodzę do kościoła – zaczął Rushton.

– Nikt nie jest idealny – odparł automatycznie Harry.

– No właśnie – przytaknął Rushton. – Ale Michael mówił mi, że zwyczajowo to kapłan pierwszy przyjmuje komunię, czy to prawda?

Harry kiwnął głową.

– Tak, zawsze. Chodzi o to, że sam muszę być w stanie łaski, zanim zacznę się

dzielić chlebem i winem z innymi.

– Czy większość ludzi o tym wie, jak pastor sądzi?

– Myślę, że tak. Przynajmniej ci, którzy regularnie przystępują do komunii.

– Co ci chodzi po głowie, Brian? – zaciekawiał się Mike.

– No cóż, wydaje mi się, że mamy tu dwie możliwości. Albo ktoś żywi osobistą urazę do pastora, i to jego miał ten incydent dotknąć. Albo sprawca nie zdawał sobie sprawy, że wino mszalne będzie najpierw przyjmowane przez pastora. Bo gdyby najpierw podał je pastor wiernym, założę się, że dopiero po podaniu pierwszym kilku osobom jedna czy dwie zorientowałyby się, że coś jest nie tak. I wtedy miałby pastor kłopot. Przychodzi pastorowi na myśl ktoś, kto miałby jakiś powód, żeby płatać mu takie figle?

Harry chwilę się zastanowił, bo wiedział, że się tego od niego oczekuje.

– Nie, nie przychodzi – odparł w końcu. – Ale przyszło mi na myśl to, że może komuś zależało, żeby kościół nie został ponownie otwarty. Albo może, od kiedy się tu sprowadziłem, nieświadomie kogoś uraziłem.

– Nie uraził pastor – zapewnił Mike. – Odwrotnie, ludzie są raczej pastorem oczarowani.

– Chcielibyśmy, żeby pastor – odezwał się znowu detektyw – pozwolił nam zdjąć sobie odciski palców, żebyśmy mogli sprawdzić, czy na karafce są inne poza pańskimi.

– Ja też to chętnie zrobię, jeśli w czymś to pomoże – zaoferował się Mike, zanim znów się zwrócił do Harry'ego. – Pastorze, musimy się zastanowić nad zabezpieczeniem kościoła. Jutro z samego rana zlecę wymianę zamków. I dopilnuję, żeby były dostępne tylko trzy zestawy kluczy.

– To brzmi sensownie – zgodził się Harry.

– No dobrze. Nowe klucze będę miał dla pastora pewnie pojutrze. Zapraszam wtedy do Białego Lwa na obiad. Powiedzmy o pierwszej?

Zdjęcie odcisków trwało nie dłużej niż kilka minut, potem obaj mężczyźni pożegnali się i wyszli. Harry wrócił do gabinetu. Spojrzał w stronę szafki z alkoholami. Wypił już dość. Poczował coś ciepłego między kostkami nóg i spojrzał w dół. Kot ocierał się grzbietem o jego spodnie.

– Nienawidzę kotów – wymamrotał zrzędlawie. Schylił się, żeby podnieść zwierzę. Ułożyło się w jego rękach, mrucząc, pocieszająco ciepłe.

Pół godziny później kot spał jak suseł na kolanach Harry'ego, siedzącego na fotelu nieruchomo jak głaz.

19 października

Evi zaparkowała na jedynym wolnym miejscu. Duży, podobny do hangaru budynek straży pożarnej w Goodshaw Bridge stał dwadzieścia metrów dalej. Wsiadła z samochodu i odszukała laskę.

– Trudno mi chodzić po schodach – wyjaśniła strażakowi w recepcji. – Macie tu może windę? Przepraszam, że sprawiam kłopot.

– To żaden kłopot, moja droga. Proszę dać mi minutkę.

Strażak poprowadził ją korytarzem. Starła się nadążyć, ale plecy już od kilku dni dawały jej się mocno we znaki. Ciągłe opieranie się na lasce wywierało zbyt duży nacisk na mięśnie po jednej stronie ciała, a one napierały na nerwy. Powinna częściej korzystać z wózka. Tylko że...

Dotarli do windy i wjechali na pierwsze piętro, potem znowu ruszyli korytarzem. Jak będzie wychodziła, zsunie się chyba na dół po tej ich strażackiej rurze.

Jej przewodnik zatrzymał się przy niebieskich drzwiach i zapukał. Otworzył je, nie czekając na odpowiedź.

– Jakaś pani do pana, szefie – oznajmił, zanim zerknął za siebie na Evi. – Doktor... eee?

– Evi Oliver – wydusiła Evi przez zaciśnięte zęby. – Bardzo dziękuję.

W pokoju było dwóch strażaków, czekali na nią.

– Doktor Oliver, dzień dobry – powiedział wyższy, starszy, wyciągając rękę. – Jestem komendantem posterunku, Arnold Earnshaw. A to mój zastępca, Nigel Blake.

– Bardzo miło z panów strony, że zechcieliście mnie przyjąć – powiedziała.

– To żaden problem. Jeśli włączy się syrena, zostanie po nas tylko kurz. Ale do tego momentu, jesteśmy cali dla pani. Może kawy? – Komendant podniósł głos. – A ty dokąd, Jack?

Przewodnik Evi pojawił się znowu, upewnił się, że obaj przełożeni nie zmienili

przyzwyczaję i nadal piją herbatę z mlekiem i trzema kostkami cukru, po czym ochoczo zgodził się zrobić dla Evi kawę z mlekiem.

Cała trójka usiadła. Evi chętnie wykorzystałaby ten moment na odzyskanie oddechu, ale obaj mężczyźni patrzyli na nią, oczekując, że zacznie mówić.

– Wyjaśniałam przez telefon, że chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o pożarze sprzed kilku lat w Heptonclough – oznajmiła. – Ma to związek z moją pracą, ale jestem pewna, że panowie zrozumiecie, że nie mogę ujawnić szczegółów. Chodzi o tajemnicę lekarską.

Komendant Earnshaw pokiwał głową. Jego kolega też to zrobił, wyglądał na zainteresowanego, chętnego do pomocy. Evi przemknęło przez myśl pytanie, czy strażacy nie nudzą się przypadkiem przez większość czasu i takie sytuacje to dla nich wręcz mile widziana odskocznia.

– Ten pożar miał miejsce pod koniec jesieni, trzy lata temu – dodała. – Wybuchł w domku przy Wite Lane w Heptonclough, wspominałam o tym?

Earnshaw skinął głową i poklepał papierową teczkę na biurku.

– Wszystko jest tutaj – rzucił. – Chociaż wcale nie potrzebowaliśmy zaglądać do akt. To był trudny przypadek. Zginęła mała dziewczynka.

– Był pan tam?

– Obaj byliśmy – oznajmił Earnshaw. – Byli wszyscy ze stałej służby i jeszcze kilku wolontariuszy. Co chciałaby pani się od nas dowiedzieć?

– Rozumiem, że po zakończeniu akcji, po ugaszeniu pożaru, stoją przed wami dwa pytania, na które musicie znaleźć odpowiedź – zaczęła Evi. – Gdzie pożar się rozpoczął i co go wywołało? – Gillian nadal jej nie opowiedziała, jak doszło do pożaru. Czy wybuchł na skutek jakiegoś zaniedbania jej lub męża, co mogłoby do pewnego stopnia tłumaczyć jej gniew czy poczucie winy? Obaj mężczyźni kiwali głowami.

– Czy to dobre pytania na start?

Blake nachylił się do przodu.

– Żeby doszło do pożaru, potrzebne są trzy rzeczy, doktor Oliver – zaczął. – Wysoka temperatura, źródło zasilania, takie jak papier czy benzyna, i tlen. Bez każdego z wymienionych nie ma ognia. Rozumie pani?

Evi potwierdziła skinieniem głowy.

– W większości wypadków tlen możemy uznać za pewnik. A więc to, czego szukamy, to kombinacja ciepła i paliwa. Potem ogień od miejsca zaprószenia rozchodzi się na boki i w górę. Jeśli do pożaru dojdzie u dołu ściany, zobaczymy

ślady ognia biegnące ku górze, w kształcie litery „V”. Nadąża pani?

Evi znowu kiwnęła głową.

– Niektóre rzeczy w domu, takie jak materiały syntetyczne czy schody, mogą to zniekształcić, ale generalnie śledzi się rozprzestrzenianie ognia od punktu, w którym był największy, a potem szuka kombinacji ciepła i paliwa. W pożarze w Wite Cottage punkt startowy był dość oczywisty, pomimo że ostatecznie górne piętro się zawaliło. Pożar wybuchł w kuchni, w okolicy kuchenki.

– I wiecie, co go konkretnie wywołało? – spytała Evi.

– Mogliśmy tylko zgadywać – odparł Blake – ze względu na rozmiar zniszczeń. Ale wiemy, że w okolicy kuchenki były trzymane oleje do smażenia, a to nigdy nie jest dobry pomysł. Przypuszczamy, że ktoś zostawił patelnię na zapalonym palniku. To się często zdarza z patelniami do omletów. Ludzie robią omlet, skupiają się na przełożeniu go na talerz i zapominają wyłączyć gaz. Patelnia się coraz bardziej nagrzewa i w końcu olej, który w niej został, zapala się. Jeśli blisko obok stała butelka z olejem, plastik mógł się stopić, olej się wylał. Widzi pani więc, w jaki...

– Tak, oczywiście – potwierdziła Evi, zapisując sobie w pamięci, że ma przenieść oliwę z oliwek w inne miejsce, bo swoją też trzymała obok kuchenki.

– Ale w tamtym pożarze prawdziwym problemem była butla z gazem – dodał Earnshaw. – Dom nie był podłączony do sieci gazowej, więc rodzina używała butli gazowych podłączanych do kuchenki. Częsta sytuacja na wsiach, jednak ta rodzina w pokoju obok kuchni trzymała jeszcze trzy zapasowe butle. Kiedy zajęły się ogniem...

– Rozumiem – rzuciła Evi, zastanawiając się, czy na pewno ma odwagę na zadanie następnego pytania. – Wiem, że to trudne pytanie i proszę się nie obrazić, że je zadam, ale czy braliście panowie pod uwagę podpalenie?

Earnshaw odchylił się na oparcie krzesła. Blake zmarszczył brwi.

– Zawsze musimy brać to pod uwagę – odpowiedział Earnshaw po chwili. – Ale w tamtym wypadku nie było nic, co by wzbudzało nasze podejrzenia. Ogień miał łatwy do zidentyfikowania punkt początkowy.

– Taki, który umożliwiał wyjaśnienie przyczyny powstania pożaru – wtrącił Blake.

– Gdyby ogień wybuchł w koszu na śmieci w sypialni – wyjaśniał Earnshaw – albo gdybyśmy koło domu znaleźli ślady rozlanej benzyny, to wtedy byłaby to zupełnie inna kwestia.

– Dom był wynajęty, więc w grę nie wchodziło oszustwo ubezpieczeniowe –

dodał Blake.

– A ta para straciła dziecko – rzucił Earnshaw z naciskiem, tak jakby Evi powinna sama o tym pomyśleć. Teoria umyślnego wywołania pożaru, żeby zatuszować przypadkową śmierć, prowadziła donikąd. Evi ogarnęło wrażenie, że nadużywa gościnności strażaków.

– Wszystko to rozumiem – powiedziała. – I wiem, że moje pytania są mało delikatne. Przykro mi, ale nie mogę wyjaśnić, dlaczego je zadaję.

– Ukrycie dowodów podpalenia naprawdę nie jest takie proste – zauważył Blake.
– Podpalacze często używają zapalek, a potem je wyrzucają, przekonani, że ogień wszystko strawi.

– A tak nie jest?

Blake pokręcił głową.

– W główkach zapalek jest coś, co się nazywa okrzemki – zaczął wyjaśniać. – Jednokomórkowy organizm zawierający bardzo twardy związek o nazwie krzemionka. Krzemionka nie ulega spalaniu. Czasami możemy nawet zidentyfikować markę użytych zapalek.

– Rozumiem – rzuciła Evi. – Mam jeszcze jedno, już ostatnie pytanie, jeśli wolno, a potem już dam panom spokój. Po jakim czasie od ugaszenia pożaru ustaliliście, że ciało dziecko uległo całkowitemu spalaniu?

Strażacy popatrzyli na siebie. Zmarszczka na czole Blake'a się pogłębiła.

– Dom płonął przez kilka godzin, jak rozumiem – ciągnęła Evi. – A jak już ugasiliście ogień, musieliście przecież zaczekać, aż wszystko ostygnie, bo dopiero wtedy mogliście sprawdzić, czy możecie bezpiecznie rozpocząć oględziny.

– Zawaliło się górne piętro – przypomniał Blake.

– No tak, właśnie – przytaknęła Evi. – Musieliście przeszukiwać zgliszcza, więc musiało to potrwać, zanim uzyskaliście pewność. – A w tym czasie Gillian chodziła po wrzosowiskach i szukała córki. – Zanim zdobyliście pewność, że ogień unicestwił ciało.

– Doktor Oliver, to wielka rzadkość, żeby pożar doszczętnie strawił ciało. To naprawdę coś ogromnie rzadkiego – stwierdził Earnshaw.

– Proszę wybaczyć, lecz nie bardzo ro...

– Ludzie, którym się wydaje, że jest inaczej, słabo znają chemię – mruknął Blake. – W procesie kremacji zwłoki są poddane temperaturze około ośmiuset stopni Celsjusza i spalanie trwa co najmniej kilka godzin. Ale nawet wtedy w popiołach pozostają szczątki. Temperatura ognia w wypadku pożaru budynków,

zwłaszcza domków jednorodzinnych, nigdy nie jest tak wysoka ani ogień nie płonie tak długo, żeby mógł spalić ciało. Dom po prostu nie zapewnia wystarczającej ilości paliwa.

– W tamtym wypadku, oczywiście, ogień osiągnął bardzo wysoką temperaturę ze względu na butle z gazem, które posłużyły za dodatkowe źródło paliwa – oznajmił Earnshaw.

– I to dlatego szczątki tej małej dziewczynki...

– Znaleźliśmy je następnego dnia – powiedział Blake. – Zostało tego bardzo niewiele, oczywiście, ale mimo wszystko... Skąd pomyśl, że szczątki tego dziecka nie zostały znalezione?

Dłonie Evi powędrowały do jej ust.

– Bardzo przepraszam – wydusiła. – Ktoś mnie wprowadził w błąd.

– To, co znaleźliśmy, było bardzo podobne do tego, co pozostaje po kremacji – wyjaśnił Blake. – Popioły i fragmenty kości. Zostały zidentyfikowane jako ludzkie. Nikt nie miał wątpliwości, że znaleźliśmy tę dziewczynkę.

– A co się stało z tymi szczątkami potem?

– Przekazaliśmy je rodzinie – odpowiedział Earnshaw. – Matce, z tego, co pamiętam.

Jak uważasz, Tom, dlaczego twoi rodzice przyprowadzili cię do mnie? – spytała pani doktor o połyskujących ciemnych włosach i gęstych czarnych rzęsach. Powiedzieli, że ma na imię Evi. Z tą jej bladą twarzą w kształcie serca i dużymi błękitnymi oczami wyglądała jak jedna z rosyjskich laleczek jego siostry. I ubranie też miała w kolorach ubrań lalek Millie: czerwona bluzka i fioletowa apaszka.

Tom wzruszył ramionami. Evi wydawała się miła i to było najgorsze. Miła w ten sposób, że miał ochotę jej zaufać. A właśnie tego nie mógł tak naprawdę zrobić. Nie mógł zaufać.

– Czy ty się czegoś boisz, Tom? – pytała go teraz. – Czy jest coś, co w jakikolwiek sposób wywołuje w tobie lęk?

Pokręcił głową.

Evi uśmiechnęła się do niego. Czekał, aż zada kolejne pytanie. Nie zrobiła tego, tylko się na niego patrzyła i uśmiechała. Za jej głową w dużym oknie było widać niebo tak ciemne, że aż miejscami prawie czarne. W każdej sekundzie mógł lunąć z niego deszcz.

– A jak radzisz sobie w nowej szkole? – spytała.

– Dobrze.

– Możesz powiedzieć, jak się nazywają niektórzy z twoich kolegów?

Złapała go w pułapkę, zadawała takie pytania, na które nie da się odpowiedzieć „tak”, „nie”, „dobrze” czy wzruszeniem ramion. Ale koledzy mogą być. Może o nich opowiedzieć. Może opowiedzieć o Joshu Cooperze, on jest w porządku.

– Czy niektórzy chłopcy w szkole nie są twoimi przyjaciółmi? – spytała po kilku minutach rozmowy o chłopakach z jego klasy.

– Jake Knowles – odpowiedział bez zastanowienia. Jake Knowles, jego arcywróg, który skądś się dowiedział, że Tom ma iść do specjalnego lekarza i przez ostatnie dni uprzykrzał mu tym życie jeszcze bardziej. Zdaniem Jake’a Tom na

pewno trafi w końcu do domu wariatów, gdzie ludzi się związuje i trzyma w pokojach bez klamek, i robi im się elektrowstrząsy. Ten specjalny doktor odkryje, że Tom jest walnięty, i wyśle go do wariatkowa, i Tom już nigdy więcej nie zobaczy mamy i taty. I najgorsze ze wszystkiego, to że nie będzie mógł pilnować Millie. Nie będzie mógł mieć oka na Joego.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się stało tydzień temu, w sobotę? – pytała go teraz Evi. – Kiedy coś cię przestraszyło i pobiegłeś na cmentarz?

– To był sen – odpowiedział. – Tylko zły sen.

37

Millie po tylnych schodkach szłołgała się do ogródka, wstała i rozejrzała się. Kiedy jej wzrok padł na cis, jej mała twarzyczka się rozpromieniła. Ruszyła do drzewa.

– Millie! – W drzwiach z tyłu domu pojawił się Tom. – Millie, dokąd idziesz? – Zeskoczył na ziemię i trzema susami dotarł przez ogródek do siostry, potem schylił się i wziął ją na ręce.

– Millie nie powinna być sama na dworze – powiedział, kiedy dziewczynka zaczęła mu się wyrywać, gdy niósł ją z powrotem do domu.

Wniósł ją do środka i zanim jeszcze drzwi z hukiem zamknęły się za nimi, Millie obejrzała się na cis. Już nie zostawiano jej samej, nawet na chwilę.

Schizofrenia to dość rzadka choroba – oznajmiła Evi. – Zapada na nią nie więcej niż jeden procent ogółu populacji i tylko w nielicznych wypadkach objawy zaczynają się ujawniać przed wiekiem dziesięciu lat. A co najważniejsze, ani w pani rodzinie, ani w rodzinie męża nie było przypadków występowania tej choroby.

Evi pierwszy raz rozmawiała z Alice Fletcher sam na sam; rozmowa toczyła się w przestronnym i kolorowym salonie w domu Alice. Jej obaj synowie, z którymi Evi odbyła indywidualne spotkania już wcześniej, byli w szkole, a Millie spała na górze. Jak dotąd spotkanie miało dość niezwykły przebieg. Alice od samego początku sprawiała wrażenie, jakby ogromnie jej zależało na oczarowaniu psychiatry swojego syna. Była bardzo zainteresowana osobistym życiem Evi, co pacjenci, zwykle raczej skupieni na sobie, robili rzadko. Starła się rozśmieszyć gościa i nawet kilka razy jej się to udało. A jednak to była oczywista gra, fasada, i to w dodatku dość krucha. Dłonie Alice były zbyt roztrzęsione, śmiech wydawał się wymuszony i gdy minęło dwadzieścia minut spotkania, kobieta rozpadła się i wyznała, że boi się, że Tom choruje na schizofrenię dziecięcą.

– Ale te głosy... – przypomniała.

– Słyszenie głosów to tylko jeden z objawów schizofrenii – odpowiedziała Evi stanowczo. – Oprócz tego są jeszcze inne, wiele innych, ale u Toma ich nie widać.

– Inne? To znaczy jakie? – spytała Alice.

– Cóż, po pierwsze jego reakcje emocjonalne wydają się całkowicie normalne. Nie zaobserwowałam przejawów tego, co nazywamy zaburzeniem myślenia. A poza tym upieraniem się, że widuje tę małą dziewczynkę – o której tak przy okazji jeszcze w rozmowie ze mną nie wspominał – nie występują u niego żadne inne oznaki zaburzonego zachowania.

Alice Fletcher to interesująca postać, uznała w duchu Evi. Z dala od rodzinnego kraju, jej, bardziej niż reszcie rodziny, powinno być trudno zadomowić się w

Heptonclough. Pytanie brzmiało, ile z problemów dzieci to wynik przejmowania przez nie niepokojów matki?

– Nawet jeśli schizofrenia zostaje u dziecka zdiagnozowana – mówiła pospiesznie dalej – prawie zawsze jest to poprzedzone rozpoznaniem innych zaburzeń. – Zaczęła je wymieniać, wyliczając na palcach. – Zespół nadpobudliwości psychoruchowej, dwubiegunowe zaburzenia nastroju, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Czy wie pani, co to są za...

– Tak – przerwała jej Alice. – I te zaburzenia obsesyjno-kompulsywne pasują. Tom co wieczór obchodzi dom i wielokrotnie sprawdza zamki we wszystkich drzwiach i oknach. Ma listę. Odhacza na niej rzeczy jedna po drugiej i nie pójdzie się położyć, dopóki nie przejdzie całej listy. Czasami wstaje w nocy i robi to samo, wszystko sprawdza. O co w tym może chodzić?

– Jeszcze nie wiem – odparła Evi. – Ale zauważyłam, że Tom bardzo się boi o swoją małą siostrzyczkę. Joe też, tak przy okazji, chociaż to może być kwestia przejęcia lęków brata. Czy chłopcy zobaczyli coś, na przykład w wiadomościach, no wie pani, coś, co mogło wywołać u nich wyjątkowy niepokój o siostrę?

Alice przez chwilę się zastanawiała, potem pokręciła głową.

– Wątpię – odparła. – Oglądają tylko programy dla dzieci. Kilka razy przyłapałam Toma, jak spał na podłodze w pokoju Millie.

Evi zerknęła do swoich notatek.

– Chciałabym jeszcze na chwilę powrócić do tej małej dziewczynki – rzuciła. – Bo z tego, co pani mówi, wynika, że większość niepokojów Toma ma związek właśnie z nią. Czy to możliwe, że w miasteczku mieszka ktoś z trochę dziwnym wyglądem, może zachowujący się w dziwny sposób? Brała to pani pod uwagę?

Alice skinęła głową.

– Oczywiście – potwierdziła. – I rozmawiałam z kilkoma osobami. Nie z wieloma, bo nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, co się u nas dzieje, ale zamieniłam słówko z Jenny Pickup. I z jej dziadkiem, Tobiasem. Mieszkają tu od urodzenia. Ale nie słyszeli o nikim choćby trochę pasującym do opisu, jaki podaje Tom.

Alice na chwilę przerwała.

– Poza tym – podjęła – Tom mówi o tej dziewczynce, jak o kimś ledwie przypominającym człowieka, jak o jakiejś zmorze z koszmarów. To miasteczko jest dziwne, pani doktor, ale żeby ktoś tu ukrywał potwora? Raczej mało prawdopodobne, nie uważa pani?

Harry był coraz bliżej miasteczka. Sylwetki dużych kamiennych budynków stawały się coraz większe za każdym razem, gdy brał kolejny zakręt na drodze. Za jego lewym ramieniem w niebo wystrzelił i rozprysł się fajerwerk. Trochę zwolnił. Zawsze lubił fajerwerki. Może piątego listopada pojedzie ponownie na wrzosowiska, zaparkuje tam auto i będzie oglądał sztuczne ognie wystrzeliwane przez setki grup przy ogniskach rozpalanych na całej długości podnóża Gór Pennińskich.

Asfalt na drodze zamienił się w kocie łby; wziął ostatni zakręt wprowadzający go do miasteczka. Po jego lewej stronie na niebie znów rozprysły złote gwiazdy i patrzył na nie, a nie na kościół, kiedy podjeżdżał i parkował. Zgasił silnik i wysiadł.

Wracał z wizyty u jednej z najstarszych parafianek. Pani Cairns była po dziewięćdziesiątce i z powodu stanu zdrowia praktycznie nie wstawała z łóżka. Po rozmowie ze staruszką jej córka i mąż córki poprosili, żeby został na kolacji i nie chcieli przyjąć odmowy. Gdy wychodził, była już prawie dziewiąta, a musiał jeszcze zabrać ze Świętego Barnaby księgi kościelne.

Wszedł na teren kościoła i od razu, zaledwie zdążył postawić pierwszy krok na gładkich wytartych kamieniach kościelnej alejki, ogarnęło go uczucie, że coś jest nie tak. Nigdy nie miał się za szczególnie wrażliwą osobę, ale to uczucie nie było jednym z tych, które mógł zignorować. Coś kazało mu się odwrócić i spojrzeć na ruiny starego kościoła. Tyle że nie był pewien, czy jest się w stanie do tego zmusić.

Odwrócił się jednak. I spojrzął. I nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Pradawne ruiny opackiego kościoła nadal stały na swoim miejscu. Olbrzymie łuki wciąż pięły się w górę, ku purpurowemu niebu. Wieża, wysoka i posępna, rzucała cień na ziemię. Wszystko wyglądało tak samo od dnia, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy. Prawie tak samo, jak wyglądało przez ostatnie kilkaset lat. Tylko postaci były nowe. Siedziały w otworach okiennych, opierały się o filary, leżały

rozciągnięte na szczycie łuków, w każdej możliwej do wypatrzania szparze i otworze w murach, wciśnięci w nie, byli ludzie. Siedzieli, stali, opierali się, leżeli, nieruchomi jak posągi, usta rozdziawione, oczy wybałuszone. Byli wszędzie. Obserwowali.

Ostatni wpis w rejestrze pochówków dotyczył pochówku dwuletniej Lucy Eloise Pickup, jedynego dziecka Michaela Pickupa i Jennifer Pickup z domu Renshaw. Harry przerzucił strony do pierwszej. Pierwszy wpis rejestrował pochowanie Joshuy Aspina w 1897 roku. Kościelny rejestr jest zamykany i przekazywany do biura rejestrów diecezji, gdy najstarszy wpis pochodzi sprzed stu pięćdziesięciu lat. Ten rejestr jeszcze tego nie osiągnął. Harry już miał zamknąć księgę, kiedy w oczy znowu rzuciło mu się nazwisko Renshaw. Sophie Renhsaw zmarła w 1908 roku, w wieku lat osiemnastu. Dopisek „Niewinna chrześcijańska dusza” był umieszczony po podstawowych danych. Harry zerknął na zegarek. Była jedenasta.

Przełożył stronę i przekonał się, że są na niej nazwiska, które znał: Renshaw kilkakrotnie, Knowles i Grimes więcej niż raz. I znowu, w połowie trzeciej strony: Charles Perkins, lat piętnaście, pochowany 7 września 1932 roku. „Niewinna chrześcijańska dusza”. Znowu spojrzął na zegarek. Trzy minuty po jedenastej. Odchylił się na oparcie i rozejrzał po pomieszczeniu. Żadnych skarpet od biegania schnących na kaloryferze; na ociekaczu przy zlewie zero zużytych woreczków z herbatą.

Nagły hałas w kościele sprawił, że podskoczył na krześle i niemal z niego spadł. Opuścił się z krzesłem tak, że wszystkie cztery nogi stały stabilnie na ziemi. Niemożliwe, żeby ktoś tam był. Kiedy przyjechał, kościół był zamknięty, otwierał tylko jedne drzwi, te do zakrystii, a one znajdowały się niecałe trzy metry od niego. Nikt nie wszedłby do zakrystii bez jego wiedzy. A jednak to, co właśnie usłyszał, było zbyt głośne, aby można to było uznać za przypadkowe trzeszczenie starego drewna. Brzmiało to jak... skrobanie metalu. Podniósł się z krzesła, przeszedł przez zakrystię i otworzył drzwi wychodzące na nawę.

Kościół był pusty, oczywiście, nie oczekiwał niczego innego. Tylko że nie robił wrażenia pustego. Harry cofnął się, przeczesując wzrokiem prezbiterium,

wypatrując jakiegoś ruchu. Wyteżył słuch. Prawie z ulgą zamknął drzwi. Musiał to przyznać, nie było na to rady: najzwyczajniej nie lubił tego kościoła. Było w nim coś takiego, że czuł się tu nieswojo.

Jakie tam nieswojo, po prostu się bał. Ten kościół wywoływał w nim lęk.

Kolejny raz zerknął na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Jego gość bezdyskusyjnie się spóźniał. Może zaczekałby na zewnątrz? Nie, jeśli nie chce wyjść na skończonego durnia. Podniósł komórkę. Żadnych wiadomości.

Znów podskoczył, gdy rozległo się pukanie do drzwi zakrystii.

Evi zaparkowała za samochodem Harry'ego. Podpierając się laską, wygramoliła się ze swojego. Do wejścia do zakrystii była długa droga, użycie wózka wydawało się jedyną sensowną opcją. Laskę mogła złożyć i schować z tyłu, teczkę położyłaby sobie na kolanach. Po gładkich kamieniach przepchnęłaby wózek w sekundę. Szybciej niż niektórzy ludzie biegają. A Harry zobaczyłby ją na wózku inwalidzkim.

Zamknęła auto i rozpoczęła powolny spacer alejką. Szła przez dwie minuty ze wzrokiem wbitym w ziemię, żeby nie potknąć się na wystających kamieniach. Kiedy się zatrzymała dla nabrania oddechu, jej uwagę przykuł jakiś cień. Słońce na trawnik przed nią słało zarys zrujnowanego kościoła opackiego. Była w stanie odróżnić w tym cieniu kształt wieży i trzech sklepień po jednej stronie nawy. Widziała łukowatą dziurę, w miejscu gdzie kiedyś połyskiwało okno witrażowe. To, co zostało z parapetu pod oknem, znajdowało się pięć metrów nad ziemią. Czy to możliwe, żeby ktoś tam siedział?

Opierając się na lasce dla zachowania równowagi, odwróciła się i spojrzała na ruiny. Co jest, do jasnej...

Figury naturalnych rozmiarów, w prawdziwych ubraniach, ale z głowami zrobionymi z rzepy, dyni, nawet ze słomy wypełniały otwory starego kościoła. Było ich – tego nie wiadomo czego – ze dwadzieścia albo i więcej. Siedziały w otworach okiennych, leżały na łukach, opierały się o kolumny; jedna nawet była przywiązana w pasie do wieży. Dyndała wysoko nad ziemią. Nie potrafiąc oprzeć się pokusie, Evi dała krok bliżej, potem następny, podchodząc prawie do granic starego kościoła. To były kukły, wyjątkowo dobrze zrobione, z tego, co była w stanie zobaczyć. Żadna nie była obwisła, pokrzywiona, sflaczała, tak jak zwykle wyglądają kukły. Torsy miały zwarte, kończyny proporcjonalne. Wyglądały

zupełnie jak ludzie, dopóki nie spojrzano się na twarze; na każdej z nich wyryty był szeroki postrzępiony uśmiech.

Nie mając szczególnej ochoty odwracać się do nich plecami, Evi zerknęła w stronę domu Fletcherów. Przynajmniej z dwóch okien na piętrze nowe dekoracje starego kościoła musiały być całkiem dobrze widoczne. Tom Fletcher i jego brat, idąc spać, będą musieli na to patrzeć.

Jej lewa noga dawała znać, że zbyt długo stoi w miejscu. Wystawiła laskę i ruszyła ścieżką, co kilka sekund oglądając się jednak za siebie.

Była rozpalona. Na czole biegła pionowa zmarszczka mimiczna, której wcześniej nie zauważył. Włosy też wyglądały inaczej, gładkie i ciemne, do ramion i tak błyszczące, że wyglądały, jakby były mokre.

– Mogłaś zadzwonić z samochodu – zauważył. – Wszedłbym, żeby ci pomóc.

Usta Evi rozciągnęły się do uśmiechu, ale zmarszczka pozostała.

– A jednak jakoś dałam radę – rzuciła.

– Dałaś, prawda. Zapraszam do środka.

Cofnął się i wpuścił ją do zakrystii. Przemierzyła pomieszczenie, kierując się do dwóch krzeseł, które ustawił blisko kaloryfera, i chwyciła się oparcia bliższego. Wolno osunęła się na siedzenie, złożyła laskę i położyła ją obok siebie. Była w szkarłatnym wełnianym żakiecie z gładką czarną bluzką pod spodem i w spodniach i przyniosła ze sobą do zakrystii miękki, korzenny zapach. I coś też z jesiennego poranka – woń liści, dymu drzewnego, świeżości. Gapił się na nią.

– Mogę zrobić kawy – zaproponował, odwracając się i przechodząc do zlewu. – Albo herbaty. Mam tu nawet gdzieś jakieś ciasteczka. Alice nigdy nie przychodzi w odwiedziny z pustymi rękoma.

– Chętnie napiję się kawy, dziękuję. Bez cukru. Z mlekiem, jeśli masz.

Zapomniał, jak słodki i niski był jej głos, kiedy się na niego nie irytowała. Obejrzał się. Jak to możliwe, żeby oczy były aż tak niebieskie? Były prawie fioletowe, jak fiołki o świcie. Znowu się na nią gapił.

Zrobił kawę dla nich obojga, przysłuchując się szelestowi za sobą, kiedy otwierała teczkę i wyjmowała papiery. Raz upuściła długopis, ale gdy podskoczył, żeby go podnieść, już sama zdążyła to zrobić. Rumieniec na jej policzkach zaczął zniknąć. Jego twarz za to była o wiele zbyt czerwona.

Podał jej kubek, usiadł na swoim fotelu i czekał.

Harry tego poranka w każdym calu wyglądał jak ksiądz: schludne ciemne ubranie, biała koloratka, błyszczące czarne buty. Na stole leżały nawet okulary do czytania.

– Dzięki, że zgodziłeś się na spotkanie – zaczęła. Nie powiedział nic, tylko kiwnął głową.

Wyciągnęła do niego kartkę papieru.

– Muszę ci to dać – oznajmiła. – Alice i Gareth Fletcherowie dali mi upoważnienie, żebym z tobą porozmawiała. Omówiła z tobą gruntownie ich problemy, choć z poszanowaniem ich granic. – Harry wziął kartkę i spojrzał na nią. Okulary pozostały na biurku. Zresztą był o wiele za młody, żeby do czytania musiał używać okularów. Pewnie leżą tam tylko dla wywarcia wrażenia. Po sekundzie czy dwóch odłożył kartkę i sięgnął po kubek z kawą.

– Jestem też w kontakcie z kilkoma nauczycielami ze szkoły Toma i Joego – ciągnęła. – Z dyrektorem poprzedniej szkoły Toma. I z lekarzem rodzinnym. To zwyczajowa praktyka w przypadku leczenia dziecka.

Czekała, aż coś odpowie. Nie zrobił tego.

– Dzieci są bardzo podatne na wpływy środowiska, dlatego dobrze jest się dowiedzieć o nich jak najwięcej – kontynuowała. – Sprawdzić, co konkretnie może najbardziej wpływać na ich życie.

– Lubię Fletcherów – wyznał Harry. – Mam nadzieję, że będziesz im mogła pomóc.

Był taki inny dzisiaj. Tak zupełnie niepodobny do siebie jak wtedy, kiedy go poznała.

– Zrobię, co w mojej mocy, oczywiście – zapewniła. – Ale to dopiero początek. Na razie tylko zbieram dane.

Harry odstawił kubek na biurko za nim.

– Będę mógł ci w tym w jakiś sposób pomóc? – spytał, gdy już się z powrotem do niej odwrócił.

Taki oziębły. Inny człowiek. Tylko twarz ta sama. Ale nie może się tym przejmować, ma robotę do wykonania.

– Toma dwa tygodnie temu skierował do mnie jego lekarz rodzinny – wyjaśniła. – Ze względu na odczuwane przez chłopca lęki, na problemy w szkole, kłopoty ze snem, agresywne zachowanie – w szkole i w domu – i nawet z podejrzeniem o wystąpieniu epizodu psychiatrycznego. Zebrane razem są to dość niepokojące objawy u dziesięciolatka.

– Wiem, że jego rodzice bardzo się o niego martwią – powiedział Harry. – Podobnie jak ja.

– Nie wiem, co wiesz o psychiatrii, ale...

– Prawie nic.

Jezu, zabiłoby go, gdyby się uśmiechnął? Myśli, że to dla niej łatwe?

– Zwykle postępowanie to najpierw spotkanie z dzieckiem, nawiązanie z nim porozumienia – jeśli możliwe, to nawet pozyskanie jego zaufania. Jeśli dziecko jest wystarczająco duże, a Tom jest, próbuję zachęcić je do rozmowy o jego problemach. Żeby powiedziało mi, dlaczego jego zdaniem zostało do mnie skierowane, co je niepokoi, jak w jego mniemaniu można by zaradzić sytuacji.

Przerwała. Oczywiście Harry'ego nie odrywały się od jej twarzy, ale z jego miny nie potrafiła niczego wyczytać.

– Z Tomem na razie nie idzie mi najlepiej – przyznała się. – Naprawdę z pewnością potrafi unikać dłuższych odpowiedzi. Kiedy próbuję go nakierować na rozmowę o konkretnych wydarzeniach – z tą dziwną małą dziewczynką na przykład – zamyka się w sobie. Twierdzi, że to był tylko zły sen.

Znow zamilkła. Harry kiwnął głową, dając znak, aby mówiła dalej.

– Później staram się wprowadzić resztę rodziny – podjęła opowiadanie. – Przyglądam się interakcjom między członkami rodziny, próbuję wyłapać napięcia, ogniska sporów. Zapoznają się też z pełną historią rodziny, medyczną i społeczną. Celem jest uzyskanie tak pełnego obrazu życia rodziny, jak to tylko możliwe.

Zatrzymała się. Było o wiele trudniej, niż się spodziewała.

– Nadażam za tobą – zapewnił Harry. – Proszę, mów dalej.

– Zawsze przeprowadzane jest badanie lekarskie – dodała. – Skierowanego dziecka i rodzeństwa, jeśli takie istnieje. Nie ja je przeprowadzam, bo to psuje porozumienie, jakie staram się nawiązać z pacjentem, ale Tom, Joe i Millie byli wszyscy przebadani przez ich lekarza rodzinnego.

Harry zmarszczył brwi.

– Wolno ci ujawnić, co wynikało z tego badania? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko było w porządku – odparła. – Fizycznie są to zdrowe dzieci, nie mają żadnych znaczących problemów medycznych, rozwijają się normalnie. Sama też przeprowadziłam z nimi kilka testów. Jeśli już, to w odniesieniu do mowy, funkcji poznawczych i wiedzy ogólnej Tom i Joe wydają się rozwinięci nawet ponad swój wiek. Obaj zdają się też być ponadprzeciętnie inteligentni. Czy to się

zgadza z twoimi obserwacjami?

– Całkowicie – potwierdził Harry od razu, bez zawahania. – Kiedy ich poznałem, byli błyskotliwymi, wesołymi normalnymi dzieciakami. Bardzo ich polubiłem. I nadal lubię.

Harry przyjaźnił się z Fletcherami. Nie był w pełni obiektywny, nie mógł być. Jego zaufanie też będzie musiała zdobyć.

– Warto też może wspomnieć, że lekarz rodzinny nie znalazł u żadnego z dzieci śladów stosowania wobec nich przemocy. Fizycznej czy seksualnej. Oczywiście, nawet mimo to nie możemy zupełnie tego wykluczyć, ale...

Harry piorunował ją wzrokiem. Chyba nie do końca rozumiał sytuację.

– Kiedy dziecko ma takie zaburzenia jak Tom, nie wolno nam nie wziąć pod uwagę takich ewentualności. To by było nieodpowiedzialne – wyjaśniła, wiedząc, że jej głos stwardniał. W oczach Harry'ego coś zamigotało.

– Dla mnie najistotniejszą cechą ich historii jest to – ciągnęła, świadomie starając się mówić ciszej i łagodniej, mimo że zaczynał ją wkurzać – że jak się wydaje, problemy rodziny zaczęły się wraz z przeprowadzką tutaj.

Zdecydowanie coś się w jego oczach czaiło.

– W poprzedniej szkole Tom miał nienaganną opinię – dodała. – Rozmawiałam z jego poprzednim lekarzem rodzinnym, z trenerem piłki nożnej, nawet z drużynowym z harcerstwa. Wszyscy mówili, że Tom był normalnym, dobrze przystosowanym szczęśliwym dzieckiem. A jednak rodzina przeprowadza się tutaj i wszystko zmienia się na gorsze.

Harry spuścił wzrok. Teraz patrzył w podłogę. Był dziwnie posepny. Czyżby myślał, że go o coś obwinia?

– Choroba umysłowa u dzieci rzadko ma pojedynczą przyczynę – oznajmiła. – Praktycznie wszystko w nowym otoczeniu Fletcherów mogło zadziałać jak wyzwalacz, uruchomić uśpione u Toma predyspozycje do zachorowania. Odkrycie, co mogło być tym wyzwalaczem, bardzo by mi pomogło.

– I to w tym aspekcie oczekujesz ode mnie pomocy? – spytał, podnosząc na nią wzrok.

– Tak – potwierdziła. – Mieszkasz tu od niedawna. Masz świeży ogląd, łatwiej ci dostrzec, co mogło być potencjalnym katalizatorem. Przychodzi ci coś do głowy?

Nie spieszył się. Czy coś mu przychodziło do głowy? Fletcherowie

przeprowadzili się do miejscowości, do której nikt nowy nie sprowadzał się od ponad dziesięciu lat, a rytualny ubój był tu wymówką dla dobrej nocnej imprezki. Do miasteczka, w którym zewsząd coś szeptało. I w którym ktoś do kielicha komunijnego nalał świńskiej krwi. Czy coś mu przychodziło do głowy? Całe mnóstwo rzeczy.

– To miasteczko jest dość niezwykle – powiedział w końcu. – Ludzie tutaj mają swoje specyficzne zwyczaje.

– Możesz podać jakiś przykład? – Evi otworzyła niewielki notes i ujęła długopis w palce lewej dłoni. Włosy po prawej stronie jej głowy były założone za ucho. Takie maleńkie. Z rubinowym kolczykiem.

– Pierwszego dnia widziałem, jak tych chłopców nękała miejscowa banda chuliganów – zaczął. – Trochę starsi chłopcy od braci, niektórzy nastolatki.

– Byli na rowerach? – spytała szybko.

Zaskoczony, Harry pokręcił głową.

– Nie wtedy. Chociaż później widziałem jednego czy dwóch kręcących się tu na rowerach. Muszę przyznać, że jak chcą, to są szybcy. I zwinni. Widziałem ich, jak się wspinają po ruinach kościoła, nawet na dach. Nie mamy jak tego udowodnić, ale jesteśmy prawie pewni, że to oni odpowiadają za to, co się stało z Millie Fletcher kilka tygodni temu.

– I mówisz, że dokuczali Tomowi i Joemu tego pierwszego dnia?

Harry kiwnął głową.

– Zbili okno w kościele i próbowali rzucić winę na chłopców.

– Nie byłby to pierwszy przypadek, gdy zamknięta wspólnota zwraca się przeciwko osobom z zewnątrz – zauważyła Evi. – A jak ci ludzie tutaj traktują ciebie?

Harry chwilę się zastanowił.

– No cóż, na pierwszy rzut oka wydają się przyjaźni. Mieszka tu kilka miłych osób. Ale działy się tu też dziwne rzeczy. – Przerwał. Czy na pewno chce opowiedzieć Evi o szeptach w kościele? O tym, że ktoś podstępnie zmusił go do wypicia tego, co wypił? O swoim lęku przed tym Domem Bożym? – Nic takiego, w co chciałbym się zagłębić – ciągnął – ale nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że ktoś z raczej złośliwym poczuciem humoru próbował tych chłopców nastraszyć.

– O to to. – Evi wychyliła się w krześle. – Właśnie to wyczuwam u Toma. Strach.

Srebrny łańcuszek na jej szyi zamigotał w miękkim świetle spowijającym zakrystię.

– Czego on się boi? – spytał Harry.

– Zwykle, kiedy dziecko się boi, źródła szukamy blisko domu – odpowiedziała Evi – ale nic nie wskazuje na to, by Tom bał się swojej rodziny.

Evi miała umalowane oczy, inaczej niż poprzednim razem. Dopiero teraz uzmysłowił sobie w pełni, jaka jest ładna.

– Mamy taki test – ciągnęła. – Nazywamy go testem bezludnej wyspy. Prosimy dziecko, żeby wyobraziło sobie, że jest na bezludnej wyspie, daleko na morzu, całe mile od wszystkiego, i że jest tam całkowicie bezpieczne. I prosimy, żeby dziecko wybrało jedną osobę, którą chciałoby mieć ze sobą na tej wyspie. Kogo by wybrało ze wszystkich ludzi na całym świecie?

Ciebie, pomyślał Harry, myślę, że mógłbym wybrać ciebie.

– I co odpowiedział Tom? – spytał.

– Wybrał Millie. Swoją małą siostrę. Kiedy poproszono go o wybranie drugiej osoby, wybrał mamę. Potem ojca.

– Joego nie?

– Joe był czwarty w kolejności. Taki sam test przeprowadziłam z Joem. Odpowiedział tak samo. Pierwsza była Millie, potem mama, tata, na końcu Tom.

– Ciekawe, że obaj wybrali Millie.

Evi spuściła wzrok i przełożyła stronę w notesie. Jej ciemne włosy opadły w dół, zasłaniając twarz. Przełożyła jeszcze jedną stronę i znalazła to, czego szukała.

– Potem Joe powiedział coś, co naprawdę mnie zastanowiło – kontynuowała, zerkając na Harry'ego. – Spytał, czy na wyspie będzie kościół, bo jeśli będzie, to jego zdaniem Millie nie powinna się tam znaleźć.

Kaloryfer nie działał tak dobrze jak dotąd. Harry czuł, że marzną mu palce rąk. „One zmarły, prawda? Te małe dziewczynki w kościele”.

– Jest dobrze, naprawdę. Dam radę – zapewniła Evi.

Harry przytrzymał drzwi do zakrystii. Evi wyszła, a on pozwolił, żeby drzwi zamknęły się za nimi.

– Nie wątpię w to – odparł. – Ale ja odprowadzam swoich gości do bramy. Pozwolisz...

Wystawił prawy łokieć. Pokręciła głową.

– Nie potrzeba, naprawdę, dziękuję – powtórzyła.

Ruszyli, Evi boleśnie świadoma tego, że jej laska stuka o ścieżkę między nimi. Przejście długości kościoła zajęło im prawie minutę. Skręcili za róg i Evi usłyszała własny ostry wdech. Zapomniała, że stary kościół opacki dorobił się nowych wiernych. Przystanęła, zadowolona, że ma wymówkę, by chwilę odpocząć.

– Co to, na Boga, jest, Harry? – spytała, uzmysławiając sobie, że użyła jego imienia po raz pierwszy tego poranka. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki szok przeżyłam, kiedy przyjechałam.

– Ciesz się, że nie zobaczyłaś ich w środku nocy – odparł. – Tak jak ja. Wróciłem po księgi kościelne i o mało nie dostałem zawału.

Evi patrzyła od jednej dziwacznej postaci do drugiej. Niektóre były płci męskiej, inne były kobietami, jedna – och kurczę, to było najgorsze – była wielkości małego dziecka. Potem, świadoma, że Harry cierpliwie czeka u jej boku, znowu ruszyła.

– Wiem, że to prawie Noc Fajerwerków – rzuciła – ale dlaczego tych kukieł jest aż tyle? Nigdy nie widziałam aż takiej kolekcji.

– To nie kukły, tylko szmaciarze – sprostował Harry.

Evi oderwała wzrok od ruin kościoła, żeby spojrzeć na mężczyznę u jej boku, potem znów popatrzyła na kościół.

– Szmaciarze? Jak ci handlarze starzyzną? – upewniła się.

Harry pokręcił głową.

– Och, to bardziej dosłowne. Te kukły nazywają szmaciarzami lub kościotrupami chyba dlatego, że w większości są zrobione właśnie z takich rzeczy.

Evi znowu przystanęła.

– Chyba musisz mi to bardziej objaśnić.

– Cóż, to kolejna tradycja Heptonclough. Mają ich tutaj sporo. Ta sięga aż średniowiecza, kiedy przy kościołach były kostnice. Co jakieś trzydzieści lat groby były otwierane, kości wyciągane i składane w tych kostnicach. Kiedy już były pełne, kości palono. Kilka dni temu miałem cały wykład historyczny o tym od ojca mojego kościelnego, którego chętnie nazwałbym uroczym staruszką, gdyby to nie była spora przesada. Tak więc, mogę ci opowiedzieć, co tylko zechcesz o naszych przyjaciołach, a może nawet więcej. Na przykład, wszyscy są zrobieni według takiego samego schematu wymyślonego przed pięćdziesięciu laty przez samego pana Tobiasa.

– Rzekłabym, że to dość obrzydliwe. Ale co to są za kości? Chyba nie lu...

– No cóż, miejmy nadzieję, że nie. Chociaż wcale bym się aż tak nie zdziwił.

Kukły są zrobione głównie z naturalnych materiałów. Szkielet to przede wszystkim wiklina, a wypchane są trawą, sianem, kukurydzą i starymi warzywami. Każda rodzina we wsi dostarcza przynajmniej jedną taką. To ich sposób na pozbycie się śmieci z całego roku – starych ubrań, papierów, kawałków drewna, wszystkiego, co organiczne, zwłaszcza kości. Których im pewnie nie brakuje o tej porze roku, bo przecież dopiero co mieli ubój trzody na zimę. Mięso zamrażają, suszą i solą, na kościach gotują wywary i żelatyny, a potem... no cóż, domyślam się, że nie mają wystarczającej liczby psów. Gdybyś po przyjeździe zadzwoniła, tak jak obiecałaś, wyszedłbym do ciebie i zaoszczędził ci szoku.

Evi nadal przyglądała się ruinom.

– Będzie z tego jedno wielkie piekielne ognisko – mruknęła.

– Myślę, że raczej kilka, a nie jedno. Tak czy siak, pewnie to niezły widok, ale ja chyba sobie odpuszczę. I nie przejmuj się, że mówisz „piekielny” na święconej ziemi. Ostatnio zrobiłem się jakoś zaskakująco tolerancyjny.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy dostrzegła w nim przebłysk dawnego Harry’ego?

– Założę się, że tak jest – rzuciła. – Czy ognisko urządzi tutaj? Na terenie kościoła?

– Po moim tru... Chociaż może lepiej, żebym uważał, co mówię. Nie, będzie na polu, niedaleko stąd. Przejeżdżałaś obok tego miejsca tego dnia, kiedy się poznaliśmy. To tam, gdzie kilka tygodni temu urządzali to święto związane ze żniwami. – Przerwał.

– To, na które mnie zaprosiłeś? – spytała ciepło.

– Tak, w wieczór naszej nieudanej pierwszej randki.

Nie miała nic do powiedzenia. Musi odejść. Musi wsiąść do samochodu i odjechać. Zanim...

– I tak przy okazji, ślicznie wyglądasz – mruknął.

...zanim powie coś takiego, jak właśnie to.

– Dziękuję – udało jej się wykrztusić. Spuściła oczy, potem znów je podniosła i spojrzała mu w twarz. – Ty za to wyglądasz jak pastor.

Roześmiał się krótko i trochę odsunął.

– Cóż, niczego nie ukrywam – odparł i ruszył, tym razem nieco przed nią. Potem zatrzymał się i odwrócił. – To przez to?

– Przez to? – powtórzyła, grając na zwłokę. – Nie, Harry, nie chodziło o to.

– Przez to zmieniłaś zdanie? – nie odpuszczał.

Nie zmieniała żadnego zdania.

– To skomplikowane – mruknęła. Co miała mu powiedzieć? – Trudne do wytłumaczenia.

Uśmiech, tańczący w kącikach jego ust, przybladł.

– Nie musisz nic tłumaczyć – oznajmił. Znowu wyciągał do niej ramię. Przyjęła je. – I jeśli znów zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

Tak naprawdę nie zmieniała zdania ani razu. Byli już prawie przy bramie. Dwie, trzy minuty od pożegnania. Nagłe pojawienie się tej kobiety zaskoczyło ich oboje.

– Co pani tu robi? – spytała, łypiąc gniewnie na Evi.

Harry się wystraszył. Był pochłonięty kobietą u jego boku. Nie zauważył tej drugiej, stojącej tuż za murem kościoła.

– Halo, Gillian – rzucił, przeklinając swojego pecha. Chciał mieć czas na pożegnanie się z Evi, chciał się przekonać, czy być może... – Ty do mnie? Zakrystia jest otwarta. Chociaż tak naprawdę nie powinna być. Miałem ją zamykać za każdym razem, gdy wychodzę. No, ale chyba coś mnie rozproszyło. – Uśmiechnął się do Evi, która już na niego nie patrzyła. Wzrok miała utkwiony w Gillian. Poczul, że nacisk jej palców na jego ramieniu zelżał. Mocniej przycisnęła ramię do boku i wolną dłonią nakrył dłoń Evi.

– Dlaczego tu pani jest? – spytała znowu Gillian, odrywając spojrzenie od twarzy Evi tylko po to, żeby przenieść je na jej dłoń, teraz uwięzioną na ramieniu Harry'ego. – O czym pani mówiła?

– Gillian, może zaczekałabyś... – zaczął Harry.

Gillian poderwała głowę.

– O czym ona mówiła? Ona nie powinna...

– Nie, nie powinnam – przerwała jej Evi. – Nie wolno mi rozmawiać o swoich pacjentach – nigdy – bez ich pozwolenia. Więc tego nie robię. Przyszłam do pastora Laycocka z zupełnie inną sprawą.

– Nie rozmawialiśmy o tobie – potwierdził Harry, czując potrzebę postawienia sprawy całkowicie jasno. Spoglądał to na Gillian, to na Evi. Młodsza kobieta sprawiała wrażenie złej i zaszokowanej. Evi wyglądała tylko na zasmuconą. Uderzyła go nagła myśl. Och, dobry Boże.

– Tak naprawdę, Gillian, to za kwadrans mam spotkanie w jednym z moich kościołów – oznajmił. – Wybacz, zupełnie wyleciało mi to z głowy. Jeśli chcesz

porozmawiać, możesz zadzwonić do mnie do domu po południu. A teraz wybacz, muszę odprowadzić doktor Oliver do jej samochodu.

Gillian odeszła, ale po kilku krokach zatrzymała się. Harry wyprowadził Evi z terenu kościoła i razem przeszli kilka metrów do jej samochodu.

– Ten nasz problem, który mamy – zaczął, mówiąc ściszym głosem. – Wiesz, ten, który wszedł w drogę naszej pierwszej randce?

Evi, nie odpowiadając, grzebała w torebce.

– Czy właśnie się na niego natknęliśmy? – spytał.

Znalazła kluczyki. Kiedy wcisnęła guzik w pilocie, drzwi samochodu się odblokowały. Nadal na niego nie patrzyła, ale odwróciła się już plecami do ruin kościoła.

– Wiem, że to nie moja sprawa – powiedziała, składając laskę i rzucając ją na siedzenie pasażera. – Ale czy to nie jest trochę dziwne, mieć tyle tych kukieł na terenie kościoła? – Jej teczka również wylądowała w aucie. Wydawało się, że umyślnie unika patrzenia na niego. – Myślę o chłopcach Fletcherów – ciągnęła. – Wyobrażam sobie, że wieczorem musi to wyglądać upiornie.

– I to jeszcze jak – mruknął. Cóż, jeśli nie chciała na niego patrzeć, on mógł się gapić na nią, ile dusza zapragnie. Tuż pod prawym uchem miała taki śliczny maleńki pieg.

Odwróciła się... i przyłapała go.

– Czy nie mógłbyś wobec tego... – pozostawiła prośbę niedokończoną.

– Evi, jestem tu dopiero od kilku tygodni. Jeśli zacznę rozrabiać teraz, może to się skończyć katastrofalnie dla mojej tu kadencji.

Otworzyła usta, ale ją zatrzymał.

– Tak, wiem. Stawiam swoją karierę przed dobrym samopoczuciem dwójki małych dzieci, z czym naprawdę nie czuję się najlepiej, ale rzecz się ma tak, że nie tylko ja tu rządzę. Mogę porozmawiać ze swoim kościelnym, zobaczyć, czy kukły da się ściągnąć wcześniej, niż mają to w planach. Mogę porozmawiać z arcydiakonem. Jeśli mnie poprze, możliwe, że uda mi się nie dopuścić do tego w przyszłym roku.

Palce jej prawej dłoni zamknęły się na jego palcach, przytrzymujących drzwi auta od strony kierowcy.

– Wybacz – rzuciła. – Nie chcę ci sprawiać problemów. Ale te kukły będą tu jeszcze przez tydzień.

– Nie. Tylko cztery dni. – Czy ona ma świadomość, że go dotyka?

– Noc Ognisk jest w...

– Zaczne ludziska stąd nie urządzają ogniska piątego listopada – odpowiedział. – Najwyraźniej nie przykładają wielkiej wagi do faktu udaremnienia katolickiego spisku, którego celem było wysadzenie parlamentu. Oni tu świętują drugiego listopada.

– W Zaduszki? – zdziwiła się.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że nie jesteś wierząca? Ale tak, masz rację. Drugiego listopada są Zaduszki, dzień, w którym modlimy się za zmarłych, którzy mogli jeszcze nie dotrzeć do Królestwa Bożego. Tylko że tutaj oni to nazywają inaczej. Nazywają to Dniem Zmarłych.

W Halloween powinna być pełnia. To jakoś pasowało. Księżyc, na który patrzył Tom, wschodzący tak szybko, że prawie widać było ciągnącą się za nim srebrną smugę, nie był tak naprawdę do końca w pełni, ale i tak wydawał się olbrzymi. To był ten upiorny galeon z wierszy, świecący na niego tuż sponad najwyższego portyku ruin kościoła.

Halloween w domu Fletcherów to zwykle było wydarzenie, przypuszczalnie z powodu tego, że matka Toma była Amerykanką. Ale nie w tym roku. W Heptonclough nikt nie świętował Halloween; wszyscy byli zbyt zajęci przygotowaniem do świętowania Dnia Zmarłych, drugiego listopada. Dlatego też dzieciaki Fletcherów miały tylko jedną samotną dynię stojącą na parapecie okna w salonie, zwróconą w stronę ogrodu, gdzie nie mógł jej widzieć nikt poza nimi.

Tom siedział przy oknie w swoim pokoju, ukryty za zasłoną. Kiedy tak robił, nikt go nie mógł zobaczyć. Ostatnio odkrył, że to doskonały sposób na to, żeby się dowiedzieć najróżniejszych rzeczy, których nie powinien być wiedzieć.

Takich jak na przykład to, że jego matka bardzo się starała, żeby wszystkie kukły zostały ściągnięte z ruin. On i Joe naliczyli ich tego poranka dwadzieścia cztery sztuki, o pięć więcej od czasu, gdy się pojawiły po raz pierwszy. Matce straszliwie się one nie podobały i zaledwie dziesięć minut temu rozmawiała o nich przez telefon z Harrym. Była bardzo bliska pokłócenia się z nim.

Dwadzieścia sześć. Właśnie doliczył się dwudziestu sześciu kukieł rozstawionych w ruinach kościoła opackiego. Rano było ich tylko dwadzieścia cztery. W ciągu dnia ktoś dołożył jeszcze dwie. Super!

Tego rana przy śniadaniu Joe spytał, czy oni też mogą zrobić własną. Matka stanowczo się sprzeciwiła, zerkając nerwowo na Toma, ale jemu to naprawdę wcale by nie przeszkadzało. Uważał, że kukły są fajne, a nawet na swój sposób śmieszne. Była tam taka jedna w bryczesach, kaloszach i w toczku jeździeckim. W

jednej ręce trzymała patyk, który miał być palcatem, a pod pachą wypchanego pluszowego lisa, podobnego do Basila Brusha, maskotki z programu telewizyjnego.

O kurde. O Jezu. Jedna z nich właśnie się poruszyła. Tom zamrugał, przetarł oczy, wyteżył wzrok. Jedna z kukieł – zrobiona z gałganów i starych śmieci – czołgała się po murze. Przyszykował się, żeby zeskoczyć z parapetu i pobiec po rodziców. Potem się zatrzymał. Kukła zniknęła. Chyba mu się tylko przywidziało.

Ale jeśli tak, to nadal tak się działo, bo inna kukła też się poruszała, wdrapywała się przez najniższe okno w wieży. To była ta jego zdaniem najśmieszniejsza, ubrana w kwiecistą sukienkę, z dużym słomkowym kapeluszem. Tom widział, jak ten kapelusz, prawie tak jasny jak słońce, kołysze się na głowie kukły. Potem kukła zeskoczyła i zniknęła w mroku.

Co się dzieje, do diabła? Czy one wszystkie ożyją i poznikają? Teraz już był wyprostowany, nie przejmował się tym, czy ktoś go zobaczy, a nawet miał nadzieję, że tak się stanie. Znowu jakiś ruch, nad zewnętrznym murem. Potem dwie kukły, idą razem – albo jedna niesie drugą?

– Tato! – zawołał tak głośno, jak tylko się odważył, wiedząc, że po drugiej stronie korytarza śpi Millie. – Tato, chodź tu.

Potem dotknęła go czyjaś dłoń, a on prawie że wyskoczył przez szybę. Dzięki Bogu, ktoś tu jest, ktoś też to zobaczy. Rozchylił zasłony, żeby sprawdzić, kto wszedł do pokoju.

Joe. Tom wciągnął brata na parapet i utknął zasłonę dookoła nich obu.

– Popatrz na stary kościół – polecił. – Kukły ożyły.

Joe przycisnął twarz do szyby i wyjrzał. Dwaj chłopcy przyglądali się, jak jedna z kukieł biegnie przez porośnięty trawą odcinek, w miejscu gdzie kiedyś była nawa. I znika za stertą kamieni. Tom odwrócił się do brata. Który nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony. Tom stracił cały entuzjizm.

– To ona, tak? – spytał cicho. – Kukły nie poruszają się same z siebie. To ona nimi porusza.

Joe odwrócił się od brata, szykując się do zeskoczenia z parapetu. Tom go zatrzymał, tak mocno ściskając za ramię, że wiedział, że to musi boleć. Joe wymamrotał coś, czego jego starszy brat nie zrozumiał. Tom się nie zastanawiał. Po prostu pchnął Joego mocno, a ten uderzył głową w okno, a potem zleciał na dywan.

Później, kiedy ogłoszono, że Joemu nie grozi śmierć, niestety, i był utulany do snu gorącą czekoladą, bajkami i wielkimi ceregielami ze strony matki, a Tomowi powiedziano, że za karę ma siedzieć w swoim pokoju aż do końca świata, Tom wreszcie doszedł do tego, co powiedział Joe, tuż zanim dostał w łeb.

– Nie winien mówić – wymamrotał. Co w języku Joego oznaczało: Nie powinienem mówić.

Część 3

DZIEŃ ZMARŁYCH

42

2 listopada

Ildźcie w pokoju, ofiara spełniona – ogłosił Harry. Organy zaczęły grać końcową pieśń i Harry zszedł z ołtarza. Renshawowie jak zwykle się spieszyli, chcieli wyjść pierwsi. Kiedy Christiana wstała, żeby wysunąć się z ławki za ojcem i dziadkiem, wyglądała, jakby coś ścisnęła w prawej pięści.

Harry wszedł do zakrystii, przemierzył jej długość i odryglował drzwi prowadzące na zewnątrz. Po wyjściu szybko przeszedł na tyły kościoła i zdążył jeszcze uścisnąć dłoń opuszczającemu budynek Sinclairowi. Christiana też podała mu dłoń, już pustą, ale na niego nie patrzyła. Następni podeszli Mike i Jenny Pickupowie. Oczy Jenny były wilgotne, niosła w rękach mały bukietik różowych róż. Przed tygodniem Harry położył przy wejściu czystą księgę; parafianie mieli wpisywać do niej nazwiska tych, których chcieliby wspominać podczas nabożeństw. Imię Lucy widniało na samym początku.

– Dziękuję – powiedziała Jenny. – Było pięknie.

Podchodzili kolejni wierni, każdy chciał uścisnąć dłoń pastorowi, podziękować mu, opowiedzieć coś o zmarłych bliskich. Prawie na samym końcu szła Gillian, która w tych dniach pojawiała się chyba na wszystkich mszach, z czego, jak Harry sądził, powinien się cieszyć, no bo to przecież jeszcze jeden rycerz Chrystusa i tak

dalej. Harry potrząsnął dłonią Gillian i ponieważ wiedział, że kobieta nie ma grobu, nad którym mogłaby się pomodlić za duszę zmarłej córki, ze współczucia już prawie się do niej pochylił, żeby pocałować ją w policzek. Tylko że, kiedy zrobił to ostatnim razem, Gillian w ostatniej chwili odwróciła głowę i zamiast w policzek, trafił w usta. Niezręczny moment, którego jego pospiesznie wymamrotane przeprosiny nie były w stanie załagodzić.

Ostatnią osobą po Gillian była rudowłosa kobieta w średnim wieku. Kiedy i ona wyszła, Harry wrócił do kościoła. Sprawdził, czy nawa jest pusta, potem ruszył w kierunku ołtarza. Ktoś rozsypał na posadzce płatki róż.

Zerknął w górę. Zupełnie, jakby spadły z balkonu. Leżały dokładnie w miejscu, w którym zginęła mała Lucy Pickup, na które prawie spadłaby Millie Fletcher. Przypomniała mu się zaciśnięta pięść Christiany, gdy wychodziła z ławy. Zostawił płatki tam, gdzie były, i przeszedł szybko nawą boczną do zakrystii. Sprawdził, czy drzwi zewnętrzne są zamknięte, i zaczął się rozbierać. Trzy minuty później znów wyszedł na zewnątrz i kuląc się z zimna, zamknął drzwi zakrystii na klucz od zewnątrz.

– A to dopiero szybka przemiana, magik z pastora, daję słowo. – W stronę Harry’ego szedł jeden z jego parafian, siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna, który wcześniej opowiadał Harry’emu, że na przykościelnym cmentarzu są pochowani jego żona, rodzice i dwóch braci.

– Bo ja jestem człowiekiem o wielu talentach, panie Hargreaves – odparł Harry, opierając się o mur, żeby rozciągnąć ścięgna.

– Chyba nie pójdzie pastor w tym stroju przez wrzosowiska. Wiatr zedrze to z pastora jak nic.

– Ach, nie wiedziałam, że pastorki mają nogi – zachichotała kuśtykająca za Stanleyem Hargreavesem kobieta.

– W zdrowym ciele, zdrowy duch, pani Hawthorn – zażartował Harry. – Żałuję, że nie mogę pokazać przystojniejszej pary.

Po tych słowach wyminął staruszków truchtem. Kiedy wybiegał z terenu kościoła, zobaczył Alice wsadzającą Millie do samochodu. Naprawdę powinien zamienić z nią słowo. Zbiegł w dół kilka metrów i przekonał się, że Alice rozmawia z tą kobietą z farbowanymi na rudo włosami, która wyszła z kościoła zaraz po Gillian.

– Są takie śliczne – mówiła kobieta, sięgając do loczków Millie, żeby ich dotknąć. – Też takie miałam, jak byłam mała. Aż serce boli, jak na nią patrzę.

Millie wyrwała się kobiecie i ukryła twarz na ramieniu matki, w tym samym momencie Alice dostrzegła Harry'ego. Podchodził wolno, nie chcąc przeszkadzać, niepewny, czy będzie mile widziany.

– One tak szybko rosną – rzuciła Alice.

– Moja nie zdążyła – odpowiedziała kobieta. Nie mogła już dosięgnąć policzka Millie, więc poklepała dziewczynkę po ramionku. – Proszę o nią dbać. Człowiek nie wie, jakie są drogocenne, dopóki ich nie straci.

Alice już nie próbowała się uśmiechać.

– No tak, to prawda – potwierdziła. – Cóż, widzę pastora. Pójdę się przywitać. Miło było panią poznać. – Kobieta kiwnęła głową i potem, jeszcze raz pogłaskawszy Millie po główce, odeszła.

– Zielonego pojęcia nie mam, kim była ta radosna duszyczka – stwierdziła Alice ściszym głosem, kiedy Harry podszedł. Harry obejrzał się za odchodzącą postacią i pokręcił głową.

– Była dzisiaj w kościele – odrzekł – ale nigdy wcześniej jej tu nie widziałem. Posłuchaj, co do tego wywiadu o chło...

Alice podniosła rękę.

– Nie, nie, zaczekaj. Ja cię bardzo za to przepraszam, bo domyślam się, że to może być dla ciebie trudne, ale no... – urwała. – No, po prostu cały czas okropnie się martwię, że z Tomem dzieje się coś naprawdę złego.

Nachyliła się do samochodu i usadziła Millie w foteliku, potem przypięła ją pasem. Harry przysunął się do samochodu z nadzieją, że auto trochę go osłoni. Ostry wiatr szarpał gwałtownie jego spodenkami.

– Naprawdę nie sądzę – odparł. – Poza tym nie pomożesz mu, tak się spalając.

– Dokładnie to samo mówiła Evi – zgodziła się Alice.

Harry nie mógł się zatrzymać. Drżały mu nogi, ścisnęło go w klatce piersiowej, ale gdyby przestał teraz biec, pot na jego ciele zamieniłby się w lodowate strużki.

Był jakieś trzy kilometry ponad wioską. Dziesięć minut po wyruszeniu natknął się na stary szlak konny i pobiegł nim w kierunku drogi. Biegł w górę, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu wiatr podrywał go z nóg i niósł. Teraz kierował się już w stronę domu.

Mury i krzaki zapewniały mu pewną osłonę, ale kiedy wiatr uderzał w niego z przodu z całą siłą, czuł się prawie tak, jakby się przestał poruszać. Opaski na

nadgarstkach były prawie do cna przesiąknięte potem, zimne powietrze raniło mu płuca. To jakieś szaleństwo. Nawet widoki były stracone – oczy mu łzawiły tak bardzo, że ledwie widział ziemię pod stopami.

Wysoko nad drzewami na wschodzie majaczył masywny szczyt Morrell Tor – ogromnego skupiska głazów piaskowca balansujących niebezpiecznie jeden na drugim. Uformowane przez naturę, mimo że dawniej wierzono, że przez człowieka, takie skaliste wzniesienia to na terenie Gór Pennińskich powszechny widok. Morrell Tor, jak się Harry dowiedział, cieszyło się w okolicy złą sławą. Legendy opowiadały, że w zamierzchłych czasach niechciane dzieci i te z nieprawego łoża zrzucono ze szczytu, żeby roztrzaskiwały się na skałach w dole i żeby w kawałkach były roznoszone po okolicy przez wilki i bezpańskie psy. Współcześnie góry stanowiły poważny problem dla hodowców owiec, którzy musieli bardzo pilnować, żeby ich stada się do nich nie zbliżały. Mówiło się, że w wietrzne noce śpiew między skałkami zwabiał na śmierć całe tuziny.

Harry uświadomił sobie, że się zatrzymał. I że zamarza. Musi wrócić wreszcie do domu, wykąpać się i przebrać, bo szedł na lunch do pewnych starszych państwa z Goodshaw Bridge. I miał jeszcze telefon do wykonania. Za kilka metrów zejdzie na ścieżkę biegnącą wzdłuż pola, która wyprowadzi go na koniec Wite Lane.

Przecisnął się przez szparę między dwoma wysokimi głazami i znowu pobiegł, skrajem pola w dół, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Na rogu wdrapał się na niewysoki murek i zeskoczył na ściernisko za nim. W mniej niż minutę znalazł się u stóp pola. Przeskoczył przez przełaz na Wite Lane. Już prawie był w domu.

Przed zgliszczami spalonego domu Royle'ów dostrzegł postać skulonej chudej drżącej z zimna dziewczyny. Gillian. Kiedy był dwadzieścia metrów od niej, usłyszał, że płacze. Albo może nie płacze, tylko raczej zawodzi. Inaczej nie można było tego opisać, tylko właśnie jak wysokie, łamiące serce żałosne zawodzenie. Irlandczycy taki płacz nazywają żałobnymi lamentami.

43

Już dobrze, już dobrze. – Otworzył furtkę, wszedł na zarośniętą ścieżkę. – Chodź, moja droga, odprowadzimy cię do domu. – Przeszedł przez miejsce, w którym kiedyś były drzwi wejściowe. Gillian nie podniosła głowy. Nadal była skulona i przyciskała coś do piersi. Przeciął nierówny grunt i nachylił się nad nią. Wtedy na niego spojrzęła, a on poczuł nagłą chęć odsunięcia się. Na sekundę wyraz w jej oczach go przeraził, pomyślał, że coś w niej pękło, rozpadło się w niej coś fundamentalnego.

– Chodźmy – powtórzył. – Wyjdźmy stąd. No, chodź, kochanie, bo zamarzasz. – Gillian była tylko w cienkim sweterku, ręce miała zimne jak lód. Objął ją ramieniem w pasie i pociągnął w górę.

Nadal łkała, kiedy wyprowadzał ją przez furtkę i potem pół prowadził, pół ciągnął po Wite Lane. Dziedziniec kościoła i ulica były puste, jedynym stojącym tam samochodem był jego samochód. Przeprowadził Gillian przez ulicę i otworzył drzwi od strony pasażera. W Heptonclough nigdy nie zamykał auta, a kluczyki leżały w zakrystii, razem z jego ubraniami. Wyjął z samochodu swoją kurtkę i opatulił nią dziewczynę.

– Wsiądź – polecił. – Pójdę do zakrystii po torbę i potem odwiozę cię do domu.

Trzęsąc się z zimna, pobiegł ścieżką na dziedzińcu, wyciągnął klucze z kieszeni i otworzył drzwi zakrystii. Jego torba leżała tam, gdzie ją zostawił. Chwycił bluzę i wciągnął przez głowę. Już miał wychodzić, gdy coś kazało mu się zatrzymać i odwrócić.

Ktoś był w zakrystii. Drzwi prowadzące do kościoła były otwarte. Kiedy wychodził, były zamknięte, był o tym przekonany. Podszedł do nich. To pewnie któryś z członków rady parafialnej, Mike albo Sinclair. Tylko oni poza nim mieli teraz klucze. Tyle że w ostatnich kilku tygodniach zawsze go powiadamiali, jeśli zamierzali wchodzić do kościoła. Obu widział niecałą godzinę temu. Żaden nie wspominał, że planuje wrócić. Mimo to to mogli być tylko...

Zatrzymał się w progu, wiedząc, że jego serce bije za szybko, a oddech jest zbyt

płytki, ale powiedział sobie, że to skutek szybkiego biegu po górzystym terenie. A więc jednak nie członkowie rady. Ani Mike, ani Sinclair nie zabrałoby każdego podnóżka spod ławek i nie rozrzuciliby ich po całym kościele. Harry przeszedł do prezbiterium. Tuziny podnóżków: na dywanie, między piszczałkami organów, na siedziskach stali, wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinny być.

Przeszedł głębiej, wiedząc, że nie chodzi tylko o podnóżki, że natknie się na coś jeszcze, i że to tylko kwestia sekund, zanim tak się stanie. Już nie oddychał szybko, teraz ledwie łapał oddech.

Coś rosło mu w gardle, coś jak grzyb, rozpierający ścianki, blokujący przepływ powietrza, kiedy dotarł na środek prezbiterium i odwrócił się, żeby spojrzeć na nawę. Był przygotowany na szok. Tyle że nie na aż taki. Nie był przygotowany na to, że pod galerią zobaczy małe dziecko roztrzaskane na kawałki.

Millie Fletcher! Widział ją w tym sweterku.

Przez kilka sekund nie był w stanie zrobić nic, tylko patrzeć wytrzeszczonymi oczyma. Teraz do jego ciała nie przedostawało się już żadne powietrze. Za chwilę zacznie mieć zawroty głowy. Ruszył przed siebie, kurczowo się przytrzymując oparcie ławek, zupełnie jak niepewnie się czujące na nogach niemowlę. Kiedy dotarł do połowy, zdał sobie sprawę, że teraz drży już nie ze strachu, a z ulgi. I że znowu oddycha. Nie Millie, dzięki Bogu, to nie mogła być Millie – ani żadne inne prawdziwe dziecko, jeśli już o tym mowa – bo żadna część anatomii dziecka nie składa się z warzyw. Och, Bogu dzięki.

Na kamiennych płytach leżała roztrzaskana rzepa z namalowaną na niej nieporadną ręką dziecięcą twarzą. Wiklinowa konstrukcja ciała była w kawałkach. To kukła, mała, wniesiona do środka, ubrana w sweterek Millie. Biegające mu po plecach dreszcze teraz nie miały już wiele wspólnego z ulgą, a bardziej ze wściekłością. Przekaz nie mógł być jaśniejszy. Kukła miała reprezentować Millie, miała reprezentować Millie roztrzaskaną na kościelnej posadzce, tak jak się to prawie zdarzyło w noc zabawy dożynkowej, tak jak wcześniej stało się z Lucy Pickup. Co tu się, w imię Boże, dzieje?

Pamiętając o czekającej na niego w samochodzie Gillian, dotarł do kukły i przykucnął przy niej. Nie mógł jej tu tak zostawić. Wyciągnął rękę, żeby zacząć zbierać części, w porę się jednak zatrzymał.

Dowód rzeczowy.

Z zakrystii przyniósł duży plastikowy worek na śmiecie i gumowe rękawiczki zostawione przez jedną z ekip sprzątających. Włożył rękawiczki, zebrał części

kukły wraz z różowo-pomarańczowym sweterkiem i wszystko wrzucił do worka. Kiedy skończył, zawiązał worek na supeł i wstał.

Musi zawiadomić policję. Głupi żart nastolatków czy nie, Millie ma dwa lata i już raz była wystawiona na prawdziwe niebezpieczeństwo. A to wcale nie było zabawne. Poza tym, pomimo wymiany zamków, ktoś nadal wchodził do kościoła i z niego wychodził, kiedy chciał.

Gillian nie spytała, dlaczego trwało to tak długo; chyba nawet nie zwróciła na to uwagi. Harry rozkręcił ogrzewanie na pełną moc i ruszył w dół wzgórza. Minęły zaledwie dwie minuty, zanim zaparkował przed pocztą i sklepem ogólnospożywczym. Gillian mieszkała w mieszkaniu nad nim.

Nie poruszyła się. W spoczywających na podołku dłoniach ścisnęła małą różową pluszową zabawkę. Harry wyłączył silnik i wysiadł. Zaczynał odczuwać ból w karku.

– Gillian, kochanie. – Nachylał się do samochodu. Nie chciał jej znowu dotykać, przypuszczał jednak, że jest to nieuniknione. – Już jesteś w domu. Chodź, wejdźmy do środka.

Nadal siedziała nieruchomo. Przełykając poirytowanie, Harry otoczył dziewczynę ramieniem. Wysiadła dość chętnie, opierając się przy tym na nim. Kiedy przechodzili przez ulicę, zwrócił uwagę, że przypatrują się im jakieś dwie kobiety.

Drzwi zewnętrzne nie były zamknięte. Ujął Gillian za dłoń i wciągnął ją na górę po wąskich schodach z ich wytartym brudnym bieżnikiem. Na górze odwrócił się do niej:

– Klucze? – poprosił. Wzruszyła ramionami.

Pchnął drzwi, a one się otworzyły, wypuszczając na korytarz obłok smrodku brudnych ubrań i zaduchu. Weszli do środka i Harry stwierdził, że albo w mieszkaniu nie było wiele cieplej niż na zewnątrz, albo to tylko jego wrażenie po tym, jak przemarzł podczas biegnięcia.

Pokierował Gillian do kanapy i szybko przeszedł do grzejnika elektrycznego. Po nastawieniu go na najwyższy poziom odwrócił się do dziewczyny. Siedziała na brzegu kanapy, wpatrzona w ścianę naprzeciwko siebie. Zabawka w jej rękach to był królik.

– Gillian, trzeba cię czymś okryć. Gdzie znajdę jakiś koc?

Nie odpowiedziała, a on się od niej odwrócił. Gdyby zobaczyła jego twarz, zobaczyłaby, jaki jest zirytowany. Jaki jest zły. Zły na Gillian, zły na siebie, zły na seniorów z Goodshaw Bridge, którzy już pewnie zerkają na zegarki, i bardzo zły na tego chorego bydlaka, któremu się wydawało, że go wystraszy, przebijając stertę kości i gałązek.

Mieszkanie Gillian nie było duże. Szybko znalazł kuchnię, potem sypialnię. Powiódł wzrokiem po rozrzuconych na podłodze ubraniach, pustych szklankach w różnych miejscach, brudnym talerzu na stoliku nocnym, po czym ściągnął z łóżka kołdrę.

Wrócił do pokoju dziennego, gdzie Gillian, nadal ściskając królika, zwinęła się w kłębek na kanapie. Nakrył ją kołdrą i znów wyszedł do sypialni po poduszkę. Wsunął ją dziewczynie pod głowę i przykucnął, tak by mógł zajrzeć jej w oczy.

– Gillian, powinienem kogoś wezwać – oznajmił. – Kogoś, kto przyjdzie i się tobą zajmie.

Srebrzystoszare oczy spojrzały na niego.

– Ty – wychrypiała. – Chcę, żebyś to ty się mną zajął.

Pokręcił głową.

– Ja muszę gdzieś pojechać. Już jestem spóźniony, a tobą musi się zająć ktoś odpowiedni, nie jakiś mężczyzna, którego ledwie znasz.

Gillian podparła się na łokciu. Jedną dłoń oderwała od różowego królika i dotknęła nią włosów.

– Zostań – poprosiła, przeczesując włosy, żeby je wygładzić. Podciągnęła się wyżej i wysunęła rękę. – Zostań – powtórzyła. – Moglibyśmy, no wiesz...

– Może zadzwonię po doktor Oliver? – zaproponował, odchylając się na piętach, żeby nie mogła go dosięgnąć. – Może rozmowa z nią by ci pomogła.

Dziewczyna usiadła prosto na kanapie i spiorunowała go wzrokiem. Makijaż miała rozmazany aż na policzkach. Nos czerwony od zimna.

– Czy ona jest twoją dziewczyną? – spytała gniewnie.

– Ależ oczywiście, że nie – zaprzeczył, wiedząc, że to prawda, ale czując się tak, jakby kłamał. – Widziałem ją tylko kilka razy. – Nie, to nie wystarczało. Nie było uczciwe wobec ich całej trójki. – Ale ją lubię – dodał.

– Myślałam, że lubisz mnie – załkała.

– Bo tak jest – zapewnił. Kiedy zdążyła chwycić go za rękę? – Ale jestem dla ciebie za stary i...

– Mnie to nie przeszkadza.

– ...i musisz wrócić do pełnej formy, zanim znów się z kimś zwiążesz. – Musi odzyskać rękę. Musi się cofnąć na bezpieczną odległość.

– Jeśli będę z tobą, szybko mi się poprawi, wiem, że tak będzie.

Musi jej powiedzieć. Ona musi wiedzieć, że to się nigdy nie ziści.

– Gillian, wiem, jak musiało ci być dzisiaj trudno, kiedy widziałaś innych odwiedzających groby, z rodzinami, które ich pocieszały. Uwierz mi, wiem, co to znaczy być samemu.

– Nie jestem puszczalska, wiesz. Od czasu Pete’a nie było nikogo innego.

– Nie wątpię w to. Ale uwierz mi, w ten sposób nie przebolejesz Hayley. Co powiesz na swojego lekarza rodzinnego?

Wyglądało, że sytuacja jest beznadziejna. Gillian już nabierała powietrza, szykując się do...

– Nie masz najmniejszego pojęcia! – wrzasnęła.

Miała rację. Nie miał pojęcia. To zupełnie wychodziło poza zakres jego doświadczeń.

– A może zadzwonię po któregoś z twoich znajomych? – podsunął. – Któryś z nich mieszka może w pobliżu?

– Ona mnie nie zostawi – rzuciła Gillian, mówiąc do punktu gdzieś pośrodku swojej klatki piersiowej.

– Kto? Masz na myśli Hayley?

Skinęła głową.

– Ona nie żyje, wiem – dodała. – Wiem o tym już od dawna, ale ona nie odejdzie. – Znów złapała go za rękę. – Ona mnie prześladowuje.

– Gillian...

Gwałtownie poderwała głowę. W oczach miała przerażenie.

– Błagam, pomóż mi – zakwiliła. – Możesz coś zrobić, wiem, że możesz. Spraw, żeby odeszła. Możesz przeprowadzić te... no wiesz, jak się one nazywają... egzorcyzmy?

Ta dziewczyna była niezrównoważona psychicznie. Potrzebowała pomocy.

– Gillian, zadzwonię po kogoś. Nie możesz...

– Posłuchaj mnie. – Teraz trzymała go już za obie dłonie, zsunęła się z kanapy i klęczała przed nim. – Dzisiaj jest Dzień Zmarłych, tak? Dzień, w którym zagubione dusze, które nie mogą odnaleźć drogi do nieba, wracają tam, gdzie żyły. Nigdy w te wszystkie rzeczy nie wierzyłam, ale teraz wierzę. Ona tu dzisiaj była. Zabrała tę zabawkę, Różowego Królika, i zaniósła do naszego starego domu. Dopiero co ją

znalazłam tam, gdzie był piec kuchenny.

– Gillian...

– Ona do mnie mówi, cały czas. Słyszę jej głos, jak woła: „Mamusi, mamusi, pomóż mi”. Nie ma znaczenia, gdzie jestem. Tutaj, kiedy śpię, na wrzosowiskach, ona zawsze jest, zawsze do mnie mówi: „Mamusi, mamusi”, mówi, „Znajdź mnie”. Przesławia przedmioty, tutaj w mieszkaniu. Zostawia dla mnie małe prezenciki. Ilekroć się obrócę, zawsze kiedy się przebudzę w nocy, mam wrażenie, że ona tu będzie, tak jak była wtedy, kiedy widziałam ją po raz ostatni, w jej piżamce z postaciami Beatrix Potter.

Harry uświadomił sobie, że drży.

– Ona jest ze mną codziennie. Ja przez nią oszaleję.

– Gillian, chyba wiesz, prawda, że coś takiego jak duchy nie istnieje?

Rozległo się głośne bębnienie do drzwi wejściowych.

– Usiądź – polecił. – Pójdę i sprawdzę kto to. – Nadal trzymała go za rękę. Wczepiła się w nią i nie chciała puścić, ale Harry ruszył do drzwi, więc nie miała wyboru. Przepełniony ulgą, że jest z dala od niej, nawet na te kilka minut, zbiegł po schodach i otworzył drzwi. Na zewnątrz stała kobieta w średnim wieku z włosami ufarbowanymi na rudo.

– Pastorze. – Kiwnęła głową i dała krok przed siebie, wyraźnie oczekując, że Harry przesunie się w bok i ją wpuści. – Zadzwoiła do mnie Edith Holcome – oznajmiła. – Widziała, że przywiózł pastor Gillian. Powiedziała, że prawdopodobnie powinnam przyjść. – Znów dała krok przed siebie.

– Pani jest znajomą Gillian? – spytał. Czyżby nareszcie przybyły posiłki?

– Jestem jej matką. Gwen Bannister. Miło mi poznać, pastorze. Niech już się pastor o nic nie martwi. Teraz ja się nią zajmę.

Matka? Och, Bogu dzięki.

– Cóż, jeśli jest pani pewna... – Czy zostawił coś na górze? A czy to ważne? Kluczyki ma w kieszeni? Tak. – Jest bardzo przybita – ostrzegł, nie chcąc, by ktokolwiek wszedł na górę po tych schodach nieprzygotowany. – Myślę, że może potrzebować oględzin lekarza.

– Wiem, wiem, już to wszystko wcześniej widziałam. – Kobieta przepchnęła się obok niego i była już w połowie schodów. – Ja też straciłam dziecko, ale czy się rozpadłam na kawałki? Dawniej ludzie byli twardsi.

Czy może sobie pójść? Pewnie, że może.

Nie oglądając się, wyśliznął się przez drzwi i przebiegł przez ulicę do

samochodu. W mieszkaniu zostawił kurtkę, ale to była mała cena za wolność. Spojrzał na zegarek. Jeśli popędzi, jakby ścigali go wszyscy diabli, i na prysznic przeznaczy nie więcej niż dwie minuty i tak będzie spóźniony o jakieś dwadzieścia. Naprawdę nie miał więcej czasu do stracenia.

Dlaczego zatem sięgał po telefon?

Podkowy Księżniczki stukały w beton na podwórzu stadniny, kiedy telefon Evi zaczął dzwonić. Sięgnęła do kieszeni kurtki i zerknęła na wyświetlacz. Och!

– Evi Oliver – odebrała; Księżniczka przesunęła się bliżej swojego boksu.

– Cześć, tu Harry Laycock – powiedział głos w telefonie. Wiedziała, z kim rozmawia. Jego imię pojawiło się na cyfrowym wyświetlaczu. Tylko jedno słowo: Harry.

– Och, dzień dobry. – Tak było dobrze: przyjaźnie, ale z nutką lekkiego zaskoczenia? – Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję – odpowiedział. – Ale trochę się spieszę. Posłuchaj, zastanawiałem się nad czymś. Ta sprawa z ogniskiem. Myślę, że powinnaś tam być. To znaczy pójść. Pójść ze mną.

Zapraszał ją na randkę. Czy tak?

– Mówiłeś, że nie zamierzasz się tam nawet zbliżyć – przypomniała.

– Zmieniłem zdanie. Tu się dzieje coś nie do końca normalnego, Evi, i ja chcę się dowiedzieć, o co chodzi. I jeśli naprawdę zależy ci na odkryciu prawdziwych przyczyn niepokojów Toma Fletchera, myślę, że ty też powinnaś tego chcieć.

Zobaczyłaby się z nim? Jeszcze tego wieczoru?

– No, nie wiem, Harry – odparła. – To trochę...

– Mógłbym przyjechać po ciebie o wpół do siódmej i zawieźć cię na miejsce. Pomogę ci przejść trudniejsze kawałki. Nie żebyś potrzebowała pomocy, w pełni to rozumiem. I to nie będzie randka ani nic. Czysto zawodowa sprawa, no wiesz – praca – dla nas obojga.

– Dziękuję, wiem, co znaczy „zawodowa”. Zamierzałam powiedzieć, że to może wyjść na lekką nachalność. Fletcherowie mogą pomyśleć, że ich szpieguję. A utrzymanie zaufania jest bardzo ważne, kiedy się pracuje z rodziną. – Och, zamknij się, ty głupia krowo, bo jeszcze się rozmyśli.

– Już rozmawiałem z Alice. Nie ma nic przeciwko temu. I oboje jesteśmy zaproszeni po ognisku na kolację, ale, powtarzam, to zdecydowanie nie będzie

randka.

– Tak, już to do mnie dotarło. Rozumiem. – Randka z Harrym. Pójdzie na randkę z Harrym. Księżniczka zaczęła się wycofywać spod boksu, obracała się na betonie.

– Posłuchaj, nie bardzo mam teraz możliwość rozmawiać – oznajmiła. – Pomysł może być dobry, ale muszę sama pogadać z Alice. Mogę oddzwonić po południu?

– Oczywiście. A teraz już naprawdę muszę się zbierać. Pogadamy później.

Rozłączył się, a Evi z miejsca zaczęła się zastanawiać, w co się, na litość boską, ubierze.

Tak szybko jak mógł, ale nie zapominając uważać na każdego, kto mógłby go obserwować, Tom przebiegł przez bramę kościelną, obiegł ruiny, minął kościół i wbiegł na cmentarz, potem dał nura za kamienny nagrobek, żeby odzyskać oddech.

Było wpół do piątej, kilka pasków pomarańcza i różu na niebie pokazywało, gdzie było słońce jeszcze przed pięcioma minutami. Chmury zbierały się bardzo szybko. Teraz już zaraz robi się ciemno. Zostało mu niewiele czasu.

Znowu ruszył, trzymając się tak blisko granicznego muru, jak tylko było można. Jeśli coś by się wydarzyło, w sekundę znalazłby się po drugiej stronie i uciekłby do domu tylnymi drzwiami. Wiedział, że ona jest szybka, ale on też był szybki.

Przy grobie Lucy Pickup znowu przykucnął. Ktoś zostawił na nim wiązanek maleńkich różowych różyczek i – wyglądało to jakoś straszliwie smutno – małego kremowego misia z różową wstążeczką wokół szyi. Wtedy mu się przypomniało, dlaczego miasteczko obchodzi noc ognisk w ten wieczór zamiast piątego listopada; drugi listopada to Dzień Zmarłych. Harry wszystko im o tym opowiedział. To dzień, kiedy ludzie wspominają i oddają cześć ukochanym bliskim, którzy już nie żyją. W Heptonclough ludzie szli na groby, modlili się za zmarłych, zostawiali prezenty. W Heptonclough szanuje się zmarłych, powiedział im Harry.

Tom się rozejrzył. Wciąż jeszcze było dość jasno. A on był bardzo blisko muru.

Cisy to nie są drzewa dobre do wdrapywania się na nie, wszyscy o tym wiedzą. Nie rosną wysoko i mają dość cienkie gałęzie. Ale akurat ten cis miał jedną mocną, która zwieszała się nad ogrodem Fletcherów. Jeśli będzie uważał, jeśli nie wystraszy się kilku zadrapań, uda mu się na nią wspiąć.

Miał jakieś dziesięć, piętnaście minut. Matka myśli, że odrabia lekcje. Zabroniła Joemu i Millie zbliżać się do jego pokoju. Piętnaście minut może wystarczyć.

Po wdrapaniu się na drzewo Tom był zaskoczony, kiedy odkrył, jak dobrze widać z niego ich dom. Widział Joego czołgającego się po oparciu kanapy z karabinem maszynowym wetkniętym pod pachę. Widział nawet sporo z pokoi na piętrze. Oto jego mama w łazience, sięgająca do szafki po pieluszkę Millie. To

wszystko go zastanowiło. Czy ona siedzi tutaj, na tej gałęzi i ich obserwuje? Ukryta w gałęziach, siedząc nieruchomo, mogła obserwować jego rodzinę godzinami i nikt by o tym nie wiedział.

Na szyi, utknięty dla bezpieczeństwa pod bluzą, miał cyfrowy aparat ojca. Wiedział, jak się ustawia flesz, ostrość i jak się przybliżyć obraz i oddać. Ćwiczył to wczoraj cały wieczór, robiąc zdjęcia tańczącej w salonie Millie, a potem ojciec pokazał mu, jak się te zdjęcia zgrywa na komputer. Tom miał zamiar poczekać, aż mała dziewczynka się pojawi, i wtedy zrobić jej zdjęcia. Tyle, ile się tylko da. A wtedy oni będą musieli mu uwierzyć. Jak im pokaże te zdjęcia, będą wiedzieli, że mówi prawdę. Że nie zwariował. A najważniejsze, że on sam będzie wiedział, że nie zwariował.

Za kilka godzin może już być po wszystkim.

45

No to, jaki jest plan? Na początek obrzędy wudu na miejscu złożenia ofiary rytualnej, szybka przerwa na hot doga i potem koło północy powstanie z grobów zombi?

– Coś mi się widzi, że nie traktujesz tego święta serio – mruknął Harry, obchodząc z Evi dwie przyklejone do siebie na środku drogi dziewczyny. Jedna z nich miała szkliste spojrzenie, sugerujące, że jest odurzona. Przed nimi w niebo wystrzelił różowo-zielony fajerwerk. Przez sekundę widać było iskry odbite w chmurach. Potem znów zapadła ciemność.

– Ależ traktuję – zaprzeczyła Evi. – Na pierwszym roku robiłam projekt badawczy na temat psychologii tłumu. Z wielką radością pooglądałam to sobie na żywo.

Z jednego z niezliczonych kamiennych zaułków Heptonclough wyłonił się nastoletni chłopak i podkraść się do nich. W ustach zwisał mu niezapalony papieros.

– Macie ogień? – spytał, zanim spojrzał Harry’emu w twarz. – O, przepraszam, pastorze. – Odkuśtykał w dół ulicy. Evi cicho się roześmiała.

W miasteczku był taki tłok, jakiego Harry jeszcze tu nie widział; musiał zaparkować pięćset metrów dalej. Zaproponował, że podrzuci Evi pod kościół, żeby zaczekała tam na niego na ławeczce pasterzy, ale odrzuciła propozycję i teraz dołączyli do innych, którzy szli w górę ulicy w kierunku pola z ogniskiem. Nocne powietrze wypełniał zapach prochu i dymu drzewnego.

Co kilka sekund wymijali ich ci, którzy mogli poruszać się szybciej. Większość odwracała się i kiwała głowami, życzyła Harry’emu miłego wieczoru i zerknęła ciekawie na Evi. A Harry’emu trudno było mieć o to pretensję. W granatowej pikowanej kurtce, dokładnie takiego samego koloru co jej oczy, i w pasującym kolorem kapeluszu mogła być najładniejszą dziewczyną, jaką widzieli od dłuższego czasu.

– I co sądzisz? – spytał.

Evi wyciągnęła szyję, żeby się rozejrzeć, potem spojrzała na niego.

– Jest wszystko, czego można się było spodziewać – odpowiedziała. – Dzieciaki są podekscytowane, więc szaleją. Rodzice są przez to lekko rozdrażnieni – niepokoją się, że tracą pociechy z oczu w tych ciemnościach, będą ich więc bardziej pilnowali. To na koniec skutkuje złym nastrojem.

Znów ten maleńki pieprzyk, ten tuż pod prawym uchem.

– Starsze dzieciaki będą piły więcej niż zazwyczaj – ciągnęła. – Ci, którym już wolno, pójdą do pubu. Młodszy będą popijali cydr w ciemnych kątach. Bardzo możliwe, że wybuchną jakieś kłótnie, może nawet ktoś się pobije, ale to dopiero za kilka godzin.

Gdyby pocałował ten pieprzyk, poczułby płatek jej ucha na policzku, a jej włosy połaskotałyby go w nos.

– Podstawowy problem przy tego typu imprezach jest taki – dodała – że rozbudzają one pewnego rodzaju oczekiwania. Wszyscy czekają, że coś się wydarzy. Ludzie są podekscytowani i jeśli spotka ich zawód, jeśli rozczarują się, wtedy właśnie zaczną się problemy, bo będą musieli znaleźć jakieś ujście dla frustracji. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Ależ jak najbardziej – zapewnił, wiedząc, że uśmiecha się jak głupek. – Tylko czy my nadal mówimy o ognisku?

Fletcherowie wyszli z domu tuż przed siódmą, wszyscy opatuleni w najcieplejsze ubrania. Millie była na rękach matki, Joe na ramionach ojca, a Tomowi rodzice powiedzieli – kilkukrotnie – że jeśli stracą go z oczu choćby na sekundę, odrąbią mu palce u nóg i u rąk. Aparat fotograficzny Tom miał na szyi.

Na cmentarzu udało mu się postać dwadzieścia minut, zanim matka pojawiła się w drzwiach z tyłu domu i zaczęła go wołać. Przelazł przez mur i pobiegł ogrodem, osłaniając aparat ręką. Kiedy matka wyrzuciła już ze swojego systemu konieczne połajanki, powiedział jej, że robił zdjęcia zachodu słońca do szkolnego projektu. Wyglądała na zadowoloną. I on też był zadowolony. Nie zmarnował tych dwudziestu minut. O nie, w żadnym wypadku nie był to czas zmarnowany.

Kiedy dotarli na szczyt wzniesienia, Harry pomyślał, że Evi chyba się trochę zmęczyła. Już tyle nie mówiła i szła wyraźnie wolniej. Dlaczego nie dała się mu podwieźć? I czy odgryzie mu głowę, jeśli zaproponuje, żeby przystanęli i chwilę

odpoczęli?

– Moglibyśmy gdzieś przysiąc na sekundkę? – spytała.

Śliczna jak obrazek, uparta jak muł. Będą z nią tylko same kłopoty; naprawdę nie miał powodów, żeby czuć się taki szczęśliwy. Pokierował ją ku ławeczce pasterzy i usiedli na niej razem. Większość mieszkańców zdążyła już skręcić w Wite Lane. Od pola docierało do nich głośnie strzelanie rac, nad budynkami rozciągała się bladopomarańczowa poświata. Harry odwrócił się i popatrzył w górę. Wszystkie kukły zostały zabrane z ruin kościoła. Poza tą, którą przekazał detektywowi Rushtonowi kilka godzin temu. Tą, z której przez kilka następnych dni będą zbierane odciski palców i na której będą poszukiwane inne ślady. Umówili się z Rushtonem, że dopóki nie będą wiedzieli więcej, nie powiedzą nic Fletcherom.

– Czy Alice czuła się dobrze, kiedy z nią rozmawiałaś? – spytał. Przez to, że miał tak zajęty dzień, nie był w stanie odebrać telefonu, kiedy Evi dzwoniła do niego wcześniej. Z krótkiej wiadomości głosowej dowiedział się, skąd ją ma odebrać.

– Tak, raczej chyba tak. – Evi nadal ciężko oddychała, policzki miała zaróżowione. – Wydawała się przekonana, że jej wszystkie dzieci chcą się wybrać na ognisko. Tom podobno nagle zainteresował się fotografią i chce tam zrobić kilka interesujących zdjęć. A jedna z koleżanek Alice z miasta zapewniała, że na ognisku jest bezpiecznie, że nie dzieje się tam nic, czego można by się obawiać.

– Zawsze kiedyś zdarza się ten pierwszy raz – wymamrotał Harry.

– Co proszę?

Pokręcił głową.

– Nie, nic, mów dalej.

– Więc ustaliłyśmy, że dopóki coś ich nie zdenerwuje czy przestraszy, wspólne rodzinne wyjście tylko się im przysłuży. A potem nalegała, żebym przyszła na kolację, dołączyła do was wszystkich. Jest naprawdę słodka.

– Miło widzieć pastora w towarzystwie młodej damy, pastorze.

Harry odwrócił się od Evi, żeby spojrzeć na zbliżające się trzy starsze kobiety, w których gronie była również ta, wcześniej podziwiająca jego golenie. Spoglądała teraz na niego i na Evi z szatańskim uśmieszkiem na twarzy.

– Zawsze twierdziłam, że pastorzy powinni być żonaci – dokończyła. To nie był niewinny uśmieszek, ale lubieżny i przebiegły. Evi cicho zachichotała, a on poczuł, że policzki mu płoną. Szczęście, że było ciemno.

– Nie, nie, pani Hawthorn! – zawołał. – Doktor Oliver to koleżanka. To

znajomość czysto zawodowa.

Do Minnie Hawthorn dołączyły dwie przyjaciółki. Wszystkie trzy stały i szczyrzyły się do niego jak w jakiejś pantomimowej wersji *Makbeta*. Wiedźma Hawthorn spojrzała na Evi, potem znów na Harry'ego.

– Tak, chłoptasiu, oczywiście – zgodziła się, kiwając okrytą wełnianą czapką głową. – Właśnie widzę, widzę.

Chichocząc, cała trójka podążyła za tłumem ciągnącym Wite Lane. Minnie Hawthorn w ostatniej sekundzie się obejrzała. Czy mrugnęła do niego?

– Nie da się oszukać tych starych wiedźm – mruknął pod nosem.

– Powinniśmy już chyba iść – stwierdziła Evi. – Już mi lepiej, a poza tym nawet nie widzieliśmy jeszcze Fletcherów.

– Zaczekaj chwilę. Muszę ci coś powiedzieć, póki nikt nam nie przeszkadza.

Głośny brzdęk sprawił, że oboje podskoczyli. Nad głową Evi w powietrze wystrzeliła fontanna srebra i zniknęła, zamieniając się w gęsty obłok dymu. Na tle krótkiego rozbłysku jasności ostro odbił się zarys zniszczonych murów starego kościoła opackiego. Kościół wyglądał dziwnie pusto bez kukieł, choć wydawało się, że jedna chyba została.

Harry opuścił wzrok i spojrzał na Evi.

– Natknąłem się dzisiaj na Gillian – powiedział.

Jak się spodziewał, twarz Evi stężała. Otworzyła usta, a on podniósł dłoń, żeby ją powstrzymać.

– Wiem, że nie możesz o niej mówić – dodał. – Ale mnie nic tego nie zabrania, więc tylko słuchaj.

Tak, zdecydowanie w ruinach została jedna kukła, widział jej obrys w oknie wieży. Musi się skupić, to było ważne. Znów przeniósł wzrok na Evi, co naprawdę nie było trudne.

– Stała przy swoim spalonym domu, była bliska hysterii – ciągnął. – Miała jedną z zabawek swojej córki. Musiałem ją odwieźć do domu, ledwie żyła. Po kilku minutach pojawiła się jej matka, ta...

– Jej matka?

– Tak. Poznałem ją dopiero dzisiaj. Powiedziała, że zajmie się Gillian, więc wyszedłem. Ale rzecz w tym, że wszystkim nam się wydawało, że Gillian się polepsza. Ludzie mówią, że w ostatnich tygodniach zaszła w niej olbrzymia zmiana na lepsze, mniej więcej od czasu, kiedy zaczęła widywać się z tobą, ale dzisiaj byłem zaniepokojony. Mówi o swojej córce w taki sposób, który nie wydaje się

normalny. Twierdzi, że dziewczynka ją prześladowa, nawiedza. Chciała, żebym przeprowadził egzorcyzmy.

Evi patrzyła w dół na ławeczkę. Nie widział jej oczu. Kolejny fajerwerk wystrzeliwujący w niebo. Mylił się co do tej postaci na wieży. Okno było puste.

– Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć – dodał w ramach wyjaśnienia.

– Dziękuję – odpowiedziała, mówiąc do ławeczki.

Wziął głęboki wdech.

– No i jeszcze to – jękał się – że nawet jeśli ona nie byłaby poważnie emocjonalnie zaburzona i w oczywisty sposób nie potrzebowała stałej pomocy profesjonalisty, ja i tak nigdy, przenigdy nie brałbym pod uwagę... Czy naprawdę muszę to mówić?

– Nie – szepnęła Evi.

– Dziękuję.

– Ale... – Popatrzyła w górę.

– Dlaczego zawsze musi być jakieś „ale”? – spytał, zastanawiając się, czy trzymanie się za ręce liczyłoby się jako zachowanie nieprofesjonalne.

– Założmy, hipotetycznie, że leczę pacjenta, ale dostrzegam potencjalny konflikt interesów – zaczęła Evi. – Poprawne postępowanie w takim wypadku to znalezienie kolegi, który mógłby przejąć ode mnie pacjenta. Ale to nie zawsze może się stać od razu. Trzeba też brać pod uwagę życzenia pacjenta. Może nie chce być przekazany komuś innemu. A dopóki ktoś jest moim pacjentem, jego czy jej dobro musi pozostać moim priorytetem.

– To zrozumiałe. – Harry wstał i wyciągnął rękę. Evi chwyciła się jej, podniosła i potem znów wzięła go pod ramię. Przecięli teraz już pustą ulicę i skręcili w Wite Lane.

Kukły stały w okręgu dokoła ogniska trzymane prosto przez ludzi ubranych na czarno z twarzami umazanymi na czarno.

– To tylko farbki do twarzy – powtarzała mama Toma, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Popatrz, to pan Marsden ze sklepu papierniczego. – Tom rozumiał, że matka chce dobrze, ale niepotrzebnie się wysilała. Wiedział, że to ludzie przebrani na czarno. Tylko że kiedy byli w mroku, prawie nie było ich widać. Gdy zaledwie minutę wcześniej mijali rodzinę, wyglądało to trochę tak, jakby kukły szły same. Teraz stali naokoło ogniska, kukły na przedzie, ludzie

cienie za nimi. Dalej, tworząc następny pierścień, w pewnej odległości od pierwszego, ustawili się ludzie z miasteczka. Tom z rodziną pozostali z tyłu w alei. Joe nadal siedział na plecach ojca, Tom stał na murku tuż za matką, która zaczęła mamrotać coś o tym, że niedługo zacznie padać. Ponad głowami ludzi Tom z łatwością mógł dostrzec krąg kukieł i ognisko w środku. No, serio, jeszcze nie widział czegoś aż tak fajnego.

Ale choć trudno mu było oderwać oczy od tego widoku nawet na sekundę, musiał się jednak rozglądać. Ona gdzieś tu jest, wiedział to. Nie przepuściłaby takiej okazji.

Kiedy Harry i Evi przeszli przez ulicę, obok nich przemknął rower, na którym jechał jakiś chłopak ubrany na czarno i z czarną twarzą. Z poręczy kierownicy strzelały iskry. Chłopak łypnął gniewnie na Harry'ego, zanim odjechał pędem w dół wzniesienia.

– Jakiś znajomy? – zaciekała się Evi.

– Nie powiedziałbym – mruknął Harry. – To wróg numer jeden Toma Fletchera, chłopak, który się nazywa Jake Knowles. Narobiłem mu problemów w dniu, w którym tu przyjechałem. Nigdy mi tego nie wybaczył. I to on jest głównym podejrzanym w tej katastrofalnej sprawie z Millie na galerii w kościele. – Harry chwilę się zastanowił. Czy Jake Knowles odpowiada również za tę kukłę w kościele, imitującą Millie? To by było chore zachowanie, nawet jak na szkolnego rozrabiakę.

– Myślę, że jest jednym z tych chłopaków, którzy wystraszyli Księżniczkę tego dnia, kiedy spadłam – powiedziała Evi. – Rozpoznałam rower.

Na Wite Lane nie było latarni. Drogę oświetlały przytwierdzone do murów pochodnie, takie staroświeckie z prawdziwym płomieniem. Harry czuł naftę, kiedy je mijali. Gdy kocie łby ustąpiły miejsca zielsku, Evi potknęła się i wpadła na niego.

– Wiesz, jestem przekonany, że byłoby łatwiej, gdybym cię objął w pasie – zaproponował.

– Sprytne, pastorze. Ale żeby coś takiego miało na mnie podziałać, najpierw musiałabym łyknąć kilka kieliszeczków.

– Myślałem, że nie pijesz.

Miała na twarzy lekki uśmiezek, jak kot.

– Mówiłam, że nie powinnam, a nie, że nie piję.

Harry się roześmiał.

– No, wreszcie ten dzień zaczyna nabierać kolorów.

Jeszcze jej nigdzie nie widział, ale Tom wiedział, że będzie ostrożna z tymi wszystkimi ludźmi dokoła. Czai się gdzieś w ciemności, za murem, może siedzi na niskim dachu. Patrzenie przez obiektyw ułatwiało mu poszukiwania. Mniej było szans, żeby coś go rozproszyło i nikt nie mógł powiedzieć, że robi coś innego, niż że czeka na dobre ujęcie. Wciąż był na murze. Jak ludzie mogli stać bliżej ogniska, niż on stał, nie miał pojęcia. Ledwie wytrzymał gorąco, jakie czuł na twarzy, a tłum na polu stał przecież tylko kilka metrów od ogniska. Potem byli ludzie cienie, stojący jeszcze bliżej, a potem – chociaż nie przypuszczał, żeby akurat im przeszkadzało gorąco – same kukły. Na co oni czekają? Dołączyli do nich Harry i Evi, i wszyscy razem stali i czekali.

Harry zaczynał pojmować, co Evi rozumiała przez „wrażenie wyczekiwania”. Widział je w otaczających go twarzach, jak u ludzi w kolejce przed sklepem z wyprzedają, czekających na otwarcie drzwi. Ludzie rozmawiali z sąsiadami, starali się wyglądać na nieprzejętych, ale ich spojrzenia ulatywały do ponurego kręgu na polu – który zapewne miał spłonąć, skoro znajdował się tak blisko ognia. W zasadzie wydawało się, że kukły były nawet jeszcze bliżej, niż gdy on i Evi tu dotarli, jakby ognisko je przyciągało. Jego uwagę przykuł nagły ruch z prawej strony. Odwrócił się. Trzy metry dalej stała Gillian, bardzo blisko bramy swojego dawnego domu. Wpatrywała się w niego. I miała na sobie jego kurtkę.

Kukły były coraz bliżej ognia. Tom je obserwował, nawet wypuścił aparat i ten zawisł bezwładnie na jego szyi. Bardzo powoli ludzie trzymający kukły drobnymi kroczkami przesuwali się naprzód. Jak to możliwe? Jakim cudem są w stanie znieść to gorąco? Szum tłumu coraz bardziej cichł. Jeden po drugim, ludzie zdawali się milknąć i odwracali głowy w stronę ogniska, żeby patrzeć, jak kukły sukcesywnie zbliżają się do płomieni.

– Harry, posłuchaj mnie.

Evi mówiła coś do niego ściszym głosem, ale ledwie ją słyszał przez ryk ognia. Oderwał oczy od ogniska i nachylił się do niej.

– Nie podoba mi się to – powiedziała mu wprost do ucha. – Coś się tu zaraz wydarzy.

Wyprostował się i znów spojrzął na ogień. Wydawało się, że wokół niego, w potężnym kręgu, zebrało się całe miasteczko. Na drodze stało mniej niż tuzin osób – włączając w to jego, Evi, Gillian i rodzinę Fletcherów.

– Co takiego? – spytał, znów nachylając się do Evi. – Co takiego się wydarzy?

– Myślę, że budują napięcie przed wykonaniem jakiejś szatańskiej sztuczki – odpowiedziała. – Sądzę, że większość osób wie, co to będzie, i myślę, że czasami coś nie wychodzi tak jak należy. Od czasu, jak tu przyjechaliśmy, widziałam już dwie osoby z poważnie poparzonymi twarzami. Ludzie są podenerwowani. Spójrz na nich.

Miała rację. Pary przysuwały się do siebie. Rodzice kurczowo trzymali dzieci. Ściskający w dłoniach kufle z piwem przestali pić. Wszystkie oczy, oprócz jego i Evi, były zwrócone w stronę ogniska. W stronę ludzi w otaczającym go kręgu.

Czekali. Tom nie wiedział na co. Opuścił już sobie próby robienia zdjęć, nie chciał stracić nic z tego, co się miało zaraz wydarzyć. Gdzieś niedaleko zaczęło płakać jakieś dziecko – przez sekundę myślał, że to Millie. Kolejne trzy kroki, może cztery i kukły wylądują w ogniu. Były zrobione z siana i starych gałganów, jak to możliwe, że...

Jedna zajęła się ogniem. Musiała paść na nią jakaś zbłąkana iskra, bo to, co przed sekundą było formą przypominającą ludzkie ciało, teraz zamieniło się w masę płomieni trzymanyh wysoko w powietrzu.

– Czcimy pamięć zmarłych!

Tom nie wiedział, skąd przyłynął ten okrzyk, ale kiedy zabrzmiał nad wrzosowiskiem, płonąca kukła została wyrzucona wysoko w powietrze. Wylądowała prawie na szczycie ognia i w ciągu sekund się z nim stopiła. Ktoś wyżej na wrzosowiskach, może stojący na Morrell Tor, wypuścił fajerwerk. Rakietę wystrzeliła w niebo i wyglądało to tak, jakby to dusza zmarłego uleciała w górę.

Kolejna kukła zapłonęła i pofrunęła przez powietrze. Kolejny fajerwerk. Potem trzecia kukła i czwarta. Tłum patrzył jak, jedna po drugiej, kukły zajmowały się

ogniem i były wrzucane do ogniska. Kiedy kolejna wzlatywała w powietrze, wraz z nią wznosił się ten sam okrzyk:

– Czczymy pamięć zmarłych!

Niektóre z kukieł musiały mieć w kieszeniach fajerwerki, bo z ogniska w każdą stronę zaczęły wystrzeliwać kolorowe iskry. Ludzie w tłumie zaczęli piszczeć i odwracać się. Tuż przed Tomem jego ojciec zdjął Joego z pleców i postawił na ziemi. Alice, z Millie na rękach, dała krok do tyłu, a Tom poczuł, że ojciec ściąga go z muru. Potem ognisko zapadło się w ziemię.

– Co to, do dia...?

Harry wysunął się naprzód, zostawiając Evi przy murze. Za jego plecami Gareth Fletcher instruował rodzinę, żeby została tam, gdzie jest. Obaj przeszli kilka kroków i wspięli się na płot, skąd mieli lepszy widok.

– Nie wierzę w to, co widzę – usłyszał Harry własne słowa.

– A niech mnie, jak oni to zrobili? – dziwił się Gareth.

Tam, gdzie przed sekundą płonął ogień, teraz w ziemi widniała wielka ziejąca dziura. Ognisko zamieniło się w dół wypełniony płomieniami. Kolorowe iskry fajerwerków strzelały w każdym kierunku, w ich blasku Harry’emu wciąż udawało się odróżnić kilka podobnych do ludzkich sylwetek.

– Myślę, że właśnie mieliśmy okazję zobaczyć otwarcie się bram piekieł – rzucił Gareth.

Harry patrzył, jak mężczyźni trzymający kukły odwracają się wreszcie od ognia, odbierają od przyglądających się łopaty i zaczynają zrzucać sterty ziemi na płomienie. Dołączyli do nich inni, niektórzy sypali ziemię łopatami, pozostali gołymi rękoma.

– Rozpalili ognisko nad dołem – stwierdził Gareth. – Musieli położyć nad nim jakiegoś rodzaju platformę i na niej rozpalili ogień. Kiedy platforma spłonęła, całość się zapadła.

– Oni palą zmarłych – powiedziała Evi. Harry odwrócił się do niej, zaskoczony. Stała obok niego na płocie. Przez chwilę zastanawiał się, jak jej się udało tam wspiąć, ale potem uzmysłowił sobie, że kobieta, która potrafi dosiąść konia, potrafi też zapewne wdrapać się na płot. – Patrzcie, co oni robią, zasypują szczątki kukieł ziemią. To samo robimy podczas pochówku.

– Najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem – oznajmił Gareth. – Co

pani o tym sądzi, pani doktor?

Evi chwilę się zastanawiała.

– Osobiście – mruknęła – cieszę się, że nie było gorzej.

46

Żaluzje w oknach wciąż jeszcze były odsłonięte. To się już ostatnio nie zdarzało często. Normalnie Tom spuszczał żaluzje, zanim zrobiło się dobrze ciemno. Cała rodzina, poza Millie, była w kuchni. Ojciec stał najbliżej okna, rozmawiał z tym mężczyzną, który się opiekuje kościołem. Przy stole siedziała młoda kobieta o ciemnych włosach i dużych oczach. Pili coś i rozmawiali. Wyglądali na szczęśliwych. Ale gdzie jest Millie?

Tom wdrapał się na blat kuchennej szafki. Wyjrzał w ciemność, chwilę się w nią wpatrywał, potem podniósł rękę i pociągnął za sznurek, który spuszcza żaluzje. Widok zniknął.

Czy pozamykali drzwi?

47

Nie mogę uwierzyć, że Jenny mnie o tym nie uprzedziła – powiedziała Alice.

– Może nie chciała zepsuć niespodzianki – zauważył Gareth. – Tom, złaź stamtąd, co? Czego się napijesz, Evi?

Gareth odwrócił się od starszego syna, żeby spojrzeć na Evi, dzięki czemu Tom miał czas spuścić żaluzje w kuchennym oknie. Zauważył, że Evi mu się przyglądała, kiedy przeszedł do drugiego okna, wspiął się na blat i zrobił to samo, co poprzednio. Czy sprawdził, czy drzwi frontowe są zamknięte?

– No, to czy będziemy mogli w przyszłym roku mieć własną kukłę? – spytał Joe, chyba po raz setny tego wieczoru. Joemu się wydawało, że jeśli zada to samo pytanie wystarczająco często, wcześniej czy później otrzyma taką odpowiedź, na jakiej mu zależy. Często ta metoda się sprawdzała.

– Nie, chyba że chcesz, żeby twój ojciec zamiast jajek miał w spodniach smażoną jajecnicę – odpowiedziała Alice, a Joe zachichotał. Zawsze tak rżał, kiedy słyszał to słowo, nie potrafił się powstrzymać. – Coś mi się wydaje, że dzisiaj w Heptonclough niejeden ma przysmażone brwi.

– Nie wspominając innych części ciała – dodał Harry. – Dzięki, kolego. – Odebrał od ojca Toma puszkę z piwem, otworzył i zaczął pić prosto z niej.

– Chodź, Joe – rzuciła Alice – czas się kłaść. Tom, masz jeszcze piętnaście minut, a potem do łóżka.

– Najpierw chcę zerknąć na swoje zdjęcia – odpowiedział.

– Udało ci się zrobić jakieś ciekawe? – zainteresowała się Evi.

Toma uderzyła nagła myśl.

– Tak sądzę – odparł. – Może pani ze mną pójść i obejrzeć, jeśli pani chce.

Jego mama odwróciła się w drzwiach.

– Tom, słoneczko... – zaczęła.

– Dzięki – odpowiedziała Evi. – Chcę. Jeśli ci to nie przeszkadza, Alice?

– Ależ skąd – zapewniła Alice. – Tylko że komputer jest na górze, to nie problem?

– Nie, żaden – odparła Evi, podnosząc się. Jej laska stała oparta o szafkę z deską do prasowania. Evi sięgnęła po nią i wyszła za Tomem z kuchni.

– Czy ty... – zaczął Harry.

– Tak – rzuciła, posyłając mu spojrzenie, które, jak Tom się domyślał, miało wyrażać gniew, ale jeśli Evi się wydawało, że to było groźne, to powinna wziąć kilka lekcji od jego mamy.

Tom wbiegł na górę, Evi poszła za nim. Słyszał ciche stukanie jej laski na każdym stopniu. Kiedy dotarł na szczyt schodów, dobiegł go ciężki oddech Evi. Mama mu mówiła, że pani doktor prawdopodobnie często odczuwa ból i że to bardzo dzielne z jej strony, że tego po sobie nie pokazuje i się nie skarży. Tom przypuszczał, że mama miała rację. On nigdy nie potrafił się nie drzeć, kiedy się zranił, a co do Joego... cóż, wiedział o tym cały świat.

Zaprowadził Evi korytarzem do pokoju rodziców, gdzie stał komputer, i oboje usiedli. Tom podłączył aparat do twardego dysku i ściągnął zdjęcia, które zrobił poprzedniego wieczoru. Sam też nie miał jeszcze okazji ich obejrzeć.

– To są te, które zrobiłem kukłom, jak były jeszcze w kościele opackim – wyjaśnił. Na dole Harry z czegoś się śmiał. Evi odwróciła się w stronę drzwi, potem znów do Toma.

– Są dobre – powiedziała Evi. – Podoba mi się księżyc, to, jak właśnie zaczyna wschodzić. A kolory na tych trzech fotografiach są wspaniałe. Naprawdę dobrze uchwyciłeś zachód słońca.

Tom wiedział, że się mu podlizuje, ale mimo wszystko było mu miło. Zdjęcia wyszły dobrze, jego mama często mu mówiła, że ma oko do kompozycji, ale to nie ujęcia starego kościoła Evi miała zobaczyć. Ściągnął ją na górę, żeby pokazać jej...

– A to kto? – spytała.

Czując, że serce zaczyna mu bić szybciej, Tom kliknął na zdjęcie, na które patrzyła Evi, i powiększył je. No i proszę bardzo. Miał to. Dowód. Mała dziewczynka, w której istnienie nikt nie wierzył, uchwycona aparatem. Kłopot był taki...

– To Joe? – dociekała Evi. – Nie, to ktoś wyższy. Jakiś kolega?

...że postać na zdjęciu, przyczajona za jednym z większych nagrobków, nie była po prostu wystarczająco wyraźna. Tom, wiedząc, kto to jest, potrafił odróżnić dziwną staroświecką sukienkę i długie włosy dziewczynki, ale dla kogoś, widzącego to zdjęcie po raz pierwszy, to mógł być ktokolwiek. Zamknął zdjęcie i otworzył kolejne.

Tkwiał na czatach na cisie przez prawie całe dwadzieścia minut, było mu coraz zimniej, coraz bardziej niewygodnie, i już miał się poddać, kiedy się pojawiła. Patrzył, jak wchodzi na cmentarz z drugiego końca w dole i wspina się pod górę. Szła szybko i bezszelestnie. Zatrzymała się, kiedy miała już tylko trzy kroki do muru, przykucnęła tam i obserwowała ich dom. Tom, ledwie odważając się oddychać, cykał jej zdjęcia jedno za drugim.

– I to znowu ona – powiedziała Evi. – To dziewczynka? Nie jestem pewna. To mogą być włosy albo trawa, trudno powiedzieć. Och patrz, tutaj znowu. Te są dobre, Tom – pochwaliła, zerkając na niego z ukosa. – Mroczna postać na cmentarzu, bardzo nastrojowe. Och, spójrz, jeszcze jedno.

Na dole ktoś otworzył drzwi frontowe.

– Ktoś wszedł – mruknął Tom. – Muszę pójść po tatę.

– Tom, co się stało? – zdziwiła się Evi, lekko zaalarmowana. – Dokąd ty...?

Tom poderwał się na nogi i przeszedł przez pokój.

– Tom! – zawołała za nim Evi. – To pewnie tylko twój tata. Albo Harry przyniósł coś z samochodu. Dokąd ty...?

Tom nie czekał, żeby usłyszeć, co Evi ma mu do powiedzenia. Wiedział, że to niegrzeczne, ale niektóre sprawy są po prostu ważniejsze. Przebiegł korytarzem do szczytu schodów. Miał rację, frontowe drzwi wciąż jeszcze były uchylone na trzy palce. Nie sprawdził ich, dlaczego ich nie sprawdził? Zbiegł na dół, słysząc za sobą na podeście ciche stukanie. Na dole pchnął drzwi i przekręcił klucz.

Tylko że ona mogła już być w środku. Jest? Rzucił się pędem do salonu. Pod stołem nikogo. Zasłony. Wstrzymując oddech i trzymając się na odległość długości ramienia, rozchylił je. Parapet był pusty. Do kuchni nie mogła pójść, tam są ojciec i Harry. Na górę nie miałyby czasu wejść. Jeśli jest w domu, musi być w salonie.

– Tom! – Evi dotarła do szczytu schodów. Udał, że nie usłyszał i pchnął drzwi do pokoju dziennego.

– Kolego, co się dzieje? – Ojciec i Harry wyszli z kuchni.

– Usłyszałem drzwi frontowe – wyjaśnił. – Ktoś wszedł. – Zobaczył spojrzenie Harry'ego posłane ojcu i to, jak ojcu zaciskają się usta.

– Sprawdziłbyś kuchnię, Harry, dobrze? – poprosił Gareth, nie spuszczając oczu z Toma. – Upewnij się, że tylne drzwi są zamknięte.

– W porządku – zgodził się Harry i Tom usłyszał, że wraca korytarzem do kuchni. Jego ojciec wszedł do pokoju i podszedł do najbliższego okna. Z powrotem zaciągnął zasłony, potem to samo zrobił w drugim oknie.

– Już sprawdzone – rzucił. Stał tuż przed sofą, za którą Tom nie zdążył jeszcze zajrzeć. – Chcesz, żebym sprawdził też jadalnię?

– Już tam byłem – odparł Tom niepewnym głosem.

– To pewnie tylko wiatr – pocieszył go ojciec.

Tom kiwnął głową. Ojciec miał rację. Tym razem był to pewnie rzeczywiście tylko wiatr.

Wrócił na górę i oglądali z Evi zdjęcia, aż mama zawołała, żeby Evi zeszła na dół na kolację, a jemu kazała się kłaść. Dziwną dziewczynkę udało mu się uchwycić na pięciu zdjęciach, ale na żadnym nie była na tyle wyraźna, żeby mógł udowodnić, że to ktoś inny, a nie zwykłe dziecko. Mimo to Evi bardzo się nią zainteresowała. Ciągle go pytała, kto to jest. Powiedział, że nie wie, że nie miał pojęcia, że ktoś jeszcze był na cmentarzu. Udała, że mu wierzy, ale on podejrzewał, że oboje wiedzieli, o co tu naprawdę chodzi. Czasami wyglądało to tak, jakby on i Evi grali w jakąś grę, tańczyli dokoła siebie, czekając, które się podda pierwsze.

Żałował, że nie udało mu się zrobić wyraźnego zdjęcia, ale nie była to katastrofa. Najważniejsze, że dziewczynkę było na nich widać. To oznaczało, że istnieje i że on nie zwariował. Tom nie potrafił opisać, jaką mu ta wiedza przyniosła ulgę. I zamierzał spróbować jeszcze raz.

Dziękuję, było bardzo miło – powiedziała Evi.

Alice pocałowała ją w policzek i potem nachyliła się do Harry'ego, żeby zrobić to samo. Gareth stał przy drzwiach frontowych z ręką na klamce.

– Al, widziałaś moje klucze? – spytał.

– Pewnie znowu je przed tobą schowałam w kieszeni twoich džinsów – odpowiedziała Alice, ściskając Harry'ego.

– Wisiały tutaj – mruknął Gareth. – Tuż obok twoich. Muszę wyjść o szóstej rano.

– W takim razie lepiej ich poszukaj – poradziła Alice. Uśmiechnęła się do Evi. – Mój mąż zapodiewa klucze prawie codziennie – wyjaśniła. – Często znajdujemy je na dachu samochodu. Albo na murku w ogrodzie. A czasami nawet zdarza się, że w maselniczce.

– Widzimy się jutro, Gareth – powiedział Harry, biorąc Evi pod rękę. Gareth odwrócił się i zniknął wewnątrz domu.

– Dzięki jeszcze raz, Alice – rzucił do gospodyni, która posłała im ostatni uśmiech i zamknęła drzwi. Evi usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Harry uruchomił silnik i wyjechał autem z podjazdu na drogę. Przez minutę czy dwie jechali w milczeniu. Droga do domu zajmie im dwadzieścia minut, dwadzieścia pięć, jeśli ulice będą zapchane. Przy takim tempie prawdopodobnie nie zdążą sensownie porozmawiać aż do samego końca. Evi przyglądała się odbiciu twarzy Harry'ego w szybie okna pasażera. Odwróciła się do niego. Czuła, że musi coś powiedzieć, nawet jeśli miałyby to być coś zupełnie idiotycznego.

– Mili z nich ludzie – rzuciła. Tak, dość żałosne, nawet jak na nią.

Harry wdepnął w hamulec i auto zwolniło. Na boku drogi samotna owca spojrzała leniwie znad trawy, którą żuła.

– Z kogo? – spytał, skręcając za róg i znów przyspieszając.

– Z Fletcherów.

– Och, tak, przepraszam – mruknął, zerkając na nią. – Myślałem o czymś innym.

I co sądzisz o Tomie po dzisiejszym wieczorze?

Evi chwilę się zastanowiła. Co sądzi o Tomie? Nadal nie była pewna, co ma myśleć, tak wyglądała szczerą prawdą.

– Alice mówiła, że wspominała ci o schizofrenii – zaczął znów Harry, kiedy nie odpowiedziała od razu. – Czy to możliwe?

– Tom nie ma psychozy – odparła. Harry się tego wieczoru ogolił. Dostrzegła drobne ranki nad kołnierzem kurtki. Pewnie golił się w pośpiechu.

– A te halucynacje? – spytał, znów zerkając w jej stronę. – Alice mówiła, że Tom słyszy jakieś głosy w głowie.

– Tak naprawdę to nie słyszy – zaprzeczyła. – Nie w głowie.

Przed sobą ujrzeli światła innego pojazdu. Harry zjechał na trawiaste pobocze, zatrzymując się centymetry od muru. Siedzieli, czekając, aż samochód do nich dotrze. Teraz, kiedy patrzył prosto na nią, Evi było trudno utrzymać z nim kontakt wzrokowy.

– Głosy Toma, zgodnie z tym, co mówiła mi Alice, pochodzą z zewnątrz – ciągnęła Evi, opuszczając oczy na drewniane wykończenia deski rozdzielczej. – Przypływają zza rogów, zza drzwi. I zawsze z tego samego źródła. Mała dziewczynka, która, zdaniem Toma, obserwuje rodzinę, szepcze do nich – do niego zwłaszcza – mamrocze jakieś przerażające groźne rzeczy.

Nadciągający samochód zrównał się z nimi, zaświecił długimi i pojechał dalej. Harry zwolnił ręczny i znów ruszył.

– On usiłuje nam udowodnić, że ta dziwna mała dziewczynka jest prawdziwa – powiedziała Evi.

– W jaki sposób? – zainteresował się Harry. – Nie, zaczekaj, nie mów. Próbował ją sfotografować?

Evi kiwnęła głową.

– Pokazał mi około dwudziestu zdjęć, które zrobił dziś wieczorem. Na pięciu widać małą niewyraźną postać, przyczajoną przy nagrobku.

– I kto to jest zdaniem Toma?

Znowu wzięli kolejny zakręt i ujrzeli mignięcie świateł w Heptonclough, w tej chwili już spory kawałek poniżej nich, migoczące w ciemności jak miasteczko z bajki.

– Powiedział, że nie wie – odparła Evi. – Że nie wiedział, że ktoś tam jest. Kłamał, oczywiście, postać była w centrum kadru. Tom musiał wiedzieć, że ten ktoś, on czy ona, tam jest. Podejrzewam, że to był jakiś jego kolega, który udawał,

że jest tą dziewczynką. Ale sedno jest takie, że to bardzo sprytne i racjonalne. To sugestia dla mnie, że Tom wie, że ta mała dziewczynka nie istnieje, ale mimo wszystko chce, żebyśmy w nią wierzyli. Umyślnie robi zdjęcia, o których wie, że będą niejednoznaczne.

– A więc w zasadzie to nie twierdził, że to była ta dziewczynka?

Kolejny zakręt, znowu mignięcie ciemnego pejzażu poniżej.

– Nie. Nadal nie przyznał się przede mną, że wierzy w jej istnienie. Więc ja też nie mogłam o niej wspomnieć. Muszę poczekać, aż on to zrobi. Dlaczego jedziemy w górę wrzosowisk?

– Skrót – odparł krótko Harry. – A jeśli ona istnieje?

Evi znowu pomyślała, potem uśmiechnęła się do profilu Harry'ego.

– Z tego, co mówią jego rodzice, wynika, że Tom opowiada o tej dziewczynce tak, jakby nie była istotą ludzką – wyjaśniła. – A przy okazji, na wrzosowiskach nie ma żadnego skrótów. Porywasz mnie?

– Tak – potwierdził. – A może to ktoś, kto ma dziwny wygląd? Tom widzi ją, jak rozumiem, tylko nocą. Może to ktoś, kto lubi się ukrywać, zwodzić ludzi, może ktoś lekko niezrównoważony?

Wjechali jeszcze wyżej i ciemność rozlała się wokół nich jak plama czarnego atramentu. Skądś z dołu strzelił fajerwerk. Kiedy wszystkie iskry zniknęły, Evi na tle nieba ujrzała ciemny zarys drzew.

Przez chwilę zastanawiała się, potem pokręciła głową.

– Tylko Tom ją widzi i słyszy. Gdzie dokładnie jedziemy?

– A jeśli słyszy ją także Gillian?

– Gillian?

– Gillian słyszy swoją zmarłą córkę, która ją nawołuje. Zarzeka się, że to głos Hayley. Mówiła ci o tym?

Gillian nigdy o tym nie wspominała. Mówiła tylko, że nie widuje córki. Nie widuje?

Harry zwalniał. W pewnym momencie włączył długie światła i zjechał z drogi. Teraz jechali po wrzosowisku, wzdłuż bardzo niewyraźnego duktów. Przed nimi rozciągała się... pustka.

– Mówi, że ktoś przychodzi do jej mieszkania – podjął swoją relację Harry, zwalniając jeszcze bardziej, bo auto podskakiwało na wybojach na nierównej drodze. – Ktoś przestawia różne przedmioty, zwłaszcza stare zabawki Hayley.

Dotarli do małej otwartej przestrzeni. Harry wyłączył silnik i światła. Nagły brak

hałasu zaskakiwał, zniknięcie świateł jeszcze bardziej. Harry u jej boku stał się niczym więcej tylko samą sylwetką i cieniem, a jednak, z jakiegoś powodu, było jej jeszcze trudniej na niego patrzeć.

– Gillian i Tom są moimi pacjentami nie bez powodu – stwierdziła. – Oboje mają problemy.

Poruszył się – wstrzymała oddech, nie mogła się pohamować – ale tylko, żeby sięgnąć do dachu i go otworzyć. Miękka skóra złożyła się do tyłu i noc, pachnąca dymem z ogniska i prochem owinęła się dokoła niej jak chłodny koc. Ponad jej głową niebo miało kolor śliwki, wydawało się, że gwiazdy przysunęły się do ziemi o jeden rok świetlny.

– Powiedz, jeśli zaczniesz marznąć – rzucił Harry, sadwiąc się z powrotem wygodnie na swoim siedzeniu. Sekunda ciszy i potem: – A jeśli ja też ją słyszałem?

Zaryzykowała i spojrzała na niego.

– Co takiego? – Prawie leżał na siedzeniu, ręce miał założone za głowę, patrzył w niebo. Cokolwiek miał jej zaraz powiedzieć, nie było to coś, co łatwo wyartykułować.

Evi poczuła w nosie wilgoć zapowiadającą deszcz. Na niebie, rozpraszając ich uwagę na sekundę, pojawił się grad fiołkowych gwiazd.

– Twoje oczy są takiego koloru – wymamrotał Harry. – I tak, ja też słyszałem głosy. Dziwne bezcielesne głosy, docierające znikąd.

I nie przyszło mu do głowy, żeby jej o tym wspomnieć?

– Kiedy? – spytała, siadając trochę prościej. – Gdzie?

– Kiedy byłem sam – zaczął. – Ale tylko w Heptonclough. Tylko w kościele albo w jego pobliżu. Idę o zakład, że Tom nie słyszy głosów w szkole, co?

Evi znowu odchyliła się na oparcie.

– Muszę się nad tym zastanowić – mruknęła. – Co my tu właściwie robimy?

– Znalazłem to miejsce kilka tygodni temu – zaczął, pochylając się do przodu, żeby włączyć odtwarzacz kaset. Odtwarzacz zaczął syczeć, kiedy przycisnął guzik „play”. – Jesteśmy jakieś dwadzieścia metrów od Morrell Tor, najwyższego punktu na wrzosowiskach. Obiecałem sobie, że przyjadę tu i stąd będę oglądał pokaz fajerwerków.

Zwariował. A ona musi się przestać uśmiechać, bo tylko go zachęca.

– Przyjechałeś o trzy dni za wcześnie – zauważyła.

Odwrócił się do niej, jego ramię wśliznęło się na oparcie jej siedzenia. Był tylko centymetry od niej. Czowała woń piwa, które pił u Fletcherów.

– Nie mam pewności, czy za trzy dni będziesz ze mną – odparł. – Tańczysz?

– Czy co robię?

– Czy tańczysz. No wiesz, poruszasz ciałem do dźwięków muzyki. Wybrałem ten kawałek z rozmysłem.

Evi chwilę słuchała.

– *Tańcząc w ciemności* – rzuciła ciepłym głosem. – Moja mama lubiła tego słuchać. Gdzie ty...?

Harry wysiadł z samochodu i obszedł go od przodu. Otworzył drzwi pasażera i wyciągnął rękę.

Evi pokręciła głową. Zdecydowanie zwariował.

– Nie mogę tańczyć, Harry. Widziałeś mnie. Ledwie chodzę bez pomocy.

Jakby nie usłyszał, sięgnął do środka, żeby podgłośnić magnetofon. Potem wziął ją za obie ręce i pomógł wysiąść z auta. Evi otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że to się nie uda, że od lat nie tańczyła, że oboje wylądują na ziemi, ale z jego ramionami otaczającymi ściśle jej kibić przekonała się, że może dość łatwo kroczyć po ostatnich kilku metrach wiejskiej drogi i wspiąć się potem na skałki Tor. Wziął jej prawą dłoń w swoją, druga ręka pozostała na jej pasie, żeby się nie przewróciła. Kurtkę miał rozpiętą. Dłoń zimną jak lód. Trzymając ją blisko siebie, zaczął tańczyć.

Staroświecki odtwarzacz kaset trochę chyba zniekształcał dźwięk, bicie bębnów było głośniejsze, natarczywsze, niż pamiętała. Poza tym magnetofon był nastawiony niedorzecznie głośno, pewnie było ich słychać nawet w miasteczku... ale nie sposób się było tym przejmować, myśleć o czymkolwiek innym poza Harrym, który tańczył tak, jakby się do tego urodził, trzymając ją bez wysiłku, nucąc coś cicho do jej ucha.

Wiatr zwał mu jej włosy na twarz. Harry pokręcił głową, przyciągnął ją bliżej i tańczył dalej, kołysząc się w przód i w tył na twardej skale Tor. I pomyśleć, że ona sądziła, że już nigdy więcej z nikim nie zatańczy.

– Śpiewający, tańczący ksiądz – szepnęła, kiedy poczuła, że piosenka dobiega końca.

– Na studiach grałem w zespole muzycznym – wyjaśnił, kiedy głos piosenkarza umilkł, a po wrzosowisku rozchodziło się już tylko zawodzenie saksofonu. – Graliśmy covery Springsteena.

Saksofon także teraz ucichł. Harry puścił jej rękę i otoczył ją ramionami. Na policzku poczuła ciepło jego szyi. To jakieś szaleństwo. Nie wolno jej się

zaangażować, wiedzieli o tym oboje, a jednak stoją tutaj, w miejscu, wydającym się szczytem świata, i obejmują się jak nastolatki.

– Miałem dziś bardzo dziwny dzień – szepnął, kiedy zaczęła się kolejna piosenka.

– Chcesz o tym porozmawiać? – udało jej się wykrztusić.

– Nie. – Poczowała delikatne muśnięcie na szyi, tuż pod uchem, i zadrżała. Nie mogła tego powstrzymać.

– Zimno ci – zauważył, prostując się.

Nie, nie jest mi zimno. Nie puszczaj mnie.

Odsunął się, jedno ramię opadło, chciał ją już odprowadzić do samochodu. Zatrzymała go, kładąc mu dłoń na piersi.

– Nie jest mi zimno – zaprzeczyła. – Dlaczego zostałeś księdzem?

Przez sekundę wyglądał na zaskoczonego.

– Żeby służyć Panu – odpowiedział, spoglądając na nią, potem w niebo. – Czy to deszcz?

– Nie – sprzeciwiła się, kręcąc głową. – Chcę usłyszeć więcej. Muszę zrozumieć, co sprawia, że ktoś taki jak ty zostaje księdzem.

Wciąż się uśmiechał, ale w oczach migotała mu ostrożność.

– To dość poważne pytanie jak na pierwszą randkę. A to zdecydowanie jest deszcz. Chodź, wracajmy do samochodu.

Pozwoliła mu odprowadzić się do auta, gdzie Harry, przytrzymując drzwi, czekał, aż znowu usiądzie na miejscu pasażera.

– Mówiłeś, że to nie jest randka – przypomniała, kiedy dołączył do niej i obrócił się na siedzeniu, żeby zamknąć dach.

– Skłamałem – wymamrotał, przypinając dach i uruchamiając silnik. Potem zmienił zdanie i znowu go wyłączył.

– Nigdy nie planowałem, że zostanę pastorem – powiedział. – Pochodzę z robotniczej rodziny z Newcastle, która nie chodziła do kościoła, i taki pomysł zwyczajnie nigdy nie przyszedł mi do głowy. Ale byłem bystry, dostałem stypendium, żebym mógł pójść do dobrej szkoły i tam poznałem nauczycieli, którzy wywarli na mnie ogromne wrażenie. Interesowała mnie historia, a zwłaszcza historia religii. Byłem zafascynowany religiami zorganizowanymi, ich rytuałami, historią, sztuką i literaturą, symboliką – wszystkim tak naprawdę. Na uniwersytecie kończyłem religioznawstwo, nie teologię.

Czekała w milczeniu na dalszy ciąg.

– I co się stało? – spytała w końcu, bo Harry nie kontynuował. – Nawróciłeś się nagle, jak Szaweł w drodze do Damaszku?

Stukał palcami w kierownicę, ta rozmowa go krępowała.

– Coś w tym stylu – przyznał. – Ludzie ciągle mi powtarzali, że jestem dobrym materiałem na duchownego. Był tylko jeden mały problem, związany z wiarą.

Deszcz pojawił się znikąd, bębnił w miękki dach samochodu jak drobne kamyczki.

– Bo ty nie wierzyłeś? – zdziwiła się.

Przecięgnął dłonią po włosach.

– Byłem blisko – rzucił. – Mówiłem sobie, że w poszczególne rzeczy jestem w stanie uwierzyć, ale zarazem było tyle różnych teorii. Czy to ma dla ciebie w ogóle jakiś sens?

– Chyba tak – odpowiedziała, mimo że tak naprawdę nie miało.

– A potem, któregoś dnia, coś się stało. Nagle... nagle dostrzegłem powiązanie.

– Powiązanie?

– Tak. – Silnik znowu działał, Harry wycofywał auto. – I to wszystko, co pani dzisiaj ujrzy z mojego wnętrza, doktor Oliver. Proszę zapiąć pasy i przygotować się do startu.

Zjeżdżali z wrzosowisk w takim tempie, że Evi żałowała, że nie wierzy w żadne bóstwo, bo mogłaby się teraz do niego pomodlić o swoje osobiste bezpieczeństwo. Nie próbowała już rozmawiać z Harrym w obawie, że powie coś, czym go zdekoncentruje. Poza tym postąpiła strasznie nietaktownie. Jak może twierdzić, że nie jest zainteresowana Harrym, skoro wie, że skóra jego szyi pachnie cytryną i cynamonem, a także w którym dokładnie miejscu jej usta zetknęłyby się z jego klatką piersiową, gdyby się do niego nachyliła?

W zaledwie kilka minut, od chwili kiedy zaczęło padać, na drodze potworzyły się wąskie strumyczki pędzącej wody. Kwadrans później zjechali z wrzosowisk i znaleźli się przygnębiająco blisko jej domu.

– To co teraz? – spytał Harry, skręcając w jej ulicę.

– Za kilka dni spotykam się z Tomem – powiedziała. – Wygląda na to, że czuje się przy mnie coraz swobodniej. Może się otworzy. Gdyby tylko przyznał się do istnienia... – Harry zatrzymał auto przed jej budynkiem.

– Nie chodziło mi o Fletcherów – skorygował głosem o oktawę niższym.

– Powinam iść – oznajmiła, pochylając się, żeby odszukać torebkę. – Wstaję wcześniej i... Z tym dzisiejszym wyjściem to był dobry pomysł. Dziękuję ci, myślę, że to pomoże. – Odwróciła się do niego plecami, szukając klamki, świadoma tego, że jest obserwowana. Musi to zrobić szybko, pożegna się przez ramię, odchodząc ścieżką. A ścieżka była krótka, do ganku było nie więcej niż dwa metry.

Silnik ucichł. Usłyszała, że drzwi od strony Harry’ego się otwierają. Jest od niej o wiele szybszy, zdąży obejść maskę, zanim ona stanie na chodniku. Tak, już przed nią jest, wyciąga rękę do pomocy. Czy ma sens mówić mu, że jej nie potrzebuje, że da sobie radę sama? Pewnie nie, a zresztą miała przed sobą nowego Harry’ego, z ciemniejszymi oczami, jakby wyższego; Harry’ego, który się nie odzywał, którego ręka oplatała ją w pasie, gdy prowadził ją ścieżką, przez ulewę, do zadaszenia przy wejściu. Zdecydowanie to nowy Harry odwrócił ją do siebie, jego palce sięgały do jej włosów, a głowa nachyliła się do niej i wtedy świat pociemniał.

Nie, to nie może być pocałunek – to był motyl, muskający skrzydełkami jej wargi, sadowiący się lekko na krzywiźnie policzka, w miejscu, gdzie zaczyna się uśmiech.

Czy to był pocałunek? To delikatne muśnięcie? To szalone uczucie, że została dotknięta wszędzie?

I to też na pewno nie pocałunek, nie teraz, kiedy wirując, spada do miejsca wyściełanego ciemnym aksamitem. Dłonie wplecione w jej włosy – nie, jedna była na jej karku, naciskała na niego. Deszcz walący w daszek ganku brzmiał w jej głowie jak bębny. Palce muskające jej policzek. Jak mogła zapomnieć, jak pachnie skóra mężczyzny; i ten ciężar jego ciała napierającego na nią, przyciskającego ją do ściany? Jeśli to był pocałunek, dlaczego czuje w oczach pieczenie łez?

– Chcesz wejść do środka?

Powiedziała to na głos? Chyba tak. Bo już się nie całowali, chociaż nadal stali bardzo blisko siebie, a jego oddech tańczył na jej twarzy jak ciepła mgiełka.

– Niczego bardziej bym nie pragnął – odpowiedział głosem, który zupełnie nie przypominał jego normalnego głosu.

Klucze miała w kieszeni. Nie, trzymała je w dłoni. Sięgała do zamka; on przykrył je swoją dłonią.

– Ale... – zaczął.

Dlaczego zawsze jest jakieś „ale”?

Przyciągnął jej dłoń do ust i pocałował.

– Nie byliśmy jeszcze na pizzy ani w kinie – szepnął. Ledwie go słyszała w tym

szumiącym deszczu.

No i jesteś pastorem, pomyślała.

– Nie chcę się z tym spieszyć. – Puścił jej rękę i podniósł jej podbródek, żeby patrzyła bezpośrednio na niego.

– To słodkie, co mówisz – mruknęła. – I takie trochę kobiece.

Na te słowa dawny Harry powrócił, uśmiechnął się do niej, podniósł z ziemi i mocno przytulił.

– Nie ma we mnie nic nawet odrobinę kobiecego – syknął jej do ucha – co zamierzam udowodnić już wkrótce. A teraz wchodź do środka, kobieto, zanim zmienię zdanie.

Kiedy telefon zadzwonił, pierwszą myślą Harry’ego było, że dopiero zasnął i że dzwoni Evi z prośbą, żeby do niej przyjechał. Przekreślił się na bok, przez chwilę nie mogąc sobie przypomnieć, z której strony łóżka stoi telefon. A co tam. Chrzanić to. Chrzanić pizzę, chrzanić kino, chrzanić wszystko, jedzie do niej.

Nie, po tej stronie jest budzik. Była 3.01 nad ranem. Przekreślił się na drugą stronę i wyciągnął rękę. Ubierze się w dwie minuty, jazda zajmie mu dziesięć. Kwadrans po trzeciej mógłby być...

– Hej – rzucił, przyciskając telefon do ucha.

– Pastor? Wielebny Laycock? – Głos mężczyzny. Starszego.

– Tak, to ja – odparł, czując nieprzyjemny ucisk zawodu w brzuchu. Jednak będzie wychodził, ale nie do ciepłego łóżka kobiety. Ktoś umiera. Seks albo śmierć – jedyny powód, żeby dzwonić do kogoś w środku nocy.

– Tu Renshaw. Senior. Mój syn poprosił, żebym zadzwonił.

Tobias Renshaw, ojciec kościelnego, dzwoni do niego o tak późnej porze?

– Syn przeprasza, że nie dzwoni sam i że pastora budzi, ale obawiam się, że musi pastor natychmiast przyjechać do Świętego Barnaby. Na ulicy zobaczy pastor wóz policyjny. Niech pastor o swoim przyjeździe powiadomi nadinspektora Rushtona.

Simba, niebieski pluszowy miś Millie, leżał na plecach u podnóża schodów. Kiedy Tom widział go ostatnio, nie dłużej niż pięć godzin temu, miś tkwił w objęciach jego małej siostrzyczki. Tak więc albo pluszak polubił nocne wędrówki, albo stało się coś bardzo złego. Tom przebiegł korytarzem do pokoju Millie. Łóżeczko siostry było puste.

Na dole trzasnęły drzwi. Tom zerknął w stronę sypialni rodziców. Nie było czasu na wchodzenie do nich. Krzyknąwszy głośno, pognął korytarzem do schodów, zbiegł po nich i wpadł do kuchni. Usłyszał puknięcie tylnych drzwi. Ktokolwiek porwał Millie, dopiero co wyszedł z domu.

Obiegł stół kuchenny i poczuł powiew zimnego powietrza. Drzwi na tyłach znowu trzasnęły, drewniane klepki w przedpokoju były mokre. Na dworze wciąż strasznie lało, nawet w progu, gdy wyglądał na zewnątrz, na kupę błota, którą teraz był ich ogródek, wiatr uderzał w niego mocno, zalewając go strumieniami lodowatych kropel, które przemoczyły mu piżamę.

Oczy jeszcze nie przyzwyczyły mu się do ciemności. Przymrużył je, ale zdołał jedynie odróżnić zarys muru cmentarnego i rosnących za nim drzew laurowych. Od strony cisu i grobu Lucy Pickup dobiegło go chrząknięcie.

Ktoś tam był. Ktoś, kto miał Millie.

– Tato! – wrzasnął. Nie usłyszał odpowiedzi. Nie ma wyboru. Musi wyjść.

Deszcz, padający nieprzerwanie od kilku godzin, wraz z tym wszystkim, co spadło przez poprzedni dzień czy dwa, zamienił ogród w trzęsawisko. To czarne błoto oblepiało stopy Toma, kiedy oddalał się od daszku nad tylnymi drzwiami. Jeszcze tylko kilka kroków i będzie miał lepszy widok. Jakaś ciemna postać wdrapywała się po murze, ale niosła coś w jednej ręce, coś, co wyglądało jak duża czarna torba sportowa.

– Tato! – zawołał tak głośno, jak tylko mógł, próbując krzyczeć w stronę domu,

ale nie chcąc zarazem odrywać wzroku od postaci przy murze. – Tato!

Ojciec nie zdążył. Tom runął przed siebie i tonąc w błocie prawie po kolana, dobiegł do muru i zdążył jeszcze złapać wspinacza za nogę. Ta dziewczynka – bo kto inny mógłby to być? – zaczęła go kopać, ale jednocześnie traciła przyczepność. Szybko jednak wzmocniła uchwyt dłoni na murze i zaraz potem wymierzyła mu jeszcze jednego mocnego kopniaka. Trafiała go butem w policzek, a on, zaskoczony, puścił nogę. Dziewczynka podciągnęła się w górę i już po sekundzie leżała plackiem na murze, i dziko wymachując nogami, próbowała się podnieść. Uciekła mu, ale czarna torba, którą niosła, wciąż leżała pod murem.

Dziewczynka spojrzała na nią, potem na Toma, a potem, szybko omiotła spojrzeniem mur, na którym stała. Zachwiała się, nieomal spadła i w końcu zeskoczyła na ziemię po drugiej stronie.

Mur się poruszał. Niemożliwe, ale tak było. Garb kamieni, które przez lata zatrzymywały tony ziemi, wydawał się wybrzuszać. Tom patrzył, jak pierwszy kamień, potem następny, potem jeszcze kilka, obruszają się na szczycie muru i spadają do ogródka. Przez szczelinę, jaka po nich została, ziemia z cementarza zaczęła wylewać się na dół. Jeden z nagrobków zdawał się przysuwać bliżej. Tom niczego bardziej nie pragnął, jak uciec, ale coś go przygwoździło do miejsca, w którym stał.

Wybrzuszenie w murze powiększało się, jak u ciężarnej, która zaraz urodzi coś obrzydliwego. Ciemna postać po drugiej stronie muru odsunęła się kilka kroków, kiedy zobaczyła, że do ogródka zsuwa się coraz więcej ziemi.

A potem mur po prostu się rozpadł, jak zamek z piasku zbudowany przez małe dziecko. Kamienie leciały w każdym kierunku, szerokim strumieniem połała się jakaś ciemna ciecz. Nagrobek najbliższy muru – na grobie Lucy Pickup – przysuwał się coraz bliżej i bliżej, a potem spadł, roztrzaskując się na pół, kiedy wylądował nie dalej niż trzy kroki od Toma. Ziemia przelewała się przez skarpe, w miejscu, gdzie był mur, smród ścieków i czegoś gnijącego zatykał nos, dusił.

Dziewczynka cały czas się cofała. Tom dał krok do przodu i coś wylądowało ciężko zaledwie centymetry od niego, aż stracił równowagę. Lecąc na ziemię, rozpoznał róg trumny, zaledwie na ułamek sekundy przed tym, zanim drewno rozpadło się całkowicie i odsłoniło swoich lokatorów.

Czaszka uśmiechała się do Toma małymi białymi ząbkami. Wciąż były do niej przyczepione małe skrawki ciała, jak stara poźółkła skóra. Tom odczołgał się od zwłok, czując, że w głowie narasta mu krzyk przerażenia, wiedząc, że jeśli

zaczęłyby krzyczeć, mógłby nigdy nie skończyć.

Poleciał na niego świeży strumień ziemi wypełnionej obiektami o bladej barwie – kośćmi – nie mogło to być nic innego. Odrzucił głowę w tył, gotowy zacząć się drzeć, kiedy w twarz zaświecił mu snop światła i czyjaś ręka chwyciła go za ramię. Wywinął się. Niska postać w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym z nasuniętym głęboko na głowę kapturem, trzymająca latarkę uklękła przy nim. Joe.

Tom podciągnął się na nogi. Wszystko w jego głowie krzyczało, żeby wracał do domu, obudził mamę i tatę, wezwał policję. Kiedy rzucił się, żeby pobiec do tylnych drzwi, Joe pociągnął go z powrotem.

– Nie, zaczekaj! – krzyknął głośno, żeby było go słychać poprzez wycie wiatru. – Musimy ją znaleźć.

– Już za późno! – odkrzyknął Tom. W górze, na cmentarzu, nigdzie nie było już śladu po ciemnej postaci. – Ona zniknęła. Musimy iść po mamę i tatę.

Joe poświecił latarką na ziemię pod ich nogami. Tom chciał wrzasnąć do brata, żeby przestał. Wszystko wyglądało o wiele gorzej, kiedy widziało się to wyraźnie. Czaszka, teraz oddzielona od korpusu, leżała kilka metrów dalej. Mała statuetka z grobu Lucy spadła w dół razem z resztą. Części trumny walały się wszędzie. Zobaczył coś, co jego zdaniem musiało być ludzką ręką, kości palców zaciśnięte były w pięść.

Joe zdawał się czegoś szukać. Wreszcie światło latarki zamigotało na czarnej torbie, z którą włamywacz próbował uciec. Torba była do połowy przysypana stertą błota i kamieni. Joe krzyknął i rzucił się do niej, zaczął szarpać za rączki. Tom nadal chciał uciekać, ale wyczuwał, że to może być coś ważnego. Podszedł ostrożnie do brata, żeby mu pomóc.

Wyrwali torbę z błota i ciągnąc ją za sobą, cofali się. Po kilku krokach Joe padł na kolana i zaczął szarpać za suwak. Zgrzytając zębami z frustracji, wreszcie zdołał go rozsunać. I wtedy, w bladym świetle latarki, Tom zobaczył, że brat się uśmiecha. Osunął się na kolana obok Joego i zajrzał do środka. W torbie leżała Millie. Kiedy się jej przyglądali, otworzyła oczy i mrugając, by się ochronić przed lejącym się jej na twarz deszczem, popatrzyła ze zdumieniem na braci.

Coś głośno dudniło w piersi Harry'ego. Ale nie serce, bo ono nigdy nie obijało mu się o żebra aż tak. Powinien coś powiedzieć, wyjawić, że zna tożsamość jednego z martwych dzieci?

To było prawie bolesne, to dudnienie pod żebrami. Jeśli to rzeczywiście jego serce, to ma poważny problem. Serca nie powinny bić tak mocno.

Nie, nie może powiedzieć tego teraz, bo zabrzmiałoby idiotycznie, wręcz histerycznie. Zrobi to jutro. Zerknął w dół, żeby mieć pewność, że idzie po macie i oddalił się od otoczonego terenu. Postaci odziane w biel powróciły do swojej pracy.

Ogród na tyłach domu Fletcherów był bagniskiem. Harry podążał śladem nadinspektora Rushtona po stalowych płytach rozłożonych na błocie. Nad ich głowami prowizoryczne zadaszanie z plastiku ochraniało ich przed deszczem. Mocne światła na stalowych podporach zostały umieszczone w czterech rogach. Teraz, gdy stał przodem do domu, Harry widział, że w jego pokojach na dole się świeci. Żaluzje i zasłony były jednak zaciągnięte.

– Jeśli chodzi o miejsca zbrodni, to jest najgorsze, jakie tylko może być – stwierdził Rushton. – Jest ciemno, leje deszcz, błoto miejscami sięga kostek i jeszcze wygląda na to, że zanim się pojawiliśmy, teren został poważnie naruszony.

Jedna z postaci w białym kombinezonie szła wolno po zewnętrznym obwodzie kordonu, robiąc zdjęcia. Inna, zdaniem Harry'ego chyba kobieta, mierzyła coś taśmą. Rozciągnęła ją od muru do najmniejszego z trzech ciał, potem zaczęła coś pisać, a może rysować w zawieszonym na szyi notesie.

– Ci technicy kryminalistyczni, których pastor widzi, dopiero co przyjechali z Manchesteru – wyjaśnił Rushton. – Tu na miejscu nie mamy takich specjalistów. Szczęśliwie policjant, który był tu pierwszy, to bystry chłopak. Zagroził teren, żeby do przyjazdu ekipy nikt tu nie mógł wejść. To samo zrobił na cmentarzu.

Harry spojrzał w górę. Po drugiej stronie muru widać było kolejne białe postaci. Tam też poczyniono starania, aby ochronić teren przed złą aurą. Na metalowych słupkach rozciągnięto jakąś plandekę. Jeden z policjantów męczył się z

przywiązywaniem rogów plastikowej osłony, jednak przy takim wietrze było to prawie niewykonalne.

– Co ci wszyscy ludzie tu robią? – spytał Harry.

– Fotograf sfotografuje teren, zanim do pracy zabiorą się ludzie od zbierania dowodów rzeczowych – odpowiedział Rushton. – Zrobi zdjęcia ze wszystkich stron, potem przeniesie się na cmentarz i powtórzy cały proces. Tamta dziewczyna tam robi szkic. Pomierzy, jak wszystko jest ułożone w odniesieniu do wszystkiego innego i wtedy te szkice i pomiary zostaną wprowadzone do komputera. Otrzymamy bardzo dokładny model, który będziemy mogli wykorzystać, jeśli sprawa trafi kiedykolwiek do sądu. Główne zadanie na dzisiaj to usunięcie ciał, jeśli to możliwe bez naruszania ich, i przewiezienia na oddział patologii. Razem ze wszystkim innym, co będzie miało jakieś znaczenie. Trumna, strzępki ubrań, włosy i tak dalej. Zrobimy odlewy odcisków butów. Wygląda na to, że chyba się już nawet do tego zabrali.

Rushton pokazywał na miejsce w pobliżu domu. Jakiś mężczyzna klęczał na macie z galwanicznego aluminium i lał jakiś płyn na ziemię przed nim.

– Te dwa inne ciała mogą pochodzić z grobów po obu stronach grobu Lucy – zasugerował Harry. – Nie potrafię powiedzieć, czyje one są, ale gdzieś na pewno są jakieś plany cmentarza.

– Już je mamy – poinformował Rushton. – Po obu stronach są groby rodzinne. Z ksiąg wynika, że w jednym złożone były trzy osoby, w drugim cztery. Wszystkie dorosłe. I z tego, co do tej pory zdołaliśmy zobaczyć, te groby nie zostały naruszone.

– Czy to możliwe, żeby te ciała leżały tutaj od dawna? – spytał Harry, chociaż wiedział, że to niemożliwe. Zwłoki nie były jeszcze zeszkieletowane. – W grobie powstałym o wiele wcześniej, o którym nikt nie wiedział? Ten cmentarz ma setki lat. Na całym tym wzniesieniu muszą być stare groby. Nagrobki zostały usunięte, ludzie zapomnieli, kto tu został pochowany. – Zatrzymał się. Gadał jak najęty. I chwycił się brzytwy.

– Cóż, na razie nie możemy tego wykluczyć – odrzekł Rushton. – Ale szczerze powiem, że nasi ludzie uważają to za mało prawdopodobne. I można ich zrozumieć. Czy te zwłoki wyglądały pastorowi na dawno pochowane?

Harry obejrzał się przez ramię.

– Fletcherowie wiedzą, co się dzieje? – spytał. – Ostatnio mieli sporo stresów, nie byłoby najlepiej...

– O tak, wiedzą – potwierdził detektyw. – To ich dzieciaki rozwały mur.

– Co takiego?

– Nie miałem jeszcze okazji rozmawiać z rodzicami, więc znam tylko połowę historii – wyjaśnił Rushton. – Ale wygląda na to, że obaj chłopcy byli na dworze w tę pogodę, wdrapywali się na mur. Młodszą siostrę mieli w torbie sportowej. Wygląda to na jakąś próbę ucieczki z domu. Sprawa dla opiekunów społecznych, jeśli by się mnie ktoś pytał. Dokąd pastor idzie?

Harry wracał ścieżką w stronę domu. Na ramię opadła mu czyjaś ręka.

– Chwila, chwila, chłopcze. Nie możesz tam jeszcze pójść. W domu jest lekarz rodzinny, a chłopcy rozmawiają z jedną z moich koleżanek. Dajmy im jeszcze minutkę, okej?

Harry zrozumiał, że to nie była prośba.

– Pastor zna rozkład tej części cmentarza, prawda? – spytał Rushton, kiedy znowu ruszyli. – Oba kościoły, stary i nowy, pobudowano na szczycie stromego wzniesienia, więc, żeby powstał cmentarz, trzeba było najpierw wyprofilować zbocze, porobić tarasy. Mur, na który patrzymy, został postawiony kilkaset lat temu, z tego, co mi mówiono, ale jest o wiele wyższy po tej stronie niż od strony kościoła. Nadaża pastor za mną?

– Tak, ja to wszystko wiem – stwierdził Harry. Akurat docierali do granicy posiadłości Fletcherów i skręcali, żeby opuścić ogród. – Gareth Fletcher napomykał mi o tym już kilkakrotnie. Chciał ściągnąć geodetę, niepokoił się o stabilność muru.

– I słusznie się niepokoił. – Znaleźli się obaj teraz z boku domu. Tutaj też rozciągnięta była potężna plandeka, sięgająca od domu do muru kościoła, tworząca suchą przestrzeń dla ekipy techników do składowania sprzętu. Pozbawiona do nich dostępu pogoda postanowiła chyba, że nie da się jednak ignorować. Deszcz łomotał w plastikowy dach, wiatr szarpał nim i głośno wył.

– Powiedziano mi, że pod kościołem biegną podziemne strumienie – kontynuował Rushton, ściągając kalosze i pokazując, żeby Harry zrobił to samo. – Normalnie to żaden problem, ale podczas dużych opadów, takich, jakie były w ostatnich kilku dniach, piwnice kościoła są zalewane. Teren wokół robi się bagnisty. Wiedział pastor o tym?

– Tak. – Harry balansował na jednej nodze, usiłując ściągnąć but, który był zbyt ciasny i rozglądając się jednocześnie za własnymi butami. – Kilka tygodni temu obeszlśmy z Garethem obrzeża. Zgodziłem się, że nie wygląda to zbyt stabilnie,

ale muszę wszcząć całą procedurę, kiedy na terenie podlegającym kościołowi trzeba wykonać jakieś prace. Już puściłem maszynę w ruch, jednak te rzeczy zwykle trwają kilka tygodni, czasami miesiące.

– No i co, Brian, czy to grób mojej wnuczki?

Harry i Rushton obaj odwrócili się i zobaczyli, że do namiotu od strony podjazdu Fletcherów wszedł Sinclair Renshaw. Palce jego prawej dłoni ścisnęły papierosa. Harry nie widział dotąd Sinclaira palącego.

– Wszystko na to wskazuje – odpowiedział Rushton. – Bardzo mi przykro.

Sinclair kiwnął krótko głową, tylko raz.

– Czy Jenny i Mike wiedzą? – zapytał Harry. – Chce pan, żebym...

– Poprosiłem, żeby nic im nie mówiono do rana – przerwał mu Sinclair. – Christiana zrobiła w zakrystii kawę. Powinniście wstąpić. Tam jest cieplej.

Harry włożył na siebie własną kurtkę.

– Co się będzie działo teraz? – zwrócił się z pytaniem do Rushtona.

– Cóż, o dziwo istnieje protokół postępowania w takich przypadkach – odparł detektyw, dając gestem znak, że powinni opuścić namiot. – Kiedy na terenie kościelnym odsłonięte zostają szczątki, należy je zabrać i oddać do badania przez uznanego przez policję patologa. Jeśli patolog stwierdzi, że szczątki są stare, wiele z nich podlega zasadzie stuletniej: są zwracane właściwemu przedstawicielowi kościoła – w tym przypadku panu, pastarze – i to już pan jest odpowiedzialny za powtórne ich pochowanie.

– Tak, wydaje mi się, że tak rzeczywiście jest – zgodził się Harry – chociaż nigdy jeszcze nie spotkałem się z taką sytuacją.

– Z pewnością nic takiego nie zdarzyło się nigdy tutaj – zauważył Sinclair.

– Z drugiej strony, jeśli szczątki są, powiedzmy, świeższe, musimy ustalić tożsamość – dodał Rushton. – Upewnić się, że zwłoki to rzeczywiście osoba, której nazwisko widnieje na nagrobku. Rozumie, pastor?

– Tak, oczywiście – potwierdził Harry.

– Kiedy tożsamość jest już potwierdzona, zwracamy szczątki pastrowi i rodzinie i pozwalamy na przeprowadzenie powtórnego pochówku.

– Kolejny pogrzeb – mruknął Sinclair, przeciągając dłonią po twarzy. – Jenny tego nie zniesie. Bo która matka zniosłaby to, że musi chować swoje dziecko drugi raz?

Nie powinniśmy wykluczać włamania – powiedział Harry. – Tom może mówić prawdę.

Gareth trzymał kubek z kawą w obu dłoniach. Obie były nienaturalnie blade, palce posiniałe. Harry też czuł, że drży. Słysząc było wprawdzie, że centralne ogrzewanie jest włączone i działa, ale nocne wydarzenia sprawiły, że cały dom spowijał jakiś nieprzyjemny przejmujący chłód.

– Nic na to nie wskazuje. Nie ma żadnych śladów – odpowiedział Gareth, kręcąc głową. – Drzwi frontowe były zamknięte, okna też i żadne nie było wybite. Drzwi z tyłu były otwarte, ale klucz trzymamy w zamku i na dole jest rygiel. Tom mógł je otworzyć.

– A skąd wziął torbę?

– Leżała przy drzwiach. Zostawiłem ją tam, żeby zabrać ze sobą rano.

Harry chwilę pomyślał, potem się odwrócił, żeby przejść korytarzem do drzwi. Pod oknem zobaczył buty sportowe, spodenki, skarpety – torba sportowa Garetha została opróżniona, jej zawartość wyrzucona. Kroki za jego plecami powiedziały mu, że Gareth poszedł za nim. Przez barwioną szybkę w drzwiach Harry mógł dojrzeć dwie białe postaci, w pomarańczowym świetle latarni wyglądające jak zjawy. Przechodziły przez ulicę, niosąc między sobą coś, co wyglądało jak nosze. Odwracając się do Garetha, Harry zwrócił uwagę na otoczkę z szarego kurzu wokół klamki w drzwiach i na niej samej.

– A to co? – spytał.

– Policja zbierała odciski – wyjaśnił Gareth. – Na całym parterze i w pokoju Millie. Myślę, że zrobili to tylko z rutyny. Niczego nie znaleźli.

– A co na to wszystko Joe? – zainteresował się Harry. – Co on mówi o tym, co się wydarzyło?

– Joe usłyszał krzyk Toma i wstał – zaczął Gareth. – Usłyszał, że ktoś czymś wali na dole. Ubrał się w płaszcz przeciwdeszczowy – bardzo przytomnie jak na sześciolatka – i wyszedł na dwór. Zobaczył Toma leżącego w błocie i pomógł mu

przynieść torbę z Millie w środku z powrotem do domu. Ja się obudziłem, bo musiałem do łazienki, zorientowałem się, że tylne drzwi są otwarte, i zszedłem na dół. Przeraziłem się na śmierć. Cała trójka przemoczona do suchej nitki i cała w błocie. Tom zaczął krzyczeć o tej swojej dziewczynce, Alice chciała wieźć dzieciaki na pogotowie, ja się rozejrzałem na zewnątrz i zrozumiałem, że lepiej zadzwonię po policję. A co oni tam właściwie odkryli?

– To jeszcze nie jest jasne – skłamał Harry. Poproszono go, żeby nie ujawniał pełnego zakresu tego, co zostało znalezione w ogrodzie. – Przykro mi z powodu muru. Nie miałem pojęcia...

Gareth wpatrywał się w rząd trzech haczyków zawieszonych przy drzwiach wejściowych.

– To dziwne – mruknął.

– Co? – spytała Alice, która była w połowie schodów. Harry odwrócił się, żeby się do niej uśmiechnąć, ale nie był w stanie się do tego zmusić. Twarz żony Garetha nie wyglądała jak twarz, do której można by się było uśmiechać.

– Moje klucze. Zagubiły się wcześniej, pamiętasz? – odpowiedział Gareth. – Znalazłaś je?

Alice pokręciła głową.

– Pewnie przez cały czas tam były – zasugerowała.

– Nie było ich. Sprawdzałem, kiedy dzieci poszły się położyć. Musiałem wyciągnąć zapasowy komplet, żeby mieć na rano. Jakim cudem wróciły na swoje miejsce?

Alice popatrzyła od Harry'ego do męża.

– Tom mógł... – zaczęła.

– Dlaczego Tom miałby ukrywać klucze ojca? – spytał Harry, starając się hamować zniecierpliwienie. Fletcherowie nie wiedzieli wszystkiego, co on wiedział. – Gdyby chciał otworzyć drzwi w środku nocy, mógł użyć innego kompletu, czyż nie?

Alice potwierdziła skinieniem głowy.

– Moje klucze wisiały na haczyku – przyznała, zerkając na ścianę. – Nadal tam wiszą. I Tom nie otworzył drzwi frontowych. Były zamknięte, kiedy zeszliśmy.

– Już wieczorem wydawało mu się, że ktoś wszedł do domu – przypomniał Harry. – Był na górze z Evi i zbiegł na dół w panice. Pamiętacie? Zmusił nas, żebyśmy sprawdzili cały parter.

– No tak – przytaknął Gareth. – I sprawdziliśmy. Nikogo nie było.

– Nie, nie było – potwierdził Harry. – Pytanie tylko, czy były klucze?

To szkielety ludzkie – powiadomił patolog. – Prawie na pewno szczątki bardzo małych dzieci, ale to jeszcze obecnie dokładnie ustalam.

Harry czuł, że się poci. Pokój był mniejszy, niż się spodziewał. Zaproszony przez Rushtona na sekcję – formalnie to on nadal odpowiadał za szczątki – miał nadzieję, że będzie mógł się ulokować w najodleglejszym rogu pomieszczenia. Ale się przeliczył. Zresztą nikt nie miał szansy uciec od wydarzeń dziejących się w centrum sali – po prostu nie było na to miejsca. Błat ze stali nierdzewnej, szeroki prawie na metr, ciągnął się po obwodzie całego pokoju. Podłoga wyłożona płytkami była pochyła, co ułatwiało spłukiwanie płynów do centralnego odpływu. Nad blatami wisiały szafki ze szklanymi frontami. Na środku pokoju stały trzy leżanki na kołach. Pozostawiały niewiele miejsca dla patologa, jego dwóch pomocnic, zespołu trzech policjantów i Harry’ego. Już dwukrotnie musiał przesuwać się w bok, bo tarasował drogę. Zerknął na zegarek. Byli w laboratorium od niecałych pięciu minut.

– Ten tutaj, będziemy go na razie nazywali Święty Barnaba numer jeden – kontynuował, zbliżając się do pierwszego wózka, patolog, którego nazwiska Harry nie mógł sobie przypomnieć, mimo że mężczyzna był mu przedstawiony zaledwie kwadras temu – leżał w ziemi najdłużej. Widzimy prawie całkowite zeszkieletowanie, tylko z resztkami mięśni i więzadeł trzymającymi razem kości klatki piersiowej i dolnej części tułowia. – Patolog zaczął obchodzić leżankę, kierując się ku czaszce. – Wygląda, że podczas naruszenia grobu prawe ramię oderwało się od barku – dodał. – I nie znaleźliśmy jeszcze części kości łokciowej lewej ręki. Kilka kości śródrezcza lewej dłoni też brakuje. Mózg i narządy wewnętrzne oczywiście już dawno temu się rozłożyły. Na górnej części ciała znaleźliśmy ślady jakiegoś materiału i dwa białe guziki, które wpadły między żebra.

– Lucy Pickup została pochowana dziesięć lat temu – zauważył Rushton. – Czy to by pasowało do...?

Patolog podniósł jedną dłoń.

– Proces zeszkielegowania przebiega w różnym tempie – oznajmił. – Wszystko zależy od gleby, od jakości balsamowania, jeśli było przeprowadzone, głębokości, na jakiej złożone zostały zwłoki, i tak dalej. Gleba na terenie, na którym znaleziono ciała, ma odczynnik alkaliczny, co w zwykłych warunkach spowalnia rozkład; z drugiej strony to jest bardzo małe dziecko. Bardzo mała masa ciała. Bilansując, powiedziałbym, że pochówek odbył się od pięciu do piętnastu lat wstecz.

– Musimy wiedzieć coś więcej niż tylko to, Raymond – oświadczył Rushton, który ustawił się w nogach leżanki, bezpośrednio naprzeciwko patologa. Raymond, tak miał na imię. Raymond Clarke, jeden z przysięgłych patologów policji. – Ile twoim zdaniem mogła mieć lat? – pytał dalej Rushton.

– Dopiero rozpocząłem badanie – przypomniał Clarke. – I nie wiemy jeszcze, czy numer jeden to ona. A co do wieku, to nie powinien być większy problem. Na podstawie długości szkieletu szacunkowy wzrost wychodzi nam około osiemdziesięciu siedmiu centymetrów, co umieszczaloby naszego małego przyjaciela w przedziale wiekowym od piętnastu do trzydziestu sześciu miesięcy. Potem patrzemy jeszcze na stopień skostnienia.

– Mineralizacja kości? – upewnił się Rushton.

Clarke kiwnął głową.

– Osyfikacja zachodzi w ośmiuset miejscach w ciele i może stanowić użyteczną wskazówkę co do wieku – wyjaśnił. – Noworodek rodzi się bez kości nadgarstka, na przykład. Potem mamy czaszkę. Czaszka noworodka składa się z pięciu głównych kości, które stopniowo się zrastają wzdłuż wyspecjalizowanych spójnię nazywanych szwami. Noworodek ma też kilka ciemiączek, czyli nieskostniałych luk łączących kości czaszki wypełnionych błoną. U naszego przyjaciela ciemiączka są zrósnięte, co by wskazywało na dziecko co najmniej dwudziestoczwemiesięczne.

– Czyli w wieku między dwa a trzy lata, tak? – rzucił Rushton. – To może być Lucy.

– Bardzo prawdopodobne – zgodził się Clarke. – Więc teraz przyjrzyjmy się obrażeniom zachowanym na zwłokach.

Harry zastanawiał się, czy komuś jeszcze jest tak samo gorąco jak jemu. Dlaczego w sali patologa musi być tak ciepło? Zdawałoby się, że powinno być odwrotnie, żeby zwłoki utrzymywały się w dobrym stanie. Dwójka detektywów, których Rushton mu przedstawił – ich nazwiska też za nic nie potrafił sobie

przypomnieć – stała jak dwa posągi kilka kroków dalej po jego lewej stronie. Jeden z nich, wysoki i bardzo szczupły, dobijał chyba czterdziestki. Jego włosy były tak wątle jak cała reszta ciała i wyglądał, jakby w ogóle nie miał brwi. Drugi policjant był o rok czy więcej młodszy i mocno zbudowany. Żaden nie sprawiał wrażenia, że czuje się tak niekomfortowo jak Harry. Może zwyczajnie mieli większe doświadczenie w ukrywaniu tego.

– Dostarczono mi raport koronera ze zgonu Lucy Pickup – kontynuował Raymond Clarke, odwracając się od zwłok do laptopa. Ściągnął chirurgiczną rękawiczkę z prawej dłoni i wcisnął jakiś klawisz, żeby obudzić ekran. – Jakby ktoś był zainteresowany, to tutaj jest wszystko. W raporcie jest mowa o poważnych urazach tępych prawej tylnej części czaszki, konkretnie kości ciemieniowej i potylicznych, wynikłych po upadku z wysokości około czterech metrów na twarde podłoże. Przemieszczone odłamki spowodowały znaczne krwawienie wewnętrzne, siła uderzenia poważne wstrząśnienie mózgu. Śmierć musiała nastąpić niemal natychmiastowo.

Rushton i wyższy z detektywów nachylili się nad laptopem. Wszyscy trzej wpatrywali się w ekran. Harry został tam, gdzie stał. On już wiedział, w jaki sposób zginęła Lucy. Spadła i zabiła się w jego kościele, a jej mała czaszka...

Patrzył na nią teraz. Patolog może ją badać, ile chce, on wiedział, że to Lucy.

– Oprócz tego – mówił Clarke – uszkodzeniu uległ rdzeń kręgowy, w dwóch miejscach, między trzecim a czwartym kręgiem lędźwiowym i nieco wyżej, między piątym a szóstym kręgiem piersiowym. Doszło też do złamania trzonu kości udowej w prawej nodze. – Clarke odwrócił się od komputera, na sekundę przechwycił spojrzenie Harry'ego, potem dał krok do leżanki. – Jeśli popatrzymy na głowę tej małej panienki – rzekł – i tak, panowie, dochodzę do wniosku, że to była dziewczynka. No więc jeśli popatrzymy, wyraźnie ujrzymy rozmiar obrażeń czaszki. – Naciągając z powrotem rękawiczkę, patolog wsunął dłoń pod czaszkę i odwrócił ją tak, żeby patrzący mogli zobaczyć miejsce, w którym kości były potrzaskane. – Takie obrażenia jak najbardziej mogą wystąpić po upadku ze znacznej wysokości – stwierdził. – Nie miałem jeszcze czasu dokładnie obejrzeć kręgosłupa, ale jeśli spojrzysz na prawą nogę, dość wyraźnie widać pęknięcie kości udowej. Widzicie to, panowie?

– Czy do tych urazów mogło dojść wczoraj? – spytał ten bardziej przysadzisty detektyw. Sierżant, przypomniał sobie Harry. Sierżant Russell. Luke Russell.

– Nie jest to wykluczone – zgodził się Clarke. – Ale jeśli się spojrzysz na zdjęcia

zrobione podczas pierwszej sekcji zwłok, przebieg złamań wygląda bardzo podobnie. Trochę później zrobimy więcej zdjęć rentgenowskich. Porównamy je ze zdjęciami koronera, tak dla pewności.

– Jeśli jej ciało było poddane sekcji – odezwał się wysoki, szczupły detektyw, chyba starszy rangą od swojego kolegi – to czy nie byłoby to oczywiste, że ją przeprowadzono? Podczas sekcji nie musicie otwierać klatki piersiowej, nie usuwacie narządów?

– Tak, w istocie – potwierdził Clarke. – Pełna sekcja wewnętrzna obejmuje rozcięcie klatki piersiowej i usunięcie mostka. Narządy wewnętrzne się wyjmują, bada, pakuje do hermetycznego worka na odpady biologiczne i umieszcza z powrotem w jamie klatki piersiowej. Góra czaszki jest odcinana, żebyśmy mogli przebadąć mózg. Tych wszystkich śladów trudno jest nie zauważyć.

– No to...

– Niestety niewiele nam to pomoże, bo Lucy Pickup nie miała pełnej sekcji wewnętrznej. Były tylko oględziny zewnętrzne. Decyzja o przeprowadzeniu pełnej sekcji podejmowana jest zawsze na bieżąco. Pod uwagę brane są okoliczności śmierci, często również życzenia rodziny. Przypuszczam, że patolog wtedy nie uważał, że pełna sekcja jest uzasadniona. Ale za to mamy tu ślady świadczące o tym, że została wykonana balsamacja.

Clarke odwrócił się do jednej ze swoich asystentek.

– Podaj mi proszę tę torbę, Angelo – rzucił. Starsza z dwóch asystentek podniosła plastikową torbę z blatu i podała patologowi. Clarke podniósł torbę do światła, dając znak, żeby policjanci się przybliżyli. Dla Harry'ego, stojącego z tyłu, torba wyglądała na pustą.

– To coś w tej torbie to sztuczna powieka – wyjaśnił Clarke. – Widzicie, panowie? Wygląda trochę jak duża soczewka kontaktowa. Balsamiści nakładają je na powieki, żeby pozostały zamknięte, dzięki czemu zmarły wygląda, jakby spokojnie spał. – Włożył rękę w rękawiczce do torby i wyciągnął półprzezroczysty plastikowy krążek. – Znaleźliśmy go wbity w czaszkę numeru jeden – ciągnął. – Był przyklejony do oka, żeby powieka pozostała na miejscu. – Wsadził krążek z powrotem do torebki i oddał ją asystentce.

– Znaleźliśmy też kawałki drutu w jamie ustnej – kontynuował. – Takiego, jakiego używają balsamiści, żeby usta były zamknięte. I jeśli spojrzycie na czaszkę, panowie... – Wrócił do zwłok na leżance. Reszta poszła za nim i zebrała się przy drugim jej końcu. Harry przysunął się tylko trochę, żeby pokazać, że też jest

zainteresowany. Clarke pokazywał na części czaszki leżące oddzielnie. – Jeśli uważnie się przyjrzą, zobaczą miejsca, w których czaszka była klejona. Taka metoda rekonstrukcji jest jak najbardziej stosowana przez balsamistów. W balsamowaniu chodzi przede wszystkim o zakonserwowanie zwłok i o uzyskanie jak najlepszego ich wyglądu z myślą o bliskich, którzy je oglądają w dniach poprzedzających pochówek. Co interesujące, tylko to ciało z wszystkich trzech nosi ślady przeprowadzonej balsamacji. Oczywiście oddamy tkanki do analizy. Formaldehyd to dość paskudna substancja, potrafi długo się utrzymywać.

Clarke odsunął się od zwłok, ściągnął rękawiczki i wyrzucił do kosza na odpady biologiczne. Następnie z zasobnika wyciągnął nową parę.

– Żeby mieć absolutną pewność, możemy również wykonać badania DNA – dodał, wkładając rękawiczki. – Jak rozumiem, rano mają się tu zjawić rodzice, ale, jeśli o mnie chodzi, jestem prawie na sto procent pewien, że wczoraj w nocy został naruszony grób młodej damy. To jest Lucy Pickup.

Nikt się nie odezwał. Nad ich głowami wiatraki klimatyzatora rozsiewały z szumem chłód, którego Harry nie czuł.

– No dobrze – rzucił Clarke takim tonem, że Harry pomyślał, że zaraz podwinie rękawy na znak gotowości do działania. – Łatwą część mamy zatem za sobą. Teraz przyjrzyjmy się dwóm pozostałym przyjaciółom.

Sierżant Russell obejrzał się na Harry'ego, jakby się zastanawiał, jaka będzie jego reakcja na dość swobodny styl zachowania patologa. Harry spuścił oczy. Kiedy je znowu podniósł, Clarke zdążył się już odwrócić do drugiego stołu. Reszta osób otoczyła go.

– To dziecko jest bardzo zbliżonego wzrostu – zauważył nadinspektor. – Jaką masz pewność, że to nie ono jest Lucy Pickup?

– Te szczątki nie leżały w ziemi przez dziesięć lat – odparł Clarke bez chwili zastanowienia. – Byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że w tym grobie przeleżały dłużej niż kilka miesięcy. Mamy tu zupełnie inny stan rozkładu.

Harry podszedł bliżej i sierżant Russell przesunął się na bok, robiąc mu miejsce przy leżance.

– Numer trzy wygląda tak samo – oznajmił Clarke, pokazując na trzeci wózek. – Widzicie, panowie?

– Zupełnie nie są zeszkieletowane – mruknął Rushton. – Mają skórę. Wyglądają...

– Na wysuszone? – podpowiedział Clarke, kiwając głową. – Powinny. Są

zmumifikowane.

Harry popatrzył od jednego dziecka do drugiego. Tak jak powiedział patolog, zwłoki były kompletnie wysuszone, tak jakby coś wysssało z nich całą wilgoć. Pociemniała skurczona skóra oblepiała małe kości niczym folia samoprzylepna. Na głowie wciąż były włosy, na palcach dłoni maleńkie paznokietki.

– Niezniszczalni – wymamrotał pod nosem Harry.

– Nie ma bandażu – rzucił sierżant Russell. – Sądziłem, że mumie są owijane w bandażu.

– Gdy mowa o mumiach, wszyscy zawsze od razu myślą o starożytnym Egipcie – zażartował Clarke. – Ale ściśle rzecz biorąc, mumia to po prostu trup, którego skóra i narządy zostały zakonserwowane chemicznie lub w skutek zimna, lub braku dostępu powietrza. Egipcjanie i kilka innych kultur mumifikowały zmarłych sztucznymi metodami, ale mumifikacja zachodzi również w sposób naturalny i przykłady tego spotykamy na całym świecie. Najczęściej w środowisku chłodnym, suchym i przewiewnym.

– Pod ziemią taki proces nie zajdzie? – upewnił się Rushton.

Clarke pokręcił głową.

– Przynajmniej nie, jeśli chodzi o zwykłą ziemię. Gleba torfowa ma właściwości ograniczające dostęp tlenu do ciała i tym samym zatrzymujące proces rozkładu. Właśnie dlatego na torfowiskach znajduje się tak wiele zakonserwowanych zwłok.

– Czy te też mogły leżeć w torfie? – spytał Rushton.

– Wątpię. Nie ma śladów zabarwień. Moje domniemanie jest takie, że te dwa ciała były trzymane na powierzchni, gdzieś, gdzie jest zimno i sucho, gdzie dostęp tlenu jest minimalny. W ciągu ostatnich dwóch do trzech miesięcy – możemy zlecić entomologowi zbadanie aktywności insektów, to da nam jaśniejszy obraz – ciała zostały przeniesione z miejsca, w którym były trzymane, do grobu Lucy. Gdybym był na panów miejscu, zapytałbym, dlaczego ktoś to zrobił.

Przez kilka sekund w sali nie słychać było nic poza oddechami.

– Święty Barnaba numer dwa ma około stu pięciu centymetrów wzrostu – ciągnął Clarke. – Co sytuuje naszego przyjaciela w przedziale wiekowym od trzech do pięciu lat. Kierując się stanem szwów czaszkowych, powiedziałbym, że mieścił się w górze tej skali, miał może około czterech lat. Naszym najlepszym doradcą w takich przypadkach są jednak zęby. – Wskazał na kość szczękową. – Podstawowe uzębienie składa się z dwudziestu zębów powszechnie znanych jako zęby mleczne. Mleczaki zaczynają się wyrzywać w wieku około sześciu miesięcy i zazwyczaj do

wieku trzech lat ten proces jest w pełni zakończony. Od mniej więcej dwudziestego czwartego tygodnia wzwyż pod zębami mlecznymi zaczynają się formować zęby stałe. – Przeciągnął osłoniętą rękawiczką dłonią po kości szczękowej. – Zęby mleczne zaczynają wypadać w wieku około pięciu, sześciu lat – kontynuował. – Oczywiście przebiega to bardzo różnie w zależności od rodziny, ale dziecko, które straciło kilka zębów przednich będzie miało prawdopodobnie co najmniej siedem czy osiem lat. Zęby stałe wyrzynają się w porządku, który z pozoru wydaje się przypadkowy, ale taki nie jest. Dzięki temu relatywnie łatwo jest określić wiek czaszki małego dziecka. Nawet istnieją całkiem dobre wykresy, które mogą panom pokazać, gdy już oczyścimy kości i uzyskamy lepszy widok uzębienia.

– Jakież pomysły na tym etapie? – spytał detektyw, którego imienia Harry po prostu nie mógł sobie cały czas przypomnieć. Dave? Steve?

– Trudno cokolwiek powiedzieć, dopóki nie zrobimy prześwietlenia, ale wstępnie mogę założyć, że numer dwa, który ma cały zestaw zębów mlecznych, mógł być dzieckiem w wieku od czterech lat do sześciu.

– Chłopiec czy dziewczynka? – naciskał Rushton. Jego koledzy spojrzeli na niego, potem znów na ciało.

– To była dziewczynka – odpowiedział Clarke. – Dzięki mumifikacji mogę to stwierdzić z niejaką dozą pewności.

– Czy ktoś jeszcze myśli to, co ja? – mruknął Rushton, spoglądając na sufit.

– Myślę, że wszyscy, szefie – odpowiedział sierżant Russell.

Ja nie, pomyślał Harry.

– Czy coś mi umknęło? – zaciekawiał się Clarke, spoglądając od jednego mężczyzny do następnego.

– Megan Connor – rzucił Rushton. – Cztery lata. Miejscowe dziecko. Sześć lat temu zaginęła na wrzosowiskach niedaleko stąd. Największa sprawa w mojej karierze. Potężna akcja poszukiwawcza. Nie znaleźliśmy dosłownie nic. – Odwrócił się do Harry'ego. – Mówi to coś pastorowi?

Harry kiwnął głową.

– Chyba tak – przytaknął. Sprawa zaginięcia zdominowała wiadomości w mediach na dobre kilka tygodni. – Ale szczerze mówiąc, nie łączyłem sprawy z tym rejonem. Nie wiedziałem, o jakie miejsce w kraju chodziło.

– Nie dalej niż trzy kilometry od Heptonclough – wyjaśnił Rushton. – Dziewczynka oddaliła się od rodziców podczas rodzinnego pikniku. Już więcej jej nie zobaczyli. – Odwrócił się szybko do patologa. – Czy z tymi zwłokami zostały

znalezione jakieś ubrania, Ray?

– Tak. Przeciwdeszczowe – odpowiedział Clarke. – Płaszcz i kalosze. Ale znalazł się tylko jeden. Mam go tutaj. Rozmiar...

– Dziesiątka, czerwony – dokończył Rushton, który wpatrywał się w dół w martwe dziecko. – Płaszczyk też jest czerwony, z kapturem, z nadrukiem w biedronki. Zgadza się?

– Tak – potwierdził Clarke. – Odzież została zdjęta i zapakowana do toreb.

– Te ubrania śnią mi się po nocach – mruknął Rushton. – Gdzie one są?

– Tutaj – poinformował patolog. Odwrócił się i obszedł trzeci wózek, żeby podejść do blatu. Leżały na nim w równym rzędzie trzy duże przezroczyste plastikowe torby. Clarke podniósł pierwszą, potem następną i podał je Rushtonowi. Obie miały nalepki z podpisem i z jakimiś cyferkami. Rushton wziął tę z małym kaloszem i lekko pokręcił głową.

– Miała też na sobie dżinsy i sweter – powiedział Clarke. – I bieliznę. To powinno pomóc w identyfikacji.

– To wielka ulga dla mnie, że słyszę, że została pochowana w ubraniu – wymamrotał Rushton, który nadal nie był w stanie oderwać oczu od kalosza. – I co to o mnie mówi, panowie, co?

Nikt nie odpowiedział.

– Ma pan jakieś przypuszczenia co do przyczyny zgonu, doktorze? – spytał detektyw z wąłymi włosami. – Kości czaszki wyglądają...

– Tak, istotnie – zgodził się Clarke. – Bardzo podobne obrażenia jak w przypadku pierwszego dziecka. Poważny tępy uraz czaszki, głównie kości ciemieniowej i czołowej, i w tym wypadku mamy złamany prawy obojczyk, pękniętą kość ramienną prawej ręki i dystalne złamanie prawej kości promieniowej. Zdecydowanie prawdopodobne obrażenia występujące przy upadku, chociaż trudno jest powiedzieć, czy doszło do niego przed śmiercią, czy już po.

– A więc te dzieci, jedno i drugie, miałyby spaść ze znacznej wysokości? – upewnił się Rushton. – Jaką masz pewność co do numeru drugiego, Ray? Czy jej złamania mogły powstać na skutek czegoś innego? Czy ona – czy one obie – mogły zostać pobite?

– Raczej nie, jeśli się sugerować strukturą obrażeń – odparł Clarke. – Numer jeden doznał urazu tyłu czaszki, kręgosłupa i prawej nogi, wszystko to występuje przy upadku z wysokości na plecy. Obrażenia numeru drugiego dotyczą prawej strony ciała, co też może być konsekwencją upadku i wylądowania na prawej

stronie, przypuszczalnie z wystawieniem prawej ręki dla osłony. Kiedy dzieci są bite, urazy występują w przypadkowych miejscach. Raczej koncentrują się wokół głowy i górnej części tułowia, chociaż ramiona też mogą być poranione, jeśli dziecko się broniło. Na obu tych ciałach nie ma oczywistych obrażeń związanych z obroną.

– Czy do tych złamań mogło dojść wczoraj w nocy, kiedy grób się otworzył? – spytał detektyw.

– Nie mogę tego wykluczyć – stwierdził Clarke. – Nie ma śladów, świadczących o tym, że kości zaczęły się zrastać, więc złamania zdecydowanie wystąpiły krótko przed śmiercią lub już po. Ale wy tam macie miękką i moką glebę, a z tego, co mi mówiono, szczątki raczej się sturlały, niż spadły; z wysokości – ilu – dwóch metrów? – Patolog znowu popatrzył na obrażenia czaszki numeru drugiego. – Raczej wątpię, panowie – dodał. – Wszyscy gotowi na numer trzy?

Nie, pomyślał Harry.

– Niepokojące podobieństwa – mówił Clarke. – Kolejne bardzo małe dziecko płci żeńskiej, szczątki w przeważającej części zmumifikowane. Stan uzębienia i rozwój kości sugerują wiek między drugim a piątym rokiem życia. Wzrost wskazywałby...

– Kiedy ją wczoraj widziałem, była ubrana – wtrącił się Harry. – Co się stało z tymi...

– Ubrania zdjęto i spakowano – wyjaśnił zwięźle Clarke, mrużąc oczy i uważnie spoglądając na Harry'ego. – A bo co?

– Mogę je zobaczyć? – poprosił Harry.

– O co chodzi, kolego? – zdziwił się Rushton.

– Nie jestem pewien – mruknął Harry. – Wczoraj w nocy było ciemno. Byłem zdenerwowany. Da się zobaczyć tę koszulkę nocną, czy co to tam było?

Clarke kiwnął głową w stronę młodszej ze swoich asystentek, która podeszła do blatu szafki i sprawdziła torbę numer dwa, zanim ją podniosła i przyniosła do stołu. Harry wziął torbę i podniósł do światła.

– To góra piżamy – powiedziała asystentka. Młoda kobieta, nie więcej niż dwudziestopięcioletnia, szczupła, z krótkimi ciemnymi włosami. – Musimy ją oczyścić z ziemi, sprawdzić, czy są na niej jakieś ślady, a potem ją wypierzemy – ciągnęła. – Wtedy będzie łatwiej ją oglądać.

– Tylko góra? – upewnił się Harry.

– Tylko tyle na razie znaleźli – odpowiedziała dziewczyna. – Może dół znajdzie

się dzisiaj. Ale ta piżamka jest dość wyjątkowa. Szyta w domu, z tego co widzę. Nie ma ani metki, ani instrukcji prania, a te zwierzątka wyglądają na wyhaftowane ręcznie.

– Bo były tak wyhaftowane – oznajmił Harry, patrząc na małego haftowanego języka.

– Co pastorowi chodzi po głowie, pastorze? – zapytał Rushton.

Harry odwrócił się do patologa.

– Czy to mogą być szczątki małej dziewczynki, dwudziestosiedmiomiesięcznej? – spytał. – Martwej od około trzech lat?

– Cóż, raczej wszystko na to wskazuje – odrzekł Clarke.

– Co się dzieje? – powtórzył Rushton. – Pastor wie, kto to jest?

– Hayley Royle – odparł Harry. – Jej matka jest moją parafianką. Sądzone, że dziewczynka zginęła w pożarze domu przed trzema laty.

Wszyscy w pokoju patrzyli na niego. Nagle nie było mu już tak gorąco. Po plecach ciekła mu strużka lodowatego potu.

– Ta piżamka to piżamka po innym dziecku – kontynuował, odwracając się z powrotem do zwłok Lucy. – Przekazana przez matkę tego dziecka – dodał. – Uszyła ją ciotka dziewczynki, dlatego jest unikalna. – Wszyscy gapili się na niego. Przypuszczalnie nie rozumieli nic z tego, co mówił. Potem Rushton zwrócił się do patologa. Nie odezwał się, tylko podniósł rękę w geście milczącego pytania.

– Nie widzę tu żadnych śladów obrażeń od ognia – oświadczył Clarke.

– Jak duży był ten pożar?

– Trwał wiele godzin – odpowiedział Harry. – Dom to teraz sama skorupa. Ciała dziecka nie znaleziono.

Policjanci w pokoju patrzyli po sobie.

– Matka była przekonana, że córka nie zginęła w pożarze – ciągnął Harry. – Jej zdaniem Hayley w jakiś sposób wydostała się z domu i oddaliła na wrzosowiska. Wygląda na to, że być może tak było.

– A niech to szlag – wymamrotał sierżant Russell. – Proszę wybaczyć, pastorze.

– Nie ma sprawy – zbył go Harry. – Jeśli dziewczynka nie zginęła w pożarze, to co w takim razie było przyczyną jej śmierci?

Clarke wyglądał tak, jakby nagle zabrakło mu słów.

– Też spadła z wysokości? – nie ustępował Harry, myśląc w duchu, że prawdopodobnie ma rację. Hayley spadła z galerii w jego kościele. Jak Lucy. Jak Megan Connor. Ich krew jest na kaflach posadzki, policja to sprawdzi, znajdzie

ślady. Zamknął oczy. Millie Fletcher byłaby czwarta.

Clarke odzyskał głos.

– Tak, obawiam się, że mogła spaść. Ma obrażenia czaszki, kości twarzy, żeber i miednicy. Spadła z wysokości na brzuch.

– Och, myślę, że możemy już przestać udawać przed sobą, że te dzieci spadły – rzucił cierpko Rushton.

To nie może być Hayley – sprzeciwiła się Evi, mówiąc ściszym głosem, mimo że w rogu recepcji szpitala, gdzie oboje stali, nie było nikogo innego. – Znaleziono jej szczątki.

– Nie – zaprzeczył Harry, nadal okropnie zgrzany w czarnej koszuli i marynarce i w cisnącej go koloratce. – Z tego, co mówi Gillian, nie było żadnych...

– Tak, wiem, co ci mówiła. To samo mówiła mnie. Ale kłamała. O cholera, to niestosowne. – Evi odchyliła się na oparcie wózka i przeciągnęła dłonią po twarzy. – Naprawdę nie powinnam z tobą o tym rozmawiać – dodała.

Harry westchnął.

– Nie ma żadnych odstępstw od tej zasady, na przykład, kiedy zagrożone jest czyjeś życie, nie wolno ci wtedy złamać klauzuli zaufania? – spytał.

– Cóż, tak, ale nawet jeśli...

Harry położył rękę na poręczy wózka.

– Evi, przed chwilą widziałem trójkę martwych małych dzieci i wszystkie one zginęły w podobny sposób, a dwójka z nich nie powinna nigdy znaleźć się w tym grobie. Naprawdę nie sądzę, żeby zwykłe reguły miały tu teraz jakiegokolwiek zastosowanie.

Evi chwilę wpatrywała się w posadzkę, potem zrobiła taką minę, jakby podjęła jakąś decyzję.

– Poszłam się zobaczyć ze strażakami, którzy byli na służbie, kiedy zapalił się dom Gillian – powiedziała, nie podnosząc oczu. – Dzień później znaleźli szczątki Hayley. Prochy i fragmenty kości, bardzo podobne do tego, co zostaje po kremacji, ale zdecydowanie były to szczątki ludzkie. Kości były badane.

Harry poczuł się tak, jakby ktoś walnął go w splot słoneczny.

– Cóż, jeśli tak, to się myliłem – mruknął. – Poczciwy doktor Clarke będzie mną zachwycony. – Wszyscy będą zachwyceni. – Byłem pewien, że słyszałem, jak Gillian opowiada, co Hayley miała na sobie w swoją ostatnią noc – ciągnął. – A kiedy Jenny powiedziała mi, że pizamkę uszyła jej siostra... no cóż, wydawało mi

się, że nie ma już więcej pytań.

Evi wyglądała na bardzo przygnębioną i tak się czuła.

– Gillian musiała się pomylić – stwierdziła. – Ciężkie przeżycia zniekształcają pamięć. Może oddała piżamę komuś innemu i zapomniała. Tak czy inaczej, jeśli jest jedyna w swoim rodzaju, ułatwi to identyfikację zwłok.

– Możliwe – zgodził się Harry. – Kłopot w tym, że szydło wyszło z worka. Policja musi ją przesłuchać i nie wiem, jak ona sobie z tym poradzi.

– Będę z nimi – oznajmiła Evi. – Mam czas. Odwołałam wszystkie dzisiejsze wizyty.

Harry usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Kiedy podniósł wzrok, w wejściu stanął Rushton.

– Jesteśmy gotowi na spotkanie z panią Royle, pastorze – oznajmił. – Idzie pastor z nami? Da pastor radę?

– Oczywiście – potwierdził Harry. Wstał i odwrócił się do Evi. Z tyłu jej wózka były dwie rączki, po jednej z każdego boku pleców. – Mogę? – spytał.

– Nawet nie próbuj – warknęła w odpowiedzi. – Chodźmy.

Gillian, która stała w drzwiach i lekko się chwiała, wpatrywała się w Harry'ego.

– Nie mówił pastor rano, że przyjdzie – rzuciła i podejrzliwie spojrzała na Evi.

– Gillian, to nadinspektor Rushton – powiedział Harry. – Obawiam się, że musimy z tobą porozmawiać. – Zgodzisz się, żebyśmy weszli?

Oczy kobiety otworzyły się trochę szerzej, potem odwróciła się i zaczęła wspinać na schody. Harry puścił Evi przodem, następnie wszedł za nią na górę. Rushton szedł z tyłu.

Mieszkanie wyglądało tak, jakby ktoś od poprzedniego dnia w nim posprzątał. Harry miał nadzieję, że nie zostało to zrobione ze względu na niego.

– Co się dzieje w kościele? – spytała Gillian, kiedy wszyscy weszli już do pokoju dziennego. – Całe rano stały tam wozy policyjne.

Przez okno za plecami Gillian widać było główną ulicę wijącą się pod górę w kierunku kościoła. Deszcz z nocy zostawił po sobie w powietrzu delikatną mgiełkę. Obrzeża budynków stojących przy ulicy były niewyraźne, jakby ktoś je poprzecierał gumką.

– Częściowo z tego powodu tu jesteśmy – wyjaśnił Harry. – W kościele coś się w nocy wydarzyło. – Odwrócił się do Rushtona. – Nadinspektorze, pozwoli pan, żebym to...

– Ależ proszę, niech pan mówi – zgodził się Rushton, siadając w fotelu. Harry zaczekał, aż obie panie, Gillian i Evi, też usiądą. Evi wybrała drugi fotel, Gillian usiadła na środku kanapy. Harry przysiadł obok i nachylił się do niej.

– Gillian, stało się coś, co może cię zdenerwować – zaczął. – Dlatego poprosiłem doktor Oliver, żeby z nami przyszła. – Spojrzenie Gillian podryfowało do Evi, jakby kobieta dopiero teraz zauważyła obecność swojej terapeutki, potem wróciła wzrokiem do Harry'ego.

– Pamiętasz, jak mi opowiadałaś o tej nocy, kiedy w twoim domu wybuchł pożar? – spytał. – O tej, kiedy zginęła Hayley?

Gillian nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową, nie odrywając oczu od twarzy

Harry'ego. On zaczął się zastanawiać, czy znowu zaczęła pić. Była jakaś nie do końca...

– Pamiętasz piżamkę, w którą była ubrana? – ciągnął.

Gillian wyprostowała się. W jej oczach pojawiło się skupienie, powiodła spojrzeniem od Harry'ego do Rushtona.

– Co się stało? – spytała. Zaczynała wyglądać na przestraszona.

– Pani Royle – odezwał się Rushton, nachylając się ku niej. W małym pokoju wszyscy siedzieli strasznie blisko siebie. – Dziś wczesnie rano znaleźliśmy szczątki małego dziecka ubranego w piżamę bardzo podobną do tej, którą opisywała pani pastorowi Laycockowi. Czy istnieje taka możliwość, że pomyliła się pani co do tego, co córka miała na sobie?

– Znaleźliście ją? – Gillian przesunęła się na skraj kanapy, szykowała się do poderwania na nogi.

– Znaleźliśmy dziecko – powiedział Harry, kładąc rękę na ramieniu Gillian. Kątem oka widział, że zarówno Evi, jak i Rushton są przygotowani do podniesienia się ze swoich miejsc. – Ale nie wiemy, czy to Hayley, bo to przecież niemożliwe.

– Wiedziałam. – Jej palce zacisnęły się kurczowo na jego dłoni. – Wiedziałam, że ona nie spłonęła. Gdzie ona jest? Co się z nią stało?

– Pani Royle. – Głos Rushtona był na tyle podniesiony, że zdołał Gillian na sekundę uciszyć. – Czytałem raport dowódcy straży pożarnej, który gasił pożar w pani domu. Z tego raportu wynika, że w zgliszczach znaleziono szczątki pani córki. Przekazano je pani krótko po pożarze.

– Nie – warknęła Gillian, piorunując Rushtona wzrokiem.

– Nie? – zdziwił się Harry.

Głowa Gillian obróciła się w jego stronę gwałtownie.

– To, co mi dali, to nie była Hayley. Wiem, że to nie była ona. – Znów popatrzyła wściekle na Rushtona. – Chcieli mnie zbyć garścią popiołów. Wiem, że Hayley wyszła z domu. Przestańcie patrzeć po sobie tak, jakbym była wariatką, bo ja wiem, o czym mówię.

– Gillian, co się stało z prochami, które przekazali ci strażacy? – spytała Evi. – Co z nimi zrobiłaś?

Gillian wstała tak szybko, że Harry nieomal spadł z kanapy. Patrzył, jak przechodzi przez pokój i znika w kuchni. Rozległ się odgłos otwieranej szafki, przestawiania przedmiotów. Odwrócił się do Evi, która wzruszyła lekko ramionami. Potem Gillian wróciła, niosąc w obu dłoniach metalową puszkę.

Puszka wyglądała – wyglądała na to, czym była – na urnę. Harry podniósł się.

Gillian przeszła przez pokój i stanęła przy stoliku kawowym na środku dywanu. Opadła na kolana i omiotła dłonią blat. Jakieś czasopismo i portmonetka spadły na podłogę.

– Gillian, nie! – zawołała Evi, na ułamek sekundy przed tym, nim Harry zorientował się, co dziewczyna zamierza zrobić.

– Och, mój Boże – stęknął Rushton, podrywając się na nogi.

Gillian zdjęła pokrywkę z urny i przekreśliła ją do góry dnem. Prochy wyleciały, w powietrzu utworzyła się mała chmurka. Harry usłyszał odgłos spadnięcia na drewno czegoś twardego. Coś szarego, około pięciocentymetrowego upadło na dywan obok jego stóp.

– To nie jest Hayley! – wrzasnęła Gillian. – Wiedziałabym, gdyby to była ona.

Evi klęczała już przy dziewczynie na dywanie. Obejmowała ją jedną ręką, drugą chwyciła ją za dłoń, próbując zatrzymać, nie dopuścić, by Gillian rozniosła prochy po całym pokoju.

– Już dobrze, trzymam ją. – Dłoń Harry’ego na ułamek sekundy zetknęła się z dłonią Evi, potem pomógł dziewczynie wstać i odebrał jej urnę. Gillian natychmiast się rozluźniła, odwróciła do niego i rozplakała na jego ramieniu. Dobry Boże, do czego on doprowadził?

– Proszę tego nie ruszać, doktor Oliver – rzucił Rushton. Harry odwrócił głowę, wiedząc, że włosy Gillian kleją mu się do twarzy. Evi, wciąż klęcząca na podłodze, podniosła urnę i wyglądała tak, jakby miała zamiar zebrać do niej prochy z powrotem. – Ja się tym zajmę – powiedział Rushton, odbierając od niej urnę.

Nagle wszyscy obrócili głowy w stronę wejścia do mieszkania, bo rozległ się odgłos otwieranych drzwi na dole i potem kroków wspinających się po schodach. Wzmacniając uścisk na ramieniu Gillian, Harry zdołał pociągnąć dziewczynę na kanapę. Pchnął ją na nią delikatnie, potem odwrócił się do Evi. Nadal klęczała na dywanie. Nie pytając o pozwolenie, ujął ją w pasie, podciągnął i pomógł wrócić na fotel, na którym siedziała wcześniej.

– Dzięki – wymamrotała. Jej dolna warga drżała. Za plecami Evi pojawiła się Gwen Bannister, matka Gillian. Stała w progu i rozglądała się po pokoju, próbując pojąć, co się w nim dzieje. Rushton zabrał się do zbierania prochów. Gillian znowu płakała, z głową na kolanach, jej jasne włosy spływały aż do podłogi. Evi sięgnęła po swoją torebkę i czegoś w niej szukała. Harry pomyślał, że wcale nie byłby zdziwiony, gdyby nowo przybyła odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Detektywie Rushton, chciałabym podać Gillian coś, po czym poczuje się lepiej – powiedziała Evi. – Chce pan ją jeszcze o coś zapytać?

– Na razie nie – odpowiedział Rushton. – Zabiorę ze sobą te prochy, oddam je do analizy. Jak zrozumiałem z raportu, trzy lata temu testy potwierdziły, że są to prochy ludzkie. Musimy mieć większą pewność niż tylko to.

– Może Gillian mogłaby teraz trochę odpocząć – zasugerowała Evi, próbując znów wstać z fotela.

Gwen przeszła przez pokój i wzięła córkę za rękę.

– Chodź, kochanie – zachęciła, pociągając Gillian, żeby wstała. – Chodź, położysz się.

Kiedy obie zniknęły w sypialni, Harry wypuścił oddech ulgi.

– Potrzebuje pan Gillian do identyfikacji góry piżamki? – spytał. Wiedział, że piżamka leży w aktówce Rushtona, zamknięta w plastikowym worku i opisana.

Rushton pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby była teraz wiarygodnym świadkiem, nie uważa pan? A co z kobietą, która ją uszyła? Powiedział pastor, że to była Christiana, starsza córka Sinclaira?

Harry kiwnął głową.

– Tak mi mówiła Jenny. Piżamka była uszyta dla Lucy. Jenny pomyślała, że jest za ładna, żeby ją wyrzucić, i kilka lat później, już po śmierci Lucy, podarowała ją Gillian dla jej córki. – Harry zamilkł. Ubranko uszyte dla jednego zmarłego dziecka zostało oddane innemu zmarłemu dziecku. A potem jedno i drugie skończyło w tym samym grobie.

– Ale bałagan – wymamrotał Rushton, który zdaje się myślał o tym samym co Harry. – No dobrze, lepiej przejdę się do Domu Opata. Zobaczę, czy znajdę tam kogoś, kto będzie na tyle przytomny, żeby porozmawiać ze mną z sensem.

– Ja też pójdę – oznajmił Harry. – Przynajmniej do kościoła. Muszę sprawdzić, w jakim stanie jest teraz cmentarz. Będę musiał spisać raport dla arcydiakona. A ty, co zrobisz, Evi?

Evi zerknęła w stronę drzwi sypialni.

– Chyba powinnam jeszcze trochę zostać – odpowiedziała.

– Zadzwoń do mnie, jak już wyjdiesz, dobrze? – poprosił Harry. Posłał Evi szybki uśmiech i odwrócił się, żeby wyjść. Rushton ruszył za nim, ze szczątkami martwej istoty ludzkiej w ręku.

Kontaktował się pan już z rodzicami Megan Connor? – spytał Harry, kiedy on i Rushton szli do domu Fletcherów. Na szczycie wzniesienia mgła była gęstsza. Wyglądała prawie tak, jakby sączyła się z kamieni i zawisała w narożnikach i pod dachami. Niosła ze sobą zapach wrzosowisk; Harry czuł woń mokrej ziemi i, pomimo silnych opadów, ślad woni dymu drzewnego z poprzedniej nocy.

– Tak, już tu jadą – odpowiedział Rushton. – Mieszkają teraz w Accrington, przeprowadzili się kilka lat po tym, jak to wszystko się wydarzyło. Widzę się z nimi za godzinę. Szkoda tylko, że tak mało mam dla nich odpowiedzi.

Harry pamiętał, że czytał w prasie wzruszający apel Connorów, w którym prosili o bezpieczny powrót córki. To był główny temat wiadomości wieczornych przez kilka dni. Policyjne poszukiwania rozszerzyły się na cały kraj, informacje o tym, że widziano Megan, nadpływały z tak odległych miejsc jak Walia i wybrzeże południowe. A jednak Megan była niecałe osiemset metrów od miejsca, w którym zaginęła.

– To, co cały czas nie daje mi spokoju – zaczął Harry – to to, że patolog jest taki pewny, że te dwie dziewczynki – Megan i Hayley, jak sądzimy – nie mogły spoczywać w ziemi dłużej niż kilka miesięcy. To znaczy, że ich ciała były gdzieś przetrzymywane – przez pół roku ciało Megan i przez trzy lata Hayley. Obie pochodziły z tej okolicy; zdrowy rozsądek każe przypuszczać, że to musiało być gdzieś tutaj.

Na podjeździe Fletcherów stało kilku funkcjonariuszy policji, trochę dalej czała się grupka cywili, w których Harry z bólem serca rozpoznał dziennikarzy.

– Zaraz do was przyjdę! – zawołał Rushton do policjantów. – Pyta mnie pastor o to, czy po zaginięciu Megan szukaliśmy jej jak należy, zgadza się?

– Proszę wybaczyć, nie miałem na myśli... – Dziennikarze dostrzegli ich, zaczęli podchodzić bliżej taśmy policyjnej.

– Odpowiedź jest twierdząca, z całą pewnością tak było – rzucił Rushton ściszone głosem, zerkając w kierunku reporterów. – W pewnym momencie

mieliśmy tu ponad pięćdziesiąt osób i do pomocy zgłosili się prawie wszyscy mieszkańcy. Nie przeszukaliśmy tylko miasteczka, przeszukaliśmy całe wrzosowisko. Wszystkie ruiny, wszystkie studnie, każdy krzak i każdą stertę kamieni. Mieliśmy psy tropiące zwłoki, wyszkolone do namierzania rozkładających się ciał. Znalazły dwa świeże truchła. Jedno zająca, na górze, w tej starej chacie należącej do rodziny Renshaw. Drugie to był kot domowy. Te psy są wyszkolone tak, że szczątek zwierząt nie ruszają, ostatecznie więc na niewiele się nam przydały.

– W takim razie, jak...? – Harry pozostawił pytanie niedokończone.

– Mieliśmy też śmigłowiec, który przeleciał nad całym terenem, z urządzeniami wykrywającymi ciepło gnijącego ciała. Znalazł borsuka, sarnę, kilka zajęcy i sokoła wędrownego bez jednego skrzydła. Ale nie małe zaginione dziewczynki.

– Nadinspektorze Rushton... – Jeden z reporterów, młody mężczyzna po dwudziestce, wyglądał zza pleców policjantki, posterunkowej, usiłując uzyskać lepszy widok na Harry'ego i Rushtona.

– Tak więc skłaniam się do wniosku, że jeśli psy, śmigłowiec oraz połowa populacji Lancashire przeczesująca okolicę nie znaleźli Megan, to było tak dlatego, że podczas akcji poszukiwawczej jej tu po prostu nie było. Hayley oczywiście nie szukaliśmy, bo nikt nie wiedział, że zaginęła.

Poza jej matką, pomyślał Harry. W ich stronę szedł jeden z detektywów, którzy byli na wizycie u patologa. Ten starszy i wyższy rangą, ten z rzadkimi włosami i niewidocznymi rżesami. Ten, który miał na imię Dave albo Steve.

– Daj mi jeszcze dwie sekundy, Jowisz – poprosił Rushton.

Jowisz?

– Jedno z pytań, które będę teraz zadawał, będzie brzmiało: dlaczego nikt nie zwrócił uwagi na to, że grób małej Lucy został naruszony. Chociaż dopóki Fletcherowie, pańscy przyjaciele, pastorze, nie zbudowali tu domu, ta część cmentarza raczej nie była przez nikogo obserwowana. Ktoś działający po cichu, w nocy, pamiętający, żeby usunąć po sobie ślady... cóż, łatwo zrozumieć, że taki ktoś mógł zostać niezauważony. A jeśli jeszcze los mu sprzyjał i zesłał taką mgłę jak ta, ten ktoś mógł robić swoje nawet w biały dzień. – Rushton odwrócił się w stronę zejścia ze wzniesienia, do reporterów.

– Konferencja prasowa o trzeciej, panie i panowie. Wtedy bardzo chętnie z wszystkimi porozmawiam – oznajmił. – No dobra, chłopaki – dodał, prostując się. – Mówcie, co dla mnie macie.

Detektyw o cienkich włosach, który, jak Harry się właśnie dowiedział, otrzymał imię po rzymskim bogu, zajął miejsce Harry'ego u boku Rushtona i pokazał, że powinni wrócić na wzgórze, w stronę cmentarza. Harry i sierżant, którego Harry pamiętał z sekcji, poszli za nimi. Bez fartucha chirurgicznego potężna budowa sierżanta jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Naciągnięty materiał spodni ściśle opasywał go w talii.

– Stąd będzie lepiej widać – tłumaczył Jowisz, kiedy przechodzili przez bramę i podążyli kościelną ścieżką. Harry nie widział szczytu wieży. Nawet grzebienie wyższych łuków ginęły we mgle. – Zdjęli zadaszenia na czas, gdy deszcz nie pada – ciągnął policjant. – Chcą wykorzystać światło dzienne. – Popatrzył w górę. – Takie, jakie jest.

– Znaleźliście coś jeszcze? – spytał Rushton. Czwórka mężczyzn szła szybko, minęli kościół i skręcili ku terenowi z namiotami blisko muru. W wejściu na straży stał umundurowany posterunkowy.

– Drugą część pizamy – odparł Jowisz półgłosem. – Ze śladami krwi. Wysłaliśmy ją do laboratorium. I jeszcze kilka kości. Trudno powiedzieć, co to za kości, ale były bardzo małe. A wiedziałeś, że ten grób po prawej stronie tego, który się osunął, jak patrzysz w kierunku domu, należał do rodziny o nazwisku Seacroft?

– No tak – mruknął Rushton.

Dotarli do policyjnego namiotu. Posterunkowy odsunął się i wpuścił ich do środka. Harry był ostatni. Poliuretanowe ścianki osłaniały tylko trzy strony. Z czwartej widać było w dole ogród Fletcherów. Pracowało tam trzech techników kryminalistycznych. Dwóch przenosiło na skraj ogródka kamienie z naruszonego muru. Leżał między nimi maleńki posąg dziecka. Żaluzje w oknach domu nadal były spuszczone.

– Cóż, teraz już widać trumnę – poinformował Jowisz. – O proszę, ładna, dębowa. W nocy jej nie zauważyliśmy, ale jak widzisz, na widoku jest prawie cały jej bok.

Harry spojrzał na drewno, miejscami przegniłe i popękane.

– Nie możemy jej tu tak zostawić – ciągnął Jowisz. – Więc ją wyciągniemy i sprowadzimy Clarke'a, żeby się jej przyjrzał. Jeśli wypatrzy coś podejrzanego, całość trafi do laboratorium.

– Bardzo dobrze – pochwalił Rushton. – To samo musimy zrobić z drugą stroną. Ktoś już złożył wniosek o zgodę na ekshumację?

– Tak sądzę, szefie, ale jeszcze to sprawdzę.

– Pod kościołem są potężne piwnice – odezwał się Harry, który nie mógł już dłużej wytrzymać milczenia. – Zimne i suche. Świetne środowisko, jeśli brać pod uwagę mumifikację zwłok, jak sądzę. Od lat są zamknięte. Przeszukiwaliście je, kiedy szukaliście Megan?

– Przeszukiwaliśmy – potwierdził Rushton ze skinieniem głowy. – Sinclair je dla nas otworzył. Wszystkie stare sarkofagi zostały otwarte. Zabraliśmy tam też psy. Niczego nie wyniuchały, za przeproszeniem. Ale za to na chwilę bardzo się podekscytowały w samym kościele, na schodach prowadzących do jednej z tych starych dzwonnicy.

– I? – spytał Harry, odwracając się, żeby spojrzeć na kościół. Z miejsca, w którym stał, widać było tylko najbliższą z czterech wieżyczek.

– Trzy zdechłe gołębie – odparł Rushton. – Sam je wyczułem, kiedy byłem w połowie schodów.

– Teraz też zamierzacie zajrzeć do tych piwnic? – dopytywał się Harry. – To były miejscowe dziewczynki. Porwano je tutaj i tutaj znaleziono. Musiały być trzymane gdzieś blisko.

Rushton posłał mu szybkie spojrzenie.

– Dziękuję, pastorze, ale wiemy, jak się prowadzi dochodzenie w sprawie o morderstwo.

W tym momencie rozległy się trzaski radiostacji. Jowisz wyciągnął odbiornik zza paska i odwrócił się plecami do grupy.

– Komisarz Neasden – wymamrotał. Po chwili odwrócił się z powrotem do swojego przełożonego. – Potrzebują pana w domu, komendancie. Coś znaleźli.

– Jak długo będzie spała? – spytała Gwen Bannister.

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała Evi. – Temazepam to lekki lek uspokajający, a ja nie podałam jej dużej dawki. Ktoś w lepszej formie fizycznej, może z większą wagą ciała, poczułby się jedynie senny, może nieco otumaniony. Gillian musi być naprawdę wyczerpana, skoro tak szybko zwała ją z nóg.

Twarz Gillian była rozluźniona, trochę mniej spięta niż przed półgodziną. Wyglądała młodziej, łagodniej. Jedna ręka leżała wyciągnięta na poduszce. Rękaw bluzki podciągnął się prawie do łokcia. Evi nachyliła się i delikatnie podsunęła materiał trochę wyżej.

– Myślałam, że jej się polepsza – powiedziała matka dziewczyny, patrząc na sine

świeże blizny na ramieniu córki. – Czuła się lepiej, odkąd zaczęła się z panią spotykać.

– Te rzeczy zajmują czas – odpowiedziała Evi. – To dopiero początki.

Gwen odwróciła się do drzwi.

– Chodźmy, kochanie, nie powinna pani stać. Co pani powie na coś ciepłego do picia?

– Bardzo chętnie – zgodziła się Evi. – Mam wrażenie, jakby śniadanie było bardzo dawno temu.

– Herbata czy kawa? – Gwen wyszła z pokoju. Evi została jeszcze, obciągnęła rękaw na ramieniu Gillian i nakryła ją narzutą.

– Herbatę poproszę, z mlekiem, bez cukru! – zawołała cicho, wracając do pokoju dziennego. Mgła na zewnątrz zdecydowanie gęstniała. Kiedy przyjechali do Gillian, unosiła się nad najwyższymi partiami wrzosowisk i w górnej części miasta. Od tamtej pory zeszła niżej. Evi odróżniała jeszcze częściowo mury ruin kościoła. Ale za nimi już nic więcej.

Odwróciła się od okna i usiadła. Stolik kawowy przed nią wyglądał, jakby był wysmarowany pyłem. Usłyszała odgłos gotującej się, a potem nalewanej wody, otwieranych drzwi lodówki. Potem Gwen wróciła, niosąc tacę z dwoma kubkami i talerzykiem ciastek. Zatrzymała się i spojrzała na blat stolika, uzmysławiając sobie znaczenie kurzu na nim.

– Chyba nie wypada, co? – mruknęła, nie prostując się. – Powinnam go zetrzeć, jak pani sądzi?

– Naprawdę nie wiem – odpowiedziała Evi. – Może na razie niech pani to zostawi. Przed wyjściem spróbuję się skontaktować z tym policjantem. Zapytam, co mamy zrobić.

Gwen schyliła się i postawiła tacę na podłodze. Podsunęła Evi talerz z ciastkami.

– Obawiam się, że Gillian nie wolno dzisiaj zostawić samej – stwierdziła Evi, wgrzyzając się w ciastko i żałując tego. Było miękkie i smakowało jak mokry karton. – Mogę zadzwonić później, kiedy się obudzi, ale ktoś powinien z nią tu zostać. Jeśli pani nie może, załatwię jej przyjęcie. Do szpitala, o tym mówię. Może tylko na noc.

Gwen pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby. Zostanę z nią. Zabiorę ją dzisiaj do siebie. Raz jakoś zniesiemy swoje towarzystwo. Ależ paskudne te ciastka. Wybacz, kochanie.

– Nie jesteście ze sobą zżyte? – spytała z zaciekawieniem Evi. Gillian tak rzadko

mówiła o matce, że Evi nie miała pojęcia, jak naprawdę układają się ich stosunki.

Przez twarz Gwen przemknął cień wątpliwości.

– Jest całkiem niezłe – rzuciła. – Jakiś czas temu Gill nieco odbiło. Padły różne słowa z obu stron. Pani też pewnie czasami kłóci się z matką, czyż nie?

– Tak, oczywiście – potwierdziła Evi. – Mieszka pani sama?

– Uhm. Ojciec Gillian zginął w paskudnym wypadku dawno temu. Moje drugie małżeństwo nie przetrwało próby czasu. Ale domyślałam się, że pani już wszystko wie.

Evi uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Słyszałam, że w nocy wykopali jakieś ciała na cmentarzu – zmieniła temat Gwen, kończąc ciastko i sięgając po następne. – Ciała, których nie powinno tam być, to mam na myśli. Czy to prawda?

– Przykro mi, ale niewiele mi o tym powiedziano – odparła Evi.

– Małe dzieciaki, słyszałam. To dlatego pani tu przyszła? Myślą, że znaleźli Hayley?

– Mówią, że istnieje takie prawdopodobieństwo – potwierdziła Evi, zastanawiając się, czy dałoby się bardziej niejasno sformułować odpowiedź. – Ale oczywiście... – Wykonała gest w stronę stolika kawowego, pokazując na kurz, który zdawał się teraz poruszać, jakby w porywie bryzy, której żadna z nich nie czuła.

– Jak mogłaby to być Hayley, jeśli przez ostatnie trzy lata Hayley była w puszcze? – dokończyła Gwen.

– Kiedy pani weszła – zaczęła Evi – Gillian mówiła, że te prochy to nie Hayley. Wie pani, dlaczego jest o tym przekonana?

– Od początku nie chciała w to uwierzyć – odpowiedziała Gwen. – Nawet kiedy zostało potwierdzone, że szczątki są ludzkie, nie chciała tego zaakceptować. Jakby ktoś inny mógł spłonąć w tym domu bez jej wiedzy.

Gwen siedziała, przez chwilę żując ciastko w milczeniu. Evi upiła łyk parzącej herbaty i czekała.

– Czasami się zastanawiam, czy to nie przeze mnie – odezwała się wreszcie Gwen. – Czy już dawno temu nie powinnam była załatwić dla niej jakiejś pomocy. Ale w tamtych czasach nie mieliśmy tych całych cikliwych terapii – bez obrazy, kochanie – musieliśmy sobie radzić sami.

– Uważała pani, że Gillian już dawniej potrzebowała pomocy? – zdziwiła się Evi. – Miała jakieś kłopoty w szkole?

– Zwykle, takie, jakie miewają nastolatki – odparła Gwen, odstawiając swój kubek na dywan i strzepując okruchy ciastka z palców. – Podpalanie za składzikiem, wagary. Nie, mnie chodzi o to, co spotkało jej młodszą siostrę. Kiedy Gillian miała dwanaście lat. Musiała o tym wspominać.

Teraz już Gwen patrzyła Evi prosto w oczy. Zmarszczki wokół jej ust zrobiły się wyraźniejsze, ostrzejsze. Potem kobieta podniosła kubek i pociągnęła z niego łyk napoju, ale zbyt duży. Kiedy opuściła kubek, Evi zobaczyła, że Gwen ma mokre plamy dokoła ust.

– Przykro mi – rzuciła ostrożnie, patrząc, jak Gwen wyciera usta palcem. – Ale Gillian nigdy nie opowiadała mi o swojej siostrze.

Gwen nachyliła się i postawiła kubek na stoliku.

– Powinna ją pani o nią zapytać – stwierdziła.

– Doceniam pani radę – zaczęła Evi – ale rozmawiamy tylko na tematy, które porusza Gillian. Nie byłoby w porządku, gdybym jej jakiś narzucała. Jeśli Gillian miała siostrę, muszę poczekać, aż będzie chciała o niej porozmawiać.

– Cóż, być może będzie pani musiała długo czekać – mruknęła Gwen. – Ze mną nie chciała o niej rozmawiać, to pewne. Ale może powinna pani wiedzieć, zwłaszcza jeśli... – Spojrzała na stolik, gdzie pośrodku cienkiej warstwy popiołów stał kubek. – Gillian miała siostrę o imieniu Lauren – powróciła do opowieści. – Lauren spadła ze schodów, miała wtedy osiemnaście miesięcy. Ktoś zostawił otwartą bramkę – prawdopodobnie Gillian, chociaż nigdy się do tego nie przyznała. Lauren zahaczyła nogą o próg i spadła na dół. Na kafelki łupkowe w holu. Zmarła po trzech dniach, nie wybudzając się ze śpiączki.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Evi. – Jakie to straszne, dla was obu, i że potem jeszcze straciliście Hayley. – Kolejne dziecko, które zmarło na skutek upadku z wysokości?

– Tak. I potem moje małżeństwo nie potrało już długo. To John ją znalazł, widzi pani. Nigdy tego nie przeboleł.

Odezwała się komórka Evi. Kilka piknięć. Wiadomość tekstowa.

– Przepraszam. – Wyciągnęła telefon z kieszeni i spojrzała na ekran. Wiadomość od pastora – no w pewnym sensie wiadomość. Sześć znaków zapytania, po nich dwa ikсы i „O”. – Muszę iść – powiadomiła Evi. – Dziękuję za zaufanie. Zajrzę tu za kilka godzin. Może wtedy Gillian będzie już obudzona i będziemy mogły zdecydować, co zrobimy. Możemy się tak umówić?

Przy drzwiach kościoła Harry zatrzymał się i przepuścił przodem trzech policjantów. Reporterzy wciąż czekali. Rushton wraz ze swoimi dwoma podwładnymi minął ich, nie reagując na pytania, i zniknął w domu Fletcherów.

– Czy to prawda?

Harry odwrócił się. Z mgły jak dżin z butelki wyłonił się nagle przysadzisty mężczyzna, może nawet czekał za kościołem na okazję, aby złapać Harry’ego, gdy będzie sam.

– Cześć, Mike – rzucił Harry. – Jak się miewacie ty i Jenny?

– Czy to prawda? Naprawdę znaleźli dwójkę innych dzieci w grobie Lucy? Oboje z roztrzaskanymi głowami? – Mike Pickup oddychał ciężko. Jego twarz wydawała się czerwiejsza niż zwykle, a mięśnie szczęki drżały. – Czy jakiś chory bydlak wykorzystał grób mojej córki...

Harry położył mężczyźnie dłoń na ramieniu.

– Chodź – zaproponował. – W zakrystii jest gotowa kawa. – Pickup nie dał po sobie poznać, że zamierza się ruszyć. – Powiem tyle, ile mi wolno – obiecał Harry. To dało pożądaný skutek i Mike pozwolił się poprowadzić po ostatnich metrach ścieżki do otwartych drzwi zakrystii.

Sanktuarium Harry’ego było zajęte. O ścianę opierało się dwóch policjantów, pijących kawę. Kolejny na biurku Harry’ego oglądał jakieś plany. Christiana Renshaw myła kubki. Zakrystia zamieniła się w policyjne centrum operacyjne.

Harry odebrał kawę od Christiany, podziękował skinieniem głowy, potem on i Mike przeszli do kościoła, do prezbiterium. Harry zszedł po stopniach do nawy i zatrzymał się przy pierwszej ławce. Razem z Mikiem usiedli.

– Zdradzam poufne dane policyjne, mówiąc ci to – zaczął Harry – ale uważam, że masz prawo wiedzieć. – Kawa była zaparzona jakiś czas temu i zdążyła już trochę wystygnąć. Harry pociągnął dwa łyki, bardziej żeby zyskać na czasie, niż dlatego, że chciało mu się pić. – Zeszłej nocy zostały znalezione szczątki trójki małych dzieci – ciągnął. – Wszystko wskazuje, że wszystkie wytoczyły się z grobu

Lucy, kiedy mur się zapadł. Jedne z tych zwłok zostały zidentyfikowane jako Lucy, wszystko zależy od próbki DNA, którą, jak wiem, Jenny przekazała dziś rano. Tożsamość pozostałych dwóch ciał jeszcze nie została ustalona.

– Ta mała dziewczynka to Megan, z tego, co mówią ludzie – powiedział Mike. – Brałem udział w jej poszukiwaniu. Przez dwa dni nie tknąłem pracy. Swoich chłopaków też wysłałem. – Odstawił kubek na półkę do modlitewników przed sobą i pogrzebał w kieszeni. – Współczułem jej rodzicom – kontynuował. – Wiem, jak to jest, kiedy się straci dziecko.

– Jak się czuje Jenny? – spytał Harry, kiedy Mike wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i siedział, wpatrując się w nią.

– Całe rano spędziła zamknięta ze swoim ojcem i starym Tobiasem – odparł Mike. Przekręcił paczkę do góry dnem; Harry usłyszał miękki odgłos obijających się o pudełko papierosów. – Rodzinne rozmowy – mruknął Mike, przekręcając pudełko ponownie. – Beze mnie, oczywiście. Ja się nie liczę bardziej niż wynajęty robotnik. – Otworzył paczkę, pozwalając, by jej zawartość wysypała mu się na dłoń.

– Cierpienie działa na ludzi w różny sposób – zauważył Harry, zaskoczony gorącością pobrzmiewającą w głosie mężczyzny. – Słyszałem, że ojców i córek łączy specjalna więź.

Mike wetknął papierosa między palec wskazujący a kciuk. Harry patrzył, jak papieros zaczyna się zginać. Oczy Mike'a błyszczały. Oddychał głęboko i powoli, jakby walczył ze sobą, żeby się nie rozpaść. Zaczął kręcić głową. Papieros w jego dłoni był złamany, bezużyteczny.

– Ona nawet nie była moja – powiedział. – Co ty na to, Harry?

– Nie była twoja w sensie biologicznym, o to ci chodzi? – upewnił się Harry.

Mike nadal kręcił głową.

– Jenny zaszła w ciążę krótko po tym, jak ją poznałem – wyznał. – Nawet wtedy ze sobą nie chodziliśmy, więc było oczywiste, że nie może być moja. Nie powiedziała mi nigdy, kto był ojcem. Głupi błąd, mówiła, nawet nie związek, tylko że nie chciała usuwać dziecka. W pewnym sensie podziwiałem ją za to. Ale nie było takiej możliwości, żeby Sinclair dopuścił, by jego córka została samotną matką.

– Więc wy dwoje się pobraliście?

– Za swoje poświęcenie dostałem czterysta akrów ziemi uprawnej. I dwa tysiące owiec. Pochodzę z rodziny rolniczej, Harry, spod Whitby, ale mam trzech starszych

braci. To była jedyna szansa na to, żebym kiedykolwiek pozyskał własne gospodarstwo. Ironią jest, że prawdopodobnie i tak ożeniłbym się z Jenny. Już się w niej zakochałem.

Kubek w dłoniach Harry'ego szybko stygł, tak jakby Harry wysysał z niego całe ciepło.

– I zaakceptowałeś Lucy jako...

– Nigdy nic innego nie wchodziło w rachubę. Zakochałem się w niej od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem. A po jakimś czasie zapomniałem; po prostu zapomniałem, że nie była moja. Nigdy nie przebolełem jej śmierci. Gdybyśmy mieli więcej dzieci, może byłoby inaczej. Ale tak, wątpię, żebym kiedykolwiek przeboleał.

Drzwi od zakrystii otworzyły się i do kościoła weszło dwóch umundurowanych policjantów, mężczyzna i kobieta. Zatrzymali się, kiedy zobaczyli Harry'ego i Mike'a, wymamrotali przeprosiny i wycofali się z powrotem do zakrystii. Mike odprowadził ich wzrokiem, potem wstał.

– Co je spotkało, Harry? – spytał, nie odrywając oczu od drzwi zakrystii. – Co się stało tej dwójce dzieci? Jak zginęły? – Na posadzce leżały dwa przełamane papierosy.

– Dokładna przyczyna śmierci nie została... – zaczął Harry, podnosząc się.

Mike odwrócił się do niego.

– Nie mydl mi oczu, błagam. Z całym szacunkiem, ale byłeś rano na sekcji. Miały roztrzaskane głowy?

Harry wziął głęboki oddech. To był błąd. Nie powinien dać się w to wciągnąć.

– W obu przypadkach są ślady pewnych obrażeń – odparł – ale naprawdę musimy poczekać...

– Takich jak u Lucy? – dopominał się Mike.

– Patolog uważa, że urazy mogły powstać podczas upadku z dużej wysokości – odpowiedział Harry. Rushton go zabije.

– Tak jak było z Lucy? – powtórzył Mike.

– Naprawdę, obawiam się, że to już wszystko, co ci mogę powiedzieć.

Pickup jeszcze przez chwilę piorunował go wzrokiem.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, pastorze – rzucił w końcu. – Dłużej nie będę pastora zatrzymywał. – Skinął głową i ruszył w stronę frontu kościoła. Wszedł do zakrystii i zniknął z widoku. W tym momencie komórka Harry'ego wydała trzy ostre piknięcia. Wyszarpnął ją z kieszeni. Evi przyjechała pod kościół i

zastanawiała się, gdzie on jest. Poszedł w ślad za Mikiem.

– Spodziewam się, że teraz już odejdą. – Głos go zaskoczył. Harry odwrócił się i zobaczył Christianę, która chyba go obserwowała. Głos miała jak Jenny, tyle że łagodniejszy i słodszy. Chyba dotąd jeszcze nigdy nie słyszał jej mówiącej.

– Obawiam się, że policja zostanie tu jeszcze trochę – odpowiedział. – To denerwujące, wiem. Ale konieczne.

– Nie policja. Fletcherowie.

Harry'emu przemknęło przez myśl, że Christiana zawsze chodzi w sukienkach. Szytych na miarę, z materiałów wyglądających na drogie. Doskonale na niej leżały, zastanawiał się, czy sama je dla siebie szyła, tak jak piżamkę dla Lucy?

– Fletcherowie? – powtórzył. – Dlaczego mieliby... – zamilkł. – Tego rana Christiana miała rozpuszczone włosy, z opaską, żeby nie opadały na twarz. Były długie, za ramiona, coś rzadko spotykanego u kobiety po czterdziestce. Stała teraz blisko niego, nawet za blisko, by było to komfortowe, jakby nie chciała, żeby ktoś ją usłyszał. Dopłynął do niego staroświecki kwiatowy zapach jej perfum i nagle przypomniał mu się dzień, kiedy rozsypała płatki róż pod galerią.

– Tyle małych dziewczynek – wymamrotała. – Niech im pastor każe się wyprowadzić. Tu nie jest bezpiecznie dla małych dziewczynek.

No więc, dokąd pani zdaniem, pani Fletcher, planowały się wybrać wczoraj w nocy pani dzieci?

– Zakładając, że w ogóle coś takiego planowały – wtrącił Harry, zanim Alice zdążyła otworzyć usta. – Tom twierdzi, że próbował ratować siostrę.

Evi patrzyła, jak jasnowłosa pracownica opieki socjalnej, zbierając myśli, zagląda do notesu rozłożonego na stole kuchennym.

– Tak – rzuciła kobieta po sekundzie. – Przed tą jego mityczną małą dziewczynką. – Znów spojrzała na Alice. Usta miała uszminekowane jaskrawym błyszczącym różem. – Czy dzieci podejmowały już kiedyś wcześniej próby ucieczki? – zapytała.

– Zakładając, że to była próba ucieczki – powtórzył Harry. – Ze swojego doświadczenia wiem, że dzieci raczej nie planują ucieczek z domu w środku nocy, zwłaszcza kiedy jak diabli pada. Uciekają za dnia, zwykle, kiedy im się powie, że nie dostaną więcej słodyczy czy że mają posprzątać w swoich pokojach, i rzadko docierają dalej niż za róg ulicy.

– No właśnie, pastorze, jak duże ma pan doświadczenie z uciekającymi dziećmi? – spytała pracownica opieki. Evi podniosła kubek do ust, żeby ukryć uśmiech. Sprawa była poważna, nie było tu miejsca na śmiech, a jednak coś w zaczepnej postawie Harry’ego wzbudzało w niej rozbawienie.

– Czy ktoś ma ochotę na dolewkę kawy? – spytała Alice. Nikt nie odpowiedział. Przed nimi na stole stały cztery kubki. Z wyjątkiem kubka Evi, żaden nie został tknięty.

Drzwi do kuchni otworzyły się i pojawił się Joe. Wszyscy odwrócili się do niego.

– Mamusiu, chce mi się siusiu – powiedział, zerkając z ciekawością na każdego dorosłego. Jego usta drgnęły w lekkim uśmiechu, kiedy zobaczył Harry’ego. Alice wstała.

– Zrób na dole, kochanie – poleciała, pokazując na drzwi w głębi pomieszczenia.

– Przeciśniesz się za Harrym?

– Chcę mojego robota Daleka na pilota – grymasił Joe, nie ruszając się spod drzwi. Jego matka pokręciła głową.

– Dopiero jak skończą panowie policjanci, skarbie. Millie czuje się dobrze?

– Buduje wieżę z Tomem – odparł Joe. – Z drewniek do kominka.

– Dobrze – mruknęła Alice, a Joe odwrócił się i wyszedł z kuchni. – Góra naszego domu nadal oficjalnie jest miejscem przestępstwa – dodała, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Nie wpuszczają mnie do pokoju Millie. Musiałam ją ubrać w rzeczy Joego.

– Znaczący, że policja nie znalazła żadnych śladów tego rzekomego włamania – odezwała się pracownica opieki Hannah Willson, zgodnie z tym, jak się przedstawiła, kiedy pojawiła się u Fletcherów na sekundę przed Harrym i Evi. Była po trzydziestce, raczej pulchna, obfity biust miała wciśnięty w sweterek z dużym dekoltem. Na piersi opadał długi pojedynczy sznur kamieni, podkreślający głębokość przedziałka. Teraz już od prawie dwudziestu minut Evi obserwowała, czy spojrzenie Harry’ego powędruje w tę stronę, choć na razie udawało mu się oprzeć pokusie.

– Zniknęły klucze męża Alice – przypomniał Harry.

– Klucze ciągle się zapodziejają – zauważyła Hannah. – To trochę za mało, żeby twierdzić, że doszło do próby porwania dziecka.

– A co pani powie o tych dwóch niezidentyfikowanych ciałach w kostnicy szpitala Burnley General? – nie odpuszczał Harry. – Obydwu wczoraj w nocy wyciągniętych z ogródka Fletcherów? Wybaczyć, że tak brutalnie, Alice.

Alice wzruszyła ramionami i spojrzała na Evi. Evi uśmiechnęła się do niej półgębkiem, świadoma, że powinna nieco powściągnąć Harry’ego. Odwiedziny przedstawiciela opieki społecznej to standardowa procedura po każdym incydencie, do którego wzywana jest policja i zachodzi podejrzenie o wystąpienie zagrożenia dla dzieci. Jeśli Harry wkurzy kobietę, sprawa może się zamienić w osobistą. Hannah Wilson może zacząć prężyć muskuły, a rodzina Fletcherów znajdzie się pośrodku tej potyczki.

– Cóż, na tym etapie nie wiemy, czy działania policji prowadzone na zewnątrz mają jakikolwiek związek z rodziną – stwierdziła Hannah. – A mnie interesuje jedynie dobro dzieci.

– To tak jak i mnie – wtrąciła Alice.

– I musi pani przyznać, że to, co mówi Tom, nie do końca ma sens. – Pracownica

opieki powiodła wzrokiem po Harrym, Alice i Evi, jakby rzucała im wyzwanie, by zaprzeczyli jej słowom. – Tom ma sporo siniaków na twarzy. Jeśli dobrze panią zrozumiałam, pani Fletcher, syn twierdzi, że powstały, gdy ta mała dziewczynka, która uciekała z jego siostrą, go kopnęła.

– Tak mówi Tom – odparła Alice.

– Ale z tego, co rozumiem, z jego wcześniejszych opisów tej dziewczynki wynika, że ona chodzi bez butów.

Nikt się nie odezwał. Evi opuściła oczy na stół, dokopując sobie w duchu, że sama nie zwróciła na to uwagi. Drzwi kuchni znowu się otworzyły. Tym razem wszedł do niej Tom, fioletowe siniaki wyraźnie się odznaczały na tle bladej skóry.

– Mamo, Millie wylała na kanapę swój soczek – poinformował. Alice westchnęła i podniosła się.

– Ja się tym zajmę – zaproponowała Evi, wstała i sięgnęła po ścierkę do naczyń. – Ty tu skończ, Alice. Pani Wilson zapewne zbliża się już do końca.

Evi wyszła za Tomem do salonu. Słyszała ciężkie kroki na piętrze, ludzi mówiących ściszone głosami. Joe stał w głębi pokoju, wyglądał zza zaciągniętych zasłon na zewnątrz, chcąc zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie. Millie, wyglądająca niewyobrażalnie słodko w dżinsowych ogrodniczkach z podwiniętymi nad kostki nogawkami, pomachała do Evi kawałkiem drewna, prawie się przy tym przewracając do tyłu i wpadła do pustego kominka. Tom rzucił się do siostry i złapał ją, zanim uderzyła główką w kamienne palenisko.

– Cześć, cukiereczku – powiedziała Evi, kiedy dziewczynka znowu stała bezpiecznie. Wyglądała, jakby przed chwilą płakała. Oczy miała zaczerwienione. – Gdzie ta lepiąca mikstura? – spytała Evi.

– Ciam – wymamrotała Millie, pokazując środek sofy. Evi znalazła plamę i wytarła ją ścierką. Czuła na sobie spojrzenie Toma.

– A ty jak się czujesz, Tom? Wciąż zmęczony?

Tom wzruszył ramionami.

– Kim jest tamta pani? – zapytał. – To lekarka, tak jak pani?

Evi pokręciła głową.

– Nie, to pracownica opieki społecznej. Przyszła się dowiedzieć, co się stało w nocy, i upewnić, że ty, Joe i Millie czujecie się dobrze.

– Czy będę musiał z nią rozmawiać?

Evi przysiadła na poręczu kanapy.

– A chcesz tego? – chciała wiedzieć.

Tom chwilę się zastanowił, potem pokręcił głową.

– Dlaczego nie? – sondowała go dalej Evi, zauważyła, że Millie przysłuchuje się ich rozmowie, jej oczy przesuwają się od jednego rozmówcy do drugiego, jakby rozumiała każde słowo. Stojący przy oknie Joe zamienił się w słup soli.

Tom znowu wzruszył ramionami i spuścił wzrok na stertę drewniek na podłodze.

Evi przyglądała mu się kilka sekund, potem podjęła decyzję.

– Dlaczego nigdy mi nie mówiłeś o tej małej dziewczynce, Tom? – rzuciła. – Wiem, że wczoraj wieczorem pokazywałeś mi zdjęcia, na których była, ale nie powiedziałeś, kto to jest. – Kątem oka Evi widziała Joego przy oknie. Już nie wyglądał przez szczelinę między zasłonami, odwrócił się i patrzył na nich. – Nie zrobiłeś tego, bo myślałeś, że ci nie uwierzę? – mówiła dalej łagodnym głosem.

– A uwierzyłaby pani? – spytał Tom.

– Spędzam wiele czasu na rozmowach z ludźmi – zaczęła. – I zwykle potrafię rozpoznać, kiedy kłamią. Zdradzają ich najróżniejsze drobne rzeczy. Uważnie cię obserwowałam, kiedy mówiłeś, Tom, i nie sądzę, żebyś był kłamcą. – Pozwoliła sobie na uśmiech, co naprawdę nie było trudne, gdy się patrzyło na Toma. – Myślę, że trochę nabujałeś, ale przez większość czasu nie kłamiesz. – Tom utrzymywał z nią kontakt wzrokowy. – Jeśli opowiesz mi wszystko o tej małej dziewczynce i jeśli będziesz mówił prawdę, rozpoznam to.

Tom obejrzał się na Joego, potem spojrział w dół na Millie. Oboje wpatrywali się w niego, jakby czekali, aż zacznie. I zaczął.

– Ona nas obserwuje już od jakiegoś czasu – powiedział. – Czasami nawet wydaje mi się, że robi to ciągle. Że zawsze się gdzieś czai...

Co to jest ten zapobiegawczy nakaz sądowy? – dopytywał się Harry.

– Ochronny nakaz sądu – odparła Hannah Wilson. – Pozwala na zabranie dzieci do ośrodka dla zapewnienia im bezpieczeństwa. Ma skutek natychmiastowy.

Harry znów usiadł, przysuwając się z krzesłem bliżej Alice, która siedziała zupełnie nieruchomo, można by nawet pomyśleć, że nie słuchała, gdyby nie jej drżące palce.

– Omawiała to pani z doktor Oliver? – zapytał Harry. – Jako psychiatra zajmujący się rodziną jest chyba oczywistą osobą, z którą należałoby się skonsultować.

– Doktor Oliver może oczywiście złożyć swój raport – odpowiedziała Wilson. – Jestem przekonana, że magistrat weźmie go pod uwagę.

Harry miał już odpowiedzieć – co, tego jeszcze do końca nie wiedział – kiedy usłyszeli kroki na schodach. Usłyszeli też charakterystyczny głos Rushtona, potem frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły. Kroki zwróciły się w kierunku kuchni, następnie ucichły.

– Rodzina powinna się o tym dowiedzieć. – Znów usłyszeli głos Rushtona, ściszony, ale stanowczy. Potem wszedł do kuchni, pukając grzecznie w drzwi, kiedy je otwierał. Za nim stał detektyw Neasden i jakaś policjantka w stopniu posterunkowego. Neasden nie wyglądał na szczęśliwego.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy, pani Fletcher – rzucił Rushton. – Chciałbym zamienić słówko, jeśli można.

Alice wyglądała tak, jakby przygotowywała się na kolejny cios.

– Dobrze. Chce pan porozmawiać na osobności?

Rushton, unikając spojrzenia Neasdena, szybko powiódł wzrokiem po obecnych.

– Nie, myślę, że wszyscy się tu znamy – stwierdził. – Co słychać, Hannah? Wychodzisz już?

– Coś pan znalazł? – Harry nie mógł wytrzymać.

– Tak mi się wydaje – odparł nadinspektor. – O której wraca pani mąż, pani

Fletcher?

Alice wyraźnie utraciła zdolność szybkiego myślenia. Zerknęła na zegarek, potem na Harry'ego.

– Mówił, że wychodzi na kilka godzin – oznajmiła po chwili. – Odwróciła się do zegara kuchennego na ścianie za nią. – Jakaś kontrola na budowie, od której nie mógł się wywinąć. Powinien wrócić lada chwila.

– To dobrze – mruknął Rushton. – I dobrze byłoby, gdyby wezwała pani ślusarza. Żeby sprawdził, czy nie dałoby się zmienić zamków.

– Ale o co chodzi? – zaniepokoiła się Alice.

Rushton wysunął krzesło, które niedawno zwolniła Evi, i usiadł. Detektyw Neasden, z mocno zaciśniętymi ustami, oparł się o wysoką szafkę kuchenną. Posterunkowa została przy drzwiach, cicho je za sobą zamknąwszy.

– Pamięta pani, że w nocy znaleźliśmy w ogrodzie odciski butów – przypomniał Rushton. – Nasi technicy zrobili ich odlewy. – Odwrócił się do mężczyzny za nim. – Masz to, Jowisz? – spytał.

Detektyw Neasden trzymał cienką niebieską plastikową teczkę. Z wyraźną niechęcią wyjął z niej białą kartkę formatu A4 i podał przełożonemu. Rushton zwrócił się z powrotem do Alice i Harry'ego.

– Wiemy, że odciski musiały zostać zostawione w ogrodzie późnym wieczorem – zaczął tłumaczyć – ze względu na opady, jakie tu mieliście. Gdyby powstały wcześniej, deszcz by je rozmył. Tak więc wiemy, że przynajmniej jedna osoba oprócz waszych dzieci była w ogrodzie mniej więcej w porze, gdy osunął się mur.

Hannah nachyliła się, żeby przyjrzeć się wydrukowi.

– Zrobiliśmy wczoraj kilka sztuk tych odlewów – ciągnął powoli Rushton – i mnóstwo zdjęć, ale to jest najwyraźniejsze. Pamięta pastor, jak wspominałem, że posterunkowy, który zjawił się na miejscu pierwszy, to niezwykle bystry chłopak?

Harry potwierdził skinieniem głowy.

– Okazuje się, że jest bystrzejszy, niż sądziłem – kontynuował Rushton – bo zauważył odcisk, wiedział, że deszcz go zniszczy, więc przykrył go odwróconym do góry dnem kubłem. Kiedy przyjechali technicy, mogli zrobić bardzo dobre zdjęcia odcisku i dobry odlew.

– Odlew? – zdziwiła się Alice. – Z czego go zrobili – z gipsu?

– Gipsu dentystycznego, jak sądzę – odpowiedział Rushton. – Jest bardzo twardy i wytrzymały. – Pokazał na ślad buta. – To chyba siódemka, może ósemka – rzekł.

– Mało pomocne, szczerze mówiąc, bo taki rozmiar może nosić wysoka kobieta

albo mężczyzna o małych stopach. Pani nosi czwórkę, prawda, pani Fletcher?

Alice kiwnęła głową.

– A Gareth...

– Dziesiątkę, tak, wiemy. Z jego odcisków też zrobiliśmy odlewy. Porównaliśmy je z butami, w których wyszedł na zewnątrz. Widzicie? – Rushton obrysował palcem granice odcisku.

Harry nachylił się, żeby lepiej widzieć. Wzdłuż odbicia biegły horyzontalne żłobienia. Sądząc po mocnym odcieniu szarości, musiały być głębokie, coś jak w butach przeznaczonych do chodzenia po błocie.

– Wygląda na standardowy kalosz do chodzenia po bagnach – zauważył. W łuku podeszwy i obcasa wypatrzył jakiś niepełny kształt, dwie trzecie lekko zaokrąglonego trójkąta. – Czy to logo producenta? – spytał.

– Tak – potwierdził Rushton. – I choć trudno to zobaczyć, powiedziano mi, że napis tuż pod nim brzmi: „Made in France”. Ustalenie marki i producenta nie powinno stanowić problemu.

– Ale przecież już w nocy wiedzieliście o tych śladach w ogrodzie – odezwała się Alice. – Dlaczego one tak nagle stały się...

– Ach – przerwał Rushton. – Ale w nocy nie wiedzieliśmy o bliźniaczych śladach na górze.

– Szefie, naprawdę nie powinniśmy... – zaczął Neasden, ale Rushton uciszył go podniesieniem ręki.

– W tym domu mieszka trójka małych dzieci – oświadczył. – Oni muszą to usłyszeć.

– Co proszę? – rzuciła Alice ściszone głosem. – Bliźniaczych? Na górze?

– Na podeście – doprecyzował Neasden, posyłając swojemu szefowi zrezygnowane spojrzenie. – Przed drzwiami do pokoju córki. Obawiam się, że ktokolwiek był wczoraj w waszym ogrodzie, najpierw był w domu.

Palce dłoni Alice powędrowały do twarzy. Trudno było określić, co było bardziej pozbawione koloru.

– Tak, wiem, dziewczyno – mruknął Rushton. – To bardzo niepokojące, ale też oznacza, że do czegoś docieramy.

– Sprawdzałam w nocy – zaczęła Alice, która zdawała się nie chcieć uwierzyć w słowa policjanta. – Nie zauważyłam żadnych śladów, żadnego znaku, że ktoś mógł...

– Nie, nie zauważyła pani. Nie mogła pani zauważyć – wtrącił Neasden. –

Nazywamy to ukrytymi śladami. Ledwie widocznymi bez specjalistycznego sprzętu i zwykle pozostawianymi przez obuwie, które jest dość czyste.

– Podeszwy butów zbierają cząstki wszystkiego, po czym chodzimy – zaczął wyjaśniać Rushton. – Teoria Locketa czy coś takiego.

– Teoria wymiany Locarda – poprawił Neasden z pierwszym uśmiechem, jaki Harry zobaczył na jego twarzy. – Ilekroć dwie powierzchnie wejdą w kontakt, istnieje prawdopodobieństwo wymiany materiałów. To, na co wchodziliśmy, zanosimy ze sobą wszędzie, dokąd idziemy.

– No właśnie. – Rushton kiwnął głową w stronę detektywa. – Więc, jak mówiłem, za każdym razem, gdy na coś nastąpimy – kurz, błoto, dywan i tak dalej – maleńkie cząsteczki przyklejają się do naszych butów i potem, kiedy te buty wejdą w kontakt z czystą suchą powierzchnią, taką jak posadzka na górze, pani Fletcher, zostawiają delikatny, mało widoczny odcisk. Odkrywamy te odciski – mam tu na myśli naszych zdolnych chłopaków i dziewczyny – w ten sam sposób, w jaki znajdujemy odciski papilarne. Opyłamy je proszkiem daktyloskopijnym, a potem zdejmujemy odcisk taśmą przyklepną.

– Tylko ten jeden odcisk w całym domu? – zapytał Harry. Rushton odwrócił się do podwładnego po potwierdzenie.

Neasden skinął głową.

– Mamy prawie stuprocentową pewność, że tak – oznajmił. – Zapewne było ich o wiele więcej, ale wczoraj po domu kręciło się wiele osób, jeszcze przed naszym przyjściem. Wszelkie inne ślady musiały zostać zatarte. Ale to bez znaczenia. Ten jeden nam wystarczy.

– Wszystko w porządku, Alice? – spytał Harry.

Alice zaczęła odzyskiwać kolory. Kiwnęła głową.

– W gruncie rzeczy to nawet pewna ulga – stwierdziła. – Bo to znaczy, że Tom nie kłamał. – Przez chwilę milczała. – Prawdopodobnie mówił prawdę przez cały czas – dodała.

Harry uśmiechnął się do niej i znów odwrócił do Rushtona.

– Da się ustalić właściciela butów? – zapytał.

– Jest na to duża szansa – potwierdził nadinspektor. – I tak się poręcznie składa, że w prawej podeszwie mamy małe rozcięcie, widzi pastor? – Palcem wskazującym prawej ręki popukał w zdjęcie. Harry dostrzegł niewielkie zagłębienie, zaledwie półcentymetrowe. – A także, zdaniem naszego laboratorium, są na nim widoczne ślady zużycia. Jeśli znajdziemy but odpowiadający odciskowi, będziemy mieli

dowód na to, że jego właściciel był w waszym domu i w ogrodzie. I właśnie dlatego, zważywszy na fakt braku śladów włamania, wspomniałem o kwestii wymiany zamków. A może nawet należałoby przy okazji założyć jakiś alarm.

– Zadzwoń do Garetha – oznajmiła Alice, podnosząc się. – Kupi po drodze nowe zamki i przywiezie ze sobą.

– Bardzo mądrze – pochwalił Rushton. – Ale proszę chwilę zaczekać. Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko. Może lepiej niech pani z powrotem usiądzie.

Alice spojrzała w stronę drzwi.

– Powinnam pójść sprawdzić, co u dzieci – rzuciła.

– Jest z nimi Evi – przypomniał Harry, zastanawiając się, czy opiekunka społeczna zaproponuje, że pójdzie do dzieci i zobaczy, czy u nich wszystko w porządku. Nie zaproponowała. Alice znów usiadła.

– Gdzie pani oddaje swoje pranie na sucho, pani Fletcher? – spytał Rushton.

– Moje co? – zdumiała się Alice.

– Pranie. W Goodshaw Bridge jest kilka pralni chemicznych, korzysta pani z którejś?

– Pewnie bym korzystała – odparła – gdybym miała co do nich zaność. Jeśli już, to rzeczy do prania na sucho oddaję raz w roku.

Zapadła chwila ciszy, w tym czasie Rushton i Jowisz wymienili się spojrzeniami.

– Mam trójkę dzieci – mówiła dalej Alice, jakby się obawiała, że policjant jej nie uwierzy. – Zarabiam na życie malowaniem, a mąż jest budowlańcem. Mam zasadę, że jak czegoś nie można prać normalnie, to tego nie kupuję.

– Rozsądne myślenie – pochwalił Rushton, kiwając głową. – Czyszczenie moich garniturów kosztuje fortunę, przynajmniej zdaniem mojej żony. A czy próbowała pani kiedyś użyć tych domowych zestawów do prania na sucho? No wie pani, takich, co to wszystko wrzuca się do worka z substancjami chemicznymi i wkłada do suszarki?

– Nigdy o takich zestawach nie słyszałam – odpowiedziała Alice.

– Więc nie będzie miała pani nic przeciwko temu, żeby moja koleżanka szybko się rozejrzała po pani szafkach i upewniła, że nie ma tam nic, o czym mogła pani zapomnieć?

Alice zastanowiła się.

– Proszę bardzo – odrzekła w końcu. – Tylko ostrzegam, że nie jest tam najczystiej.

Rushton odwrócił się i skinął do posterunkowej. Policjantka wyszła.

– O co chodzi z tym praniem na sucho? – spytał Harry.

– Oddaję ci głos, Jowisz – powiedział Rushton, odchylając się na oparcie krzesła. W korytarzu rozległ się odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi frontowych; Harry domyślił się, że to posterunkowa wyszła na zewnątrz.

– Technicy znaleźli wczoraj w państwa ogrodzie coś, co nas zastanowiło – zaczął detektyw Neasden, zwracając się do Alice. – Z początku myśleliśmy, że to tylko jakaś zwykła papierowa chusteczka, ale zgodnie z zasadami sfotografowaliśmy ją i oddaliśmy do badania.

Drzwi frontowe znowu się otworzyły. Ktoś szedł w stronę kuchni.

– Jakies pół godziny temu zadzwonili do nas z laboratorium z wiadomością, że udało im się zidentyfikować tę rzecz – ciągnął Neasden. – To zasadniczy składnik domowego zestawu do prania na sucho. Coś w rodzaju wacika nasączonego chemikaliami usuwającymi plamy, który wrzuca się do suszarki razem z ubraniami. To znaczy, kiedy robi się takie pranie na sucho w domu, nie w pralni.

– Będę musiał opowiedzieć o tych zestawach swojej żonie – wtrącił Rushton, który teraz odchyłał się w tył na krześle w dość niebezpieczny sposób.

– Tak, dziękuję, szefie. W każdym razie...

Drzwi kuchni otworzyły się i do środka wróciła posterunkowa z dwoma kolegami.

– Możemy zacząć tutaj, szefie? – spytała. Rushton kiwnął głową, opuszczając przednie nogi krzesła z powrotem na podłogę.

– Pralnia jest tam – poinformowała Alice, pokazując drzwi z tyłu. Dwóch umundurowanych policjantów wyszło z kuchni, a posterunkowa uklękła i otworzyła szafkę pod zlewem.

– Gdzie to ja byłem? – mruknął Neasden. – A tak, wacik do prania chemicznego. Naturalnie zastanawialiśmy się, co on robił w państwa ogrodzie. Był mocno nasączony chemikaliami i nie był specjalnie ani mokry, ani zabłocony, co by sugerowało, że tak jak odciski butów został porzucony w ogrodzie dopiero wczoraj w nocy. Laboranci poinformowali nas też, że ślady tego samego środka chemicznego znaleźli w torbie sportowej pani męża.

– Wacik był w torbie! – zawołał Harry. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Wie pani, po co mąż miałby trzymać zestaw do prania chemicznego w swojej torbie sportowej? – spytał Neasden.

Alice pokręciła głową.

– Gareth nawet nie potrafi obsługiwać pralki – mruknęła.

– Te środki chemiczne w zestawie mają bardzo charakterystyczną woń – odezwał się Rushton, który chyba nie potrafił zbyt długo milczeć. – Pastor musi to znać. Szaty liturgiczne muszą być pewnie prane chemicznie?

Harry skinął głową.

– Zatyka człowieka, kiedy się je wyjmuje z foliowych opakowań.

– A kiedy zdejmowaliśmy pościel z łóżka pani córki, coś poculiśmy. No, Jowisz poczuł. On ma świetny węch.

– Jak się córka dzisiaj czuła? – spytał Neasden. – Zauważyła pani coś niezwykłego? W nocy badał ją lekarz, prawda?

– Tak – potwierdziła Alice, która wyraźnie znowu zaczęła się bać. – Powinnam chyba pójść i zobaczyć...

– Ja pójdę – oznajmił Harry. Odsunął się od stołu i zatrzymał się. Nie chciał wychodzić, chciał usłyszeć, do czego to wszystko zmierza.

– Lekarz stwierdził, że wygląda dobrze – stwierdziła Alice. – Była lekko senna, ale poza tym wszystko z nią było w porządku. Pan doktor nie niepokoił się o nią, poprosił tylko, żebym ją dzisiaj przyprowadziła na powtórne oględziny.

– Jakiś kaszel? Katar? Zacerwienie oczu? – dociekał Neasden.

Alice kiwnęła głową.

– Ciągle tarła oczy. Co jej się stało?

– W opowieści pani syna najbardziej zastanowiło nas – tłumaczył Rushton – bo tak szczerze, to coś mi mówiło, że syn nie kłamie... no więc, zastanawiało nas to, w jaki sposób włamywacz mógł wynieść małe dziecko w torbie, a ono nie płakało, nie obudziło krzykiem całego domu. Teraz to trochę bardziej zrozumiąle.

– A ja nadal nie rozumiem... – Harry zdążył już dotrzeć do drzwi.

– Głównym składnikiem w tych wacikach jest polieter glikolu – wyjaśnił Neasden.

– Poli co? – zdziwiła się Alice.

– Zapomnijmy o pierwszym wyszukany członie – mruknął Rushton. – Mowa o eterze. Przez lata stosowanym jako wprawdzie prymitywny, ale jednak środek usypiający. Przykro mi to mówić, ale wygląda na to, że ktoś uśpił Millie, przykładając jej do twarzy wacik nasączony eterem. Na dorosłego prawie na pewno by to nie podziałało, może nawet nie na chłopców, ale Millie jest taka mała, poza tym i tak już spała, więc przypuszczalnie to wystarczyło, żeby była senna i dała się spokojnie wynieść w torbie.

Alice cicho krzyknęła i ruszyła w stronę Harry'ego.

– Idę – wymamrotał i otworzył drzwi. Dał cztery kroki i stanął przed drzwiami prowadzącymi do salonu. Pociągnął je do siebie, wiedząc, że Alice jest tuż za nim. Evi i trójka dzieci siedzieli na podłodze. Cztery twarze, niemożliwe było ocenić, która była najładniejsza, zwróciły się w jego stronę. Zanim zdążył się zdecydować, Alice już się przepchnęła obok niego.

– Mama! – zawołała Millie, jej mała twarzyczka rozpromieniła się, potem dziewczynka zapiszczała z rozdrażnieniem, kiedy matka wzięła ją na ręce i przytuliła do piersi.

Do pokoju weszli Rushton i Neasden.

– No dobrze – zadudnił głos Rushtona. – Superbohaterze Tomie i jego wierny pomocnik, Niezwyciężony Joe – zdaje się, że muszę sobie z wami dwoma porozmawiać jeszcze raz.

Może umieszczą tu tabliczkę ku naszej pamięci, jak już umrzemy i nie będzie nas już na tym padole łez – zażartował Harry. – Nie zimno ci?

– A co? – spytała Evi. – Oddasz mi swoją kurtkę?

Harry nie przestawał patrzeć przed siebie.

– Podzielę się – zaproponował.

Evi czekała, myśląc, że się do niej odwróci i uśmiechnie. Nie poruszył się.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziała, chociaż prawda była taka, że wyglądał nie tylko tak. Wydawało się też, że schudł i jakby się postarzał. Mężczyzna, z którym rano spotkała się w szpitalu, nie był tym Harrym, którego znała. Ktoś inny zajął jego miejsce. I ten ktoś inny wciąż tam tkwił.

– Tak, cóż, przez pierwszą połowę nocy myślałem o tobie – wyznał, nadal ze wzrokiem utkwionym w budynku po drugiej stronie ulicy. – Potem zadzwonił telefon.

Po uczuciu pustki w brzuchu Evi domyślała się, że musi być środek dnia, ale słońce nie zdołało się jeszcze przebić przez mgłę. Tak wysoko na wrzosowiskach nieomal ją czuła, zimną i lepłą, wdzierającą się po kryjomu do płuc.

– Muszę pójść sprawdzić, co u Gillian. – Wiedziała, że powrót do tamtego mieszkania to ostatnia rzecz, jaką miała ochotę zrobić. Wyprostowała się na ławce i spojrzała w dół wzniesienia. – Odprowadzisz mnie do samochodu? – poprosiła.

– Nie – burknął, odchylił się i splótł ramiona na piersi.

– Nie? – Wczoraj wieczorem całował ją, tańczył z nią, a teraz nie stać go nawet na taki mały gest uprzejmości?

– Potrzebujesz chwili odpoczynku – oznajmił, wreszcie odwracając do niej głowę. – Oboje tego potrzebujemy. Chwili refleksji w tym jakże niezwykłym dniu.

– Nie zaczniesz mi chyba wygłaszać kazań, co? – zaryzykowała. – Bo jak mi każesz pochylić głowę, to zacznę chichotać.

– Naprawdę nie pojmuję, jak twoi pacjenci mogą brać cię na poważnie. – Przynajmniej znów się uśmiechał, jakoś do niego dotarła.

Jej uwagę przykuł ruch u podnóża wzniesienia. Podniosła głowę, żeby spojrzeć ponad ramieniem Harry'ego, gdy się odwrócił. Z podjazdu tyłem wyjeżdżało auto Alice. Z tylnego siedzenia patrzyła na nich mała twarzyczka. Dłoń pomachała. Potem samochód ruszył przed siebie, minął kordon policjantów i pojechał w dół. Komendant Rushton i detektyw Neasden wsiedli do granatowego kombi i udali się w ślad za Fletcherami.

– Czy z Millie będzie wszystko dobrze? – spytał Harry.

– Na pewno – potwierdziła szybko. – Zaczerwienienie oczu i nosa minie po jednym dniu. Przez kilka następnych może się czuć trochę senna, będzie marudna, ale to wszystko.

– Wykryją ślady tego specyfiku w jej krwi? – dopytywał się dalej Harry.

– Prawie na pewno.

Ktoś jeszcze wyszedł z domu Fletcherów. Hannah Wilson, jasnowłosa pracownica opieki społecznej.

– Paniusia Wkurzona wspominała o czymś, co się nazywa zapobiegawczy nakaz sądowy – mruknął Harry. – Powinniśmy się tym martwić?

– Zadzwońię do jej przełożonego, kiedy wrócę – zapowiedziała Evi. – Dopilnuję, żeby mnie informowali, czy będą coś składali do sądu. Przy okazji gratuluję, że udało ci się powstrzymać od zerkania na jej biust.

– Blondynki na mnie nie działają. Wystąpisz ze sprzeciwem, jeśli coś złożą?

Evi chwilę myślała, w tym czasie Hannah Wilson wsiadła do małego czerwonego hatchbacka i odjechała.

– Jeśli uznam, że to konieczne, Harry, sama złożę prośbę o nadzór – odparła. – Nie, tylko się znów nie wściekaj. Te dzieci są narażone na ryzyko. Uwzględniając wydarzenia z nocy, nie sądzę, żeby ktoś w to dalej wątpił.

– Ale odebranie ich matce i ojcu...

– Nakaz zapobiegawczy nie oznacza, że zostaną odebrani rodzicom. Miejscowe władze będą tylko miały prawo zadbać o ich bezpieczeństwo. Gareth Fletcher ma rodziców, którzy mieszkają niedaleko, nieprawdaż?

Harry kiwnął głową.

– Tak mi się wydaje – odrzekł. – W Burnley.

– No to w takim razie magistrat może zadecydować, że dzieci powinny przenieść się na jakiś czas do dziadków, oczywiście za pełną zgodą i przy pełnej współpracy Alice i Garetha.

– Jak długo mieliby tam mieszkać?

Pokręciła głową.

– Trudno powiedzieć. Nakaz zapobiegawczy zwykle wystawia się na kilka dni, ale często są wydawane nakazy na opiekę długoterminową. Och, przestań tak na mnie łypać. Nigdy nie uważałam, że problemem są rodzice tych dzieci. Ale jakiś problem istnieje.

– Rushton przydzielili ludzi do obserwacji domu – zauważył Harry.

– I jak długo będzie to trwało? Nie ma tylu ludzi, żeby mógł pilnować domu w nieskończoność. I nawet jeśli się okaże, że te dzieci z cmentarza zostały zamordowane, jeśli jakiś psychopata poluje tutaj na małe dziewczynki, to te martwe dzieci zginęły wiele lat temu. Policja nie tak szybko odnajdzie sprawcę.

Harry nic nie odpowiedział. Evi miała rację.

– A w czasie, gdy policja będzie szukała zabójcy, dzieci Fletcherów będą w dalszym ciągu zagrożone.

Prawda. Nie dawało się ukryć. Harry niechętnie lekko kiwnął głową.

– Chwilę temu przeprowadziłam z Tomem dłuższą rozmowę – poinformowała Evi. – Zaczął wreszcie mówić o tej małej dziewczynce.

– I...

– Cóż, jestem prawie pewna, że nie kłamie. Ktoś go próbuje nastraszyć i myślę, że to, co mówiłeś wczoraj wieczorem, jest być może słuszne. Ktoś się tu nieładnie zabawia. Może przebiera w jakiś kostium z Halloween. Dziewczynka najczęściej pojawia się nocą i Tomowi nie udało się nigdy dobrze jej przyjrzeć. Twierdzi, że zwykle prawie w ogóle jej nie widzi. Widzi tylko mignięcia, słyszy, jak ona coś do niego woła.

– Czy on myśli, że to ona zaprowadziła Millie na galerię wtedy we wrześniu?

– Tak, jest przekonany, że to ona.

– I uważa, że ona porwała Millie wczoraj w nocy?

Evi odwróciła się. Czy tylko jej się wydawało, czy Harry naprawdę przysunął się na ławce bliżej do niej?

– Z początku tak myślał – potwierdziła. – Ale kiedy o tym porozmawialiśmy, uzmysłowił sobie, że to nie mogła być ona. Włamywacz, którego opisał, zupełnie nie wyglądał jak ta dziewczynka – przede wszystkim był o wiele wyższy i zupełnie inaczej ubrany. Paniusia Wkurzone Majtasy, jak ją nazwałeś, była na tyle sprytna, że zwróciła uwagę na to, że ktokolwiek kopnął Toma, zrobił to obutą nogą.

– Nie mówiłem nic o żadnych majtasach. Nie interesuje mnie bielizna Paniusi Wkurzonej. To, co się tu dzieje, ma coś wspólnego z kościołem. Jestem o tym

przekonany.

– Z kościołem?

– Wiemy na pewno, że jedno z tych dzieci – Lucy Pickup – zginęło w kościele. To samo o mało nie spotkało Millie Fletcher. Pójdę o zakład, że te dwie pozostałe dziewczynki też tak zginęły. Ktoś je zaprowadził na galerię i zrzucił.

Evi dała sobie chwilę na przyswojenie tych słów.

– Cztery małe dziewczynki – mruknęła. – Kto by coś takiego zrobił?

– Są zrzucane z galerii, a ich ciała trzymane w krypcie. Gdyby Millie spadła tamtej nocy, gdybyśmy nie znaleźli jej w porę, ona też by tam trafiła. Taki przypuszczalnie był plan z Lucy, tylko Jenny bardzo szybko ją znalazła.

Evi poczuła dziwne mrowienie między łopatkami. Objęła się ramionami, żeby drżenie nie mogło się rozprzestrzenić.

– To dość śmiała hipoteza, pastarze – zauważyła.

– W przeszłości byłaś dobrą katoliczką, prawda? Słyszałaś kiedyś o Niezniszczalnych?

Evi chwilę się zastanowiła i pokręciła głową.

– Chyba nie.

– Myślałem o tym wcześniej, podczas oględzin zwłok. Kiedy zobaczyłem Megan i Hayley. Ich ciała się zakonserwowały. Prawie w ogóle nie uległy rozkładowi.

– Słucham cię.

– Katolicy i chrześcijanie prawosławni wierzą, że ciała niektórych ludzi, najczęściej świętych, nie rozkładają się po śmierci – zaczął wyjaśniać. – Duch Święty zachowuje ich ciała w stanie nienaruszonym. To są właśnie Niezniszczalni.

– Niezniszczalni duchem i ciałem? – dopełniła Evi.

Kiwnął głową.

– To jeden ze znaków wskazujących kandydata do kanonizacji – ciągnął. – Mogę ci podać niezliczone przykłady. Święta Bernadeta z Lourdes, Ojciec Pio, święta Wirginia Centurione, wielu papieży.

– Ale z tego, co mi mówiłeś, mumifikacja, a przecież o tym w zasadzie mowa, to proces zachodzący naturalnie.

Harry cicho się roześmiał.

– Oczywiście – przyznał. – Nie zamierzam twierdzić, że w tym przypadku chodzi o interwencję Ducha Świętego, daleki jestem od tego. Po prostu zastanowiło mnie to. – Odwrócił do niej twarz. Oczy miał przekrwione, a na czole widniały zmarszczki, których wcześniej nie zauważyła. – Widzisz, jeśli nie przyjmie się

teorii o działaniu mocy nadnaturalnych – ciągnął – można wnioskować, że jednym z powodów, dla których zwłoki tak wielu członków kleru nie uległy rozkładowi, jest to, że szczątki były umieszczane w miejscach sprzyjających mumifikacji – zimnych, suchych kościelnych kryptach, w szczelnych kamiennych grobowcach. Zupełnie jak te bezpośrednio pod nami.

Evi nie była w stanie przestać zerkać pod nogi.

– Mówiłeś o tym Rushtonowi? – spytała.

– Tak. Jest na razie sceptyczny, bo krypta była dokładnie przeszukana zaraz po zaginięciu Megan. Ale ma zamiar znów tam pójść. Jeśli przebadają kryptę dostatecznie starannie, znajdą ślady.

– Będzie chciał cię mieć w ekipie – zażartowała Evi, próbując się uśmiechnąć.

Harry nadal się jej przyglądał.

– Jest okropnie dotykalski – rzucił. – Ciągłe kładzie mi rękę albo na łokciu, albo na ramieniu. Myślisz, że wpadłem mu w oko?

Evi wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię wyobrazić sobie powodu, dlaczego miałbyś nie wpaść – odrzekła.

– Dobra odpowiedź. Wieczorem jesteś zajęta?

Odwróciła twarz.

– Nie – rzuciła z wahaniem. – Ale...

– Dlaczego zawsze musi być jakieś „ale”? – burknął.

Znów na niego spojrzała.

– Nie mogę teraz przestać przyjmować Gillian – oznajmiła. – Trafiliśmy na zły moment. A nie trzeba geniusza, żeby zobaczyć, że ona za tobą szaleje.

– I to ma być moja wina? – Wziął ją za rękę, pociągnął za rękawiczkę. Czują jego palce na nadgarstku. Chciała zabrać dłoń, ale jej nie pozwolił.

– Może i nie – odparła. – Ale czy twoja, czy nie, to twój problem. Głowa do góry, pewnie są jakieś wytyczne, do których możesz się odwołać. Kobiety zakochują się w księżach od zawsze. – Ściągnął rękawiczkę z jej palców. Evi wstrzymała oddech.

– Nigdy te, które powinny – mruknął Harry, zamykając jej dłoń w uścisku. – I co masz na myśli przez to „może i nie”?

– Posiadasz sporą dawkę czaru, pastorze. Nie uwierzę, że rezerwujesz go cały jedynie dla mnie.

– Cóż, i tu się mylisz. Dla ciebie i dla nadinspektora Rushtona, oczywiście. – Jego palec wskazujący wśliznął się pod rękaw jej kurtki. – Masz taką miękką skórę

– zamruczał.

– Jeśli się okaże, że to dziecko, które znaleźli w nocy, to Hayley – zaczęła, biorąc go za rękę i stanowczo ją odsuwając – nawet nie będę próbowała sobie wyobrazić, jak na to zareaguje Gillian. Nie mogę przestać jej przyjmować, nawet dla...

Zamilkła. Tak naprawdę nie musiała mówić tego głośno.

– Jeśli się okaże, że znalezione wczoraj dziecko to Hayley – odpowiedział Harry, znowu odchylając się na oparcie ławki – będę musiał je pochować.

Miał pastor rację. Były trzymane w krypcie. W trzecim grobowcu z rzędu od frontu. Znaleźliśmy ślady ich włosów i krwi, obu dziewczynek. Innych płynów ustrojowych też. Nawet guzik.

– Pokój ich duszom – mruknął Harry.

– Tak, racja. – Głos Rushtona w telefonie był zaskakująco przygaszony. – Oczywiście podczas poszukiwań Megan przeszukiwaliśmy te grobowce, ale wtedy były puste. A więc to jasne, że była trzymana gdzie indziej, być może nawet w domu zabójcy, kiedy jej szukaliśmy, a gdy sprawa trochę przycichła, została przeniesiona.

Harry spojrzął na zegar. Szósta wieczorem. Jest sens dzwonić do Evi? Od ich ostatniej rozmowy minęły cztery dni, a i wtedy ledwie odebrała telefon.

– Znaleźliśmy też ślady krwi w głównej części kościoła – kontynuował Rushton.
– Jak to się nazywa, nawa?

Harry coś wymamrotał.

– Bezpośrednio pod galerią. Posadzka została wyszorowana, ale spomiędzy płyt wydłubaliśmy kawałki zaprawy – wyjaśniał Rushton. – Udało nam się potwierdzić, że to krew obu dziewczynek.

– I zostało potwierdzone, że to Megan i Hayley?

Rushton westchnął.

– Tak. Kilka dni temu przyszły wyniki testów DNA. Ale i tak nikt z nas nie miał wątpliwości. Nadal czekamy na informacje co do prochów z urny przekazanej Gillian Royle. Oby się tylko nie okazało, że to kolejne zaginione dziecko.

– Oby – zgodził się Harry. – Wytypowaliście już jakichś podejrzanych?

– Kilka tropów mamy i je sprawdzamy – odparł Rushton.

Harry czekał.

– A co z kukłą, którą znalazłem pod galerią? – spytał, kiedy się zorientował, że

Rushton nic więcej nie doda.

– Rozmawialiśmy z rodziną, która ją zrobiła – przyznał detektyw. – Twierdzą, że szukali jej w dzień ogniska i nie mogli znaleźć. Zarzekają się, że nie mają pojęcia, jakim sposobem mogła się znaleźć w kościele. Jest kilka odcisków niepasujących do niczyich w rodzinie, możliwe więc, że mówią prawdę. Ale sweterek należał do Millie Fletcher, jej matka go rozpoznała.

– I jak to się stało, że był na kukle?

– Przypuszczamy, że ktoś musiał go zabrać ze sznura na bieliznę. Żaden problem, tak naprawdę, bo do ogródka jest łatwy dostęp. Zwiększyłem liczbę policjantów w mieście, przez kilka kolejnych tygodni będziemy bacznie obserwowali dom. – Znowu wyrwało mu się ciężkie westchnienie. – Rozmawiamy z Tomem i z jego psychiatrą o tej małej dziewczynce, która rzekomo się tam kręci – dodał. – Musimy ją wyśledzić.

– Na pewno mieszka w miasteczku – stwierdził Harry. – Znalezienie jej nie powinno być trudne. – Rushton rozmawiał z Evi. Wszyscy ją widywali, tylko nie on.

– Problem w tym, że Tom ma bardzo rozbudowaną wyobraźnię. Opowiada o tej dziewczynce, jakby to była jakaś istota z zaświatów, a nie człowiek. Trudno, żebyśmy chodzili od domu do domu i szukali potwora w ludzkiej skórze.

– Domyślam się.

– I zidentyfikowaliśmy źródło odcisków butów znalezionych w ich ogrodzie tamtej nocy. Kalosz, tak jak myśleliśmy, rozmiar ósmy, podeszwa z gumy, wyprodukowane we Francji. Niestety każdego roku importowanych jest kilka tysięcy par takich kaloszy i na samym północnym zachodzie jest co najmniej tuzin dostawców.

Zaraz po zakończeniu rozmowy z Rushtonem Harry spróbował dodzwonić się do Evi. Odebrała jej automatyczna sekretarka, więc nagrał wiadomość. Potem przeszedł przez swój spowity ciszą dom, otworzył tylne drzwi i wyszedł do ogrodu. Usiadł na wilgotnej porośniętej mchem ławce pod nagim krzewem magnolii i zaczął się modlić.

Część 4

NAJDŁUŻSZA NOC

61

17 grudnia

O ile ma to jakiegokolwiek znaczenie, uważam, że tym razem było lepiej niż za pierwszym razem. Krócej. Mniej stania na wietrze.

Harry odwrócił się i zobaczył Tobiasa Renshawa, który podszedł do niego od tyłu, przedarłszy się wcześniej przez tłumek żalobników zebranych w dużym holu domu Renshawów. To naprawdę nie był jego dzień. Po drugim pochówku Lucy w nowym grobie, położonym trochę niżej niż pierwszy, wrócił pędem do kościoła, łopocząc połamami sutanny, żeby spróbować złapać Evi, zanim zniknie – znowu – i praktycznie wpadł na grupę dziennikarzy czających się przy wejściu do kościoła. Teraz naprawdę nie był w nastroju na rozmowę z tym nieznośnym starcem. Udał, że rozgląda się z przejęciem po pomieszczeniu.

– Mike chyba jeszcze nie wrócił z cmentarza – zauważył. – Mógłbym wyskoczyć, żeby go poszukać. Zdaje się, że dość ciężko to wszystko znosi.

– Kto? – spytał Tobias. – A, mąż Jenny. Szczerze mówiąc, nie przepadam za nim. Od początku robił na mnie złe wrażenie. No, ale Jenny jest z nim chyba szczęśliwa. Co słyhać u pięknej Alice i jej uroczej córeczki? Widziałem je przed chwilą w kościele. Nie przyjdą tu?

– Nadinspektorze – rzucił Harry z ulgą na widok Rushtona, który pojawił się u

boku Tobiasa. – Miło pana widzieć.

– Mnie też, chłopcze. – Rushton kiwnął głową do Harry’ego, potem zwrócił się do starszego mężczyzny. – Panie Renshaw, proszę przyjąć moje kondolencje.

– Tak, tak – odpowiedział Tobias. – Przynieść panom drinka? Wydawałoby się, że skoro konieczny był drugi pogrzeb, ktoś pomyśli o jakimś wsparciu. No, ale cóż... – Harry i Rushton patrzyli, jak starzec oddala się do stolika z drinkami.

– Staruszek jest nieszkodliwy – rzucił Rushton ściszym głosem.

– Skoro pan tak twierdzi – mruknął Harry z niechęcią, nie mając energii nawet na to, by ukrywać, co czuje. – Ale powiem panu, co mnie zastanawia.

– Co takiego, chłopcze?

– Czy wszystko tutaj – ziemia, farmy, majątki – czy to wszystko nie należy właśnie do Tobiasa? W końcu jest najstarszy z Renshawów. A jednak wydaje się, że kontrolę nad wszystkim trzyma Sinclair.

– Bo kilka lat temu całość została przepisana na niego – wyjaśnił Rushton. – Pamiętam, że Tobias chciał przejść na emeryturę, a Sinclair nie zgadzał się go zastąpić, dopóki nie dostanie we wszystkim wolnej ręki.

W oddechu drugiego mężczyzny Harry wyczuł woń papierosów i kawy.

– Zmusił ojca do zrzeczenia się kontroli nad majątkiem? – zdziwił się.

– Brzmi to gorzej, niż faktycznie było. Przecież i tak wszystko ostatecznie trafiłoby w ręce Sinclaira. Majątek podlega dziedziczeniu. Przez najstarszego syna. No, ale cieszę się, że złapałem pastora. Jeśli wolno, chciałbym zamienić z pastorem słowo na osobności.

Harry pozwolił się zaprowadzić w spokojniejszy róg dawnej sali szkolnej, zauważył też, że obserwuje ich Gillian.

– Dostaliśmy wyniki najnowszych testów DNA – obwieścił cicho Rushton. On też dostrzegł Gillian. – Wie pastor, te ze spalonych szczątków, które pani Royle trzymała w swojej szafce w kuchni. Trwało to dłużej, niżbyśmy chcieli, ale w końcu wyniki dotarły.

– I?

– Idealnie dopasowane do naszego przyjaciela Arthura.

Harry westchnął. Na stole z drinkami stała butelka irlandzkiej whisky, ale nie był to nawet środek dnia, a jego czekało pracowite popołudnie.

– Czyli uporządkujmy to sobie – rzucił. – Prochy, które Gillian Royle przez cały czas miała w szafce w kuchni, w rzeczywistości są prochami siedemdziesięcioletniego mężczyzny, Arthura Seacrofta, pochowanego obok

pierwszego grobu Lucy, tak?

– Cóż, ściśle rzecz biorąc, są to prochy tylko jego prawej nogi – uściślił Rushton.
– Cała reszta nadal leży w grobie. Dzięki, kochanie, to bardzo miłe.

Podeszła Christiana Renshaw z tacą kanapek. Rushton wziął dwie. Harry pokręcił głową i zaczekał, aż Christiana odejdzie do następnej grupy.

– Czyli że ktoś rozkopał grób Arthura – rzekł – zabrał jego jedną nogę, włamał się do domu Gillian, porwał Hayley, w jej łóżeczku zostawił nogę Arthura, a potem wzniecił pożar.

Rushton chwilę żuł kanapkę, potem przełknął.

– Trzeba przyznać, że mieli tupet – mruknął. – Bez ludzkich szczątków strażacy nabraliby podejrzeń. Gdyby nic nie znaleźli, twierdzenie Gillian, że córka nie zginęła w pożarze, wydawałoby się wiarygodniejsze. Skończyłoby się poważną akcją poszukiwawczą. Znaleźlibyśmy zwłoki w krypcie. Noga Arthura zapobiegła temu wszystkiemu. Nie szukaliśmy Hayley. Kolejny poważny błąd na moim koncie, z którego będę się musiał tłumaczyć, kiedy już spotkam się z naszym Stwórcą.

– Patrzenie wstecz i refleksja to świetna sprawa – przytaknął Harry. – Widziałem raport z pożaru. Gillian mi pokazała. Inspektor pożarowy nie miał podstaw podejrzewać podpalenia.

Rushton nic nie odpowiedział. Dalej konsumował kanapki, ale robił to w sposób automatyczny.

– Dotarł też do nas raport entomologa – poinformował po minucie. – Rozpisuje się w nim o składaniu jaj, cyklach wylęgu, muchach żerujących na żywności, na materii organicznej, na zwłokach – wybaczy pastor, owady to nie moja działka. Ale mówiąc krótko, facet uważa, że Megan i Hayley dołączyły do Lucy w jej grobie w początkach września.

– Mniej więcej w czasie wznowienia działalności kościoła – zauważył Harry.

– Dokładnie. – Rushton dokończył pierwszą kanapkę i zabrał się do drugiej. – Ktokolwiek za to odpowiada, ten ktoś nie chciał ryzykować, że ta trójka zostanie znaleziona przez nowego pastora, kiedy postanowi zajrzeć do krypty. Zwłoki przeniesiono do grobu, najlepszego, moim zdaniem, miejsca na ukrycie ciał. On lub ona nie brali pod uwagę chłopaków Fletcherów i ich nocnych eskapad.

Po drugiej stronie sali znów pojawiła się Christiana. Taca z kanapkami została uzupełniona.

– Christiana wie więcej, niż nam mówi – stwierdził Harry.

Rushton odwrócił się, żeby popatrzeć na córkę Sinclaira. Chodziła wolno, ale dość wdzięcznie jak na tak dużą kobietę.

– Skoro tak twierdzisz, chłopcze – mruknął. – Ale kiedy z nią rozmawiałem, powiedziała tylko, że jest zaniepokojona, że te dwie dziewczynki zginęły dokładnie w taki sam sposób jak Lucy. I że Millie Fletcher spotkało prawie to samo. Musi pastor przyznać, że ma rację. I zanim pastor spyta, sama z siebie zaproponowała, żebyśmy zdjęli jej odciski – nie było ich na kukle, którą pastor znalazł, ani na karafce, którą Mike przyniósł do zbadania w październiku.

– No cóż, pewnie ma pan rację – zgodził się Harry. – Wyciągam zbyt pochopne wnioski.

– Wie pastor, że rozmawiałem z nią rano po tym, jak znaleźliśmy ciała? – dodał Rushton. – Chciałem, żeby zidentyfikowała tę piżamę.

Harry kiwnął głową.

– Pokazałem ją Jenny i Christianie. Jenny nie była pewna – cóż, tego dnia była bardzo przybita, ale Christiana, no, przeszła samą siebie, naprawdę. Przyniosła swój koszyczek do szycia i pokazała mi wzory, na podstawie których lata temu wyhaftowała te zwierzęta. A potem podała dokładny numer koloru poszczególnych nici, których używała. To dziwna dziewczyna, ale na swój sposób bardzo bystra.

– Jakież nowości w sprawie kaloszy? – spytał Harry, a potem czekał, aż Rushton dokończy kanapkę.

– Ślepa uliczka – odparł w końcu. – Miałem nadzieję, że uda nam się ustalić konkretną serię, ale nie ma tak dobrze. Jeśli znajdziemy sam but, będziemy mogli go przyrównać, ale tutaj wielu ludzi chodzi w kaloszach.

Kiedy Rushton mówił, Harry znów spostrzegł Gillian. Podniosła do ust szklaneczkę z kolorowym płynem i wypła prawie wszystko. Rushton podążył za jego spojrzeniem i obaj patrzyli, jak Gillian przedziera się do stolika z drinkami. Lekko się chwiejąc, sięgnęła po jedną ze stojących na nim butelek.

Początkową reakcją Gillian na wieść, że jedno z ciał odkrytych przez Toma Fletchera w grobie Lucy, to Hayley, była radość, że potwierdziło się, że miała rację: jej córka nie zginęła w pożarze, jak zawsze twierdziła. Ale zaraz po radości nadeszła męka, bo Gillian nie potrafiła przestać sobie wyobrazać ostatnich godzin życia córeczki. Nawet bez rozmowy z Evi Harry wiedział, że w stanie psychicznym Gillian nastąpił znaczący regres.

Rozejrzał się pospiesznie po pomieszczeniu. Nigdzie nie dostrzegł matki dziewczyny.

– Przepraszam na chwilę – zwrócił się do Rushtona.

Starszy mężczyzna skinął głową.

– Tak, tak, idź, chłopcze – zachęcił. – Chociaż, szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy w czymkolwiek jej pomożesz.

No dobrze, oto zasady – powiedziała Evi, spoglądając w dół na trzy czujne, wyrażające zainteresowanie twarze przed nią. Znajdowali się w pokoju przesłuchań w szpitalu. Dzieci Fletcherów siedziały naprzeciwko niej w miniaturowych kolorowych fotelikach.

– W tym pudełku są śmieszne maski, a także kilka strasznych – wyjaśniała. – Dlatego jeśli tylko któreś z was poczuje strach czy jakikolwiek niepokój, możemy przerwać. Joe i Millie, jeśli wolicie usiąść przy stole i rysować albo pobawić się zabawkami z pudełka, to proszę bardzo, śmiało. Jeśli wolelibyście zostać z Tomem i mu pomóc, też możecie.

– Ja chcę rysować – oświadczył Joe.

Evi wskazała na niski stolik, na którym leżały już papier i kredki. W rogu pokoju siedziały Alice i detektyw Liz Mortimer. Evi poprosiła wcześniej obie kobiety, żeby nie rozpraszały niczym dzieci i ich nie korygowały. Za dużym lustrem na ścianie detektyw Andy Jeffries obserwował, co się dzieje w pokoju, i robił notatki.

– W porządku, Tom – odezwała się znowu Evi. – Jesteś gotowy, żeby zajrzeć do pudełka?

Tom kiwnął głową. Wyglądał na lekko wystraszonego, ale też, zdaniem Evi, na całkiem zadowolonego skupioną na niego uwagą. Evi zsunęła się na dywan. Klęczenie, nawet przez krótki czas, to niedobry pomysł, za który później zapłaci, ale w tym przypadku było to nieuniknione. Zdjęła pokrywkę z pudełka, świadoma tego, że Alice patrzy spod osłony utworzonej z palców lewej dłoni, na jej kolanach leżało jakieś czasopismo. Evi sięgnęła do środka.

– Myślę, że ta to... – Szybko zerknęła na maskę, którą wyciągała. – Scooby Doo – dokończyła, podnosząc w górę kartonowy pysk psa.

Tom uśmiechnął się i wyraźnie rozluźnił.

– Mogę włożyć? – spytał.

Evi podała mu maskę, a Millie zsunęła się ze swojego fotelika i podeszła do pudełka. Tom włożył maskę na głowę i odwrócił się, żeby przejrzeć się w dużym

lustrze. Alice spojrzała w górę, uśmiechnęła się i znów spuściła oczy na kolana i czasopismo na nich. Millie podniosła pokrywkę na pudle i położyła ją sobie na główkę.

– Dobrze – rzuciła Evi, znowu wkładając rękę do pudełka. – Kolejna to Basil Brush. Mogę ją włożyć?

– Jutro jedziemy na pantomimę – oznajmił Tom. – Do Blackburn. To wycieczka szkolna.

Przygotowanie testu, który Evi przeprowadzała z dziećmi, zajęło jej kilka tygodni. Na pomysł wpadła krótko po tym, jak Tom opowiedział jej o dziwnej małej dziewczynce. Po wysłuchaniu jego opisu przedstawiła ekipie śledczej swoją teorię o tym, że jej zdaniem ktoś, prawdopodobnie jakieś starsze dziecko czy nastolatek kręci się koło domu, a nawet co najmniej raz się do niego zakradł, i że ten ktoś zasłania twarz czymś w rodzaju maski karnawałowej. Jeśli udałoby im się ustalić, jaka to maska, policja mogłaby spróbować wykryć, gdzie była ona sprzedana i komu. Teoria była mało prawdopodobna, tym bardziej że nie istniał żaden dowód na to, iż mała dziewczynka Toma miała cokolwiek wspólnego z próbą porwania Millie, ale policjanci zgodzili się spróbować.

Po podjęciu decyzji o przeprowadzeniu testu członkowie ekipy zebrali razem wszystkie maski, karnawałowe, na bale maskowe, halloweenowe, jakie tylko udało im się znaleźć w sklepach i w Internecie. Evi odrzuciła te, które zupełnie nie odpowiadały opisowi podanemu przez Toma, i dodała kilka śmiesznych, mniej przerażających, które miała wyjąć z pudełka w pierwszej kolejności.

Teraz Tom już sam sięgał do pudła, po czym odwracał się do lustra, żeby zobaczyć, jak wygląda w nowej masce. Millie naśladowała brata, zaplątując sobie gumkę od maski we włosach. Joe starannie ignorował obydwójce. Maski stopniowo robiły się coraz mroczniejsze, coraz bardziej straszne, nie były już maskami wyprodukowanymi z myślą o zabawach dla dzieci.

– Mamo, popatrz! – zawołał Tom. – Podniósł się z za dużą na niego maską na twarzy. Maską przedstawiała mężczyznę, prymitywnego wieśniaka, z cieknącą z ust śliną.

– Co proszę? – Alice oderwała wzrok od czasopisma. – Och, bardzo ładnie.

– Wiesz, kim jestem? – dopytywał się Tom. – Służącym z tego filmu *Młody Dracula*. Tym, który na śniadanie robił owsiankę z nietoperzy.

– Ooo, chyba rozpoznaję – odpowiedziała Alice. – A coś ładniejszego też tam jest?

Tom odwrócił się do pudełka, Millie podeszła do matki w naciągniętej na twarz masce Niesamowitego Hulka. Włożonej do góry nogami.

Pół godziny później Tom dotarł do dna pudełka i Evi była gotowa ogłosić przegraną. Na plus mogła zaliczyć to, że ćwiczenie nie zdenerwowało żadnego z dzieci. Tom potraktował je jako świetną zabawę, przymierzając każdą maskę, a nawet do przymierzenia kilku nakłaniając Evi. Millie też dołączyła do zabawy, choć jakiś czas temu znudziła się nią i teraz siedziała na kolanach u matki. Joe kompletnie ignorował rodzeństwo, był skupiony na rysowaniu. Już od ponad trzydziestu minut mozolił się z tym samym rysunkiem. Ale Evi nie widziała, co to jest, bo Joe siedział za daleko.

Zegar w rogu pokoju pokazywał, że jest dwadzieścia pięć po szóstej.

– Obawiam się, że będziemy musieli na tym skończyć – oznajmiła Evi, zerkając w stronę wielkiego lustra. – Tom, dziękuję ci. Byłeś bardzo dzielny. I bardzo mi pomogłeś. Tobie też dziękuję, Millie. – Zerknęła w stronę Alice i detektyw Mortimer w rogu pokoju. Alice wygięła brwi w milczącym pytaniu. Evi pokręciła głową. Alice wstała z Millie na rękach. Oczy dziewczynki były szkliste, mała wtuliła się w matkę.

– Warto było spróbować – wymamrotała policjantka, też się podnosząc.

– Chodźcie, chłopcy – rzuciła Alice. – Co zrobiliście z kurtkami? Joe, skończyłeś już?

Evi prawie by o nim zapomniała. Przez cały czas, gdy bawiła się z Tomem i Millie, Joe zachowywał się bardzo cicho. Teraz wstał, przyjrzał się z góry swojemu rysunkowi, a potem podszedł z nim do Evi. Podał jej rysunek.

Evi go wzięła, czując, że zaciska jej się serce. Rysunek był wyjątkowo dobry jak na wykonany przez sześciolatka. Przedstawiał jakąś postać ubraną w bładoniebieskie ubranie, z długimi jasnymi włosami i karykaturalnie dużymi dłońmi i stopami. Głowa też wydawała się duża, tak jak i oczy z ciężkimi powiekami. Jakiś ruch u jej boku powiedział Evi, że Tom też patrzy na rysunek brata. Podeszły Alice z Millie.

– Ebba! – zawołała dziewczynka i rozpromieniona wyciągnęła rączki do rysunku. – Ebba!

– To ona – powiedział Tom prawie szeptem. – Tak właśnie wygląda.

Cała trójka? Jesteś pewna?

– Całkowicie – odparła Evi. – Joe ją narysował, Tom i Millie obydwójce rozpoznali. Millie nawet miała dla niej imię. Ebba, tak ją nazywała. Ona naprawdę istnieje, ta tajemnicza Ebba. Tylko teraz trzeba ją znaleźć. Puszczasz Springsteena?

– A co, nie można sobie pomarzyć. Poczekaj, ściszę. – Harry sięgnął po pilota i muzyka przycichła. – No to czym ona jest? – spytał. – Dzieckiem, karłem?

– Trudno powiedzieć. Tom na wykresie pokazał mi, jakiego jego zdaniem może być wzrostu. Około metra czterdziestu, co by wskazywało na dziecko ośmio- może dziewięcioletnie. Ale jeśli rysunek Joego jest w miarę wierny, jej dłonie, stopy i głowa są nieproporcjonalnie duże. To by sugerowało dorosłego z zahamowaniem wzrostu. I wygląda, że ma jakiegoś rodzaju guz, może wole, na szyi z przodu.

– Gdyby ktoś taki mieszkał w Heptonclough, ludzie by o tym wiedzieli.

– No właśnie. A ona musi tu mieszkać. W najbliższej okolicy nie ma innych miasteczek.

– Ale jest kilka gospodarstw rolnych, niektóre dość odizolowane. Może być z jednego z nich.

– Ten detektyw, który był z nami, wspominał o tym. Ma porozmawiać z szefem, zbiorą ekipę i zaczną jeździć po domach.

– Potraktowali to aż tak poważnie? Bądź co bądź, to tylko rysunek sześciolatka.

– Dużo więcej nie mają, nie uważasz?

– Co o niej mówił Joe?

– Nic. Rozmawiałam z nim na osobności z dobre pięć minut, ale milczał jak zakłęty. Tom myśli, że Joe obiecał tej dziewczynce, że nie będzie o niej mówił, ale narysowanie jej chyba się nie liczy.

– Myślisz, że mogła go czymś postraszyć? – zaniepokoił się Harry.

– Możliwe. Chociaż wątpię. Joe nie sprawia wrażenia, żeby się jej bał. Rozmowa ze mną go nie zestresowała, tylko milczał. A Millie zareagowała na rysunek tak, jakby zobaczyła przyjaciela.

– A więc Tom wystraszył się na śmierć kogoś, kogo jego brat i siostra się nie boją? Trudno w to uwierzyć.

– Tom jest sporo starszy – przypomniała Evi. – Pod wieloma względami zaczyna myśleć jak dorosły. Joemu i Millie, ponieważ są młodszy, może być łatwiej akceptować Ebbę.

– Ebbę? – zdziwił się Harry.

– Tak, Ebbę. Tak ją nazywa Millie. Oczywiście, to może być wszystko – Emma, Ella, kto wie? Rzecz w tym, że ona naprawdę istnieje.

– I jak dostaje się do domu?

– Cóż, już podobno się nie dostaje, jak twierdzi Tom. Nie widział jej od tamtej nocy, kiedy osunął się mur. Alice i Gareth lepiej zabezpieczyli dom, więc nie może się już do niego zakradać. Tom myśli, że nadal może ich obserwować z dworu, ale nie ma pewności.

– Wpadnij do mnie – rzucił Harry, przestraszony tym, jak bardzo pragnął, żeby to zrobiła.

Żadnej odpowiedzi.

– Gotuję – spróbował jeszcze raz po chwili.

– Wiesz, że nie mogę – odpowiedziała wreszcie.

Coś w nim pękło.

– Właśnie, że nie wiem – odburknął. – Albo wiem tylko tyle, że po raz pierwszy w życiu tracę rozeznanie co do tego, co się wokół mnie dzieje. Ilekroć wyjdę z domu, napadają na mnie dziennikarze, już prawie w ogóle nie mam odwagi odbierać telefonu. Gdziekolwiek się obrócę, natykam się na policjantów. Zaczynam się czuć, jakbym sam był podejrzanym.

– Rozumiem, ale...

– Jeszcze nigdy nie musiałem się mierzyć z takim natężeniem cierpienia, zwłoki dzieci wypadają z grobów, a jedyne osoby stąd, które mogę nazwać swoimi przyjaciółmi, są na skraju załamania nerwowego. W kościele znajdują kukły przedstawiające dzieci, wrobiono mnie w wypicie krwi...

– Harry...

– A jedyna osoba, która może mi pomóc nie zwariować, nie chce się ze mną spotykać.

– Kukły? Krew? O czym ty mówisz? – Jej głos przycichł. Brzmiał tak, jakby trzymała słuchawkę daleko od ucha. Harry usłyszał ciche stuknięcie. Czyżby kot coś stracił?

– Evi, gdybym wiedział, że nie jesteś zainteresowana, nie naprzykrzałbym ci się – oznajmił, rozglądając się po pokoju. Żadnego śladu kota. – Przysięgam, nie zawsze jestem taki żałosny. Powiedz, że przesadzam, a dam ci spokój. Ale nie sądzę, że tak uważasz. Myślę, że czujesz to samo co ja i... – Znowu stukanie. To przy drzwiach.

– Co to znaczy, że wypileś krew?

– Posłuchaj, możesz na chwilę zapomnieć o wszystkim innym i porozmawiać ze mną o nas? Przyjedź na kolację – na nic więcej, obiecuję. Chcę tylko pogadać.

– Harry, czego ty mi nie mówisz?

– Powiem ci wszystko, jeśli przyjedziesz – zaproponował.

– Nie zachowuj się jak cholerny dzieciak – warknęła. – Harry, to poważna sprawa. Opowiedz mi, co się stało.

– Ktoś puka – poinformował. – Muszę iść otworzyć. Jeśli nie będzie cię za pół godziny, przyjeżdżam do ciebie. – Rozłączył się.

Klnąc pod nosem, przemaszerował przez hol. Za szybą we frontowych drzwiach widać było wysoką ciemną postać. Zastanawiając się, jaki może być rekord w szybkości pozbywania się przychodzącego nie w porę parafianina, otworzył.

Za progiem stał nadinspektor Rushton, w jednej ręce ściskający butelkę jamesona. Podniósł ją w górę.

– Podczas ostatniej wizyty zauważyłem, że whisky pastora była już na wykończeniu – oznajmił. – Więc przyniosłem swoją.

Hej tam.

Harry podniósł wzrok. Słyszał zbliżające się kroki i założył, że to tylko kolejny funkcjonariusz grasujący po jego kościele. A teraz, nawet zanim zdążył otworzyć usta, żeby się przywitać, już stał i zaraz potem pokonywał długość zakrystii, zmierzając ku młodej kobiecie, która mogła być ubrana na fiołkowo, zupełnie jak kolor jej oczu, tyle że nie miał jak tego stwierdzić na pewno, bo trzymał ją już w objęciach, stał o wiele za blisko, żeby się skupić na tym, w co jest ubrana, a ona się do niego uśmiechała...

Pomarzyć zawsze wolno, Harry. Nie ruszył się od biurka, tylko gapił się jak głupi. Ale tak, była ubrana na fiołkowo, w duży luźny sweter i obcisłe czarne dżinsy, których nogawki wetknięte były w wysokie botki; a ta myśl o botkach naciągniętych na gołe nogi nie należała do najbardziej uduchowionych.

– Nie przyjechałeś – powiedziała z jedną ręką na framudze, a drugą przytrzymującą otwarte drzwi.

Odchylił się na oparcie. Przejście pokoju, zamknięcie drzwi kopniakiem i wprowadzenie fantazji w czyn zajęłoby mu nie więcej niż pięć sekund.

– Pojawiła się druga miłość mojego życia z butelką whisky – wyjaśnił. – Po godzinie jazda samochodem naprawdę nie wchodziła w grę ani w moim przypadku, ani w jego. I mam nadzieję, że on też dzisiaj cierpi.

– Nadinspektor Rushton? – upewniła się.

– Nie kto inny. – Pięć sekund? Na pewno. Może udałoby mu się w cztery, jeśli przeskoczyłby przez biurko.

– Co u niego? – Weszła do środka, zabrała ze sobą opartą o framugę laskę, pozwalając, żeby drzwi zamknęły się za nią.

Jeśli przeskoczy biurko, zwymiotuje.

– Jest przerażony, że zmuszą go do przejścia na wcześniejszą emeryturę, zanim

zdąży zakończyć dochodzenie – odparł. – I kompletnie nie wie, co powinien teraz zrobić. Powiedziałem mu, że doskonale go rozumiem, i każdy nalał każdemu po drinku.

Jej uśmiech zbladł na odgłos kroków na zewnątrz. Harry czekał, żeby się przekonać, czy idący wejdzie do zakrystii, ale najwyraźniej poszedł dalej ścieżką.

– Chcę, żebyś mi wyjaśnił, co się tutaj dzieje – oznajmiła. – To ważne.

Westchnął. Naprawdę, naprawdę nie chciało mu się teraz w to zagłębiać. Jedyne, na co miał ochotę, to podejść do Evi, odciągnąć ją od drzwi i...

Zobaczył, że przechyliła głowę na bok i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Proszę – rzuciła.

– No dobra, dobra.

Tak zwięźle, jak tylko się dało, opowiedział jej o każdej dziwnej rzeczy, jaka go spotkała od jego przybycia do Heptonclough: o wypowiedzianych szeptem groźbach; o swoim nieustającym przeczuciu, że nie jest w kościele sam; o roztrzaskanej kukle, która była niezwykle podobna do Millie; i o wypiciu krwi z kielicha komunijnego. Skończył, Evi milczała.

– Mogę usiąść? – spytała po chwili.

Przyciągnął dla niej krzesło, ustawił je przed biurkiem, a ona, z czołem przeciętym zmarszczką bólu, usiadła. Potem na niego spojrzała.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Musiałbym się zastanowić. Czy coś z tego, o czym ci opowiedziałem, ma jakiś sens?

Pokręciła głową.

– Raczej nie. Ale wydaje mi się, że chyba wiem, kim jest ta Ebba. Dlatego właśnie przyszłam. W torbie mam laptop. Mógłbyś ją przynieść?

Przydźwigał dużą czarną skórzaną torbę, którą zostawiła przy drzwiach, i położył przed nią na biurku. Podczas gdy wyciągała i włączała płaski komputer, on przeniósł swoje krzesło, tak żeby mogli siedzieć obok siebie. Evi otworzyła jakiś plik i przekręciła ekran, żeby Harry też mógł go widzieć. To była strona z portalu medycznego.

– Wrodzona niedoczynność tarczycy – przeczytał głośno i odwrócił się do Evi, żeby się upewnić, czy dobrze rozumie. Kiwnęła głową.

– Kiedy rysunek Joego odświeżył Tomowi pamięć, Tom był w stanie podać mi bardzo szczegółowy opis tej dziewczynki – powiedziała. – Ale tak naprawdę

demaskujące jest wole.

– Ale konkretnie, co to jest takiego? – spytał Harry, przebiegając wzrokiem tekst pod tytułem, jednak medyczny żargon niewiele mu mówił.

– Zasadniczo chodzi o niedobór hormonu zwanego tyroksyną – zaczęła tłumaczyć Evi. Siedziała zaledwie centymetry od niego. Czuł woń jej potu, jakiś inny ciepły zapach, zbyt delikatny, żeby to były perfumy, może mydło, balsam do ciała. Musi się skupić.

– Tyroksyna jest produkowana przez gruczoł tarczycowy – mówiła. – Jeśli nie mamy jej odpowiednio dużo, nie rośniemy, jak należy, nie rozwijamy się. Ta choroba obecnie na szczęście występuje rzadko, bo potrafimy ją leczyć, ale dawniej była dość powszechna, zwłaszcza w pewnych regionach świata.

– Chyba nigdy o niej nie słyszałem – przyznał się Harry, kręcąc głową.

– Och, musiałeś – zapewniła. – Jej mniej politycznie poprawna nazwa brzmi kretynizm. Myślę, że przyjaciółka Toma – może mówmy na nią Ebba, będzie łatwiej – jest kimś, kogo niegdyś nazywaliśmy kretynem.

Harry potarł obie skronie, chwilę się zastanawiając.

– Czyli ona jest kim? – spytał. – Dzieckiem?

– Niekoniecznie – zaprzeczyła Evi z leciutkim kocim uśmiechem na twarzy. – Ludzie z tą chorobą rzadko osiągają wzrost wyższy niż metr pięćdziesiąt, więc dorosły łatwo może wyglądać jak dziecko. I zwykle takie osoby mają mentalny wiek dziecka, zachowują się dziecinnie. Dać ci paracetamol?

– Jeśli wezmę jeszcze jeden, zacznie mną kołatać. Co ją wywołuje? – spytał. – To choroba genetyczna?

– W pewnych przypadkach – potwierdziła. – Ale głównie przyczyny są środowiskowe. Żeby organizm mógł wyprodukować tyroksynę, potrzebuje jodu, który przede wszystkim uzyskujemy z żywności. W czasach, kiedy ludzie sami wytwarzali swoją żywność i żywili się lokalną trzodą, byli o wiele bardziej narażeni na zapadnięcie na tę chorobę. Niektóre rodzaje gleby, zwykle na odległych terenach górskich, na przykład w Alpach, są ubogie w jod. Więc jeśli się żyło w rejonie, gdzie nie było jodu w glebie, tarczyca powiększała się, żeby zassać tyle jodu, ile tylko się dało. To stąd to wole na szyi.

– Jesteśmy bardzo daleko od Alp – zauważył Harry.

– Na części obszarów Derbyshire jeszcze nie tak dawno też występowały niedobory jodu – wyjaśniła Evi. – Wole z Derbyshire było dość znanym schorzeniem medycznym. Zobacz.

Zmieniła widok na ekranie i pojawiło się na nim zdjęcie jakiejś kobiety w ubraniu z końca dziewiętnastego wieku. Potężne wybrzuszenie na jej szyi wypychało głowę z jej pozycji, zmuszając kobietę do patrzenia w górę.

– To jest wole – powiedziała Evi, pokazując na guz. – A my tutaj wcale nie jesteśmy aż tak oddaleni od Peak District^[4], czyż nie?

– A więc ta dziewczynka, która straszy Toma, to kobieta cierpiąca na tę chorobę? Nie wierzę, że nikt o niej nie wspomniał.

– To faktycznie wydaje się dziwne – zgodziła się Evi. – Ale Fletcherowie nadal są dość nowi w tej miejscowości. Może mieszkańcy po prostu starają się być dyskretni.

Harry chwilę się zastanowił.

– Muszę się napić kawy – oznajmił, wstając i przechodząc do zlewu. Z czajnikiem w ręce odwrócił się. – I mówisz, że da się to leczyć?

– Absolutnie – zapewniła Evi, kiwając głową. – Właśnie to mnie zastanawia. Obecnie noworodki rutynowo przechodzą badania przesiewowe. Jeśli w ich wyniku okazuje się, że mają niedobory tyroksyny, można ją suplementować. Chory będzie ją musiał przyjmować przez całe życie, ale jego rozwój będzie przebiegał normalnie.

Harry włączył czajnik i poszukał czystych kubków.

– Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, to, że rodzice dziewczynki są relatywnie niewykształconymi osobami i nie zadbali o jej leczenie – kontynuowała Evi. – Może sami na to chorują. Rano rozmawiałam z nadinspektorem Rushtonem i zasugerowałam mu, że powinni rozpocząć poszukiwania od oddalonych gospodarstw i domków pracowników rolnych. Kimkolwiek są ci ludzie, przypuszczam, że dość rzadko pojawiają się w mieście.

– Dobra, to teraz zasadnicze pytanie – rzekł Harry, wsypując kawę rozpuszczalną do kubków. – Czy ta dziewczynka – kobieta – mogła zabić Lucy, Megan i Hayley? Zagrozić życiu Millie?

Evi z powrotem otworzyła na ekranie wcześniejszą stronę.

– Prawie cały dzień dzisiaj poświęciłam na wyszukiwaniu wszystkiego na temat tej choroby – odparła. – Nie natknęłam się na nic, co by sugerowało, że ludzie ci są gwałtowni albo agresywni. Nawet Tom nie uważa, że to ta dziewczynka próbowała porwać Millie. Twierdzi, że to był ktoś o wiele wyższy.

– Było ciemno, Tom był wystraszony – przypomniał Harry. – Coś się mu mogło pomieszać.

– Tak, ale mimo to jakoś mi to nie pasuje. Ci ludzie są znani ze swojej łagodności, są nieszkodliwi. Nawet nazwa określająca ich to sugeruje. Słowo „kretyn” pochodzi ponoć od anglo-francuskiego „*chrétien*”. Kretyn znaczy chrześcijanin. Nazwa miała sygnalizować podobną jak u Chrystusa niezdolność chorych do popełniania grzechów.

Naprawdę miał dzisiaj problemy z koncentracją.

– Co to znaczy? – spytał.

– Nie posiadają zdolności umysłowych, żeby odróżnić dobro od zła, więc nic, co robią, nie może być określone jako grzeszne w pełnym znaczeniu tego słowa. Pozostają niewinni.

Harry chciał pokręcić głową, ale w porę się powstrzymał. Koniec z piciem. Już nigdy więcej nie tknie alkoholu.

– To nie znaczy, że nie mogą zrobić czegoś złego, a jedynie, że nie wiedzą, że robią coś złego – powiedział. – A jeśli ta cała Ebba lubi wygląd małych jasnowłosych dziewczynek, postrzega je, jako coś w rodzaju zabawki i to wszystko... O, zaczekaj, to brzmi znajomo. Odzywają mi się w głowie dzwonki alarmowe.

– Powiedziałabym, że ostatnie, czego ci teraz trzeba, to dzwonięcie w głowie. – Evi zaśmiała się.

– O tym, czego naprawdę mi trzeba, raczej nie powinienem rozprawiać w domu bożym – odciął się. Ale Evi miała rację, żałował, że ma kaca, bardzo mu on dzisiaj był nie na rękę. – Niewinni chrześcijanie – powtórzył, jakby chciał wypróbować brzmienie tych słów. Potem go olśniło. – Niewinne chrześcijańskie dusze – rzucił. – Potrzebny nam rejestr pochówków.

– Co proszę?

Harry już sięgał do szafki, gdzie trzymał rejestry.

– Spójrz – powiedział, kiedy znalazł właściwą stronę. – Sophie Renshaw, zmarła w 1908 roku, osiemnaście lat, opisana jako „Niewinna chrześcijańska dusza”.

– Tu jest kolejny – zauważyła Evi. – Charles Perkins, zmarły w 1932 roku, lat piętnaście. Ilu ich jest?

Szybko policzył.

– Osiem osób – odpowiedział. – Sześć dziewczynek i dwóch chłopców, wszyscy w chwili śmierci w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat.

– Ta choroba częściej występuje u kobiet – poinformowała Evi. – Myślisz, że oni wszyscy byli jak Ebba?

– Wcale bym się nie zdziwił. Pamiętam nawet, jak ten stary złośliwiec się tym przechwalał. „Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z tego, co jadłem przez całe życie, pochodzi z tych wrzosowisk”. Tak właśnie powiedział. Założę się, że gleba tutaj ma – jak mówiłaś?

– Niedobory jodu. Musimy ją znaleźć, Harry. To poważna sprawa.

Autokar zatrzymał się i pięćdziesięcioro podekscytowanych dzieci poderwało się na nogi. Przez zamglone szyby Tom widział duży baner i afisze przed King George's Hall oraz masywne światełka choinkowe w świątecznych dekoracjach w Blackburn. *Królowa Śniegu*, trochę dziewczynska pantomima, ale kogo to obchodzi? Ważne, że nie są w szkole i że jutro początek ferii.

Tom poczuł, że jest popychany w stronę wyjścia.

– Uważajcie przy schodzeniu – ostrzegał pan Deacon, dyrektor szkoły. – Nie chcę spędzić popołudnia na ostrym dyżurze.

Uśmiechając się do siebie, Tom zszedł po schodkach na chodnik. Na Blakeymoor Street zajechał drugi autokar, z którego wysiadły dzieciaki z pierwszych klas. Większość z nich jeszcze nigdy nie była na wycieczce szkolnej, więc rozglądały się na boki, oczarowane świątecznymi iluminacjami. Tom zobaczył Joego. Brat lekko zeskoczył ze stopnia, który był wysoki prawie jak on sam. Joe spostrzegł Toma i pomachał do niego.

Podążając za innymi dziećmi, nie potrafiąc się powstrzymać od podskakiwania w górę i w dół, Tom wszedł do sali koncertowej King George's Hall.

Mysłisz, że miejsce jest istotne? – pytała Evi, kiedy Harry przez kościół odprowadzał ją do samochodu. – Że ze wszystkich miejsc, z których można by rzucić małe dzieci, dzieje się to tutaj?

– Jestem o tym przekonany – odpowiedział. – To zabójcza ziemia.

Evi spojrzała w górę, na galerię znajdującą się prawie bezpośrednio nad nimi.

– Odrażające – mruknęła.

Harry też popatrzył.

– Z tym kościołem jest coś nie tak, Evi. Myślę, że wyczułem to, kiedy pierwszy raz tu wszedłem.

Na dłoni poczuł delikatne muśnięcie jej palców.

– Budyńki absorbują coś z tego, co się w nich dzieje – kontynuował. – Nie spodziewam się, że wszyscy się ze mną zgodzą, ale jestem pewny, że tak jest. Zwykle kościoły są spokojnymi bezpiecznymi miejscami, bo przez stulecia nasiąkały nadzieją, modlitwą, dobrocią.

– Ale nie ten, tak? – Jej palce zamknęły się na jego dłoni.

– Nie, ten nie – potwierdził. – Ten emanuje bólem.

Przez sekundę stali nieruchomo. Potem, tak jak wiedział, że to uczyni, Evi odwróciła się i objęła go. To był tylko uścisk, wiedział to, gest pocieszenia, ale nie potrafił być tak blisko niej i nie nachylić głowy do skóry na jej szyi, żeby odnaleźć pieprzyk, przytulić twarz do włosów i mocno zaciągnąć się ich zapachem. Potem odchyliła głowę i po prostu nie wchodziło w rachubę, żeby jej nie pocałował.

Chwile mijały, a on myślał tylko o tym, że świat nie może być jednak aż tak zły, skoro jest na nim Evi; i czy będzie przeklęty na wieki, jeśli ją podniesie, położy delikatnie na ławce obok nich i przez całą resztę popołudnia będzie się z nią kochał?

Potem z jej ust wydarło się sapanie, niemające nic wspólnego z namiętnością. Zesztywniała w jego objęciach, odsunęła się, wpatrując się w coś ponad jego lewym ramieniem. Zimna bryza na jego karku powiedziała mu, że drzwi frontowe

kościół zostały otwarte. Dał krok w tył i odwrócił się.

W progu stała Gillian. Przez ułamek sekundy Harry myślał, że dziewczyna zemdleje. Potem, że rzuci się na nich w napadzie furii. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Odwróciła się tylko i uciekła.

Millie stała w drzwiach i przyglądała się kurkom drobiącym tam i z powrotem po ścieżce. Po drugiej stronie podjazdu jej matka wyjmowała zakupy z samochodu. Wyprostowała się i ruszyła w stronę wejścia.

– Wracaj do środka – powiedziała do małej, pochylając się do niej. – Zamarzniesz tu. – Przecisnęła się obok dziecka i zniknęła. Chwilę później jej dłonie uchwyciły Millie w pasie. – Ja nie żartuję – rzuciła, podnosząc córkę i zabierając ją z widoku. – Jeszcze spadniesz z tych schodów.

Przez moment wejście stało puste, potem matka znów się pojawiła. Przeszła szybko do samochodu i przycisnęła guzik w tej rzeczy w jej ręce, która zamykała zamki. Dziecko znowu stanęło w progu. Dziewczynka rzuciła matce krótkie, przebiegłe spojrzenie, zanim odwróciła się w stronę kurczaków, które powędrowały do ogrodu. Potem zeszła po schodkach na podjazd.

Samochód nie dawał się zamknąć. Matka wcisnęła guzik po raz drugi, trzeci, potem się poddała i zamknęła auto kluczykiem. W tym czasie Millie ruszyła trawnikiem. Matka przemierzyła podjazd i weszła do domu. Drzwi frontowe zamknęły się. Cisza.

Bezruch przez jakąś minutę. Potem drzwi gwałtownie się otworzyły i kobieta z bladą twarzą i dłońmi wczepionymi w ramiona, stanęła na progu.

– Millie! – zawołała, ale nie głośno, jakby się bała. – Millie! – zawołała znowu, tym razem trochę głośniej. – Millie!

Gdzie je wygrzebałeś? – spytał Harry.

– W archiwach Agencji Środowiska – odparł Gareth Fletcher. – Uważaj z tymi frytkami. Uduszą mnie, jak się poplamiają olejem.

Harry odłożył torebkę z frytkami i pochylił się nad mapami.

– Mapy zlewisk – zdziwił się. – Nigdy o takich nie słyszałem.

Gareth sięgnął po piwo. Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia Biały Lew w samym centrum Heptonclough był pełen i nawet o piątej po południu Gareth i Harry mieli szczęście, że udało im się znaleźć wolny stolik. Harry niemal żałował, że tak się stało, wołałby, żeby on i Gareth byli zmuszeni przełożyć na inny termin rozmowę, na którą się umawiali od wielu dni. Wołałby pomagać Evi odszukać i porozmawiać z Gillian. Evi nie powinna sama mierzyć się z czymś takim.

– Nie musiałeś słyszeć – stwierdził Gareth. – Drukuje je spółka wodna. Opisuje okolice z punktu widzenia zasobów wodnych.

– A to oznacza dokładnie co? – spytał Harry. Po drugiej stronie sali grupa pracowników biurowych doskonale się bawiła. Kilka osób było w papierowych czapkach. Kiedy wstali, większość z nich chwiała się na nogach.

Evi nie zgodziła się, żeby z nią poszedł. Gillian jest jej pacjentką, tłumaczyła, jej odpowiedzialnością. – Większość map to mapy dróg, wsi i miast, czy nie tak? – ciągnął Gareth.

– Tak – potwierdził Harry.

– Ta jest o rzekach. Widzisz, to rzeka Rindle. Zaczyna się jako strumień wysoko na wzniesieniach i stopniowo spływa w dół do miejsca, w którym łączy się z Tane. Te wszystkie inne strumienie i rzeki to jej dopływy. – Gareth pochylił się nad mapą, pokazując palcem wyblakłe wijące się linie. – Wszystkie ją zasilają, a ona robi się coraz większa i większa. Obszar, który wszystkie zajmują, nazywa się zlewiskiem.

– Okej, kapuję – potwierdził Harry, który obserwował ciemnowłosą dziewczynę

w fioletowym kapelusiku przypominającą mu... Jak szybko będzie mógł do niej zadzwonić? Czy jest w tej chwili z Gillian? – A spółki wodne potrzebują takich map, bo... – ponaglił rozmówcę, zmuszając się do skupienia uwagi.

– Jeśli jakiś strumień wyschnie, jeśli zostanie zanieczyszczony, jeśli zdychają ryby czy istnieje zagrożenie powodzią, spółki muszą wiedzieć, gdzie to się dzieje i na jakie inne cieki wodne może mieć wpływ.

– Okej, rozumiem. – „Mogą mnie za to usunąć z zawodu, Harry”, powiedziała, kiedy się kłócili pod bramą kościoła. „Nie masz pojęcia, jakie to poważne”.

– Nowe mapy są łatwiejsze do odczytania, każde zlewisko jest zaznaczone innym kolorem – wyjaśniał Gareth. – Ta musi mieć jakieś osiem lat. Ale zawiera coś, czego na nowych nie ma. Pokazuje strumienie podziemne. I nawet niektóre głębsze warstwy wodonośne. Ta mapa jest z czasów, kiedy ludzie sami kopali swoje studnie i musieli wiedzieć, gdzie warto próbować.

– Jak na razie nadażam – rzucił Harry. „Ona mi zaufała, a ja ją zawiodłam w najgorszy możliwy sposób”.

– No, to teraz sam możesz zobaczyć, jak całkiem spory podziemny strumień rozpoczyna się tutaj, tuż poniżej Morrell Tor, wijąc się, spływa w dół przez wieś, zasilając po drodze całkiem sporą liczbę studni, teraz prawdopodobnie już nieużywanych i zasypanych, i na koniec wpływa pod kościół.

– Widzieliśmy to, jak poszliśmy zbadać piwnice. Mnisi zrobili z niego coś w rodzaju fontanny z wodą do picia.

– No właśnie. No a potem, jak wiemy, woda wpada do kratownicy, płynie pod piwnicą i – to ważny moment, słuchasz mnie uważnie?

– Och, nie mógłbym myśleć o niczym innym. – „Jeśli cokolwiek jej się stanie, to będzie moja wina”.

– Zaraz po wypłynięciu spod fundamentów kościoła strumień się rozgałęzia. Główna nitka schodzi w dół, przez cmentarz, pod ogrodem Renshawów i potem płynie dalej przez wrzosowiska. Druga odnoga odbija na zachód i płynie wzdłuż muru kościoła.

– Poważnie go nadwątlając?

– Moim zdaniem tak. Jeślibyś pytał mnie, uważam, że nie ma większego sensu tego muru odbudowywać, zanim nie zmieni się trasy przebiegu odnogi.

– Jeślibyśmy ją zablokowali, dołączy do głównej i razem z nią popłynie w dół wzniesienia?

– Przypuszczalnie tak, chociaż musiałbym to omówić ze znajomymi ze spółki

wodnej. Chcesz, żebym to zrobił, zanim zwrócisz się do swojego Boga z prośbą o uwolnienie funduszy?

– Tak, dziękuję. A to co? – W próbie oderwania myśli od tego, co się może dziać z Gillian i Evi, Harry szukał na mapie miejsc, które znał. Znalazł Wite Lane, podążył za linijką szlaku na wzgórzu, którym czasami biegał, i na koniec wycelował palcem w podwójne koło otoczone prostokątem.

– Wygląda jak odwiert, stara studnia z wodą pitną – odpowiedział Gareth. – Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego miałyby być tak wysoko.

– Znajduje się tuż pod Tor, prawda? Czy tam nie stał kiedyś młyn?

– Racja. Założę się, że studnia jest wewnątrz tej chaty. Tej, którą dzieciaki nazywają domkiem Czerwonego Kapturka.

Harry skinął głową. Wiedział o tym.

– Należy do Renshawów – rzucił. – Nadinspektor Rushton mówił mi, że ją przeszukiwali, kiedy szukali Megan Connor. Ale o studni chyba nie wspominał.

– Jeśli została zakryta i zapomniana, mógł nie wiedzieć, że tam jest – zauważył Gareth, kończąc swoje piwo. – Tam wszędzie są studnie i otwory po odwiertach, o których nikt nie wie. Jeszcze jedno?

– Chyba jestem jeszcze zawiany po wczorajszym – odparł Harry. – Jedno więcej nie robi większej różnicy.

Gareth uśmiechnął się. Kiedy wstał, obaj usłyszeli ciche tony melodii z *Boba Budowniczego*.

– Mój – mruknął Gareth, wyciągając telefon z kieszeni.

Odszedł, trzymając komórkę przy uchu. Dotarł do baru, okręcił się na pięcie i rzucił szybkie spojrzenie w stronę Harry'ego, po czym wyszedł z pubu, rozpychając na boki dwóch młodych chłopaków.

Przez chwilę Harry siedział nieruchomo. Potem się podniósł. To pewnie jakieś problemy u niego w pracy, pomyślał, nic ważnego. Hałas w pubie zdawał się zwiększać. Przy stoliku imprezy biurowej dziewczyny popiskiwały i dmuchały w papierowe trąbki.

Zrobił krok w kierunku wyjścia.

Millie jest bezpieczna. Rano była na zakupach z matką, ostatnie duże sprawunki przed świętami, nic nie mogło się stać w supermarkecie. Kelnerka chodziła od jednego stolika do drugiego.

– Deser sherry? – pytała. – Kto zamówił deser sherry? – Nawet kasa w barze wydawała się działać nienaturalnie głośno.

– Wesołych Świąt, pastorze! – wołali za nim ludzie, kiedy przedzierał się przez tłum. Ignorował ich. Millie nic nie jest. Ostatnio matka nie spuszczała z niej oka. Ktoś tuż za nim strącił kufel, może nawet on sam to zrobił. Szkło roztrzaskało się z hukiem na kaflach posadzki.

Pchnął drzwi i uderzyło w niego chłodne wieczorne powietrze i cisza. Wziął głęboki wdech i się rozejrzał. Było zupełnie ciemno. Gareth stał piętnaście metrów dalej, już prawie wsiadał do swojej ciężarówki i przez chwilę Harry chciał mu po prostu pozwolić odjechać. Nie chciał, żeby Gareth się odwrócił; nie chciał znowu ujrzeć tej miny na jego twarzy, nie chciał jej oglądać już nigdy więcej.

– Hej! – zawołał, bo nawet, gdyby mieli go zabić, za nic nie mógł sobie przypomnieć imienia mężczyzny.

Gareth się odwrócił. I znowu tam był, ten wyraz przerażenia. Otworzył usta i coś wychrypiał. Harry zrozumiał. A więc to nie Millie, Millie jest bezpieczna.

Joe. Tym razem to on zaginął.

No dobrze, powiem, co wiemy. – Nadinspektor Rushton zamilkł i odchrząknął. Musiał patrzeć na czubek głowy Alice, która miała wzrok wbity w pojedynczy płatek kukurydziany pozostały na stole kuchennym.

– W czasie przerwy Joe na pewno był jeszcze w King George’s – podjął relację Rushton. – Przerwa trwała od trzeciej piętnaście do za piętnaście czwarta. Kierownik sali zapewniał, że nie było żadnych przesunięć czasowych. Joe dostał lody, kupione przez opiekuna grupy, a jeden z jego kolegów pamięta, że widział go w kolejce do toalety. Natomiast nie mamy pewności, czy Joe był w teatrze podczas drugiej części widowiska.

– Kto, do diabła, siedział obok niego? – spytał Gareth. Od chwili, gdy razem z Harrym wszedł do domu, nie przestawał po nim krążyć. Chodził po kuchni, huśtał się w przód i w tył na piętach, przechodził z pokoju do pokoju, wykrzykując swoje myśli do każdego, kto mógł go słyszeć. Alice zachowywała się zupełnie odwrotnie – od trzech godzin prawie się nie poruszyła. Jej twarz z każdą minutą zdawała się coraz bardziej blednąć i kurczyć.

Harry spojrział na zegarek – prawie ósma wieczorem. Wyjął z kieszeni telefon i zerknął na wyświetlacz. Żadnych wiadomości.

– Cóż, w tym cała rzecz – odezwał się detektyw Neasden. – Dzieciaki nie miały przypisanych miejsc, pozamieniały się nimi podczas przerwy. Kilkoro z tych mniejszych wystraszyło się złych charakterów na scenie i przeniosło się na siedzenia przy nauczycielach. Sala nie była wypełniona, więc było sporo wolnych miejsc. Nikt, z kim rozmawialiśmy, nie potrafił sobie przypomnieć, czy widział Joego w czasie drugiej połowy przedstawienia. Przepytaliśmy pracowników obsługi; dyżur miało trzech i żaden nie pamięta, żeby widział małego chłopca chodzącego po teatrze bez opieki.

– Nauczyciele nie wiedzieli, że Joe zaginął, dopóki nie wsadzili wszystkich dzieci z powrotem do autokarów i ich nie przeliczyli – dodał Rushton. – To było za dziesięć piąta. Personel wrócił do teatru i po półgodzinnych poszukiwaniach poddał

się. My zostaliśmy powiadomieni dwadzieścia pięć minut po piątej.

– Mogło go już tam nie być od dwóch godzin – warknął Gareth, przepychając się obok detektywa Neasdena, żeby dostać się do zlewu. Nalał sobie szklanek wody, podniósł do ust i odstawił. Odwrócił się, bo otworzyły się drzwi do kuchni i wszedł Tom. Chłopiec stał w progu, patrząc po kolei na dorosłych. Wyglądało, że nikt nie wie, co ma mu powiedzieć. Potem za jego plecami pojawiła się Jenny Pickup, bledsza i w bardziej niedbałym stroju niż zwykle, z Millie na rękach.

– Chodź, Tom, kochanie – rzuciła. – Zostawmy dorosłych, żeby porozmawiali. Zagramy w coś na komputerze?

Tom otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zaczęła mu drzeć dolna warga. Odwrócił się i uciekł, akurat w chwili, gdy Millie zaczęła popiskiwać, że chce do matki. Alice wstała i wyciągnęła rękę. Zabrała córkę i z powrotem opadła na krzesło, jakby wysiłek, jaki włożyła w to, żeby się podnieść, ją wyczerpał.

– Zostanę z Tomem – wymamrotała Jenny.

– Dzięki – rzucił Gareth. – Zaraz do was przyjdę. Dzieciaki powinny się już kłaść.

– No dobrze – odezwał się Rushton. – Następną rzeczą, jaką zrobiliśmy, było przejrzanie nagrań z monitoringu. Nie najłatwiejsze zadanie; to duży budynek. Oprócz pantomimy odbywała się tam też konferencja w Northgate Suite i kawiarnio-bar też był pełen, co było do przewidzenia, skoro za kilka dni mamy święta.

– No i? – ponaglił Gareth, wylewając wodę do zlewu.

Rushton pokręcił głową.

– Kamery w holu niczego nie wyłowiły. Oczywiście w przerwie kręciło się tam mnóstwo ludzi i wymknięcie się za czyimiś plecami nie było niemożliwe, ale szkoła postawiła przy wyjściu swojego pracownika, właśnie, żeby zapobiec czemuś takiemu. Ta kobieta, która pilnowała wyjścia, była pewna, że żadne dziecko przy niej nie wyszło, i wydawała się całkiem wiarygodna.

– A co z innymi wyjściami? – zainteresował się Harry.

– Łącznie z wejściem dla personelu i drzwiami przeciwpożarowymi w budynku znajduje się dziewięć dróg ewakuacji – odpowiedział Rushton. – Niektóre są monitorowane, niektóre nie. Znaleźliśmy jeden kadr, na który chcielibyśmy, żebyście rzucili okiem. Masz to, Andy?

Detektyw Andy Jeffries, który wyglądał bardziej jak nastoletni wymoczek niż policjant, miał laptop przygotowany na kuchennym stole. Nacisnął dwa klawisze i

odwrócił komputer w stronę Alice. Gareth zbliżył się do stołu i nachylił nad oparciem krzesła żony. Harry też podszedł. Nagranie wystartowało. Patrzyli na jeden z korytarzy w King George's Hall. Dwoje pracowników obsługi szło w kierunku kamery i kiedy zniknęli z widoku, na ekranie pojawili się jakaś dorosła osoba i dziecko. Dorosły był w czapce bejsbolówce, spodniach i grubej watowanej kurtce. Dziecko było ubrane podobnie, w za dużą na nie czapkę i w duży niebieski plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Szli w kierunku wyjścia, dorosły z ręką na plecach dziecka, potem zniknęli, wychodząc na zewnątrz.

– I co sądzicie? – spytał Rushton.

– Obejrzyjmy to jeszcze raz – powiedział Gareth.

Nagranie zostało puszczone ponownie.

– Trudno mieć pewność – stwierdził Gareth, kiedy obejrzelik filmik po raz trzeci.

– Wzrost taki jak u Joego, taka sama budowa, ale nie widać twarzy. Co myślisz, Al?

Przez chwilę Alice nie reagowała. Potem pokręciła głową.

– Puścimy to nagranie dzisiaj w wiadomościach wieczornych – oznajmił Rushton. Spojrzał na zegarek. – To już prawie za godzinę. Poprosimy, żeby te osoby się ujawniły. Jeśli nie ma to nic wspólnego z Joem, będziemy mogli ich wykluczyć.

– Czy ten ktoś z dzieckiem to mężczyzna? – spytał Harry. – Kobieta? Nastolatek?

– Nie wiadomo – odparł Rushton. – Nasi ludzie powiększyli obraz, ale jak się widzi tylko tył czyjejś głowy, to sprawa jest trudna. Oczywiście tych dwoje może nie mieć żadnego związku z Joem. Wysłaliśmy ludzi, żeby przesłuchali wszystkich kierowców autobusów pracujących w tamtym rejonie o tym czasie. Z taksówkarzami też porozmawiają, w razie gdyby chłopak miał przy sobie jakieś pieniądze. Nie muszę dodawać, że jego podobizna została rozesłana do wszystkich posterunków w rejonie, razem z opisem.

Harry odłożył swoją komórkę na stół.

– A kamery wokół miasta? – podrzucił. – Filmują nas przecież na okrągło. Jeśli tak jest, któraś z tych na granicach Blackburn musiała wyłować Joego.

– Wyznaczyliśmy ludzi, którzy przeglądają wszystkie zapisy – zapewnił Rushton. – Ale to trochę zajmie, jak pewnie rozumiecie, jednak ma pastor rację, któraś z kamer mogła go wyłapać.

– Możemy jakoś pomóc? – zaofiarował się Harry. – Jeśli to kwestia rąk do pracy.

Moglibyśmy usiąść przed telewizorami i oglądać te nagrania.

– To dobry pomysł – przyznał Rushton – ale to powinno być robione przez osoby niezaangażowane emocjonalnie. Pańskie miejsce jest tutaj, z rodziną. No dobrze, gdzie to ja byłem? – Zerknął do notatek. – Mamy ludzi, którzy chodzą po centrum i rozpytują się w sklepach, tych, które są jeszcze otwarte. Wszyscy mają ze sobą podobiznę.

– Tylko że Joe nie poszedłby nigdzie z kimś obcym – odezwał się Gareth. – Jeśli wyszedł z kimś z teatru, musiał to być ktoś, kogo zna.

– Całkiem możliwe – przytaknął Rushton. – Z drugiej strony, to jeszcze małe dziecko. A ludzie potrafią być bardzo przekonujący. Rozmawialiśmy też ze wszystkimi kolegami z jego klasy. Jeśli Joe miał jakieś plany, mógł komuś o nich wspomnieć. Dobrze, muszę teraz wracać do komisariatu. Kiedy pokaże się nowy biuletyn, telefony oszaleją. – Wyciągnął rękę i poklepał Alice po ramieniu. – Nie upadaj na duchu, dziewczyno – rzekł, podnosząc się. – Ktoś na pewno go gdzieś zauważył.

– Proszę chwilę poczekać! – zawołał Harry, odpychając swoje krzesło. – To, co robicie w Blackburn, wydaje się bardzo skrupulatną akcją, ale co tutaj?

Rushton zmarszczył brwi.

– Tutaj? – zapytał ze zdziwieniem.

– Kto prowadzi poszukiwania tutaj? Nikogo takiego nie widziałem. I nadal nie znaleźliśmy tej dziewczynki, o której mówi Tom.

– Blackburn leży dwadzieścia kilometrów stąd – przypomniał Rushton. – Wątpię, żeby Joe uciekł z teatru tylko po to, żeby wrócić do domu.

– I uważa pan, że jego zniknięcie to tylko zbieg okoliczności? – upewnił się Harry. – Że nie ma związku z tym, co się dzieje tutaj?

Rushton już zamierzał odpowiedzieć, ale nagle się rozmyślił.

– Proszę na słówko, wielebny – wymamrotał, pokazując na drzwi na korytarz. Harry wstał i wyszedł za detektywem. Przeszli korytarzem do drzwi frontowych z Garethem tuż za nimi. Rushton otworzył usta, żeby się sprzeciwić.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, był moim synem – warknął Gareth, splatając ręce na piersi.

– W ogrodzie tego domu znaleziono trójkę martwych dzieci – zaczął Harry. – A teraz kolejne zaginęło. To nie może być zwyczajne porw...

– Te dzieci były dziewczynkami, sporo młodszymi od Joego – wypalił Rushton. Przez chwilę łypał gniewnie na Harry'ego, potem chyba trochę ochłonął. – Rano

sprowadzę ekipę – obiecał. – Wypuścimy psy, dowiem się, czy dostępny jest śmigłowiec, poszukamy tej małej dziewczynki Toma. Ale dzisiaj muszę się skupić na miejscu, gdzie szanse znalezienia chłopca są największe. Joe jest gdzieś w Blackburn, jestem o tym przekonany.

Już lepiej?

Evi wytarła nos i przyłożyła chusteczkę do oczu, żeby jej makijaż nie rozmazał się bardziej.

– Tak – odpowiedziała, chociaż wcale nie czuła się lepiej. – Przepraszam.

Po incydencie w kościele pojechała prosto do mieszkania Gillian. Nikt nie odpowiadał na jej uporczywe pukanie. W końcu kobieta ze sklepu pod mieszkaniem powiedziała jej, że Gillian dziesięć minut wcześniej odjechała autobusem. Evi nie miała wyboru i musiała wrócić do pracy. Niedługo po przyjeździe dostała telefon z policji z informacją o zaginięciu Joego. Odwołała umówione na resztę dnia wizyty i udała się w prawie godzinną podróż do domu swojego supervizora Steve'a Channinga. Jego żona była współnikiem w dużej firmie księgowej i oboje z mężem mieszkali w starym dworku w sercu Forest of Bowland, wyżynnej krainy położonej na zachód od Gór Penińskich.

– Nie musisz przepraszać – zapewnił Steve. – A teraz pogadajmy, jeśli oczywiście jesteś już gotowa.

Skinęła głową.

– Policja nie łączy zniknięcia Joego z tym, co się dzieje w miasteczku? – spytał Steve. – Z tym, co prawie spotkało dwukrotnie jego siostrę?

Evi pokręciła głową.

– Nie. Oni twierdzą, że ponieważ zginął w Blackburn i ponieważ nie pasuje do profilu ofiar, jest raczej mało prawdopodobne, żeby istniał bezpośredni związek. Policjant prowadzący dochodzenie sądzi, że porwanie to skutek ostatniego nagłośnienia w mediach wydarzeń w miasteczku. Co pewnie może być prawdą.

Steve wstał i podszedł do okna. Po drugiej stronie ulicy światła na werandach podświetlały rząd domów z fasadami z kamienia. W kilku oknach stały choinki. Na końcu ulicy, nad wąską rzeką, przebiegał kamienny mostek. Wcześniej przyjazd Evi zbiegł się z przylotem stadka gęsi. Wylądowały hałaśliwie na brzegu rzeki. Evi wydawało się, że nadal słyszy, jak szykują się do nocnego spoczynku. Potem

usłyszała coś jeszcze. Ciche pikanie dochodzące z jej torebki. Znowu ktoś się do niej próbował dodzwonić.

– A ty, co myślisz? – spytał Steve.

Nie mogła odebrać, nie może teraz rozmawiać z Harrym.

– Dla mnie to zbyt duży zbieg okoliczności – oznajmiła, zmuszając się do skupienia uwagi. – I uważam, że to po prostu głupota zignorować ewentualność, że ten, kto zabił te dziewczynki, mógł też porwać Joego. Zastanawiam się, czy nadinspektor Rushton nie boi się przypadkiem uznać istnienia związku między sprawami, bo to oznaczałoby, że to jego wina, przynajmniej częściowo. Gdyby nie spieprzył wcześniejszych dochodzeń, zabójca nie byłby nadal na wolności.

Steve odszedł od okna i z powrotem usiadł.

– Trochę zbyt surowa ocena, ale możesz mieć rację – zgodził się. – To co, twoim zdaniem, się tam dzieje?

– Nie mam pojęcia, Steve – odpowiedziała. – Nie chodzi tylko o trzy morderstwa i porwanie. Mieliśmy też krew w kielichu komuniijnym, kukłę zrzuconą z galerii w kościele, włamanie, dziwne głosy i poważnie upośledzoną kobietę, skradającą się i straszącą ludzi. Nic z tego nie ma sensu.

Steve nie odpowiedział, tylko się jej przyglądał.

– Millie Fletcher pasuje do profilu ofiary – ciągnęła. – Myślę, że została namierzona już na samym początku, kiedy tylko jej rodzina wprowadziła się do miasteczka. Tylko dlaczego, na Boga, ktoś, kto zabił już dwukrotnie, kto zamierza zabić znowu, urządza sobie te wszystkie głupie żarty? To prawie, jakby ten ktoś chciał... – urwała.

– Chciał co, mów – zachęcił Steve.

– Ostrzec ludzi – dokończyła, bo Steve patrzył na nią w ten charakterystyczny dla niego sposób, i wiedziała, że jej nie odpuści, aż odpowie. – Ale to nie ma sensu. Dlaczego zabójca miałby chcieć ostrzegać ludzi, którzy...

– Mów.

Och, dlaczego nie jest w stanie myśleć jasno? Wiadomość o zniknięciu Joego wywołała w niej panikę. Nie mogła się z tego stanu otrząsnąć.

– Zabójca by ich nie ostrzegał – skonstatowała w końcu. – To nie zabójca robi te wszystkie dziwne rzeczy. – Przeciągnęła dłonią po włosach. – Chryste, to oczywiste – dodała. – Przez ten cały czas myśleliśmy, że szukamy jednej osoby. Ale tak nie jest, szukamy dwóch.

– No, wreszcie do czegoś dochodzimy – rzucił Steve z irytującym uśmiechem

na twarzy. – Zabójca małych dziewczynek, który mógł porwać Joego, i osoba, która próbuje ostrzec opiekunów. W wypadku Gillian nie ostrzec, bo już na to za późno, ale powiedz jej, co się naprawdę stało. Co takiego ten głos mówi stale do Gillian? „Mamusiu, mamusiu, znajdź mnie”? Może miała to potraktować dosłownie – znaleźć grób.

– A gdzie w tym miejsce dla Harry’ego? – spytała Evi. – On nie jest opiekunem.

– Harry odpowiada za kościół – przypomniał Steve.

– Zabójcza ziemia – szepnęła Evi i nagle przed oczyma stanęła jej ładna blada twarzyczka Joego i jego szczupłe ciało. Zamrugnęła mocno, żeby ten obraz przepędzić.

– Dokładnie tak – potwierdził Steve. – I wydaje mi się, że zabójcą nie może być ta kobieta, którą nazywasz Ebba. Ktoś z zaawansowaną niedoczynnością tarczycy nie miałby po prostu umysłowych i fizycznych zdolności, żeby zaplanować i przeprowadzić trzy porwania i morderstwa. Nie mówiąc o pojechaniu autobusem do Blackburn i wyprowadzeniu małego chłopca z King George’s Hall. Zgodzisz się ze mną?

– Tak – potwierdziła Evi. – Tak, oczywiście. Masz rację. Ale ona może być tą, która próbuje ostrzec ludzi.

Steve nachylał się do niej.

– Zastanów się, co mówiły te bezosobowe głosy. Co mówiła do Toma? „Millie spać”? On to wziął za groźbę, ale gdyby to odwrócić, równie dobrze mogło to być ostrzeżenie. A teraz powiedz, kiedy ostatnio brałaś swoje leki?

Evi musiała się uśmiechnąć.

– Przegapiłam te z szóstej – przyznała się. – Za bardzo się spieszyłam, żeby tu przyjechać.

– Dać ci coś?

– Nie, naprawdę, nie jest aż tak źle. Zresztą i tak próbuję zmniejszyć dawkę. Steve, jeśli Ebba nie ma nic wspólnego z porwaniami, jeśli próbuje ostrzec ludzi, to znaczy, że prawdopodobnie wie, kto jest zabójcą.

Steve skinął głową.

– Wygląda na to, że jeśli znajdziesz Ebbę, znajdziesz swojego porywacza. Jeśli znajdziesz ją, zanim zabójca zdoła sprowadzić Joego do kościoła, może zdążysz go uratować.

Harry otworzył drzwi prowadzące do kościelnej krypty. Z dołu przypląnął zapach rzeczy dawno zapomnianych. Podniósł latarkę i skrzynkę z narzędziami przyniesioną z samochodu.

Ciemność na dole wydawała się stopniowo gęstnieć. Rushton ze swoimi ludźmi pojawi się tu, jak tylko wstanie dzień. Będą mogli przekopać kościół i kryptę do góry nogami. Głupio byłoby, gdyby Harry zrobił coś, co mogłoby przeszkodzić w przeszukaniach. Z drugiej strony do świtu zostało jeszcze jedenaście godzin. A tu na dole może być Joe.

Tylko że o wiele łatwiej było schodzić po tych stopniach, gdy na zewnątrz był dzień, kiedy nie musiał robić tego w pojedynkę, gdy zwłoki zamordowanych dzieci nie zaczęły jeszcze wypadać z grobów. Kiedy stał tu ostatnio, zło nie podeszło jeszcze tak blisko, żeby czuł jego oddech na karku. Poświecił latarką w dół. Miała mocne światło, a mimo to nie widział więcej niż tuzin stopni. Nadal stał na pierwszym.

Klucze tkwiły w zamku. Jeśli zszedłby na dół, zostawiając je w drzwiach, ktoś mógłby je cicho zamknąć, przekręcić klucz i... Klucz wrócił do jego kieszeni. Wziął głęboki oddech, wyprostował plecy. To niedorzeczne. Jest dorosłym mężczyzną. A to tylko piwnica. Czyżby ta noc miała być tą, kiedy się dowie, że jest tchórzem?

W wiązce światła z latarki ciemność zdawała się poruszać, jakby zbierała siły, czekała, aż on zbierze odwagę, wiedząc, że prawdopodobnie nie zbierze. Jest sługą bożym. W kościele. Czy ta noc miała być również tą, gdy się przekona, że jego wiara to fikcja?

– Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne – wyszeptał i natychmiast poczuł się gorzej. Każdy, kto by go słuchał, wiedziałby, że kłamie. Bał się. – Zła się nie ulękne – spróbował jeszcze raz – bo Ty jesteś ze mną.

Nadal tkwił na pierwszym stopniu, a Joe, mały sześćioletni Joe, mógł być tam na dole, zziębnięty i przerażony, uwięziony w jednej z tych kamiennych skrzyń.

– Bo Ty jesteś ze mną – powtórzył. Nie poruszył się. – Och, pierdolić to – warknął i zszedł na dół.

Tylko nie pędź – powiedział Steve do Evi przez opuszczoną szybę okienka w samochodzie. – To długa droga, a zapowiadają przymrozki.

Nie musiał jej tego mówić. Widziała obłoczki jego oddechu spiralnie ulatujące w ciemność. Przymrozek już polśniewał na kamiennych murkach biegnących wzdłuż wąskiej drogi.

– Będę uważała – obiecała. – I dziękuję.

Jakby wypuszczał ją niechętnie, Steve nachylił się jeszcze niżej i oparł przedramiona na brzegu szyby.

– Jeszcze kilka rzeczy przychodzi mi teraz do głowy – rzekł. – Te dziewczynki zostały porwane nie bez przyczyny. Kiedy porywane są dzieci, oczywistym motywem wydaje się chęć zaspokojenia potrzeb seksualnych.

Evi musiała przygryźć dolną wargę. Joe znów się pojawił, jak mały duszek unosił się nad podjazdem.

– Ja to dziecko znam, Steve – powiedziała. – Ma ciemnorude włoski, piegi i...

– Przestań.

Mocno zamrugła.

– Jego matka może się roztkliwiać nad jego rudymi włoskami i piegami. Ty masz się trzymać faktów, jeśli chcesz się mu do czegośkolwiek przydać. I posłuchaj: Megan i Hayley obie były znalezione w ubraniach, które miały na sobie, kiedy jeszcze żyły. Czy to twoim zdaniem świadczy o tym, że doszło do przemocy seksualnej?

– Raczej nie – zgodziła się. – Czyli jeśli motyw zabójcy nie jest seksualny, znaczy, że szukamy czegoś innego?

– Po drugie, ważne jest miejsce, w którym zginęły. Istnieje jakiś powód, dlaczego były zrzucone z galerii kościoła.

– Zgadza się – powiedziała. – Tak samo myśli Harry. Jego zdaniem w tym wszystkim chodzi właśnie o kościół.

– Po trzecie, istnieje jakiś związek między wszystkimi ofiarami, włączając w to

Joego – kontynuował Steve. – Ktokolwiek porwał te dzieci, coś go ze wszystkimi łączyło. W przeciwnym razie on czy ona szukaliby swoich ofiar o wiele dalej, co zmniejszyłoby szanse, że zostaną złapani. On lub ona ograniczyli się do tej okolicy, co sugeruje, że to nie mogły być byle jakie dziewczynki, tylko konkretnie te. Znajdź ogniwo, to znajdziesz zabójcę.

– Albo znajdź Ebbę.

– Też. Czy lekarz rodzinny będzie chciał odpowiedzieć na twoje pytania, jak sądzisz?

Evi wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Może uznać, że zastawiam na niego pułapkę, zjawiając się w przychodni w sobotni poranek.

– Cóż, musisz przynajmniej spróbować.

– Wiem. Twoje kolana wytrzymują taki przedłużający się przysiad?

– Żadna część mojego ciała nie wytrzymuje już ostatnio niczego przedłużającego się. Zadzwoń po rozmowie z lekarzem.

– Zadzwonię.

– I przestań się obwiniać za Harry’ego. Aż do dzisiejszego poranka robiłaś wszystko, jak trzeba. Ludzi nie spisuje się na straty za krótką chwilę zapomnienia.

– Jestem ci taka wdzięczna, Steve.

– Na pewno nie chcesz nic na ból?

Pokręciła głową.

– Nie boli aż tak bardzo, poza tym wezmę coś, jak dojadę do domu.

– No dobrze. – Steve wyprostował się, potem jakby sobie o czymś przypomniał i znów nachylił się do okna.

– Jeszcze tylko jedno, w kwestii Joego. Coś mnie w związku z nim niepokoi. On nie pasuje. Ten detektyw ma rację, przynajmniej w tym. Joe jest potrzebny do czegoś innego.

Tom drżał, szyba była zimna, ściana była zimna, wszystko było zimne, ale nie mógł odejść. Nie mógł, aż do chwili, gdy zobaczył wąską wiązkę światła przesuwającą się w górę kościelnej ścieżki. Zaczął liczyć. Dziesięć, jedenaście, dwanaście. Jak dojdzie do trzydziestu, jego ojciec będzie w domu.

Usłyszał dźwięk przekręcającego się na dole klucza i otwieranych drzwi frontowych. Ojciec wracał z obchodu cmentarza i będzie niósł na rękach Joego, zmarzniętego, zmęczonego, irytującego jak diabli, ale jednak Joego. Ojciec go znalazł, Tom to czuł. Pobiegł po dywan, otworzył drzwi sypialni, dotarł na szczyt schodów. Gareth stał w holu poniżej, wciąż w grubej kurtce. Spojrzał w górę. Był sam.

Tom patrzył, jak ojciec ściąga kurtkę i rzuca na krzesło w holu, potem wspina się na schody. Dotarł na szczyt, położył obie dłonie na ramionach starszego syna i odwrócił go tyłem do schodów. Poszli razem do pokoju Toma. Tom położył się na łóżku Joego; ojciec się nie sprzeciwił. Ukląkł na dywan i pogłaskał syna po głowie.

– Tato, przepraszam. – Tom czekał cały wieczór, żeby to powiedzieć, ale dopiero teraz on i ojciec byli sami.

Ojciec miał zaskoczona minę.

– Za co, kolego?

– Za to, że go nie upilnowałem. Wiem, że powinienem się nim opiekować.

Jego ojciec wziął głęboki oddech i chyba zadrżał. Jego oczy nagle zrobiły się wilgotne. Tom jeszcze nigdy nie widział, żeby ojciec płakał.

– Tom, to nie była twoja wina – powiedział, biorąc jego rękę w swoją zmarzniętą. – Nie musiałeś go pilnować. Tam byli nauczyciele. Nigdy przenigdy nie myśl, że to przez ciebie.

Tom nigdy dotąd nie słyszał, żeby ojciec kłamał.

– Znajdziemy go, prawda, tato? Obiecuj mi, że go znajdziemy.

Usta Garetha wykrzywił grymas. Z trudem się opanował.

– Poświęcę na to całe życie, Tom – odpowiedział. – Obiecuję ci.

Otoczył syna ramieniem i ułożył go na poduszce. Tom, który postanowił wcześniej, że nie zaśnie, dopóki Joe nie wróci, przekonał się, że powieki zaczynają mu ciążyć. Ojciec nie obiecał, że Joe się znajdzie, a tylko że nigdy nie przestanie go szukać. A więc tylko jedno kłamstwo. Więcej z ojca nie wyciągnie.

Niebieskosrebrne auto nie stało na ulicy przed domem Harry’ego. Była już prawie jedenasta. Evi wyciągnęła komórkę i popatrzyła na wyświetlacz. Zostawił sześć wiadomości, wszystkie przed ósmą, ale ona zwyczajnie nie chciała z nikim rozmawiać, dopóki nie będzie miała szansy pomyśleć, porozmawiać z kimś, kto nie jest zaangażowany emocjonalnie.

Wybrała jego numer i została poproszona o pozostawienie wiadomości.

Jej nogi wyły z bólu, podobnie kręgosłup, zupełnie jakby godzinami leżała rozciągnięta na plecach na kamieniu młyńskim. Koniecznie musiała zażyć leki, coś zjeść, odpocząć. Uruchomiła silnik.

Kiedy zaparkowała, znowu wybrała jego numer. Nie odbierał. Była zdana tylko na siebie.

Chylę czoło przed Burke i Hare^[5] – mamrotał Harry, wtykając łom pod kamienną pokrywę sarkofagu i napierając następnie na łom całym ciężarem ciała. Ciężka płyta przesunęła się o ułamek centymetra. Z wprawą wyćwiczoną prawie godziną praktyką przesunął wieko trochę bardziej, tak że mógł zaświecić latarką do środka.

Nic. Czyli dokładnie tyle samo, ile znalazł w poprzednich ośmiu trumnach, które zdołał otworzyć. Żadnych kości, zmumifikowanych ciał, żadnych strzępów rozłożonych szat pośmiertnych i zdecydowanie żadnego Joego. Prawdopodobnie nigdy się nie dowie, kiedy szczątki dawno zmarłych kapłanów zostały usunięte z krypty Świętego Barnaby, ale fakt był taki, że ich tu nie było.

Jego zdenerwowanie wyparowało dawno temu. Na przepędzenie strachów naprawdę nie ma nic lepszego od porządnego spocenia się.

Tajemnicą pozostawała jeszcze tylko jedna wnęka. Ostatnia w rzędzie, mieszcząca się najbliżej tylnej części krypty. Żaden klucz z pęku, które zabrał z szuflady biurka, nie otwierał żeliwnej kraty. Kiedy policja przeszukiwała kryptę poprzednio, musieli mieć zestaw kluczy Sinclaira. Harry ostukał zamek, przetknął klucz francuski przez kraty i zabębnił nim w dwa sarkofagi, do których był w stanie dosięgnąć, zawołał Joego i ostatnie dziesięć minut po prostu nasłuchiwał w ciszy. Ostatecznie był zmuszony się poddać. Joego nie było w kościele. Nie było go w kościele ani pod nim.

Ale przynajmniej teraz już to wiedział.

Przeszedł pierwszą komorę krypty i oświetlając sobie drogę latarką, znalazł przejście do drugiej. Teraz był pod swoim kościołem i choć była już prawie północ, z góry docierało tu trochę światła.

Ruszył przed siebie. Zaskoczony i zafascynowany, że jest taki odważny, zgasił latarkę. Z ciemności stopniowo wylaniały się cienie. Blask latarni na zewnątrz wlewał się przez okna do kościoła i odrobina tego światła wsączała się do piwnicy.

Ale właściwie jak?

Podszedł do miejsca, gdzie światło wydawało się najmocniejsze. Tak,

zdecydowanie światło, kwadratowa wiązka. Dotarł do smugi i popatrzył w górę. Bezpośrednio nad jego głową znajdowała się krata. Sięgnął do niej i pociągnął. Trzymała mocno. Spróbował ją wypchnąć i krata wystrzeliła w górę.

Kiedy ją przesuwiał na bok, słyszał, jak drapie o kafle posadzki. Wyciągnął ręce i chwycił się brzegów otworu, który odsłonił. Jego palce zamknęły się na kamiennych kaflach, które, jak wiedział, pokrywały niezastłoniętą dywanami część posadzki w prezbiterium. Czas się dowiedzieć, jak mocne ma ramiona.

Wystarczająco. Jedno silne podciągnięcie i znalazł się na górze, rozglądał się. Stał zaraz za organami, w ciasnej wypełnionej kurzem luce, często występującej za tymi starymi instrumentami. Przez szczeliny między rurami widział pulpit, nie dalej niż cztery kroki od siebie.

Czas zabijania.

– A więc to tutaj się chowałaś – wymamrotał. – Nasza mała przyjaciółka i jej głosy. – Zeskoczył z powrotem do piwnicy, zasunął kratę i wyszedł z krypty. Dziwna znajoma dzieci Fletcherów, Ebba, dobrze znała kościół, to było zupełnie jasne. I to pewnie ona napędziła mu takiego stracha pierwszego dnia jego urzędowania.

Harry zamknął kryptę, potem sprawdził, czy główne drzwi kościoła są zamknięte na klucz i zaryglowane. Skorzystał z ustępu na tyłach budynku, potem wszedł do nawy. Dzięki Jenny Pickup on i Fletcherowie kilka godzin temu mogli coś zjeść. Miał ze sobą pled z samochodu, który zaparkował kilkaset metrów od kościoła, w spokojnym zaułku. Był przygotowany.

Kiedy dotarł do ołtarza, podniósł firany okalające stary dębowy stół. Ołtarz był nakryty kremowym adamaszkiem, lnianym i purpurowym brokatowym obrusem adwentowym. Wepchnął pod stół kilka klęczników, potem sam się pod niego wczołgał. Ściągnawszy firany na miejsce i opatuliwszy się pledem, położył się.

Był na zabójczej ziemi. Jeśli ktoś przyprowadzi tu dzisiaj Joego, on będzie gotowy.

Evi sprawdziła godzinę na zegarku. Była prawie dziesiąta, ale w oknach na dole widziała światła. Przecięła ulicę i zadzwoniła dzwonkiem. Ból w nodze i w plecach przez ostatnią godzinę bardzo się nasilił. Głupio zrobiła, że nie wzięła nic od Steve'a.

Po kilku minutach podest na szczycie schodów zalało światło. Po schodach schodziła słabo widoczna postać. Evi zaczęła czuć ucisk w klatce piersiowej. Postać dotarła do podnóża schodów. Drzwi się otworzyły i przez moment dwie kobiety tylko się sobie przyglądały.

– Cześć, Gillian – przywitała się w końcu Evi.

Gillian wyraźnie się chwiała i nie była w stanie skupić wzroku.

– Wreszcie się od niego oderwałaś, co? – rzuciła. Piła.

Klatka piersiowa Evi jakby się skurczyła. Musiała nieomal łykać powietrze.

– Po tym, jak mnie zobaczyłaś w kościele, od razu przyjechałam tutaj, szukałam cię – wyjaśniła, wiedząc, że Gillian będzie słuchała tylko czegoś, co dotyczy jej. – Nie zastałam cię, więc pojechałam zobaczyć się z innym psychiatrą – kontynuowała. – Długo z nim o tobie rozmawiałam. Martwię się o ciebie, Gillian. Mogę wejść?

– Nie! – Ręce kobiety wystrzeliły do framugi, blokując wejście, jakby same słowa to było za mało, żeby powstrzymać Evi.

– Gillian, mnie i Harry'ego nie łączy żadna intymna relacja – oznajmiła Evi, słysząc, że jej głos drży, ale zmuszając się do spojrzenia drugiej kobiecie w oczy. – Nie umawiamy się, nie wychodzimy nigdzie razem, nie odwiedzamy się i z pewnością ze sobą nie sypiamy. Ale Harry ostatnio miał bardzo stresujący okres. Podobnie jak ja. To, co widziałas dziś po południu, to był błąd.

Evi dała krok przed siebie, spróbowała się uśmiechnąć, ale nie udało jej się to.

– Nie jestem jego dziewczyną – zapewniła. – Ale, Gillian, obawiam się, że musisz przyjąć do siebie to, że ty też nią nie jesteś.

– Kłamliwa suka!

Furia na twarzy kobiety, bardziej niż słowa, kazała Evi się cofnąć, o mało przy tym nie poleciała w tył.

– To przez ciebie się zmienił – warknęła Gillian. – Lubił mnie. Byliśmy sobie bliscy. Pocałował mnie. A potem nagle zaczął unikać. Naopowiadałaś mu kłamstw na mój temat, co? Powiedziałaś, że jestem wariatką. Zatrulaś mu umysł, bo chciałaś go mieć dla siebie.

– Nie rozmawiałam o tobie z... – Evi urwała. Nie mogła już tak mówić. Bo przecież rozmawiała z Harrym o Gillian.

– Jesteś żałosna, wiesz? – Gillian wyszła za próg, zmuszając Evi do zejścia na ulicę. – Myślałam, że to ja jestem zła, ale to ty masz urojenia. Cóż, powiem ci coś, a ty posłuchaj. Może cię zerznie, jak będzie już naprawdę zdesperowany, ale to wszystko, czego kiedykolwiek będzie oczekiwał od kaleki.

– Gillian, przestań. – Nie da sobie z tym rady. Nie teraz.

– I zrobi to jedynie po ciemku.

Tańcząc w... Zaraz zwymiotuje.

– Przyjdę do ciebie rano – zdołała wydusić Evi.

– Nie trudź się.

– Znajdziemy ci innego lekarza. Wiem, że nasza relacja się zepsuła i że to moja wina...

Evi mówiła do siebie. Gillian trzasnęła drzwiami.

19 grudnia

Kiedy Tom się obudził, w pokoju było ciemno. Budzik na biurku powiedział mu, że jest prawie trzecia nad ranem. Leżał sam w łóżku Joego.

Z powrotem zamknął oczy. Przypomniało mu się, że widział w telewizji program o ludziach, którzy mają ze sobą coś w rodzaju łączności myślowej. Często się to zdarza u bliźniaków, mówili w tym programie, wiedzą, co drugi myśli bez mówienia tego na głos. Między nim a Joem nie ma aż tak dużej różnicy wieku. Bardzo często dokładnie wiedział, o czym myśli jego brat. Może on i Joe też mają taką łączność. Może jeśli się mocno skoncentruje, Joe powie mu, gdzie jest.

Zegar kościelny zaczął cicho wybijać godzinę. Ding, ding, ding.

Harry poczuł na twarzy muśnięcie tkaniny okalającej ołtarz. Obudził się z wysiłkiem. Podniósł rękę do twarzy i wcisnął podświetlony guzik w zegarku. Dziesięć po trzeciej. Na twarzy czuł zimną bryzę. Ktoś otworzył drzwi.

Tak cicho, jak tylko mógł, wyturlał się spod stołu, stanął i podszedł do organów. Kościół wydawał się pusty. Kwadrat kraty pod jego stopami leżał na swoim miejscu. Nikt nie wdrapał się na górę z krypty.

Stał nieruchomo, uważnie nasłuchując. Wiatr ustał; w prognozie pogody wieczorem wspominali, że może spaść śnieg.

Po pięciu minutach ruszył wolno nawą, po drodze zaglądając do ławek po obu stronach. Na tyłach kościoła sprawdził drzwi do krypty. Były zamknięte na klucz i zaryglowane. Galeria na górze wyglądała na pustą. Przeszedł do niedużych drewnianych drzwi prowadzących do wieży dzwoniczej. Były zamknięte, ale nie zaryglowane. Przecież sam je wcześniej ryglował. A może nie? Ale pamiętał, że to robił. Był pewien.

Nic. Jeśli Joe wysyłał jakieś wiadomości, Tom ich nie przechwytywał. Poza tym nagle nie mógł już dłużej leżeć nieruchomo. Skopał z siebie kołdrę i wstał z łóżka. Przeszedł korytarzem pod pokój Millie, otworzył drzwi. Spała głęboko, włosy miała wilgotne od potu, w rękach ścisnęła pluszowego Simbę.

A co jeśli Joe jest w tej chwili na zewnątrz? Wrócił do domu, ale nie może się do niego dostać? Siedzi skulony na stopniach i zamarza. Tom zbiegł lekko po schodach i wyjrzał przez szybkę w drzwiach frontowych. Za progiem nie zobaczył postaci zziębniętego skulonego małego chłopca.

Już chciał wracać na górę, kiedy jakiś dźwięk w pokoju dziennym kazał mu się zatrzymać. Nie śmiejąc mieć nadziei, otworzył drzwi. Jego mama, nadal w ubraniu, które nosiła przez cały dzień, leżała na kanapie, przykryta pledem. Na drugiej kanapie siedział ojciec. Głowę miał odchyłoną do tyłu, oczy zamknięte. Oddychał wolno i ciężko.

Tom wszedł na palcach do pokoju. Na trzeciej kanapie leżały poduszki i kolorowa narzuta. Położył się i przykrył narzutą.

Harry otworzył drzwi do dzwonnicy. Cholera jasna, ale było zimno. Dzwonnica była pusta, dzwon wisiał do góry nogami, tak jak go zostawił kilka godzin temu. Nie było sensu tam wchodzić. Nikt nie wdrapałby się na wieżę od zewnątrz.

Nikt dorosły. Szczupłej kobiecie może by się udało. A Ebba była wzrostu dziecka. Harry podciągnął się w górę, aż mógł wyrzeć. Przed nim w dół schodził pokryty dachówkami daszek. W przeciwległym roku, od frontu kościoła, widać było trzy fałszywe dzwonnice. W przeciwieństwie do tej, w której stał, tamte były puste, zbudowane tylko dla zapewnienia estetycznej równowagi. Między kamiennymi kolumnami przeświecało nocne niebo. Na dachu nie było nikogo – ale on na pewno ryglował wcześniej te drzwi. Zszedł z powrotem na dół i opuścił galerię. Przechodząc nawą, znów zerknął na zegarek. Za dwadzieścia czwarta. Może wracać się położyć.

Ostry zgrzytliwy dźwięk. Potem niskie dzyń, jakby coś ciężkiego spadło na kamienną posadzkę. Harry zdążył się wyturlać ze swojej kryjówki w samą porę, żeby zobaczyć ciemną postać znikającą w otworze.

– Zaczekaj! – zawołał instynktownie. Pod podłogą usłyszał odgłos łupnięcia. Sięgnął pod ołtarz, złapał latarkę i popędził przez prezbiterium. Nie było już sensu się ukrywać.

Zeskoczył na posadzkę krypty, włączył latarkę i poświecił nią w każdy kąt, szukając cieni, których nie powinno tam być, czegoś oprócz niego, co się porusza. Pierwsza izba wydawała się pusta. Właśnie miał przejść do drugiej, kiedy usłyszał inny dźwięk. Żelaza uderzającego w żelazo, w drugiej izbie.

Podbiegł do wejścia i zatrzymał się. Nie chciał wbiegać w ciemność. Stojąc w progu, zaczął przeczesywać otoczenie światłem latarki, wyławiając w jej blasku fontannę w kształcie muszli, pierwszą z wnęk, drugą, krata – kraty w szóstej i ostatniej były otwarte. W tej, której nie udało mu się otworzyć wcześniej, ktoś teraz był.

– Ebba – zawołał. – Tak się nazywasz?! Ebba, chcę tylko porozmawiać. Pomóż mi znaleźć Joego.

Cisza. Mijał trzecią wnękę.

– Chcę tylko Joego, Ebba. Powiesz mi, gdzie on jest?

Czwarta wnęka, piąta. W szóstej krata nadal była otwarta.

Zbliżając się, zwolnił kroku. Pamiętał sześć sarkofagów w szóstej wnęcie, wąskie przejście i drewniane drzwi na ścianie w głębi.

Przyszykowany na nagły atak, wszedł do wnęki. Była pusta. Ebba musiała wyjść drzwiami na tyłach. Podszedł do nich. Nie miały więcej niż pół metra szerokości i otwierały się na zewnątrz.

Pomieszczenie za nimi była to wąska niska komnata ze sklepieniem ceglany sufitem. Po obu stronach na półkach z cegieł leżały trumny. Powietrze było tu suche, pachnące ziemią i przez kolejne drzwi w głębi wpadała do środka zimna

bryza. Ebba uciekła, a on przez najmniejszą ze szczelin mógł dostrzec nocne niebo.

Przechodząc obok trumien, spojrzął na zegarek. Szósta czterdzieści. Pchnął drzwi i wyszedł na maleńkie podwórze otoczone wysoką żeliwną balustradą. Natychmiast ją rozpoznał, choć nigdy wcześniej nie był po tej jej stronie. Opuścił kościół przez grobowiec rodziny Renshaw.

Cóż, teraz już wiedział, w jaki sposób Ebba dostawała się do kościoła i z niego wydostawała, nie będąc przez nikogo widziana. Ale gdzie się podziała? Przemierzył podwórko, chrzęszcząc żwirem pod stopami, i pchnął żeliwną bramkę.

Zbliżała się siódma, świat się budził, ale niebo w górze było jeszcze tak czarne. Czekał z sercem walącym w piersi. Żadnego dźwięku, nawet szumu wiatru.

Potem zaszeleściły trawy, zakołysały się krzaki. Ktoś szedł w jego stronę. Usunął się w cień wysokiego krzewu laurowego. Zobaczył ją, drobną postać, pełzającą w jego kierunku, rozglądającą się, jakby się bała, że coś może na nią wyskoczyć. Harry dał krok przed siebie, chwycił postać za ramię i odwrócił do siebie twarzą.

– Tom! – rzucił zduszonym głosem. – A co ty tu, na Boga, robisz?

Tom popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami, lekko nadęty, tak jak robią dzieci, kiedy nie chcą odpowiadać na jakieś pytanie. Zwłaszcza na głupie. Szukał swojego brata, naturalnie, co innego mógł robić?

– Mama i tata wiedzą, że tu jesteś? – pytał dalej Harry.

Chłopiec pokręcił głową.

– Oboje śpią. Nie chciałem ich budzić.

– No dobrze, ale teraz musimy wracać. – Położył rękę na ramieniu chłopca i lekko go popchnął, żeby się ruszył. Jeśli Alice i Gareth się obudzą i stwierdzą brak kolejnego dziecka, mogą stracić te resztki poczytalności, jakie im jeszcze zostały.

Odszukali ścieżkę i Harry wreszcie odzyskał spokój na tyle, że mógł mówić.

– Tom – zaczął. – Myślę, że właśnie przed chwilą widziałem tę dziewczynkę, o której opowiadasz. Tę, którą Millie nazywa Ebba.

Tom zatrzymał się i spojrzął na niego.

– Widział ją pastor?

– Tak. Nie zatrzymuj się. – Harry popchnął chłopca i znów zaczęli się razem wspinać pod górę. – Była przed chwilą w kościele.

– Jest przerażająca, prawda? – powiedział Tom cichym głosem.

– No cóż, nie przyjrzałem się dobrze. – Byli teraz blisko murów kościoła. – Tom, czy ty wiesz, kim ona jest, gdzie może mieszkać? – spytał Harry. – Przecież nie

gdzieś na wzgórzach, musi mieszkać w którymś z domów. – Miała klucz do grobowca Renshawów. Czy to prawdopodobne, żeby...?

– Zwykle, kiedy ją zobaczę, ucieka – wyjaśnił Tom. – Ale jestem prawie pewien, że rozmawia z Joem.

– Myślisz, że Joe jest teraz z nią? Myślisz, że to ona go porwała?

Tom kiwnął głową.

– Mówiłem to policji – stwierdził. – Ale oni odpowiedzieli, że każdy, kto wyglądałby tak dziwnie jak ona, zostałby zauważony w Blackburn, a zwłaszcza w King George's Hall. Oni myślą, że Joego porwał ktoś dorosły.

– Mimo wszystko wolałbym, żebyśmy ją odnaleźli. Tom, czy ty kiedykolwiek...

– Tom! Tom!

Tom zerwał się do biegu. Harry nabrał powietrza w płuca.

– Jest tutaj! – zawołał na cały głos. – Ze mną!

Sekundę później nad granicą muru pojawiły się głowa i barki Garetha. Wdrapał się na mur, potem ruszył do syna.

– Czy ty masz, cholera, pojęcie...? – zaczął.

Harry wysunął się naprzód.

– Tom nie mógł spać – powiedział szybko. – Wyszedł z domu szukać Joego. Spotkał mnie na dole wzniesienia.

– Twoja matka prawie dostała zawału. A teraz natychmiast do domu.

– Spokojnie, stary, wyluzuj – poradził Harry.

Gareth podniósł dłonie do twarzy i ciężko odetchnął.

– Wiem – mruknął. – Chodź, koleżko. – Sięgnął do syna i przyciągnął go do siebie. Tom otoczył ojca rękoma w pasie i razem poszli do bramy kościoła. Harry podążył ich śladem. Alice w drzwiach frontowych obserwowała ich. Jej szczupłe ciało zdawało się podrygiwać; zastanawiał się, czy walczy ze sobą, żeby się nie rozpłakać – albo nie krzyczeć. Po drugiej stronie ulicy światła były włączone, zasłony rozsunęte. Swoimi krzykami on i Gareth obudzili pół Heptonclough.

Harry zwolnił, gdy zobaczył, że Gareth i Tom opuścili teren kościoła i skręcili w stronę domu. Była prawie siódma. Dotarł do wejścia na dziedziniec kościelny i zatrzymał się. Powinien wrócić na plebanię przebrać się, zjeść śniadanie. Za godzinę zrobi się zupełnie jasno, przyjedzie Rushton z ludźmi. Będą mieli do dyspozycji osiem, może dziewięć godzin światła dziennego.

Ktoś go obserwował. Odwrócił się twarzą do wzniesienia. Blisko muru kościoła stało srebrne audi. Evi właśnie wysiadła, podpierając się laską. Czekala, żeby do

niej podszedł.

Gdzie ty byłaś, do diabła. Masz pojęcie, jak się o ciebie martwiłem?

Trzymał ją za ramiona; było w tym zbyt wiele gniewu, żeby to było przytulenie, ale też zbyt wiele intymności, aby mogło być czymkolwiek innym. Pachniał potem, kurzem i dymem ze świec. Oczy miał przekrwione. Podniosła dłoń i pogładziła go po szczecinie na brodzie.

– Gdzie spędziłeś noc? – spytała, czując, że jej broda drży. Jeśli jej zaraz nie puści, rozpłacze się, i to naprawdę będzie koniec jej zdolności funkcjonowania.

Harry jedną ręką przeciągnął po policzku.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – odparł, puszczając ją i wpychając ręce do kieszeni. – Chodź ze mną, zjemy śniadanie.

Niczego bardziej nie chciała. Zjeść śniadanie u niego w domu, wykąpać się razem z nim, przyglądać się, jak się goli. Pokręciła głową.

– Nie mam czasu – odparła. – Muszę zawiadomić wszystkie miejscowe szpitale i porozmawiać z okręgowym lekarzem rodzinnym, jak tylko zaczniesz działać przychodnia. Jeśli w ostatnich trzydziestu latach urodziło się tu jakieś dziecko z niedoczynnością tarczycy, musi to gdzieś być zarejestrowane. I obiecałam, że wezmę udział w konferencji prasowej z rodziną.

– Co się z tobą wczoraj działo? – zapytał.

Evi westchnęła.

– Pojechałam do swojego tutora – mruknęła. – Trochę się zna na medycynie sądowej, pomyślałam więc, że warto poznać jego pogląd na sytuację. Mogę ci o tym opowiedzieć, ale później. Teraz kluczową sprawą jest znalezienie Ebby.

– Widziałaś się z Gillian? – spytał, nie do końca patrząc jej w oczy.

– Wczoraj wieczorem. Nie wypadło to najlepiej. – Ponad jego ramieniem zobaczyła ludzi udających się do kościoła. – Drugą sprawą, którą muszę się zająć, jest znalezienie dla niej innego lekarza – ciągnęła. – Postaram się spróbować, żeby jeszcze dzisiaj ktoś ją przyjął. Naprawdę się o nią niepokoję.

Dwie starsze kobiety czekały kilka metrów dalej, wyraźnie pragnąc

porozmawiać z Harrym. Evi spojrzała na zegarek.

– Muszę iść – rzuciła. – Wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła. – Odwróciła się do samochodu i zatrzymała. – Przydałaby mi się teraz odrobina twojej wiary – rzuciła przez ramię. – Masz trochę na zbyciu?

Jeśli odpowiedział, ona tego nie usłyszała.

Harry odwrócił się od Evi i ujrzał stojące przy wejściu na dziedziniec kościelny Minnie Hawthorn i jedną z jej koleżanek. Ich spojrzenia, kiedy ku nim kroczył, opływając jego pogniecione ubranie, nieogoloną twarz, zdawały się obierać go ze skóry jak warzywo.

– Witam, szanowne panie – pozdrowił kobiety, zastanawiając się, skąd weźmie energię, by być uprzejmym wobec tych drobnomieszczańskich, wścibskich starych wieźm, które przyszły tu prawdopodobnie tylko dlatego, że bawił je dramat toczący się u progu ich domów.

– Nocne czuwanie, co, pastorze? – spytała Minnie i jej oczy powędrowały do jego stóp, a potem z powrotem w górę.

– Coś w tym stylu – przytaknął.

– Kościół otwarty? – spytała koleżanka.

Za sobą usłyszał odgłos silnika w aucie Evi. Skinął głową.

– W takim razie same damy sobie radę – stwierdziła Minnie. – Szybko się uwiniemy i za minutkę będzie miał pastor śniadanie gotowe.

Harry odwrócił się, akurat gdy Evi przejeżdżała obok, nawet nie zerkając w jego stronę. Stanley Hargreaves, kolejny z jego parafian, schodził ku nim w dół ulicy z dwójką innych mężczyzn. Potem od strony wrzosowisk nadszedł land rover i zatrzymał się przed sklepem mięsnym. Na przedzie siedzieli Jenny i Mike Pickupowie. Wewnątrz sklepu zabłysło światło. Z tylnych drzwi wyłonili się Dick Grimes i jego syn i wyszli na ulicę.

– Nie będą czekali na policję – powiadomiła towarzyszką Minnie. – Zaczną zaraz potem, jak pastor skończy modły.

– Modły? – zdziwił się.

– Za tego małego chłopaczka – rzuciła Minnie, biorąc go pod ramię i prowadząc ku kościołowi. – Za jego bezpieczny powrót. Chodźmy, pastorze, wydaje się pastor lekko otepiały, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Myślę, że dobrze zrobi pastorowi, jak się rozgrzeje od środka czymś ciepłym.

Kiedy skręciła i już nie widziała kościoła w lusterku wstecznym, Evi wytarła oczy. W sekundę znowu wypełniły się łzami. Gillian stała przed frontowymi drzwiami swojego mieszkania. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Evi zdjęła nogę z gazu i auto zwolniło. Ale nie mogła się zatrzymać – co, na Boga, miałyby powiedzieć? Znowu nacisnęła na gaz i samochód wystrzelił przed siebie.

Czy Gillian zamierza dołączyć do akcji poszukiwawczej? „Całe lata chodziłam po wrzosowiskach, znam wszystkie najlepsze kryjówki”. Na pewno nie była odpowiednio do tego ubrana, w tej cienkiej dzinsowej kurteczce i botkach na wysokich obcasach.

W jej myślach pojawił się nagle obraz ciała małego chłopca, leżącego pod jakimś krzakiem. Psy pasterskie go wywęszą, prawdopodobnie nawet jeszcze zanim policja przywiezie swoje, i to będzie koniec wszystkiego.

Przestań. Przestań. Nic się jeszcze nie skończyło.

Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. W sobotę przychodziła dziesiąta od dziesiątej do południa. Dyżur miał dzisiaj John Warrington. Konferencja prasowa zaczyna się o dziesiątej i zapewne potrwa około czterdziestu minut. Mało czasu, ale może się udać. Nic jeszcze nie jest stracone.

Tylko dlaczego w takim razie nie może, do cholery, przestać płakać?

Jeszcze zanim nastał świt, w kościele było już pełno ludzi. Pół godziny po odjeździe Evi Harry został nakarmiony kanapkami z bekonem i napojony mocną kawą a następnie poprowadził improwizowane nabożeństwo na rzecz akcji poszukiwawczej. Ktoś uprzątnął spod ołtarza jego prowizoryczne posłanie. Ktoś inny powiedział mu, żeby nie przejmował się i nie wkładał szat; w tych okolicznościach dzinsy i sweter w zupełności wystarczą.

Pięć minut po tym, jak zaczął, budynek był wypełniony prawie po brzegi. Większość osób stała z tyłu i po bokach, jakby ludzie mogli poświęcić chwilę na modlitwę, ale już nie na to, żeby zasiąść w ławkach. Po ośmiu minutach przyjechała policja, dołączając w milczeniu do modlących się.

Przez drzwi zakrystii weszli Sinclair i Christiana Renshawowie i zajęli swoje miejsca. Gillian wśliznęła się za policjantami i stała z tyłu, drżąc z zimna. Harry widział, że ludzie zaczynają się niecierpliwić. Jego spojrzenie przykuł jakiś ruch na galerii. Stali tam Gareth i Tom Fletcherowie. Sekundę później dołączyła do nich Alice z Millie w nosidełku na plecach. Rodzina miała niedługo wygłosić odezwę w

telewizji o bezpieczny powrót Joego. Do tego momentu nie zamierzali marnować czasu. Harry zamknął Biblię.

– Chodźmy, znajźmy Joego – powiedział. On pierwszy opuścił kościół.

Ludzie na wrzosowiskach wyglądali na ogarniętych ponurą determinacją.

– Znajdziemy go – słyszał Harry ich pomrukiwania. – Nie stracimy kolejnego.

Co do poczynań policji, to wydawało się, że działa bardzo sprawnie. Detektyw Andy Jeffries zebrał trzydziestu najbardziej krzepkich mężczyzn i starszych chłopców i zaprowadził ich na najwyższy punkt nad miastem. Na szczycie wszyscy się rozdzielili i zaczęli schodzić w dół wrzosowiska. Kazano im szukać wszystkiego, co jest niezwykle: ubrań, zabawek, buta, czegokolwiek, co mogłoby sugerować, że Joe Fletcher tamtędy przechodził. Kiedy dotarli na sam dół, skręcili na zachód i powtórzyli cały proces, tym razem idąc pod górę.

Niebo było mocno zachmurzone. Harry wolał nie myśleć, że to zapowiedź opadów śniegu, ale ilekroć spoglądał w górę, gruda w jego piersi zdawała się coraz twardsza. Tuż przed ósmą żółta poświata na wschodzie powiedziała mu, że słońce próbuje przedrzeć się przez chmury. Ale to było za mało. Na szczęście wiatr nie był ostry, choć z każdą upływającą minutą robiło się zimniej.

Jak na razie poszukiwania niczego nie przyniosły. Wprawdzie w pewnej chwili trzydzieści serc zabiło mocniej, gdy jeden z owczarków szkockich Pickupów zaczął ujadać na stertę kamieni, ale wyciągnęli spod niej tylko rozkładającą się tylną ćwiartkę owcy.

Kiedy byli na wrzosowiskach już prawie od dwóch godzin i chłód przedzierał się nawet przez najgrubsze kurtki, usłyszeli monotonny, natarczywy szum śmigłowca. Żaden z poszukujących nie mógł go dostrzec poprzez chmury, ale narastające i cichnące wycie silnika mówiło im, kiedy helikopter się zbliżał, a kiedy znowu odlatywał. Po pięciu minutach Harry nie był pewien, jak długo jeszcze będzie w stanie znosić ten niekończący się atak na swoje uszy. Po dziesięciu czuł się tak, jakby ten hałas miał w głowie od zawsze. Piętnaście minut od pojawienia się helikoptera detektyw Jeffries dmuchnął w gwizdek.

– Szef woła nas wszystkich na dół. – Musiał krzyczeć, żeby było go słychać

przez buczenie śmigłowca. – Na wrzosowiskach jest nas zbyt dużo. – Pokazał w górę, żeby uzasadnić swoje stwierdzenie. – Sprzęt termowizyjny nie ma szans – wyjaśniał. – Musimy się ewakuować.

Ludzie się odwrócili i zeszli do miasteczka.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – oświadczyła Alice. – Nie potrafię nic wymyślić. Zupełnie nic.

– Niech pani po prostu mówi cokolwiek przyjdzie pani do głowy – poradziła rzeczniczka, kobieta w cywilnych ciuchach, która opiekowała się rodziną od jej przyjazdu na komendę. – Ludzie będą wiedzieli, przez co przechodzicie. Tu chodzi o powiadomienie tylu osób, ile się da, o tym, że Joe zaginął. Zależy nam na tym, żeby wszyscy go szukali. A ty, Tom, jak się czujesz?

Tom popatrzył na kobietę.

– W porządku – odparł automatycznie.

Nachylała się do niego. Pachniała pomarańczami i pastą do zębów, a jej zielona garsonka była zbyt obcisła.

– Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, spokojnie możesz to powiedzieć – ciągnęła kobieta. – Jakaś wiadomość do Joego, na przykład. Możliwe, że będzie cię oglądał.

– Tak? – Tom odwrócił się do matki. – Będzie, mamó?

Matka skinęła głową i Tom poczuł ucisk w gardle.

– Czy to już? – spytał Gareth i Tom zaczął brać głębokie wdechy. Nie może się rozplakać, nie przed kamerami, nie, kiedy może go oglądać Jake Knowles. Tylko że Jake był na wrzosowiskach, czyż nie, ze swoim tatą i bratem? Tom widział ich w kościele, widział, jak szli w górę ulicy. Jake Knowles jest teraz tam i szuka jego brata.

– O, jest Evi – rzuciła Alice.

Tom odwrócił się i zobaczył podjeżdżającą ku nim na wózku panią doktor. Śmieszne, ale zawsze mu się podobała. Uważał, że jest ładna. Prawie tak jak jego mama.

– Wi, wi – zagruchała Millie z ramion ojca.

– Evi, dziękujemy, że przyszłaś – powiedziała Alice. – Myślisz, że dałabyś radę potrzymać Millie? Z tobą przypuszczalnie będzie chciała zostać.

Evi podniosła rękę i Gareth posadził jej delikatnie córkę na kolanach. Millie chwyciła w garstki włosy Evi i zaczęła podskakiwać.

– Już czas – oznajmił nadinspektor Rushton. Skąd on się tu wziął? Był na wrzosowiskach z innymi policjantami. Tom przyglądał się, jak detektyw kładzie dłoń na ramieniu Alice. – Gotowa, dziewczyno?

Rodzice Toma przeszli za Rushtonem przez drzwi do dużej sali. Siedziało tam na krzesłach mnóstwo osób zwróconych twarzami do długiego stołu na przedzie. Flesze zaczęły błyskać, kiedy rodzina zajęła swoje miejsca.

Zakrystia zamieniła się w kawiarnię. Dzięki Minnie Hawthorn i jej bandzie wiedźm – słodkich, dobrych staruszek, gotowych zrobić wszystko, żeby tylko pomóc. Pół tuzina czajników gotowało się na okrągło. Kanapki były robione i nieustannie konsumowane. Kobiety powiedziały mu, że są zbyt stare, żeby łązić po wrzosowiskach, ale przynajmniej mogą nakarmić tych, co to robią; i mogą się modlić za tego małego chłopaczka.

Harry czuł, że jeśli jeszcze trochę pobędzie w ich pobliżu, zacznie wrzeszczeć.

Stojący przed ołtarzem detektyw Neasden wyjaśniał, dlaczego grupa musiała czasowo przerwać poszukiwania. Kiedy skończy mówić, wszyscy będą oczekiwali, że Harry zacznie się z nimi modlić. Nigdy w życiu. Musi szybko uciec z kościoła.

Na zewnątrz helikopter nadal krążył. Bliżej frontu kościoła, stojąc trochę z boku, nadinspektor Rushton rozmawiał z Sinclairem i Tobiasem Renshawami. Skoro Rushton wrócił, konferencja musiała się już skończyć. Spostrzegłszy Harry'ego, Rushton zostawił Renshawów i podszedł. Czując nagłe wyczerpanie, Harry opadł na kamienną płytę grobu za sobą. Rushton usiadł obok. W ręce trzymał zapalonego papierosa.

Harry odwrócił się do policjanta, żeby go dobrze widzieć. Na mundur miał włożoną grubą kurtkę, na rękach rękawiczki, na szyi wełniany szalik. Spał tej nocy prawdopodobnie mniej niż Harry.

– Coś znaleźliście? – spytał Harry. Wiedział, jaka będzie odpowiedź, ale nie potrafił się powstrzymać i nie zapytać.

Rushton mocno zaciągnął się papierosem.

– Na razie nic – odparł w chmurze wydmuchniętego dymu. – Konferencja prasowa poszła dobrze. Młody Tom został gwiazdą, całą salę doprowadził do łez, mówiąc do brata, że sprzątnął dla niego pudełko z jego żołnierzkami.

Harry zwiesił głowę na ręce.

– Właśnie tego potrzebowaliśmy – dodał Rushton. – Teraz całe Lancashire mówi

tylko o Joem Fletcherze.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – powiedział doktor Warrington. – W soboty zawsze mamy tłok.

Evi zmusiła usta do ułożenia się do półuśmiechu. Pędziła tutaj po konferencji, a teraz siedziała w poczekalni, przypatrując się biegającym po drzewach wiewiórkom i wpadając w coraz większy gniew, gdy kolejny pacjent z kaszlem czy z wrosniętym paznokciem, ale żaden w stanie prawdziwego zagrożenia, wchodził do gabinetu przed nią.

– Mam mało czasu. – Lekarz zerknął na zegarek. – W południe muszę być na polu golfowym. – Na jego biurku leżała otwarta książka. Zamknął ją i odłożył na parapet za sobą. Nie spojrział Evi w oczy dłużej niż kilka sekund.

– W tej okolicy mieszka kobieta, która choruje na niedoczynność tarczycy – zaczęła. – Muszę ją znaleźć. Myślę, że to może być istotne w związku ze sprawą porwania Joego Fletchera.

Doktor Warrington sięgnął do komputera i wyłączył go.

– Przykro mi, doktor Oliver – powiedział. – Zna pani przepisy.

– No, a tutaj jak? – spytał Harry, czując, jak dym z papierosa Rushtona wypełnia mu płuca.

– Treserzy z psami przekopali kościół – odparł policjant. – Dwukrotnie. Byli też w piwnicach i na cmentarzu. Kilka razy myśleliśmy, że psy coś wywęszyły, ale niestety.

– Chłopcy dość często zagląдают do kościoła – zauważył Harry. – Byli tu w zeszłą niedzielę na nabożeństwie.

– Tak, to by to tłumaczyło. Bardziej nam się poszczęściło z nagraniami z monitoringu w Blackburn. Właśnie do mnie stamtąd dzwonili.

– Naprawdę?

– Aha. Jeszcze nie zdążyłem powiedzieć rodzicom, więc niech to pastor zachowa dla siebie, ale ta para, którą wypatrzyliśmy w Kings George's... znowu ją widziano, wsiadała do autobusu jadącego do Witton Park. Niecałą godzinę temu rozmawialiśmy z kierowcą.

– Pamięta ich?

– Słabo. Myśli, że mogli wysiąść gdzieś na King Street, bo zdecydowanie nie

było ich, gdy autobus dotarł do parku. Był już wtedy prawie pusty.

– Widziano ich gdzieś potem?

– Nie. I myślę, że nikt nie mógł ich widzieć. Mogli mieć zaparkowany gdzieś tam przy drodze samochód. Najistotniejsze jest to, że się nie zgłosili. Pomimo zdjęć pokazywanych we wczorajszych wieczornych wiadomościach i w dzisiejszym „Telegraphie”.

– A więc nie udało się wam ich wykluczyć.

– Wręcz przeciwnie. Udało nam się powiększyć obraz aż do momentu, że widać coś jak jakby nalepkę na bucie dziecka. Tom powiedział nam, że Joe ma na swoich adidasach nalepki ze Spidermanem. Zdołaliśmy też określić, skąd pochodzą rzeczy, które mieli na sobie. Pamięta, pastor, oboje byli w czapkach bejsbolowych, oboje mieli obszerne płaszcze przeciwdeszczowe?

– Pamiętam – potwierdził Harry.

– Dokładnie takie same można dostać w British Home Stores, niecały kilometr od King George’s. Przejrzeliśmy wydruki z kasy i znaleźliśmy transakcję właśnie na te cztery przedmioty, prawie dokładnie godzinę przed tym, jak Joe był widziany po raz ostatni.

– Ubrania kupione specjalnie na porwanie – mruknął Harry.

– Zapłacono za nie gotówką, niestety, więc nie ma jak dotrzeć do karty kredytowej, ale teraz raczej już na pewno wiemy, że para z nagrania to Joe i jego porywacz – dodał Rushton. – Nasi ludzie nadal pracują nad obrazem, sprawdzają, czy da się go powiększyć jeszcze bardziej, ale nadzieje są marne. Niski mężczyzna, wysoka kobieta, to może być i to, i to.

– Odcisk buta, który znaleźliście w domu Fletcherów tamtej nocy, gdy porwano Millie, też był pozostawiony albo przez niskiego mężczyznę, albo przez wysoką kobietę – zauważył Harry.

– Tak, zgadza się. I biorąc pod uwagę, że na nagraniu nie widać, żeby Joe się szamotał czy opierał, jest prawdopodobne, że poszedł z kimś, kogo zna.

– A więc, jednak, mógł być gdzieś tutaj?

– Tak, mógł. I cieszę się, że wytknięto mi błąd, jeśli tylko go w porę znajdziemy. Wysłałem ekipę, żeby przeszła się od domu do domu. Prosimy ludzi o zgodę na wpuszczenie psów. Naturalnie nikogo nie możemy zmusić, ale jak na razie wszyscy z nami współpracują.

– Jak długo wam zajmie obejrzenie wszystkich domów w Heptonclough?

Rushton westchnął. Zgasił papierosa na płycie, potem niedopałek rzucił w trawę.

– Dzisiaj nie zdążymy – rzekł. – Ale postawiłem kilka wozów patrolowych na obu drogach wyjazdowych z miasta. Każdy, kto wyjeżdża, jest zatrzymywany i przepytany. Prosimy też o zgodę na przeszukanie bagażnika.

– I ludzie się na to zgadzają?

– Jeśli nie, chcemy znać powód odmowy.

Nie, to nie może się tak skończyć.

– Znam przepisy – przytaknęła Evi, usiłując nie warczeć. – Czytałam je trzy razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, doktorze Warrington, więc niech mi pan nie próbuje ich tu teraz cytować. Dla mnie wygląda to tak, że w sytuacji, gdy komuś trzeciemu zagraża poważna krzywda, lekarz nie tylko może udzielić wymaganych informacji, ale jest wręcz do tego zobligowany.

Warrington nachylił się do niej, splatając palce dłoni przed brodą.

– To się odnosi do przekazywania informacji policji – zauważył. – Niech pani sprowadzi oficera dowodzącego sprawą, wtedy zobaczę, co się da zrobić. – Nachylał się, podnosił swoją teczkę.

– Nie ma na to czasu – przypomniała Evi. – Proszę posłuchać, mam świadomość, że przychodzę bez uprzedzenia, za co przepraszam, ale nie spałam pół nocy, rozgryzając tę kwestię.

Otworzył usta. Nie zamierzała dać mu szans.

– Nie mam czasu ani sił na uprzejmości, więc powiem bez owijania w bawełnę – kontynuowała pośpiesznie. – Jeśli mi pan nie pomoże i Joe Fletcher zginie, dopilnuję, żeby wszyscy – policja, Naczelna Izba Lekarska, media, absolutnie wszyscy – dowiedzieli się o tej rozmowie i że przedłożył pan przepisy, nie wspominając gry w golfa, nad życie małego chłopca.

Cisza w pokoju. Evi była roztrzęsiona. Przez sekundę myślała, że się nie uda, że lekarz ją wyprosi i złoży oficjalną skargę do Izby Lekarskiej nawet jeszcze przed wyjazdem na pole golfowe. Potem zobaczyła, że sięga do komputera i z powrotem go włącza.

– No dobrze – mruknął, unikając jej spojrzenia. – Czego dokładnie szukamy?

– Dziękuję – rzuciła. – Potrzebuję znaleźć pacjentkę, najprawdopodobniej poniżej trzydziestego roku życia, chorą na niedoczynność tarczycy.

Zadzwoił telefon Rushtona. Detektyw wstał i odszedł szybko od Harry'ego, z

aparatem przyciśniętym mocno do prawego ucha. Potem odwrócił się i wyłączył telefon, gdy wracał.

– Ktoś ich widział w Great Harwood – poinformował. – Niech mnie pan odprowadzi do samochodu, pastorze.

Ruszyli, przyciągając do siebie zaciekawione spojrzenia, gdy kroczyli cmentarną ścieżką.

– Widziano chłopca odpowiadającego rysopisowi Joego, jak wchodził do czyjś domu – kontynuował Rushton. – Podobno nie mieszkają tam żadne dzieci, a właściciel to osoba, którą mamy na oku już od jakiegoś czasu. Jesteśmy pewni, że to pedofil, ale nie możemy tego udowodnić. Facet jest sprytny.

– I myślicie, że ma Joego? – spytał Harry z przerażeniem.

– Taką mam nadzieję, chłopcze. Cholera, taką mam nadzieję. Dlatego że to powiadomienie nadeszło w ostatniej godzinie. Jeśli to Joe, to znaczy, że wciąż jeszcze żyje.

– Powie pan o tym Garethowi i Alice.

– Dopiero jak będziemy wiedzieli coś na pewno. Za dziesięć minut ktoś tam podjedzie. Nie będą czekali na mnie.

Dotarli do auta Rushtona. Oczekujący dziennikarze, dostrzegłszy dowodzącego akcją policjanta i wyczuwając nagłość w jego zachowaniu, szybko podbiegli do nich. Rushton wskoczył do samochodu, po czym znów zwrócił się do Harry'ego.

– Gdybym był na twoim miejscu, chłopcze – rzucił – wróciłbym do kościoła i robił to, co ci wychodzi najlepiej. – Auto odjechało, znikając z widoku, kiedy skręciło za róg.

Wiedząc, że nie da sobie rady z dziennikarzami, Harry szybko powędrował w górę wzniesienia. Ludzie zaczynali opuszczać kościół, a on uzmysłowił sobie, że od kilku minut nie słyszy już szumu helikoptera.

Sinclair i Tobias Renshawowie, obaj ubrani w ciepłe kurtki, wyszli poza teren kościoła w ślad za Harrym i Rushtonem. W niewielkiej odległości za nimi, strzelając oczami w stronę Harry'ego, stała Gillian.

– Coś nowego, pastorze? – zapytał Sinclair, kiedy Harry się zbliżył.

Harry pokręcił głową.

– Na razie nic – odparł. Czy Joe spędził noc ze znanym policji pedofilem? W jakim stanie będzie, jeśli żyje? Nie, po prostu nie wolno mu podążać tym torem myślenia.

Tuż przed nim pojawiły się nagle Alice z Millie, a obok nich przyczajona Jenny

Pickup.

– Jak się trzymasz, Alice? – spytał Sinclair głosem, który zaskoczył Harry’ego swoją łagodnością. Alice spojrzała na wysokiego mężczyznę, jakby ten przemawiał do niej w obcym języku.

– Czy widział ktoś Garetha i Toma? – zapytała.

– Jakieś pół godziny temu byli na Lower Bank Road – oznajmiła Gillian, podchodząc bliżej. – Szli za mną i kilkoma innymi osobami do tych starych torów kolejowych. Chcieliśmy przeszukać tunel Collingway.

– Ale pewnie wrócili, kiedy helikopter rozpoczął poszukiwania – zauważył Tobias. – Alice, chodź do nas i odpocznij. Jest za zimno, żeby mała była na dworze.

– Tak, idź, Alice – wtrąciła się Jenny, podchodząc do swojego dziadka. – Albo przynajmniej zostaw u nich Millie. Gospodyni ojca ją przypilnuje. Nie możesz nosić jej wszędzie na plecach przez cały dzień.

Oczy Alice uciekły w bok.

– Dziękuję – odpowiedziała do pobliskiej latarni. – Ale chcę ją mieć ze sobą. Teraz muszę odszukać Garetha.

Odwróciła się. Z kościoła wychodziło coraz więcej ludzi. Akcja poszukiwawcza rozpoczęła się od nowa.

– Przykro mi, ale obawiam się, że to już wszystkie miejsca, w których moglibyśmy coś znaleźć.

Zastanawiając się, skąd weźmie siły na podniesienie się z krzesła, Evi kiwnęła głową.

– Wiem – przytaknęła.

Godzinę po tym, jak John Warrington zgodził się pomóc jej poszukać tajemniczej Ebby, byli zmuszeni ogłosić przegraną. Przeszukali bazę pacjentów na każdy możliwy sposób, jaki tylko przyszedł im do głowy. Skomputeryzowane były tylko dane z ostatnich trzydziestu lat, ale Warrington zszedł do piwnicy przychodni i przyniósł stamtąd kilka pudeł z jeszcze starszymi rejestrami. Sprawdzili dane do czterdziestu lat w tył, wiedząc, że szanse, by Ebba była starsza, są żadne, ale choć znaleźli kilka osób z chorobą, o którą im chodziło, wszystkie one już nie żyły. Przez trzydzieści cztery lata nie zarejestrowano żadnego pacjenta z niedoczynnością tarczycy, nikogo nawet z jej przerostem. Łamali sobie głowy,

usiłując dopasować inne podobne schorzenia, przeprowadzili kilka kolejnych wyszukiwań. W końcu musieli się poddać.

– Jak bardzo jest pani pewna, że ona mieszka w tej okolicy? – spytał Warrington.

– Musi – odparła. – Ktoś z tą chorobą nie potrafiłby prowadzić.

– Raczej na pewno – zgodził się lekarz.

– Jak to możliwe, żeby ktoś taki mógł zostać tak zupełnie niewyłowiony? – zastanawiała się Evi, nieomal trzęsąc się z frustracji. – Dlaczego nie przeszła badań przesiewowych jako dziecko? Dlaczego jej nie leczono? I dlaczego, zważywszy na jej potrzeby medyczne, miejscowi lekarze nic o niej nie wiedzą?

Warrington nie odpowiedział.

– Zabrałam panu wystarczająco wiele czasu – rzuciła Evi wstając. – Przykro mi, że przegapił pan swoją grę.

– Zadzwoń z domu do naszej recepcjonistki – zaofiarował się Warrington. – I do kilku innych, które już przeszły na emeryturę. Może one coś sobie przypomną, coś wymyślą. Dam znać, jeśli się czegoś dowiem.

– Ja tonę, Harry – odezwała się Alice. Dotarli do rogu dziedzińca i Alice zachwiała się. Musiał ją podtrzymać, żeby razem z Millie nie upadła na ziemię.

– Radzisz sobie doskonale – zapewnił. Objął ją ramieniem i podprowadził pod mur. Oddychała bardzo szybko. – Jesteś opanowana, funkcjonujesz i zajmujesz się resztą dzieci – ciągnął. – Nawet nie będę sobie próbował wyobrażać, ile cię to musi kosztować.

– To najgorsze uczucie na świecie – odpowiedziała. – Nie wiedzieć, gdzie jest twoje dziecko. Nikt nie może się tak czuć i nie oszaleć.

– Ty możesz – zapewnił ją znów, chociaż wcale nie był tego pewien. Naprawdę nie podobało mu się to, że Alice nie była w stanie na niczym się skupić.

– Powiem ci, jak to jest – mówiła dalej, nachylając się do niego tak blisko, że aż to było niekomfortowe. – Jest tak, jakby Joe nigdy nie istniał, jakbym go sobie tylko wymyśliła. A teraz naprawdę muszę zobaczyć Toma i Garetha, bo dręczy mnie ta myśl, że oni też odeszli. Rozglądam się i Millie też nie widzę. Jest tak, jakby ktoś nas wycierał gumką, kawałek po kawałku.

– Millie śpi na twoim ramieniu – przypomniał jej szybko Harry, czując, że jeśli przestanie mówić, może zacząć płakać. – Tom i Gareth są blisko, szukają Joego. Alice, popatrz na mnie.

Podniosła głowę, a jemu przemknęło przez myśl, że mógłby się zakochać w tych bladoturkusowych oczach, gdyby nie to, że już...

– Znajdziemy Joego – powiedział. – Już niedługo. Chciałbym móc ci obiecać, że będzie cały i zdrowy, ale wiesz, że nie mogę tego zrobić. Ale tak czy inaczej znajdziemy go. A ty znów odzyskasz jasność widzenia, będziesz mogła oddać się żałobie, jeśli będziesz musiała, i będziesz mogła ruszyć naprzód. Nigdy nie będziesz sama.

– Harry, ja... – Turkusowe oczy wypełniały się łzami. Obok wpatrywała się w niego druga para oczu. Millie się obudziła i patrzyła na niego tak, jakby rozumiała każde słowo.

– Jesteś niewyobrażalnie silna – rzekł. – Twoja rodzina przetrwała tylko dzięki tobie. Ty jesteś jej sercem. Jesteś jej duszą.

– Teraz rozumiem, dlaczego zostałeś księdzem – rzuciła Alice, dotykając jego ramienia. – Ale to nie jest prawdziwe, prawda?

Pomyślał, że te łzy to może jednak są nie w jej, a w jego oczach.

– Jak to? Co masz na myśli? – spytał, chociaż wiedział.

– Nie ma w tobie teraz wiary, która byłaby ci podporą – powiedziała. – Utraciłeś bezpośrednią łączność z tym panem na górze. To po prostu sam ty, nie myślę się, prawda?

– Chodźmy – mruknął. – Odprowadzę was obie do domu.

Evi dojechała do Heptonclough. Na ulicach znów panował spokój. Zaparkowała przy krawężniku i wysiadła. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej była tak zmęczona jak teraz. Przeszła przez chodnik i krótką ścieżką dotarła do szeregowca. Kiedy stała na schodkach, czekając, coś białego spłynęło z góry i umościło się na rękawie jej kurtki. Śnieg, przewidywany przez cały dzień.

– Nikt nie odpowiada w mieszkaniu Gillian – oznajmiła, kiedy drzwi się otworzyły. – Martwię się o nią.

Gwen Bannister westchnęła.

– Wejź, kochanie – zaprosiła. – Wyglądasz, jakbyś zaraz miała paść.

Evi poszła za Gwen po bieżniku w kwieciste wzory i weszła za nią do małego pokoju dziennego. Dywan w nim był miejscami wytarty, meble dawno niezmięte. W rogu stał włączony telewizor.

– Widziała ją pani dzisiaj? – spytała Evi, spoglądając na telewizor i zastanawiając się, czy Gwen go wyłączy.

– Usiądź, kochanie. Nastawię wodę.

Ostatnią rzeczą, jaką chciała teraz robić, to pić herbatę, ale usiadła z wdzięcznością na kanapie.

– Nie wiem, czy powinniśmy tak tu siedzieć – rzuciła. – Ja się naprawdę niepokoję. Kiedy ją pani widziała ostatnio?

– Jakieś dwie godziny temu – odpowiedziała Gwen po chwili zastanowienia. – Cały dzień pomagała przy poszukiwaniach. Potem, około piątej, kiedy już było za ciemno, żeby kontynuować, widziałam ją, jak rozmawiała z pastorem.

Telewizor grał za głośno. Evi wzdrygnęła się, gdy publiczność na ekranie zaczęła klaskać.

– I wyglądało, że czuje się dobrze? – dopytywała się.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Cóż, myślę, że pastor powiedział jej chyba coś, co jej się zbytnio nie spodobało, bo okręciła się na pięcie, jak to ma w zwyczaju, i pognęła ulicą jak

szalona. Na pewno nie ma jej w domu?

– Światło jest włączone, ale ani nie odbiera telefonu, ani nie otwiera drzwi. – Evi czekała przed domem Gillian cały kwadrans, coraz bardziej marznąc i sztywniejąc. Ostatecznie postanowiła, że spróbuje czegoś innego.

– Przejdę się i sprawdzę, co u niej – oznajmiła Gwen. – Ale chyba mogę najpierw wypić herbatę, co?

– Chyba tak – odpowiedziała Evi, chociaż tak naprawdę to wolałaby, żeby Gwen poszła do córki od razu. – Jeśli coś panią zaniepokoi w jej stanie, a przede wszystkim, jeśli jej nie będzie, proszę do mnie zadzwonić, dobrze? – ciągnęła. – A jeśli będzie we względnie dobrym stanie, niech jej pani przekaże, że ktoś się do niej jutro rano odezwie. Mój kolega ze szpitala. Przejmie Gillian ode mnie.

Gwen zmarszczyła czoło.

– Myślałam, że pani i ona całkiem nieźle się dogadujecie.

– Tak było. Ale przykro mi, nie mogę się w to zagłębiać. Tak czy inaczej, dziękuję pani za pomoc i proszę dzwonić, jeśli będę potrzebna. – Evi podźwignęła się z kanapy.

– Zadzwonię – obiecała Gwen, która również wstała. – O tym małym chłopcu dalej nic nie słysząc, tak?

Evi pokręciła głową.

– Ta jego biedna matka. Człowiek zaczyna się zastanawiać, co tu się tak w ogóle dzieje, nieprawdaż? I w kościele też. Słyszałam, że na noc zostawili w zakrystii policjanta na straży, tak na wszelki wypadek... No, aż strach o tym myśleć.

Evi ruszyła do drzwi. Gwen stała jej na drodze, ale to naprawdę nie był dobry moment na pogawędki. Evi spojrzała wymownie na zegarek i kobieta się odsunęła.

– Powinnam bardziej współczuć Gillian, wiem – zaczęła, idąc za Evi korytarzem. – Straciła córkę i dwie inne dziewczynki, które tak lubiła. Oczywiście nikt nie myślał, że to coś więcej niż zbieg okoliczności, zwłaszcza z tym odstępem czasu między oboma wypadkami. Cztery lata między Lucy i Megan, a potem kolejne trzy, zanim straciliśmy Hayley. I każdy przypadek był inny. Jedna spadła, jedna zaginęła, jedna spłonęła w pożarze. Skąd mieliśmy wiedzieć, że wszystkie te tragedie były ze sobą powiązane?

– Nie mogliście wiedzieć – przyznała Evi. – I nikt nie powinien czuć się winny z tego powodu. – Zatrzymała się, trzy kroki od drzwi. Wszystkie powiązane? – Gillian lubiła Lucy i Megan? – spytała.

– O tak. Trochę opiekowała się Lucy, kiedy mała żyła. Otworzysz sobie,

kochanie?

– O tym chyba mi mówiła – stwierdziła Evi. – Ale nie zdawałam sobie sprawy, że Megan też znała.

– Nią też się opiekowała, była jej niańką. Słodka mała dziewczuszka. Rodzina się wyprowadziła. Po takim czymś trudno się pozbierać, czyż nie? Powinnam bardziej współczuć Gillian, wiem. Proszę zaczekać, ja to zrobię.

Evi patrzyła, jak Gwen sięga do drzwi, żeby je otworzyć.

– Dziękuję pani. Proszę mnie informować, co się dzieje.

Na zewnątrz oparła się o samochód. Przednią szybę pokrywała już cienka warstwa śniegu. Nie może teraz stracić głowy. Znajdź ogniwo, tak powiedział Steve: ofiary nie zostały wybrane przypadkowo, coś je wszystkie łączy. Czyżby to coś znalazła? Czy to, co ma, wystarczy, żeby z tym pójść na policję?

Zjechała ulicą w dół, dostrzegając po drodze samochód Harry'ego przed domem Fletcherów. Kilka sekund później zatrzymała się. Ignorując mieszkanie Gillian, podeszła do drzwi kiosku pod mieszkaniem. Sklep spowijał mrok. Zabębniła w drzwi. Jest tu gdzieś jakiś dzwonek? Tak, na górze, w lewym rogu. Naciskała na niego przez kilka sekund, odczekała chwilę i znów zadzwoniła. Na tyłach sklepu otworzyły się drzwi. Zabłyśło światło i zobaczyła, że ktoś do niej idzie. Oby to była... tak, to była ta kobieta, z którą rozmawiała wczoraj.

– Kiosk jest zamknięty.

– Muszę o coś panią zapytać – wyjaśniła Evi. – Byłam tu wczoraj, pamięta pani? Szukałam Gillian?

– Nie jestem jej dozorcą, wie pani. – Kobieta była po sześćdziesiątce, pulchna, niska, z prostymi siwymi włosami.

– Powiedziała pani, że widziała, jak wsiada do autobusu – przypomniała Evi. – Pamięta pani?

– Możliwe, że tak było – przytaknęła kobieta, splatając ręce na piersiach.

– Widziała pani, do jakiego autobusu wsiadła? Dokąd on jechał?

– A co to, jakies *Crimewatch*? – Nagle kobieta spoważniała. – To chyba nie chodzi o tego chłopca, co?

– Możliwe, że chodzi. – Evi była zdesperowana. – Proszę, jeśli pani pamięta, to ważne.

– To nie był jeden z tych autobusów linii Witch Way – odparła kobieta, już bez cienia oporu. – One są czarno-białe, prawda?

– Chyba tak – potwierdziła Evi, chociaż nigdy nie jeździła autobusami.

– Zielony. Teraz sobie przypominam, bo widziałam Elsie Miller, jak do niego wsiadała, i pomyślałam, że jedzie na comiesięczny przegląd do szpitala.

– A zielone jeżdżą do...?

– Obok szpitala do centrum miasta.

– Którego miasta?

– Blackburn, oczywiście.

Padli jak zabici – oznajmiła Jenny, wchodząc do kuchni. Potem zatrzymała się w pół kroku i zasłoniła usta. – Przepraszam, palnęłam głupotę.

Gareth zerknął na żonę. Alice wyglądała tak, jakby niczego nie usłyszała.

– Wiemy, co miałaś na myśli – mruknął Gareth. – Oboje są wykończeni. Tom przeszedł dzisiaj tyle samo co ja. A Millie chyba jeszcze nigdy nie była tyle na dworze. Powinienem sprawdzić, co się dzieje w piecyku, Jenny?

– Ja się tym zajmę. – Jenny przecisnęła się za Harrym i nachyliła do piekarnika w kuchence Fletcherów. Uchyliła lekko drzwiczki, wypuszczając do kuchni kłęby pary. W powietrzu rozniosła się woń pieczeni i Harry uświadomił sobie, że jest głodny.

Alice wstała.

– Niedobrze mi – oznajmiła, zanim się odwróciła, i zniknęła za drzwiami na tyłach domu.

Harry’emu przemknęło przez głowę, że może jednak nie jest aż tak głodny. Popatrzył na Garetha, który odwrócił się do pokoju plecami i wyglądał przez okno na zewnątrz. Było już zupełnie ciemno. Harry zerknął na zegarek, bardziej z nawyku niż z czegokolwiek innego. Już dawno temu zrezygnował z czekania na Evi. Kiedy znowu podniósł głowę, Gareth znów na nich patrzył.

– Jenny, Mike zapomni w końcu, jak wyglądasz – rzucił. – Jesteś pewna, że nie powinnaś...? – Pozostawił pytanie niedokończone. Harry zastanawiał się, czy Gareth chce, żeby Jenny sobie poszła, a może, żeby i Harry sobie poszedł. Przyjaciele na nic się teraz Fletcherom nie przydawali. Nie mogli pomóc, tylko przeszkadzali.

– Wyskoczę do nich tylko na sekundkę – odpowiedziała Jenny. – Nocujemy dzisiaj u ojca, żebyśmy mogli zacząć od samego rana. – Popatrzyła na Harry’ego, a potem na Garetha. – Oni wszyscy wrócą – zapewniła. – Mike i wszyscy inni. Wszyscy. Nie poddamy się.

– Dzięki, Jenny – mruknął Gareth. – Ale myślę, że już wiemy, że jego tu nie ma.

Harry wstał, żeby odprowadzić Jenny do wyjścia.

– Postaram się niedługo wrócić – szepnęła, kiedy stali w progu. – Wpadnę do ojca tylko, żeby sprawdzić, co u nich. Pieczeń będzie gotowa za pięć minut. Dopilnuj, żeby zjedli.

Harry zamknął drzwi i oparł się o nie. On też powinien iść, był tu bezużyteczny. Jenny przynajmniej przygotowała kolację. Nikt jej nie będzie jadł, ale coś zrobiła. Potem usłyszał hałas na zewnątrz. Podjechał jakiś samochód, za nim następny. Z pojazdów wysiadły dwie postaci i ruszyły do wejścia. Przyszykował się do otwarcia drzwi, spodziewając się dziennikarzy. Co powinien powiedzieć? Rodzina trzyma się całkiem nieźle. Dziękuję za wsparcie. Prosimy o dalszą modlitwę za...

Na progu stał Brian Rushton, ramiona kurtki miał mokre od płatków śniegu. U jego boku, bledsza niż kiedykolwiek, stała Evi.

– Nie!

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę Alice stojącej w drzwiach kuchni.

– Nie – powtórzyła. Uświadamiając sobie, co zdaniem Alice może oznaczać przyjazd Rushtona i Evi, Harry poczuł, że robi mu się gorąco.

– Alice, nie... – zaczęła Evi.

Rushton był już w środku, otrząsnął śnieg z butów, odsunął Harry'ego na bok i ruszył do Alice.

– Spokojnie, dziewczyno – mówił. – Nie przyszliśmy ze złymi wiadomościami. Z wiadomościami tak, ale nie złymi, więc możesz się uspokoić. Chodźmy, chodźmy, usiądźmy.

– Co? – Harry rzucił bezdźwięcznie tylko jedno słowo do Evi. Posłała mu spojrzenie, którego nie potrafił zinterpretować, opukała obcasy butów o framugę, aby pozbyć się z nich śniegu i ruszyła za Rushtonem i Alice. Harry zamknął drzwi i poszedł za nimi.

– Niech wszyscy usiądą – polecił Rushton. Harry chciał już zająć ostatnie krzesło obok Evi, ale przechwycił jej spojrzenie. Wyglądała, jakby miała zemdleć. Odwrócił się do zlewu i nalał wody do szklanki, po czym bez słowa komentarza podał ją Evi. Wypiła od razu połowę.

– Około godziny temu zadzwoniła do mnie doktor Oliver – zaczął Rushton. – Możliwe, że mamy przełom.

– Znaleźliście Ebbę? – spytał Harry, który nie odrywał oczu od Evi.

Pokręciła głową.

– To nie o to chodzi. – Spojrzała na Rushtona. – Chce pan...? – spytała.

– Nie, proszę, ty mów, dziewczyno. Bardzo ładnie mi to wszystko przed chwilą wyłożyłaś.

Evi drżała, była wyraźnie wyczerpana.

– Wczoraj wieczorem pojechałam zobaczyć się z kolegą – zaczęła. – Miał styczność z medycyną sądową, więc chciałam się dowiedzieć, co on o tym wszystkim myśli. – Przerwała i pociągnęła kolejny łyk wody. Przełknęła i przez jej twarz przemknął grymas bólu, jakby miała coś w przełyku. – Steve uzmysłowił mi, że szukamy dwóch osób – powróciła do relacji. – Po pierwsze, tej Ebby, która naszym zdaniem wie, co się dzieje, i która, na swój sposób próbuje was ostrzec. Ale ponieważ tak naprawdę ma kontakt tylko z dziećmi i ponieważ Tom się jej wystraszył, nie odniosła większego sukcesu. – Odwróciła się, żeby spojrzeć na Harry’ego. – Ty już wiesz, że zakrada się do kościoła. Myślę, że to jej dzieło ta krew w kielichu i kukła imitująca Millie, którą znalazłeś. Myślę, że usiłowała ci w ten sposób powiedzieć, co się dzieje w kościele. Ostrzec, że Millie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo.

Harry wyczuł, że Gareth i Alice wymienili się spojrzeniami. Nie potrafił sobie przypomnieć, ile wiedzieli o dziwnych incydentach w kościele. Zobaczył, że Gareth otwiera usta, żeby coś powiedzieć i że jego żona go ucisza.

– Przede wszystkim jednak – ciągnęła Evi – szukamy osoby, która porywała i zabijała te małe dziewczynki. Steve uzmysłowił mi również to, że te wszystkie sprawy są ze sobą powiązane. Kościół jest ważny, ale tak samo istotne jest samo miasteczko. To nie przypadek, że wszystkie ofiary pochodzą stąd. Ktokolwiek jest porywaczem, on czy ona, jest powiązany z nimi wszystkimi. Dziewczynki zostały wybrane z jakiegoś powodu. Nie znalazłam dzisiaj Ebby, ale możliwe, że odkryłam, co jest tym łączącym ogniwem.

– I co to jest takiego? – niecierpliwił się Gareth.

– Nie co – odparła Evi. – Kto. Myślę, że ogniwem jest Gillian.

Tom się obudził. Czy w ogóle spał? Pomyślał, że może tak, ale nie był pewien. W czym łóżku leży? Joego. Swoją pryczę miał nad głową. Na korytarzu paliło się światło i słyszał głosy w kuchni na dole. A więc nie jest jeszcze bardzo późno. Lepiej zrobi, jak znowu zaśnie. Sen był światem, w którym Joemu nic się nie stało, był tam bezpieczny.

Nagły odgłos grzechotania. Tom usiadł. To ten dźwięk go obudził. Seria ostrych

krótkich uderzeń. Ktoś rzucał kamieniami w okno.

Joe! Joe wrócił i chce wejść. Tom wyskoczył z łóżka i przebiegł pokój. Zasłony były zaciągnięte. Ich materiał drapał go w twarz, czuł ciągnące przez szpary w oknie zimno z dworu.

– Joe! – zawołał szeptem.

Na dole nadal słychać było głosy. Harry’ego był najgłośniejszy, najbardziej się wybijał. Słyszał też głos jakiejś kobiety, łagodniejszy i cichszy. Ale nie mamy, kogoś z angielskim akcentem. Może Jenny, była tam wcześniej. Może powinien zawołać rodziców, powiedzieć im, że wydaje mu się, że Joe jest na zewnątrz i rzuca kamieniami w okno?

Ale czy powinien to robić swojej mamie? Wzbudzić w niej nadzieję, że Joe wrócił, a jeśli to tylko gałęzie drzew drapią w szyby?

Blisko okien sypialni Toma nie było żadnych drzew.

Złapał obydwoma rękoma zasłony, gotowy lekko je rozchylić. Tylko tyle, żeby zobaczyć, co się dzieje na dworze. Tylko centymetr. Nic, sama ciemność. Dwa centymetry. Trzy.

Ta dziewczynka była w ogrodzie za domem, patrzyła na niego.

W kuchni zapadła cisza. Potem Gareth wstał. Rushton podniósł jedną dłoń.

– Pani Royle jest już teraz pewnie dowożona na komendę – oznajmił, spoglądając na zegarek. – Czekam tylko na telefon od detektywa Neasdena, że została bezpiecznie umieszczona w areszcie. Nie będziemy mogli jej przesłuchać bez obecności dyżurnego psychiatry, ale przynajmniej wiemy, że nie będzie mogła skrzywdzić chłopca.

– Gillian? – wymamrotała Alice. – Ale Hayley była jej córką.

– Nie byłaby to pierwsza matka, która zabiła własne dziecko – odpowiedział Rushton. – Ani trochę. Szczerze mówiąc, sam byłem sceptyczny, kiedy doktor Oliver zadzwoniła. Nadal nie jestem do końca przekonany, ale mimo wszystko wiele pytań domaga się odpowiedzi. – Skinął głową w stronę Evi. – No dalej, dziewczyno – zachęcił. – Wyjaśnisz to lepiej niż ja.

Evi spuściła oczy na stół, potem je znów podniosła.

– Już od jakiegoś czasu martwiłam się o Gillian – wyznała, ale z niechęcią, jakby nawet teraz było jej trudno łamać tajemnicę lekarską. – Wiedziałam, że o wielu rzeczach mi nie mówi, i wiedziałam też, że gnębi ją coś więcej niż tylko smutek po

stracie. Na podstawie wielu rzeczy, o których mi opowiadała, a także tego, jak się zachowywała, zaczęłam podejrzewać molestowanie w dzieciństwie, ale pierwszym naprawdę niepokojącym sygnałem było dla mnie to, kiedy odkryłam, że skłamała o tym, w jaki sposób zginęła Hayley. Mnie i innym mówiła, że zwłoki Hayley nie zostały znalezione, że spłonęły do szczytu w pożarze. Nie było to prawdą. Strażacy znaleźli szczątki.

– Ale okazało się, że nie są szczątkami Hayley – przypomniał Harry. – Hayley została porwana przed wybuchem pożaru.

– Tak – zgodziła się Evi. – Ale skąd ona mogłaby to wiedzieć, gdyby nie miała nic wspólnego z zabraniem Hayley z domu? Myślę, że jej niezgoda na uznanie, że to były prochy Hayley, to jej sposób na radzenie sobie z poczuciem winy.

– No dobrze, ale samo to jeszcze nic nie znaczy – sprzeciwił się Harry, spoglądając na Rushtona i próbując odczytać wyraz twarzy starszego mężczyzny.

Evi znowu upiła łyk ze szklanki.

– Nie, nie znaczy – zgodziła się. – Ale rozmawiałam też z jej matką, jakoś w tym tygodniu. Ojciec Gillian zginął w wypadku drogowym, kiedy miała trzy lata. Była z nim w tym samochodzie. Nic się jej nie stało, ale gdy policja ją wyciągnęła, cała była we krwi ojca.

– Chryste – wymamrotał Gareth.

– Cóż, niestety. Takie zdarzenie miałoby ogromnie szkodliwy wpływ na każde dziecko. Matka Gillian powtórnie wyszła za mąż i... nie mam na to żadnych dowodów, ale myślę, że Gillian była molestowana przez ojczyma, kiedy była stosunkowo mała. Jej karta zdrowia z wczesnego okresu życia to podręcznikowy przykład symptomów molestowania, a Gillian mówi o ojczymie w sposób, który jest jednocześnie lekceważący i przepełniony odniesieniami seksualnymi. Musiałam być bardzo ostrożna, gdy rozmawiałam z Gwen. To jasne, że nie mogłam jej zapytać wprost, czy Gillian była molestowana, ale mogłam delikatnie to sugerować. Coś się tam wydarzyło, jestem pewna. Gwen wie więcej, niż mówi. Potem, kiedy Gillian miała dwanaście lat, zginęła jej osiemnastomiesięczna siostra. Spadła w domu ze szczytu schodów na kamienną posadzkę. Czy to brzmi znajomo?

Harry zobaczył, że Alice sięga za siebie, żeby chwycić dłoń męża. Żadne nie miało chyba sił na to, żeby coś powiedzieć.

– To niepokojące – zgodził się Harry, znów spoglądając na Rushtona. – Ale czy właśnie czegoś takiego nie nazywacie poszlakami?

– Dziecko znalazł ojczym, ale Gillian też była wtedy w domu – dodała Evi,

zanim Rushton zdążył odpowiedzieć. – Na pewno widziała krew, słyszała, jak człowiek, którego nienawdziła, wyje z rozpacz. To mogło w zaburzonej nastolatce wzbudzić poczucie mocy, sprawczości.

– Nadal to tylko spekulacje, Evi – upierał się przy swoim Harry.

– Też to samo powiedziałem w tym punkcie – odezwał się Rushton, kiwając głową.

– Mąż Gillian ją zdradzał – ciągnęła Evi. – Myślę, że zabiła Hayley, żeby go ukarać, tak, jak ukarała ojczyrna, zabijając jego córkę. Zabija, bo wtedy czuje się silna. Gillian i jej matka były u Renshawów w dniu, kiedy zginęła Lucy.

– Gwen ci mówiła? – spytał Harry. Chwilę się zastanowił. – W zasadzie to o tym wiedziałem. Chyba sama Jenny mi o tym wspomniała.

– Gillian czasami pomagała opiekować się Lucy, była czymś w rodzaju nieoficjalnej niańki – oznajmił Rushton. – Była też niańką Megan. Oczywiście, nie potrafimy zgadnąć, dlaczego miałyby chcieć zabić te dwie dziewczynki, ale jak już powiedziałem, mamy wiele pytań, na które musimy usłyszeć odpowiedzi.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Wczoraj wieczorem ktoś widział, jak Gillian wsiadała do autobusu jadącego do Blackburn – powiedziała Evi, przerywając ciszę.

Znowu milczenie.

– Wiedziała o pantomimie – zauważyła Alice. – Była tu wczoraj rano z Jenny. Mówiłam jej, gdzie będą chłopcy.

Idąc cicho na bosaka, Tom zszedł po schodach na dół. Drzwi do kuchni były zamknięte. Słyszał za nimi kilka głosów. Wszedł do pokoju dziennego i podszedł do okna wychodzącego na ogród. To nie było łatwe – odsłonić zasłony – ona będzie teraz o wiele bliżej, ale jakoś dał radę.

Para oczu. Dużych i brązowych, z cienką pomarszczoną skórą wokół nich, zmarszczkami, przez które wyglądała jednocześnie staro i nie staro. Para oczu wpatrujących się w niego, z takim wyrazem, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Widział już ją, jak płatała figle. Widział, jak straszyla jego i Millie. Nigdy nie widział jej przestraszonej.

– Ebba. – Żaden dźwięk się nie wydostał, jego wargi formowały bezdźwięczne słowa.

– Tommy – odpowiedziała też bezdźwięcznie.

Odsunął się, pozwalając, żeby zasłona opadła na miejsce. Zapukała cicho w szybę.

Co powinien zrobić?

Jeśli zawoła ojca, ona odejdzie. A on chciał, żeby sobie poszła. Już i tak było źle bez Joego, nie mógł jeszcze radzić sobie z potworami.

Puk, puk, puk. Tym razem głośniej. Musi się na coś zdecydować, zanim zbije szybę.

Cisza. Wyciągnął rękę i przesunął zasłonę. Wciąż tam była. Kiedy go zobaczyła, pokazała na klamkę w oknie, poruszała ręką w górę i w dół. Chciała, żeby otworzył. Chciała wejść do środka.

Nigdy, przenigdy. Otworzył usta, żeby zacząć krzyczeć.

Ona mogła mieć Joego.

Nieważne, nie jest aż tak odważny, ona tu nie wejdzie. Pokręcił głową i cofnął się w głąb pokoju. Zasłony opadły, ale nie do końca się połączyły. Nadal ją widział. Zobaczył, że sięga do dekoltu sukienki i coś ściąga. Zobaczył, że przyciska to do szyby.

A więc ona ma jego brata. Jak inaczej mogła mieć jego trampki?

Nie potrafił się powstrzymać i znów podszedł do okna. Kiedy on i Joe dostali nowe trampki, ozdobili je. Do pięt przykleili nalepki i zamienili się sznurówkami, tak że trampki Toma, w większości czarne, miały czerwone sznurówki, a Joego, prawie całe czerwone, miały sznurówki czarne. Widniał teraz za szybą czerwony trampki z czarną sznurówką, na pięcie widać było pozostałości nalepki ze Spidermanem.

Ona ma Joego. Tego chciała od samego początku, jednego z dzieci Fletcherów. Ojciec Toma i Harry byli blisko. Jeśliby ją wpuścił i złapał, a potem zawołał ojca, mógłby ją przytrzymać do czasu, aż ojciec przybiegnie. A wtedy ojciec by ją zmusił, żeby powiedziała, gdzie jest Joe. Wpuści ją, zacznie się drzeć na całe gardło i będzie ją trzymał. Jest w stanie to zrobić. Jest w stanie zebrać w sobie tyle odwagi.

Nie dając sobie czasu na dalsze dywagacje, skinął głową do Ebby i podniósł jeden palec.

– Daj mi chwilę – mówił do niej, nie mając pojęcia, czy go zrozumie, czy nie. Wybiegł z pokoju na korytarz po klucze. Jeden z nich otwierał zamki w oknach.

Chwilę później wrócił, trochę z nadzieją, że Ebby już nie będzie, ale była. Wetknął klucz do zamka i przekręcił. Kiedy tylko podniósł klamkę, dziewczynka

szarpnęła za okno, otworzyła je i wdrapała się do środka, zupełnie jakby robiła to już wcześniej wiele razy. Tom szybko się odsunął, bo naprawdę nie chciał znaleźć się blisko tego straszego guza na jej szyi. Zanim zdążył pomyśleć, ona już zeskoczyła na dywan i biegła przez pokój.

Tom krzyknął i pobiegł za nią, ale ona zatrzymała się przy drzwiach i zamknęła je. Stała teraz między nim a dorosłymi, ale przecież nadal mógł krzyczeć i ją złapać.

Mógł?

– Tommy – odezwała się. – Tommy, proszę chodź.

Okno było otwarte i zimno z dworu wpadło do pokoju. Tom wiedział, że to nie od zimna tak się trzęsie; zimno tak nie działa, nie dociera tak głęboko. Zwykle chłód wywołany wiatrem i deszczem nie zamienia najbardziej sekretnych miejsc w człowieka w lód.

Do tego potrzebny był głos jego brata; głos Joego, dochodzący z ust tej dziewczynki, jak wiadomość, jak wołanie z miejsca, do którego nigdy nie mógłby się udać, jak...

– Tommy, proszę przyjdź.

...jak błaganie o pomoc.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się Gareth. – Bo jeśli masz rację, to dlaczego przerzuciła się z dziewczynek na Joego? To nie pasuje do schematu. Łamie go w ten sposób.

– Tak, łamie – zgodziła się Evi. – I nie sądzę, żeby kiedykolwiek chodziło jej o Joego. Zależało jej na Millie. Myślę, że to ona zabrała ją z zabawy we wrześnie i zaprowadziła na galerię w kościele, i tylko dzięki łutowi szczęścia Harry i chłopcy pojawili się tam wtedy, kiedy się pojawili. – Odwróciła się do Harry'ego. – Ale pamiętasz, ona tam była? Kiedy wyszedłeś z dziećmi z kościoła, czekała na ciebie.

Harry kiwnął głową.

– Odniosła Millie do domu. Żadne z nas nie było w odpowiednim stanie, żeby to zrobić. Myślisz, że stała tam, żeby zobaczyć...

– Myślę, że zorientowała się, że ktoś nadchodzi, i uciekła – wyjaśniła Evi. – Ale nie odeszła daleko. Nadal istniała szansa, że się uda, że nie dotrzesz do Millie w porę. Potem, moim zdaniem, jeszcze raz próbowała ją porwać, wtedy w listopadzie, kiedy Tom i Joe ją zatrzymali. Od tamtego czasu czekała na właściwy moment. Aż

do wczoraj.

– A co takiego stało się wczoraj? – spytała Alice.

Evi czuła na sobie spojrzenie Harry’ego.

– Gillian jest poważnie zauroczona Harrym – odrzekła. – I wczoraj...

– Widziała, jak całowałem Evi – wtrącił się Harry.

Alice spojrzała na swojego męża, potem znowu na Evi.

– Ale co to ma wspólnego z... – zaczęła.

– Ja i Harry nie mamy dzieci – przerwała jej Evi, zmuszając się do patrzenia Alice w oczy. – Ale Gillian wie, że lubimy wasze. Naprawdę mi przykro, ale myślę, że w porwaniu Joego chodzi o ukaranie nas.

– Trochę się z nią dzisiaj pokłóciłem – dodał Harry. – Byłem zdenerwowany i zabrakło mi cierpliwości, niestety. Nie przyjęła tego najlepiej. Cholera. – Ukrył twarz w dłoniach.

– Jeśli doktor Oliver ma rację, Gillian porwała Joego z miejsca oddalonego od jego domu, żebyśmy nie powiązali tego z tym, co spotkało tamte dziewczynki – powiedział Rushton. – Joe zna Gillian. Jeśli powiedziała mu, że przysłała ją matka, możliwe, że jej uwierzył. – Znowu zerknął na zegarek. – Gdzie jest ten Jowisz? – mruknął. W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Przeprosił wszystkich i wyszedł.

W kuchni zaległa cisza, każdy próbował usłyszeć choć urywek z rozmowy detektywa. Nie musieli czekać długo. Po niecałych trzech minutach rozległy się kroki na korytarzu. Drzwi się otworzyły. Szara skóra na twarzy Rushtona miała jeszcze bledszy odcień.

– Nie najlepsze wieści – oświadczył, nie wchodząc do środka. – Jowisz i jego zespół zastali w mieszkaniu Gillian coś, co wyglądało jak miejsce zbrodni. Krew była wszędzie. Okazuje się, że dziś wieczorem próbowała odebrać sobie życie.

Evi uniosła się i nie mając siły się podnieść do końca, z powrotem opadła na krzesło. Harry znieruchomiał.

Rushton pokręcił głową, jakby próbował się obudzić.

– Znalazła ją jej matka i wezwała pogotowie – dodał. – Jest teraz w Burnley General. Podcięła sobie oba nadgarstki. Bardzo paskudnie, jak wynika z tego, co mi powiedziano.

Evi zakryła usta dłońmi.

– O mój Boże – wyszeptała.

– Przeżyje? – spytała Alice. – Jeśli umrze...

– Spokojnie, spokojnie – rzucił Rushton. – Pojadę tam teraz. Jeszcze z nią nie rozmawiali, nie mogli, ale zobaczymy, może uda mi się przekonać lekarzy. A Jowisz też nie marnuje czasu. Rozmawia z matką Gillian, wypytuje ją o znajomych rodziny w Blackburn, wszystkich – przyjaciół, krewnych – i o miejsca, w których mieszkały.

– Muszę pojechać z panem – oznajmiła Evi, podnosząc się.

– Evi, chyba... – zaczął Harry.

– Jestem jej lekarzem.

– Bez obrazy, doktor Oliver, ale wątpię, żeby była pani na liście osób, z którymi chciałaby się teraz widzieć – odparł Rushton, zapinając suwak kurtki. – Jeśli uznamy, że przyda się trochę perswazji, możliwe, że wezwiemy pastora. A teraz wybaczcie, ale już pójdę.

Rushton wychodził. Mylił się, Gillian to jej pacjentka, jej odpowiedzialność, musi pojechać do szpitala. Evi ruszyła przez kuchnię, kiedy drzwi frontowe zamknęły się z trzaskiem za policjantem. Była w połowie korytarza, gdy dogonił ją Harry.

– Nigdzie nie pojedziesz – oznajmił.

Strząsnęła jego dłoń z ramienia.

– To moja wina – rzuciła cicho, nie chcąc obudzić dzieci, ani tego, żeby Alice i Gareth usłyszeli, jak bardzo nabałaganiła. – Leczyłam ją i ją zdradziłam.

– Niczego takiego nie zrobiłaś. – Harry wyraźnie nie potrafił się opanować, nie był w stanie mówić spokojnie. – Odkąd się poznaliśmy, wychodziłaś z siebie, żeby postępować właściwie. To ja nie chciałem zostawić cię w spokoju i jeśli już trzeba kogoś obwiniać, to mnie. Ja pojadę do tego szpitala.

– Żadne z was nigdzie nie pojedzie. – Harry odwrócił się, w drzwiach kuchni Evi zobaczyła Garetha. – Jak na jedną noc nasłuchałem się już wystarczająco wiele tego gównianego uzalania się nad sobą – dodał. – A teraz wracajcie tutaj, obydwójcie, i pomóżcie nam wymyślić, gdzie mogła ukryć Joego.

Tom stał w ciemnym salonie, nasłuchując odgłosów w korytarzu z nadzieją, że ktoś otworzy drzwi i zobaczy jego i Ebbę, ale nie potrafił zebrać sił, żeby zawołać. Potem trzasnęły drzwi frontowe. Usłyszał kłócących się Harry'ego i Evi, a potem ojca, który coś do nich powiedział. Potem wszyscy dorośli wrócili do kuchni.

– Muszę pójść po tatę – powiedział.

Ciałem dziewczynki wstrząsnął dreszcz. Pokręciła głową i spojrzała na drzwi, potem znów na Toma, potem na okno. Postawiła ku niemu krok.

– On ci nic nie zrobi – zapewnił Tom, chociaż prawda była taka, że nie był pewien, jak tata potraktuje kogoś, kto skrzywdził Joego. Dziewczynka dała następny krok ku oknu. Chciała odejść, nigdy jej nie złapią, cały zastęp policjantów przeszukiwał miasteczko przez cały dzień i nikt jej nie znalazł. Ona zniknie, a razem z nią ostatnia szansa na odnalezienie Joego.

Czy to możliwe, że widok jej przerażenia łagodził jego własne? Bo choć to było jedno z najdziwniejszych doświadczeń w jego życiu – a ostatnio miał ich kilka – Tom odkrywał, że nie jest aż tak przerażony, jak myślał, że będzie. Bał się, to prawda, tylko że nie aż... Joe nigdy nie bał się Ebby.

– Zaczekaj – usłyszał samego siebie. – Nie powiem ojcu. – O czym on mówi? Taki przecież miał plan, czyż nie? Złapać tę dziewczynkę i zawołać ojca.

Ale Millie też się nie bała. Kiedy zobaczyła rysunek Joego z Ebbą, jej mała buźka się rozpromieniła, jakby patrzyła na obrazek z przyjacielem.

– Tommy, chodź – powtórzyła Ebba, wyciągając rękę. Przesuwała się do okna, za chwilę zniknie.

Kiwnął głową. Oszalał?

– Okej – mruknął.

Alice, Evi i Harry znowu zasiedli przy stole kuchennym. Tylko Gareth stał. Spojrzał na Evi.

– Jak myślisz, gdzie go mogła ukryć? – spytał.

Evi pokręciła głową.

– Techniki kryminalne to nie moja działka – odparła. – Nigdy się tym nie zajmowałam.

– No tak, ale wygląda, że znasz Gillian lepiej niż ktokolwiek inny. Trzymałaby go tutaj czy gdzie indziej?

Evi dała sobie moment na zastanowienie.

– Nie możemy wykluczyć tego miasteczka – odrzekła w końcu. – Tutaj czuje się jak w domu. Jeśli chce go zabrać do kościoła, gdy już cała wrzawa ucichnie, będzie go trzymała gdzieś, gdzie będzie miała do niego łatwy dostęp. Jeśli chce go utrzymać przy życiu, będzie go karmiła. A okoliczne wrzosowiska zna lepiej od wszystkich innych miejsc. Nie zliczę, ile razy się tym przede mną chełpiła. „Znam

wszystkie najlepsze kryjówki”, mówiła.

– Myślę tak samo – zgodził się Gareth. – Była tu przez cały dzień. Widziałem ją mnóstwo razy. I nie ma samochodu. Nie ma jak szybko wymknąć się z miasta i wrócić.

– A jeśli im nie powie, gdzie on jest? – spytała Alice. – Jeśli nie powie, możemy go nigdy nie znaleźć. Jeśli jest gdzieś na zewnątrz, nie wytrzyma długo w taką pogodę. Musimy z powrotem ściągnąć policję. Musimy go szukać.

– Ale wrzosowiska zostały przeszukane przez ludzi z psami – przypomniał Harry. – Wykorzystali termowizory. Jego tam nie ma.

– Gillian na wrzosowiskach czuje się najlepiej, jak u siebie – powtórzyła Evi. – I to tam zapewne ukryłaby Joego, gdyby chciała to zrobić.

– Jeśli on wciąż jest gdzieś w okolicy – zaczął Harry – to tam, gdzie psy i wykrywacze ciepła nie mogą go znaleźć.

Cisza.

– Gdzieś poza zasięgiem – dodał Harry. – Psów i termowizorów.

– Woda? – podrzucił Gareth. – Zbiornik Tonsworth jest niecałe pięć kilometrów stąd. Obok stoją zabudowania z urządzeniami przepompowymi.

– Szukaliśmy tam – odparł Harry. – Służby otworzyły je dla nas. Psy obeszły wszystko.

– Może gdzieś nad ziemią? – zasugerowała Evi. – No, nie wiem... na drzewie, w jakimś domku na drzewie. Psy by go tam nie znalazły.

– Ale helikopter tak. Termowizory wykryłyby tak mocne źródło ciepła jak dziecko, nawet ciało dziecka – wybacz, Alice.

– A pod ziemią? – spytała Alice. – Czy na wrzosowiskach są jakieś kopalnie? Może jaskinie? No wiecie, jak w Derbyshire, tam, gdzie mają te kopalnie Blue John.

– Nie sędzę – odparł Gareth. – Wczoraj oglądaliśmy z Harrym mapy zasobów wodnych i jestem przekonany, że wskazałoby na nich... o Jezu.

– Co? – spytała Evi. Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie. Potem Gareth wybiegł z kuchni.

– O co chodzi?! – zawołała Alice. – O czym pomyślałeś?!

– Daj mu sekundę – poprosił Harry.

Czekali, przysłuchując się, jak Gareth szeleści papierami w pokoju obok. Potem wrócił. Nachylił się nad stołem i rozłożył na nim dużą czarno-białą mapę. Przez chwilę krążył nad nią ręką.

– Tutaj – rzucił w końcu, pokazując palcem. Kobiety nachyliły się. Harry nie zmienił pozycji. – Otwory po odwiertach.

– A co to są otwory po odwiertach? – zdziwiła się Alice.

– Głęboka dziura w ziemi – wyjaśnił Gareth. – Sięgająca do lustra wody.

– Masz na myśli studnię?

Mąż Alice kiwnął głową.

– Głównie po to są wiercone.

– Chwila, kolego – wtrącił się Harry. – Jakoś nie chce mi się wierzyć, że to miejsce nie było przeszukiwane. Leży niespełna osiemset metrów poza miastem.

– Ale gdzie to jest dokładnie? – dopytywała się Alice. – Chodzi o tę małą chatę tuż pod Morrell Tor? Tę, którą dzieci nazywają domkiem Czerwonego Kapturka? Przecież myśmy tam widzieli Gillian.

– Ja też ją tam widziałem – przyznał Harry. – I jeśli przez te lata często bywała u Renshawów, miała mnóstwo okazji, by ukraść klucz. Ale to miejsce musiało być przeszukiwane.

– W tej chacie nie ma żadnej dziury. To niemożliwe – oznajmiła Alice. – Sinclair mówił mi, że Jenny i Christiana się tam bawiły, gdy były dziećmi.

– Otwory po odwiertach i studnie są zazwyczaj zakrywane – wyjaśnił Gareth. – Inaczej byłoby cholernie niebezpiecznie. Ale być może Gillian znalazła jakiś sposób, żeby się do tej studni dostać.

– Jestem przekonany, że ludzie tam szukali – upierał się Harry.

– Jaki zasięg mają psy policyjne? – spytała Evi. – Jak głęboko musiałyby wisieć dziecko w takim otworze, żeby go nie wyczuły?

Nikt jej nie odpowiedział. Nikt nie wiedział. I oceniając po minach na ich twarzach, każde miało w głowie taki sam obrazek.

– Jeśli jest gdzieś głęboko, może sprzęt termowizyjny też nie był w stanie go zlokalizować – dodała Evi.

– Muszę tam pójść – oświadczył Gareth, zmierzając do drzwi.

– Ja też idę. – Alice już była na nogach i szła za mężem.

Harry poderwał się i ją złapał.

– Powinnaś zostać z Tomem i Millie – powiedział. – Ja pójdę. Mam w aucie linę. I uprząż. Jeśli weźmiemy furgonetkę Garetha, dojedziemy nią prawie do samego końca. – Zamilkł, czoło przecięła mu zmarszczka zastanowienia. – Drzwi będą zamknięte – rzucił do Garetha. – Musimy zabrać jakieś narzędzia.

Gareth pobiegł korytarzem i otworzył drzwi frontowe. Harry odwrócił się do Evi.

– Pamiętasz numer Rushtona? – spytał.

Kiwnęła głową na potwierdzenie.

– Zadzwoń do niego. Powiedz mu, dokąd pojechaliśmy, i spytaj, czy może nam kogoś podesłać. Nie daj się zbyć. Będziemy też potrzebowali strażaków i ratowników pogotowia. – Odwrócił się, z oparcia krzesła zabrał swoją kurtkę i zarzucił ją sobie na ramiona. Kilka sekund później on i Gareth wyszli z domu.

Tom znalazł swoje tenisówki przy drzwiach frontowych, żółtą bluzę z kapturem za kanapą w salonie. Mimo to już w sekundę po wgramoleniu się na okno zamarzał. Kamień okiennego parapetu pod jego pupą osłoniętą jedynie spodniami od piżamy był zimny jak lód. Na głowie i twarzy zaczęły mu się osadzać płatki śniegu. Okno za sobą zamknął prawie do końca.

Ebba chwyciła go za rękę, ściągnęła z parapetu i pociągnęła w stronę spowitego ciemnością ogrodu. Dotarli do wyłomu w murze. Ebba przeszła przez niego pierwsza, Tom za nią i znaleźli się na cmentarzu.

Harry wskoczył do furgonetki i linę wspinaczkową położył sobie na kolanach. Zanim zdążył zatrzaskać drzwiczki, wóz już ruszył, koła żłobiły świeże ślady w śniegu. Gareth wyjechał z podjazdu na ulicę, kierując się w dół w stronę Wite Lane.

– Jedź pod górę – rzucił Harry. – W górę, za miasto.

Gareth nadal patrzył w dół ulicy.

– Alice i dzieciaki na wrzosowiska chodzą Wite Lane – powiedział.

– Tak, ale tam jest stromo. Nie wiem, jak daleko dasz radę dojechać furgonetką.

Gareth ciężko westchnął.

– No to co proponujesz? – spytał.

– Jakiś kilometr za miastem po prawej jest wjazd na farmę. Mike Pickup korzysta z tego przejazdu, kiedy dowozi karmę dla zwierząt. Możemy przejechać tamtędy, dotrzemy wtedy do chaty od góry. Droga jest tam dość twarda, powinniśmy dać radę dojechać nią prawie do samego końca.

Gareth wcisnął pedał gazu i furgonetka ruszyła przed siebie w górę wzniesienia. Nabierali prędkości, płatki śniegu wirujące przed nimi były coraz większe, zostawiali miasto za sobą.

– Zwolnij – poradził Harry. – Wolniej. Tam, zobacz, tam jest.

Furgonetka zatrzymała się i Harry wyskoczył na ziemię. Obiegł front wozu.

Sekundę później światła furgonetki oświetliły metalową bramę, prowadzącą na farmę.

Harry otworzył ją i Gareth przejechał. Do chaty zostało im niecałe dwa kilometry.

Kiedy tylne światła wozu zniknęły na wrzosowiskach, przez Evi przelała się fala skrajnego zmęczenia. Niczego bardziej nie chciała, niż położyć się, zamknąć oczy, pozwolić, żeby teraz inni wszystkim się zajęli.

– No dobra – rzuciła. – Potrzebuję telefonu.

– Masz za sobą – powiedziała Alice. – Ja pójdę zajrzeć do Toma i Millie.

Alice pobiegła na górę, Evi odwróciła się do telefonu. Nie było go za nią. Wyszła z kuchni na korytarz. Alice akurat wyłoniła się z pokoju Millie i szła podestem. Evi podniosła dłoń, chcąc przywołać jej uwagę, ale Alice nie spojrzała w dół.

A potem na piętrze rozległ się zduszony krzyk. Evi zatrzymała się, serce jej się zacisnęło, ale głowa nie dopuszczała możliwości, że coś się znowu stało. Coś zdecydowanie niedobrego, sądząc po wyglądzie twarzy kobiety stojącej na szczycie schodów.

Tom i Ebba przedzierali się przez białe cmentarzysko. „Tommy, proszę przyjdź”. Tom wiedział, że do końca życia będzie słyszał w głowie głos swojego brata, jeśli teraz go zignoruje.

Kiedy minęli nowy grób Lucy Pickup, wydawało się, że idą w stronę kościoła, co było bezsensowne, bo kościół był bardzo dokładnie przeszukany z psami i ze wszystkim innym, a nawet gdyby nie był, nie mieli przecież szansy się tam teraz dostać. Tom słyszał, co dorośli mówili wcześniej. Drzwi frontowe i te na dach zamknięto na klucz i zaryglowano, a trzy zestawy kluczy do zakrystii mieli Harry i policja. Poza tym w zakrystii miał nocować policjant – na wszelki wypadek.

Albo śnieg tłumiał dźwięki, albo było później, niż Tom myślał, bo wszędzie panowała kompletna cisza. Wydało mu się, że usłyszał, że ktoś uruchomił samochód i że potem odjechał nim w stronę wrzosowisk, ale potem znowu zrobiło się cicho. Dotarli do grobowca, w którym chowano wszystkich zmarłych Renshawów – oprócz Lucy, bo Jenny, matka Lucy, nienawidziła tego miejsca. Policja je dzisiaj przeszukała, policjanci otworzyli wszystkie kamienne trumny,

żeby się upewnić, że w żadnej nikt nie ukrył Joego. Przeszukali grobowiec i potem z powrotem zamknęli, a Sinclair Renshaw zawiesił wielką kłódkę na wejściu, więc dlaczego Ebba miała do niej klucz? Chyba nie będą tam wchodzić, prawda? Nie wejdzie do grobowca w nocy, nawet w sytuacji...

„Tommy, proszę chodź”.

Ebba otworzyła najpierw kłódkę, potem żeliwną furtkę, a potem pewnie weszła do środka, zupełnie jakby po starych grobowcach łąziła przez całe życie. Tom stał przed wejściem, potem dał niepewny krok przed siebie. Byli na małym, ogrodzonym dziedzińcu, Ebba nie ma jak wejść do samego grobowca, bo...

Ebba otwierała drzwi prowadzące do dużego kamiennego pudła. Przywoływała go gestem dłoni, twarz miała wykrzywioną grymasem zniecierpliwienia. Ona naprawdę chciała to zrobić, naprawdę zabierała go środka. Ale przecież kościół przez cały dzień był pełen ludzi. To niemożliwe, żeby Joe był w kościele. To musi być jakiś podstęp, jakaś pułapka.

„Tommy, proszę, chodź”.

Czekaj, Joe, już idę.

Furgonetka nie chciała ruszyć. Gareth całe pięć minut próbował wycofać wóz z małego strumienia, w którym zakopały się przednie koła, ale nie dawał rady. Nie mogli tracić więcej czasu. Harry linę do wspinaczki zarzucił sobie na szyję, zabrał latarkę. Gareth w jedną rękę wziął skrzynkę z narzędziami, w drugą ciężki młot. Tak przygotowani, ruszyli przed siebie po śniegu.

Czas zabijania. Czy Ebba wiedziała, co szykuje Gillian, wiedziała o zamordowaniu tamtych trzech małych dziewczynek, o tym, że Gillian interesuje się Millie? Czy próbowała ich ostrzec?

– Wybacz, stary – wysapał Harry, kiedy dotarli do skraju zrujnowanych zabudowań kopalni. – Powinniśmy byli wybrać twoją drogę.

Gareth nawet się nie obejrzał.

– Niczego by to nie zmieniło – odpowiedział. – Jazda po wrzosowiskach graniczy z niemożliwością nawet w dobrą pogodę. Teraz śnieg jest prawie wszędzie.

Obaj mężczyźni ruszyli szybkim krokiem przez ruiny kopalni.

Jeśli Ebba chciała ich ostrzec, czy tortury, jakie zafundowała Gillian, były czymś w rodzaju kary? „Mamusiu, znajdź mnie”. Dlaczego Ebba mówiłaby coś takiego?

Gareth pokazywał na swoją lewą stronę, gdzie w oddali widać było zarysy niewielkiego budynku.

– To ta chata? – spytał.

– Tak – przytaknęła Harry. – Tylko uważaj, spokojnie. Tam jest mnóstwo luźnych kamieni i odłamków skałek.

Gareth zwolnił, kiedy pokonywali ostatni odcinek dzielący ich od chaty. Śnieg zdążył już pokryć jej dach, przez co domek wyglądał jak wyjęty z jakiejś bajki.

Gillian włamała się do domu Fletcherów w noc ognisk? Chciała porwać Millie? Włamywacz był w kaloszach. Czy widział kiedykolwiek Gillian w czymś takim?

Dotarli do drzwi i Harry przystanął, żeby złapać oddech. Nie mogli tam wejść ot tak po prostu, bez przygotowania. Jeśli w środku jest dziura po odwiercie, może być niebezpiecznie, zwłaszcza w ciemności. Zastanawiał się, ile może zająć policji przyjazd. Będą musieli dotrzeć do chaty pieszo. Spojrzał z nadzieją w dół wzniesienia. Nigdzie nie zauważył żadnych świateł, które przesuwająby się w górę.

Sięgnął do klamki przy drzwiach. Jak można się było spodziewać, były zamknięte.

– Odsuń się – polecił Gareth.

Harry posłuchał. Gareth podniósł nad głowę potężny młot i opuścił go w dół.

Evi szybciej niż kiedykolwiek od wielu lat wspięła się do połowy schodów. Chwyła się mocno poręczy. Jeśli Alice spadłaby teraz ze schodów, z łatwością rzuciłaby je obie na sam dół. Evi patrzyła, jak kobieta chwieje się, potem wyciąga rękę, żeby oprzeć ją o ścianę.

– Alice, tylko spokojnie! – zawołała Evi. – Weź głęboki wdech. Usiądź. Spuść głowę na dół.

Alice ze wzrokiem wbitym przed siebie osunęła się na podłogę, Evi w tym czasie z trudem wspinała się na pozostałe stopnie.

– Co się stało? – wysapała, siadając ciężko obok Alice. Chryste, nie miała pojęcia, że taki ból jest w ogóle możliwy. Czuła, że w każdej chwili może zemdleć.

Alice zaczęła się znowu podnosić.

– Muszę iść – wydyszała. – Muszę sprowadzić Garetha, muszę wyjść na zewnątrz, muszę...

– Alice! – Evi złapała kobietę za rękę.

– Toma nie ma – ciągnęła Alice. – Tom też zniknął. Tracę ich wszystkich, jedno

po drugim, ona mi je wszystkie zabiera.

– Alice, popatrz na mnie.

Alice spróbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Evi i poniosła porażkę. Ledwie trzymała się na nogach.

– To niemożliwe, żeby Tom zniknął – powiedziała Evi. – Byliśmy tu przez cały czas, drzwi były pozamykane. Sprawdzając w łazience?

Alice miała taką minę, jakby nie rozumiała ani słowa, nie wiedziała, co to jest łazienka. Była w szoku. Stres trzymania się w ryzach przez ostatnią dobę to było dla niej za dużo, nieoczekiwana wyprawa Toma do toalety zwała ją z nóg.

– Tom! – zawołała Evi. – Tom! – krzyknęła znowu, trochę głośniej, kiedy nie usłyszała odpowiedzi. Czując rosnący niepokój, podniosła się. Jej laska została na dole, a ból w nodze przekraczał wszystko, z czym zwykle musiała się mierzyć.

Alice zbiegła na dół. Szarpnięciem otworzyła drzwi frontowe.

– Zadzwoń do Garetha – poprosiła błagalnie, odwracając się do Evi. – Powiedz mu, żeby wracał. Ja idę poszukać na dworze.

Drzwi wejściowe otworzyły się na całą szerokość, kiedy Alice zniknęła, płatki śniegu wfruwały do przedsionka, roztapiając się natychmiast na płytkach posadzki. Zadzwoń do Garetha? Jeszcze nie zadzwoniła na policję. Nie znalazła nawet telefonu. Trzymając się ściany, Evi ruszyła do najbliższego pokoju. Sypialni Millie. Mała spała, nieświadoma dramatu toczącego się wokół niej. Evi się odwróciła. Tom jest w domu, musi być.

– Tom! – zawołała, potem postanowiła, że więcej tego nie robi. Bo to było zbyt przygnębiające wołać dziecko i nie słyszeć żadnej odpowiedzi.

– Tom! – To Alice, wołająca przed domem.

Tom nie mógł wyjść na zewnątrz, drzwi były pozamykane.

Evi się odwróciła i udała do pokoju Joego, może Tom spał u brata. Pchnęła drzwi i dysząc, stanęła w progu. Pokój był pusty.

Zamykając umysł na ból, weszła do pokoju Toma i włączyła światło.

– Tom! – usłyszała z dworu. Alice była teraz za domem, wołała w ogrodzie. Evi przeszła przez pokój i chwyciła się parapetu, żeby odzyskać oddech. Za oknem widziała Alice biegnącą po ogrodzie. Dobrze, musi zajrzeć do łazienki i do pokoju Alice i Garetha. Przeklęta Alice, gdyby nie straciła głowy, przeszukałaby piętro w okamgnieniu. A tak Evi, zamiast dzwonić na policję, traciła cenne minuty.

– Tom! – zawołała, uświadamiając sobie, że płacze. – Tom, proszę. To naprawdę nie jest zabawne.

Tom nie odpowiadał. Poszła sprawdzić pozostałe pomieszczenia.

Tom biegł, przerażony, że straci Ebbę z oczu i zostanie sam w tej czepiającej się go pazurami zdradliwej ciemności. Nie miał pojęcia, jak duża jest podziemna sala, przez którą przebiegał, nie widział ścian – ale się nie rozglądał, wzrok miał wbity w dziewczynkę przed nim.

Za każdym razem, kiedy go kusilo, żeby zawrócić, zmuszał się do pomyślenia o bracie. Joe, o którym czasami myślał, że został zesłany na ziemię, żeby uprzykrzyć mu życie, który od dnia narodzin był wrzodem na tyłku, który zawsze stawiał na swoim i o którego zamordowaniu Tom fantazjował co najmniej raz na tydzień. Joe, bez którego Tom nie wyobrażał sobie dalszego życia.

Pojawiła się przed nimi jakaś ściana, zobaczył, że Emma przebiega przez przejście z łukiem na górze. On też to zrobił, zanim zdążył zapytać się siebie, czy to dobry pomysł. Ale z drugiej strony nic z tego, co teraz robił, nie było dobrym pomysłem, a prawdopodobnie najgorszym w całym jego życiu, ale to dziwne stworzenie przed nim miało but jego brata.

Teraz dziewczynka balansowała na przewróconej skrzyni i sięgała do czegoś na suficie. Potem Tom zobaczył strużkę przeświecającego światła. Minutę później on i Ebba oboje stali w kościele. Nigdzie śladu dyżurującego policjanta, drzwi do zakrystii były szczelnie zamknięte. Potem Ebba znów rzuciła się do biegu, nawą w kierunku tyłów kościoła.

Toma nie było w domu. Alice miała rację, a Evi zmarnowała cenny czas. Wciąż nie wiedziała, gdzie jest telefon. I od kilku już minut nie słyszała też Alice. Musi zejść na dół, zadzwonić po policję. Będą tu w ciągu kilku minut. Może zadzwonić ze swojej komórki – była na zewnątrz, w jej aucie.

Kiedy podchodziła do drzwi frontowych, zamknęły się z trzaskiem. Dała sobie chwilę na odzyskanie tchu. W domu nadal czuć było lodowaty przeciąg. Trzasnęły drzwi do pokoju dziennego.

Podeszła do nich i otworzyła je. Okno w głębi pokoju stało otworem. Tak szybko, jak tylko mogła Evi przemierzyła pokój i wychyliła się. W ogrodzie nie było już śladu po Alice.

– Tom! – zawołała.

Tom nie odpowiedział, ale Evi wcale tego nie oczekiwała. Tom uciekł. Seria

wyraźnych odcisków butów biegnących przez ogród ku murowi cmentarza, o wiele za małych, by to były odciski stóp dorosłej osoby, stanowiła tego niezaprzeczalny dowód.

Evi wychyliła się jeszcze dalej i uważniej przyjrzała ziemi. W śniegu widoczna była druga para odcisków, obok tych pozostawionych przez Toma. Mając świadomość, jak to będzie bolało, Evi usiadła na parapecie, podciągnęła nogi i obróciła się tak, żeby zsunąć się do ogrodu.

Śnieg zaczynał już zakrywać ślady po butach; za niecałą godzinę nie będzie ich widać. Ale teraz były jeszcze dość wyraźne. Nie tak dawno temu ktoś przeszedł ogrodem od muru, potem odwrócił się i wrócił tą samą drogą, co przyszedł, zabierając ze sobą Toma. Ślady po jego butach były mocne, regularne, nic nie wskazywało, żeby Tom był ciągnięty czy pchany. Evi przyjrzała się tym drugim odciskom. Wyglądały na pozostawione przez dorosłą osobę, chociaż zapewne nie jakąś wysoką, wzór podeszwy bardzo się różnił od prążkowanego wzoru podeszew butów sportowych Toma. Evi wypatrzyła obrys odcisku dużego palca u nogi, łuk podbicia. To były ślady pozostawione przez kogoś, kto nie miał na nogach butów.

Tom poszedł z Ebbą.

Drzwi ustąpiły pod czwartym uderzeniem i Harry musiał złapać Garetha za ramię, żeby ten nie wbiegł od razu do środka.

– Odwiert – przypomniał.

Przepchnąwszy się naprzód, Harry poświecił latarką po wnętrzu małej kamiennej chaty. Było tu tylko jedno pomieszczenie, długie na cztery metry i szerokie na trzy. Spojrzał w górę i zobaczył, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby prawie dosięgnąć belek na suficie. Do centralnej belki był przytwierdzony jakiś duży metalowy pierścień. Pod stopami mieli sosnową posadzkę.

Gareth wszedł do środka i zaczął opukiwać deski piętą buta.

– Brzmi dość solidnie – zauważył Harry.

Gareth pokręcił głową.

– Tu jest inaczej.

Harry przysłuchiwał się, gdy Gareth przechodził z jednego miejsca w drugie, uderzając w każde mocno butem. Różnica była minimalna.

Harry zaczął powoli obchodzić pomieszczenie, świecąc latarką w dół, szukając jakichś śladów na deskach, śladów, które mogłyby wskazywać, że w tym punkcie

podłogę daje się podnosić. Niczego jednak nie wypatrzył. Oprócz tego, że jakieś pół metra od drzwi w jednej z desek widniał mały otwór. Pochylił się nad nim.

– Co tam masz? – zainteresował się Gareth.

Małym palcem Harry powiódł po obrzeżach otworu.

– Otwór na wkręt – oznajmił po sekundzie. – Czuję wyżłobienia. Coś tu się powinno wkręcić. – Popatrzył w górę, poświecił latarką dokoła, jakby to, co mogło się nadawać do wkręcenia w otwór, mogło leżeć gdzieś blisko albo wisieć. – Coś jak to – dodał, świecąc na pierścień w belce na suficie.

Gareth zerknął w górę, potem przeszedł na tył chaty.

– Jak to – powiedział, pokazując na podobny pierścień przymocowany do tylnej ściany. Kilkanaście centymetrów poniżej pierścienia na ścianie widniał jakiś poskręcany kawałek metalu. – To mechanizm podnoszący. Daj mi tę linę.

Harry rzucił zwój i przyglądał się, jak Gareth przeciąga koniec liny najpierw przez pierścień na ścianie, potem przez ten na belce sufitowej. A później podchodzi z końcówką do miejsca, w którym klęczał Harry.

– Tu chyba brakuje takiego pierścienia – stwierdził.

– To oczywiście, że brakuje – potwierdził Gareth. – Gdyby tu był, zbyt łatwo można byłoby dostać się do otworu. Pewnie usunięto go ze względów bezpieczeństwa. Albo może go mieć Gillian. – Położył się na płask na podłodze. – Joe! – krzyknął. – Joe!

Harry nie mógł powstrzymać nerwowego drżenia. Gareth znowu podniósł się, sięgnął po skrzynkę z narzędziami, wyjął ostre dłuto i młotek. Ostro zakończony koniec dłuta wetknął w szparę między deskami i wałną mocno w dłuto młotkiem. Drewno zaczęło odpryskiwać. Gareth jeszcze raz uderzył młotkiem, potem jeszcze raz. A potem przestał walić, znalazł inne dłuto i młotek i rzucił je Harry'emu.

– Z drugiej strony – polecił.

Harry wypatrzył małą wąską szparę i zaczął naśladować swojego towarzysza. Deski były stare i łatwo się rozszczepiały. Po wydłubaniu zaledwie około trzech centymetrów poczuł luz, dłuto o mało nie wymusnęło mu się z ręki.

– Przebiłem się – powiedział. – Pod spodem jest pusto. – Gareth już przeciskał linę przez otwór, który wydrążył. Harry wetknął palec w dziurę i zaczął szukać końca liny podawanego przez Garetha. Znalazł, pociągnął i koniec wyszedł na zewnątrz.

Zabierając go od niego, Gareth związał końce razem. Potem wstał i przeszedł na drugą stronę izby. Spojrzał na Harry'ego.

– Odsuń się – rzucił. – Stań pod ścianą.

Trzęsąc się przy każdym kroku, Evi wróciła do domu. Chciała wziąć kluczyki i pójść do samochodu po komórkę. Kiedy otworzyła drzwi, musiała się chwycić framugi – czuła, że zaraz się przewróci. Z boku domu pojawił się jakiś ciemny kształt.

– Alice?! – zawołała, nie będąc pewna. Postać była zbyt wysoka jak na Alice.

– To ja. – Kobięcy głos. Postać wkroczyła w plamę światła. Jenny Pickup, znajoma Alice. Była tu wcześniej, pomagała przy dzieciach. Dzięki Bogu.

Jenny na sekundę zmarszczyła czoło i obejrzała się przez ramię. Potem ruszyła przed siebie.

– Evi, wyglądasz strasznie – powiedziała. – Wejdz do środka. Dam ci coś przeciwbólowego.

– Musimy zadzwonić na policję. Tom zaginął. I nie mam pojęcia, gdzie jest Alice.

Jenny jedną ręką chwyciła drzwi, drugą położyła na ramieniu Evi.

– Spokojnie – rzuciła. – Nie denerwuj się. Policja już jedzie.

– Naprawdę?

– Tak, oczywiście – zapewniła kobieta. – Sama zadzwoniłam do Briana. Powiedział: dziesięć minut. A co do Alice, to poprosiła, żebym zajrzała do Millie. A ty naprawdę powinnaś usiąść.

– Widziałaś Alice? – zdziwiła się Evi, odsuwając się trochę, bo druga kobieta podeszła tak blisko, że wręcz musiała to zrobić. – Posłuchaj, Tom zaginął, musimy zebrać ludzi, żeby go szukali.

– Evi, uspokój się, już szukają. Posłuchaj teraz mnie.

Evi zmusiła się, żeby spojrzeć na Jenny, w jej opanowane orzechowe oczy. Spokój kobiety był zaraźliwy. Evi poczuła, że znowu zaczyna odzyskiwać kontrolę nad oddechem.

– Właśnie przed chwilą natknęliśmy się na ulicy na Alice – wyjaśniała Jenny, mówiąc powoli, jakby to ona była psychiatrą, a Evi rozhisteryzowaną pacjentką. – Ja, tata, Mike i jeden z jego robotników. Wszyscy poszli razem z nią pomóc jej szukać Toma. On nie mógł odejść daleko. – Przestała mówić i przeciągnęła dłonią po długich jasnych włosach. Były rozpuszczone, obsypane płatkami śniegu, wilgotne na czubku. – Zwłaszcza jeśli poszedł z Heather – dodała. – Ona nie ma

siły na dalekie spacery. A policja zaraz tu będzie.

Dzięki Bogu. Co powinna zrobić teraz? Zajrzeć do Millie. Evi odwróciła się w stronę schodów, dała dwa kroki i złapała się za poręcz. Jenny zamknęła za nią drzwi.

– Heather? – powtórzyła Evi, z powrotem odwracając się do drugiej kobiety; dopiero teraz dotarło do niej to, co przed chwilą usłyszała. Heather – przez dwulatkę wymawiane: Ebba. – Ta dziewczynka, która zabrała Toma? – spytała. – Ona ma na imię Heather? Ty wiesz, kim ona jest?

Harry przycisnął się do drzwi chaty i patrzył, jak Gareth zaczyna ciągnąć linę. Na początku nic się nie wydarzyło, potem cała deska, w której wydlubali dwa otwory, zaczęła drżeć. Jeszcze jedno pociągnięcie i cała podłoga, oprócz trzydziestocentymetrowego paska na obrzeżach, zaczęła się podnosić. To była olbrzymia kłapa, przymocowana na zawiasach pod ścianą w głębi. Kiedy się już dała poruszyć, szła w górę z łatwością i Gareth w ciągu kilku sekund podniósł ją do takiego momentu, gdy z głuchym stuknięciem opadła na ścianę za nią.

Harry wszedł na chropowaty kamień pierwotnej posadzki chaty. Kątem oka widział, że Gareth przywiązuje sznur, a potem podchodzi, żeby do niego dołączyć. Nagle zdenerwowany myślą o otchłani pod swoimi stopami, Harry opadł na kolana i dalej przesuwiał się już na czworakach.

Spod ziemi wydobył się zapach, który przywołał skojarzenie z dawno opuszczonymi kościołami. Oczekiwał, że otwór po odwiercie – jeśli rzeczywiście odkryli właśnie to – będzie idealnie okrągły. Ten jednak był nierówny, wyglądał na niedokończony, skała na brzegach była poharatana i kanciasta. Zajrzał do otworu i stwierdził, że widzi tylko na głębokość metra, może dwóch. Dalej była ciemność tak nieprzenikniona, że wydawało się, że to nieomal ciało stałe. Gareth poszedł w jego ślady i też ukląkł na ziemi.

– Podaj mi światło – poprosił Harry, nie odrywając oczu od studni. Gareth nie poruszył się. – Potrzebuję światła, kolego – spróbował Harry jeszcze raz. – Sam nie dosięgnę. – Trącił Garetha w ramię i pokazał na miejsce, gdzie na posadzce leżała latarka. Jak ktoś budzący się ze snu, Gareth odwrócił się, podniósł latarkę, potem podał ją Harry'emu.

Choć było zimno, Harry miał dłonie mokre od potu. Odebrał latarkę i przesunął się w przód, aż mógł wyjrzeć ponad obrzeżem studni. Strumień światła zdawał się

spadać w dół jak kamień, uciekając od niego w głąbiny ziemi. Harry zobaczył cegły ocembrowania, ledwo utrzymywane razem wykruszoną zaprawą. I niżej jakiś przywierający do cegieł osad, chyba z roślin, niepotrzebujących do życia światła. Wydało mu się nawet, że widzi wodę, kilka metrów poniżej. Jednym jednak, czego był pewien, że widzi, była ta rzecz, od której nie mógł oderwać oczu: zardzewiały łańcuch przytwierdzony do boku studni prawie metr poniżej obrzeża i znikający w ciemności w dole, tam gdzie nie sięgało już światło latarki.

Obejrzał się i zorientował, że Gareth też to zobaczył. Wszelkie słowa wydawały się niedorzeczną stratą czasu i energii. Harry okrążył studnię do miejsca, gdzie mógł położyć się płasko na ziemi i dosięgnąć łańcucha.

Jenny stała tuż za drzwiami wejściowymi. Latarnia z dworu przeświecała przez kolorowe okno w sieni, światło nadawało włosom kobiety dziwnego fioletowego odcienia. Ale jej twarz była biała jak śnieg.

– Oczywiście, że wiem, kim jest – odparła ze smutkiem. – Mieszkamy w tym samym domu od prawie dziesięciu lat. To moja siostrzenica.

Przez sekundę Evi myślała, że się przesłyszała.

– Twoja siostrzenica? – powtórzyła.

Jenny kiwnęła głową i wydawało się, że wzięła się w garść.

– Córnka Christiany – wyjaśniła. – Pójdziemy na górę? Alice wyraźnie podkreślała, żebym sprawdziła, co się dzieje z Millie.

Evi stać było jedynie na wytrzeszczanie oczu. Ona i Harry rozprawiali o odizolowanych domach na farmie, chatkach wysoko na wrzosowiskach, a tu się okazuje, że dziewczynka przez cały czas była tuż za rogiem, w samym sercu miasteczka.

– Ma wrodzoną niedoczynność tarczycy, prawda? – spytała.

Jenny podeszła krok bliżej.

– Bezpośredni skutek tutejszej gleby – rzuciła. – To plaga w naszej rodzinie od setek lat. Gdybyśmy robili zakupy w Asdzie, nie byłoby problemu.

– Ale obecnie tę chorobę się leczy – zauważyła Evi, dając mały krok w bok i ustawiając się twardo na drodze drugiej kobiety. – Jest wykrywana podczas badań prenatalnych i dziecku podaje się leki. Praktycznie została wyeliminowana.

Jenny westchnęła.

– A jednak tuż pod naszym nosem mamy jej dorodny okaz. Wiesz, naprawdę

muszę już zajrzeć do Millie. Przepuścisz mnie?

– Jak do tego doszło? – spytała Evi, nie wiedząc, dlaczego dowiedzenie się jak najwięcej o dziewczynce jest takie ważne, a jedynie wiedząc, że jest. – Christiana nie wyraziła zgody na leczenie?

– Christianie nikt go nigdy nie proponował – odparła Jenny. – Całą ciążę przesiedziała w domu i urodziła przy pomocy miejscowej położnej, której słono zapłacono za to, żeby trzymała buzię zamkniętą na kłódkę. Narodziny nie zostały zarejestrowane. – Oczy kobiety przesunęły się w górę, patrzyły na jakiś punkt na podeście. Evi poskromiła pokusę, żeby się obejrzeć.

– Ile osób wie o jej istnieniu? – spytała, nie mogąc uwierzyć, że nikt nie powiedział Fletcherom o Heather, zwłaszcza po tym, jak Tom zaczął widywać tę dziwną małą dziewczynkę.

– Stosunkowo niewiele, jak sądzę – odpowiedziała Jenny. – Nawet Mike nie ma o niej pojęcia, chociaż z drugiej strony Mike nie grzeszy błyskotliwością.

Evi znowu dała krok do tyłu. Stała na najniższym stopniu i kręciła głową.

– Jak to w ogóle możliwe? – wymamrotała.

– Och, Evi, zdziwiłabyś się, co można robić, kiedy się posiada własne miasteczko – mruknęła Jenny, sięgając dłonią do poręczy. Położyła ją na niej, zaledwie centymetry od dłoni Evi. – Oczywiście nie wolno jej opuszczać domu. Christiana jest z nią przez cały czas, czyta jej, bawi się z nią, gra w gry. Christy ma nieskończoną cierpliwość, ale kiedy potrzebuje trochę odetchnąć, Heather ogląda CBeebies.

– Jest trzymana w domu? Całymi dniami?

Jenny skinęła głową.

– Nikt z obsługi nigdy nie wchodzi na górę – dodała. – Christiana sama zajmuje się górnymi piętami. Kiedy w domu nie ma nikogo, Heather wychodzi się bawić do ogrodu – ciągnęła. – Jak mam być szczerą, to myślę, że jedna czy dwie osoby wiedzą o niej – im jest starsza, tym się robi sprytniejsza i wymyka się z domu nocą, a czasami nawet za dnia. Na pewno zapalała sympatią do dzieciaków Alice i Garetha. Ale ludzie siedzą cicho, nie chcą się narazić tacie.

Coś zacisnęło serce Evi, coś, co przekraczało nawet niepokój o dzieci Fletcherów. Mała dziewczynka przez całe życie była więźniem – swojego niepotrzebnie uszkodzonego ciała i we własnym domu.

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego, na litość boską, twoja rodzina to robi? Dlaczego postępujecie niezgodnie z prawem?

Jenny zamrugała tymi swoimi orzechowymi oczyma.

– To ty jesteś psychiatrą, Evi – sarknęła. – Domyśl się.

Ebba otworzyła drzwi na tyłach galerii i zaczęła się wspinać na krótkie spiralne schody. Wiatr wdarł się jej we włosy, poderwał je w górę i łopotał nimi dokoła jej głowy jak flagą. Tom zatrzymał się. Wchodzenie tam to jakieś szaleństwo.

„Tommy, proszę, chodź”.

Zanim zdążył pomyśleć, co ma zrobić, Ebba złapała go za rękę i zaczęła ciągnąć na dach. Opuściła się na ręce i na kolana i on uczynił to samo. Śnieg skrzypiał mu pod rękami, wiatr wdzierał się pod bluzę. Ebba pełzała na czworakach wzdłuż skraju dachu po czymś w rodzaju cynowej rynny. Po jej lewej dach lekko wznosił się w górę; po prawej był dziesięciocentymetrowy kamienny murek, zbyt niski, żeby stanowił jakkolwiek barierę, gdyby się ześliznęła. Czy oczekuje, że on za nią pójdzie? Tak, oczekiwała tego, bo oglądała się za siebie, czekała na niego. O kurde.

Ruszył, nie odrywając oczu od zasypanej śniegiem rynny, po której się czołgał. To czyste wariactwo. Na dachu nie było miejsca, w którym mógłby ukrywać się Joe. Pozostałe trzy wieże były puste, widać to było nawet z ziemi. Przeświecało przez nie niebo. Pełzali do tej na północnowschodnim rogu, tej, która zawsze wydawała się być w cieniu, bo słońce nigdy do niej nie docierało. Widział ją ponad ramieniem Ebby, pustą jak okienka w kalendarzu adwentowym w pierwszy dzień świąt, gdy wszystkie czekoladki zostały już wyjedzone. Widział gwiazdy migoczące między filarami, widział przesuwające się obłoki, widział srebrzystą kulę księżyca w pełni.

Ale zaraz, przecież księżyc miał za sobą.

Evi nie musiała długo się domyślać.

– Kto jest ojcem? – zapytała. – Twój ojciec? Sinclair?

Jenny skrzywiła się.

– Zgaduj dalej – mruknęła.

Evi zaczęła szybko główkować. Tak niewiele wiedziała o Renshawach, tylko to, co mówili jej Harry i Fletcherowie. Nie słyszała, żeby byli jacyś bracia, jedynie ojciec: wysoki, siwy, bardzo dystyngowany pan i...

– Chyba nie twój dziadek? – rzuciła cicho, przerażona, że mogła coś pomieszać, widząc po wyrazie twarzy drugiej kobiety, że jednak nie pomieszała. – Ale on... –

Ile lat miał Tobias Renshaw? Był już chyba po osiemdziesiątce.

– Miał sześćdziesiąt lat, kiedy urodziła się Heather. I był już wtedy dobrze zaprawiony w bojach.

– Twoja biedna siostra. Co rozumiesz przez „dobrze zaprawiony w bojach”?

Jenny nie odpowiedziała, tylko popatrzyła Evi prosto w oczy.

– Ciebie też molestował, tak? – domyśliła się Evi.

Nic, tylko puste spojrzenie.

– Tak mi przykro – rzuciła.

Nic.

– Ile miałaś lat? Kiedy się to zaczęło?

Jenny ciężko westchnęła, potem odsunęła się aż pod drzwi jadalni. Evi poczuła się tak, jakby odzyskała możliwość swobodnego oddychania.

– Trzy. Może cztery. Dokładnie nie pamiętam – odezwała się Jenny. – W moim dzieciństwie nie było takiego czasu, kiedy nie byłabym szturchana, popychana, podszczyrywana przez duże szorstkie dłonie. – Odwróciła się, żeby spojrzeć Evi prosto w twarz. – Miał zwyczaj stawać w drzwiach mojego pokoju i przyglądać się, jak się ubieram – powiedziała. – Wchodził do łazienki, gdy się kąpałam, i mnie mył. Nigdy nie byłam właścicielką swojego ciała, nigdy. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest?

– Nie – odpowiedziała Evi szczerze. – Przykro mi. Czy on cię zgwałcił?

– Wtedy? Nie, był na to zbyt sprytny. Jak będziesz gwałcił czterolatkę, to może się to wydać. Nie, on się nade mną masturbował, macał mnie jedną ręką, drugą macał tego swojego, no wiesz. Kiedy trochę podrosłam, zaczął mnie zmuszać, żebym go ssła. Gwałty zaczęły się, kiedy miałam dziesięć lat. W pewnym sensie byłam zaskoczona, że zaczekał z tym aż tak długo. Bo widzisz, słyszałam go z Christianą. Wiedziałam, co się szykuje.

Dłonie Evi zakrywały jej usta. Czowała, że zaraz zemdleje. Znowu chwyciła się poręczy.

– Tak mi przykro – powtórzyła. – Dlaczego komuś nie powiedziałaś? Rodzicom, matce, ona na pewno... – Umilkła. Jenny nie musiała odpowiadać. Dzieci nie mówią. Zabrania się im tego i one milczą. Dzieci są posłuszne, robią to, co im dorośli każą.

– Groził ci czymś? – spytała.

Jenny znowu szła w jej stronę. Piła, Evi widziała to teraz wyraźnie.

– Robił coś więcej niż tylko to – oznajmiła. – Zamykał nas w grobowcu, z tymi

wszystkimi kamiennymi trumnami. Nawet po tym, jak złożono tam moją zmarłą matkę, on nas tam zamykał. Albo wnosił na szczyt schodów, na tę galerię w kościele, nawet na Tor i zwieszał nas w dół. Czasami trzymając za kostkę u nogi. Mamy być grzeczne, mówił, albo puści i zlecimy. Wiem, że Christianie też to robił; nadal straszliwie boi się wysokości.

Evi próbowała mruganiem usunąć ten obraz z głowy.

– Musiałyście być przerażone – powiedziała.

– Ja nigdy nie krzyczałam, Evi, nie było sensu. Zamykałam tylko oczy i zastanawiałam się, czy to jest ten raz, ten dzień, kiedy mnie puści i poczuję powiew powietrza, i będę wiedziała, że to koniec.

Pomyliła się. Evi skierowała podejrzenia na Gillian, ale popełniła błąd. Wysłała Harry'ego i Garetha na bezsensowne poszukiwania, a tu Gillian może być umierająca, Joe i Tom zaginęli, a Alice... Gdzie jest Alice?

– Jenny – odezwała się. – Czy to twój dziadek zabił te dzieci? Czy to on porwał Joego?

Wciągać łańcuch. Nie myśleć o niczym innym. Wciągać łańcuch i modlić się do Boga, który go opuścił, żeby na drugim końcu nic nie było. Nie patrzeć na Garetha, który był bliski załamania albo już się załamał. Jediną rozsądną rzeczą wydawało się wyjście stąd, zanim komuś stanie się coś złego, tyle że Harry wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Więc wciągał łańcuch, bo przecież dotarli aż tutaj i teraz musieli wiedzieć.

Łańcuch się poruszał, po każdym pociągnięciu było go coraz więcej, ale na jego końcu wisiało coś ciężkiego. Pociągnij prawą ręką, przekładaj za obrzeże lewą, nie myśl, tylko wciągaj dalej. Coś szorowało o bok studni, coś się zaczepiało, utrudniało wyciąganie, coś było coraz bliżej.

Mięśnie ramienia krzyczały z bólu, a on nadal nie wiedział, ile jeszcze tego łańcucha zostało. Jeszcze jakieś dwadzieścia szarpnięć i będzie musiał odpocząć. Nie był pewien, czy da radę. Jeszcze tylko dziesięć, siedem... więcej nie było trzeba. Do końca łańcucha była przypięta duża płócienna torba, z grubym staroświeckim suwakiem. Nie zatrzymując się, żeby pomyśleć czy odpocząć, Harry wyciągnął torbę na kamienną posadzkę chaty, sięgnął do suwaka i otworzył go.

Oczodoły – puste – to zobaczył najpierw.

Tom zamrugał. W oczy sypał mu śnieg, zamazywał obraz. Zdecydowanie patrzył na księżyc przeświecający przez murarkę północno-wschodniej wieży. Zaryzykował i obrócił głowę. Księżyc wisiał nad jego ramieniem. Dwa księżycy? Ebba już teraz zbliżała się do wieży. Obejrzała się, czekając na niego. Co ona knuje? Helikopter przelatywał nad kościołem kilka razy. Załoga nie mogła zajrzeć do środka wież, bo były osłonięte niewielkimi daszkami, ale w helikopterze mieli sprzęt wyczuwający ciepło, na pewno wykryliby ciepłe ciało. Ebba gestem namawiała go, żeby szedł dalej.

W kościele było pełno ludzi. Kiedy helikopter rozpoczął przeszukiwania, policja ściągnęła wszystkich z wrzosowisk i ludzie poszli do kościoła. Było tam ich prawie dwieście osób, kiedy helikopter krążył nad wrzosowiskami. Dwieście sztuk ciepłych ciał. Gdzie najlepiej ukryć igłę? W stogu siana. Tom był już tak blisko, że mógł dotknąć wieżyczki, mógł przełożyć rękę między kamiennymi filarami. Wyciągnął rękę i zobaczył zbliżające się do niego jej odbicie, zobaczył własną twarz w lustrzanych kaflach zamontowanych między kamiennymi kolumnkami, tworzących kryjówkę na dachu kościoła, niewielką, ale wystarczająco dużą, żeby pomieściła...

– Mam ci opowiedzieć najgorsze, Evi? O najgorszej rzeczy, jaką nam zrobił?

– Co to było takiego? – spytała Evi, chociaż tak naprawdę wcale nie chciała wiedzieć. Ile czasu minęło, odkąd słyszała nawoływania Alice? Czy policja nie powinna już tu być?

– Na wrzosowiskach mieliśmy taką starą studnię. Kiedyś był tam młyn wodny i kilka domków dla robotników. Te wszystkie budynki zniknęły, ale studnia z jakiegoś powodu nie została nigdy zakopana. Zbudowaliśmy nad nią kamienną chatę, żeby było bezpiecznie. Dla owiec i zbłąkanych dzieci. Ale nie dla nas, nie dla Christiany i dla mnie, bo on przygotował uprzęż i sznur i jak byśmy nieposłuszne, jeśli odważyłyśmy się powiedzieć „nie” albo jeśli nie ssałyśmy go tak mocno, jak chciał, wsadzał nas do tej studni. Pakował w uprzęż i spuszczał. Zostawiał nas tam, w ciemności, na wiele godzin. Innym dzieciom też to robił. Aż jedno zostawił za długo i ta jego mała zabaweczka dokonała tam żywota.

Jenny stała zbyt blisko, Evi nie miała wyboru, musiała się cofnąć, wspiąć się na schody. W chwili gdy to zrobiła, Jenny poszła w jej ślady.

– Jenny, potrzebujesz pomocy – powiedziała. – Wiesz to, prawda? Nic z tego, o

czym mówisz, nie było twoją winą, ale ktoś musi ci pomóc się z tym wszystkim pogodzić. On cię skrzywdził. Christianę też. Mogę ci kogoś znaleźć, kogoś, kto będzie z tobą pracował. To potrwa, oczywiście, ale...

Jenny nachyliła się do niej.

– Naprawdę myślisz, że tego rodzaju krzywdy można naprawić, Evi? – spytała. – Rozmową?

Miała rację. Ale mimo to mogłaby jednak nie stać aż tak blisko.

– No nie, nie w pełni – przyznała. – Nic nie będzie w stanie usunąć tych wspomnień. Ale właściwy terapeuta pomoże ci się z nimi rozliczyć i pogodzić. Ale teraz najważniejsze jest, żebyśmy odnaleźli Joego. Harry i Gareth pojechali do tej studni. Czy tam właśnie jest Joe?

Coś zamigotało na twarzy Jenny.

– Pojechali do chaty? – spytała. – Nikt tam nie wchodził od piętnastu lat. Zamknęliśmy ją po tym, jak...

– Po czym? Co tam jest?

– Posłuchaj mnie. Posłuchaj, proszę.

Gareth Fletcher nie słuchał, tylko wył, waląc głową w kamienną ścianę chaty, okładając ją obydwiema pięściami. Skórę na czole miał zdartą, krew ściekała po twarzy z boku nosa. Harry złapał Garetha za rękę i spróbował do siebie odwrócić. Pięść mężczyzny poleciała w jego kierunku. Harry cofnął się, niebezpiecznie blisko otworu studni.

– To nie Joe! – wydarł się na cały głos. – To nie jest Joe!

Przebił się? Gareth przestał wyć, opierał się o ścianę z głową ukrytą między rękami.

– Gareth, musisz mnie wysłuchać – powtórzył Harry. – To dziecko nie żyje od wielu lat. Spójrz na nie. Nie, musisz spojrzeć. To nie może być Joe. Zaufaj mi, po prostu spójrz.

Gareth podniósł głowę. Jego oczy nienaturalnie błyszcząły. Dał krok w stronę Harry'ego. Harry się przyszykował. Był wyższy od Garetha, ale Gareth był prawdopodobnie silniejszy. Naprawdę wolałby nie wdawać się w bijatykę tak blisko skraju studni. Chwycił Garetha za ramię i ściągnął go na dół, tak że znowu obaj klęczeli na zimnych kamieniach.

– Popatrz – rzucił, odchylając klapę torby. Dłonie mu drżały, kiedy podnosił

latarkę i świecił nią do środka. – To dziecko nie żyje od wielu lat – powtórzył. – Patrz, musisz popatrzeć. Ciało już prawie nie ma. To nie może być Joe, to po prostu nie jest możliwe.

Gareth wyglądał tak, jakby walczył o każdy oddech. Każdy oddech był jak potężny zduszony szloch, ale Gareth patrzył na torbę, na dziecko w niej.

– Nie Joe – jeszcze raz powiedział Harry, zastanawiając się, ile razy jeszcze będzie musiał to powtórzyć, zanim drugi mężczyzna mu uwierzy. I czy na pewno chciał przekonać do tego jedynie jego.

Gareth przeciągnął dłonią po twarzy.

– Jezu, Harry – wybełkotał. – O co tu właściwie chodzi?

– Joe!

Tom zamrugał, żeby strząsnąć śnieg z rzęs. Patrzył na swojego brata zwiniętego jak wąż w kulkę w północnowschodniej wieży, ze skrępowanymi sznurem nadgarstkami i kostkami nóg jak świąteczny indyk. Joe, blady jak pieczarka, zimny jak sopel lodu, ale nadal żywy. Joe, drżący jak galareta i patrzący na niego oczami, które utraciły cały blask, ale to nadal były te oczy, które Tom pamiętał. Joe – tutaj – niecałe sto metrów od domu.

Ebba przechylała się do środka wieży, nasuwała na ramiona Joego brudną patchworkową narzutkę, żeby było mu ciepło.

– Joe, już dobrze – wyszeptał Tom. – Już wszystko w porządku. Sprowadzę cię na dół.

Joe nie odpowiedział, tylko patrzył tymi półprzezroczystymi oczyma. Głowa mu się trzęsła, kończyny podrygiwały. Nie było z nim dobrze, Tom to widział. Joe jakimś cudem przetrwał noc i dzień na kościelnym dachu, ale dużo dłużej nie wytrzyma. Muszą sprowadzić go na dół. Tom przechylił się, próbując wsunąć rękę pod ramiona brata. Mógł do niego dosięgnąć, mógł go dotknąć i stwierdzić, że jest tak zimny, jakby już nie żył, ale kiedy chciał go podnieść, Joe został tam, gdzie był.

Tom popatrzył na Ebbę, która nadal kuciała po drugiej stronie skrzyni i zaciskając swoje wielkie dłonie na brzegu lustrzanych kafli, wpatrywała się w niego.

– Jak go wyciągniemy? – spytał.

– Zginęło dziecko, Evi – mówiła Jenny. – Mała cygańska dziewczynka, którą Tobias spotkał, gdy wałęsała się samotnie, kiedy poszedł obejrzeć jakiegoś konia

pod Halifaksem. On ją tam zostawił, na wrzosowiskach, wiszącą w studni.

– A gdzie, do diabła, była wtedy policja?

– Miło się z tobą rozmawia, Evi. Słuchasz. Nie oceniasz. Ale pójdę już po Millie.

– Jenny zaczęła się przeciskać obok Evi. Bez agresji, ale stanowczo, próbowała dostać się na wyższy stopień. Evi się odwróciła, nadal mocno trzymając się poręczy, żeby nie spaść.

– Nikt cię nie będzie oceniał, Jenny – zapewniła. – Byłaś dzieckiem. Ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że być może mogłabyś powiedzieć ojcu o tym, co się działo?

Coś błysnęło w oczach Jenny.

– A ty myślisz, że on nie wiedział? – prychnęła.

– Na pewno nie.

– To dlaczego twoim zdaniem nie chciał, żeby Fletcherowie kupili tu ten kawałek ziemi? Wiedział, że mają córkę. Wie, że w tym mieście małe dziewczynki nie są bezpieczne.

Evi z trudem to wszystko przyswajała.

– Ale jego córki?

– Wysłał mnie do szkoły z internatem, kiedy miałam trzynaście lat, zaraz po narodzinach Heather. Wtedy już nie mógł udawać, że niczego nie widzi. Dla Christiany było za późno, oczywiście, była za stara, żeby pójść do szkoły.

Evi wyciągnęła rękę, dotknęła ramienia drugiej kobiety.

– Jenny, musimy o tym powiedzieć policji – oznajmiła. – Muszą go zatrzymać, zanim zginie kolejne dziecko. Powinnam do nich zadzwonić. Przekonać, żeby przyjechali szybciej. – Zeszła na stopień niżej.

– Zaczekaj, proszę. – Teraz to ramię Evi znalazło się w mocnym uścisku. – Nie zdradziłam ci jeszcze wszystkiego.

Chryste, to może być coś jeszcze? Evi zerknęła w stronę okna wychodzącego na ulicę, mając nadzieję, że zobaczy za nim migoczące światła koguta policyjnego.

– Co chcesz mi powiedzieć? – spytała.

Jenny zwiesiła głowę.

– To trudne – zaczęła. – Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek komuś o tym powiem.

– Jak go wyciągniemy? – powtórzył pytanie Tom. Wyraz twarzy Ebby się nie

zmienił, nie zdradzał też, że go rozumie. Tom z powrotem odwrócił się do brata i znowu spróbował go podnieść, przynajmniej chociaż trochę. Joe się nie ruszał i Tom zrozumiał dlaczego. Sznury, którymi był skrepowany, też były przywiązane do wieży.

– Joe, muszę pójść po pomoc – stwierdził. – Na dole jest policjant. Wrócę za pięć minut, Joe, obiecuję.

Oczy chłopca zamknęły się. Zostawienie brata w wieży to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił, ale Tom zmusił się jakoś, żeby się odwrócić i przeczłogać z powrotem po rynnie na dachu. Nie słyszał za sobą Ebby i miał nadzieję, że może zostanie z Joem, żeby mu dodać otuchy.

Dotarł do prawdziwej wieży dzwonnicy, tej, z której schodziło się do kościoła. Jego stopa odszukała szczytowy stopień i wtedy na jego nagiej kostce zamknęły się czyjeś palce.

Kobiety siedziały na schodach. Jenny osunęła się na nie, pociągając Evi za sobą. Obie się trzęsły.

– Kiedy się to wszystko skończyło? – spytała Evi. – Kiedy wyjechałaś do szkoły?

Jenny pokręciła głową.

– Wtedy sytuacja trochę się polepszyła. Widzisz, znalazł sobie kogoś innego do zaspokajania swoich ciągót. Córkę naszej gospodyni. Była blondynką, ładną i bardzo młodą, dokładnie taką, jakie lubił.

– Gillian? – sapnęła Evi. – Gillian też molestował? – Czyżby przynajmniej w tej kwestii się nie pomyliła?

Jenny wzruszyła ramionami, potem kiwnęła głową.

– Sądzę, że Gwen Bannister domyśliła się, co się dzieje – powiedziała. – Nie rozmawiała z dziadkiem, ale usunęła córkę, tak żeby nie miał do niej dostępu. To więcej niż ktokolwiek kiedykolwiek zrobił dla mnie.

– Kiedy Gillian odeszła, zaczął znowu się do ciebie dobierać?

– Kiedy przyjeżdżałam do domu ze szkoły, tak. A potem, gdy miałam dziewiętnaście lat, szczęście go opuściło. Ja też zaszłam w ciążę. Ale wtedy miałam już odwagę, żeby powiedzieć tacie. Było za późno, żeby pozbyć się dziecka, więc namówił Mike'a, żeby mnie wziął. A ojciec zmusił Tobiasa, żeby przepisał na niego kontrolę nad majątkiem.

– Nie mogę uwierzyć, że twój ojciec w tym wszystkim uczestniczył. Musiałaś się czuć straszliwie zdradzona.

Jenny puściła dłonie Evi.

– Evi, mężczyźni od tysięcy lat sprzedają swoje córki, dla pieniędzy i dla władzy – stwierdziła. – Myślisz, że to wszystko minęło, kiedy weszliśmy w dwudziesty wiek? Ale dla mnie to też było dobre. Wyrwałam się. I dostałam Lucy.

Córkę Tobiasa. Lucy była kazirodczym dzieckiem swojego pradziadka.

– Co się z nią stało? – spytała Evi cicho. – Jak naprawdę zginęła?

– Tak bardzo ją kochałam, Evi.

– Jestem o tym przekonana. On to zrobił? Czy to Tobias ją zabił?

– Miała tylko dwa latka, kiedy zaczął na nią patrzeć, Evi. Była śliczną blondyneczką, tak jak Christiana i ja, kiedy byłyśmy małe. Widziałam, jak wodzi wzrokiem po jej ciele. Wtedy jeszcze jeździł samochodem, ciągle do nas wpadał. Nigdy jej nie przewijałam ani nie kapałam, kiedy był gdzieś blisko, ale on zawsze jakoś się koło niej kręcił. Wiedziałam, że nie mogę dopuścić, żeby to się stało znowu.

– Ale z Lucy było inaczej. Miała do ochrony ciebie. I Mike’a.

– Ale ja wiedziałam, jaki on jest przebiegły. Wiedziałam, że w końcu się do niej dobierze. Więc zaczęłam planować, jak go zabiję. Wydawało mi się, że to jedyne wyjście. Szokuje cię to?

Evi pomyślała, że już dawno przekroczyła granice szoku.

– Sądzę, że to zrozumiałe, że byłaś zła – odparła.

– Myślałam o uduszeniu go podczas snu, o dosypaniu mu czegoś do jedzenia, zepchnięciu ze schodów, namówieniu, żeby poszedł ze mną na Tor i zepchnięciu go stamtąd. Ale potem, któregoś dnia, dotarło to do mnie. Nie musiałam go zabijać, żeby nie mógł dostać tego, co chciał dostać.

– Nie musiałaś?

– Nie. Zamiast niego mogłam zabić ją.

Toma ktoś ściągał na dół, tarł boleśnie plecami o kamienne stopnie.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – powiedział głos, który znał. Dwie duże dłonie chwyciły go w pasie i ściągnęły jeszcze niżej. – Odsuńcie się, dajcie nam zejść – poinstruował ten sam głos. Tom usłyszał za sobą stukot wycofujących się kroków kilku osób, potem znów stał na galerii kościoła.

– Na dachu jest Joe – udało mu się wydyszeć. – W tej drugiej wieżyczce, tej, o której wszyscy myślą, że jest pusta, ale nie jest. On tam jest i zamarza, i musimy go stamtąd wyciągnąć.

Czwórka chłopców gapiła się na niego, jakby złapali kosmitę, który nagle zaczął wydawać im rozkazy.

– Twój brat? – Jake Knowles pierwszy odzyskał głos. – Ten, którego szukaliśmy przez cały dzień?

– Na dachu? – powtórzył starszy brat Jake’a, którego imienia Tom nie mógł sobie przypomnieć.

Tom popatrzył na cztery twarze przed sobą i nagle wydało mu się, że jego serce przestaje bić.

– Ty to zrobiłeś – powiedział. – Ty go tam wsadziłeś.

Twarz starszego chłopca wykrzywiła się.

– Za kogo ty nas, kurwa mać, uważasz? – warknął. – Masz nas za jakichś pierdolonych psycholi?

– On naprawdę tam jest? – spytał z niedowierzaniem Billy Aspin. – Żywy?

Tom skinął głową.

– Jest związany – dodał. – Nie mogłem go wyciągnąć. Muszę pójść po tatę. Co wy tu robicie? Jeśli to nie wy go tam wsadziliście, co tu robicie?

– Śledziliśmy cię – odpowiedział Jake. – Zobaczyliśmy ciebie i tę kretynekę Renshawów, jak idziecie przez cmentarz, i poszliśmy za wami. Tylko żeśmy się pogubili w tej pieprzonej piwnicy. A w ogóle to gdzie ta kretynka?

– Musimy sprowadzić pomoc. W zakrystii jest policjant... – zaczął Tom, potem uświadomił sobie, że nie wie, co się stało z Ebbą.

– Chodźcie, ludzie – wtrącił się wtedy starszy brat Jake’a. – Sprawdźmy, czy gada prawdę.

Evi czuła się tak, jakby płonęła. Śmieszne, tyle razy wysłuchiwała opowieści swoich pacjentów o napadach przerażenia. Nigdy żaden z nich nie wspomniał, że człowiekowi robi się wtedy tak gorąco. I że umysł zaczyna tak wolno pracować. Jenny? To ona przez ten cały czas polowała na Millie. Nie, to nie może być prawda, myślała. Źle coś zrozumiałam. Jestem przemęczona.

– A najbardziej ironiczne w tym było to, że Tobias ją kochał, naprawdę kochał. – Jenny znów wczepiła się w Evi, unieruchamiając ją. Twarz miała rozpaloną, oczy

nienaturalnie błyszczące. Evi koniecznie musiała się podnieść. Tylko co potem? Ma pobiec na górę, do pokoju Millie, czy na dół, do telefonu?

– Był kompletnie zdruzgotany – ciągnęła Jenny. – Zmusiłam go, rozumiesz, żeby na to patrzył. Wiedziałam, że idzie do kościoła – przez wiele lat był kościelnym – i poszłam tam za nim z Lucy na rękach. Weszłam na galerię i potem go zawołałam.

Między obojczykami na plecach Evi ciekła strużka potu. Policja nie przyjedzie. Jenny po nią nie zadzwoniła. I dlaczego przez cały czas musi stać tak blisko?

– Nigdy tego nie zapomnę – opowiadała. – Wyszedł z zakrystii, a ja ją trzymałam głową w dół za kostkę, tak jak on robił ze mną, a ona płakała i płakała, i widziałam, że on do mnie krzyczy, drze się, żebym przestała. Zerwał się do biegu, a ja ją puściłam, ot tak, po prostu.

Zapach bijący od Jenny był gorszy niż to gorąco: alkohol, pot i egzotyczne kwiaty. Evi wiedziała, że jeśli się nie odsunie, zwymiotuje. Dłonie po sobie, pchaj mocno, ignoruj ból; miała silne ramiona, to się może udać.

– Spadała tak długo – ciągnęła Jenny. – Miałam tyle czasu na myślenie, zdałam sobie sprawę, że tak właśnie miało być, że w końcu go zniszczę za to, co mi zrobił.

Teraz. Evi podniosła się, została pochwycona i ściągnięta w dół.

– Prawie zdążył. – Teraz Jenny szeptała już bezpośrednio w twarz Evi. – Prawie ją złapał. Ale ostatecznie całym pędem walnęła w te kamienne kafle i krew... krew rozbryzgała się wszędzie, jakbym spuściła z nią w dół jakąś bańkę. Myślałam, że nawet mnie obryzga, tam w górze, na tej galerii.

Evi ciężko przełknęła ślinę, zwalczyła pokusę wstrzymania oddechu. Musi oddychać. Jeśli przestanie, zemdleje.

– Nigdy nie miałam żadnej przyjemności z seksu, Evi, nigdy, nawet raz – jak mogłabym mieć? – mówiła Jenny. – Ten cały interes z orgazmem, o którym tyle się mówi... nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Ale tamtego dnia, widząc tę krew, patrząc, jak on zaczyna krzyczeć... Nie opiszę ci, co to była za rozkosz. Nieomal zemdlałam, tam na miejscu, takie to było przeszywające. I ten odgłos, kiedy uderzyła w posadzkę, jak roztrzaskujący się dojrzały owoc, słyszałam to na okrągło w głowie i przez cały czas krew tryskała z niej i strzelała na wszystkie strony. Wpływała z niej falami w rytm bijącego resztkami sił serca.

Evi wiedziała, że nie wolno jej krzyczeć. Tym bardziej że oprócz Millie i tak by jej nikt nie usłyszał.

Obaj mężczyźni zbiegali z wrzosowisk, światła ich latarek skierowane były na białą ziemię pod ich stopami. Przez las bukowy, obok opuszczonego młyna wodnego, przez strumień. Kiedy już się wydawało, że Garethowi udało się wreszcie wrócić do siebie, wtedy uczucie paniki zaatakowało Harry'ego. Muszą wracać. Tylko o tym mógł myśleć – że muszą wracać.

Od ich wyjazdu z domu minęło czterdzieści minut, może trochę więcej. Policja już powinna do nich dołączyć. Na drodze wjazdowej do Heptonclough stały wozy policyjne, do domu Fletcherów miały nie więcej niż pięć minut jazdy. Jeśli Evi ich wezwała, kiedy on i Gareth wyruszyli, policjanci już by dotarli. Ale tak się nie stało, co oznaczało, że Evi po nich nie zadzwoniła. Musiało się coś wydarzyć. Coś gorszego, gorszego niż zniknięcie Joego, niż zamęt rozpętany przez Gillian. Muszą wracać.

Harry swoją komórkę miał w kieszeni dzinsów. Mógłby się zatrzymać, sam zadzwonić na policję, zadzwonić do domu. Ale żeby to zrobić, musiałby przestać biec.

Dotarli do przełazu. Harry wspiął się na murek, zeskoczył po drugiej stronie i znowu zaczął biec, słysząc, że Gareth robi to samo. Biegli przez pole ciągnące się tuż nad miastem. Jeszcze sto metrów i będą mijali miejsce, gdzie na Święto Zmarłych płonęło ognisko. Dotarli do płotu i Harry przeskoczył nad nim. Minął stary dom Gillian. Bruk był śliski od śniegu, teraz już po obu stronach mieli budynki. Gareth u jego boku ciężko dyszał. Dobiegli do końca uliczki i właśnie skręcali w główną, kiedy w kościele zaczęły bić dzwony.

– Oczywiście odciągnął mnie stamtąd – opowiadała Jenny. – Do domu. Oboje się przebraliśmy i wtedy zaczęliśmy jej szukać. Tylko że on nie chciał wrócić do kościoła, nie był w stanie zmusić się, żeby ją znowu zobaczyć. To ja musiałam to zrobić.

Zachowaj spokój, myśl. Policja nie przyjedzie, ale wrócą Harry z Garethem. Do tej pory już na pewno dotarli do chaty, znaleźli tam, co mieli znaleźć, i teraz wracają. Musisz tylko zachować spokój i nie dopuścić, żeby ta kobieta skrzywdziła kolejną osobę. Nie dopuszczaj jej do Millie. Och, gdyby tylko nie było tak gorąco.

– A potem? – spytała Evi, zmuszając się do wolniejszego nabierania powietrza do płuc. – To już koniec? Kiedy go ukarałeś? Czy wtedy... – Jezu, co do diabła powinna powiedzieć? – Czy wtedy odzyskałeś już spokój? – spróbowała.

Jenny kiwnęła głową.

– Na jakiś czas, tak – potwierdziła. – Miałam uczucie, jakbym odzyskała kontrolę nad własnym życiem, rozumiesz to?

– Oczywiście – zapewniła Evi, upominając się w duchu, że musi mówić powoli, tak jak zawsze, gdy przeprowadzała rozmowę ze zbyt pobudzonym pacjentem. – Poczucie kontroli jest bardzo ważne – zgodziła się. – Wszyscy go potrzebujemy.

– Naturalnie straszliwie za nią tęskniłam. Nadal tak jest. Tak naprawdę nigdy nie przebolełam jej straty.

– Nie – przytaknęła Evi, walcząc z pokusą, by zerknąć na zegarek, i z drugą, silniejszą, by odrzucić głowę w tył i zawyć. – Myślę, że rodzice nigdy nie są w stanie do końca pogodzić się z odejściem dziecka. To zawsze będzie ich bolało.

– Tak, ale ja poczułam, że zamknął się jakiś rozdział, że mogę ruszyć z miejsca. – Oczy Jenny zwęziły się. Spojrzała w dół na swój zegarek, ale zrobiła to tak szybko, że Evi nie zdążyła zobaczyć, która jest. – Robi się późno – mruknęła. – Chodź, pomogę ci wejść na górę. – Wstała, nachyliła się i wsunęła Evi ręce pod pachy. Evi zaparła się, ale Jenny była silna. Podciągnęła ją w górę, potem otoczyła jedną ręką w pasie.

– Chodź – powtórzyła. – Wydaje mi się, że usłyszałam, że Millie płacze.

– Millie nic nie jest – zapewniła Evi. – Ale Jenny, to naprawdę ważne.

Jenny przystanęła, nie poluzowała jednak uścisku.

– Co jest ważne? – spytała, ale już ostrzejszym tonem. Zaczynała tracić cierpliwość.

– Chodzi o te... o te inne dziewczynki – wyjąkała Evi. – Megan, Hayley. Dlaczego one też musiały zginąć?

Jenny przechyliła głowę na bok.

– Po śmierci Lucy to ja rządziłam – oświadczyła po chwili. – Ilekroć Tobias przekroczył granicę, ilekroć zaczynał zwracać niewłaściwą uwagę na małe dziewczynki, mogłam go zatrzymać. No chodź już, jeszcze jeden stopień, i jeszcze jeden.

– Wybacz – sapnęła Evi. – Ale chodzenie po schodach bardzo mnie męczy. Możemy sekundkę odpocząć? A więc on zaczął molestować Megan, tak? Mimo tego, co spotkało Lucy?

Jenny na sekundę poluzowała uścisk na ramieniu Evi.

– Nie jestem pewna, czy zaszło to aż tak daleko – odparła. – Wystarczyło mi, że widziałam, jak na nią patrzy, jak wychodzi ze skóry, żeby być miłym dla jej matki.

Nie zamierzałam na to pozwalać po stracie Lucy. Nie zamierzałam pozwolić, żeby zapomniał o niej i, ot tak, zainteresował się kolejną.

– I zabiłaś Megan? – domyśliła się Evi. – I Hayley? Millie też próbowałaś?

Jenny popatrzyła na Evi tak, jakby była niedorozwinięta.

– Zabiłam wcześniej własne dziecko – rzuciła. – Myślisz, że po czymś takim to trudne zabić cudze?

– W takim razie dlaczego Joe? – spytała Evi, kiedy Jenny odwróciła się, żeby wznowić wspinaczkę po schodach. – Twój dziadek na pewno się nim nie interesował. Dlaczego go porwałaś? Bo to ty go porwałaś, prawda?

– Evi, on zaczął ze mnie szydzić.

– Joe?

– Mój dziadek. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to wstrętny stary diabeł. Ciągłe sobie żartował, że Fletcherowie są strzeżeni lepiej niż klejnoty koronne, że matka nigdy nie spuszcza oka z Millie, i przychodził tutaj prawie codziennie, pozował do tego głupiego portretu, a ja wiedziałam, że zabawia się z Millie, sadza ją sobie na kolana, głaszcze po nogach, jego palce wspinają się wyżej i wyżej, i że zupełnie zapomina o Lucy. Nie mogłam pozwolić, żeby tak się stało.

– Ale Joe? Co miał...

– Doszłam do wniosku, że jest tylko jeden sposób na to, żeby Alice przestała warować przy córce – musiało zaginać inne jej dziecko.

Evi poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– Joe to przynęta?

Jenny wzruszyła ramionami.

– Słodki chłopaczek – mruknęła. – Poszedł ze mną bez słowa sprzeciwu. Powiedziałam mu, że jego siostra miała wypadek i mama chciała, żebym zawiozła go do szpitala, żeby odwiedził siostrę. Ale nie mogłam zatrzymać się w połowie, no wiesz, jak już się powiedziało a... Musiałam go ogłuszyć, żeby...

– Gdzie? Gdzie on jest?

– Tam, gdzie go nigdy nie znajdą. Nie znaleźli Megan i nie znajdą Joego. Evi, dasz radę wejść na następny stopień?

Starszy bray Jake'a Knowlesa wyminął Toma i zaczął wchodzić na schody.

– On jest przywiązany – przypomniał Tom. – Nie dasz rady go wyciągnąć.

Chłopak sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął cienki pasek metalu, długi na jakieś

trzydzieści centymetrów. Poruszył kciukiem i z rękojeści wystrzeliło długie srebrne ostrze.

– Nie ma strachu! – zawołał, znikając w głębi wieży. Jego koledzy weszli tam za nim, Jake ostatni. Ze stopą na dolnym stopniu odwrócił się do Toma.

– No chodź – rzucił, zanim zniknął w wieży.

Tom ruszył za resztą, nie wiedząc, czy robi dobrze czy źle. Joe potrzebował dorosłego, a nie tych czterech idiotów. Nawet jeśli uda im się go wyciągnąć, bardzo możliwe, że zamiast sprowadzić na dół, razem z nim zwałą się z dachu. Z przodu Jake wdrapywał się na dach. Tom wspiał się na ostatnich kilka stopni i wyrzął.

– Dan już tam prawie jest – powiedział Jake. Tom popatrzył ponad dachem. Bratu Jake’a, Danowi, do północnowschodniej wieżyczki zostało zaledwie kilka kroków. Średni brat szedł tuż za nim. Ebby nigdzie nie było widać.

– Jest tutaj! – zawołał Dan, który doczołgał się do przeciwnej wieży i nachylił do środka. – Mam go. – Drugi brat też dotarł do wieżyczki. Tom ujrzał dwa obciążone dzinsem tyłki przechylających się chłopców. Potem pierwszy, a następnie drugi zaczęli się prostować.

– Will go ma – powiedział Jake. – Wyciąga go, patrz.

Średni brat Jake’a trzymał Joego w pasie obydwoma rękoma i wyciągał go z wieży. Patchworkowy koc spadł i na dach razem z Willem Knowlesem stoczyło się pobłyskujące w blasku księżyca jak muszelka nagie ciało Joego. Potem Dan Knowles pochylił się i podniósł chłopca. Niosąc Joego na rękach jak niemowlę, zaczął się cofać rynną w stronę Toma, Jake’a i Billy’ego. Gdy był już blisko, usłyszeli, że coś krzyczy, coś jak: „No już, ruszcie się barany, zadzwońcie w dzwony, zadzwońcie tym pieprzonym dzwonem, idioci”. Jake zrozumiał sekundę przed Tomem i zaraz obaj zbiegali po schodach, walcząc ze sobą, który pierwszy odcepi sznur i pociągnie, uruchamiając dzwon.

Dzyń. Stare dzwonisko zadrzało na znak protestu, że budzi się je tak późno w nocy. Dzyń. Teraz głośniej, już z większym przekonaniem. Dzyń. Tom miał ochotę puścić sznur i zasłonić uszy, ale nie zrobił tego, bo pociąganie za linę i dzwonienie było takie przyjemne. Dzyń. Chodźcie tutaj wszyscy, wyjdźcie z domów i zobaczcie, jak niesiemy Joego po dachu. Joe, wreszcie bezpieczny, Joe wraca do domu. Nie mógł się doczekać, aż zobaczy minę mamy.

– Jenny, nie wolno ci wejść do pokoju.

– Bo co, kaleka mnie zatrzyma? Nie sądzę. – Jenny wspięła się na palce, żeby wyrzeć ponad ramieniem Evi. – Kamienna posadzka w holu – mruknęła. – Wiesz, jaki to odgłos, kiedy czaszka dziecka roztrzaskuje się na kamieniu? Trochę jak pęknięcie skorupki jajka, tylko tysiąc razy głośniejsze. Usłyszysz to – może.

– Gdzie jest Joe? – spytała ostro Evi.

Jenny szła tyłem po podeście, jej dłoń sięgała do klamki w drzwiach pokoju Millie.

– Czy Heather wie, gdzie on jest? – Evi nie dawała za wygraną.

Po raz pierwszy Jenny zrobiła niepewną minę.

– Nie – odpowiedziała.

– Jesteś pewna? – drążyła Evi. – Bo mnie się wydaje, że ona wie o tobie wszystko. Myślę, że próbowała ostrzegać ludzi na swój sposób. Próbowała zaprzyjaźnić się z Joem, Tomem i Millie, próbowała rozmawiać z Harrym. Próbowała nawet powiedzieć Gillian o tym, co spotkało jej córkę.

– To bezmózga idiotka. – Klamka została przekrecona, drzwi uchylone na dwa centymetry.

– Przyszła dziś po Toma – oznajmiła Evi. – Po co miałyby to robić, tak późno w nocy, gdyby nie wiedziała, gdzie ukryłaś Joego?

Jenny chwilę pomyślała, potem wzruszyła ramionami.

– To bez różnicy – mruknęła. – I tak już nie żyje.

Evi dała krok przed siebie.

– Wiesz, co naprawdę mnie wkurza, Jenny? – zaczęła. – To, że jesteś skończoną oszustką. Tylko udajesz, że robisz to wszystko dlatego, że Millie ma być następną ofiarą twojego dziadka. No cóż, głównie prawda. Prawdopodobnie on się do niej nawet nie zbliżał. I prawie na pewno nie tknął ani Hayley, ani Megan. Sama mówiłaś, że nie dopuszczałaś go nigdy w pobliże Lucy. Zabijasz te dziewczynki, bo to lubisz.

– Zamknij się.

– Widziałam twoją twarz, kiedy opowiadałaś o śmierci Lucy. Tobie się to podobało.

– Nie muszę tego słuchać. – Jenny zaczęła się odwracać.

Evi wiedziała, że trzeba ją zatrzymać, odciągnąć jakoś jej uwagę od Millie.

– Twój dziadek, wszystko, co cię spotkało w przeszłości, to teraz jest jedynie wymówka. Robisz to dla rozrywki, bo cię to bawi.

– Nie masz pojęcia, jak strasznie bredzisz. – Jenny była już w sypialni, szła po

dywanie.

– Jestem psychiatrą! – zawołała Evi. – Od lat lecę takie pokręcone suki jak ty. A teraz odsuń się od tego łóżeczka.

Jenny wypadła z pokoju jak burza i sekundę później jej dłonie znalazły się na szyi Evi. Teraz obie się cofały.

– Zastanawiałaś się kiedykolwiek, Evi, jakie to uczucie, gdy się frunie? – syknęła jej Jenny do ucha. – Zaraz się o tym przekonasz. Będą myśleli, że się potknęłaś z Millie na rękach i że spadłaś ze schodów. Tylko Tobias będzie znał prawdę.

Tchawica Evi była miażdżona. Patolog będzie wiedział, że została uduszona. Mała pociecha. W plecy wbijała jej się poręcz, bolało jak diabli, ale przynajmniej miała podpore. Zamachnęła się zdrową nogą i walnęła kolanem w krocze napastniczki. Jenny stęknęła, uścisk zelżał, ale była kobietą, więc kopniak nie wyrządził zbyt wielkiej szkody. Evi szybko się odwróciła, chcąc chwycić się mocno poręczy, poczuła jednak, że Jenny podnosi ją i wypycha na zewnątrz.

Zanim zdążyła się zaprzeć, jej biodra znalazły się po drugiej stronie, groziło jej, że zaraz zleci. Wyciągnęła ręce, jedną złapała się za poręcz, ale jej nogi były wysoko w górze, coś waliło ją po dłoni, deptało po niej, nie miała wyboru, musiała się puścić.

Miała wrażenie, że zanim ciężko upadła na kafle posadzki w dole, minęła cała wieczność.

Przestali dzwonić. Trzech chłopców wdrapało się do prawdziwej wieży. Czy nadal mieli ze sobą Joego? Tak, był z nimi, ponownie owinięty patchworkowym kocykiem, z twarzą przyciśniętą do piersi Dana Knowlesa, wciąż skrępowany cienką nylonową linką, wciąż się trzęsący, ale wciąż żywy.

Dan Knowles, który podczas pobytu na dachu jakby urósł i wyglądał bardziej jak młody mężczyzna, jakim się miał stać za rok czy dwa, a nie jak nastoletni chuligan, zaczął schodzić po schodach prowadzących na galerię. W ślad za nim ruszyli Will i Billy i w tym samym momencie po kościele echem rozszedł się trzask otwieranych ciężkich podwoi.

– Halo! – zawołał ktoś z akcentem mieszkańca okolic Newcastle.

– On jest tutaj! Mamy go! – odkrzyknął Dan Knowles.

– Joe! – ryknął ojciec Toma.

– Tato! – zawołał Tom.

– Tu policja! Niech nikt się nie rusza!

Dwie grupy spotkały się na schodach galerii, Gareth Fletcher i Dan Knowles niemal na siebie wpadli. Mały, drżący pakunek został przekazany z jednych rąk do drugich i Joe cicho jęknął, kiedy otoczyły go ramiona ojca. Wyżej na stopniach, ponad głową ojca, Tom popatrzył w oczy Harry'emu. Pastor odwrócił się, przepchnął obok wciąż zaszokowanego posterunkowego i wybiegł z kościoła.

Evi była półprzytomna. Było jej zimno. Z każdej strony dmuchał na nią lodowaty wiatr. Na twarz miękko opadały płatki śniegu, świat wokół pogrążał się w ciemności. Czy znowu jest na szczycie wrzosowisk? Nie, w domu Fletcherów. To, co słyszy, to Millie, wyjąca, jakby obdzierali ją ze skóry. Drzwi frontowe były otwarte i niecałe trzy kroki od Evi stał jakiś mężczyzna. Brązowe skórzane buty, mokre plamy dokoła nich na posadzce. Coś w jego lewej dłoni, długie i wąskie, z metalu, coś, co chyba rozpoznawała, ale tak bardzo tu nie pasowało, że nie mogła być pewna.

– Puść ją – polecił głos. Za późno, pomyślała Evi, już spadłam.

– Puszczę – odpowiedział dochodzący z góry głos kobiety.

– Nie waż się zrobić następnego kroku – ostrzegł mężczyzna. – I zostaw to dziecko.

– Nie żartuj – odpowiedziała kobieta.

Ta rzecz, którą trzymał mężczyzna, została podniesiona i Evi już jej nie widziała.

– To koniec – rzucił mężczyzna. – Postaw ją.

Cisza, podczas której świat zdawał się zrobić sobie przerwę; potem kroki i odgłos wystrzału. Evi nie usłyszała następnego, ale poczuła przenikające jej ciało wibracje i zobaczyła oślepiający błysk światła. Potem nie było już nic.

Harry pierwszy wystrzał usłyszał w chwili, gdy przeskoczył przez mur i biegł w stronę samochodu Alice. Dostrzegł ją samą, pędzącą ku kościołowi, ale nie było czasu na zatrzymanie się. Zobaczył otwarte drzwi i wysoką sylwetkę Tobiasa Renshawa stojącego w progu, celującego strzelbą w siebie samego. Sekundę później głowa starca eksplodowała masą kości i krwi. Harry przeskoczył nad ciałem, zanim jeszcze do końca zdążyło osunąć się na ziemię.

Usłyszał krzyk. Millie, zbryzgana krwią i szarą substancją mózgu, stała na szczycie schodów. Na podeście leżało bezwładne ciało kobiety. Na widok kogoś,

kogo zna, mała dziewczynka ruszyła przed siebie, podchodząc niebezpiecznie blisko skraju najwyższego stopnia schodów. Harry wbiegł na górę i porwał małą na rękę. Potem odwrócił się. U stóp schodów, nie dalej niż trzy kroki od ciała Tobiasa, leżała kobieta w fioletowym swetrze. Na jej ciemne rzęsy sypały się płatki śniegu. Oczy miała tak błękitne, jak pamiętał.

Epilog

Luty przyniósł ze sobą na wrzosowiska jeszcze więcej śniegu i ludzie już wczesnym porankiem powychodzili z domów, żeby odśnieżyć ścieżkę prowadzącą z kościoła na cmentarz. Mimo to żałobnicy schodząc w dół, kroczyli po niej bardzo ostrożnie.

Wykonując wydawane ściszym głosem polecenia grabarza, sześciu tragarzy zdjęło trumnę z barków i opuściło ją. Róże na jej wieku zadrżały, kiedy trumna spoczęła na grubych płaskich taśmach rozciągniętych nad otwartym grobem. Harry wyprostował się i roztarł ręce. Były zmarznięte na lód.

Podeszły wiekiem ksiądz, który zajął jego miejsce w probostwie i miał sprawować posługę do czasu znalezienia stałego zastępstwa, rozpoczął przemowę.

– Jako że wszechmogący Bóg w swej wielkiej łasce zdecydował, by zabrać z tej ziemi naszą ukochaną siostrę...

Młoda kobieta w trumnie nie zmarła w noc przesilenia zimowego, w tę, kiedy Joe Fletcher powrócił do rodziny. Jej obrażenia były poważne, ale przez kilka tygodni sądzono, że istnieją pewne nadzieje na wyzdrowienie. Z początkiem nowego roku jednak kobieta złapała infekcję, która szybko przeszła w zapalenie płuc. Jej ciężko uszkodzone ciało nie miało sił go zwalczyć i dziesięć dni temu kobieta zmarła. Kiedy Harry o tym usłyszał, w nim również coś umarło.

Gdy on i pozostali tragarze niosący trumnę, opuścili ją do grobu, Harry zorientował się, że Alice stoi przed nim, po drugiej stronie. Być może był to ostatni raz, kiedy ją widział. Rodzina za kilka tygodni wyprowadzała się z Heptonclough. Sinclair Renshaw, który stał w obliczu możliwości wszczęcia dochodzenia w jego sprawie i postawienia mu zarzutów, mimo wszystko był zdecydowany utrzymać swoją władzę nad miasteczkiem. Złożył Fletcherom szczerą ofertę odkupienia od nich ich domu, a oni tę ofertę przyjęli.

Chłopcy czuli się dobrze, przynajmniej tak mówiła Alice każdemu, kto ją o to pytał. Nowy terapeuta rodziny namawiał jej członków, aby niczego w sobie nie tłumili, przyznawali się do strachu, gdy ich nachodzi, mówili szczerze, gdy są źli. A ponad wszystko, żeby nie oczekiwali cudów, bo proces dochodzenia do siebie wymaga czasu.

Ze wszystkich Fletcherów tylko Millie wydawała się taka sama jak zawsze. Jeśli już coś się w niej zmieniło, to tylko to, że z każdym dniem była coraz hałaśliwsza, śmielsza i radośniejsza, jakby energia, której brakowało reszcie rodziny, znalazła sobie ujście w niej. Harry czasami myślał, że bez Millie tych ostatnich kilku tygodni rodzina zapewne by nie przetrwała.

Obok Alice, trzymając jej drobną dłoń w swojej dużej ręce, stała jej nowa córka chrzestna: Heather Christiana Renshaw. Zaraz na początku nowego roku w ramach swojej ostatniej posługi kapłańskiej w probostwie Harry ochrzcił Heather. Msza była krótka, uczestniczyli w niej tylko pozostali członkowie rodziny Renshaw: Christiana, Sinclair i Mike, a także, na ich prośbę, Alice, Joe i Tom. Heather – albo Ebba, jak już zawsze Harry będzie o niej myślał – została poddana leczeniu. Było za późno, żeby dało się w całości cofnąć szkody wywołane latami zaniechań, ale leki miały pomóc. Co ważniejsze, Heather wreszcie przestała być więźniem we własnym domu.

Kątem oka Harry dostrzegł w dole wzniesienia jakiś ruch. Mike Pickup, który był w kościele wcześniej, nie poszedł za żałobnikami. Zamiast tego stał przy grobie, który był nowym miejscem spoczynku Lucy i w którym teraz spoczywała również jej matka. Tobiasa, jak upadłego króla, złożono w jednej z kamiennych trumien w rodzinnym grobowcu.

Ksiądz zakończył przemowę. Zerknął w stronę Harry'ego, który zmusił się w odpowiedzi do lekkiego uśmiechu. Grabarz puścił w obieg skrzynkę z ziemią. Ludzie nabierali garść i rzucali ziemię na trumnę, potem się odsuwali. Jeden po drugim żałobnicy odwracali się i odchodzili w górę wzniesienia, aż w końcu Harry został prawie sam. Jakiś wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, którego nie znał, coś wymamrotał i oddalił się od grobu na kilka kroków. Odchodząc, obejrzał się na dwie pozostałe przy grobie osoby, potem odwrócił się i zapatrzył w kotlinę w dole.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała blada kobieta na wózku inwalidzkim. Jej oczy wydawały się za duże, zmętniały od ostatniego razu, gdy ją widział. Już nie wyglądały jak fioletowe bratki.

– Dzisiaj – odparł Harry. Potem popatrzył w górę wzniesienia, tam, gdzie stał

jego spakowany samochód. – Teraz – dodał. Ze wszystkimi się już pożegnał. To pożegnanie było ostatnie.

– A jak się czujesz? Dobrze? – spytała.

– Nie bardzo. A ty? – Nie chciał mówić z taką złością; ona miała własne problemy, wiedział o tym. Tyle że nie mógł się powstrzymać.

– Harry, powinieneś z kimś porozmawiać. Potrzebujesz...

Nie mógł na nią znów spojrzeć. Jeśli to zrobi, nie będzie w stanie stąd wyjechać.

– Evi – wykrztusił. – Nie mogę już rozmawiać z Bogiem, a ty nie chcesz rozmawiać ze mną. Nikogo innego nie ma. Naprawdę. Dbaj o siebie.

Odwrócił się od grobu i wszedł na ścieżkę. Inni żałobnicy już dawno poznikali. Było zbyt zimno, żeby długo stać na zewnątrz. Kiedy szedł w górę wzniesienia, usłyszał, że grabarz zaczął zasypywać grób. Pac, pac.

Wydało mu się, że usłyszał też zgrzyt kół wózka Evi, ale się nie obejrzał.

Pac. Pac. Przyspieszył kroku, odgłos ziemi spadającej na trumnę zdawał się jednak iść za nim. Grabarz pracował szybko. Zanim minie godzina, nowy grób będzie dokończony, pagórek miękkiej ziemi okryty kwiatami. Kwiaty zwiędną i umrą, oczywiście, kwiaty zawsze umierają, ale ludzie przyniosą nowe, będą opiekowali się grobem. Ludzie, którzy nie bardzo dbali o Gillian za jej życia, zadbają o jej grób.

Heptonclough szanowało swoich zmarłych; przynajmniej niektórych.

Od Autorki

Heptonclough

Inspiracją dla Heptonclough była wieś Heptonstall (ze staroangielskiego *hep* – dzika róża i *tunstall* – zagroda) z okolic Yorkshire w pobliżu granicy z Lancashire. Podobnie jak jej fikcyjny odpowiednik, wieś Heptonstall swoje wczesne bogactwo zawdzięczała handlowi wełną i do dziś może się poszczycić dwoma kościołami (jednym starym, jednym bardzo starym), pubem Biały Lew, starym gimnazjum oraz licznymi brukowanymi uliczkami ze stojącymi po bokach wysokimi kamiennymi domami. Odwiedzający wieś nie mają co tam szukać Wite Lane, Domu Opata czy nowiutkiego domu rodziny Fletcherów, ale nastoletnich chłopców jeżdżących na rowerach dokoła murów kościoła na pewno można tam spotkać. Ja ich tam widziałam.

Wrodzona pierwotna niedoczynność tarczycy

„Widzę głowę niezwyklego kształtu i wielkości, przysadzistą, rozdętą sylwetkę, mętny pusty wzrok, ciężkie grube wystające powieki, spłaszczony nos. Jego twarz ma ołowiany odcień, skóra jest szara, zwiotczała, pokryta liszajami, gruby język wystaje z wilgotnych sinych warg. Usta, zawsze otwarte i wypełnione śliną, odsłaniają próchniejące zęby. Klatkę piersiową ma wąską, plecy wygięte, oddech astmatyczny, kończyny krótkie, zdeformowane, słabe. Kolana grube i wykrzywione do wewnątrz, stopy płaskie. Duża głowa opada bezwładnie na pierś; brzuch jest jak worek”.

Beaupré *Dissertation sur les crétins*, ok. 1850

Wrodzona niedoczynność tarczycy, która może być genetyczna, izolowana lub

endemiczna, to choroba prowadząca do poważnego zahamowania rozwoju fizycznego i psychicznego, wywołana niedoborem hormonu tyroksyny. W Wielkiej Brytanii mniej więcej jedno na każde 3500 do 4000 dzieci rodzi się z wrodzoną niedoczynnością tarczycy. Podobne liczby są publikowane w Stanach Zjednoczonych i na kontynencie europejskim. Bardziej powszechna u dziewczynek niż chłopców, ale powód tego jest jak dotąd nieznan.

Bez leczenia wzrost dorosłej osoby mieści się poniżej średniej, w zakresie od 1 do 1,6 m; dojrzewanie kości i dojrzewanie płciowe są znacznie opóźnione, niepłodność jest powszechna. Należy się spodziewać zaburzeń czynności układu nerwowego o różnym stopniu nasilenia. Rozwój poznawczy, myślenie i refleks są spowolnione. Inne objawy mogą obejmować rogowacenie skóry, powiększenie języka lub wystający brzuch.

Szczęśliwie genetyczna i izolowana wrodzona niedoczynność tarczycy, spowodowana nieprawidłowym wzrostem tarczycy przed urodzeniem, została niemal całkowicie wyeliminowana w krajach rozwiniętych dzięki badaniom przesiewowym noworodków i leczeniu przez całe życie.

Endemiczna postać choroby wynika z diety, w której występuje niedobór jodu, zasadniczego pierwiastka śladowego, którego organizm potrzebuje do produkcji hormonów tarczycy. Gleby wielu obszarów śródlądowych na wszystkich kontynentach zawierają niedostateczną ilość jodu i żywność tam produkowana ma go odpowiednio mało. Niedobór jodu powoduje stopniowe powiększenie gruczołu tarczycy, powiększenie to nazywane jest wolem. Endemiczna odmiana tej choroby nadal stanowi poważny problem zdrowia publicznego w wielu krajach nierozwiniętych.

Crétin, z alpejsko-francuskiego dialektu używanego w regionie, w którym ta choroba była szczególnie często spotykana, stało się terminem medycznym w XVIII wieku. Stosowany powszechnie w medycynie w XIX wieku i w początkach XX, następnie rozprzestrzenił się szerzej w języku potocznym jako obraźliwe określenie kogoś, kto zachowuje się głupio. Ze względu na swoje pejoratywne konotacje w mowie potocznej w służbie zdrowia obecnie zrezygnowano ze stosowania tego terminu.

Podziękowania

Jednym z najbardziej satysfakcjonujących aspektów pisania jest możliwość uczenia się i tę naukę tym razem czerpałam z: A History of Psychiatry Edwarda Shortera; Basic Child Psychiatry Philipa Barkera; Crime Scene to Court: the Essentials of Forensic Science wydane przez P.C. White'a; Postmortem: Establishing the Cause of Death dr. Stevena A.Koehlera i dr. Cyrila H.Wechta; oraz Practical Church Management Jamesa Behrensa.

Avril Neal, Jacqui i Nick Sokratesowie, Denise Stott i Adrian Summons nadal wykonują znakomitą robotę: nie tylko czytają i poprawiają moje wczesne rękopisy, ale również cierpliwie udzielają porad i informacji podczas całego procesu twórczego. W tym roku do „zespołu” dołączyła dr Miraldine Rosser i jej pomoc w wykreowaniu z Evi wiarygodnego psychiatry była wręcz bezcenna. Dziękuję Wam wszystkim i jak zawsze wszelkie błędy są moje.

Starzy kumple z wydawnictwa Transworld nie przestają mnie wspierać, zachęcać, ciężko i mądrze pracować. Jestem szczególnie wdzięczna Sarah Turner, Laurze Sherlock, Lynsey Dalladay, Nickowi Robinsonowi i Kate Samano. Ze Stanów Zjednoczonych dziękuję jak zawsze Kelley Ragland i Matthew Martzowi z Minotaur Books.

Co do Anne-Marie, Rosie, Jessiki i Petera: bez Was to po prostu nie byłoby to samo.

Przypisy

^[1] Blackburn Rovers Football Club – angielski klub piłkarski z siedzibą w Blackburn, jeden z założycieli ligi angielskiej (przyp. tłum.).

^[2] Burnley Football Club – angielski klub piłkarski z Burnley w hrabstwie Lancashire występujący w Premier League (przyp. tłum.).

^[3] Biblia Tysiąclecia, Stary Testament, Księga Koheleta.

^[4] Peak District – wyżyna w centralnej i północnej Anglii, w południowej części Gór Pennińskich, położona głównie w północnej części hrabstwa Derbyshire (przyp. tłum.).

^[5] Burke i Hare (ang. Burke & Hare) – brytyjska czarna komedia z 2010 roku (przyp. tłum.).